

Kontynuacja głośnego debiutu
„Gej w wielkim mieście”!

Chyba strzeleę focha!



mikołaj milcke

**chyba
strzele
focha!**

mikołajmilcke



Wydawnictwo Dobra Literatura
Słupsk 2013

Copyright © by Mikołaj Milcke
Copyright © by Wydawnictwo Dobra Literatura, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Redakcja: **Olga Gorczyca-Popławska**

Korekta: **Agata Liberek**

Skład graficzny książki i projekt okładki:

Iłona Gostyńska-Rymkiewicz

Fotografia na okładce: **Łukasz Kwarc**

ISBN: 978-83-64184-00-0

Wydawnictwo Dobra Literatura

wydawnictwo@dobraliteratura.pl

www.dobraliteratura.pl

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [1. Spotkanie na szczycie](#)
- [2. Blond ambition](#)
- [3. Nalot](#)
- [4. To chłopak Niny!](#)
- [5. Złamas Roku](#)
- [6. Ojcowski instynkt](#)
- [7. Akcja „Powrót”](#)
- [8. To suka!](#)
- [9. Konserwatywny gej](#)
- [10. Kochanie? Żyjesz?](#)
- [11. Ona i my](#)

- [12. Jak Czarny Roman](#)
- [13. Wola mimo woli](#)
- [14. Prosto z Persji](#)
- [15. Truskawkę?](#)
- [16. Powrót do przeszłości](#)
- [17. I wszystko jasne](#)
- [18. Obca](#)
- [19. Atak klonów](#)
- [20. Co powie mama?](#)
- [21. On Air](#)
- [22. Niby dylemat](#)
- [23. Różne propozycje](#)
- [24. Obliviate](#)
- [25. ¡Feliz cumpleaños!](#)
- [26. Z przeszłości](#)
- [27. Odlot](#)

- [28. Biały miś](#)
- [29. Déjà dit](#)
- [30. Jeszcze dzień, najwyżej dwa](#)
- [31. Super Mario Bros](#)
- [32. Głodnych nakarmić](#)
- [33. Mroczny grabarz](#)
- [34. Dziewięćset sekund](#)
- [35. Zrozumieć chorego](#)
- [36. Autodiagnoza](#)
- [37. Urodziny](#)
- [38. Czas na refleksję](#)
- [39. Przez Lublin](#)
- [40. Zdziwienie za zdziwieniem](#)
- [41. Dobrze, że jesteś](#)
- [42. Nie mówić, nie robić, nie pisać](#)
- [43. Czary-mary](#)

- [44. Nie ma gorszych słów...](#)
- [45. To nie zdrada!](#)
- [46. Ósme niebo](#)
- [Podziękowania](#)

Wszystkim, którzy szukają siebie.

1. Spotkanie na szczycie

Kołnierzyk, ramiona, karczek. Potem mankiety i rękawy do połowy długości. Koniecznie od środka do zewnątrz. Później tył i – uważając na guziki – przód, a na koniec jeszcze raz kołnierzyk. Niby proste, powinno zajmować nie więcej niż pięć minut, a ja walczę z wyprasowaniem koszuli już grubo ponad pół godziny. Gdy wydaje mi się, że jestem blisko końca, okazuje się, że zaprasowałem tylne plisy. I cała zabawa zaczyna się od nowa. Dziś nie ma miejsca na wpadkę, na najmniejsze zagięcie czy choćby wystającą nitkę. Taka wizyta zdarzy się raz, a dubel jest wykluczony.

Rodzinny dom Marty, matki Wiktora, znajduje się w Konstancinie-Jeziornie, kilkanaście kilometrów na południe od Warszawy. Dziś jest to jedna z najbogatszych gmin w Polsce. Dziadkowie Wiktora zamieszkali tam w latach 30. XX wieku, tuż przed wojną. Wieś nazywała się wówczas Jeziorna. Dziadek, Wiktor Senior, był specjalistą od produkcji papieru, który wytwarzano w tamtejszej fabryce. Okazały budynek z czerwonej cegły, w którym się mieściła, jest chyba pierwszym, który widać, gdy wjeżdża się do Konstancina od strony Warszawy. Stoi tuż nad rzeczką.

Odrestaurowany od niedawna służy jako centrum handlowe. Tuż po wydarzeniach marca 1968 dziadkowie Wiktora, wraz z jego wówczas dwudziestoletnią matką, musieli uciekać z Polski. Wyszło na jaw, że papier produkowany przez Wiktora Seniora służył nie tylko władzom PRL, lecz także opozycji. W ciągu jednej nocy zapadła decyzja, że schronią się w Hiszpanii. Dom oddali pod opiekę sąsiadów i pospiesznie wyjechali do Madrytu. Mieli tam przyjaciół, dyplomatów. Dostali azyl polityczny. Babcia Wiktora, Mirosława, zajęła się pisaniem, była też dziennikarką, a dziadek zatrudnił się w drukarni i wydawnictwie zarazem. Drukował między innymi to, co pisała Mirka. Wrócili do kraju w 1989 roku, tuż po upadku komunizmu. Matka Wiktora dokończyła w Hiszpanii studia przerwane na ASP, a niedługo potem wyszła za mąż za syna przyjaciół. Została w Madrycie. Owocem miłości Marty i Remigio jest mój Wiktor Ramiro Navarro-Orta. O jego drugim imieniu dowiedziałem się dopiero niedawno. Ale imiona to małe piwo, Navarro-Orta to nazwisko torpeda. I pomyśleć, że mógłbym je nosić. Gdyby tylko w Polsce uchwalono w końcu ustawę o związkach partnerskich. Nie wahałbym się ani chwili, by je przyjąć, ale ustawy nie ma i pewnie długo nie będzie, więc mogę się tak nazywać jedynie w śmiałych fantazjach. W świetle prawa jesteśmy dla siebie dwoma zupełnie obcymi facetami.

Wiktor jest jedynakiem, rodzice nie mieli czasu na kolejne dzieci. Matka została popularną rzeźbiarką,

a ojciec urzędnikiem hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jego kariera rozwijała się podręcznikowo. Zmarł jako wiceminister, kiedy Wiktor był u progu pełnoletności. To wtedy zaczęły się jego problemy z narkotykami i matka wysłała go do Polski. Sama wpadała tu od czasu do czasu, kilka razy w roku. Głównie latem i na Boże Narodzenie. Pod jej nieobecność domem w Konstancinie zajmowała się gosposia. Może to dlatego nigdy tam nie byłem, a Wiktor nie wspominał o tym miejscu ani słowem.

Wokół domu rosły drzewa. Brzozy, lipy i kilka świerków. Babcia Wiktora twierdziła, że ból głowy leczy przyłożenie jej na kilka chwil do brzozy, a picie herbatki z lipy koi nerwy. Sam dom okazał się jednopiętrowy. Masywny, majestatyczny, pamiętający historię. Duży ganek, na którym bez problemu można postawić stół z krzesłami i urządzić rodzinny obiad. Potężne drewniane drzwi i wielkie okna w pięknych ramach. Ich rozmiary zdradzały, że pomieszczenia wewnątrz są wysokie i jasne. Jak w pałacu. Przemierzaliśmy kamienny chodnik, wzdłuż którego rozkwitały pierwsze wiosenne kwiaty. Moja teściowa ma dobry gust, jest prawdziwą artystką. Wokół domu nie było przypadkowych barw czy przedmiotów, nawet huśtawkę przed wejściem pomalowano tak, by pasowała do ceglatego koloru domu. Kątem oka zauważyłem, że dachówka jest ciemnoburaczkowa. Jak w bajce. Im bliżej wejścia, tym wyraźniej czułem zapach przyrządzanego

jedzenia. Najwyraźniej matka Wiktora zamierzała zastosować wobec mnie zasadę „przez żołądek do serca”. Ja postanowiłem kupić ją kwiatami.

Do tego pierwszego wspólnego obiadu szykowałem się od tygodnia. Wypytywałem Wiktora, co sprawi jej przyjemność i co zrobić, żeby z miejsca mnie polubiła. Stwierdził, że ogromny bukiet czerwonych goździków załatwi wszystko.

– Wiktor, kwiaty! – krzyknąłem, zanim zdążył chwycić za klamkę.

– Co kwiaty? – Spojrzał na mnie wystraszony.

– Zapomnieliśmy ich zabrać!

– Czekał, skoczę do jakiejś kwiaciarni... – powiedział i jednym susem zeskoczył z kilku schodów prowadzących do drzwi.

Pobiegł w kierunku furtki.

– Wiktor! Poczekaj!

– To ty poczekaj, zaraz będę – krzyknął z oddali.

No to czekam, pomyślałem. Oparłem się o filar i nabrałem w płuca kwietniowego powietrza. Nie było już zimne, ale jeszcze nie ciepłe. Po prostu kwietniowe, wiosenne, rześkie. Trwała kolejna moja wspólna wiosna z Wiktorem. Poprzednia, rok temu, zakończyła się wybuchem, który zmiotł z powierzchni ziemi wszystko, co udało nam się zbudować. Sprawiała, że o mały włos nie straciłem nie tylko jego, lecz także zdrowia. Krakowskie wakacje na zawsze będą wypalone w mojej głowie czerwonym żelazem. Wiktor z tego żartuje

i twierdzi, że jestem w czepku urodzony, ale mi nie jest do śmiechu. Kto wie, może kiedyś będę umiał wyśmiać Mariusza, jego chorobę i nadpobudliwych kolegów w koloratkach, ale dziś jeszcze na to za wcześnie. Upłynęło zaledwie pół roku od tamtych wydarzeń. Za każdym razem, gdy Wiktor mnie dotyka, odzywa się we mnie lęk. Chociaż zrobiłem już dwa testy na HIV i nie ma możliwości, żebym był nosicielem, nadal się boję. Podświadomie. O sobie i mężczyźnie, którego kocham. Czasem łapię się na głupiej myśli, że przecież w laboratorium mogli się pomylić, jakiś nieuważny pracownik mógł zamienić próbówki i jednak mogę mieć HIV. Wirus był moją cichą, irracjonalną obsesją.

Gdy kolejny raz próbowałem zwalczyć te demony, wrócił Wiktor z bukietem czerwonych goździków w dłoni.

– Co ty byś beze mnie zrobił? – zażartował i przekazał mi kwiaty.

– Skąd je masz?

– Wiedziałem, że zapomnisz. Zniosłem je do samochodu, gdy byłeś w łazience.

– Jakiś ty przewidujący, mądry i jaki przystojny. Tyle szczęścia w jednym! – zakpiłem delikatnie.

– Dobra, dobra. Nie zapędzaj się. I tak ci nie wierzę.

Dał znak, że powinniśmy w końcu wejść do środka.

– Chyba mam napad paniki. Nogi nie chcą iść – oznajmiłem z nietęgą miną.

To sformułowanie narodziło się w październiku

u stóp Akropolu, gdy poleciliśmy do Grecji na wspólne, nieco spóźnione, wakacje. Po całym dniu zwiedzania Wiktor wpadł na pomysł, by zobaczyć Akropol w świetle księżyca. Zgodziłem się pod warunkiem, że mnie tam zanieś, bo inaczej padnę po kilku krokach. Oczywiście żartowałem, ale on, niewiele myśląc, wziął mnie na barana i bez słowa doniósł do celu. Zszedłem sam, ale od tamtej pory na dźwięk słów „nogi nie chcą iść” zawsze oferował mi pomoc. Nigdy więcej nie skorzystałem, ale dziś nie pytał mnie o zdanie. Zrobił dokładnie to, co w Grecji. Z tą różnicą, że teraz miał do przejścia zaledwie kilka kroków. Porzuciłem bukiet goździków i krzyknąłem:

– Wiśta wio!

– Przeszkadzam? – zapytała matka Wiktora, która nie wiadomo skąd pojawiła się obok nas.

Zeskoczyłem na ziemię, chwyciłem goździki i zastanawiałem się, co też pomyślała sobie o mnie ta obca jeszcze kobieta.

– Czasem jest jeszcze narowisty, ale systematycznie go układam – oznajmiłem żartobliwie.

– Dobrze tresuje! – dodał Wiktor.

– A kwiaty są dla pani, dzień dobry tak w ogóle. Bardzo mi miło tu gościć.

Wyciągnąłem w jej kierunku nieco zwichrowany, ale nadal imponujący bukiet.

– Obiad na stole. Stygnie. Chociaż pewnie lepszy byłby owies. – Nijak nie odniosła się do mojego

wyvodu i ruszyła przed siebie, puszczając drzwi.

Wiktor złapał je w ostatniej chwili, inaczej zamknęłyby się nam przed nosem. A ja stałem z przyklejonym do twarzy uśmiechem i kwiatami wyciągniętymi w kierunku nieobecnej już gospodyni. Otrząsnąłem się dopiero po chwili.

– Co się stało? Coś źle powiedziałem? Chodzi o to, że kwiaty leżały na ziemi, czy o to, że widziała, jak się całujemy? – szukałem powodu swojej ewidentnej porażki.

– Nic się nie stało, może coś jej się pali w kuchni. Wbijamy.

Ogromny salon był jednocześnie jadalnią. Na ścianach wisiały, prawdopodobnie kosztowne, obrazy i dziesiątki zdjęć. Różnej wielkości, z różnych czasów, niektóre poźółkłe ze starości. Nie sposób było się nimi nie zainteresować. Na części z nich rozpoznałem rodziców Wiktora, na innych dziadków. Jednych i drugich znałem tylko z opowieści. Większość fotografii zrobiono w tym domu, wiele w pokoju, w którym właśnie się znajdowałem. Zatopiłem się w myślach i nawet nie zauważyłem, że goździki stoją już w glinianym wazonie. Wiktor podszedł, objął mnie i oparł brodę na moim ramieniu.

– Lachonek, prawda?

– Co? – zapytałem zaskoczony.

– Moja matka.

Wskazał palcem na jedną z fotografii.

- Lachonek? O własnej matce tak mówisz?
- Przecież to nic złego. Mówię tylko, że była fajną laseczką.
- Teraz też jej niczego nie brakuje. Jest ciut bardziej nobliwa, ale nadal apetyczna.
- O mojej matce? Apetyczna?! Nobliwa? Dobrze, że tego nie słyszy!
- Spójrz na tę czapkę! – Wskazałem na dziadka Wiktora. Stał przy jakiejś maszynie drukarskiej, a na głowie miał pilotkę. – Wygląda jak szalony naukowiec, który tylko udaje drukarza, a naprawdę przeprowadza tajne eksperymenty na zapleczu!
- Ta czapka jest chyba jeszcze gdzieś na strychu. Możemy poszukać.
- Kiedy indziej – wstrzymałem go. – Przecież będę tu bywał częściej. Popatrz na te buty! Na korku. Chyba tak się to nazywa?
- Dobrze, że się nie połamala, gdy na tym chodziła. Przecież to jest z dziesięć centymetrów nad ziemią. Kobiety uwielbiają utrudniać sobie życie – skwitował Wiktor.
- Marta pozowała na tle syreny. Choć zdjęcie było czarno-białe, pomyślałem, że samochód musi być żółty. Wszystkie syreny, jakie w życiu widziałem, były żółte. Sesję robiono chyba gdzieś nad Wisłą. A matka Wiktora wyglądała naprawdę imponująco. Biała koszula, rozpięte górne guziki, spory dekol. Czarne obcisłe spodnie i bardzo długie nogi. Stylizacja ewidentnie na

Karin Stanek, tylko modelka była dużo piękniejsza od piosenkarki.

– Nie połamała się, synu, nie połamała. A za takie buty dziewczyny sprzedałyby wtedy duszę diabłu – dobiegł nas głos Marty.

Po chwili wyłoniła się postać. Zimna, trochę posągowa twarz głęboko poryta zmarszczkami, ale to tylko dodawało jej szyku. Ma sześćdziesiąt jeden lat, a wygląda dużo lepiej niż moja matka, dziesięć lat od niej młodsza, pomyślałem. To pewnie dlatego, że nigdy nie paliła. Miała ufarbowane na czarno włosy, starannie zebrane do tyłu i zwinięte w coś w stylu opadającego na szyję koka. Oczy umalowane na szaro, obrysowane czarną kredką. Ciemnoczerwona szminka. Nie byłem pewien, czy podoba mi się ten mroczny klimat. Dopełniały go szara długa suknia z niedużym rozcięciem na boku i narzucona na ramiona stalowa chusta. Gdyby ktoś pokazał mi jej zdjęcie i kazał powiedzieć, jaki zawód uprawia, bez wahania wskazałbym na artystkę. A na pytanie, jaką jest kobietą, odpowiedziałbym, że to osoba dominująca, nieznosząca sprzeciwu, do której musi należeć ostatnie słowo. Nie wiem, czy jest ktoś, kto świadomie zdecydowałby się mieć w niej wroga. Wyglądała na kogoś, kto nieprzyjaciół zjada na śniadanie, a kostki oddaje zwierzętom. Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak się z nią zaprzyjaźnić.

– Wygląda pani na tych zdjęciach przepięknie. – To

zdanie wydało mi się odpowiednie na początek wkupywania się w łaski teściowej. I było prawdziwe.

– Nie tylko na zdjęciach – dopowiedział Wiktor.

Po czym podszedł do niej i pocałował w policzek. Był co najmniej o głowę wyższy, wziął z jej rąk tacę, na której obok sztućców stał duży gliniany garnek. Po salonie rozszedł się zapach ryżu i warzyw. O tym daniu krążyły legendy, a Marta podobno była mistrzynią w jego przyrządzaniu. Zasiadliśmy do stołu, a Wiktor wcielił się w rolę gospodarza. Nałożył najpierw matce, potem mnie. I gdy napełniał swój talerz, zdrętwiałem. Na mieszance podsmażonego ryżu, pomidorów, groszku, fasoli i papryki leżały dwie olbrzymie różowe krewetki. Przełknąłem ślinę i zamknąłem oczy. Były martwe, ale wyglądały jak żywe. Patrzyłem i czekałem, aż zaczną się ruszać i uciekać z talerza. Wcale bym im tego nie bronił. Wręcz przeciwnie. Chętnie zaniósłbym je do najbliższego zbiornika wodnego. Wszystko, oby tylko nie musieć ich jeść.

– Będę rzygał – obwieściłem Wiktorowi szeptem, gdy Marta zniknęła między kuchennymi szafkami w poszukiwaniu soli.

– Niedobrze ci?

– Tak! Nie przełknę tych krewetek. One na mnie patrzą, mam przeczucie, że gdy zechcą je zjeść, zaczną do mnie mówić.

– To daj mi je, co za problem? Ja zjem. – Zaczął przekładać skorupiaki na swój talerz. – Trzeba było

powiedzieć, że nie lubisz owoców morza. Mama przygotowałyby coś innego.

– Nikt mnie nie zapytał, czy je lubię...

– Spoko, ja zjem. Tylko paella zrobiła ci się jakaś taka uboga.

– To nic. Najważniejsze, że je zabrałeś. A na wszelki wypadek nie będę dopytywał o pochodzenie pozostałych kawałków mięsa.

Ciśnienie nieco opadło. Zacząłem jeść, nawet nie poczułem, że brakuje soli. Krewetki zestresowały mnie do tego stopnia, że całkowicie wyłączyły mi się kubki smakowe. Patrzyłem, jak Wiktor beznamiętnie pożera te bezbronne żyjątka, gdy nagle – między kolejnymi kęsami – odezwała się Marta, która chwilę temu wróciła do stołu:

– A rodzice? *Que hacen ellos?* To znaczy... czym się zajmują? Pracują w mediach? – rozpoczęła przesłuchanie.

– Nie. Rodzice mieszkają na Lubelszczyźnie.

– Biznes czy polityka? – Wbiła we mnie spojrzenie.

– Wolałbym zająć się rozmowami z ludźmi. Może talk show.

– *No me escuche!* (On mnie nie słucha) – zwróciła się do Wiktora. – Pytałam o rodziców – sprecyzowała.

– Raczej usługi i handel.

– A czym handlują? – zapytała i przeniosła wzrok na syna.

Zupełnie jakby właśnie kopnął ją pod stołem.

– Mięsem – odparłem.

– Rzeźnicy? Bardzo dobrze.

Znów patrzyła na mnie, a w jej głosie pobrzmiwała satysfakcja przemieszana z ulgą.

– Raczej nie – powiedziałem cicho.

– Bardzo dobrze. Ludzie zawsze będą jeść mięso! – kontynuowała, jakby nie dosłyszała mojej ostatniej odpowiedzi. – A dziadkowie też byli rzeźnikami?

– Nie byli. Rodzice też nie są – wyprowadziłem ją z błędu.

– Nie rozumiem...

– Moja mama jest ekspedientką w sklepie z mięsem. A ojciec pracuje na poczcie.

Na jej twarzy pojawił się grymas. Wyglądała tak, jakby nagle coś zaczęło śmierdzieć. Zastygła z wybałuszonymi, wbitymi we mnie oczami i sztućcami w dłoniach. Trwała bez ruchu kilka chwil.

– *Ahora comprendo* (Teraz rozumiem) – skomentowała i chyba zrezygnowała z dalszych pytań.

Znów przeniosła wzrok na syna.

– Jedzmy, jedzmy. Bo stygnie, a my rozmawiamy. Pogadamy potem – odezwał się wreszcie Wiktor.

– W naszej rodzinie ludzie zawsze byli głodni nowych smaków – oznajmiła.

– Nawet bardzo głodni. Czasem aż za bardzo – odpowiedział tajemniczo.

– To znaczy? – dopytałem.

– Kiedyś w Tajlandii mama delektowała się grillowanymi żmijami.

– *Estaban espectaculares!* (Były fantastyczne) – rozmarzyła się.

– Tak samo jak psina w Chinach... – dodał.

– Jadłeś psa? – zapytałem zszokowany.

– Ja nie, ale niektórzy siedzący przy tym stole tak. I byli zachwyceni delikatnością psiego mięsa.

Było jasne, że mówi o matce.

– To były wspaniałe wakacje. Zjeździliśmy już prawie cały świat. Afryka, Azja, Chiny. Lubimy podróże. Bardzo kształcą. A ty masz swoje ulubione miejsce na świecie? – Marta znów zwróciła się do mnie.

– Tak, to okolice mojego rodzinnego miasta. Przyroda, zwierzęta, spokój. A za granicą byłem tylko w Grecji, z Wiktorem – odpowiedziałem.

– Rozumiem – powtórzyła identycznym, pełnym znużenia tonem. – A skoro już wywołałeś temat nietypowych smaków – z nową energią zwróciła się do syna – to przypomnę, że *a ti te encantaba* (byłeś zachwycony) smakiem byczego penisa – mówiąc to, oderwała główkę ugotowanej krewetki i zjadła korpus.

Odstawiłem kieliszek z rioją. Do gardła podeszło mi wszystko, co zdążyłem zjeść. Czułem, że za sekundę zwrócę to na talerz. Przed oczami latały mi bycze penisy, grillowane jaszczurki, psie mięso, larwy pszczoł i pędraki – wszystkie te specjały kuchni świata

zachwalała w czasie obiadu Marta. Postanowiłem, że nie mogę dłużej czekać, że nadszedł moment, gdy muszę przeprosić i udać się do toalety.

– Bardzo dziękuję za pyszny obiad. – Starłem się być miły. – Wszystko było wyśmienite – dodałem z przyklejonym do ust uśmiechem. – Wiktor, pokażesz mi, gdzie jest toaleta?

– Jasne.

– Woda w kranie i w bidecie jest na fotokomórkę. – Marta uśmiechnęła się dobrotliwie. – Wystarczy odsunąć się od muszli lub podstawić ręce pod kran i sama popłynie.

– Mamo! – zareagował wreszcie Wiktor.

– Przecież ja tylko chciałam pomóc, doradzić – udała, że nie wie, o co mu chodzi.

– Spokojnie. Wiem, że do bidetu tylko się sika – odszczeknąłem się, odsuwając krzesło.

Mój żołądek jakby się uspokoił. Poczułem, że chyba wracają mi kolory. Oddychałem głęboko, już za chwilę będę w toalecie, napiję się zimnej wody i postaram się przepędzić z głowy wszystkie przyprawiające mnie o mdłości wiktuały.

– Następnym razem zaserwuję wam mięsko szczura. Takiego świeżo złapanego. W Wietnamie kosztuje dolara za kilogram – rzuciła od niechcienia.

– Mamo, proszę cię! – krzyknął Wiktor.

– Przecież to ludzkie sprawy. Trzeba oswajać gości z nowymi tematami, poszerzać horyzonty. *La segunda*

oportunidad (Druga okazja) może się nie zdarzyć – mówiła niemal czule.

Nie zdążyliśmy odejść od stołu, gdy poczułem, że dla mnie to zbyt dużo wrażeń jak na jeden raz. Zabrakło chwili. Pół minuty uratowałyby sytuację i moje dobre imię, ale ciało nie chciało czekać ani sekundy dłużej. Żołądek się zacisnął, łzy zebrały w oczach, a fala rozpoczęła bieg ku górze. Odruchowo zasłoniłem usta ręką, ale na nic się to zdało. Popisowe danie Marty znów było w garnku. A część także w jego okolicach. Chciałem się zapaść pod ziemię. Spojrzałem najpierw na swoje brudne ręce, potem na śnieżnobiały – jeszcze niedawno – obrus, na skrzywioną i oburzoną minę gospodyni i na Wiktora, który zaczął się śmiać. Najpierw nieśmiało lekko rozchylił usta, ale kilka sekund później śmiał się już zupełnie głośno, prawie do łez.

– *No te rias!* (Nie śmieć się!) Pomóż mi! – krzyczała Marta. – Zrób coś!

Stałem zgięty wpół, matka Wiktora darła się jak opętana, machając rękoma, a on już się nie śmiał. Klęczał na podłodze i nie mógł złapać tchu. Chciałem stamtąd jak najszybciej wyjść. Wizyta, która miała wprowadzić mnie do rodziny mojego faceta, przypuszczalnie na zawsze zatrzasnęła mi drzwi do domu jego matki. Złapałem pierwszą z brzegu serwetkę. Wytarłem usta, ręce. Kolejną zacząłem czyścić obrus

i garnek. Nie bacząc na to, że rozmazuję wymiociny po stole, zbierałem je ze ścianek naczyń i wrzucałem do środka, raz po raz przepraszając.

– Proszę to zostawić! Proszę to zostawić! – krzyczała Marta.

– Przepraszam, to był wypadek. Przecież nie zrobiłem tego specjalnie. Te rozmowy o byczych penisach... – usiłowałem się tłumaczyć.

– Ten dom stoi tyle lat i doprawdy czegoś takiego jeszcze nie widział. Ale przetrwamy i to. – Nagle się uspokoiła.

– Ale ja naprawdę...

– Bywali tu różni ludzie, ale, jak widać, mieli bardziej wyrobione żołądki.

– To może ja już pójdę. Do widzenia – chciałem się pożegnać.

– Żegnam – odpowiedziała tonem Beaty Tyszkiewicz.

– Mamo, daj spokój – wtrącił się Wiktor. – Niech to będzie kolejna rodzinna anegdota – przekonywał.

– Myślę, że *no importa a nadje*... Jak to się mówi? Nikomu nie zależy, by zapamiętać tę sytuację, i zrobię wszystko, żeby coś takiego – spojrzała w sufit – nigdy się nie powtórzyło.

Wiktor przestał rechotać, choć spojrzenie miał wyraźnie rozbawione. Mnie również ta sytuacja zaczęła śmieszyć, ale się opanowałem. To nie jest dobry czas, by dolewać oliwy do ognia. Marta wyglądała, jakby za chwilę miała eksplodować. Wizyta musiała dobiec

końca. Wiktor zaprowadził mnie do toalety. Obmyłem twarz i ręce. Okazało się, że ślady zwróconego jedzenia mam też na ubraniu. Patrzył na mnie z rozbawieniem. W końcu i ja nie wytrzymałem i obaj wybuchliśmy tłumionym śmiechem. Z salonu dobiegały jeszcze pojedyncze jęki ciągle siedzącej przy stole Marty, która nie odpowiedziała na nasze pożegnanie. Im dalej byliśmy od tego domu, tym głośniej i swobodniej się śmialiśmy.

Niedługo po powrocie z Krakowa wyprowadziłem się z Bielan i przeniósłem do Wiktora. Robert, mój kolega z technikum i współlokator w Warszawie, też porzucił mieszkanie u pani Zosi i zamieszkał z Darią w kawalerce na Belwederskiej. Bardzo blisko nas. Moja mama od ponad pół roku żyła w nieświadomości. Wiedziała, że zmieniłem lokum, ale nie miała pojęcia na jakie. Powiedziałem, że Robert chce być na co dzień z Darią, a w związku z tym ja też się przeprowadzam i będę mieszkał z kolegą. Oczywiście nie dodałem, że zamierzam sypiać z nim w jednym łóżku. Przez cały poprzedni rok mama nie pałała chęcią odwiedzenia mnie, więc nie przypuszczałem, żeby nagle zapragnęła u mnie bywać. Poprosiła tylko o adres, tak dla bezpieczeństwa. A poza tym wszystko było jak dawniej. Rozmawialiśmy raz w tygodniu o mało ważnych sprawach, na początku każdego miesiąca wysyłała mi na konto kilkaset złotych. Połowę dawałem Wiktorowi,

choć uważał – i stale mi o tym mówił – że dopóki nie skończę studiów i nie zacznę zarabiać, dopóty on będzie utrzymywał nasz dom. Nasz dom – słowa jak z bajki. Chyba pierwszy raz w życiu miałem swoje miejsce na ziemi, pierwszy raz czułem tę domową atmosferę. Gotowałem dla swojego faceta, prałem, robiłem zakupy na pobliskim bazarku. I rozkoszowałem się rutyną codzienności. Leniwymi porankami w weekendy i sprzeczkami o bzdety. Jak dobrze, że po tych wszystkich wakacyjnych przebojach potrafiliśmy się na nowo odnaleźć i znów złożyć wszystko w jedną całość.

– Myślisz, że jestem u niej spalony? – wróciłem do sytuacji w Konstancinie.

– U kogo? – zapytał.

– U twojej mamy. A u kogo innego? Była taka szorstka.

– Przestań. Była w lekkim szoku. Pierwszy raz ktoś puścił pawia na stół. – Znów się roześmiał. – Śpijmy już.

– W nerwach ludzie mówią to, co naprawdę myślą. Sądzę, że twoja mama mnie nie polubiła.

– Jak mogła cię nie polubić? Znasz kogoś, kto cię nie lubi? Ja na przykład cię kocham.

– Wiktor, ja się jej zrzygałem na stół...

– I co takiego się stało? Myślisz, że ona nigdy nie zwymiotowała?

– Ale nie w takich okolicznościach! Twoja mama to wyższe sfery...

– A wyższe sfery nie rzygają? Kiedyś ci opowiem, co

robią wyższe sfery, ale nie dziś. Śpijmy już. Musimy rano wstać, a dochodzi pierwsza.

Zasnął szybko, a ja nie mogłem odegnać sprzed oczu widoku sparaliżowanej złością Marty. Tuż przed drugą stwierdziłem, że nie dam rady spać. Wstałem po cichu, zaparzyłem melisę i usiadłem na kanapie w salonie. W końcu sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do Niny. Odebrała natychmiast i nie brzmiała, jakbym ją wyrwał ze snu.

2. Blond ambition

Znaliśmy się zaledwie półtora roku, ale ten czas zupełnie wystarczył, by zaliczyć Ninę do grona moich najlepszych przyjaciół. Studiowaliśmy razem, ale to akurat było najmniej istotne. My razem żyliśmy. Ta dziewczyna towarzyszyła większości moich warszawskich przygód. I nic nie wskazywało, by miało się to w najbliższej przyszłości zmienić. Z nas dwojga to ona szła przez życie jak burza. Nie dalej jak tydzień temu na stronie głównej Onetu wisiał jej tekst o sponsoringu wśród studentów. Komentarzy pod nim było tyle, że nie nadążałem z czytaniem. Co lepsze drukowaliśmy na pamiętkę. Cały czas pisała do „Gazety Studenckiej”, a pojedyncze teksty sprzedawała też do lokalnej prasy. Pisanie przychodziło jej wyjątkowo łatwo, a jednocześnie robiła to bardzo dobrze. Jako pierwsza na roku mogła się pochwalić przelewem z dużej, poważnej gazety. Wyznaczyła nowy trend. Po jej sukcesach wszyscy zaczęli się rozglądać za stażami, praktykami czy innymi formami zaczepienia się w zawodzie.

Jednak tym razem nie brzmiała jak liderka roku. Miałem wrażenie, że mówi z pustego ogromnego

pomieszczenia. Echo niosło się bez końca. Okazało się, że jest w toalecie. Ze szczegółami opowiedziałem, co zaszło u Marty. Wiedziałem, że Nina mnie nie zawiedzie, bez problemu wczuła się w moje położenie. Całą sprawę skwitowała krótko:

– Sama jest sobie winna. Kto normalny opowiada podczas obiadu o jedzeniu byczych penisów? Jak dzidy pragnę!

– No właśnie? – zapytałem retorycznie.

– Nie martw się. Nie tylko ty masz problem z teściową. Prawie każdy ma! – powiedziała, po czym porządnie jęknęła.

– Co ci jest?

– Nic, nic. Łyknęłam senes. I chyba przedawkowałam.

– Co łyknęłaś?

– Senes. Takie zioła w tabletkach. Wcześniej piłam herbatkę przeczyszczającą, ale nie pomagała. Więc sięgnęłam po tabletki.

– Ale po co?

– Żeby szybciej schudnąć.

– Co zrobić? – zapytałem z niedowierzaniem.

– No, schudnąć. Senes sprawia, że częściej chodzi się do kibelka.

– Jeden rzyga do garnka, druga sra nad ranem. Degeneraci...

– Już drugą godzinę siedzę... – odpowiedziała.

– Drugą godzinę na kiblu?

– Tak. Najpierw biegałam, a teraz odpoczywam –

próbowała zażartować.

– To ile ty tego łyknęłaś?

– Nie wiem, chyba z siedem tabletek – wyznała.

– A to jest bezpieczne?

– Na pewno skuteczne. Schudłam już trzy kilogramy

– powiedziała wyraźnie zadowolona.

– W ciągu jakiego czasu?

– W dziesięć dni.

– Nina, wydaje mi się, że to nie jest normalne – ostrzegłem.

– Dobra, jakoś wytrzymam. Zwłaszcza że Karol już zauważył, że schudłam – podkreśliła.

– Szkoda, że nie zauważył, że od dwóch godzin siedzisz na kiblu.

– Nie ma go tu.

– Właśnie, jak trzeba, to nigdy go nie ma.

Karol to nowy chłopak Niny. Poznali się tuż po rozpoczęciu roku akademickiego. Oboje trafili na krótki staż do studenckiego radia. W jej przypadku to nic dziwnego. Z takim głosem rozgłośnie powinny się o nią bić. Natomiast co tam robił Karol, nie mam pojęcia. Skrzypi jak stara szafa. Poza tym studiuje prawo i naprawdę nie wiem, co połączyło go z Niną i z dziennikarstwem. Być może wzięli go ze względu na radiową urodę. To taki misiek z rumianymi policzkami i lekko przydługimi kręconymi włosami. Mieszka z rodzicami, zawsze ma uprane, uprasowane i posprzątane. Mamusia nie wypuszcza go na zajęcia bez

śniadania i nie pozwala kłaść się spać bez kolacji. Dba też o wizerunek syna. Stawia na oszczędność i ponadczasową klasykę, dlatego Karol chadza w marynarce po starszym bracie i swetrach ojca. Mimo to Nina się zakochała, a ja obiecałem nie komentować i grzecznie się uśmiechać. Co robię od sylwestra. Bo to właśnie w sylwestra postanowili, że będą razem.

– A czemu ty łykasz ten senses?

– Senes, nie senses! Tylko on może mnie uratować!

Znów jęknęła, a ja usłyszałem plusk wody w sedesie.

– Przed czym? – Poczujęm niepokój.

– Przed tym, żeby Karol mnie nie zostawił.

– On chce cię zostawić?! – spytałem zdziwiony, bo widziałem ich kilka dni temu i nic nie wskazywało, żeby mieli się rozstać.

– Oficjalnie nie chce. Ale widzę, za jakimi laskami ogląda się na ulicy.

– Za jakimi?

– Ano za takimi, co noszą rozmiar 34, maksymalnie 36.

– Przecież już ustaliliśmy, że naszym szkapom mówimy stanowcze „nie” – przypomniałem.

– My może i tak, ale Karol jest innego zdania.

– On ci się każe odchudzać?! – Zdębiałem.

– Nie wprost... – odpowiedziała wymijająco.

– Czyli? – Nic z tego nie rozumiałem.

– Czyli widzę, jak mu głowa chodzi za wychudzonymi blondynami z dużymi cyckami.

– Cycki też masz złe?

– No, małe.

– Tobie się coś w głowę stało przez weekend? Gadasz straszne głupoty. Przecież oboje wiemy, że te laski mają po dwadzieścia lat, ale od piętnastu nic nie jadły. A te blond główki mają mocno zryte.

– Zryte, nie zryte, ale mu się podobają.

– A on widział siebie w lustrze? Marzy o miss mokrego podkoszulka, a sam ma dziesięć kilo za dużo. Minimum dziesięć! Wiesz co, Nina, idę spać. W sypialni chrapie boskie ciało, które nie twierdzi, że jestem za gruby. – Ta rozmowa zaczęła mnie irytować.

– Wy i ta wasza pedalska idylla. Można by powiedzieć, że do wyrzygania, ale to już dziś przerabiałeś. – Zrobiła pauzę. Wiedziałem, że się uśmiecha. – Idź, ja jeszcze chwilę posiedzę. Podejrzewam, że jutro będę nieprzytomna, więc mogę się spóźnić na zajęcia. Trzymaj mi miejsce. Dotrę na pewno.

Na pierwsze zajęcia jednak nie dotarła. Okienko między wykładami wykorzystałem na wizytę w sali internetowej. Poszukiwałem informacji o senesie. Owszem, jest skuteczny, brzuszek ewidentnie maleje. I to już po kilku dniach. Rzeczywiście przyspiesza pracę jelit, ale nie można go stosować zbyt często. Jedynie przy zatwardzeniach. Przedawkowanie sprawia, że jest dla jelit zabójczy. Na początku je rozleniwia, a potem

organizm dochodzi do wniosku, że nie musi robić tego, do czego jest przeznaczony, że senes strawi i wywali za niego. A po odstawieniu pojawiają się prawdziwe kłopoty. Nie można się wysrać przez kilkanaście dni. Organizm odzwyczaja się od naturalnego wypróżniania. Wtedy zwykle wraca się po środek przeczyszczający i kółko się zamyka. Następstwa mogą być tragiczne. Anoreksja, bulimia, a nawet śmierć. Oczywiście w skrajnych przypadkach.

Uzbrojony w nową wiedzę ruszyłem na kolejne zajęcia. Gdy zamknąłem za sobą drzwi sali, zobaczyłem Ninę. Rzeczywiście wyglądała na wymęczoną i było widać, że niewiele spała. Jednak to, co przede mną stanęło, nie było chyba wynikiem przedawkowania senesu. Nina miała na głowie coś, czego na pierwszy rzut oka nie potrafiłem określić. Zamiast jej długich, pięknych brązowych włosów zobaczyłem jasne siano, które dosłownie świeciło w morzu innych płynących korytarzem głów.

– Co ci się stało? To peruka? Jakiś performance? – zapytałem przerażony.

– To są włosy! – warknęła.

– Ale sztuczne? Plastikowe znaczy?

– Prawdziwe! Najprawdziwsze. Chcesz dotknąć? – Pochyliła się ku mnie.

– Ale... – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Nie ma żadnego ale! Wchodzimy do sali! – ucięła.

– Z tym? – wyjąkałem nieśmiało.

– A co? Mam głowę w szatni na dole zostawić?!

– Nie, kochanie, z tym nie wejdziemy. Darujemy sobie dziś mikroekonomię.

Zdjąłem z szyi moją ulubioną błękitną chustę, wciągnąłem Ninę w najbliższy kąt i błyskawicznie zawiązałem jej na głowie. Blond czupryna została schowana pod turbanem, a my w trybie natychmiastowym ewakuowaliśmy się z wydziału. To znaczy ja ewakuowałem Ninę. Prawie na siłę. Można powiedzieć, że holowałem ją do najbliższej kawiarni. Musiałem się wreszcie dowiedzieć, co zaszło i skąd ma ten kolor na głowie. Co chwila próbowała wyszarpnąć rękę i zerwać turban z głowy. Ale byłem stanowczy. Na kawę doprowadziłem ją bez uszczerbku na wizerunku.

– Ty tak przyjechałaś z Powiśla? – zapytałem.

– Co to znaczy „tak”?

– No z tym na wierzchu. – Znów wskazałem na włosy.

– A jak inaczej? Przyjechałam tak, jak mnie zobaczyłeś.

– Boże...

– I czego wzdychasz?

– Widziałaś się w lusterku? Wyglądasz, sorry, jak tania Tanja.

– Jak kto? – prawie krzyknęła.

– No jak... prosti.

– Zaraz strzelę focha! – ostrzegła.

– To znaczy co konkretnie zrobisz? – zainteresowałem się.

– Nie wiem, to będzie foch spontaniczny, nieplanowany – powiedziała z uśmiechem.

– Strzel wszystko, tylko nie zdejmuj chusty z głowy.

– A czemu mam nie zdejmować? Wstydzisz się mnie?

– Jednym ruchem ściągnęła z włosów turban i pokazała *urbi et orbi* swój nowy kolor włosów. – Tak będę siedziała!

– Ninka, kochanie, błagam cię... Zrób sobie turbanik i powiedz mi, skąd ci się to wzięło?

– Umalowałam sobie. Sama.

– Kiedy?

– Wczoraj. Albo nie, to już było dziś.

– Ale przecież rozmawialiśmy w nocy przez telefon. Nie mówiłaś mi, że zmieniłaś kolor włosów. – Czekałem na wyjaśnienia.

Do stolika podszedł kelner. Nawet nie usiłował ukryć, że patrzy na włosy Niny. Ten kolor przyciągał spojrzenia jak komórka jajowa plemniki. Nie wiedziałem, co mam zrobić, więc się głupkowato uśmiechnąłem. Nina natychmiast skarciła mnie wzrokiem i ułożyła usta w dzióbek. Poprosiliśmy o dwa cappuccino. Przeczesała swoją blond peruczkę i nawet nie zdążyliśmy wrócić do tematu, gdy przyniesiono nasze kawy. Tyle że już nie obsługiwał nas kelner, który odebrał zamówienie, lecz jakaś dziewczyna. O mały włos nie upuściła filiżanek, gdy stawiała je na stoliku. Nawet „proszę bardzo” nie powiedziała.

– Co za chamstwo! – rzuciła Nina na tyle głośno,

żeby kelnerka usłyszała.

– Nina, błagam cię... – powiedziałem cicho.

– No co?! Więcej tu nie przyjdę! To chyba moja sprawa, co mam na głowie. Co to ja jestem kobieta z brodą, żeby mnie oglądać? Może pojedę w trasę z jakimś cyrkiem i będą mnie pokazywać tu i tam?

– Przynajmniej parę groszy byś zarobiła – bąknąłem pod nosem.

– Proszę!?

– Nic, nic. Załóż ładnie turbanik na głowę i napij się kawy.

– Nie ma mowy!

– Nina! – podniosłem głos.

– Dobrze – nagle spuściła z tonu – ale żebyś wiedział, że robię to tylko dla ciebie. Żeby ci nie było głupio. Nie spodziewałam się tego po tobie. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, a ty mi taki numer... Zapamiętam.

– Zapisz sobie, bo zapomnisz – zażartowałem.

– Bardzo dobry pomysł. Jak tylko zamontuję to na głowie, to zapiszę.

Po chwili wyglądała już znacznie lepiej. Niebieski turban nie robił na ludziach żadnego wrażenia. Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że nowy kolor to efekt nocnego posiedzenia na sedesie. Nina wpadła na ten pomysł już kilka dni wcześniej. Farbę kupiła w zeszłym tygodniu, ale – jak powiedziała – wczoraj w nocy miała akurat wolną chwilę. Więc zrealizowała ten szatański plan. Sprzedawczyni w drogerii doradziła jej, że jeśli na

swoich ciemnobrązowych włosach chce mieć delikatny blond, musi użyć najjaśniejszej dostępnej farby. A ona, żeby efekt był jeszcze lepszy, przetrzymała mieszankę trochę dłużej, niż sugerowano w ulotce. Nie dość, że efekt jest, jaki jest, to jeszcze popaliła sobie włosy. W ostatecznym rozrachunku wyglądała jak tirówka. I chyba powoli zaczynało to do niej docierać. A to wszystko zrobiła dla Karolka, któremu tak bardzo podobają się blondyny. Chciałem jej wobec tego zaproponować, żeby kupiła sobie karnet na solarium i powiększyła cycki, bo jej facet lubi też duży biust, ale stwierdziłem, że nie będę kopał leżącej. Teraz trzeba się było skupić na pozbyciu się tego koloru z jej włosów. Ani ja, ani ona nie znaleźliśmy warszawskich fryzjerów. Ona właściwie się nie strzygła, a końcówki od dzieciństwa podcinała jej mama. Ja też całe życie miałem włosy za ucho, a do fryzjera wpadałem przy okazji wizyt w miasteczku. Poza tym warszawscy fryzjerzy są dla mnie zbyt drodzy. Siedemdziesiąt złotych za podcięcie grzywki to przesada. Aż strach pomyśleć, ile zaśpiewają za ściągnięcie koloru. Mogliśmy oczywiście iść do pierwszego lepszego salonu, ale po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że przyszedł czas, by wykorzystać kontakty Wiktora. Przecież on zna te wszystkie stylistki, artystki, makijażystki. Więc pewnie fryzjerki też. Nie bez znaczenia było, że Nina nie mogła czekać. Te włosy trzeba było odczarować dziś. Najlepiej na poczekaniu.

Sięgnąłem po telefon. Ekran był ciemny, wczoraj po rozmowie z Niną wyłączyłem na noc i do tej pory nie zdążyłem włączyć. Wpisałem PIN i się zaczęło. Trzydzieści nieodebranych połączeń, trzy SMS-y i dwa nagrania na poczcie głosowej. Stwierdziłem, że wszystko odbiorę po rozmowie z Wiktorem. Wybrałem numer, zgłosił się błyskawicznie.

– Nareszcie! Po co ci ta komórka, skoro ciągle masz wyłączoną? – dostałem burę.

– Kochanie, znasz jakiegoś fryzjera?

– Kogo? Po co ci fryzjer?

– Nie mnie... – zacząłem.

– Dobra, potem mi powiesz. Odsłuchałeś pocztę głosową?

– Nie jeszcze, a ten fryzjer...

– Wywalę ci ten telefon! – znów mi przerwał.

– Dasz mi dokończyć? Czy będzie afera o telefon? – niecierpliwiłem się.

– Twoja mama u nas była! – krzyknął.

3. Nalot

Przeszedł mnie dreszcz. Od dużego palca u nogi po ostatni milimetr stojącego na głowie włosa. Moja mama w Warszawie? Moja mama u nas w domu? Bez zapowiedzi? Wiktor się z nią nie widział. Był w pracy, ale zadzwonił do niego portier. Powiedział, że ktoś był na Borowieckiej i szukał jego mieszkania. Tym kimś była moja mama, która ni stąd, ni zowąd postanowiła mnie odwiedzić. Sama przyjechała, sama znalazła adres, który jej podałem, sama prawie zapukała do drzwi. Zapytała o mnie. Portier na szczęście powiedział jej, że nikt taki tam nie mieszka. To otwierało drogę do zatajenia prawdy. Może nawet uda jej się wmówić, że źle zapisała adres. Trzeba działać. Włosy Niny chwilowo zeszły na dalszy plan, wrócimy do nich, gdy moja mama będzie już w bezpiecznej odległości od Warszawy. Teraz muszę się dowiedzieć, skąd się tu wzięła. Rzeczywiście dzwoniła, gdy miałem wyłączoną komórkę. Postanowiłem oddzwonić i udawać głupiego.

– No cześć. Dzwoniłaś – powiedziałem, jak gdyby nigdy nic.

– Dzwoniłam, jestem w Warszawie. Chciałam cię odwiedzić, pojechałam pod twój adres, a tam mi

powiedzieli, że nie znają nikogo takiego. O co chodzi? – Była zaniepokojona.

– A co ty robisz w Warszawie? Czemu mnie nie uprzedziłaś? – dopytywałem.

– Próbowałam, ale miałeś wyłączoną komórkę.

– No tak, padła mi. A skąd ta nagła wizyta?

– Przyjechałam z ciotką Janką do szpitala. To znaczy do lekarza.

– A czemu ty?

– Wujkowi Józefowi cofnęli urlop i rano zadzwoniła, żeby z nią jechać. Wiesz, jaka ona jest strachliwa. Boi się i Warszawy, i lekarzy.

– A co ciotce dolega?

– Ma te swoje problemy z żyłami. Chyba ją zatrzymają w szpitalu.

– No tak, a ty na długo przyjechałaś?

– Myślałam, czy by do jutra nie zostać. Posiedzimy, pogadamy. – Poczułem strużkę potu płynącą po kręgosłupie. – Tylko gdzie ty jesteś? Gdzie ty mieszkasz?

– Jak to gdzie mieszkam? Na Powiślu – wypaliłem i spojrzałem błagalnie na Ninę.

Nie wiem, czemu to powiedziałem. Nic mądrzejszego nie przyszło mi w tamtym momencie do głowy. Przecież jeśli mama się dowie, że mieszkam z facetem i dzielę z nim sypialnię, wyląduje w szpitalu na łóżku tuż obok ciotki. Z trudem, ale udało mi się jej wmówić, że źle zapisała adres. Wymyślałem kolejne historie na bieżąco.

Improwizacja to zbyt małe słowo do opisanie tej sytuacji. Łgałem jak z nut. Sam siebie nie podejrzewałem o takie umiejętności. Wiedziałem natomiast jedno. To, co jest między mną a Wiktorem, nie może się wydać. Nie teraz. Nie dziś. Dlatego zobowiązałem się, że odbiorę ją ze Szpitala Bielańskiego i razem pojedziemy do mieszkania. Oczywiście na Powiśle. Nina w tym czasie miała inną misję.

– Spadamy stąd. Musisz mi pomóc. Mieszkam dziś u ciebie. To znaczy z tobą. Dziś, a może do jutra. To się okaże – rzuciłem i zacząłem pospiesznie zbierać kłamoty ze stolika.

– Dobra. Jaki jest plan? – Nina nie zadawała zbędnych pytań.

– Jedziesz do nas, na Bobrowiecką. Tu masz kod do domofonu. – Zapisałem na karteczce ciąg cyfr. – Zabierasz maszynkę do golenia z łazienki, jakieś kosmetyki, parę moich szmat i jedziesz do siebie. Rozkładasz to po domu. Żeby wyglądało tak, jakbym tam mieszkał. Rozumiesz?

– Rozumiem – przytaknęła.

– Do Agaty zadzwoń, że w razie czego śpi u mnie, a ja u was. Chociaż mam nadzieję, że jak moja mama zobaczy twój apartament, nie zdecyduje się na nocowanie.

Nina i jej przyjaciółka Agata mieszkały na niecałych

trzydziestu metrach. Trzy osoby wystarczyły, żeby zrobił się tłok. Całość zaprojektowano na kwadracie i bardziej przypominała pokój w hostelu niż coś, co można nazwać mieszkaniem. Nawet studenckim. Wnęka kuchenna tuż za drzwiami wejściowymi, w tak zwanym przedpokoju, z którego przechodziło się do łazienki z małym okienkiem. Dalej wejście do pokoiku. Dwa tapczany, dwie szafki nocne, dwa biurka, dwa krzesła i średniej wielkości szafa. Ciasno, ale bardzo klimatycznie. Lubiałem tam bywać. Nawet u nich sypiałem! Zsuwaliśmy tapczany, a na podłodze robiła się nieduża, ale wystarczająca przestrzeń idealna na rozłożenie karimaty. Kapitalne warunki na nocne przyjacielskie pogaduchy. A co ważniejsze, idealne, żeby wyperswadować mojej mamie nocleg. Przecież nie będzie spała z Niną. Ani tym bardziej na podłodze.

O ile Nina zabrała się do realizowania planu bez szemrania, o tyle Wiktor kręcił nosem. Że kombinujemy, że tworzymy nieistniejącą rzeczywistość, że stąpamy po kruchym lodzie. Przebąknął też coś o tym, żeby powiedzieć mojej mamie prawdę, ale według mnie to byłoby szaleństwo! A może nawet samobójstwo! Ani ja, ani ona nie jesteśmy gotowi na taką rozmowę, nikt z mojej rodziny nie może się dowiedzieć prawdy. Chociaż i tak wszyscy ją znają, ale dopóki niczego nie potwierdzą, dopóty żyją w przekonaniu, że tego nie ma, że wszystkie wyzwiska, wszystkie „pedryle, pedały i cioty” były niewinnym

ubliżaniem. Trudno mi sobie wyobrazić, co by było, gdybym stanął przed ojcem i bratem i do wszystkiego się przyznał. Zlinczowałiby mnie, a zaraz potem się mnie wyrzekli. O sobie się nie martwię, wyjechałbym, ale mama do końca życia słuchałaby, że urodziła pedała. To toksyczne towarzystwo nie dałoby jej żyć. Udawaliśmy tyle lat, poudajemy jeszcze chwilę.

Z takim postanowieniem wysiadłem z tramwaju przed szpitalem. Rozejrzałem się po okolicy, którą dobrze znam, tak wiele się tu wydarzyło. Zza drzew wyłaniał się mój dawny blok. Niecały rok temu – poprzedniej wiosny – rozgrywały się tam sceny, które dziś są tylko mrocznym wspomnieniem. Przegarnąłem włosy, poprawiłem chustkę, odpisałem Ninie na SMS. Była już na Bobrowieckiej i zbierała moje szpargały. Droga do domu powinna jej zająć jakieś pół godziny. Ja z mamą mieliśmy tam dotrzeć najwcześniej za godzinę. Wszystko powinno się udać. Mama czekała w holu szpitala. Wyglądała dziwnie. Jakiś kremowy pikowany płaszcz, zielony szalik, czerwona czapka. Lenin nosił podobną. I jej nieśmiertelne skórzane czarne kozaki. W kwietniu! Każdy z elementów tego stroju osobno wygląda całkiem nieźle, ale połączenia nie są mocną stroną mojej rodzicielki. Przed ważnymi wyjściami zawsze to ja ją ubierałem. Dziś zrobiła to sama i wyszło jak zwykle. Mimo to przywitałem ją szerokim uśmiechem.

– Mamo, jak ty wyglądasz? – powiedziałem na dzień

dobry. Przytuliłem ją i pocałowałem w policzek.

– No co? Chciałam żeby było... Jak ty to mówisz? Dynamicznie! – usprawiedliwiła się.

– Jest bardzo dynamicznie, wszystko z innej szafy. – Roześmiałem się. – Jak się tu dostałaś?

– Autobusem przyjechałam z ciotką.

– I zostawiłaś ją samą w sali?

– Nie samą. Już się z kimś zaprzyjaźniła. Tam panie są słuchaczkami Radia Maryja.

– A! To ciocia jest wśród swoich.

– Dokładnie. Ją jedną zniosę, ale cztery wyznawczynie księdza Rydzyka to już za dużo. Uciekłam. Jedziemy?

– Jedziemy, jedziemy. Masz bilet?

– Mam. Całodobowy! Kupiłam sama. Na stadionie, w kiosku. – Była z siebie wyraźnie dumna.

– Całodobowy? – zapytałem zaskoczony.

Jak widać, była zdeterminowana, by zostać do jutra.

– Tak, to się bardziej opłaca. Nie będę kupowała na każdą przesiadkę. A gdzie ty, synu, w końcu mieszkasz? Powiedz mi, bo się pogubiłam.

– No na Powiślu, mamó. – Nawet mi powieka nie drgnęła, gdy kłamałem.

– A ta Bobrowiecka? Z tym kolegą?

– Tam zatrzymałem się tylko na chwilę. Zanim znaleźliśmy mieszkanie z Niną.

– Ja tam byłam – powiedziała poważnym tonem.

– Gdzie? – udałem głupiego.

– Na Bobrowieckiej.

– I co?

– Tam chyba nie mieszkają studenci. A jeśli już, to nie tacy jak ty, synku.

– Mamuś, mieszkają. Naprawdę mieszkają.

– W tych luksusach? Z majordomusem? – dopytywała.

Naprawdę tam była. I wszystko widziała. Wziąłem ją pod rękę, zacząłem wyprowadzać z budynku, nie za szybko. Podpytałem o ciotkę, czy na pewno niczego jej nie trzeba i czy muszę ją odwiedzać. Pogadałem coś o pogodzie, pokazałem swój dawny blok. Wszystko było obliczone na zyskanie czasu, bym mógł wymyślić kolejną wiarygodną bajeczkę. Tliła się we mnie nadzieja, że mama zapomni o swoim pytaniu. Niestety nie zapomniała. Nie doceniłem jej dociekliwości. Wróciła do tematu natychmiast, gdy wsiedliśmy do tramwaju w kierunku centrum.

– Tam było tak jasno, tak ładnie, czysto. Wszystko na bogato – zachwycała się.

– Gdzie? W szpitalu? – udałem, że nie zrozumiałem, o czym mówi.

– Na Bobrowieckiej.

– Czysto? Bogato? – Parsknąłem udawanym śmiechem.

– I ten lokaj...

– Mamo, gdzie ty byłaś?

– No na Bobrowieckiej. – Sięgnęła do torebki

i wyciągnęła kartkę z adresem. – 7 mieszkania 18.

– Ile?

– 7 mieszkania 18. Bobrowiecka.

– Mamusiu, na Bobrowieckiej 18 mieszkania 7 stoi blok. Nie ma marmurów ani lokaja. Pomyliłaś adres.

– Ale taki mi dyktowałeś przecież.

– Nie, mamciu. Zresztą to i tak już nieistotne. Tam zatrzymałem się na jakieś dwa tygodnie. Teraz mieszkam z Niną na Powiślu. I właśnie tam jedziemy.

Pomyślałem, że chyba mi się udało. Uwierzyła. Ja na jej miejscu najprawdopodobniej zażądałbym, żeby mnie tam zawieźć, pokazać, oprowadzić, przedstawić sąsiadów i panią z warzywniaka. Ale zdaje się, że mama łyknęła wszystko. Na szczęście. Wsiadliśmy do tramwaju. Wybrałem taki, który jechał okrężną drogą. To da Ninie trochę więcej czasu. Miała dać znać, że wszystko jest gotowe i możemy rozpocząć przedstawienie. Wydawało mi się, że role zostały rozpisane. Zresztą wystąpią tylko trzy osoby. Irena, Nina i ja. Agata miała zakaz zbliżania się do Powiśla, a Wiktor ma dziś dużo pracy. Na pewno nie będzie przeszkadzał. Poza tym uważa tę mistyfikację za bzdurę i nie sądzę, żeby chciał brać w niej udział. Napisałem mu tylko SMS, że będę u Niny i wrócę, gdy tylko wyprawię mamę z powrotem do miasteczka.

Rozmowa z moją rodzicielką kleiła się nadzwyczaj dobrze. Była ciekawa miasta, pytała o poszczególne budynki. Nie wyczuwało się napięcia, które najczęściej

towarzyszyło nam w domu. Nie miałem pojęcia, że moja mama ma aż tyle do powiedzenia, że jest tak rozgadana. Szczególnie zaciekawiła ją budowa Arkadii, spytała, czy to jakieś muzeum. Oboje śmialiśmy się szczerze, gdy wyjaśniłem, że to centrum handlowe. Gdy mijaliśmy Halę Mirowską, zapytała, co jest na płaskorzeźbie u góry budynku. W życiu nie widziałem tam żadnej płaskorzeźby, nigdy nie zadzierałem głowy tak wysoko podczas jazdy tramwajem. Jakaś kobieta powiedziała nam, że tam jest Syrenka. Pachniało wiosną, mimo że byliśmy w centrum ruchliwego miasta. Dostrzegłem, że mama jest rozluźniona. Nie rozmawialiśmy o sytuacji w domu. To jeden z tematów tabu. Co jakiś czas, głównie od koleżanek, dowiadywałem się tylko, że mój brat hoduje na parapecie marihuanę i pali ją z kumplami w piwnicy. W dalszym ciągu nie chodził do szkoły. Matka się nie wtrącała. Zapewne dla świętego spokoju. Jak zwykle. U ojca stwierdzono cukrzycę, o której opowiadał wszystkim jak o wyroku śmierci. Odliczał ostatnie dni życia, wybierał garnitur i buty do trumny. Szkoda, że w związku z tym nie przestał pić. Moje miasteczko to nie Nowy Jork, ludzie rano wysłuchiwali, jaki to jest biedny i chory, a po południu widzieli go zataczającego się do domu. Oczywiście pił z żalu, że niedługo umrze. A w domu z tej zgryzoty albo się awanturował, albo pił jeszcze więcej. Jestem prawie pewien, że nie sam, a niestety z mamą. Parę razy widziałem ją wstawioną.

Gdy zdarzyło mi się zadzwonić do niej późnym popołudniem lub wieczorem, kilkakrotnie mówiła niewyraźnie. Zawsze tłumaczyła, że ją obudziłem lub że jest zmęczona. Nie wierzyłem. Dziś na szczęście było w porządku. Była taka, jaką ją kochałem. Uśmiechnięta, ciepła, zabawna. Z jednej strony chciałem, żeby to trwało, a z drugiej wiedziałem, że musi się skończyć. Ona była beztroska, a we mnie wzbierał stres i co chwila powracała myśl, jak się jej pozbyć. I jak to rozegrać delikatnie. Oczywiście miałem świadomość, że siłą odprawiam ją do domu, z którego każdy chciałby uciec, ale mój spokój był dziś ważniejszy. Bo co mogłem zrobić? Miałem powiedzieć: „Mamo, oto twój zięć, Wiktor, zamieszkać z nami”? To absurd! Głupota na resorach! Nie, nie i jeszcze raz nie! Mama dziś musiała stąd zniknąć.

Gdy byliśmy na Krakowskim Przedmieściu, Nina napisała, że wszystko gotowe. Dochodziła siedemnasta. Ostatni autobus do miasteczka odjeżdżał wpół do dziewiątej. Czasu było naprawdę mało. Kilkanaście minut później wysiedliśmy na Górnośląskiej. Niestety nie przewidziałem, że nie znam kodu do domofonu. Pierwsza wpadka, ale chyba przeszła niezauważona. Windą na dziesiąte piętro. Nina wpadła na to, żeby otworzyć kratę na klatce schodowej i drzwi do mieszkania. Bo kluczy przecież nie miałem. Druga wpadka też przeszła bez echa. Weszliśmy do środka, już na klatce czuć było zapach gołąbków. A Nina hasała po

mieszkań w kuchennym fartuszk. Panie rozmawiały, a ja kątem oka zerkąłem, jak wygląda pokój. Na łóżku Agaty leżały jakieś moje spodnie i majtki. U mamy będzie minus za bałagan, ale ogólnie zaliczam to na plus. Porozrzucane ubrania to mój znak rozpoznawczy. Biurko też było dalekie od ideału. Książki, zeszyty, karteczki samoprzylepne. Bardzo dobrze. Pod pozorem umycia rąk zajrzałem do toalety, gdzie na szklanej półeczce stały przybory do golenia. Nina spisała się na medal. Mogliśmy przejść na salony.

– Ależ tu macie ciasno. Boziu kochany! – biadoliła mama.

– Ciasno, ale bardzo przytulnie i swojsko – odpowiedziała Nina.

– Od razu widać, którą część pokoju zajmuje mój synek.

Pogroziła mi palcem.

– Trochę jest bałaganiarz, ale go gonię.

– Mnie się przez tyle lat nie udało tego z niego wyplenić, ale może pani będzie miała więcej szczęścia.

– Mamy gołąbki, zje pani z nami? – zapytała Nina.

– Nie, nie. Dziękuję, nie będę objadać biednych studentów.

– Ależ nie ma o czym mówić. Od rana pewnie jest pani na nogach – rzuciła i zniknęła za rogiem.

– Wyjdiesz ze mną na balkon? – zapytała mama.

– Mogę wyjść – powiedziałem, ale nie przewidziałem, że chce zapalić.

Widok był urzekający. Piękna, majestatyczna Wisła, korona Stadionu Dziesięciolecia, mosty: Świętokrzyski, Poniatowskiego i Łazienkowski oraz Praga. Daleko wieże Katedry Praskiej, kilka wyższych bloków, budynek Wedla, Saska Kępa tuż przed wiosenną eksplozją zieleni. A pośród tego wszystkiego moja pałaca mamusia. Pasowała tam jak kwiatek do kożucha.

– Tu się nie pali! – pouczyłem ją.

– Cały dzień nie paliłam. Rano nie, bo w autobusie, potem szybko na tramwaj, potem szukałam Bobrowieckiej, potem ty przyjechałeś. Nie czepiaj się.

– Ja się nie czepiam, ale to się źle skończy. Zobaczysz – ostrzegłem.

– Każdy musi na coś umrzeć – powiedziała i porządnie się zaciągnęła.

– Ale niekoniecznie na raka płuc!

– Miła ta Nina – powiedziała i strzepnęła popiół.

– Nie zmieniaj tematu! Wiem, że miła. To taka moja tutejsza Matyllda.

– Tylko koleżanka? – zapytała.

– Nie, mamo, nie tylko koleżanka. – Spojrzała na mnie uważnie. – Nina to przyjaciółka, najbliższa.

– Przyjaciółka? Co to znaczy przyjaciółka?

– Nie wiesz, co to znaczy przyjaciółka?

– Różnie można to rozumieć... – powiedziała z dziwnym uśmiechem.

– Przyjaciółka to przyjaciółka. Najbliższa koleżanka. Na pewno nie dziewczyna i nie narzeczona. Śpimy

w osobnych łózkach. Jak zresztą widzisz.

– Rozumiem, już się tak nie gorączkuj.

– Skąd ci w ogóle takie tematy przyszły do głowy? W życiu mnie o takie rzeczy nie pytałaś! – obruszyłem się.

– Chciałam się zorientować, czy już zbierać na wesele – wyjaśniła, jak gdyby to było coś zupełnie oczywistego.

– Na jakie wesele? Czyje?! Mamo, ja jestem na drugim roku studiów! – niemal krzyknąłem.

– Ja w twoim wieku...

– Tak, ty w moim wieku już mnie miałaś, ale czasy się zmieniły. Najpierw kariera, podróże, a potem reszta.

– Ślub? Dzieci? – W jej głosie pobrzmiwała nadzieja.

– Reszta, mamo, reszta. Na ślubie i dzieciach świat się nie kończy.

– Ale ja bym chciała być młodą babcią.

– Jak będziesz tak palić, to staniesz się starą brzydką babą. O ile wcześniej nie zje cię rak! – ostrzegłem.

– A czemu ona ma taki dziwny kolor włosów? – Znów zmieniła temat.

– Wypadek przy pracy. Miał być inny kolor, wyszedł taki. Mieliśmy dziś poszukać jakiegoś fryzjera, ale pokrzyżowałaś nam szyki tym nagłym przyjazdem.

W tym momencie na szczęście zawołała nas Nina. Gołąbki, ziemniaczki i mizeria. Po prostu domowy obiad. Smakowało tak, jak pachniało. Wyśmienicie. One

rozmawiały o kuchni, a ja pogрузyłem się w myślach. Mogłem ściemnić, że Nina to ktoś więcej niż przyjaciółka, ale to by było o jedno kłamstwo za duzo. A poza tym mam przeczucie, że mama wcale nie oczekiwała, że kocham Ninę i że zamierzamy się rozmnażać na tych trzydziestu metrach. Myślę, że instynkt od dawna podpowiadał jej, kim jestem. Odważnie podjęła temat, którego nigdy wcześniej nie poruszaliśmy. Może chciała usłyszeć prawdę? Może właśnie dziś była gotowa ją przyjąć? Ja jednak nie byłem gotów jej wyjawić. Jeśli kiedyś zapyta wprost, odpowiem. Z rozważań wyrwał mnie dźwięk domofonu. Nina odebrała i oznajmiła:

- To Wiktor. Jedzie na górę.
- Kto to jest Wiktor? – zapytała mama.

4. To chłopak Niny!

Moja matka siedziała na tapczanie, pałaszując gołąbki Niny. Zachwalała je raz po raz, że takie soczyste, takie smaczne. Moja przyjaciółka stała w progu z wybałuszonymi oczami, a ja myślałem, co zrobić. Musiałem natychmiast obsadzić Wiktora w jakiejś roli, którą zaakceptuje mama. Zagra chłopaka Niny! A miało już dziś nie być kłamstw. Trudno. Zaszły nieprzewidziane okoliczności. Czas uciekał, Wiktor się zbliżał. Musiałem go przejąć, zanim przekroczy próg mieszkania.

– Wiktor? Wiktor to chłopak Niny, mamo! – oznajmiłem, a Nina aż się zadławiła. – Pójdę otworzyć mu kratę.

– Mój chłopak? – powiedziała jakby sama do siebie. – Tak, mój chłopak to jest! Wiktor znaczy!

Stałem boso na posadzce i czekałem.

– Co ty tu robisz?! – wycedziłem przez zęby.

– Po ciebie przyjechałem, pomyślałem, że pojedziemy na obiad? – odpowiedział Wiktor.

– Moja matka jest tutaj! Właśnie jemy obiad.

– O! Naprawdę? Jest tutaj? – Wyraźnie się rozpromienił.

– Niestety tak. A ty jesteś chłopakiem Niny!

– Ale...

– Nie ma żadnego ale, bez dyskusji. Jesteś chłopakiem Niny. A jeśli nie, to wcale tam nie wchodzisz! – zagroziłem.

– Niech ci będzie.

– I pocałuj ją na powitanie!

Spojrzał na mnie tymi swoimi brązowymi oczami, przegarnął włosy, klepnął mnie dyskretnie w tyłek i po chwili byliśmy już w środku. Stanęli naprzeciw siebie. Ona i on. Moja matka i mój facet. On z uśmiechem od ucha do ucha, ona z talerzem w ręku. Dzieliło ich od siebie pół metra.

– To jest właśnie Wiktor, mamó – wygłosiłem formułkę. – Chłopak Niny – dodałem, akcentując słowo „chłopak”. – A to moja mama. Irena.

– Bardzo mi miło – powiedziała.

Podali sobie ręce.

– Wreszcie mogę panią poznać – wyduślił z siebie.

Już nabierał powietrza, żeby powiedzieć coś jeszcze, na przykład, jak wiele o niej słyszał. Musiałem to przerwać.

– Nie przywitasz się z Niną? – warknąłem.

– A tak. Cześć, Nina. – Puścił w końcu dłoń mojej matki, po czym zupełnie od niechcienia pocałował Ninę w policzek. – O kurde, jakie włosy! To jakiś nowy trend czy feministyczna prowokacja?

Był to najzimniejszy pocałunek, jaki w życiu

widziałem. I to w policzek. Przyszedł i całuje swoją dziewczynę w policzek! Jak jakąś pierwszą lepszą koleżankę. Dobrze, że nie jest aktorem, bo gdyby tak całował na planie, umarlibyśmy z głodu.

Zapadła niezręczna cisza. Nikt nie wiedział co dalej. Wszystko wymknęło się spod kontroli.

– Wiktor, może chcesz gołąbka? – przerwałem tę scenę.

– Co? – odpowiedział jak wyrwany ze snu.

– Pytam, czy chcesz gołąbka. Nina, twoja dziewczyna, zrobiła.

– Kto? – dopytał. – A! Nina. Chętnie zjem, tak.

– To idź jej pomóż w kuchni! – zasugerowałem.

– Synu, nie bądź taki obcesowy – upomniała mnie mama.

Zupełnie nie wiedziałem, jak to odkręcić. Na szczęście do akcji wkroczyła Nina. Wzięła mojego faceta za rękę i wyciągnęła do kuchni. Coś tam do siebie szeptali. Moja mama – także szeptem – wyraziła swoje uznanie dla Wiktora:

– Ale przystojny mężczyzna, taki elegancki.

– Hiszpan.

– Od razu widać, że nietutejszy.

Była podekscytowana. Do tej pory widziała tylko Rosjan, Ukraińców i jednego Wietnamczyka z baru Smak Azji w miasteczku.

– Tutejszy.

– Więc Polak, a nie Hiszpan? – zgubiła się.

- Pół-Hiszpan – doprecyzowałem.
- Będą mieli ładne dzieci.
- Kto? – Nie zrozumiałem.
- Nina i Wiktor.
- Z pewnością. – Przewróciłem oczami. – A ty na długo przyjechałaś? – Tym razem to ja zmieniłem temat.
- Chciałam zostać do jutra. I w dzień pojechać – zaczęła, a mnie zrobiło się gorąco – ale widzę, że tu i tak jest ciasno.
- To może... – Nie wiadomo skąd zjawił się obok nas Wiktor. Wciąż głupio się uśmiechał.
- To może co? – wszedłem mu brutalnie w słowo. Przecież on był gotów zaproponować jej nocleg!
- To może ja panią odwiozę na dworzec? – dokończył i posłał mi karcące spojrzenie.
- Dziękuję panu, mam bilet. – Wyjęła go z torebki. – Całodobowy.
- Właśnie, mama ma bilet. Ja też mam. Poradzimy sobie.
- Wykluczone, żadnego biletu. Odwiozę panią.
- Cudowny pomysł! A może chcesz jechać do samego miasteczka? – zapytałem kpiąco.
- A wiesz, że to niegłupie? Po co mama, przepraszam, pani ma się tłuc autobusem?
- Chyba nie wyczuł sarkazmu.
- Mama?! – podniosłem głos. – Mama pojedzie autobusem. Ma bardzo dobre połączenie. Bez przesiadek

– powiedziałem tonem nieznoszącym sprzeciwu. –
A teraz wychodzę do toalety. Zaraz wracam. I jedziemy
na dworzec.

Stałem nad sedesem i patrzyłem, jak zółknie woda
w muszli. Oddychałem głęboko i w myślach liczyłem
od 1 do 10 i od 10 do 1. Wyczytałem gdzieś, że to
uspokaja. Nie wiem, czy źle liczyłem, czy należało
zastosować inną technikę, ale nie działało. Spuściłem
wodę i zacząłem szorować ręce. Tarłem je o siebie, aż
zrobiły się czerwone i gorące. Zupełnie jakbym miał
nerwicę natręctw. Jeszcze tylko chwila, pomyślałem
i ruszyłem przed siebie. Rozpocząłem akcję pod
kryptonimem „Odjazd”. Nina krzątała się po kuchni,
sprząając po obiedzie, a pokój był pusty. Moją mamę
i mojego faceta gdzieś wciąło. Na moment straciłem
głowę. Do tego stopnia, że wyjrzałem na klatkę
schodową. Pomyślałem nawet, że pod moją nieobecność
Wiktor zaproponował mamie nocleg i że już byli
w drodze do domu. Tak zaaferowani sobą, że
zapomnieli o mnie.

– Są na balkonie – szepnęła Nina.

– Myślałem, że pojechali.

– A gdzie mieliby jechać?

– Nie wiem, gdziekolwiek. On jest nią tak
zachwycony, że za moment wszystko jej wygada. Nawet
się nie stara udawać, że jest twoim chłopakiem. Tylko
się szczerzy jak koń.

– Wyluzuj.

– Zaraz się coś spierdoli – wróżyłem. – Idę ich pilnować.

Odsłoniłem firanę, otworzyłem drzwi i zamarłem. Wiktor stał po jednej stronie balkonu, mama po drugiej i palili, szczebiocząc wesoło. Byłem przekonany, że ona wie już wszystko. Widziałem, że Wiktor całkowicie się rozplątał, że nie panuje nad słowami. Ja też już średnio nad sobą panowałem.

– Ty palisz?! – palnąłem bez zastanowienia w jego stronę.

– Synu! Co to za ton?! – skarciła mnie mama. – Jest miło, świetnie nam się rozmawia, a ty wpadasz jak burza i rzucasz piorunami. Gdzie twoje maniere? Wiktor jest gościem pani Niny! I twoim!

– Właśnie, dziecko, gdzie twoje maniere? – wtórował mój facet.

Po czym oboje się roześmiali i wrócili do rozmowy.

Wycofałem się oszołomiony. Cokolwiek jeszcze dziś powiem, na pewno pogorszę sprawę. Jednym uchem usłyszałem, że rozmawiają o psach. Mama opowiadała o naszym przybłędzie, a Wiktor rozplątywał się nad jej słowami. Pies był jednym z jej ulubionych tematów. Uwielbiała opowiadać, jaki jest wierny, jaki posłuszny, jaki ułożony, że kocha go jak trzeciego syna i że pięknie jej serce, gdy zdechnie. Zabawne wydawały się jej historie, że pies towarzyszy domownikom podczas wszystkich posiłków i je niemalże ze stołu. No i że śpi w łóżku. A mnie nie lubi, bo mu na to wszystko nie

pozwalam. Postanowiłem się już nie wtrącać. Co nie znaczyło, że zamierzałem zostawić ich samych. Lepiej trzymać rękę na pulsie i wkroczyć w razie potrzeby. Raz po raz wymownie spoglądałem na zegarek. Za chwilę naprawdę okaże się, że ostatni PKS odjechał i trzeba ją albo przenocować, albo zawieźć do miasteczka. Zauważyła moją nerwowość.

– Idziemy już, idziemy. Wyraźnie chcesz się mnie pozbyć, synu. Tylko nie wiem czemu.

– Mamo, nie chcę się ciebie pozbyć, tylko sama widzisz, że tu nie bardzo są warunki dla gości. Jak będę miał gdzie, to cię na tydzień zaproszę. Na miesiąc nawet.

– Aha, już widzę, jak starą matkę będziesz miesiąc trzymał. To co, Wiktoru, oferta podwózki na dworzec aktualna?

– Ależ naturalnie! – odrzekł teatralnie Wiktor.

Niespiesznie się ubrała, wycalowała Ninę. Żegnała się chyba z piętnaście minut, zapętłając się w kolejne dygresje. A Wiktor i Nina jej wtórowali. Humory dopisywały wszystkim poza mną. Chciałem to jak najszybciej zakończyć. Mieliśmy już wychodzić, gdy ktoś z zewnątrz włożył klucz do zamka. Wszyscy zwrócili wzrok na zasuwkę. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Agata. Tylko jej tutaj brakowało. Chwilę później staliśmy w pięcioro w ciasnym przedpokoju.

– O, dzień dobry – przerwała ciszę Agata.

– Dzień dobry – odpowiedziała moja mama. – Jestem

Irena.

– A ja Agata – powiedziała niepewnie. Wyraźnie nie wiedziała, co jest grane, czekała na wskazówki.

– To jest moja mama – zacząłem. – Odwiedziła mnie i Ninę u nas w mieszkaniu, a Wiktor... Wiktor wpadł z wizytą. Do swojej dziewczyny. Do Niny – streściłem wszystko.

– Aha – wydusiła z siebie Agata. – A ja przyszedłam wam oddać klucz. Ostatnio u mnie zostawiłeś. W sobotę. Pamiętasz?

– Tak, tak. Dzięki. Właśnie go szukałem. A on cały czas u ciebie leżał?

– Leżał. U mnie leżał. Na szafce w przedpokoju.

– To wchodź do środka. Rozgość się. My wychodzimy. Wiktor odwozi moją mamę na dworzec i niedługo wracamy. Nina dotrzyma ci towarzystwa.

– Tak, dobrze. To ja poczekam.

Ta rozmowa nie mogła trwać ani chwili dłużej. Na szczęście Agata bez przygotowania i uprzedzenia płynnie weszła w rolę. Ostrożnie dobierała słowa. Wiedziała, że jeden nierozważny krok i ten kolos na glinianych nogach runie. Ze strzępów informacji błyskawicznie utkała bliską prawdę historię. Po przywitaniu nastąpiło szybkie pożegnanie. Za chwilę byliśmy już w windzie. Z Powiśla na Stadion jedzie się kilka minut. Na tyle krótko, że nie zdążyli podjąć kolejnego pasjonującego tematu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, do odjazdu autobusu zostało zaledwie parę

minut. W sam raz na szybkie uściskanie się i ucałowanie. Wiktorowi podała rękę i szeroko się uśmiechnęła. On – syn hiszpańskiego wiceministra spraw zagranicznych, ona – ekspedientka w sklepie mięsny. Od dziś kolega i koleżanka. Znam już trochę Wiktora i wiem, że nie udawał. Zagadką było dla mnie, czym go ujęła. On od zawsze podobał się kobietom, budził sympatię i zainteresowanie. Miał wrodzoną łatwość nawiązywania kontaktów. Umiał wywierać wpływ na ludzi. Sprzedałby łyżwy na pustyni. Z łatwością mógł kupić moją mamę, ale czym ona kupiła jego? Naprawdę nie wiem.

Pomachaliśmy jej na do widzenia i odjechała. Wreszcie. My też pojechaliśmy. Do domu. Ogarnęło mnie potworne zmęczenie. Nie miałem siły odbierać swoich rzeczy od Niny ani odpytywać Wiktora, co strzeliło mu do głowy, że tak dziwnie się zachowywał. Nie chciałem się też kłócić. Bo i nie było powodu. Miałem mu zrobić awanturę za to, że był miły dla mojej mamy? Absurd. Tego wieczoru zamieniliśmy jedynie kilka słów. Leżałem tyłem do niego, objął mnie w pól i głośno westchnął.

- Fajna ta twoja Irena – stwierdził.
- Zauważyłem, że jesteście na „ty”.
- Tak, zaproponowała to na balkonie.
- Nie wiedziałem, że palisz.
- Bo nie palę.
- Właśnie dziś widziałem...
- Nie zaciągałem się. To tylko tak, żeby przełamać

lody.

– Powiedz mi – zacząłem, odwracając się na plecy, tak żeby widzieć jego twarz – czym ona cię tak ujęła?

– Szczerością. Ona jest jak ty.

– Czyli? – Chciałem, żeby wyjaśnił.

– Oj, nie wnikaj. Jest jak ty, po prostu. Ty mnie ujęłeś, więc ona też. To jasne jak słońce. Dobranoc.

5. Złamas Roku

Długi majowy weekend był długi tylko z nazwy. 1 maja wypadał w sobotę, więc we wtorek, 4 maja, musieliśmy wrócić do Warszawy. Mimo to Wiktor chciał wyjechać chociaż na chwilę. Zaplanował dla nas wycieczkę na Hel. Jeden z jego licznych znajomych miał tam kawalerkę, a że obecnie mieszkał na drugiej półkuli, stała pusta i grzechem byłoby nie skorzystać. Cieszyłem się na ten wyjazd. Rok temu o tej porze zamierzaliśmy jechać do Władysławowa. Mieliśmy tam po raz pierwszy pójść do łóżka. Wtedy się nie udało, ale nadrobiliśmy to po moim powrocie z Krakowa. Byliśmy sobie tak głodni, że nic nie mogło nas powstrzymać. Wiktor zabrał mnie z Bielan do siebie i dalej pamiętam tyle, że straciłem poczucie czasu. Okazał się kochankiem dominującym, ale namiętnym. Chyba to mnie najbardziej podniecało. Zimą zdarzały się weekendy, gdy kochaliśmy się całymi dniami. W łóżku, na pralce, pod prysznicem, na stole. Przed pracą i po pracy. O każdej porze dnia i nocy. I wcale nam się nie nudziło. Tak jest do dziś i nic nie wskazuje na to, żeby miało się skończyć. Wiktor nigdy nie wpadł na pomysł, by zaproponować mi seks bez gumki. Mimo że obaj

zrobiliśmy badania. Po krakowskich przygodach złożyłem przed samym sobą obietnicę, że nigdy nie będę ryzykował. Nawet z facetem, którego bezgranicznie kocham. Układa nam się prawie idealnie, do tego stopnia, że chwilami martwi mnie ta idylla. Zastanawiam się, kiedy to wszystko runie jak domek z kart. Kiedy ktoś to zniszczy. Niech jednak uważa! Prędzej go zabiję, niż pozwolę zrujnować nasze szczęście.

Z innych powodów, ale chętnie zabiłbym też miłośnika tlenionych blondyn – Karolka, przez którego Ninę czekała seria wizyt w salonie fryzjerskim. Pani Agnieszka zobowiązała się zrobić z blond ładacznicę dawną Ninę. Okazało się, że potrzeba na to kilku wizyt. Moja przyjaciółka wybrała kiepską farbę z bardzo silną wodą do utleniania. Zniszczyła sobie włosy. Teraz trzeba je przyciemniać stopniowo. Obiecałem, że będę ją trzymał za rękę. Tak jak w trakcie porodu. Bo już kiedyś ustaliliśmy, że gdy będzie rodziła, to z gatunku męskiego tylko ja mogę jej towarzyszyć. Wizyta u pani Agnieszki była pierwszą z prób przed tym wiekopomnym wydarzeniem.

– Co panią podkusiło, żeby zniszczyć tak piękne włosy? – zapytała fryzjerka bez ogródek.

– Wstyd się przyznać – chciała uciąć temat Nina.

– Miałam kiedyś faceta – zaczęła opowieść pani Agnieszka – który chciał mnie zmienić. Wbił mnie w białe kozaczki, zamknął w solarium i obwiesił

złotem. Wyglądałam jak Doda. – Popatrzyła smutno na Ninę. – Kolor włosów miałam podobny do twojego. Nawet trasę do pracy zmieniałam. Bo mu się nie podobała linia, którą jeździłam. Rozumiecie?! – Przeszła z nami na „ty”.

– Ale co mu się nie podobało? – wtrąciłem się.

– Trasa. Stwierdził, że jeździ ze mną za dużo facetów. I rozbierają mnie wzrokiem.

– I co? – dopytała Nina.

– I zmieniałam. Jechałam pół godziny dłużej, ale zmieniałam. Robił mi naloty, sprawdzał, czym jadę. Z zegarkiem w ręku mierzył drogę do i z pracy. Wydzwaniał. Jakbym miała dawać dupy po drodze do zakładu! W ósemce!

– Co za złamas! – wypaliła Nina.

– Złamas roku! – dodałem. – Jak on ma na imię?

– Czarek.

– Nagrodę Złamasa Roku otrzymuje – przydałyby się werble – Czarek!

– Który dziś jest? – zapytała Nina.

– Dwudziesty ósmy – powiedziała pani Agnieszka.

– Od dziś każdego 28 kwietnia będziemy przyznawali nagrody Złamasa Roku! Od tego momentu zbieramy nominacje, a dokładnie za rok urządzimy galę!

– A jakie są kategorie? – zapytała Agnieszka. – Już miałabym kilku kandydatów.

– Kategorie będą ruchome! – podłapałem pomysł. – Będzie można wymyślić kategorię, jaką się chce,

i nominować, kogo się chce! Wedle potrzeby!

– Tylko ciekawe, czy nominowani przyjdą na galę? – zapytała retorycznie Nina. – Czy może będzie tak jak ze Złotymi Malinami, że statuetkę trzeba będzie wysłać pocztą.

– A będzie jakaś statuetka? – dociekała fryzjerka.

– Muszla! Plastikowa obrzydliwa muszla! Taka ze sklepu 1001 Drobiazgów! – wypaliłem.

– Nabita na trzpień! – dorzuciła Nina.

– Tak! Tak! Tak! – cieszyłem się jak dziecko. – W tym roku mamy zatem tylko Grand Prix, ale za rok! Za rok to się będzie działo. Ludzie kochani! Gala, zaproszenia wypisane dwudziestoczyterokaratowym złotem, ścianka sponsorska, reporterzy, relacje w telewizji!

– I oni! Szanowni laureaci! – rozmarzyła się Nina.

Widziałem, że ta rozmowa nie była dla niej tylko i wyłącznie naszym kolejnym absurdalnym pomysłem. Moja przyjaciółka uważnie słuchała słów fryzjerki. I chyba coś zrozumiała. Jej sytuacja była bardzo podobna. Wymagania, oczekiwania, sugestie. Zniszczone włosy. O łykaniu senesu nie wspomnę.

Tymczasem pani Agnieszka dokonała cudu. Nina nadal miała na głowie blond, ale już nie tak wściekły. Zostawiłem ją w centrum, a sam popędziłem na spotkanie z Robertem. Chciałem się jakoś z tego wymiksować i zobaczyć się z nim po weekendzie, ale nalegał. Nie miałem za bardzo kasy, żeby spotykać się

w mieście, więc wprosiłem się do niego. Otworzył drzwi i jeden rzut oka pozwolił mi ocenić sytuację. Stałem przed dylematem: czekać, aż sam powie, czy zapytać. Postanowiłem poczekać.

– Co tam w wielkim świecie? – zagaił.

– Nie wiem, nie bywam. Wracam od fryzjera. Nina się zafarbowała na blond.

– Na blond? Po co? Przecież ona w blondzie jak kurwa będzie wyglądać – nie przebierał w słowach.

– No właśnie wygląda. I teraz musi się przefarbować z powrotem na brąz.

– A co jej do głowy strzeliło? Może to do jakiegoś artykułu? Taka charakteryzacja czy coś? – szukał jakiegoś rozsądnego powodu.

– Ona jest dziennikarką, nie aktorką.

– Przecież dziennikarze też piszą artykuły, na których potrzeby wcielają się w różne role. Czytałem jej tekst o sponsoringu, to może teraz pisze o dziwkach?

– To nie artykuł, to facet.

– Jej facet to alfons? – rozpędział się.

– Mam nadzieję, że nie. Lubi blondyny i Nina zapragnęła być blondyną.

– I cycki sobie będzie powiększać? – zapytał.

– Nie wiem, zapytam ją następnym razem i ci powiem.

– Jakie te laski są głupie. Kurwa! Ale że Nina dała się tak zrobić... Nie do wiary.

– Nie dała się jeszcze. Zrobiła pierwszy krok, ale

chyba się cofnęła. Ale o Ninie będziemy gadać?

– Czekaaj, po piwo pójdę. – Zniknął w kuchni. – Pij – powiedział po chwili i podał mi butelkę.

– Pijemy przed trzecią. Nie jest dobrze – zażartowałem, ale nie zareagował.

Był maksymalnie spięty. Moje dowcipy go nie bawiły.

– Co u Wiktora? – zapytał i pociągnął spory łyk.

– Dobrze, zdrowy jest, pracuje.

– Nie popadliście w małżeńską rutynę? Codziennosc bla, bla, bla?

– Nie, raczej nie. Poznał moją matkę. A ja jego.

– Idylla. Kurwa, idylla.

– Wątpię.

Streściłem wydarzenia ostatnich dni. Od wizyty w Konstancinie po przyjazd mojej matki do Warszawy.

– Pierdolić teściową. Niech sobie kąsa, jeśli lubi. One tak mają. Ja też za swoją nie przepadam, ale trzeba się będzie chyba polubić... – urwał w pół zdania.

– Wystarczy tolerować i znosić przez święta chyba? – podrzuciłem.

– Moja już mnie nie toleruje i to się raczej nie zmieni. Jeśli czegoś nie wymyślę...

– A co chcesz wymyślić? – Nie rozumiałem.

– Rozwiązanie.

Otworzyłem usta z zaciekawionym, co powie dalej. Jak na złość zrobił długą przerwę na łyk piwa.

– To jest *Jeden z dziesięciu!*? Jakiś quiz? Mów! Umarł ktoś? Chory jesteś?

– Wręcz przeciwnie, kochany, wręcz, kurwa, przeciwnie.

– Czyli? – ponaglałem.

– Potrzebuję kasy.

– Ile? – zapytałem odruchowo.

Chociaż logiczniej byłoby zapytać na co.

– Piątkę.

– Piątkę czego?

– Złotych.

– Pięć złotych? Daję od ręki. – Znów próbowałem być śmieszny.

– Pięć tysięcy! – poprawił mnie.

– Jezu, na co ci tyle kasy? W co ty się wpakowałeś?

Natychniaś przeszła mi ochota na żarty.

Robert wstał, podszedł do okna i w szybie widziałem, jak bardzo bije się z myślami. Zamknął oczy, zacisnął zęby i mocno chwycił parapet. Wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. Napięcie rosło. Stałem i czekałem, a w mojej wyobraźni maszerowały – jak wojska na moskiewskiej paradzie w Dzień Zwycięstwa – przeróżne pomysły, na co można wydać pięć tysięcy. Pojawiły się między innymi: choroba nowotworowa, dług u mafii i komornik pukający do drzwi.

6. Ojcowski instynkt

- Będę tatusiem – wyznał wreszcie.
- I to jest ten dramat, przez który nie toleruje cię teściowa? – Naprawdę trudno było mi powstrzymać zdziwienie.
- Pośrednio tak.
- A bezpośrednio? – Czekałem na wyjaśnienia.
- Bezpośrednio to wypierdoliła mnie z domu, bo zasugerowałem zabieg.
- Co zasugerowałeś?! – Czułem, że zdumienie rozsadza mi mózg.
- No powiedziałem, że trzeba usunąć.
- A skąd ci taka głupota przyszła do głowy?
- Kurwa, stary. To nie jest ten czas, nie te okoliczności, nie to, kurwa, życie.
- Jaki czas? – dociekałem.
- Na dzieciaka.
- A kiedy będzie? Czy w ogóle będzie?
- Jak się ustawimy trochę. Jakaś chata, samochód, trochę pozwiedzamy, pobawimy się. A nie pieluchy od razu!
- Był szczery, jak zawsze.
- Taaa. A jak już się dorobicie, to trzeba będzie się

jeszcze więcej dorobić, jeszcze więcej zobaczyć, jeszcze się pobawić. I wiesz co? Po czterdziestce się kapniesz, że dzieciaka brakuje. A wtedy może już być za późno.

– Tak gadasz, bo ciebie to nie dotyczy. Do końca życia będziesz wolny jak ptak.

– I myślisz, że to jest takie fajne?

– A nie jest? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Żebyś wiedział, że nie. Nic po sobie na świecie nie zostawię, nikogo nigdy nie będę tak kochał, jak ojciec może kochać dziecko, nikt mi na starość szklanki wody nie poda, nikt mnie nie pochowa.

– Weź nie pierdol. Wiktor jest.

– Dziś jest, a jutro może go nie być. A dziecko byłoby zawsze. Więc to ty nie pierdol! Jak nasze matki miały tyle lat co my, to już byliśmy na świecie. I życie im się nie zawaliło.

– To były inne czasy.

– Jakie inne czasy? Czasy się tak bardzo nie zmieniły, tylko ludzie. A dzieci czy inne zobowiązania burzą ich idealny świat. Jesteśmy pierdolonymi egoistami. Jakby nasze stare tak myślały, to byśmy tu teraz nie siedzieli.

Porządnie mnie zirytował.

– Kurwa, ale nie teraz! Za rok, za dwa, ale nie za osiem miesięcy! – wyliczył.

– Czemu nie za osiem? To świetny czas.

– I gdzie je przyniesiemy ze szpitala? Tu? Do tej zapyziałej kawalerki?

– Teściowa na pewno zaoferuje pomoc –

zasugerowałem.

– Ona mnie nie chce znać.

– Nic dziwnego...

– Chociaż ty oszczędź mi wykładu. Kasy potrzebuję – wrócił do głównego wątku.

– A co na to Daria? W końcu to też jej dziecko. I gdzie ona właściwie jest?

– Na uczelni.

– A drugie pytanie? – Nie dawałem się zbić z pantałyku.

– Powiedziała, że się zastanowi. Skłania się ku zabiegowi.

– Następna.

Sugestywnie wypuściłem powietrze.

– Co następna? Co, kurwa, następna? Oboje mamy studia. Jeszcze trzy i pół roku.

– A mało ludzi ma dzieci na studiach?! Nawet wcześniej mają i żyją.

Robert wiedział, o czym mówię, bo dwie nasze koleżanki z technikum zaszły w ciążę w klasie maturalnej. I one, i ich dzieci mają się dobrze.

– Nie mam od kogo pożyczyć – wrócił do tematu. – Może Wiktor?

– Co Wiktor?

– Może by mi pożyczył. Możemy spisać umowę, może być na procent.

– Posrało cię?

– Weź mnie nie pouczaj i nie oceniaj. To moje

życie...

– I Darii – wtrąciłem.

– To moje życie i Darii i my podejmiemy decyzję. A ty jako przyjaciel nam po prostu pomóż. Zapytasz go, czy pożyczycy, czy sam mam to zrobić? – postawił mnie pod ścianą.

Przeraziła mnie ta rozmowa. Dostał coś, czego ja nigdy nie będę miał, i chce to zniszczyć. Nie mówię, że zabić, bo jeszcze teraz nie ma czego zabijać, jeszcze teraz to płód, fasolka, zasiane ziarenko, ale niedługo będzie to dziecko. Jego dziecko. Pożegnaliśmy się chłodno. Wymógł na mnie obietnicę, że zapytam Wiktora o pieniądze. Uznałem, że dobrym momentem będzie droga na Hel. Mieliśmy ruszyć następnego dnia rano. Wiktor nie będzie miał czasu do namysłu, bo jeśli zabieg ma dojść do skutku, musi się odbyć jak najszybciej. Najlepiej w ciągu dwóch tygodni.

W dzień wyjazdu wstaliśmy wcześniej. Wiktor pakował ostatnie rzeczy, a ja wyskoczyłem na dół po pieczywo i warzywa. Postanowiłem zrobić kolorowe kanapki na drogę. Mimo wczesnej godziny było już bardzo ciepło. Temperatura może być uciążliwa podczas jazdy, ale jak już znajdziemy się na miejscu, będzie cudownie. Rozłożę się na plaży i nie dam się stamtąd zabrać, póki nie zajdzie słońce. A nawet gdy zajdzie, wcale nie będzie to oznaczało końca plażowania. Na greckiej plaży już się kochaliśmy, ale na polskiej jeszcze

nigdy! Snując wizje upojnych chwil, wszedłem do sklepu z pieczywem. Pani Kasia, jak zwykle w zielonym fartuchu z logo firmy i czepku na głowie, przywitała mnie szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry, pani Kasiu.

– Dzień dobry, dzień dobry.

– Poproszę sześć grahamek.

– Proszę bardzo. I co jeszcze?

– I już.

– Jak to już? A pół żytniego? – zapytała zaskoczona.

– Dziś bez żytniego, pani Kasiu – roześmiałem się. Miała prawo się dziwić. Od kilku miesięcy zawsze kupuję u niej grahamki i pół chleba żytniego. – Dziś jadę nad morze. Wracam po weekendzie – wyjaśniłem.

– Chyba że tak. Życzę wam miłego wypoczynku.

Opuszczałem sklep w wyśmienitym humorze. Nie tylko dlatego, że ekspedientka wiedziała, co kupię, a ja wszedłem już w pełni w krajobraz Bobrowieckiej. Ona powiedziała, że życzy NAM miłego wyjazdu. Od czasu do czasu chodziłem do niej z Wiktorem. Jednak niezależnie, czy razem, czy osobno, zawsze kupowaliśmy to samo. Widocznie pani Kasia nas rozgryzła. I przyjęła to jako coś zupełnie normalnego.

Gdy wróciłem do domu, Wiktor rozmawiał przez telefon. Domyśliłem się, że z mamą. Opowiadał, gdzie jedziemy, gdzie będziemy mieszkać i kiedy wrócimy. Potem szybko zapakowaliśmy się do samochodu i ruszyliśmy. Na wysokości Płocka zaczął śpiewać.

Bardzo to lubił. Co niestety nie oznaczało, że umiał. Ja też nie umiem. Mam tego świadomość i staram się nie dawać upustu swojej pasji przy innych, ale Wiktor uważa, że się czepiam. W związku z tym notorycznie i z niezwykłym okrucieństwem gwałci różne przeboje. Dziś padło na Andrzeja Zauchę. Pół biedy, gdyby skończyło się na jednym kawałku, ale on postanowił dać koncert. Od *C'est la vie* po *Czarnego Alibabę*, do którego miał opracowany układ choreograficzny. Twist wychodził mu dużo lepiej niż śpiewanie. Tańczył świetnie. Wiadomo, hiszpańska krew. Niestety w samochodzie mógł tylko śpiewać. A *Bądź moim natchnieniem* zadedykował mnie. Rozczuliło mnie to do tego stopnia, że znosiłem jego wycie z godnością wartą wyższej sprawy. Gdy skończył, musiałem jednak przejść do mniej rozrywkowego tematu.

– Daria jest w ciąży... – zacząłem bez owijania w bawełnę.

– To chyba dobrze? – Nie widział w tym problemu.

– Ale nie chce być.

Streściłem mu swoją rozmowę z Robertem. Na końcu zadałem decydujące pytanie.

– Pożyczę – odpowiedział bez zastanowienia.

– To dla ciebie taka łatwa decyzja?

– Decyzja o pożyczeniu pieniędzy nie jest aż tak trudna.

– Ale nie o to mi chodzi. To nie pożyczka na nowe buty. Tu chodzi o aborcję.

- Kochanie, to nie ja jej dokonuję.
 - No niby nie... – Westchnąłem.
 - Jeśli oni podjęli taką decyzję, to ją uszanuj. Mimo że się nie zgadzasz. To ich życie i ich dziecko.
 - Mówisz jak Robert. Dokładnie takich argumentów użył.
 - Bo to logiczne. Przyjaciele są od rozmawiania, doradzania, ale nie od oceniania.
 - Pięć tysięcy to dużo pieniędzy.
 - Spiszemy jakąś umowę pożyczki. Odda, jak będzie miał. Kończymy ten temat. Morze przed nami – ogłosił wesoło.
 - Tylko widzisz, on chce zrezygnować z czegoś, czego my nigdy nie będziemy mieli. To głupie.
 - Czego nie będziemy mieli?
 - No dziecka...
 - Czemu mamy nie mieć?
 - A umiesz urodzić?! Bo ja nie.
- Wbiłem w niego wzrok.
- Urodzić nie, ale umiem zrobić. Ty też umiesz.
 - I? – Nie rozumiałem.
 - I można mieć dziecko inną drogą. Powiedzmy, przekonać matkę, żeby się zrzekła praw rodzicielskich. Są różne sposoby.
 - Wszystko można kupić, wiem, Wiktor, ale to nie to samo.
 - Skoro nie można przeprowadzić legalnej adopcji, to trzeba kombinować.

Utkwiłem wzrok w zmieniających się za oknem krajobrazach i myślałem. Czy bylibyśmy dobrymi rodzicami? Jak przyjęłoby to społeczeństwo? Czy umielibyśmy wychować heteroseksualnego człowieka? I skoro jest tak, że dziecko czerpie wzorce z rodziców, to i ja, i Wiktor powinniśmy być zupełnie hetero. Nie wychowywali nas przecież geje. Przypomniałem sobie o pani Kasi ze sklepu z bułkami. Ona jest wyjątkiem. I do tego mieszka w Warszawie. Aż strach pomyśleć, co o gejach sądzą w miasteczkach takich jak moje. Odgoniłem obrazy, które stanęły mi przed oczami, i skupiłem się na naszej wycieczce. Dojechaliśmy na miejsce. Słońce było już w zenicie. Pewnie piasek i woda nie są jeszcze zbyt ciepłe, ale to nie zmniejszyło mojej ekscytacji. Szum fal zawsze mnie uspokaja, a czasem nawet usypia. Plaża była dosłownie za naszymi oknami. Rzuciliśmy torby, przebraliśmy się i w drogę. Wiktor się śmiał, że do pełni szczęścia brakuje mi tylko grabek, łopatkę, wiaderka i rękawków do pływania. Zapomniał o foremkach! Kończyłem smarować mu plecy kremem, gdy zadzwonił telefon. Jego telefon. Sięgnął do plecaka, odwrócił głowę, spojrzał na mnie zza okularów i wydusił:

– Matka.

7. Akcja „Powrót”

Pierwsze cztery połączenia zignorował. To nasz wyjazd i jesteśmy tu tylko dla siebie. Słońce cudownie przygrzewało. Rozmowy z matkami odbyliśmy rano. Byłem pewien, że z moją mamą spokój do połowy przyszłego tygodnia. Telefon od Marty obstawiałem najwcześniej następnego dnia. Zaskoczyła mnie, stęskniła się już po ośmiu godzinach. Gdy po raz piąty zobaczyliśmy na wyświetlaczu jej imię, Wiktor nie wytrzymał. Z impetem przewrócił się na drugą stronę, ziarenka piasku przykleiły się do świeżo nakremowanych pleców, i ryknął do słuchawki:

– Czego ty chcesz?!

Słuchał przez chwilę. Zerknąłem na jego twarz. Pobladł. Usiadł i złapał się za głowę. Milczał. Patrzyłem na niego z niepokojem, aż wreszcie powiedział do telefonu:

– Zadzwoń po karetkę i daj znać, co powiedzieli. Nie! Nie za chwilę. Teraz! Czekam na telefon. – Rozłączył się. – Ma bóle w klatce piersiowej, nie może złapać tchu i twierdzi, że to stan przedzawałowy – wyjaśnił.

– Wracajmy.

– Przecież ona panikuje. Daj spokój, kładź się.

– Wiktor, być może panikuje. A jeśli nie, to będziesz sobie pluł w brodę. Wracajmy.

– Leż! – warknął.

– OK, ale gdy poznamy szczegóły, zdecydujemy, co robić, dobrze? – wymusiłem deklarację.

– Dobrze – odparł.

Cały czas ścisnął w rękę telefon.

Czułem, że nasz majowy weekend skończy się jeszcze szybciej, niż się zaczął. Byłem zawiedziony, ale nie miałem nikomu nic za złe. Marta jest już starszą panią, a przede wszystkim jego matką. To normalne, że się o nią troszczy. Oddzwoniła po kilkunastu minutach. Karetka zabrała ją do szpitala. Po kolejnych kilkunastu byliśmy w drodze do stolicy. Jechaliśmy szybko, szosa była pusta. Próbowałem dzwonić do Marty. Nie odbierała. Podczas rozmowy nie powiedziała, do którego szpitala ją zabierają, więc nie mogłem się skontaktować z lekarzem. Pędziliśmy jak szaleni. Kilkakrotnie zwracałem Wiktorowi uwagę, że jedziemy za szybko. Nie reagował. Wreszcie nie wytrzymałem i złapałem za kierownicę. Gwałtownie zahamował i z piskiem opon zatrzymaliśmy się kilka centymetrów przed rowem.

– Popierdoliło cię?! – wrzasnął. – Chcesz nas zabić?!

– Ja chcę nas zabić?! Weź ty się puknij w łeb. Jedziesz jak wariat! Jak jakiś, kurwa, Hołowczyc! To jest droga! Nie tor wyścigowy! – wykrzyczałem i wysiadłem z auta, trzaskając drzwiami.

Oparłem głowę o dach i nabrałem powietrza. Po chwili wysiadł też Wiktor.

– Musimy jechać dalej – powiedział już dużo spokojniej.

– Wiem, że się martwisz. – Także zmieniłem ton. – Ja też się niepokoję, ale albo zaczniesz jechać normalnie, albo ja tu zostaję i łapię stopa.

– Wsiadaj. – Pocałował mnie w głowę. – Przepraszam.

– I nie krzycz na mnie.

– A ty nie łap za kierownicę. Ja prowadzę. Tak?

– Tak, przepraszam. Jedźmy.

Reszta drogi upłynęła w miarę spokojnie. W Łomiankach nadal nie wiedzieliśmy, w którym szpitalu leży Marta ani jak się czuje. Postanowiliśmy jechać do Konstancina, a po drodze wstąpić do Szpitala Czerniakowskiego. Właśnie tam powinni ją zawieźć. Gdy dotarliśmy na miejsce, pobiegłem szukać jej na pogotowiu, a Wiktor na izbie przyjęć. Mieliśmy nosa, Marta była w tym szpitalu. Była, ale już jej nie ma. Został tylko jej rozładowany telefon komórkowy. Musiał jej wypaść albo zostawiła go w karetce. Dostała kroplówkę, środki uspokajające i pojechała do domu. To nie był zawał, tylko stres. Spojrzeliśmy po sobie zdumieni. Czym ona mogła się tak zdenerwować? Rano była cała w skowronkach i planowała obiad dla gości. Lekarz zapewnił, że zbadał ją dokładnie. Zrobiono EKG i próbę wysiłkową. Matce Wiktora nic nie zagrażało. Do

taksówki nie dała się dowieźć na wózku. Poszła sama. Odjechała jakieś dwie godziny temu. Wobec tego wyszliśmy i my. Po drodze zajechaliśmy na stację benzynową. Zrobiliśmy dziś około tysiąca kilometrów, prawie piętnaście godzin w trasie, Wiktor cały czas prowadził. Dopiero teraz, gdy napięcie trochę z niego zeszło, zauważyłem, jak bardzo jest zmęczony. Nalegałem, żebyśmy wrócili do mieszkania, ale uparł się, że musimy zajrzeć do Konstancina. Zajechaliśmy przed dom, wszystkie światła na parterze były zapalone. Ze środka dobiegały rozmowy i śmiech. Marta przyjmowała gości. Spuściłem głowę. Wiktor złapał leżący na desce rozdzielczej telefon matki.

– Chodź ze mną – zażądał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Lepiej nie, wpadnie w szal, jak mnie zobaczy.

– Jeśli nie pójdziesz, to ja wpadnę w szal.

– OK, pójde. To jest twoja matka. Pamiętaj – próbowałem go uspokoić.

– Moja matka, która spierdoliła mi... nam spierdoliła weekend, a teraz się bawi. – Był bardzo zdenerwowany.

– Mimo wszystko.

– Chodź ze mną.

Przeciął podwórko jak błyskawica. Potulnie szedłem za nim. Bez pukania otworzył drzwi i wbiegł do środka. Rozejrzał się po salonie. Milczał przez chwilę. Poza Martą byli tam dwaj mężczyźni i cztery kobiety. Siedzieli przy stole. Tym samym, który jakiś czas temu

zarzygałem. Popijali czerwone wino, humory im dopisywały. W pewnym momencie rozmowy ucichły, wszyscy patrzyli na gotującego się z wściekłości Wiktora. Jako ostatnia odwróciła się Marta. W rękę trzymała kieliszek, a na bladej twarzy miała uśmiech starannie namalowany krwistoczerwoną pomadką i obrysowany kredką. Zdawało mi się, że w kącikach ust dostrzegam kropelki czerwonej cieczy. Marta wyglądała jak wampir dopiero co napojony ludzką krwią! Patrzyli na siebie. Ona i on. Matka i syn. I gdy wszystko wyglądało tak, jakby za chwilę mieli się wziąć za łby, Wiktor obwieścił:

– Twoja komórka. Zgubiłaś w karecie.

– Synku! Dziękuję, szukałam jej. *Queria llamarte...* To znaczy, chciałam do ciebie zadzwonić, ale nie miałam z czego – powiedziała jak gdyby nigdy nic.

– Nikt z gości nie mógł ci pożyczyć telefonu?

– Może wejdiesz, usiądziesz z nami? *Vas a comer algo?* (Zjesz coś?) – Zignorowała jego pytanie.

– Nie mamy czasu, mamó. Zrobiłem dziś prawie tysiąc kilometrów. Zapłacę co najmniej kilka stów za mandaty. Bo ty miałaś mieć zawał.

– O, biedaku. Możesz odpocząć na górze. Zostaniesz na noc?

– Nie, mamó, my nie zostaniemy na noc.

Wyciągnął mnie na siłę zza siebie i złapał za rękę tak mocno, że poczułem, jakby ktoś miażdżył mi palce.

– To może zapakuję ci coś do domu? – proponowała dalej.

Miałem mętlik w głowie. Zastanawiałem się, czym uraczyła swoich gości. Obstawiałem cynaderki lub całe prosię z jabłkiem w pysku.

– Pójdziemy już. Dobranoc – oznajmił lodowato.

Piorunem wybiegł z domu, wyciągając mnie za sobą. Ciągle trzymał mnie za rękę. Ledwo zdążyłem się pożegnać. Zatrzymaliśmy się dopiero za furtką. Postawił mnie przed sobą i pocałował tak, że nie mogłem złapać tchu. Przytulił mnie mocno, ja zrobiłem to samo. Staliśmy tak chwilę bez słowa. W końcu przerwał milczenie:

– Po jedenastej już. Jedźmy do domu. Niech ten dzień się wreszcie skończy.

Maj przywitaliśmy we własnym łóżku. Gdy wróciłem spod prysznic, Wiktor już spał. Włożyłem do kontaktu środek przeciw komarom. Usiadłem na brzegu łóżka, patrzyłem, jak spokojnie oddycha. Był jak dziecko. Taki bezbronny. A jeszcze godzinę temu tak o mnie walczył. Tak szalenie podkreślał słowo „my”. Położyłem się obok niego i też zasnąłem. Otworzyłem oczy przed trzynastą. Leżałem w poprzek łóżka z nogami w okolicy tyłka Wiktora. Zacząłem się wiercić, więc też się obudził. Roześmiał się i zaczął mnie łaskotać. Znał moje słabości, a łaskotki były jedną z nich. Nawet najbardziej subtelne sprawiały, że wiłem się ze śmiechu.

Najpierw rozmyślnie mnie zmiękczył, a potem – gdy prawie wszystkie moje mięśnie były już luźne – zaczął się do mnie bezwstydnie dobierać. Udawałem zasnętego, ale na nic się to zdało. Wiedział, że nie umiem mu się oprzeć. Leżałem nago na brzuchu, momentalnie położył się na mnie. Nie, nie było żadnych penetracji i wejść od tyłu. Po prostu na mnie leżał i delikatnie łaskotał językiem mój kark. Był nieogolony, więc czułem przyjemne drapanie. Był zdecydowany, a zarazem tak namiętny w każdym swoim ruchu, geście, dotyku.

Kątem oka zauważyłem siedzącego na balustradzie tarasu szpaka. Patrzył, jak się kochamy. Ja też na to patrzyłem, nasze zespolone ciała odbijały się w lustrze, które – jeszcze przed moim pojawieniem się – Wiktor powiesił na suficie. Gdy o nie pytałem, powtarzał, że trzeba je zdjąć, ale nigdy tego nie zrobił. Skończyliśmy po trzeciej, zdrzemnąłem się jeszcze przez chwilę, a mój mężczyzna szalał w kuchni. Zszedłem na dół w szlafroku, zastałem go w samym fartuszkach. Podawał właśnie farfalle z łososem. Przy obiedzie padła propozycja pójścia na grilla do jego znajomych. Co prawda wcześniej już podziękował za zaproszenie, mieliśmy przecież być na Helu, ale w obecnej sytuacji zdecydowaliśmy, że się wybierzemy. Lubilem Maję i Maćka. Wiktor był świadkiem na ich ślubie, chłopaki znali się z poprzedniej pracy i przyjaźnili od lat. Maćki – bo tak ich powszechnie nazywano – mieszkali na Starym

Żoliborzu w jednej z willi w pobliżu kościoła św. Stanisława Kostki. Dom odziedziczyli po dziadkach Maćka. Był ruiną. Maja tchnęła w niego drugie życie. Z rudery zrobiła cudencko z ogrodem i niezliczoną liczbą pokoi. Jeden z nich zajmowała ich trzyletnia córka Oliwia. Piegowata piękność z burzą rudych loków. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Ona we mnie też. W czasie pierwszego spotkania kupiłem ją tym, że umiem rysować księżniczki.

Uzbrojeni w wino i kwiaty o siódmej stawiliśmy się na Koziętulskiego. Zastukaliśmy kołatką do drzwi. Otworzyła Oliwia w różowym stroju księżniczki z różdżką w ręku i srebrną plastikową koroną na głowie.

– Cary mary, bum! – Machnęła różdżką z kokardkami. – Maaamooo! Wujek Wiktor z mężem psysedł! Wpuścić ich?

– To nasi goście, kochanie, gości zaprasza się do środka – dobiegł nas głos Majki. – Włażcie, chłopaki, włażcie i od razu do ogrodu. Maciek walczy z grillem.

W środku było już kilka osób, znajome twarze. Przywitałem się, ale prawie od razu przejęła mnie Oliwia. Dopiero teraz zauważyłem, że chodzi w za dużych szpilkach Mai. Usiłowała wdrapać się w nich na górę, chciała mi pokazać nowe rybki. Zlitowałem się, wziąłem ją na ręce i poszedłem podziwiać najnowsze nabytki żoliborskiego oceanarium.

– Będziecie u nas dziś spać? – zapytała Oliwia.

– Pewnie będziemy – powiedziałem.

W planach mieliśmy alkohol, a w tym domu było miejsce dla naprawdę wielu gości.

– To dobrze, bardzo się ciesę.

– A czemu się aż tak cieszysz?

– Bo jesteście moimi ulubionymi wujkami. Wies?

Dostałem soczystego całusa w policzek. Teraz zauważyłem, że ma usta wymalowane pomadką z brokatem. Zapewne cały się już świeciłem.

– A ty jesteś moją ulubioną księżniczką. – Pocałowałem ją w czoło.

– Prawdziwą księżniczką – nauczyła mnie.

– Naturalnie, że prawdziwą.

Gdy zrobiło się późno, Oliwię zabrała opiekunka, a dorośli oddali się swoim rozrywkom. Wiktor znów obtańcowywał wszystko, co nie protestowało i było w stanie dotrzymać mu kroku. Taniec z nim to spore wyzwanie. Rusza się jak Ricky Martin w teledysku *Living on my own*. Przy ludziach tańczyłem z nim tylko raz w życiu. Na jakiejś imprezie jeszcze jesienią. Potem, gdy oglądaliśmy fotki, doszliśmy do wniosku, że dwóch tańczących ze sobą facetów wygląda komicznie. Od tamtej nocy tańczyliśmy razem tylko w domu. Po którymś z kolejnych pląsów padłem zmachany na skórzane siedzisko. Popijałem słodkiego drinka z sokiem kokosowym, gdy nagle obok mnie usiadł Maciek.

– Jak się bawisz? – zapytał.

Obaj byliśmy już lekko wstawieni.

– Świetnie! Jak zwykle. Uwielbiam te wasze grille!

– No Hel to nie jest.

– Jest lepiej niż na Helu! – pocieszyłem go.

– Morza nie ma... jodu w powietrzu nie ma.

– Ale ty jesteś, Maja jest. Nie ma dramatu, Maciuś, nie ma dramatu.

Stuknęliśmy się szklankami.

– A czemu nie pojechaliście? – zapytał.

– Pojechaliśmy – oznajmiłem.

– I już wróciliście? To ile tam byliście?

– Pół godziny.

– Ile?!

– Trzydzieści minut, no może trzydzieści dwie.

Pojechaliśmy i wróciliśmy. Tego samego dnia.

Spojrzał na mnie jak na wariata. Ale po chwili coś zaczęło mu świtać.

– Moment. Marta... – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak, Marta. Źle się poczuła i trafiła do szpitala.

Więc wróciliśmy.

– No proszę, już nawet zaczęła chorować... cwana bestia.

– Jak to zaczęła? – zainteresowałem się.

8. To suka!

Wiktor i Maja, zupełnie nie zwracając na nas uwagi, prezentowali na parkiecie kocie ruchy. Tym razem leciał *Testosteron* Kayah. Trudno było mi się jednak skupić na muzyce, bo w uszach ciągle dźwięczały mi ostatnie słowa Maćka.

– Wcześniej nie chorowała? – dopytywałem.

– Nie, to okaz zdrowia. Silna jak koń pociągowy.

– Ona jest już w pewnym wieku. Ma prawo chorować, a już na pewno podejrzewać, że choruje – broniłem jej, choć czułem, że oszukuję sam siebie.

– Nie rozumiesz, o czym mówię, młody.

– A o czym mówisz? Stary...

Zaczął opowiadać. I nie była to opowieść pijaka przy grillu. Wiedziałem, że zanim Wiktor poznał mnie, był w kilku związkach. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Miał przecież trzydzieści jeden lat. Dwa okazały się na tyle istotne, że przedstawił facetów Maćkowi i Majce, a także Marcie i ojcu, który wtedy jeszcze żył. Nigdy nie pytałem o powody i okoliczności zerwania tych znajomości. Przeszłość to przeszłość i o ile nie rzutuje na nasze obecne stosunki, nie jest ważna. Tej nocy

poznałem jednak prawdę. Marta nie lubiła żadnego z facetów Wiktora. Obydwu przepędziła. Nie wprost, nie bezceremonialnie. Wszystko w białych rękawiczkach. Co ciekawe, zrobiła to niemal na odległość, z Madrytu. W pierwszym przypadku zajęło jej to niecałe trzy miesiące. Chłopak miał na imię Darek, był hydraulikiem. Marta wmówiła Wiktorowi, że to nie jest partner dla niego. Bo biedny, bez studiów, z innego świata. Byli nawet kiedyś razem w Madrycie. Na zaproszenie Marty oczywiście. Wakacje skończyły się katastrofą. Publicznie wytykała Darkowi każdy błąd, najmniejsze *faux pas*. Wyśmiewała go, a on nie umiał się bronić. Rzeczywiście nie był oszałamiająco błyskotliwy, ale ona go poniżyła i ośmieszyła. Nie wytrzymał tego i odszedł. Z drugim facetem syna było trudniej. Przemek studiował filozofię i był naprawdę bystry. Posunęła się więc do szantażu emocjonalnego. Zażądała, żeby Wiktor stale był przy ojcu, bo lekarz daje mu tylko kilka tygodni życia. Te kilka tygodni trwało ponad półtora roku. W tym czasie Wiktor i Przemek widywali się raz na kwartał albo i rzadziej. A gdy Remigio zmarł, Marta wpadła w depresję i potrzebowała pomocy syna. Wiktor wrócił do Warszawy dopiero po roku, ale wtedy nie miał już do kogo. Przemek odszedł kilka miesięcy wcześniej. Od tej pory Wiktor nikogo jej nie przedstawiał.

– Czyli mamy kandydatkę do tytułu Złamas Roku w kategorii „Teściowa” – powiedziałem sam do siebie

w ramach podsumowania.

– Co takiego? – zapytał Maciek.

– Złamas Roku. Mamy z Niną taki wewnętrzny plebiscyt. – Pokróćce opisałem mu zasady.

– Piękne, wchodzę w to! Mogę kogoś zgłosić?

– Jasne! To otwarty konkurs! – zażartowałem, ale myślałem o czymś znacznie ważniejszym. – Mnie Wiktor przedstawił Marcie – powiedziałem.

– A mamunia natychmiast przeszła do ofensywy – skwitował Maciek.

– Nie traci czasu...

– I nie z Madrytu, tylko z Konstancina. Pamiętaj, to suka. Twoja teściowa to suka.

– Może raczej modliszka.

– Darka i Przemka pożarła bez reszty.

– A teraz zasadza się na mnie.

– Ale ty się nie dasz!

– Co radzisz? – zapytałem.

– Po pierwsze, nie informować jej o waszych planach. Po drugie, nie bywać tam za często. A po trzecie, porozmawiam z Wiktorem przy okazji. Zresztą on nie jest ślepy. Widzi, co się dzieje.

– Mam nadzieję, że widzi. A z czego wynika ta jej niechęć do wybranków syna?

Poczułem się trochę jak w gabinecie psychologicznym.

– Są dwie teorie – zaczął. – Maja twierdzi, że ona nie jest pogodzona z pedalstwem Wiktora. Gdyby pojawiła

się kobieta, byłoby łatwiej. Nie byle jaka oczywiście, ale za płeć miałyby dodatkowe punkty.

– Ale ona, taka światowa, artystka? Pewnie ma gejów wśród znajomych.

– To katolka. Zakłamana pipa. Tolerancyjna, ale bez przesady. Jej syn i takie świństwa? To nie uchodzi! Dulska.

– A druga teoria? – Byłem ciekaw.

– Kasa. Ona myśli, że każdy czai się na jej majątek.

– Na co? – Uśmiechnąłem się.

– Na dom, na samochód, na biżuterię, na obrazy, kasę. Trochę tego mają.

– Ja nie chcę jej domu! – prychnąłem.

– Ty to wiesz i ja to wiem, ale ona myśli, że jest inaczej.

– Tak, kurwa! Upatrzyłem sobie Wiktora ze względu na majątek jego matki! To chore!

– Chore czy nie, tak jest i już. Napijmy się. Za wszystkie modliszki! Zalejmy modliszki! – wzniósł toast Maciek.

Nieoczekiwanie pojawił się obok nas Wiktor. Przyłączył się do toastu. Oficjalnie piliśmy za wejście Polski do Unii Europejskiej, bo od kilku godzin staliśmy się członkiem wspólnoty. Wiktor był wielkim orędownikiem jedności Europy, świętował zatem z podwójnym entuzjazmem. Porwałem go w objęcia i pokręciliśmy się jeszcze trochę w rytm muzyki. Był to już ten etap imprezy, gdy leciały przeboje Fasolek

i Lambada. *Kaczka Dziwaczka* zawsze podrywała wszystkich z miejsc, ale zwiastowała też rychły koniec zabawy. Dochodziła czwarta nad ranem. Niebo już jaśniało, a towarzystwo rozchodziło się do domów. My wzięliśmy szybki prysznic i zajęliśmy przeznaczony dla nas pokój. A rano odkryliśmy w naszym łóżku Oliwię, która musiała cichaczem wcisnąć się między swoich ulubionych wujków. Maja nie byłaby sobą, gdyby nie uwieczniła tej chwili na zdjęciu. Na rozłożonej kanapie widać błękitną pościel. Wiktor przykryty od pasa w dół, ja dokładnie odwrotnie. Jesteśmy zwrócenii do siebie twarzami, a między nami na kołdrze śpi Oliwia z otwartymi ustami i szmacianą lalką. Zdjęcie przykleiliśmy na kominku w naszym mieszkaniu.

Tego samego dnia Wiktor przelał na konto Roberta pięć tysięcy złotych. Wcześniej dłuższą chwilę rozmawiali przez telefon. Ustalali formę i czas spłaty długu. Nie wspominał o szczegółach tej rozmowy, a ja nie pytałem. W końcu to nie moje pieniądze. Nie rozmawiałem też z Robertem. Ostatni raz kontaktowaliśmy się, gdy podczas jazdy na Hel napisałem mu SMS, że Wiktor zgadza się na pożyczkę. Nie wiedziałem, kiedy miał się odbyć zabieg, ani kto miał go przeprowadzić. Miałem tylko nadzieję, że ten ktoś jest profesjonalistą, że nie zrobi Darii krzywdy i nie sprawi, że już nigdy nie będą mogli mieć dziecka.

Kolejne wiosenne tygodnie upłynęły na

przygotowaniach do sesji letniej i planowaniu wyjazdu do miasteczka. Musiałem odebrać z urzędu miasta nowy paszport. Dostałem też ciekawą propozycję z lokalnej gazety, z którą – mieszkając w miasteczku – już współpracowałem. Wówczas musiałem zrezygnować, bo z Warszawy trudno byłoby zajmować się lokalnymi sprawami. Tymczasem oni chcieli, żebym znów dla nich pisał. Byli zainteresowani wywiadami ze znanymi ludźmi, którzy z różnych powodów odwiedzali miasteczko. Politycy, artyści, pisarze. Mogłem się z nimi umówić na rozmowę w Warszawie, a materiał przesłać e-mailem. Bardzo mi to odpowiadało. No i płacili 300 złotych za wywiad. Czyli dodatkowe 600 zł miesięcznie! Musiałem tylko podpisać umowę. Naturalnie chciałem się też zobaczyć z Marią i Matyldą. Nadarzyła się okazja, by wszystkie sprawy załatwić za jednym zamachem. Należało jednak tak to zaplanować, by nie natknąć się na mamę. Co wcale nie było proste na tak małym obszarze. Ale miałem plan. Podjeżdżamy pod redakcję, podpisuję, co mam podpisać, i jedziemy po paszport. Potem do Matyldy. Tam czeka już Maria. Spędzamy miło czas, a potem dzida z powrotem do Warszawy. Na wszelki wypadek, za radą Maćka, Marta nie została wtajemniczona w plan wyjazdu. Podobnie jak mama Matyldy. Pracowała do osiemnastej, więc mieliśmy dla siebie cały dzień. Postanowiliśmy jechać tuż po sesji. Za nieco ponad miesiąc. Ostatni był egzamin z historii myśli politycznej, a pierwszy z prawa

autorskiego. Zamierzałem się solidnie pouczyć. Wiktora wyprawiłem na siłownię, a sam czytałem o różnicach między autorskim prawem osobistym a prawem majątkowym, gdy rozdzwonił się domofon. Na dole stał Robert.

9. Konserwatywny gej

Czekałem na niego oparty o framugę drzwi z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Przez kilka sekund ćwiczyłem przed lustrem miny, żeby niechcący nie przywitać go tak, jakbym witał zabójcę nienarodzonych dzieci. Czasem moja mimika żyła własnym życiem i twarz przybierała grymasy, na które nie miałem wpływu. Robert dotarł na górę wyjątkowo szybko.

– Jest Wiktor? – zapytał, gdy podawał mi rękę.

– Nie, poszedł na siłownię.

– Sam?

– Tak, miałem się uczyć. Ma zakaz wracania przed dziesiątą.

– Przeszkadzam ci?

Zawahał się, czy wejść.

– Nie, spoko.

– Zawsze jak wchodzę do tej chaty, zastanawiam się, czy się kiedyś czegoś takiego dorobię – powiedział, siadając w fotelu.

– On się nie dorobił. Dostał od rodziców – wyjaśniłem.

– Ale ma...

– To tylko przedmioty. – Przetawiałem wentylator tak,

żeby chłodne powietrze leciało też na Roberta. – Pijesz coś?

– Wodę, z lodem.

– A jak życie? – zapytałem z kuchni, szarpiąc się z wmontowaną w lodówkę maszynką do lodu.

– Pytasz o życie poczęte czy narodzone?

– A o jakim chcesz porozmawiać? – odbiłem piłeczkę.

Włączyłem płytę *Bedtime Stories* Madonny.

– Powiedz mi – zaczął – jak to, kurwa, jest? Ty taki liberalny, gej, krytykujesz mnie za aborcję?

– Ja cię nie krytykuję. Przyjmuję wasz wybór, chociaż mam inne zdanie. Nie oczekuj, że będę skakał do góry.

– Na tych wszystkich marszach feministki przecież walczą o prawo do aborcji.

– Ja nie jestem feministką – podkreśliłem.

– Geje walczą o swoje prawa, o legalizację.

– Nie widzę związku – powiedziałem.

Skupiłem na nim wzrok.

– A ja widzę. – Brzmiał, jakby nauczył się swojej przemowy na pamięć. – Chodzi o szeroko pojętą wolność jednostki. Wy chcecie robić, czego dusza zapagnie, ale gdy ja chcę zrobić to, na co mam ochotę, to jest afera. Gdzie twój liberalizm? Został w miasteczku? – zakpił.

– Czyli będąc gejem, mam mieć identyczne poglądy jak feministki? Taki owczy pęd?

– No nie, ale ty gadasz jak konserwatysta jakiś. Z PiS-

u.

– Nie, Robert. Ja gadam jak ktoś, kto myśli i ma swoje zdanie. Nie łykam wszystkiego jak młody pelikan. Może to nieprawdopodobne, ale czasem zachodzą mi pod czapką procesy myślowe, z których tworzę własne poglądy. I zapewniam cię, daleko im do konserwatywnych. Powiedziałbym, że są raczej wyśrodkowane z lekkim odchyleniem w lewo. Skrajności nie są dobre.

– Ale za zabieg mnie gnoisz.

– Nie chcę już o tym gadać. Stało się i się nie odstanie. Nigdy więcej do tego nie wracajmy.

Madonna śpiewała *Human Nature*, a ja w myślach powtarzałem sobie: Nie oceniał! To nie twoja sprawa! Chociaż w sercu już przyznałem im tytuł Złamasów Roku w kategorii „Kochający Rodzice”. Próbowałem się ochłodzić zimną wodą, ale niewiele pomogło. Poczuję, że ruszają mi się kości policzkowe. To taki tik, gdy wzbiera we mnie rozdrażnienie.

– Nic się nie stało – powiedział, zaglądając mi głęboko w oczy.

– Zależy, z której strony się na to patrzy. Zamykam już ten temat – usiłowałem skończyć tę dyskusję.

– Daria nadal jest w ciąży – wyznał nieoczekiwanie. – I będzie.

– Czyli? – Nie byłem pewien, czy dobrze rozumiem.

– Czyli wygrałeś. Będę tatusiem. W styczniu, za osiem miesięcy.

– Aaaa! – Byłem przeschczęśliwy. – To nie ja wygrałem, tylko wy! – krzyknąłem.

– To się okaże. Ryzykujemy.

– Co was przekonało? Ja?

Skromność nigdy nie była moją mocną stroną.

– Będziesz, kurwa, ojcem chrzestnym! – wypalił.

Nie wiedziałem, czy groził, czy zapowiadał.

– O nie! Do tego trzeba się wypowiedzieć, a ja konfesjonały omijam szerokim łukiem.

– To takim nieoficjalnym, ale od przewijania i mycia dupy się nie wymigasz! Chciałeś dzieciaka? To będziesz miał! – Zaśmiał się.

– Nie ma problemu. O każdej porze dnia i nocy! – zaoferowałem.

– Każdy tak gada, a potem sorry, wasze dziecko, wasz kłopot.

– Robert, jestem z was taki dumny! To co? Po winie z tej okazji?

– Następnym razem, muszę spierdalać, bo Daria zaraz wróci do domu. Teraz ojciec rodziny jestem. Koniec z piciem.

– Rodziny? Bierzecie ślub?

– Chyba na razie nie. Trzeba trochę kasiory przyoszczędzić. Dziecko w drodze. A co do kasy. Dziś pieniądze wróciły na konto Wiktora.

– OK, powiem mu. A Daria w ogóle poszła na ten zabieg?

– Nie, tego dnia wstała wcześniej rano. Jak wszedłem

do kuchni, to siedziała przy stole i powiedziała, że się rozmyśliła. Ucieszyłem się. To jednak nasze dziecko. Nie?

– No wasze. I trochę moje. – Zrobiłem dumną minę.

Robert się zmył, a ja nie mogłem się już skupić na nauce. Rozpierała mnie radość. Za kilka miesięcy przyjdzie na świat takie małe różowe coś. Będzie jak plastelina. Miękkie i ciepłe. Łatwe do uformowania. Będzie można kształtować jego charakter, zachowania, pasje, talenty, wartości. Patrzyć, jak rośnie, dojrzewa, buntuje się. Wyprodukować lepszą wersję siebie. Kochać je. Czuję, jakbym to ja miał to wszystko robić. Ogarnęła mnie ojcowska miłość. Irracjonalna, urojona, nieokiełznana. Nawet przerażająca, bo tak łatwo wszedłem w rolę ojca i tak bardzo mi się to spodobało. Chciałem delektować się tym smakiem. Wypić go do dna, a jednocześnie zostawić coś na później. Na czarną godzinę. Edyta Bartosiewicz śpiewała *Miłość jak ogień*, a ja tańczyłem. Tak dawno tego nie robiłem, zapomniałem, jak wielką sprawia mi to frajdę. I nawet nie spostrzegłem, że w drzwiach stoi Wiktor. Nagle muzyka ucichła.

– Tu mieszkają ludzie. Wiesz, która jest godzina? – syknął.

– Będzie dziecko! Nie usunęli! – krzyknąłem i rzuciłem mu się na szyję.

– Co? – Rozplótł moje ręce i szybkim krokiem poszedł do kuchni.

Pobiegłem za nim.

– Robert i Daria. Nie usunęli ciąży!

– To jest taki problem, żeby wstawić naczynia do zmywarki?

Pomieszczenie wypełnił arktyczny chłód.

– Ty mnie słuchasz? – zapytałem zmieszany.

– Tak, a ty mnie?

– O co ci chodzi?! – Udzielił mi się jego podły nastrój.

– O to, że setki razy cię upominałem. A ty masz wciąż problem z nauczeniem się, że naczynia wstawia się do zmywarki. Nie do zlewu.

– I to jest ważniejsze od tego, co ci powiedziałem?

– Wiesz, jak mnie wkurwia, gdy coś jest w zlewie.

– A wiesz, jak mnie wkurwia, gdy mnie olewasz?!

– Jak? – Celowo podgrzewał atmosferę.

– Bardzo! Na tyle bardzo, że możesz sobie dziś spać ze zmywarką!

Wyjąłem ze zlewu trzy talerze, dwie szklanki, kubek i kilka sztućców i wrzuciłem je do zmywarki, nie bacząc na to, czy coś się potłukło.

Poszedłem do sypialni po kołdrę i poduszkę. Przeniosłem je do pokoju dla gości i urządziłem sobie poślanie. Dalej pod prysznic. W drodze między łazienką a pokojem Wiktor próbował coś powiedzieć, ale tuż przed trzaśnięciem drzwiami posłałem w jego kierunku soczyste: wal się. Co z pewnością nie poprawiło sytuacji. Niech sobie siedzi przy tej zmywarce, a potem

poustawia kubki od największego do najmniejszego albo według jakiegoś innego pojebanego schematu, którego nigdy nie zrozumie. Pedant pieprzony. Kocham go, ale wyrzutów dotyczących porządku nie zniosę. A na pewno nie w takiej formie! I ten jego bufoński ton. Jakby zlew się co najmniej urywał pod ciężarem zgromadzonych w nim naczyń. Wiktor dziś przeszedł samego siebie. Ja mu o ratowaniu życia, on mi o garach! Co to za rozmowa?! O nie! Tak nie będzie. Ja w sprawie naczyń nad sobą pracuję. Staram się nie roznosić, nie zostawiać. Teraz czas na niego. Świat nie może się kręcić wokół misek i talerzy! Przecież on, gdyby mógł, to nawet skarpetki poukładałby w szufladzie od czarnych przez różne odcienie szarości do białych. To jakaś fobia! W naszym domu kłótnie wybuchają stosunkowo rzadko. A jeśli już, to zawsze albo o naczynia, albo o skarpetki.

W nocy nie zmrużyłem oka, układałem w głowie dwie mowy. Pierwsza była pojednawcza, druga – na wypadek, gdybym musiał przejść do kontrofensywy. Niestety obie wylądowały w koszu. Rano Wiktor nie miał mi do powiedzenia zupełnie nic. Gdy wstałem, już go nie było. Zostawił mi tylko kanapki na stole. Gniewał się. Ewidentnie. Trochę się przestraszyłem. W tym mieszkaniu da się pogniewać i nigdy nie pogodzić. Jest tak duże, że – jeśli bardzo się chce – można się nie spotkać.

Zjadłem śniadanie i snułem się z kąta w kąt.

W związku z tym na wydziale wylądowałem wyjątkowo wcześniej. Nina nie dotarła, nie odbierała też telefonu. Napisała jedynie lakoniczny SMS, że boli ją ząb. Równie lakonicznie poradziłem wizytę u dentysty, ale nie wiem, czy posłuchała. Na uczelni pachniało już raczej sesją niż zajęciami. Prawdę mówiąc, poszedłem tam z nadzieją na jakieś wpisy potwierdzające zaliczenie wykładów monograficznych. Czasem rozdawali je za darmo. A monografie są niezbędne do skończenia studiów. Jednak dziś nic nie udało mi się upolować. Jedyнным łupem były terminy egzaminów. Na Bobrowiecką wróciłem piechotą. Kupiłem po drodze czerwone tulipany i składniki na ratatuj. Paprykę w różnych kolorach, cebulę, bakłażan, czosnek, cukinię. Do tego przyprawy i zioła. Danie robi się szybko, kosztuje niedużo i Wiktor bardzo je lubi. On przygotował śniadanie, ja też zrobię krok do zgody. Miałem nosa. Mieszałem w garnku podduszone już porządnie warzywa, gdy usłyszałem dźwięk domofonu. Szybko włożyłem w uszy słuchawki i włączyłem muzykę. Na tyle cicho, żeby słyszeć zbliżające się kroki. Postanowiłem udać zaskoczonego. Nie byłem pewien wyniku tego testu. Podejdzie czy nie? Hasałem po kuchni w bokserkach i podkoszulku, gdy usłyszałem klucz przekręcany w zamku. Nie odwróciłem się. Mieszałem energicznie warzywa, ale próbowałem wsłuchać się w to, co dzieje się za mną. Problem w tym, że nic nie słyszałem. Ani kroków, ani oddechu, ani

zapachu, niczego. Moje postanowienie legło w gruzach.
Nie wytrzymałem. Energicznie, niczym żołnierz
w czasie musztry, wykonałem w tył zwrot.

10. Kochanie? Żyjesz?

Stał naprzeciw mnie, nasze twarze dzieliło dosłownie kilka centymetrów. Patrzył mi w oczy, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Wypuścił z ręki skórzaną teczkę, zdjął mi z uszu słuchawki, z których dobiegały dźwięki *Take Me Out* Franza Ferdinanda. Jednym ruchem zgrabnie upuściłem drewnianą łyżkę, którą sekundę temu mieszałem w garnku. Objął mnie i przyciągnął do siebie. Bez słowa zaczęliśmy się całować. Łapczywie, namiętnie. Uznałem, że się przeprosiliśmy. Miałem brudne ręce, sos był wszędzie. Na jego garniturze, białej koszuli i krawacie. Wiktor podniósł mnie do góry, chciałem zapleść nogi wokół jego pasa, ale błyskawicznie doszedłem do wniosku, że to zbyt oklepane. Miał inny pomysł, posadził mnie na blacie kuchni. Zrobiło się naprawdę gorąco. I to dosłownie. Na płycie kuchennej cały czas stał garnek. Zdażyłem tylko zawyć. Momentalnie odepchnąłem się od blatu. I zaczął się lot w kierunku podłogi. Trwał sekundę. W międzyczasie zamknąłem oczy i, gdy było już po wszystkim, bałem się je z powrotem otworzyć. Czułem, że leżę na Wiktorze i że nic mnie nie boli. Zapadła

grobowa cisza.

– Kochanie? – wyjąkałem. Nie usłyszałem odpowiedzi, więc zapytałem znów: – Wiktorku? Żyjesz?

Zerwałem się na równe nogi. Patrzyłem na niego z góry. Leżał nieruchomo. Może uderzył głową w podłogę? Chyba nie oddycha, pomyślałem spanikowany. Kim ja teraz będę? Wdową? Wdowcem? Co zrobię sam? Przecież to się nie może tak skończyć! Tak się nie kończy wielka miłość. Ale do głowy wdzierały się też inne myśli. Przecież Marta najpierw obedrze mnie ze skóry, a potem oskarży o morderstwo. Publicznie mnie zlinczuje i wpakuje do więzienia na długie lata. Chwyciłem komórkę, uklęknąłem i przyłożyłem ucho do ust Wiktora. Próbowałem usłyszeć jego oddech. Byłem o krok od wybrania 112, gdy coś usłyszałem.

– Wal się – wyszeptał.

I zaczął się przeraźliwie śmiać. Rechotał coraz głośniej, wprost do mojego ucha, które ciągle trzymałem przy jego ustach. Usiadłem obok niego i patrzyłem. Miałem dwa wyjścia. Obrazić się ponownie albo też się roześmiać. Rozluźniłem się, przerażenie minęło całkowicie.

– Chyba strzelę focha! – zakomunikowałem i niezdarnie próbowałem zdusić wzbierający we mnie śmiech.

Położyłem się obok Wiktora, znów się całowaliśmy i tarzaliśmy po podłodze. Jednak na włączonej kuchence

wciąż stał garnek z obiadem. Jeszcze sekunda i zacząłby się palić. Chichocząc, podniosłem się i zdjąłem ratatuj z płyty. Zjedliśmy na tarasie, popijaliśmy wino i rozmawialiśmy. Po wczorajszych niesnaskach nie było śladu. Z nas dwóch to ja jestem zdecydowanie większym zakapiorem. Codziennie, z różnym skutkiem, staram się z tym walczyć. Próbuję nie unosić się honorem z byle powodu, być bardziej tolerancyjny dla ludzkich słabości i nie tworzyć wydumanych problemów. Wiktor też robił postępy. Nie rzucił się do wynoszenia brudnych naczyń natychmiast po jedzeniu. Urządziliśmy sobie sjęstę. Ułożyliśmy się na hamaku i zapadliśmy w sen. Aż dziwne, że ten hiszpański zwyczaj nie przyjął się u nas. Może dlatego, że po takiej drzemce żaden Polak nie potrafiłby się zmusić do dalszej pracy? Gdy się przebudziłem, stół był posprzątany, a Wiktor leżał obok mnie i czytał *Jadąc do Babadag* Andrzeja Stasiuka.

– Ty siwiejesz, kochany – stwierdziłem po otwarciu oczu, wpatrując się w czarne kręcone włosy mojego mężczyzny, pośród których wypatrzyłem kilka jasnych nitek.

Z nieznanых bliżej powodów pomyślałem o włosach na jego ciele. Tam nie siwiał. Nigdzie. Był dość pokaźnie zarośnięty. I do tego ładnie. Piersi, potem węższy paseczek i znów mocniej na brzuchu. A na dole tak w sam raz.

– Widzisz, do jakiego stanu mnie doprowadziłeś? – zażartował z nosem w książce.

– Ależ ty jesteś biedny. Masz ze mną krzyż pański – ironizowałem.

– Trochę miałeś pietra, jak leżałem bez ruchu w kuchni?

– Chyba żartujesz. Wiedziałem, że udajesz – skłamałem nieudolnie. Przez kilka chwil naprawdę się bałem.

– Idziemy biegać? – zaproponowałem.

– Dasz radę? – usiłowałem go zniechęcić. Nie chciało mi się ruszać.

– Idź się przebierać i nie marudź.

Dopiero teraz zobaczyłem, że ma już na sobie strój do biegania. Czekał tylko, aż się obudzę.

Po chwili byliśmy już na trasie. Sunęliśmy Czerniakowską w kierunku stadionu Legii. Wiktor zwawo i bez symptomów zmęczenia, a ja za nim. Jak ta lokomotywa z wiersza Tuwima, tyle że w moim przypadku nic nie wskazywało na to, żebym miał się rozpędzić. Bardziej pasowały do mnie wersy „stoi i sapie, dyszy i dmucha” i „już ledwo sapie, już ledwo zipie”. Trzeba było chodzić na siłownię. Teraz nie miałbym problemu, żeby dotrzymać mu kroku. Mknął przed siebie, tylko mu kucyk do góry podskakiwał. Do Legii jakoś się dowlokłem, ale bieg w drugą stronę groził śmiercią.

– Możemy wrócić autobusem? – zaproponowałem.

– Możemy wrócić spacerkiem. Musimy pogadać – powiedział poważnie.

– Ale nie o naczyniach? Proszę. – Chciałem rozładować napięcie.

– Chodzi o mamę.

– Czyją?!

– Moją.

– Co z nią? – przerwałem pytanie w połowie. Ciąg dalszy miał brzmieć: Znów zachorowała? Jednak to zostawiłem dla siebie.

– Będzie remontować dom. Gruntownie.

– To nic strasznego. Chyba że masz rozrabiać beton i kłaść kafelki. Wówczas nie wróżę sukcesu.

Spojrzałem na niego z rozbawieniem.

– Jasne, że nie. Ma ekipę.

– A po co jej gruntowny remont domu? Przecież mieszka w Madrycie. A tu tylko bywa.

– Chce się przenieść do Polski.

Na dźwięk tych słów zapaliło mi się w głowie ostrzegawcze światełko.

– Aha.

Zduśliłem w sobie pytanie: po co?

– Powiedziała, że chce umrzeć w Polsce.

– I w wyremontowanym domu – wyrwało mi się.

W tym momencie usłyszeliśmy głośny huk i niebo przeciął biały błysk. Zamiast uciekać do domu, obydwaj zadarliśmy głowy do góry i czekaliśmy, co będzie dalej. Burza zawsze mnie fascynowała. Budziła respekt, lecz także podświadomą sympatię. Wiedziałem, że panicznie boi się jej mój ojciec. Gdy był dzieckiem, piorun

uderzył w jego dom. Niegroźnie, zniszczył tylko komin i kilka dachówek, ale od tamtej pory burza była dla niego męką. Wiele razy przychodziła mi z pomocą. Gdy pijany wpadał w szal i chciał mnie uderzyć, często ni stąd, ni zowąd nad miasteczko nadciągała burza. Była moim wybawieniem. Ojciec bladł i kulił się w sobie. Opuszczała go cała złość. Kiedy widziałem, że długo nie wraca po pracy do domu – co było równoznaczne z tym, że będzie pijany i w złym humorze – kładłem się na trawie i zaklinałem niebo. Często się udawało i zasnuwały je ciemne chmury. Okazywały się wystarczającym straszakiem. W domu był spokój. Nie wiedziałem, czy także tym razem burza to znak, zresztą nie miałem czasu tego rozważyć. Wiktor złapał mnie za rękę i pognaliśmy przed siebie. Deszcz dopadł nas przy ulicy Gagarina. Ludzie biegli do domów, zakrywając głowy, błyskawicznie tworzyły się kałuże, przez które musieliśmy skakać. Loczki Wiktora zaczęły się prostować, a tuż przed wejściem do klatki zupełnie oklapły.

– Zaczekaj chwilę. Popatrzmy, jaką żywioł ma moc – zatrzymałem go, gdy byliśmy już pod daszkiem.

– Ale balkon w sypialni jest otwarty! – protestował.

– Zamknąłem, gdy poszedłem się przebrać.

– I tak będziemy patrzeć, jak pada? – Nie rozumiał mojego zachwytu.

– Tylko chwilkę. Przytul mnie.

Staął za mną. Oparł mokrą brodę na moim

ramieniu. Z nosa i włosów kapała mu woda. Niebo szalało, a ja wdychałem mokre powietrze. Wiedziałem, że nic mi nie grozi. Nie bardzo też rozumiałem, o co dziś burzy chodzi. Przez chwilę pomyślałem, że być może coś dzieje się w domu, ale nie miałem ochoty tego sprawdzić. Niestety okazało się, że problem nie jest w miasteczku. Był znacznie bliżej. Tuż obok.

11. Ona i my

Rano nie miałem siły zwlec się z łóżka. Zakwasy krzyczały przy każdej, nawet najmniejszej próbie ruchu. Niestety nie mogłem sobie odpuścić uczelni. Musiałem pojechać po wpisy z ćwiczeń. Niczym kaleka ruszyłem do łazienki. Ciepły prysznic pomógł na tyle, że przestałem stękać. I Wiktor był dziś wyjątkowo troskliwy. Ja tylko siedziałem i jadłem, a mój ukochany skakał nade mną i usługiwał. Dostałem nawet kanapki na zajęcia. Były tak piękne, że pożerałem je oczami. W podstawówce zazdrościłem dzieciom, które przychodziły ze ślicznie wyglądającymi kanapkami. Kuchennymi dziełami sztuki. Moje wyglądały jak kupa. Po prostu wędlna włożona między kromki. Bez pomysłu, bez koloru. To samo dotyczyło prezentów świątecznych. Od zawsze lubiłem kolorowy błyszczący papier, kokardy i atmosferę, która towarzyszy rozpakowywaniu takich upominków. U Matyldy święta były bajkowe, a pięknie opakowany drobiazg wywoływał lawinę radości. U nas prezenty dawało się w obrzydliwych plastikowych torbach z Mikołajem lub jakimś nawiązującym do świąt bohomazem. I choćby w środku było coś najcudowniejszego, to wygląd

prezentu zniechęcał. Wiktor na szczęście czuł tak samo. I zarówno jego prezenty, jak i kanapki wyglądały jak z katalogów, które mój ojciec przywoził kiedyś z NRD. A tego ranka mój facet złożył mi też ofertę nie do odrzucenia. Nie musiałem jechać autobusem.

– Czemu nic nie mówisz? – zaczepiłem go, gdy już siedzieliśmy w aucie.

– Bo nie wiem, jak powiedzieć to, co chcę powiedzieć – wyznał ciężko.

– Normalnie. Najlepiej od początku.

– Już wczoraj się zbierałem, ale deszcz mi przeszkodził.

– No mów. – Udawałem przygotowanego na wszystko, a tak naprawdę czułem, że nie będzie łatwo.

– Chodzi o remont w Konstancinie.

– No i? – Przekręciłem głowę w jego stronę.

– Ma potrwać dwa tygodnie.

– No i?! – Zacząłem się niecierpliwić.

– I na ten czas mama chce się do nas przenieść.

– No i?! – powtórzyłem po raz trzeci, luzując pasy.

– Zgadzasz się?

– Wiktor – zacząłem, opadając na fotel – ja tu tak naprawdę mam niewiele do powiedzenia. To jest twój dom i co ważniejsze twoja matka.

– To jest nasz dom, a moja matka jest trudna.

Z tym drugim nie mogłem się nie zgodzić.

– I tylko dlatego, że jest trudna, ma zamieszkać na Centralnym?

– Nie, może wyjechać na ten czas do Madrytu.

– Może i nie może. Zależy, jak patrzeć. – Nie miałem pomysłu na mądrzejszą odpowiedź.

– Zgadzasz się? – powoli pytanie.

Wjechaliśmy w Nowy Świat. Nie czułem się na siłach, by kończyć tę rozmowę teraz. Mieliśmy podjąć decyzję wieczorem. Pożegnaliśmy się i pobiegłem na wydział.

Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym powiedzieć, że się nie zgadzam. Bo niby czemu? Marta jest matką. Suka, ale jednak matką. W dodatku w potrzebie. Czy chcę, czy nie, zamieszka z nami. Dwa tygodnie to nie tak długo. Jakoś się przemęcę. A może to będzie okazja, żebyśmy się lepiej poznali? Może nawet polubili albo choć zaakceptowali? Podzieliłem się tą myślą z Niną, a ta w odpowiedzi zachłysnęła się kawą, którą właśnie kupiła.

– Masz chusteczkę? – Spojrzała na swoją pomarańczową dopasowaną sukienkę bez rękawów. – Kokarda mi się ubrudziła.

– Mam, czekaj.

Zacząłem ją wycierać.

– Czy tobie jeszcze mało jest nauczek? – zapytała. – Po zeszłorocznych przygodach nie zrozumiałeś, że ludziom nie można tak ślepo wierzyć?

– Zrozumiałem. Kretyn by rozumiał. Nie wierzę w dobre intencje Marty. Rzecz w tym... nie przerywaj

mi... że nie mogę powiedzieć, że się nie zgadzam.

– Skoro cię zapytał, to najwyraźniej liczy się z twoim zdaniem.

– Wiem, ale to jego matka.

– Która cię nie cierpi. To taki szczegół, gdybyś przypadkiem zapomniał. – Zrobiła drwiącą minę.

– A ty byś odmówiła, gdyby matka Karolka poprosiła o nocleg? Łatwo kogoś pouczać...

– Dwa tygodnie to nie jeden nocleg! – zauważyła.

– Oj, nie odwracaj kota ogonem.

– Nie wiem, czy bym odmówiła, zależy, jakie miałabym z nią stosunki.

– I zależy to też od tego, czy mieszkałabyś wtedy u Karola, czy on u ciebie. Taka jest prawda.

– Ale ty nie jesteś gościem w tym domu! Tylko równoprawnym mieszkańcem! Wiktor to wie, a ty masz, zdaje się, problem z pojęciem tej prostej prawdy. Chcesz, żeby ona z wami mieszkała, czy nie? – Nie zostawiła miejsca na dyskusję.

– Nie chcę! – krzyknąłem, aż ludzie się za nami obrócili.

– Więc mu to powiedz. Koniec tematu!

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Pospiesz się, bo nie zdążymy do babki od ekonomii.

Pognaliśmy przed siebie. Zbieraliśmy wpis za wpisem. Szło wyjątkowo gładko. Gdy odbieraliśmy wpis ze stylistyki praktycznej, dowiedzieliśmy się, że

jedna ze stacji radiowych szuka stażystów na wakacje. Dwa, trzy razy w tygodniu. Przez dwa miesiące. O ile Nina miała już naprawdę imponujący dorobek, w którym roiło się od zdobytych jeszcze w liceum nagród, wygranych olimpiad, publikacji w różnego rodzaju gazetach, o tyle ja nie miałem się czym pochwalić, a na pewno nie były to doświadczenia z ogólnopolskimi mediami. Ona od zawsze marzyła o radiu, a dla mnie była to szansa na pierwszy poważny wpis w mocno zaniedbanym CV. Zapisaliśmy namiary. Tournée po wydziale uznaliśmy za udane i każde z nas pobiegło do swoich spraw. Ja do książek, bo nie byłem takim geniuszem jak Nina, która po prostu wszystko wiedziała. A ona do fryzjera na kolejny etap przyciemniania włosów. W tej chwili były już ciemnośłomkowe. Do pełni szczęścia brakowało jeszcze trzech, może czterech wizyt.

Z autobusu próbowałem dodzwonić się do Marii. Zaniepokoiłem się. Od kilkunastu dni albo nie odbierała, albo miała wyłączoną komórkę. Pocieszałem się, że gdyby stało się coś złego, mama na pewno by mnie poinformowała. Lubowała się w przekazywaniu ploteczek. Kto zmarł, kto się urodził, kto w szpitalu, kto w ciąży.

Przez cały czas z tyłu głowy miałem też plan rozmowy z Wiktorem. Gdy wróciłem, nie było go jeszcze w domu. Otworzyłem paluszki i usiadłem do książek. I nawet nie wiem, kiedy przerobiłem prawo

autorskie. Weszło mi dość gładko. Gdy wysyłałem e-mail do radia, postanowiłem, że powiem Wiktorowi to, co podpowiada mi serce, a nie rozum.

12. Jak Czarny Roman

Wiktor wszedł do mieszkania, a ja natychmiast się spałem. Siedziałem tyłem do drzwi, udawałem pogrążonego w lekturze i czekałem na rozwój wydarzeń. Słyszałem, jak kładzie teczkę na szafce, jak zdejmuje buty i marynarkę. Idealnie rozpoznałem też dźwięk kroków. Jeszcze maksymalnie osiem sekund i usiądzie koło mnie. Nie usiadł. Stał nade mną i patrzył z góry, wyraźnie mnie prowokował, żebym spojrzał na niego. Szybko policzyłem do trzech i podniosłem głowę.

– Kochanie – zacząłem niepewnie – jeśli ona zamieszka z nami, ja oszaleję. Nie wiem, jaką formę to przybierze. Być może zacznę chodzić po Warszawie jak Czarny Roman albo zamknę się w sobie i zamilknę na wieki, ale na pewno oszaleję.

– Nawet nie próbuj kopiować Czarnego Romana, on jest jedyne w swoim rodzaju – mówił z grobową miną. Usiadł koło mnie i wziął mnie za rękę. – Miałem nadzieję, że się nie zgodzisz! – powiedział niespodziewanie.

– Nic nie rozumiem...

– Przepraszam, ale zrzuciłem tę decyzję na ciebie, bo

sam nie umiałem nic postanowić. A teraz jesteśmy wolni! – Wyraźnie mu ulżyło.

– I powiesz jej, że ja się nie zgodziłem, żeby tu zamieszkała? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Aż taki nie będę. Niech sobie tu mieszka! Ale pod warunkiem... – przerwał.

Nie mogłem się doczekać ciągu dalszego.

– Jakim? – ponaglałem.

– Niech mieszka pod naszą nieobecność!

Rzeczywiście dobrze brzmiało.

– A my się gdzieś wybieramy na dłuższy pobyt? – zapytałem.

– Tak. – Uśmiechnął się tajemniczo.

Był z siebie wyraźnie dumny.

– Widzę, że to dzień zagadek. A gdzie, jeśli można wiedzieć?

– Na wakacje.

– Kiedy?

– W sierpniu.

– A dokąd, kochanie, dokąd? – pytałem, uzupełniając kolejne puzzle.

– Na Majorkę.

– Na co?

– Na Majorkę, taka hiszpańska wyspa. Na Morzu Śródziemnym, ponad osiemset tysięcy mieszkańców, ze stolicą w Palmie – rozkręcał się.

– Wiem, co to jest Majorka.

– To dobrze! I tam właśnie jedziemy! Cieszysz się,

prawda?

– Bardzo się cieszę. Tylko za co my tam pojedziemy?
Za co ja tam pojedę? – poprawiłem się.

– Tam się leci – pouczył.

– Tym bardziej. Za co ja tam polecę?

– O to się nie martw.

Rozłożył się na kanapie.

– Nie możesz mnie sponsorować drugi rok z rzędu –
zaznaczyłem.

– Jakie sponsorować? Ty chyba jednak uderzyłeś się
dziś w głowę. I to mocno.

– A jak nazwać to, że chcesz zapłacić za moje
wakacje?

– Przestań. Jesteśmy razem, tak? – Dał mi chwilę na
odповідź. – Tak? Bo nie dosłyszałem.

– Tak – powiedziałem cicho.

– Żyjemy razem, tak?

– Tak.

– Jak małżeństwo, tak?

– No tak.

– Więc pozwól mężowi zabrać się na wakacje.
Choćby i dziesięć razy z rzędu.

– Ale...

– Bez ale tylko! Bez ale! Ty studiujesz, nie zarabiasz.
To jasne. Jak zaczniesz pracować, będziemy dzielić
koszty na pół. Bez stresu.

W ciągu kolejnych kilkadziesiąt minut
dowiedziałem się, że na Majorce mieszka siostra ojca

Wiktora z mężem, u których mój facet jako dziecko spędzał każdego roku co najmniej połowę wakacji. Mieliśmy u nich zamieszkać. Tyle że oni mieli na ten czas przylecieć do Polski i towarzyszyć Marcie. I takie rozwiązanie mi odpowiadało. Po opowieściach Wiktora miasteczko Pollensa – gdzie mieszkali jego wujostwo – jawiło mi się jako bajkowa kraina, w której czas się zatrzymał między wąskimi uliczkami, beżowymi domkami, górami i morzem. Inspiracji szukała tam Agatha Christie, odpoczywał Winston Churchill. Coraz bardziej cieszyłem się na ten wyjazd. Wiktor wyjął z teczki butelkę i torbę z owocami. Zniknął w kuchni, by po chwili pojawić się z dwoma szklaneczkami z sangrią, tradycyjnym hiszpańskim napojem, którego podstawą było wino. Do środka wrzucił różne owoce. Stwierdził, że w Hiszpanii ten sam napój smakuje, wygląda i pachnie zupełnie inaczej. Gdy skończyliśmy butelkę, poszliśmy pod prysznic. Razem. Sprzęt stereo był podłączony do kabiny. Z głośników płynęła piosenka *Whisky in the jar* Metalliki. Para wypełniła kabinę, a ja Wiktora.

Gładko przechodziłem przez sesję. Mikroekonomia dostateczny plus, międzynarodowy obieg informacji dobry minus, prawo autorskie dobry, język wypowiedzi dziennikarskiej dobry plus, stylistyka praktyczna bardzo dobry, informacja dziennikarska bardzo dobry. Przedemną jeszcze tylko historia myśli politycznej i wakacje. Gdzieś między egzaminami udało mi się wreszcie

dodzwonić do Marii. Skontaktowanie się z nią było ostatnio trudniejsze niż dodzwonienie się do króla Norwegii, którego numer jest podobno w tamtejszej książce telefonicznej. Harald V, król – i obok numer. Ciekawe, czy odbiera osobiście, czy gania do telefonu królową Sonję?

– Dzień dobry, czy to pałac w Oslo? – zacząłem rozmowę, gdy Maria wreszcie odebrała.

– Co ty gadasz? – odpowiedziała zaskoczona.

– Stara, dzwonię do ciebie i dzwonię. Zapomniałaś, jak się komórkę odbiera?

– Zarobiona byłam. Koniec roku szkolnego. Nie mogłam się ogarnąć – tłumaczyła.

– Kręcisz coś. Przecież ja nie znam nikogo równie ogarniętego jak ty. A chociaż zdałaś do ostatniej klasy?

– Ledwo, ledwo, ale się udało. Chyba, bo świadectwa jeszcze nie mam – zaznaczyła.

– Jak życie?

– Cieszę się, że już prawie wakacje.

– U mnie jeszcze jeden egzamin i też będę wolny.

– I co? Wracasz tu na lato?

– Oszalałaś? – niemal krzyknąłem.

– Będiesz narzeczonemu siedział na głowie? – Słowo „narzeczony” sarkastycznie zaakcentowała.

– I po co te żarty? Po co kpiny?

– To nie żarty...

– A co?

– No to, że cię facet utrzymuje. Jak jakiś sponsor –

brzmiała twardo.

– Maria, przeginasz chyba – ostrzegłem.

– A jest inaczej? – wypaliła.

– Jest inaczej. Jesteśmy ze sobą, mieszkamy razem i w miarę możliwości dzielimy koszty.

– Mieszkasz w apartamencie na Mokotowie, wozisz się luksusowym autem po restauracjach, za nic nie płacisz i to nazywasz dzieleniem się kosztami?

– Co cię ugryzło, dziewczyno? Przecież nie zaglądałem Wiktorowi w wyciąg z konta, gdy się poznaliśmy.

– Ale potem też nie pogardziłeś wszelkimi dobrami.

– Ja rozmawiam z Marią? Na pewno? Przypominam ci, że na wiele miesięcy go rzuciłem, a już wtedy wiedziałem, gdzie mieszka i czym jeździ!

– Co nie zmienia faktu, że jak pył opadł, to natychmiast się do niego przeniosłeś.

– Ty masz chyba jakiś gorszy dzień. Naprawdę! Zaraz usłyszę, że daję dupy za mieszkanie, wikt i opierunek!

– Uderz w stół, a nożyce się odezwą... – skwitowała.

– Kończę tę rozmowę. Zadzwoń, bo będę w miasteczku na początku lipca i chciałem się wreszcie spotkać. Chociaż teraz mi się zdaje, że chyba nie chcesz mnie widzieć. Bo nawet przez telefon kąsas jak jaszczurka. Rozłączam się, cześć.

Nacisnąłem czerwoną słuchawkę, ale w myślach wciąż miałem gorzką ocenę Marii. Mówiła tak, jakby to nie była ona. Miałem ochotę zadzwonić jeszcze raz, ale

jeśli znów ma na mnie wylać wiadro pomyj, to przepraszam. Nawet jeśli to była szczerza opinia o moim związku, to po pierwsze mocno spóźniona, bo przecież nie dowiedziała się o nim dziś, a po drugie zwyczajnie chamska. Ja dzwonię zapytać, jak się jej żyje, a ona prawie nazywa mnie utrzymankiem. Zna mnie i genezę mojego związku jak mało kto. Dziwne, że tak łatwo przychodzi jej wygłaszanie tych pełnych żółci komentarzy.

Nikomu nie wspomniałem o tej rozmowie, ale postanowiłem, że dowiem się, o co jej chodzi. Nie przez telefon, nie przez maila, nie przez SMS-y. Stanę z nią twarzą w twarz.

Nie wiedzieć kiedy, minął maj, także czerwiec zmierzał już ku końcowi. Ciepłe dni skłoniły ludzi do odsłonięcia ciała. Na drogach pojawiły się kabriolety, a to niepodważalny dowód, że przyszło lato. Zresztą formalnie od dwóch dni trwały wakacje. U mnie były tuż za progiem. Jeszcze tylko jeden egzamin i koniec. Postanowiliśmy z Niną, że będziemy uczyć się razem. Ona kochała historię idei. Narodziny filozofii politycznej w Grecji, spór Sokratesa z sofistami, Platon, św. Augustyn, antropologia polityki Machiavellego, porównanie koncepcji umowy społecznej Hobbesa i Locke'a, podejście Burke'a i de Maistre'a do rewolucji francuskiej, fenomenologię i tak dalej. Wszystko to i masę innych szczegółów, nazwisk, wydarzeń, prądów

filozoficznych miała w małym palcu. Ja miałem nadzieję na dostateczny minus, co pozwoliłoby mi zaliczyć drugi rok, odwiedzić miasteczko, iść na praktyki do radia, a potem pojechać na Majorkę. Wiktor był w podróży służbowej w Wiedniu, więc mogliśmy opanować z Niną Bobrowiecką. Na całe dwa dni! Albo i dłużej, jeśli będziemy świętować zaliczenie sesji. Przygotowałem jej posłanie w pokoju dla gości. Nawet posprzątałem mieszkanie na okoliczność jej wizyty. A choćby samo odkurzenie stu metrów to nie lada wyczyn. Miała być po południu. Miała. Zamiast tego dostałem SMS: „Czerwony alarm, nie mogę przyjechać. Wpadaj Ty. Potrzebuję pomocy”. Nawet nie oddzwaniałem. Zebrałem książki i notatki i na złamanie karku popędziłem na Górnośląską. Wjechałem na górę i zastałem dziewczyny. Siedziały między kartonami.

13. Wola mimo woli

Szafki były pootwierane, część z nich już opróżniona. W kilku leżały jeszcze ubrania, na półkach stały gotowe do spakowania książki. Tylko kuchnia i łazienka wyglądały normalnie. Rozejrzałem się po pokoju, między pudłami była wyznaczona dróżka na balkon, a na lewo zakręt prowadzący między łóżka Niny i Agaty. A one kursowały od regału do pudeł, wynosząc i pakując kolejne rzeczy.

– Co wy robicie? – Nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

– Pakujemy się – stwierdziła Agata.

– To widzę, ale czemu?

– Zmieniamy lokum – dodała Nina, owijając papierem zdjęte ze ścian rysunki w antyramach.

Odpowiedzi niby czytelne i konkretne, ale niczego mi nie rozjaśniały. Gdy ostatni raz widziałem się z Niną, nie było mowy o przeprowadzce. Chyba że zapomniała mi o niej powiedzieć, w co wątpiłem. Dziewczyny wyglądały jak zaprogramowane na pakowanie roboty.

– Możecie się na chwilę zatrzymać? – Zabrzmiało to bardziej jak żądanie.

– Nie bardzo. Dziś musimy to popakować i wywieźć – odpowiedziała Nina.

– Ale co się dzieje!?

– Pakuj książki, opowiem ci w międzyczasie.

Wskazała na leżący pod ścianą karton po telewizorze.

Bez namysłu zabrałem się do pracy. Chociaż trzy osoby chodzące w tę i z powrotem po kawalerce były dla siebie raczej przeszkodą niż wsparciem. Ocieraliśmy się barkami, tyłkami i wszystkim innym, czym można się dotykać. Po pewnym czasie doszliśmy do niejkiej wprawy. Jak na taśmie w fabryce. Każdy wiedział, co i kiedy ma zrobić, żeby nie zderzyć się z innymi. Dowiedziałem się, że właściciel mieszkania dziewczyn jakiś czas temu popadł w długi. Z nadzieją na łatwy zarobek poszedł do kasyna. Grał w pokera. Na początku karta szła świetnie. Do tego stopnia, że w grę zaczęły wchodzić dziesiątki tysięcy złotych. Zapomniał, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ, i przegrał. A że kasę miał niemal wyłącznie w nieruchomościach, to dziewczyny musiały się ewakuować. Szczęście w nieszczęściu, że nie okazał się krwio pijcą bez serca i dał im lokal zastępczy. Swoje drugie mieszkanie, a właściwie mieszkanie jego żony.

– Postawił nas pod ścianą. Albo bierzemy to, co proponuje, albo idziemy pod most. O tyle dobrze, że za tę samą cenę co to. – Rozłożyła ręce Nina.

– A gdzie jest to drugie mieszkanie? – zapytałem.

– Na Woli. Na Sokołowskiej.

– Jak wygląda?

– Nie wiem, jeszcze tam nie byłam. Pakuj. – Wskazała

na talerze.

– Wczoraj wieczorem nam powiedział, że musimy się wynieść, i przyniósł klucze do tego drugiego mieszkania. Musiałyśmy decydować na bieżąco – wtrąciła Agata.

– Dobra, a jaki jest plan? – Chciałem wiedzieć, na co się szykować.

– Pakujemy rzeczy i przewozimy – wyjaśniła Nina, jakby to było dziecinnie proste.

– Czym?

– Autobusem.

– Jak to autobusem?! – krzyknąłem.

– Każdy bierze pudło i jedziemy. I tak, aż przewieziemy wszystko. Jakieś pięć, może sześć kursów.

Będzie jak w serialu *Alternatywy 4*, gdy nauczycielka grana przez młodą Stanisławę Celińską angażuje dzieci do przeprowadzki. Tyle że dziewczyny nie miały lampy. I nie przenosiły się na Ursynów, tylko na Wolę. Zaproponowałem taksówkę bagażową. Jeśli się rzucimy, wyjdzie po niecałe sto złotych na głowę. Odmówiły, były splukane. Ja zresztą też. O pożyczeniu kasy z konta Wiktora nie chciały nawet słyszeć.

– Nina, a to nie może poczekać trzy dni? – zapytałem, zaklejając taśmą kolejny karton. – Wiktor wróci już z Wiednia i przeprowadzi was jednym kursem.

– Niestety, trzeba dziś. Jutro wchodzi tu nowy właściciel. Za trzy dni to sama wzięłabym bagażówkę, bo zapłacą mi za tekst.

Okazało się, że Nina jest współautorką artykułu o bardzo młodych matkach, który ukaże się w jednym z trzech najważniejszych tygodników w kraju. Tak naprawdę to napisała go sama, ale przecież żaden zafajdany redaktor nie zgodzi się puścić tekstu studentki drugiego roku dziennikarstwa. I na dniach mają jej za to „współautorstwo” zapłacić.

– Czekaj, czekaj! A Karolek?! Przecież on ma samochód. Nie jest to lexus, ale chyba na Wolę dojedzie?

– Moim zdaniem pomysł był dobry.

– Karolek odpada – bąknęła Agata.

Właśnie wyjmowała garnki, które w drodze między półką a kartonem gruchnęły na podłogę.

– Po co wam tyle garów?! – krzyknąłem, biegnąc jej na pomoc.

– Do gotowania – stwierdziła bez odkrywania Ameryki.

– Ja mam tylko ubrania. I to nie za dużo, żeby w razie potrzeby spakować się w dwie torby i zwać jak najszybciej.

– Tobie raczej wyprowadzka nie grozi – zauważyła Nina znad pudła z napisaniem „szkło”.

– Tego to akurat nigdy nie wiadomo – wycedziłem, wkładając do kartonu rondel, durszlak, patelnię, komplet sztućców, tłuczek do mięsa i łyżkę wazową. – Wy macie nawet łyżkę wazową?! U nas czegoś takiego nie ma.

– To czym nakładacie zupę? – zapytała Nina z zafrasowaną miną.

– Nie wiem. My chyba nie nakładamy zupy...

– Jecie łyżkami z garnka? – zadumała się Agata. – A łyżki macie?

Zabiła mi ćwieka. Przez dłuższy moment siedziałem na podłodze i rozmyślałem nad tym, czym nakładamy zupę. I niewiele brakowało, żebym zapomniał o poprzednim temacie.

– A czemu Karolek nie może was przeprowadzić? – zapytałem.

– Niech ci Nina powie. Ja się wstydzę. – Agata spuściła wzrok.

– Eeeee, Nina słyszy?! – wrzasnąłem.

– Karol ma egzamin na aplikację. A właściwie czemu ty mówisz o nim Karolek? To takie deprecjonujące.

– A on ten egzamin ma w Londynie czy w Nowym Jorku?

Podniosłem się z podłogi i ruszyłem w kierunku Niny.

– W Warszawie.

– Dziś? – Spojrzałem jej prosto w oczy.

– Pojutrze.

– I to ja go deprecjonuję?! – ożywiłem się. – Twój chłopak ma za dwa dni egzamin i dziś nie może ci pomóc w przeprowadzce?!

– Jeśli to dla ciebie problem, nie musisz nam pomagać.

– My o czymś innym rozmawiamy, Nina! To nie jest dla mnie problem. Mimo że egzamin mam jutro! I ty też!

– Ale nie na aplikację – fuknęła.

– Jak dzidy pragnę! Nina! To jakaś komedia. Jak się nie nauczył do tej pory, to się przez dwa dni nie nauczy! A dwie godziny chyba go nie zbawią!?

– Damy sobie radę – powiedziała nerwowo.

– Oczywiście, że damy sobie radę. My zawsze dajemy sobie radę! Kto, jak nie my?! Ale nie na tym polega związek. Nie na tym!

– Pakuj, a ja ci będę opowiadać o historii myśli politycznej. Jutro mamy egzamin – przypomniała.

Sprawnie zapakowaliśmy w dziesięć pudeł szpargały, które przez dwa lata życia w Warszawie zgromadziły dziewczyny. Miały nawet szczotkę na kiju i mop. Prawdziwie perfekcyjne panie domu. Nina kategorycznie nie pozwalała wracać do tematu zachowania Karolka. Gdy tylko próbowałem, natychmiast zasypywała mnie nazwiskami, datami i prądami myślowymi, które na jutro powinienem mieć w małym palcu. A ja jej chciałem powiedzieć tylko tyle, że popełnia taki sam błąd, jak ja kiedyś. Tak samo przymykałem oko na problemy z Mariuszem. Udawałem, że nic się nie dzieje i że nasz związek należy do najszcześniejszych. Natomiast w rzeczywistości brnąłem w gówno. Sugestia, żeby się odchudzała i przefarbowała na blond, była według jej faceta na miejscu, ale już pomoc w przeprowadzce nie mieściła się w jego definicji związku. Kpina!

Mieszkanie na Górnosławskiej było puste, nie licząc

stojących na środku pudeł. Żadne z nas nie zorientowało się, że nie zjedliśmy dziś obiadu. Posiłek zaplanowaliśmy dopiero w drodze powrotnej z pierwszego kursu z pudłami. Z pierwszą transzą ruszyliśmy na Wolę tuż przed siedemnastą. Ja wziąłem książki, Agata i Nina po pudle z ubraniami. Nie była to bardzo skomplikowana czynność. No może poza przesiadką na placu Trzech Krzyży. Stamtąd mieliśmy bezpośredni autobus 171. Po drodze Nina cały czas mówiła. Referowała nazizm, socjalizm. Aż do przystanku Płocka-Szpital. Rozłożyliśmy pudła obok wiaty, a ona wyjęła z torby mapę. Zналиśmy te okolice wyłącznie jako przystanek na trasie do Wola Parku. Boczne uliczki były dla nas nieprzebrany labirynt krętych chodników, które prowadziły nie wiadomo dokąd. Palcem wskazała róg Górczewskiej i Płockiej, gdzie staliśmy, i wytyczyła dalszą drogę.

Ruszyliśmy gęsiego. Nina, Agata, ja. Byłem kiepskim pilotem. Gubiłem się nawet z mapą. Bez żalu oddałem palmę pierwszeństwa. Minęliśmy skrzyżowanie z Żytnią. To taka wolska Żąbkowska. Sporo biednych prostych ludzi. Jeszcze więcej szemranego towarzystwa. Meta na mecie. Na pewno drugs, być może seks. Ale czy rock'and'roll? Nie mam pewności. Raczej hip-hop i disco polo. Krótko mówiąc, spacer po zmroku odpadają. Sąsiedztwo nie było zbyt zachwycające. Blok obok bloku. W większości odrapane, na fasadach graffiti wątpliwej wartości artystycznej. Nie za dużo zieleni.

Okazało się, że blok, w którym mają zamieszkać dziewczyny, stoi na samym końcu ulicy. Niemalże przy Górczewskiej. Zatoczyliśmy koło, bardziej okrężną drogą pójść się nie dało. Zatrzymaliśmy się i zmierzaliśmy budynek spojrzeniem od góry do dołu. Był po prostu paskudny. W kilku mieszkaniach okna nie widziały wody prawdopodobnie od chwili, gdy Wałęsa został prezydentem. Dodatkowo straszyły w nich mocno szare firanki. Miejscami odpadał tynk, a przerdzewiałe balkony wyglądały, jakby za chwilę miały spaść nam na głowy. Co ciekawe, na większości z nich coś stało. Na jednym fotel, na innym wiadro, na kolejnym jakieś pakunki. Co znaczyłoby, że ludzie z nich korzystają. Ryzykanci. Zastanawialiśmy się, do którego z mieszkań za chwilę wejdziemy. Bez wyraźnego sygnału, jak umówieni podeszliśmy do klatki schodowej. Po krótkiej walce z kluczami Ninie udało się otworzyć drzwi. Weszliśmy do środka. Uderzył nas silny zapach papierosów. Włącznik światła nie działał.

– Jeśli tu się nie da żyć i wspólnie dojdziemy do takiego wniosku, to dopóki czegoś nie znajdziecie, śpicie na Bobrowieckiej – wyszeptałem. – Jaki numer mieszkania?

– Trzyście – odszepnęła Nina.

Jak widać też bała się mówić głośno.

– Pięknie – podsumowałem.

Byliśmy przygotowani na wszystko. A panująca tu absolutna cisza tylko wyostrzała nam zmysły

i prowokowała wyobraźnię do pisania scenariuszy, których nie powstydziliby się twórcy Indiany Jonesa. Nina machnięciem głowy dała mi znać, że mam iść pierwszy. Szliśmy na paluszkach przy samej ścianie. Co najmniej jakbyśmy eksplorowali nieznaną jaskinię w Andach. Każdy nierozważny krok groził uruchomieniem lawiny nieprzewidzianych zdarzeń. Do tego jadowite ważki, węże i jaszczurki kryjące się pod płaszczykiem szczurów i karaluchów. Przemierzałem centymetr za centymetrem w poszukiwaniu włącznika światła, gdy nagle coś usłyszałem. Po pustym wnętrzu klatki schodowej echo zaczęło roznosić pierwsze takty muzyki z serialu *Z archiwum X*, a piętro wyżej rozbłysły cztery zielone punkty.

14. Prosto z Persji

Rozległ się wrzask. Nim zdążyłem odwrócić głowę, zostałem w korytarzu zupełnie sam. O tym, że kiedykolwiek był tu ktoś inny, świadczyły tylko porzucone na schodach pudła. Odstawiłem także swój pakunek, bo rozlegająca się wokół muzyka była dzwonkiem mojego telefonu i żeby go odebrać, musiałem mieć wolne ręce. Dzwonił Wiktor, ale jeszcze zanim odebrałem, zorientowałem się, że wyświetlacz komórki świetnie sprawdza się jako latarka. Z jego pomocą szybko odnalazłem na ścianie działający włącznik światła. Stała się jasność, a ja odebrałem telefon. Nieśpiesznie ruszyłem w kierunku wyjścia. Agata z Niną stały po drugiej stronie ulicy wpatrzone w drzwi klatki. Chyba spodziewały się, że ostatkiem sił wyczołgam się na zewnątrz w ubraniu potarganym przez obcych. Być może miały nawet nadzieję na mrozącą krew w żyłach opowieść o chipie, który właśnie wszczepili mi kosmici. Zawiodły się. Wyszedłem w pełni sprawny, bez nadajnika w głowie, za to z telefonem przy uchu. Opowiedziałem Wiktorowi, czym się właśnie zajmujemy. Nie posiadał się ze zdziwienia, że przeprowadzamy się autobusem, zamiast

wynając taksówkę. Naturalnie zaoferował pożyczkę pieniędzy na ten cel. A na koniec starym zwyczajem stwierdził, że jesteśmy nienormalni i że się nas boi, gdy przebywamy z Niną w jednym pomieszczeniu. Rzucił jeszcze, że wraca pojutrze, i się pożegnaliśmy.

– Mam dla was dwie informacje! – krzyknąłem. – Ale musicie wejść do środka!

Ruszyłem pierwszy, już bez problemu znalazłem włącznik i zapaliłem światło. One za mną. Klatka wyglądała w środku tak samo jak blok z zewnątrz. Odrapana i brudna. Tablica ogłoszeń była do połowy spalona, ale jak widać, administracji to nie przeszkadzało. Wisiały na niej przeróżne kartki. Niektóre nadpalone, na przykład lista mieszkańców zalegających z czynszem, z której został tylko nagłówek. Myślę, że to właśnie ona była powodem próby unicestwienia całej tablicy.

– Przedstawiam wam kosmitów. Pan i pani Space! – Wskazałem palcem na dwa siedzące piętro wyżej czarne koty, których zielone ślepia błyskały w ciemności chwilę temu.

Uciekły do lokalu numer osiem, gdy tylko ruszyliśmy w ich stronę. Mijane przez nas drzwi były w różnym stanie. Antywłamaniowych z najnowszym zamkiem Gerdy nie spotkaliśmy, ale nie było też mieszkań bez drzwi. To trochę nas uspokoiło.

– Pudła weźcie! Bo zaraz ktoś się nimi zaopiekuje – pouczyłem moje dwie amatorki wypraw w nieznane.

Szliśmy dalej, już bez większych emocji, ku drzwiom numer trzynastacie. Na miejscu okazało się nawet, że jest do nich przymocowany numerek. Mosiężna trzynastka zrobiła na nas dobre wrażenie. Drzwi także wydawały się solidne. Metalowe, trzy zamki, wizjer. Nina wyjęła klucze. Oczywiście nie miała pojęcia, które pasują do zamków. A znając nasze szczęście, właściwie znajdzie na końcu i za chwilę ktoś z podglądających przez wizjer sąsiadów oskarży nas o próbę włamania i wezwie policję. Pierwszy strzał okazał się niecelny. Dalej było już tylko lepiej i po kilku chwilach Nina trzymała dłoń na klamce. Już miała otworzyć drzwi, gdy krzyknąłem:

– Chwila! – Dziewczyny jak na komendę najpierw podskoczyły, a potem wbiły we mnie wzrok. – Coś jeszcze miałem wam powiedzieć.

– Teraz? – zniecierpliwiła się Agata.

– Tak! Znam odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

– Jakie? – ponagliła mnie Nina.

– Otóż wiem już, że nie mamy w domu łyżki wazowej! – zacząłem tajemniczo i zawiesiłem głos. – Nie jadamy zup w domu. – Daremnie liczyłem na wybuch zainteresowania. – Chodzimy na zupę do baru mlecznego na rogu Sobieskiego i Chełmskiej. Cztery złote za talerz, bardzo dobra.

Agata i Nina spojrzały najpierw na siebie, potem na mnie. Potem znów na siebie. Żart ich nie rozbawił, a myślami wyraźnie były już za drzwiami. Nie wysiliły się na choćby szczątkowy komentarz. Wzruszyłem więc

ramionami, uznałem sprawę za niebyłą i dałem subtelny znak, że możemy wchodzić.

– Gotowi? – zapytała Nina.

– Gotowi! – stwierdziliśmy z Agatą chórem.

Drzwi otworzyły się lekko i bezdźwięcznie. Agata popchnęła je przed siebie i jako pierwsza przestąpiła próg. Zastłoniła sobą cały widok, musieliśmy wciskać głowy, by cokolwiek zobaczyć. Naszym oczom ukazały się cztery pary drzwi. Policzyłem je głośno, żeby upewnić się, że nie mam przywidzeń. Zrobiłem krok do przodu. Rozeszliśmy się po poszczególnych pomieszczeniach. Ja trafiłem do średniej wielkości pomalowanego na oliwkowo pokoju. Przez potrójne okno do środka wpadało dużo światła. Pod ścianą z drzwiami stała wersalka, przy kolejnej szafa i komoda, dalej biurko z obrotowym fotelem. Po chwili zauważyłem, że na podłodze jest jasne drewno. Początkowo myślałem, że to panele, ale nie. To był parkiet! Prawdziwy parkiet! Czysty pokój, czyste okno, nowe meble. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w mieszkaniu na Powiślu. Pobiegiem dalej. W urządzonej dość tradycyjnie kuchni, także z oknem, zastałem Ninę. Stała jak w hipnozie i patrzyła. Na lodówkę z zamrażarką, kuchenkę gazową z piekarnikiem, krajalnicę i stół z trzema krzesłami. Na białą terakotę na podłodze. Przeszliśmy dalej. Drugi pokój tego – jak nam się wydawało – apartamentu był większy. Tam także zastaliśmy nowe okna. W jednym

narożniku stół z czterema krzesłami, dalej szafa i jakaś półka. Zielona kanapa. Tu również wszystko wyglądało na nowe. Dowodem na to były leżące na balkonie kartony po meblach. Całkiem świeże, nie mogły zalegać tam długo. Mieszkanie pachniało czystością. Ściany nie były odrapane, kranów i zlewozmywaka w kuchni nie zżerała rdza, a plastikowe okna gwarantowały brak niechcianych przewiewów.

– Jestem w raju – wyszeptała Nina. – Trafiłam do raju za życia. To jest dowód na to, że nie trzeba być niepokalanym. I tak można trafić do nieba! – poczyniała sobie coraz odważniej.

– Ożeż, kurwa, ja pierdolę! – wyrzuciła z siebie lekko stłumionym głosem siedząca na kanapie Agata.

Kolana miała złączone. Na nich ręce złożone jak do modlitwy.

– To jakiś sen, piękny sen. Ja się nie chcę budzić! – dodała po chwili. – „Nie budźcie marzeń, gdy śpią!” – skończyła tekstem z piosenki Rynkowskiego.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała Nina. – To chyba jakaś pomyłka.

Wyjęła z torebki telefon i wyszła na balkon. Byłem tak oszołomiony, że nawet nie słyszałem, o czym i z kim rozmawia. Widziałem tylko, że macha rękoma. A tak naprawdę dużo bardziej niż jej rozmowa ciekawiło mnie ostatnie pomieszczenie. Logika podpowiadała, że będzie to łazienka. A łazienka to według mnie test dla każdego lokum. Czy to mieszkania,

hotelu, czy restauracji. Jeśli jest brudna, lokal nie zdaje egzaminu, choćby miał złote klamki. Do tej prowadziły białe drzwi z wąską nieprzezroczystą szybą. Zapaliłem światło i je otworzyłem. Moim oczom ukazały się czarne błyszczące płytki i biały sedes. Natychmiast sprawdziłem, czy jest wygodny, bo komfortowy kibelek to podstawa dobrego samopoczucia na cały dzień. Był idealny. Stojącą tuż obok kabinę prysznicową dostrzegłem dopiero po chwili. Szyba była wypolerowana na wysoki połysk. Armatura lśniła jak diamenty. Przy dużym lustrze wisiały dwa kinkiety w kształcie małych walców. Niżej nieduża umywalka znanej firmy. *Vis-à-vis* niej stała maleńka, ale pojemna pralka. Mój obiekt marzeń sprzed roku. Otwierana od góry mieściła cztery kilogramy prania. Odwróciłem się i zapragnąłem jej dotknąć. Po chwili zupełnie straciłem głowę. Objąłem pralkę i osunąłem się na podłogę. W takiej pozycji zastały mnie dziewczyny. I wcale nie patrzyły na mnie jak na zboczeńca kopulującego z maszyną. Znały genezę moich przeżyć. Najpierw gdy Zośka zabrała nam pralkę z mieszkania na Bielanach, a potem miesiące z franią u Mariusza w Krakowie. Do dziś obecność w łazience automatu prawdziwie mnie wzrusza.

– To nie pomyłka – ogłosiła Nina. – To naprawdę nasze mieszkanie! – wrzasnęła po chwili.

Sekundę później wrzeszczeliśmy już wszyscy troje. Złapaliśmy się za ramiona i tańczyliśmy w kółku. Ta

łazienka była na tyle duża, że dało się w niej tańczyć. Po chwili zaczęliśmy też śpiewać. W takich momentach motywem przewodnim był *Szał* Edyty Bartosiewicz.

– „Tak niesforną kocham być!” – zaczęła Agata.

– „Przyznaję się, to żaden wstyd!” – kontynuowała Nina.

– „Rozpiera mnie energia!” – To ja.

– „Szał! Dzikie szał! Szał! Gdybyś tylko chciał!” – darliśmy się jak opętani.

Gdy już uznaliśmy, że dość tych wygłupów, Nina zapragnęła rozdziewiczyć łazienkę w samotności i zażądała, byśmy wyszli.

– Są jednak rzeczy, które człowiek powinien robić sam – argumentowała.

Potem piorunem ruszyliśmy do transportu kolejnych pakunków. Dziewczyny tak bardzo chciały zacząć się rozpakowywać, że nic nie było w stanie ich zatrzymać. I zupełnie mnie to nie dziwiło. Mało kiedy studenci mają szansę na życie w takich warunkach. Schludnie, czysto, przypuszczalnie bez robali i za półdarmo! Nie ma porównania z Powiślem. Gdyby nie to, że mieszkam u Wiktora, prawdopodobnie kisiłbym się w pogierkowskiej norze na Szegedyńskiej. Trzeba mieć niebywałego farta, żeby mieszkać tak jak one teraz. I, jak widać, dziewczyny go miały! Okazało się, że koleś, od którego wynajmowały mieszkanie, to jakiś znajomy znajomych rodziców Niny. Gdyby było inaczej, z pewnością wyrzuciłby je na bruk. Mieszkanie

odpicował, bo miała się tu wprowadzić jego córka. Jednak przez długi, w które popadł, plany się zmieniły. Zamiast sprzedawać odnowioną Wolę, doszedł do wniosku, że pozbędzie się starej Górnośląskiej. A córka na mieszkanie bez rodziców będzie musiała jeszcze poczekać.

W czasie ostatniego kursu na Powiśle rzut monetą zdecydował, że Nina bierze duży pokój z balkonem. Ten drugi był niewiele mniejszy, więc Agata nie protestowała. Kilka minut przed dwudziestą pierwszą ostatni raz wylądowaliśmy na starych śmieciach. Na zabranie czekał jeden karton. Chwyciłem go, ale Nina miała inny plan.

– Nie, zostaw. To nie twoje. To dla Agaty. – Wskazała palcem.

– Bez jaj, ja wezmę. – Chciałem postawić na swoim. – Przecież nie będzie targała pudła, gdy ja będę szedł bez niczego.

– Nie będziesz szedł bez niczego. A Agata z pewnością woli pudło niż to... – Wzrok Niny powędrował na podłogę.

Pod ścianą leżał dywan. Długi na co najmniej dwa metry. Wyglądał jak olbrzymi naleśnik. Gdy po nim chodziliśmy, nie robił wrażenia aż tak grubego i solidnego. Dopiero teraz, gdy czekał na transport, zauważyłem, jaki jest masywny.

– Rozumiem łyżkę wazową, ale dywan?! – powiedziałem z niedowierzaniem. – I to taki?! Perski

prawie!

– Tylko nie prawie! To jest perski dywan z dodatkiem jedwabiu! Prawdziwy! – pouczyła mnie Nina.

– Ale po co ci... perski dywan?! – wykrztusiłem.

– Okazyjnie kupiony. Ładny, nie? – stwierdziła z wyraźnym zachwytem w głosie.

– To znaczy za ile? – Nie podzielałem jej entuzjazmu.

– Za pięć – rzuciła niby od niechcienia. – Niecałe.

– Pięć czego?

– Tysięcy.

– Zapłaciłaś pięć tysięcy za dywan?! – zagotowałem się. – A skąd miałaś tyle forsy? Kiedy? I czemu kupiłaś za to dywan?! Nina, czy ciebie pogięło? Za pięć tysięcy można żyć przez pół roku!

– Dwa lata temu kupiłam. Na bazarku na Kole. Normalnie taki dywan kosztuje z osiem albo więcej.

– Ale czemu akurat dywan?! Przecież pięć tysi to prawie rok życia!

– Przed chwilą mówiłaś, że pół roku – wytknęła mi. – Zawsze chciałam mieć taki dywan – wyznała rozmarzona. – W liceum wygrałam parę konkursów naukowych. Nagrodami były albo komputery, albo kasa. Więc posprzedawałam to, czego miałam w nadmiarze, i nabierało się trochę gotówki.

– I wydałaś na dywan?! Rozłożyłaś pięć tysięcy na podłodze?! Ty jesteś chora na głowę! – zdiagnozowałem.

– Gdybym była zupełnie zdrowa, to byś się ze mną

nie zadawał.

– Fakt – skwitowała Agata. – Ta zasada obowiązuje też w drugą stronę – dodała.

– Właśnie! A dywan jest dla ludzi, a nie ludzie dla dywanu. Poza tym on jest nie do zdarcia. To prawdziwy perski dywan! Nie jakaś pierdółka. Pochodzi z 1942 roku. Wojnę przeżył! I przeżyje nas wszystkich – ogłosiła Nina. – Córce oddam w posagu albo w spadku. Zastanowię się.

– Za chwilę ktoś go sobie sam weźmie – snułem dramatyczne wizje. – Pięć tysięcy będziemy wieźli autobusem?!

– Jakbyś nie zauważył, to nigdzie nie ma ceny. A wątpię, żebyśmy trafili w 171 na znawcę dywanów. Łap się i jedziemy.

– Może chociaż jakąś taśmą go owiniemy? Papierem? Gazetą? Żeby się nie zniszczył. To pięć tysięcy...

– Nie ma tu już nic takiego. Taśma pojechała na Wołę. Jak będziesz dobrze trzymał, to się nie zniszczy. Jedziemy, ściemnia się – wydała rozkaz.

No to mnie urządziły. Do windy to perskie cudo się nie zmieściło. Nawet nie próbowaliśmy. Trzeba go było znieść osiem pięter w dół. Oczywiście zgięcie nie wchodziło w grę. Cały czas musiał być jak najbardziej prosty, żeby się nici nie przecierały. W rezultacie wynoszenie dywanu z klatki schodowej wyglądało tak, że podawaliśmy go sobie między piętrami. Szliśmy na przystanek przy Torwarze. Przodem Agata z pudłem,

a dalej my w dywanem. Ciężkim jak jasny piorun. Mimo że odległość nie była duża, ręce nam cierpły. Co jakiś czas zmienialiśmy przedramię, bo doniesienie go na jednej ręce było nierealne. Ludzie na nas patrzyli jak na uciekinierów ze szpitala psychiatrycznego. Niektórzy tylko się oglądali, inni coś krzyczeli.

– Szybciej będzie, jak na nim polecicie! – instruował świński blondyn.

– Paliwo się skończyło! – odszczekiwała się Nina.

Były też obietnice lub groźby – zależy, jak na to patrzeć – co by się mogło dziać na tym dywanie. Zdarzały się oferty pomocy. Zapakowanie dywanu do autobusu spotkało się początkowo z oporem kierowcy. Krzyczał coś o dodatkowej opłacie za bagaż, ale po chwili rozmowy z Agatą nawet pomógł nam go wnieść i ułożyć na podłodze. Nie było to łatwe. Dywan był długi, a drzwi wąskie. Trzeba było też otworzyć jedno z okien, a siedzący już w środku pasażerowie musieli schować się między siedzeniami. Reagowali życzliwie, a niektórzy nawet pomagali w manewrowaniu. Ruszyliśmy z Książęcej, jechaliśmy pod górkę w stronę placu Trzech Krzyży. W pewnym momencie autobus zaczął się dusić, kaszleć, warczeć, aż wreszcie silnik zgasł. Tuż przed wjazdem w Nowy Świat. Kilka prób uruchomienia go spaliło na panewce. Kierowca wysiadł, otworzył klapę z tyłu, a ze środka poszedł czarny dym. Usłyszeliśmy, że dalej nie pojedziemy. Ludzie rzucili się do wyjścia.

– Na początek państwo z dywanem! – zatrzymał napierających na drzwi pasażerów. – Proszę schylić głowy. Jak w samolocie. A państwo wynoszą. Proszę szybko – dyrygował.

Trochę pojęczeli, ale zastosowali się do polecenia. Także my się nie ociągaliśmy. Najpierw Agata z pudłem, potem my i dywan. Chwyciłem go z przodu, Nina z tyłu. Podnieśliśmy na trzy. Lekko zgiął się w połowie. Grymas pojawił się na twarzy Niny, syknęła pod nosem. Na jej pięciu tysiącach, które przeżyły wojnę, pojawiło się załamanie. Też bym się skrzywił. Rozejrzałem się i upewniłem, że wszystkie głowy są między siedzeniami, zarzuciłem dywan na ramię i ruszyłem przed siebie. Przede mną trzy stopnie w dół. Powoli, jeśli wszedł, to i wyjdzie. I kiedy do sukcesu brakowało dosłownie kilku centymetrów, stało się coś, czego pewnie nawet bym nie umiał wymyślić. Na początku usłyszałem wrzask Niny. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że od jej strony dywan zaczyna się rozwijać. Wszystko działo się bardzo szybko, poczułem, że spada z mojego ramienia. Próbowałem ratować sytuację i go łapać, ale trud był daremny. Chwyciłem za ledwie za róg. Nina stała przerażona, jej ukochany dywan leżał po części na ulicy, na schodach i na podłodze autobusu. Na domiar złego obok niej stał jakiś koleś i trzymał się za lewe oko. Mówiąc ściślej, zakrywał je. Nie trudno było zgadnąć, że dostał cios dywanem. A prosiliśmy przecież, żeby schylili głowy!

– Coś się panu stało? – przejąłem pałeczkę, bo stojąca obok Nina była sparaliżowana widokiem pogiętego i rozłożonego dywanu. Nie umiała wydusić z siebie ani sylaby.

– Coś mnie uderzyło – stwierdził rezolutnie niskim, aksamitnym głosem.

– Ale widzi pan? – dopytałem, zastanawiając się, skąd znam tę barwę.

– Chyba coś widzę.

– Ile palców pan widzi? – pokazałem dwa, jak Tadeusz Mazowiecki w Sejmie, gdy został premierem.

– Widzę, widzę. Ale limo będzie.

– O, tak mi przykro – wtrąciła się niezbyt wiarygodnie Nina.

Było widać, że cierpi z powodu dywanu, nie rannego człowieka.

– Proszę państwa, do państwa z dywanem mówię! Proszę udrożnić ruch w pojeździe – dorzucił od siebie kierowca.

Otrząsnęliśmy się i trzeba było przystąpić do działania. Chłopak z narastającym limem nie miał żalu, zaoferował pomoc, którą przyjęliśmy. We troje lżej, a właściwie we czworo. Bo Agata odstawiła swoje pudło na chodnik i też ruszyła na ratunek. Kilka sekund później i my, i dywan byliśmy na zewnątrz.

– Trzeba go rozwinąć i zwinąć na nowo – słusznie zauważył nasz poturbowany pomocnik.

Miał krótkie blond włosy i niebieskie oczy. Był

przystojny, przypominał Mateusza Kusznierewicza. Biała, dobrana do dopasowanych dżinsów koszula podkreślała opaleniznę. Dywan leżał na chodniku, już rozwinięty. Nina pilnowała, by nikomu nie przyszło do głowy po nim chodzić. Zasada, że to dywan jest dla ludzi, a nie ludzie dla dywanu, już nie obowiązywała. Ponowne zwijanie trwało chwilę. Upewniłem się, że ranny chłopak da radę dojść do domu, i każdy ruszył w swoją stronę. Dowlekliśmy się na przystanek przy Smyku i czekaliśmy na następny 171. Nie zważając na komentarze współpasażerów i bogatsi w doświadczenia, ponownie zapakowaliśmy cenny egzemplarz do środka, a potem – na Woli – wypakowaliśmy. Ludzie nie tylko się na nas gapili, lecz także pytali o to, co mamy w tym dywanie. Poirytowana porządnie Nina odpowiadała, że jesteśmy seryjnymi mordercami i w dywanach przewozimy komunikacją miejską zwłoki naszych ofiar. Co wprawiało otoczenie w wyśmienity humor.

Wkrótce byliśmy już na Żytniej, przed nowym blokiem dziewczyn. Szersza niż na Górnośląskiej klatka schodowa zdecydowanie ułatwiła nam wtaszczenie na górę tego ostatniego elementu przeprowadzki. I było to czwarte, nie ósme piętro. Kaszka z mleczkiem. Po kilku minutach dywan był w mieszkaniu. Wsunęliśmy go pod kanapę w największym pokoju. Agata wypakowała czajnik elektryczny, kubki i zrobiła herbatę. Do jedzenia była tylko strucla jabłkowa, którą kupiłem rano w drodze na Powiśle. Więc zjedliśmy ją na kolację. Do

książek nawet nie zajrzeliśmy, zostały w plecaku. Tej nocy nie dotarłem do domu. Padliśmy jak kawki. Agata na swojej nowej wersalce, a ja z Niną na kanapie, która po rozłożeniu okazała się całkiem duża. Tuż po ósmej zerwał nas ze snu dzwonek telefonu. Patrycja, znajoma z roku, była już na wydziale i wpisywała wszystkich po kolei na egzamin. Co pół godziny wchodziły cztery osoby. Szybko uradziliśmy, że będziemy gotowi na dwunastą. Przynajmniej ciałem, bo mi od wczoraj nie przybyło ani grama wiedzy. Popędziłem na Bobrowiecką się przebrać. Po drodze rozmawiałem z Wiktorem i zamiast łapać ostatnie skrawki wiedzy, opowiadałem mu wczorajsze przygody. Szybki prysznic, zmiana ciuchów na bardziej eleganckie i o jedenastej trzydzieści byłem na wydziale. Czysty, pachnący, ale zupełnie nieprzygotowany. Baraszkiewicz rozdał karteczki z pytaniami i stało się to, co się musiało stać. Ninie szło świetnie, dostała piątkę. A mnie jak pod górę po kocich łbach. Prawie żadne z zaproponowanych zagadnień nic mi nie mówiło. Ani federalizm według Alexandra Hamiltona, ani Sprzysiężenie Równych z 1796 roku. Dzwoniło mi gdzieś przy temacie dotyczącym funkcjonowania umysłu ludzkiego według Freuda, ale to było za mało, by się obronić. Profesor wykazał się wielkodusznością i rzucił mi koło ratunkowe. Nauka społeczna Kościoła na podstawie encykliki *Rerum novarum* papieża Leona XIII. Koło ratunkowe okazało się gwoździem do trumny.

O nauce społecznej Kościoła katolickiego też nic nie wiedziałem.

– Zapraszam we wrześnieu – stwierdził egzaminator.

Wziął do ręki pióro i mój indeks.

– Panie profesorze – zaczęła łzawo Nina. – To wszystko moja wina.

– I dywanu – dorzuciłem, zwracając oczy ku górze.

– Proszę? – zapytał Baraszkiewicz.

– Wczoraj mieliśmy się uczyć, ale ja musiałam się pilnie przeprowadzać i przewoziliśmy dywan. Autobusem. I nam się rozwinął. Rozumie pan profesor? Czy kiedykolwiek rozwinął się panu dywan?

– Nie – odpowiedział Baraszkiewicz, wzbijając się na wyżyny absurdu.

– No widzi pan profesor, a nam się rozwinął! – dodałem.

– I to jak! Ja panu profesorowi opowiem, jak to było – zabrała głos Nina.

Streszczaliśmy na zmianę, wchodząc sobie w słowo. Zdający z nami znajomi nie wierzyli własnym uszom. Profesor z zainteresowaniem słuchał naszej dywanowej historii, roześmiał się kilka razy, a nawet zdjął okulary i odłożył pióro. Oparł brodę na rękach i uważnie nam się przyglądał. Ważyły się losy mojej pierwszej dwóki na studiach. Jeśli uda mi się przez to przejść bez szwanku, zacznę wierzyć w cuda.

15. Truskawkę?

Po dziesięciu minutach naszego trajkotania profesor zaśmiewał się do łez. Nawet zapytał, czy któreś z nas ma chusteczkę higieniczną. Potem zauważył, że skoro dywan jest z lat czterdziestych, to może mieć fascynującą historię. Mógł należeć do kogoś wyjątkowego, mógł przyjechać do Polski z jakiegoś egzotycznego zakątka. Przez ten czas czuliśmy się jak na kawie u ciekawego człowieka, a nie na egzaminie. Dyskusja stała się pasjonująca do tego stopnia, że na moich oczach Baraszkiewicz z surowego belfra przeistoczył się w źródło barwnych opowieści. Było mi głupio, że przyszedłem na egzamin nieprzygotowany.

– Proszę pana – zwrócił się do mnie – są państwo niesamowici. Już dawno nikt mnie tak nie rozbawił podczas egzaminu, ale musimy pamiętać, po co tu jesteśmy.

Znów otworzył mój indeks.

– Naturalnie – przyznałem.

– Nie mogę panu zaliczyć tego egzaminu. Muszę być w porządku wobec pana kolegów. Z zabawnych historii z dywanem w roli głównej byłby pan prymusem, ale z historii myśli politycznej musi pan się jeszcze

poduczyć.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową.

– Jestem pewien, że koleżanka świetnie pana przygotuje do naszego następnego spotkania i że z panem przyjdzie. Z wielką ochotą znów się z państwem zobaczę i posłucham, jak się mieszka na Woli. To piekielnie intrygująca dzielnica, ale o tym porozmawiamy we wrześniu.

Oblałem egzamin, ale nie miałem poczucia, że stało się coś strasznego. Nie byłem ani smutny, ani nawet rozżalony. Zresztą żal mógłbym mieć wyłącznie do siebie. W innych okolicznościach pewnie nominowalibyśmy Baraszkiwicza do tytułu Złamasa Roku w kategorii „Wykładowca”, ale nie dziś. Był szczery, taktowny i zabawny. Wydział opuściliśmy rozbawieni i umówiliśmy się na wieczór. Nie bardzo mogłem świętować zakończenie sesji, ale coś na kształt parapetówki u Niny i Agaty, a także początek wakacji już jak najbardziej.

– Która godzina? – zapytała Nina, stając przed rozkładem.

– Za piętnaście druga.

Zerknąłem na komórkę. Chciałem pochwalić się Wiktorowi, że oblałem pierwszy w życiu egzamin.

– O, to za dwie minuty mam autobus. Poczekasz ze mną?

– Bardzo chętnie, ale, kochanie, ty musisz jechać na Wolę, a nie na Powiśle. Hełoł!

– Jak dzidy pragnę! Człowiek jest jak koń. Jedzie na pamięć. To czym ja mam jechać? I skąd?! – zadumała się.

– A czym przyjechałaś?

– Nie pamiętam. 155 chyba. Spod Ministerstwa Finansów.

Umówiliśmy się na dwudziestą. Nina wsiadła i pojechała. Mój autobus też pojawił się szybko. Po drodze porozmawiałem z Wiktorem. Uznał, że to na pewno nie ostatni raz, kiedy oblałem, i że nie ma się czym przejmować. Zapowiedział, że będzie w domu jutro w południe. Ja jeszcze przez chwilę myślałem o egzaminie. Gdyby Baraszkiewicz był kobietą, to bym zdał. Dziś. Mimo że nic nie umiałem. Już w szkole podstawowej nauczyłem się manipulować nauczycielkami. Kobietami, z facetami wychodziło rzadko. Zasada była prosta, przez semestr czy rok robiłem wszystko, żeby mnie polubiły. Mówiłem miłe słówka, zaprzyjaźniałem się, czasem wzbudzałem litość, innym razem opiekuńcze, matczyne instynkty. Z nauczycielkami przedmiotów ścisłych sprawdzało się udawanie nierozumianego przez świat, kochającego poezję i teatr humanisty romantyka. Zwykle miękły i gdy przychodziło do oceniania, zaokrąślały do góry. Trzy plus zamieniało się w cztery minus. Byłem przecież tak uduchowiony i wrażliwy. Nie można mnie było krzywdzić. Przed polonistkami i historyczkami nie musiałem za bardzo grać. Jadły mnie łyżkami, byłem

jednym z niewielu, którzy kumali wiersze i kojarzyli podstawowe fakty historyczne. I nawet gdy czegoś nie umiałem, przymykały oko. Przecież głupio im było gorzej potraktować „przyjaciela”. Na studiach trudno stosować te wszystkie triki. Egzaminy często mieliśmy z kimś innym niż ćwiczenia. O ile prowadzącą ćwiczenia udawało się czasem omotać, o tyle z wykładowcą było to mocno ograniczone. Na wykładzie trudno wejść w interakcję i dać się zapamiętać. Myślę, że to, czego nauczyłem się jako dziecko w szkole, stosuję do dziś także poza uczelnią, w życiu. Wystarczyło raz czy dwa zagadać, uśmiechnąć się do pań w okolicznych sklepach i nie dostaję już starych warzyw. Ba! Dyskretnie sugerują mi, czego lepiej nie brać.

I właśnie przed chwilą pani w warzywniaku wyszła za mną i krzyknęła, że ma dzisiejsze truskawki i że odłożyła mi kobiałkę.

– Pomyślałam, że pan zechce. A jakby pan nie chciał, to i tak bym sprzedała – wyznała szczerze.

– Jasne, że chcę. Dziękuję.

Przesypałem dwa kilogramy truskawek do reklamówki i poszedłem do domu. Ja uwielbiam je na surowo, a Wiktor jest fanem tarty truskawkowej. I potrafi ją zrobić! Wszedłem do naszego bloku, posłałem uśmiech panu Tadziovi z recepcji, ale on odpowiedział wykrzywionym grymasem. Może miał ochotę na truskawkę? Wpadłem na to dopiero w windzie. Umyję i zniosę mu za chwilę. Kiedyś babcia

mi powiedziała, że najpierw należy truskawki umyć, a dopiero potem wyrwać szypułki. W przeciwnym razie owoce tracą słodki smak i stają się wodniste. Wjechałem na górę, wyjąłem klucze, włożyłem do zamka i ku mojemu zaskoczeniu drzwi zastałem otwarte. Raczej nie jestem aż tak roztargniony, żeby ich nie zamknąć. Zawsze wszystko dokładnie sprawdzam przed wyjściem. Potrafię wrócić do domu z drugiego końca miasta, jeśli mam obawy, że o czymś zapomniałem. To jedno z moich natręctw.

Przemierzałem przedpokój i zauważyłem, że drzwi na taras też są otwarte. Kiedy usłyszałem, że ktoś jest w toalecie i spuszcza wodę, byłem pewien, że Wiktor wrócił wcześniej. Chciał mi zrobić niespodziankę. Zabrałem z kuchni bitą śmietanę w spreju, błyskawicznie przebiegłem przez salon i stanąłem za drzwiami łazienki. Psiknąłem sobie trochę na nos, a torebkę z truskawkami wyciągnąłem przed siebie. Wyjmie owoc, nabierze śmietany z mojego nosa, zje. A potem pójdziemy się bzykać! Przez tydzień powinien za tym zatęsknić. Drzwi łazienki się otworzyły, przybrałem wymyśloną naprędce pozę, wyszczerzyłem się i zamknąłem oczy. Czekałem tak kilka sekund, ale nic się nie działo. Zaniepokojony otworzyłem oczy. Przede mną stała Marta, moja teściowa. Miała na sobie czarną dopasowaną sukienkę, którą przecinał szeroki biały pas. A na głowie czarny nie za duży kapelusz w stylu brytyjskiej królowej. Usta oczywiście czerwone.

Jak u profesor Staniszkis. Wyglądała jak Alexis z *Dynastii*. Jej karcący wyraz twarzy sprawił, że mina mi zrzędnęła. Jednym ruchem zebrałem z nosa śmietanę i włożyłem sobie do ust.

– Truskawkę? – zaproponowałem, przełykając ślinę.

Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Jakież to szczęście, że nie wpadłem na pomysł, żeby zdjąć spodnie, majtki, koszulę i zostać w samym krawacie lub zrobić coś równie szalonego. Gdy ruszyła przed siebie, zwróciłem uwagę na jej buty. Obcasy były tak wysokie, że ja przypuszczalnie zabiłbym się przy próbie zrobienia pierwszego kroku, ale ona szła, jakby się w nich urodziła. Usiadła na kanapie, założyła nogę na nogę i czekała, co zrobię. Chwilowa pustka w głowie pozwoliła mi jedynie na to, żeby zająć miejsce w fotelu naprzeciw niej. Siedziałem wyprostowany jak struna, byłem spięty milion razy bardziej niż na niedawnym egzaminie. Język odmawiał posłuszeństwa.

– Napije się pani herbaty? Kawy? Wody? – zaproponowałem.

– Ech, chłopcze – powiedziała z politowaniem.

– To może wódki?

Nie byłem wcale pewien, czy mamy ją w domu.

– Zawsze częstujesz nie swoim alkoholem w nie swoim domu?

– Proszę?

Poczułem, że wraca moja pewność siebie.

– Wiesz, że to nie jest mieszkanie Wiktora? – przeszła

do ataku.

– Owszem.

Nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

– A wiesz, czyje jest?

– Owszem – powtórzyłem.

– Więc wiesz, że mogę cię stąd wyrzucić? –
oznajmiła z uśmiechem.

– Czyli jako właścicielka to pani powinna mi
zapropionować herbatę! – wypaliłem bez zastanowienia.

– Niebawale – syknęła.

– Zgadza się. W całej rozciągłości. Z tym że z nas
dwojga to pani jest impertynentką.

– Porównujesz nas?

– Owszem, i blado pani w tym porównaniu wypada.

– Mogę was stąd wyrzucić, a potem wydziedziczyć
Wiktora. Wiesz o tym?

Wstała i podeszła do okna.

– Pani naprawdę myśli, że ja poluję na pani, na wasze
pieniądze? – Teatralnie parsknąłem śmiechem.

– A nie?

Odwróciła się i znów wbiła we mnie wzrok.

– Proszę sobie wyobrazić, że nie. Ja sam na siebie
zarobię. Jestem na świetnych studiach, w perspektywie
mam karierę. Nie potrzebuję sponsora.

– To po co tu jesteś?

Chwyciła się rękoma pod boki.

– Być może wyda się to pani dziwne, może nawet
niepojęte. Jestem tutaj, żeby być blisko mężczyzny,

którego kocham. I tak się złożyło, że on niestety jest pani synem. I nie przypominam sobie, żebyśmy byli po imieniu.

– Ile... – zaczęła.

– Jeszcze nie skończyłem – wszedłem jej w słowo. – Jest mi wszystko jedno, czy mieszkam z nim tu, czy w kawalerce. Mogę się wyprowadzić choćby dziś, ale Wiktor pójdzie ze mną. I nie zareaguje na pani kolejny zawał serca. Nie wiem, czemu traktuje mnie pani jak wroga, ale radzę zmienić nastawienie, bo bez wyraźnego życzenia pani syna, a mojego partnera, ja nie zniknę.

– Brednie! Co za nedorzeczne brednie! – krzyknęła.

– Przyjaciółmi pewnie nie będziemy, ale chociaż postarajmy się wzajemnie tolerować. A przy okazji, świetnie mówi pani po polsku.

Byłem zupełnie pewien, że po tej rozmowie Marta będzie chciała ostatecznie się mnie pozbyć. Tymczasem wyszła bez słowa. Zostałem sam i rozważałem kwestię mieszkania. Czyje ono właściwie jest? Nigdy się tym nie interesowałem, nie pytałem, ale Wiktor nie wspominał, że miałyby należeć do matki. Jeśli będzie trzeba, to się wyprowadzimy, nie robiło mi to większej różnicy. Przede wszystkim myślałem jednak o tym, czy rozmawiać z nim o tej całej sytuacji. Z jednej strony miałyby świadomość, do czego potrafi się posunąć jego własna matka, ale z drugiej wprowadzi to w jego głowie niepotrzebny zamęt. Postanowiłem zatrzymać wszystko

dla siebie.

Zdrzemnąłem się godzinę, przebrałem i pojechałem do Niny. Gdy dotarłem na Wolę, mieszkanie było już pełne ludzi. Głównie z naszego roku, kilka osób od Agaty. Zamierzaliśmy rozgrzać się w domu, a koło jedenastej – żeby nie drażnić sąsiadów – ruszyć w miasto. Po północy towarzystwo się przerzedziło. Zostali najbliżsi, około sześciu osób, i zaczęliśmy się zbierać. Plan zrodził się, gdy dotarliśmy na przystanek.

– Ja bym poszła do pedalni! – zaproponowała mocno już zawiana Agata, która jeszcze chwilę temu chciała iść do Kevina, by nie był sam w domu.

– Dokąd? – zaśmiała się niewiele trzeźwiejsza Patrycja.

– No do pedalni! Takiego miejsca, gdzie są sami ładnie ubrani, pachnący i kompletnie nami niezainteresowani chłopcy! – wyjaśniła. – I tak się składa, że jeden taki chłopiec jest wśród nas i na pewno wie, gdzie znajdziemy podobnych!

– Wolałbym nie iść bez Wiktora – próbowałem wyperswadować jej ten pomysł.

– Wiktora śmora! Co ty tam idziesz go zdradzać czy potańczyć?! Z nami! – nie dawała za wygraną.

– Nie, nie. Raczej dzięki. Poza tym nie wiem, gdzie są takie kluby. Znam tylko Utopię. A tam nie pójdę.

– Ja wiem! – wtrącił się nasz grupowy dresiarz Michał, który ostatnimi czasy coraz częściej ubierał się casualowo.

– Misiu, a skąd ty to wiesz? Zdradzasz mnie z kimś?! I to po klubach? – ożywiłem się.

– Nigdy cię nie zdradziłem i nie zdradzę – przyrzekł uroczyście na środku autobusu.

– No to prowadź, kochanie! Prowadź! – zażądałem, a moje skrupuły pękły jak bańka mydlana.

Podróż do centrum upłynęła na próbach wyciągnięcia z Michała informacji o jego wiedzy na temat lokali dla gejów. Ale trzymał się dzielnie mimo wypitego alkoholu. Młodzi dziennikarze postawili też na autopromocję. Przerzucaliśmy się ostatnimi sukcesami zawodowymi. Ktoś zaczepił się w jakieś gazecie, ktoś w lokalnym radiu, byli też tacy, którym udało się wbić do telewizji. Okazało się, że zostałem daleko w tyle. Poza pisaniem do gazety w miasteczku nie miałem się czym pochwalić.

Nina z Karolem zaszyli się we dwoje na drugim końcu autobusu. Jakby nie jechali z nami. Ona coś mu tłumaczyła, a on siedział z nosem zwieszonym na kwintę. Zawsze miałem z nim słaby kontakt. Tkwił w tych swoich wybujałych fantazjach o sędziowskiej sławie i Trybunale Konstytucyjnym. Wysiedliśmy pod Rotundą. Michał wyznaczył kurs w stronę placu Konstytucji. Wiedziałem, że prowadzi nas do Toro. O tym miejscu mówiło się jako o Utopii dla ubogich. Nigdy tam nie byłem. Miałem wątpliwości, czy mogę i czy chcę tam iść bez Wiktora, ale wyjaśniłem sobie, że związek to nie więzienie. Usiedliśmy pod latarnią na

rogu Marszałkowskiej i Koszykowej. Towarzystwo tańczyło i robiło sobie zdjęcia, a Nina i Karol dołączyli do nas dopiero po chwili.

– Sorry, ale my dziś pasujemy – wypalił Karol.

– Ej no, bez jaj, czemu, nie pierdolcie! – podniosła się wrzawa.

– Nina jest zmęczona, ja też. Pojedziemy do mnie – tłumaczył mętnie.

– Nina jest zmęczona? – zdziwiłem się. – Przecież to ona zaaranżowała ten wieczór!

Zmęczony był raczej Karol. Nami. I tym, że przy nas jego dziewczyna jest uśmiechnięta i radosna.

– Boli ją głowa, prawda, kochanie? – szukał potwierdzenia.

– No trochę mnie boli – wyjęczała oparta o jego ramię.

Żeby nie psuć i tak dość chłodnych stosunków z Karolem, nie powiedziałem nic o tym, że gdyby Nina zjadła normalny obiad, czułaby się znacznie lepiej. Już od kilku tygodni dziobała w jedzeniu jak wróbelek, a potem zawsze znikwała w łazience. Twierdziła, że nie bierze niczego na przeczyszczenie, ale jej nie wierzyłem. A do tego biegła jak szalona. Rano, przed wyjściem na uczelnię, i wieczorem, tuż przed snem. Chudła bardzo szybko. Widziałem to po jej twarzy, ubraniach, a nawet cyckach, które zmniejszały się wraz z ubywającymi kilogramami. Wymieniła ze mną jedno spojrzenie i się zmyli. Agata określiła Karolka mianem:

dzikus. Poszliśmy dalej sami i po chwili znaleźliśmy się przed wejściem do klubu. Na zewnątrz stało sporo ludzi, pili piwo, palili papierosy. Było dość gwarно. Błagałem Michała, żeby powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Ustaliliśmy, że w celu uniknięcia niechcianego podrywu on i Kamil będą udawali parę. Na dole była kasa, szatnia i darkroom. Kasę i szatnię musieliśmy zaliczyć, darkroom sobie darowaliśmy. Żadne z nas chyba nie było amatorem tego typu atrakcji. Zasadnicza część lokalu mieściła się na górze. Tuż przy wejściu był bar i kilka stolików z krzesłami. Na parkiecie objęli się o siebie ludzie tańczący w rytm przeboju *Pump it up!* Danzela. Michał z Kamilem zajęli miejsca na parapecie, a my poszliśmy po drinki. A potem zaczęliśmy tańczyć. Od czasu do czasu ktoś próbował do nas dołączyć, ale nie odwzajemniałem uśmiechów. Faceci rezygnowali. Patrycja zauważyła, że się podobam, że patrzą na mnie. Szczególnie jeden. Miał na oku opaskę, jak pirat. Twarz wydała mi się znajoma, chciałem o niego zapytać Agatę, ale nie zdążyłem nawet zacząć zdania. Ruszyła w jego kierunku.

– Pan Dywan! – krzyknęła i rzuciła mu się na szyję.

Przy okazji zalała i jego, i siebie drinkiem.

Facet początkowo odskoczył jak oparzony, ale po chwili ją rozpoznał. Agata wskazała palcem na mnie. Przeszedł mnie dreszcz, chłopak szedł w moją stronę. Jakieś trzydzieści pięć lat, wysoki, atletyczna budowa, krótkie lekko szpakowate włosy. Był już na tyle blisko,

że zauważyłem też przerwę między jedynkami.

– Ładna opaska, nie wiedziałem, że jest tu dziś bal przebierańców – zagałem.

– Wyobraź sobie, że ostatnio dostałem w oko pewnym dywanem! – odpowiedział.

– Naprawdę? Powiedz mi jeszcze, że to się stało w autobusie 171!?

– Skąd wiesz? Byłeś tam?

– Przechodziłem.

Znajomi gdzieś się rozpierzchli. Zostałem sam na sam z Szymonem – bo tak miał na imię. Streściłem mu całą historię dywanową. Z niezdanym egzaminem włącznie. Trochę potańczyliśmy. Hitem była piosenka *Hot stuff* Donny Summer. Straciłem z oczu kompanów dzisiejszego wieczoru. Dzwoniłem do wszystkich, ale nikt nie odbierał. Poszliśmy ich poszukać. Nie wierzyłem, że najpierw namówili mnie, żeby tu przyjść, a potem zostawili samego. Obeszliśmy cały klub, potem dół i patio. Nigdzie ich nie było. Zdenerwowałem się.

– Co się dzieje? – zapytał Szymon.

– Dziwnie się czuję, poszli i nic mi nie powiedzieli. Głupie to. Wezwę taksówkę.

– Już? – zdziwił się. – Jest ledwie druga.

– Już druga. – Uśmiechnąłem się nerwowo i zacząłem wybierać numer.

– Boisz się mnie? – zapytał z frywolnym uśmiechem.

– Nie, no coś ty. Czemu mam się bać?

– Takie odniosłem wrażenie, ale spokojnie. Nie wydarzy się nic, czego nie będziesz chciał.

– To jest akurat jasne – powiedziałem. W końcu ktoś odebrał. – No wreszcie. Poproszę taksówkę na ulicę... jaka to ulica?

– Róg Marszałkowskiej i Zoli – podpowiedział.

Powtórzyłem, dorzuciłem też garść informacji niezbędnych do przyjęcia zgłoszenia. Imię, nazwisko i numer telefonu.

Taksówka miała być za dziesięć minut. Oparłem się o ścianę i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Mimo wysokiej temperatury zrobiło mi się zimno. Szymon zaoferował swoją marynarkę. Stał na tyle blisko, że czułem jego ciepło. Chwilę potem położył rękę na moim ramieniu. Delikatnie, ale stanowczo ją zdjąłem i zrobiłem krok w bok. On za mną. Nie dawał za wygraną.

– To jest właśnie jedna z tych rzeczy, na które chyba nie masz mojej zgody – powiedziałem.

Nerwowo przeczesalem włosy.

– Chyba? Jesteś niezdecydowany? – złapał mnie za słówko.

Zgłupiałem. Ciekawe, co by na to powiedział Freud. Słówkiem „chyba” dałem mu milczące przyzwolenie na coś więcej? Ośmieliłem go? Wszystko wskazywało na to, że tak. Stanął naprzeciw mnie w rozkroku. Dłoni dotknął ściany, stworzył coś na kształt wnyków, z których nie bardzo umiałem się wyswobodzić. Dalej

było jak w kiepskim filmie. Ewidentnie chciał mnie pocałować. Stałem sparaliżowany. Z lokalu dobiegało *Loco-Motion* Kylie Minogue. Musiałem coś zrobić. I kiedy nasze usta dzieliło kilka centymetrów, schyliłem się i przemknąłem pod jego lewą ręką. Prawie cmoknął ścianę. Roześmiałem się, ale jemu chyba nie było do śmiechu. Nie spojrzął na mnie, stał przodem do ściany przez kilka sekund. Gdy się w końcu odwrócił, byłem już w drodze do taksówki, która właśnie podjechała. Wsiadłem bez zwłoki, przez okno podałem Szymonowi marynarkę, podziękowałem, a kierowcy powiedziałem, żeby jechał. Nie chciałem przedłużyć tej irracjonalnej sytuacji. Nie byłem nim zainteresowany nawet przez chwilę. Wszystko, co się wytworzyło, było niezależne ode mnie. Nie muszę się całować z innymi facetami niż Wiktor. Nie muszę i nie chcę. To, co mam w domu, w zupełności mi wystarcza.

Zapłaciłem niecałe piętnaście złotych. Wystukałem kod na domofonie i wślizgnąłem się do bloku, nie budząc ochroniarza. Wjechałem na górę, wszedłem do mieszkania i szlag mnie trafił. Drzwi na taras znów były otwarte. A w łazience świeciło się światło!

16. Powrót do przeszłości

Marta. Ona znów tu jest! Tylko po co przyszła w środku nocy? Szpiegować mnie, nastraszyć? Zaraz się okaże, że ma na sobie prześcieradło lub białą suknię, natapirowane włosy, a w ręku lichtarz ze świecami i robi dziś za Białą Damę, pohukując złowieszczo. O co tej babie chodzi? W ciemności usiadłem przy stole w kuchni. Zobaczymy, kto kogo przestraszy. Odniosłem wrażenie, że błyskawicznie wytrzeźwiałem. Czekałem, układając nadchodzący dialog. Co powiem, gdy ona powie to i to. Analizowałem poszczególne możliwości. Nagle woda przestała lecieć, drzwi się otworzyły i zobaczyłem nagiego Wiktora.

– A co ty tak nago? Po nocy – zapytałem.

– Chodzę i szukam.

Wcale nie był przestraszony, jakby się spodziewał, że będę tu siedział.

– Kogo?

– Takiego jednego. Niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu, maksymalnie siedemdziesiąt kilogramów, szczupły, włosy brązowe, do ucha. Zielone oczy – opisał mnie. – Widziałeś go może? Wracam do domu, środek nocy, a jego nie ma.

– Zdaje się, że przed chwilą był na klatce schodowej.
– A co on robił o tej porze na klatce schodowej? – dopytywał z przekąsem.

– Chyba wracał do domu, ale coś wspominał, że tam miało nikogo nie być.

– Chciał sobie sprowadzić gacha na noc?!

Szedł w moim kierunku.

– Był sam, ale może gach czekał za winklem. Tego już nie widziałem.

Też ruszyłem w jego stronę.

I stało się nieuniknione. Witaliśmy się tak intensywnie, że zaczęło świtać. Zanim się położyłem, wskoczyłem na chwilę pod prysznic, byłem przecież po imprezie. W ciągu tej doby wydarzyły się dwie rzeczy, o których nie powiem Wiktorowi. Ani wizyta Marty, ani sytuacja z Szymonem nie ma i nie będzie mieć wpływu na nasze życie.

Nadszedł lipiec, a wraz z nim zaplanowana podróż do miasteczka. Zarezerwowaliśmy na nią cały piątek. Kontrolny telefon do Marii pozostał głuchy. I wątpię, żeby był to przypadek. Miała do mnie o coś żal. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi, i rozwiązać problem, bo strasznie mierzi mnie panująca między nami cisza. Szybko załatwiłem sprawę umowy w redakcji i jeszcze przed południem byliśmy u mojej drugiej przyjaciółki. Wszystko oczywiście tak, żeby nikt ze znajomych albo z rodziny mnie nie zauważył. Żadnych spacerów główną aleją, żadnych odwiedzin. Dziś tylko redakcja, Matylda

i Maria, jeśli odbierze, w co wątpię. Matyllda wzięła urlop i miała cały dzień dla nas. Gdy tylko przekroczyliśmy furtkę, jej suki Ryszarda i Antonina, zwane też Rysią i Tosią, zaczęły na nas skakać i witać się wylewnie. To już była tradycja. Chyba że kogoś nie lubiły. Wtedy potrafiły pogryźć buty lub do nich nasikać. Zdaje się, że Wiktora zaakceptowały.

Rozsiedliśmy się w pokoju Matylldy. Nie obyło się bez tradycyjnej rundy plotek. Musiałem być na bieżąco z miasteczkowym życiem towarzyskim. I starałem się w nie wprowadzać Wiktora. Większość opowieści wyraźnie go bawiła. Dowiedziałem się o planowanym na początek września spotkaniu naszej klasy z podstawówki. Lubię takie spędy po latach. Niektórych osób nie widziałem bardzo długo, chętnie się dowiem, co u nich. Wiktora pewnie tam nie zabiorę, to byłaby zbędna sensacja. Poza tym on reaguje na miasteczko bólem głowy. Dziś było podobnie. Chociaż tym razem to chyba wina temperatury. Nie odpoczął też do końca po podróży do Wiednia. Położył się więc w pokoju Matylldy, a my w końcu zostaliśmy sami. Brakowało mi tych naszych długich rozmów w cztery oczy. Telefon to nie to samo. Z zamkniętymi oczami leżeliśmy na kocu w cieniu wielkiego orzecha, który skutecznie chronił nas przed słońcem. Matyllda na plecach, ja na brzuchu. Raz po raz jakaś upierdliwa mucha zakłócała nam sjęstę. A suki dobierały się do truskawek, które sobie przygotowaliśmy. Te psy jedzą wszystko to, co ludzie.

Gdybyśmy wrzucili im truskawki do misek, nawet by ich nie powąchały, ale z talerza to już rarytas.

Matylda dojrzała wreszcie do decyzji o kontynuowaniu nauki. Od września przejdzie w sanepidzie na pół etatu i będzie słuchaczką pomaturalnego studium medycznego w miasteczku na kierunku rehabilitacja. Zawsze ją ciągnęło do masażu i przywracania sprawności kończynom. Przed maturą przebąkiwała coś o AWF-ie, ale potem pomysł umarł i poszła do pracy. Teraz na szczęście ożył, jednak w mniejszym zakresie. Matylda ma alergię na Warszawę i ogólnie na duże miasta. Przez dwa lata była u mnie zaledwie kilka razy. Drażnią ją zgiełk, pęd, samochody. W tej materii jesteśmy ulepieni z innej gliny. Najchętniej zaszyłaby się w domu z bali w jakiejś głuszy, siała marchewkę w ogródku i uprawiała zioła na balkonie. Taki typ. I jeśli spełni te marzenia, oboje będziemy szczęśliwi. Ona będzie w swoim świecie, a ja będę miał gdzie uciekać z Warszawy. Nie wiem, czy brakuje jej faceta. Nie mówi o tym. Chociaż wchodzimy powoli w wiek, w którym – według obowiązujących w miasteczku standardów – zaczyna się być starą panną lub starym kawalerem. Dla Matyldy posiadanie faceta nigdy nie było priorytetem, miała miliony innych zajęć. Gdy w liceum koleżanki włóczyły się z imprezy na imprezę w poszukiwaniu chłopaka, z którym stracą dziewictwo, ona oddawała się harcerstwu. Tę pasję pielęgnuje do dziś. Może nie tak intensywnie jak kiedyś,

ale hufiec już na zawsze będzie częścią jej życia. Stale powtarza, że wielkie seksbomby kończą jako ogromne niewypały. I powoli zaczyna się to sprawdzać. Lokalne gwiazdy, te same, które przed laty rozkochiwały w sobie tuziny chłopaków, dziś widuje się na ulicy z wózkami, przy których nie ma ojca dziecka. Natomiast my delektujemy się swoim towarzystwem.

– Dobrze mi – oznajmiłem leniwie.

– Widzę – powiedziała Matylda.

– Ale nie tylko teraz. Tak ogólnie mi dobrze. W życiu – uściśliłem.

– Doprawdy?

– Trafiło mi się jak ślepej kurze ziarno.

– Związek idealny? – powątpiewała dyskretnie.

– Żebyś wiedziała.

– A są jakieś problemy? – drążyła.

– Dwa... no może trzy, ale trzeci to taki maleńki – wymamrotałem.

– Seks?

– No coś ty, on może trzy razy dziennie. I wcale nie jest maleńki – odpowiedziałem z szerokim uśmiechem.

– Problemy są inne.

– Nie gotuje? – chciała zażartować.

– Pysznie gotuje. Ale jesteś blisko, strzelaj dalej.

– Nie bawmy się w *Miliard w rozumie* – nawiązała do legendarnego teleturnieju prowadzonego przez Janusza Weissa. – Mów.

– Ten maleńki to walka o sprzątanie. On jest

walniętym w łeb pedantem. A poważny to mamusia.

– Czyja?

– Jego, a czyja? Nie cierpi mnie – wypaliłem.

– Jak to teściowa. Klasyczny układ. – Nie była zaskoczona.

– Ale ona mnie nie cierpi bardziej niż klasycznie.

– Czyli jak?

– Utopiłaby mnie w łyżce wody. Niby jest miła, niby nic się nie dzieje, a wbija mi szpile. Drwi ze mnie, z mojego pochodzenia, z rodziny – wyliczyłem.

– Przy Wiktorze? – zainteresowała się Matylda.

– Tak, ale on chyba tego nie widzi. Nie czuje.

– A ty nie jesteś przypadkiem przewrażliwiony?

Znała mnie przecież nie od dziś.

– Nie tym razem. Odwiedziła mnie pod nieobecność Wiktora – powiedziałem niemal szeptem. – I po tej wizycie wiem, że będzie chciała się mnie pozbyć. Raz na zawsze.

– Będzie chciała cię zabić? – Matylda szeroko otworzyła oczy i przekręciła głowę w moją stronę.

Wiktor spał w pokoju, którego okno wychodziło na ogródek, a nie chciałem, by dowiedział się o wizycie swojej mamusi, więc całą historię opowiedziałem Matyldzie niemal na ucho. Nie wiem, co ją tak rozbawiło, ale gdy zbliżałem się do końca, łzy płynęły jej po policzkach. Dopiero kiedy się uspokoiła, wyjaśniła, że fragment o herbacie jest jej zdaniem tekstem roku i koniecznie powinniśmy go gdzieś

zapisać. Dla potomnych.

– Toksyczna mamusia – oceniła, gdy już doszła do siebie.

– Mniej więcej, ale nie jestem pewien, czy wiem, gdzie jest źródło jadu – powiedziałem, po czym zreferowałem teorie Majki i Maćka. O przypuszczalnej homofobii Marty i jej lęku o rodzinny majątek.

– To może być i jedno, i drugie – rzuciła złotą myśl.
– Albo i trzecie. Urodziła, wychowała, ukochała, wykształciła. A ty jesteś tym złym, który go zabiera.

– Przecież on jest dorosły. Chciałaby go do śmierci piersią karmić?

– Są takie matki. Żaden partner dziecka nie będzie dobry – wyjaśniła. – I dlatego traktuje się go jak wroga.

– Bo on śpi ze mną, a nie z nią?

– Mniej więcej. – Westchnęła. – A mogło być tak pięknie. Teściowa wie o was, zaprasza na obiadki, gawędzicie przy winie, potem wspólnie oglądacie zdjęcia z rodzinnego albumu i dziennik w telewizji.

– Mogło być, ale nie jest... – przerwałem jej wywód.
– Ciągle spodziewam się ataku. A teraz najlepsze. Jesteś gotowa?

– Dajesz!

– Chce się do nas wprowadzić.

– Jak to do was wprowadzić?

– Normalnie. Chce z nami zamieszkać.

– Bo? Została bezdomna czy zapalała chęcią bycia bliżej ukochanych osób?

– Z chęci kontrolowania, czy nie śpimy za blisko siebie i czy trzymamy rączki na kołdrze – wysnułem teorię. – A oficjalnie z powodu remontu domu.

– Na jak długo?

– Podobno dwa tygodnie, a przez ten czas ma nas nie być. Lecimy na Majorkę.

– Powodzi się!

– Będziemy mieszkać u rodziny Wiktora, która akurat będzie w Polsce.

– Wyczuwam kłopoty.

– Z wyjazdem? – zaniepokoiłem się.

– Nie, z wizytą mamuni... Jak wejdzie, to już nie wyjdzie.

– Przestań! Remont nie będzie trwał wiecznie!

– Zobaczysz – powiedziała złowieszczo. – A drugi problem?

– Drugi to moja rodzina, która oficjalnie nic nie wie.

– Jakie to wszystko pojebane. Teściowa wie i jest źle. Twoja matka nie wie i też jest źle. Sytuacja jak w dramacie antycznym. „O ukochana sestro ma, Ismeno!” – zacytowała Antygonę.

– Może jednak unikniemy tragedii antycznej – pocieszyłem ją. – Chociaż u mnie pewnie się domyślają, tylko boją się zapytać. I tak udajemy.

– Macie wprawę w udawaniu – oceniła.

– Wprawę? To jest mistrzostwo świata! Nie wprawa! – poprawiłem ją.

– A powiesz im?

- Jak zapytają, to powiem.
- Nawet matce?
- Tak.
- Masz nerwy ze stali. – Poklepała mnie po ramieniu.
- Ja bym się każdego dnia bała, że się dowiedzą.
- A ja się nie boję – stwierdziłem odważnie. – Mieszkam daleko stąd. A poza tym co się może stać, jeśli się wyda? Jestem dorosły. I nie robię nikomu krzywdy. Nie jestem mordercą czy złodziejem. Bycie gejem to nie zbrodnia. Cecha jak każda inna. Ty masz duże cycki, ja jestem homo.
- No w sumie – zawiesiła głos. – Kasę mogą ci uciąć
- dodała po chwili milczenia.
- Powodzenia. Mam dwie ręce, pójdę do pracy. Zresztą wracam do naszej gazetki. Będą mi płacić.
- A nie boisz się, że się ciebie wyrzekną? – przypierała mnie do muru.
- Matka na pewno nie! Bez względu na wszystko. Kocha mnie, wiem to.
- A ojciec? – Dotknęła drażliwego tematu.
- Właściwie już dawno to zrobił. Ja z nim nie gadam. I to nie od czasu, gdy się wyprowadziłem. Zresztą wiesz, jak było. Nigdy nie gadaliśmy.
- Więc pokaż w domu Wiktora. Dziś. Zaraz. Skoro tak ci to wszystko wisi. Masz okazję. Jak nigdy – podpuszczała mnie.
- Weź zejdź ze mnie! – odburknąłem.
- No co? Taki jesteś wyzwolony, a się boisz?

– Nie boję się, tylko...

– Tylko?

– Tylko nie chcę im tego mówić. Tobie chciałem, więc powiedziałem. Dopóki sami nie zapytają, nie poruszę tego tematu. Taką mam zasadę – uciałem.

– Powiem ci jeszcze coś na koniec. – Zabrzmiało jak ostrzeżenie. – Wy ciągle albo jecie, albo się pieprzycie...

– Przegięłaś w tym momencie!

Zerwałem się i usiadłem po turecku.

– A teściowa co chwila przerywa eldorado. Inaczej byście się zanudzili – jechała bez trzymanki.

– Matyllda! – hamowałem ją.

– Co Matyllda?! Co Matyllda? Przyjrzyj się temu, powiedzmy, związkowi. Tylko obiektywnie. I powiesz mi za jakiś czas, co widzisz. I czy to jest normalne.

– Ale...

– Nic nie mów. Przyjrzyj się! I się nie zaperzaj. A teraz posłuchaj mnie, będę się chwalić.

Zaintrygowała mnie. Trochę ją dziś zdominowałem rozplywaniem się nad swoim związkiem i nie pozwoliłem jej dojść do słowa.

– Pamiętasz tego Wojtka z czwartej be? – zaczęła.

Rzeczywiście kiedyś był jakiś Wojtek w jej liceum. Dwa lata starszy od nas. Jakoś tak się utarło, że mówiliśmy o nim „Wojtek z czwartej be”. Wysoki, ciemne włosy, duży nos, grał w koszykówkę i znał się na komputerach. Zapamiętany także jako ten, który na

studniówce był z Roksaną – największym wrogiem Matyldy w czasach licealnych. Wojtek był jedynym facetem w historii, na którego Matylda kiedykolwiek zwróciła uwagę i przyznała się do tego światu zewnętrznemu. W tym mnie. Nawet się kilka razy spotkali. Temat skończył się definitywnie podczas wspomnianej studniówki.

– Co z nim? – zapytałem.

– Widzieliśmy się – powiedziała nieśmiało.

– No i? – niecierpliwiłem się. – Przecież tu ciągle każdy każdego spotyka.

– Ale on mieszka w Warszawie. I widzieliśmy się ostatnio kilka razy. Nie przypadkiem – podkreśliła.

– Więc znów możemy o nim rozmawiać? – upewniłem się, mając w pamięci zakaz wymieniania jego imienia.

– Nawet musimy.

– Mów! – Byłem podekscytowany.

– Widujemy się regularnie od pięciu weekendów. – Uśmiechnęła się.

– W Warszawie?

– Nie, tutaj. Przyjeżdża co tydzień.

Spotykali się na kawie, jeździli na wycieczki, a Matyldzie bardzo to odpowiadało. Flirtowali, testowali grunt. On kupował jej kwiaty, ona piekła mu babeczki. Chodzili po okolicznych lasach i polach. Do późna rozmawiali w pobliskim parku. O świecie, o ludziach i życiu.

– Coś się kroi? – zapytałem entuzjastycznie, bo widziałem, że się rozmarzyła.

– Zobaczymy, nie chcę zapeszać. Dowiaduj się – ucięła.

– A nadal pociąga nosem?

Wojtek od zawsze kojarzył mi się z uporczywym pociąganiem nosem. Był podobno uczulony niemal na wszystko.

– Ty znów swoje! On nigdy nie pociągał nosem!

– Oczywiście, że pociągał!

– Raz czy dwa pociągnął, a ty od razu, że pociągał. Weź się lecz – zareagowała dokładnie tak samo jak przed laty, gdy o tym wspominałem.

Upał nas uśpił. Drzemaliśmy około godziny. Ja z przerwami, co chwila przypominały mi się słowa Matyldy. Usiłowałem spojrzeć na siebie i Wiktora z boku, tak jak mi poleciła. Nie widziałem niczego niepokojącego. Było tam dwóch kochających się facetów. I co w tym złego, że się pieprzą i jedzą? Wszyscy się pieprzą i jedzą. Ona z Wojtusem też będą to robić.

Moje rozważania przerwała Antonina, która podbiegła i zaczęła lizać mnie po twarzy. Obudziłem Matyldę, złożyliśmy koc i poszliśmy do domu. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Ze środka dobiegała rozmowa. Byłem pewien, że słyszę głos matki mojej przyjaciółki.

17. I wszystko jasne

Nie myliłem się. Przy blacie w kuchni stała mama Matyldy, a obok niej Wiktor. Ona siekała warzywa, a on mieszał je w szklanej misce dużą drewnianą łyżką. I rozmawiali. Zatkano mnie. Nie mogłem wydusić słowa. Ciszę przerwała Matylda.

– A ty już jesteś? Co tak wcześniej? – zwróciła się do mamy.

– Jest po szóstej. Wy gniliście, a my tu sobie gotujemy – odpowiedziała.

– Tak po prostu sobie gotujecie? – Powoli wychodziłem z oszołomienia.

– Tak, tak po prostu – odparła. – Idźcie myć ręce. Obiad za chwilę.

Zniknęliśmy w łazience. Matylda odkręciła wodę i patrzyliśmy na siebie w lustrze, zastanawiając się, o co chodzi? Aż wreszcie przypomniało mi się, że oni przecież się znają. Kiedyś, gdy Wiktor przywiózł mnie na Wielkanoc, pani Beata wpadła na nas przed sklepem. Wiłem się jak piskorz, żeby nie zdradzić jej za dużo. Wówczas zamienili ze sobą zaledwie kilka słów, a teraz razem gotują. Tak po prostu. Gdy wróciliśmy, obiad był już na stole. Polędwiczki wieprzowe w sosie serowym.

Matka Matyldy była wyśmienitą kucharką. Niestety była też bardzo ciekawska.

– U Ireny byliście? – zwróciła się do mnie.

– Nie. I nie mamy tego w planie – odpowiedziałem, popijając jedzenie kompotem z rabarbaru.

– I nie wie, że tu jesteście?

– Nie wie i się nie dowie. Ani że byłem, ani z kim byłem. Prawda? – Chciałem wymusić deklarację.

– Chłopaki, chłopaki. – Przełknęła kęs. – Prawda – przytaknęła.

Być może sam się zdradziłem, ale uznałem, że wszystko jest jasne. Matka Matyldy widzi mnie drugi raz z tym samym facetem. Już w pierwszym pytaniu traktuje nas jak jedność. Nie jest przecież idiotką, a ja nie byłem aż tak bezczelny, żeby jej wmawiać, że to, co widzi, to fatamorgana. Nikt niczego wprost nie powiedział, o nic nie zapytał, ale sytuacja była jednoznaczna. Także to, że rozmowy na ten temat z moją mamą i kimkolwiek innym są wykluczone.

– Nie wiedziałam, czy mam wzywać policję, czy się rozbierać i wskakiwać pod kołdrę – przerwała krępującą ciszę pani Beata.

– Nie rozumiem – rzuciła Matylda.

– Jak przyszedłem i zastałem Wiktora w twoim łóżku.

– I z czym miałaś problem?

– Taki ładny, wypchniony, że aż szkoda było nie skorzystać. – Zaśmiała się.

– I co panią powstrzymało? – włączyłem się do

rozmowy.

– Zastanawiałam się, czy najpierw zdjąć buty i bluzkę, a on się przebudził.

– To chyba dobrze. Na śpiocha raczej by nie wyszło.

– Praktycznie podszedłem do problemu.

– Nie miałam sumienia, jesteś dla mnie jak syn.

– No tak, przespać się z facetem syna to za dużo. Nawet jak na ten dom – oznajmiłem bez namysłu.

– Więc zapaliliśmy papieroska i zaprzęgåłam go do roboty.

– Wiktor, ty ze wszystkimi starszymi paniami palisz papieroski? – Przypomniałem sobie, że podobnie było z moją mamą.

– Tylko z wybranymi. – Puścił oczko do pani Beaty.

– Co to znaczy ze starszymi paniami? – udała oburzenie.

– Właśnie! – dodał Wiktor. – Beata przecież dopiero zdała maturę.

Nie wiedział, że mama Matyldy nie ma matury.

– To wy już jesteście po imieniu? – zapytałem.

– Owszem – odpowiedzieli razem.

– Człowiek zna tu każdy kąt, każdą szafkę i ciągle obowiązują go konwenanse, a przyjeżdża taki ładny i wypachniony z Warszawy i ma wszystko bez kolejki. Traktuję to jak policzek – roześmiałem się.

Jedliśmy, przerzucając się żartami. I Matylda, i jej mama przyjęły Wiktora jak swojego. Nie chcieliśmy się

żegnać, ale zegar wybił dziewiątą. Byliśmy już w przedpokoju, gdy przypomniałem sobie, że nie omówiliśmy kluczowej sprawy.

– Matylda, wiesz, co się dzieje z Marią? Nie udało mi się dziś z nią umówić, a nasza ostatnia rozmowa przez telefon prawie skończyła się kłótnią – zagałem.

– To ty nic nie wiesz? – zapytała zdziwiona.

– A co mam wiedzieć? Co się stało? – Byłem jeszcze bardziej zaskoczony.

– Marysia się zakochała!

– I to sprawia, że nie odbiera ode mnie telefonów?!

– Możliwe... – odpowiedziała zdawkowo.

– Miłość wyklucza kontakt z przyjaciółmi? To niedorzeczne! Matylda!

– Zapytaj, w kim się zakochała, a wszystko zrozumiesz.

– OK, w kim? – Byłem coraz bardziej zniecierpliwiony.

– W młodym Mazurze!

Osunąłem się na ścianę i chwyciłem Wiktora za rękę, żeby nie paść pod ciężarem tej informacji. Leszek Mazur był w miasteczku postacią bardzo znaną. Niestety nie była to szczytna sława. Miał ze dwadzieścia siedem, może osiem lat. Nigdy nie pracował, ale miał pieniądze. Był kibicem, a mówiąc wprost, kibolem Legii. Wieść gminna niesie, że uczestniczył w ustawkach. Czasem wskazywała też na to jego poobijana twarz. Był łysym, atletycznie zbudowanym, wysokim kolesiem. Nawet

mógł się podobać. Ledwo skończył zawodówkę, nie wiem, czy przeczytał w życiu jedną książkę. Był całkowitym przeciwieństwem Marii – prymuski, która chciała studiować medycynę – i jak sądziłem, gustowała w bardziej skomplikowanych facetach. Nazywano go „młody Mazur”, bo ma starszego brata, który siedzi w więzieniu za pobicie i kradzież z włamaniem do sklepu rowerowego. Słuchałem opowieści Matyldy, a usta i oczy otwierały mi się coraz szerzej. Maria ma faceta. Wątpliwej jakości, ale ma. I nic mi o tym nie powiedziała! Co więcej, zaczęła mnie unikać i od tygodni zasłania się intensywnymi przygotowaniami do matury. Najlepsze Matylda zostawiła na koniec. Od jakiegoś czasu Leszek jest członkiem Młodzieży Wszechpolskiej. To mnie dobiło!

Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w drogę do Warszawy. Jednak tuż za tabliczką z przekreśloną nazwą miasteczka zdecydowałem, że zawracamy. Musiałem się zobaczyć z Marią. Dziś.

- Daj mi telefon. – Wyciągnąłem rękę do Wiktora.
- Ale po co? – spytał, podając mi swoją komórkę.
- Ode mnie nie odbiera, a twojego numeru nie zna. Odebrała po trzech sygnałach.
- Cześć, to ja – powiedziałem tylko.
- Cześć, wiesz, nie bardzo mogę... – zaczęła.
- Jeśli się rozłączysz, to będzie nasza ostatnia rozmowa w życiu. Obiecuję ci to – zabrzmiało jak szantaż i tak miało zabrzmieć.

– Ale już późno... – próbowała coś powiedzieć.
– Za dziesięć minut będę na ciebie czekał na ławce przy garażach. – Rozłączyłem się natychmiast po tych słowach.

Ławki przy garażach od naszej klatki dzieliły dwie minuty drogi. Nie było daleko, ale wystarczająco na uboczu, by zminimalizować ryzyko spotkania mojej mamy spacerującej z psem lub któregoś z sąsiadów. Siedziałem w samochodzie i wpatrywałem się w chodnik prowadzący sprzed mojego bloku. Obstawiałem, że to tędy przyjdzie Maria. Pocierałem dłoń o dłoń i skubałem palce.

– Iść z tobą? – zapytał Wiktor.

– Nie, sam muszę to załatwić. Ona może się krępować rozmawiać przy tobie. Poczekasz tutaj, dobra?

– Dobrze – zgodził się, choć niechętnie.

– I nawet jeśli zacznę krzyczeć, to zostaniesz w samochodzie. OK?

– No...

– Dobrze?! – nalegałem.

– No dobrze już, dobrze.

Ledwo skończył mówić, na skraju ulicy pojawiła się Maria. Była za daleko, żebym mógł dostrzec, co ma na sobie. Zauważyłem jedynie, że ma spięte włosy. Już chciałem biec w jej kierunku, kiedy okazało się, że nie jest sama. Trzy kroki za nią szedł facet. Leszek Mazur. Jeszcze nie tak dawno był dresiarzem. Teraz adidasy zmienił na glany, a dresowe spodenki na dzinsy

poplamione domestosem i szelki. Zobaczył go też Wiktor.

– Sorry, młody, odwołuję wszystko, co przed chwilą powiedziałem – stwierdził stanowczo.

– Yyyy. – Zatkanęło mnie, więc tylko spojrzałem mu w oczy.

– Koniec dyskusji. Albo idziemy razem, albo już nas tu nie ma. Sam nie pójdziesz.

Zapalił silnik auta.

18. Obca

Nie miałem wyjścia. We czworo spotkaliśmy się mniej więcej w połowie drogi. Dokładnie między ławkami, które stały po dwóch stronach chodnika. Jeszcze nie tak dawno, bo dwa lata temu, o tej porze roku i mniej więcej o tej godzinie okupowaliśmy je z Marią i innymi naszymi przyjaciółmi. Byliśmy grupą szczęśliwych dzieciaków, które niestrudzenie bawiły się w chowanego. Potem, gdy w domach pojawiły się kamery, kręciliśmy podwórkowe wersje znanych teledysków. A że brakowało sprzętu do montażu, klip musiał powstać jako jedno ujęcie. I dawaliśmy radę. A tuż przed moim wyjazdem na studia siedzieliśmy tu i obiecywaliśmy sobie, że ta rozłąka nic nie zmieni. Z całej naszej paczki bliski kontakt miałem tylko z Marią. Z pozostałymi widywałem się okazjonalnie. Oni zostali w miasteczku, tu budowali swoje życie. Maria po maturze miała dołączyć do mnie w Warszawie. A teraz zachowywała się jak obcy człowiek. Nie odwzajemniła uśmiechu ani pocałunku w policzek. I jeszcze ten koleś z tępych wyrazem twarzy stojący obok niej. Mimo to wyciągnąłem do niego rękę na powitanie.

– Nie podaję ręki takim jak ty – wycharczał, splunął

i zaciągnął się papierosem.

– To znaczy jakim? – odbiłem piłeczkę bez namysłu.

– To znaczy pedrylom, którzy zapinają się w dupę i liżą sobie dziury! Wiesz już jakim?! – Był agresywny, a Maria spuściła głowę.

– Widzę, że w temacie pedalskich technik seksualnych masz bardzo dużo do powiedzenia. Czytałeś o tym czy praktykujesz? – wtrącił opanowanym tonem Wiktor.

– A wpierdol chcesz? – zwrócił się do niego Mazur.

Obiektywnie rzecz biorąc, Wiktor był od niego wyższy i większy. Prawdopodobnie też silniejszy. Dwa razy w tygodniu chodził na zajęcia z aikido. Ale był też mądrzejszy, więc zignorował groźbę. Maria nie powiedziała dotychczas ani słowa.

– Marysiu, ty się dobrze czujesz? – chciałem zmienić temat.

– A czemu ma się źle czuć? Wygląda, jakby się źle czuła? – znów odpowiedział jej chłopak.

– Ona umie mówić sama.

– Z niektórymi nie gada po prostu – oznajmił triumfalnie.

– Ja nie rozmawiam z tobą. Czy ty głuchy jesteś? Nie mówię do ciebie – poniosło mnie.

– Słyszałaś, mała? Ciota się zdenerwowała. – Zaśmiał się głośno.

Nie miałem ochoty stać i dłużej z nim dyskutować, ale nie chciałem też zaprzepaścić okazji, by wreszcie porozmawiać z Marią. Bałem się o nią. Nie była sobą.

Nie mogłem uwierzyć, że dziewczyna, którą znam kilkanaście lat, nie ma mi nic do powiedzenia. Stała jak manekin, jak kłoda, jak jakaś głupia lala, za którą ktoś musi mówić. Mimo to podjąłem kolejną próbę nawiązania kontaktu.

– Maria, ty jesteś ubezwłasnowolniona? Brałaś coś? Piłaś? Boisz się czegoś? – podrzucałem kolejne wytłumaczenia jej dziwnego stanu. – A może kogoś? – dodałem i spojrzałem na Mazura.

– A kogo ma się bać? – znów się wtrącił.

– Czy ty masz na imię Maria, koleś? – nie wytrzymałem.

– Ząbki masz śliczne, uważaj na to, co i do kogo mówisz, pedale.

– A dostałeś kiedyś w ryj od pedała? – znów wtrącił się Wiktor, już wściekły. A potem zwrócił się do mnie: – Jak ona nie chce z tobą rozmawiać, to niech nie rozmawia. Jedziemy stąd. Tracimy czas.

– Nie mogę jej tak zostawić. Tu dzieje się coś złego. To moja przyjaciółka – tłumaczyłem.

– Jesteś pewien, że to nadal twoja przyjaciółka? – powiedział ostro.

– Oczywiście, że tak.

– Gratuluję przyjaciół. Idziemy.

– Zobacz, mała, pedały się kłóca! – skomentował Leszek.

Wiktor wziął mnie za rękę i niemal na siłę zaprowadził do samochodu. Dobiegały nas jeszcze

jakieś okrzyki, że trzeba było na nas puścić gaz i hurtem wytruć podczas ostatniej Parady Równości. Domyśliłem się, że Mazur był jednym z tych, którzy starali się ją zakłócić. Najpewniej ze swoimi kolegami Wszechpolakami. Gdy wsiadaliśmy do samochodu, zauważyłem, że oni też odchodzą. Wiktor ruszył agresywnie, kątem oka zauważyłem, że Maria żywiłowo gestykuje. Nie rozmawialiśmy przez większą część drogi. Ja płakałem, po raz pierwszy od bardzo dawna, a on zaciskał ręce na kierownicy i pruł przed siebie, słuchając Kazika Staszewskiego. Wyłączył płytę dopiero w Sulejówku.

– Przestań się już mazać. – Nawet nie próbował być empatyczny.

– Umarła mi przyjaciółka, a ty masz mi tylko tyle do powiedzenia?!

– Nie umarła, tylko coś ją w łeb pierdolnęło.

– Jak możesz o niej tak mówić? Co ty o niej wiesz? – broniłem Marii, wydmuchując nos w wysłużoną już chusteczkę higieniczną.

– Dziś zobaczyłem wystarczająco dużo. Chociaż nic nie usłyszałem. – Był szorstki. – Jak ty możesz taką pizdę nazywać przyjaciółką?! – krzyknął.

– Przestań już mnie dobijać – wychlipałem.

Dobrze wiedziałem, że ma rację, ale nie chciałem tego przyznawać.

– Jakiś prostak cię obrażał, a twoja, podobno, przyjaciółka stała jak pomnik i nie kiwnęła palcem.

– Nie wierzę, że ona się z nim związała. To jakiś koszmar! – przekonywałem sam siebie, że to nie może się dziać naprawdę.

– O nie, kochanie, to jest, kurwa, cała prawda. Szara, jebana rzeczywistość. To był ostatni raz, kiedy widziałem ją na oczy. Nigdy więcej!

– Ale może ona się pogubiła gdzieś w życiu? Rolą przyjaciela jest pomóc jej wrócić na szlak. Prawda?

– Zapewniam cię, że gdybyś ty wisiał dziś na skale i błagał o pomoc w powrocie na szlak, ona i jej chłopak nadepnęliby ci jeszcze na palce.

Całą noc myślałem o tym, co powiedział Wiktor. Wydawało mi się niemożliwe, by dziewczyna, którą znam od zawsze, w ciągu kilku miesięcy stała się dla mnie kimś obcym. Rano chciałem wrócić do tematu. Zrobiłem nawet kilka delikatnych podejść, ale na sam dźwięk jej imienia reagował agresywnie. Opuściłem, a gdy poszedł do pracy, zadzwoniłem do Niny. Nie widziałem się z nią od pamiętnego wieczoru, kiedy Karolek zdecydował, że nie mają ochoty iść do Toro. Byłem ciekaw, czy oddzwonili do niej z radia. Bo do mnie nie. Nina od powodzenia tego pomysłu uzależniła swoje wakacje. Jeśli dostanie się na staż, rodzice opłacą jej pobyt w Warszawie przez lato. Jeśli nie, wróci do Ustki lub poszuka pracy, która pozwoli jej się utrzymać w stolicy do października. Do domu jechać nie chciała ze względu na Karolka. Ja z kolei musiałem znaleźć

jakąś pracę. Nie chciałem ciągle siedzieć na garnuszku Wiktora.

Dwie godziny później Nina była u mnie. Na wejściu poprosiła o tabletkę przeciwbólową, rozboleł ją ząb. Postanowiłem ją porządnie nakarmić. Od jakiegoś czasu podejrzewałem, że nie jada normalnie. Pokroiłem szynkę, ogórki, paprykę i pomidora i wyciągnąłem pasztet z kaczką. Były trzy rodzaje dżemów i po jajku na miękko. Zszedłem też na dół po świeże pieczywo i masło. Wszystko ustawiłem na tarasie. Była pod wrażeniem. Zrobiłem po herbacie, opowiadałem, co wydarzyło się w miasteczku, i obserwowałem. Co je, jak je i czy łyka. Łykała. Jadała w miarę normalnie. W kwestii Marii zaleciła obserwowanie sytuacji. Pogadaliśmy też o naszej nieudanej imprezie. Nadal utrzymywała, że poczuła nagłe zmęczenie, ale wyraźnie nie chciała o tym mówić.

– I tak nieoczekiwanie opadłaś z sił? – drążyłem.

– Tak wyszło – zbyła mnie. – Świetny dżem. Domowy?

– Nie, kupny. I co robiliście, jak poszliście do domu? – nie dawałem za wygraną.

– Spaliśmy – odparła krótko. – Mogę jeszcze herbaty? – Nadstawiła kubek.

– Proszę. – Dolałem do pełna.

– A co z tym radiem? – po mistrzowsku podjęła zupełnie inny wątek.

Pewnie mógłbym pytać dalej, ale przecież nie będę

maglował własnej przyjaciółki. Jeśli zechce, sama powie, o co chodzi. Chyba że zabrniesz w tym wszystkim za daleko. Wtedy wygarnę jej, co myślę.

– Właśnie nie wiem – podjąłem. – Już tydzień nikt się nie odzywa. Masz jakiś pomysł, co możemy zrobić?

– Możemy tam zadzwonić! – odpowiedziała błyskawicznie.

– Owszem, ale możemy też tam iść!

– I co powiemy?

– Nie wiem, że przyszedliśmy? Zwarci i gotowi do pracy? – zaproponowałem ochoczo.

– Teraz? – podchwyciła ideę.

– Teraz! To znaczy za piętnaście minut, polecę się jakoś lepiej ubrać.

– Poczekaj chwilę! – krzyknęła za mną. – Czy między tobą a Wiktorem wszystko dobrze?

– Tak. – Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– I nie zdradziłeś go? – wypaliła prosto z mostu.

– A kiedy i z kim miałem go zdradzić? I po co?

– Z tym gościem od dywanu. Podobno się... zaprzyjaźniliście.

– A skąd ty masz takie newsy?

– Od dziewczyn. – Nawet nie próbowała ukrywać.

– I te same dziewczyny, które zostawiły mnie w klubie, powiedziały ci, że zdradziłem Wiktora? – pytałem zszokowany.

– Nie, że zdradziłeś, tylko że gdzieś zniknąłeś z tym od dywanu.

– To oni gdzieś zniknęli! A potem nie odbierali telefonów! Nina, czy ty naprawdę uważasz, że ja mógłbym zdradzić Wiktora? Ty mnie znasz od wczoraj?

– Jakoś mi się właśnie nie chciało wierzyć. Więc wolałam zapytać i się upewnić – tłumaczyła się.

– To jest facet mojego życia. Nie szukam i nie znajdę nigdy kogoś, kto będzie mnie tak kochał. A ja jego. A z dziewczynami się jeszcze policzę. I z chłopakami też.

– Rozumiem. Koniec tematu.

Zaczęła zbierać ze stołu naczynia. Uczuliłem ją, żeby pod żadnym pozorem nie wstawiała ich do zlewu, tylko do zmywarki. A ja pomknąłem się przebrać. Krótkie spodenki zmieniłem na granatowe sztruksy, a rozciągnięty T-shirt na kremowe polo. Zbiegłem na dół. Zlew pusty, zmywarka uruchomiona, Wiktor będzie dumny. Nina była w toalecie. Nie mam w zwyczaju nasłuchiwać, co kto robi w WC, ale tym razem jakaś nienazwana siła zaciągnęła mnie pod drzwi. Minęła minuta, dwie, trzy. Po czterech byłem pewien, że Nina wymiotuje. Niemożliwe, żeby coś ze śniadania jej zaszkodziło. Niewiele myśląc, wtargnąłem do łazienki.

– Rzygasz! – krzyknąłem. Klęczała nad sedesem. – Śniadanie ci zaszkodziło?

– Ej, to jest kibel! Tu się przebywa w samotności! – pouczyła mnie, wycierając usta papierem toaletowym.

– Dobrze się czujesz? – zlekceważyłem jej słowa.

– Dobrze, wyjdź stąd! – nalegała.

– Nie wyjdę! Poczekam tutaj!

– To się odwróć przynajmniej! – krzyknęła i posłała do sedesu kolejną porcję śniadania.

Stałem tak jeszcze kilka minut. Kiedy skończyła, umyła twarz i zęby. O dziwo, miała przy sobie szczoteczkę i pastę do zębów, a nawet płyn do płukania ust, którego teraz użyła. Wyszła z toalety jakby nigdy nic.

– Idziemy? – krzyknęła, łapiąc za klamkę drzwi wyjściowych.

– Dokąd?

– Do radia. Przecież po to się przebrałeś.

– Nina, w ciąży jesteś? – Nie w głowie było mi teraz radio.

– Nie.

– Dżem ci zaszkodził?

– Nie, chyba nie.

– To co? Chleb, masło, jajka?

– Nic mi nie zaszkodziło. Idziemy? – popędzała.

– I to jest taka twoja tradycja? Rzyganie po śniadaniu?
– Opadły mi ręce.

– Powiedzmy. Chodźmy, bo późno się robi.

– Od dawna to robisz? – pytałem przerażony.

– Co?

– Haftujesz po jedzeniu! – wypaliłem.

– Nie gadajmy o tym. Wychodzimy? Czy sama mam iść?

– Możesz iść sama. Ja nie wyjdę, dopóki się nie dowiem, o co chodzi. Wyglądasz jak cień człowieka,

chodzisz zmęczona i głodna!

– Ale chuda – bąknęła pod nosem.

– Chuda!? Nina, jeszcze chwila i będziesz robiła za żywą reklamę muzeum w Oświęcimiu!

– Karolowi się podoba – odparła.

– Karolowi to się podobają blond cizie ze sztucznymi cyckami! Ten koleś ma spaczne poczucie piękna! Nina, opanuj się – zaklinałem.

– On mnie kocha!

– I z miłości zabrania ci jeść i każe rzygać po kątach?! Niech ci na urodziny kupi jaja tasiemca. Łykniesz i będziesz chudła bez rzygania – wrzeszczałem na cały przedpokój.

– Nie gadam o tym. I jeśli nie chcesz się kłócić, to też nie gadaj.

– A jeszcze długo zamierzasz chudnąć?

– Do rozmiaru 34 – odpowiedziała spokojnie. Na wszystkie moje pytania odpowiadała spokojnie.

– Czyli?

– Jeszcze jeden rozmiar. Kilka kilogramów.

– Nina, to grozi bulimią. To straszna choroba. Nie wiem, jakim cudem on ci wmówił, że jesteś gruba. Jesteś, a może raczej byłaś, w sam raz. Teraz wyglądasz nienaturalnie. Wielka głowa, małe ciało, małe cycki, chude rączki i nóżki. Jak ufoludek. I będę ci o tym przypominał każdego dnia! Bolą cię zęby. To skutek wymiotów. Opanuj się, zanim będzie za późno. Skończyłem, możemy iść.

Droga na Myśliwiecką upłynęła prawie w milczeniu. Ożywił się dopiero, gdy zbliżaliśmy się do radia. Nie rozmawialiśmy już ani o Karolu, ani o odchudzaniu czy bulimii. Skupiliśmy się na taktyce, którą obierzemy, gdy dotrzemy na miejsce. Nina wzięła na siebie wywołanie człowieka, do którego wysłaliśmy CV. Oczywiście ściemniła ochroniarzowi, że jesteśmy umówieni. Facet nazywał się Aleksander Gościński, był szefem newsroomu. Znałem go raczej z głosu niż z twarzy, dlatego nie skojarzyłem, że to on, gdy przed nami stanął. Pracę w radiu zaczynał od czytania serwisów, teraz prowadził poranne rozmowy z politykami. Wysoki, łysiejący, w marynarce z łatami na łokciach i wytartych dzinsach. Podał rękę najpierw Ninie, potem mnie.

– Są państwo nieustępliwi – stwierdził na powitanie.

– Nie przyszedł Mahomet do góry, przysłała góra do Mahometa – zażartowała Nina.

– Stwierdziliśmy, że nie możemy czekać, aż pan oddzwoni – dodałem. – Przepraszamy, że skłamał strażnikowi, ale inaczej by po pana nie zadzwonił. Jak dzidy pragnę!

– Czego pan pragnie? – skupił się na końcu mojego wywodu.

– Nie, nic. Tak mi się wymyśliło. Proszę kontynuować.

– Najważniejsza w naszym zawodzie jest skuteczność. I ten test państwo już zdali. Może usiądziemy? – Wskazał

na stojący pod szklaną ścianą stolik z krzeselkami.

Hol był bardzo jasny. Temperaturę regulowała klimatyzacja, więc było raczej chłodno. Poza recepcją znajdował się tu także słup ogłoszeniowy oraz sklepik z płytami i innymi radiowymi wydawnictwami. Z lewej strony zobaczyłem wyjście do ogródka, w którym pracownicy palili papierosy. Przestrzeń wypełniały dźwięki audycji, która akurat była na antenie. Nie przeszkadzały w rozmowie. Okazało się, że Gościński jest w pracy pierwszy dzień po urlopie. I właśnie miał do nas dzwonić. Chyba zaimponowało mu to, że sami przyszliśmy. Miał dwa miejsca dla stażystów, jedno na lipiec, drugie na sierpień. Było jasne, że nie przyjmie nas jednocześnie, ale to mi nawet pasowało. Wezmę lipiec, bo przecież w sierpniu jedziemy na Majorkę. A na pozostałą część wakacji coś sobie znajdę. Miałem zacząć od najbliższego poniedziałku, czyli za cztery dni. Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w stronę wyjścia. Przepuściłem Ninę w drzwiach, a kiedy sam przekroczyłem próg, zobaczyłem, że drzwi przytrzymuje mi Szymon znany także jako Pan Dywan.

19. Atak klonów

Przez prawie dwadzieścia trzy lata swojego życia nigdy go nie spotkałem, a w ciągu ostatniego tygodnia wpadam na niego już trzeci raz. To nie może być przypadek! Wszczepili mi jakiś nadajnik czy co? Skąd on wie, gdzie jestem, i czemu pojawia się w tym samym miejscu? Nina zbaraniała i zaczęła rechotać, mnie ogarnęło przerażenie. Poczułem się, jakbym był inwigilowany.

– Mam nadzieję, że to fatamorgana i ciebie wcale tu nie ma. Zamykam oczy, liczę do trzech, otwieram i znikasz.

Jak zapowiedziałem, tak zrobiłem.

– Przykro mi, jestem – powiedział Szymon, gdy otworzyłem oczy.

– To jakaś zmowa? Co ty tu robisz?

– Pracuję.

– Gdzie? Tu? W radiu? – wystrzeliłem jak z pistoletu.

– Tak, tu, w radiu. A ty co tu robisz?

– Miałem tu... powiedzmy... pracować – zawahałem się, bo w tej sytuacji staż stanął pod znakiem zapytania. Nie chcę go codziennie spotykać.

– Miałeś? I czemu nie będziesz? – zainteresował się.

– Rozważam to jeszcze – skłamałem. – Widzę, że oko już dobrze?

– Lepiej, siniak zszedł. Maść arnikowa czyni cuda. A czemu nie wiesz, czy chcesz tu pracować? Przeze mnie?

– Nie! – skłamałem.

– To czemu? – dociekał.

– Chyba nie mam tyle czasu. No i to taka darmowa praca. Nie wiem, czy mnie na to stać.

– Czyli chodzi o staż? – rozgryzł wreszcie.

– Tak.

– Bierz to i mną się nie przejmuj. Gwarantuję dyskrecję i nietykalność. Jak wtedy w nocy.

– Pamiętasz Ninę? – przypomniało mi się, że stoi obok.

– Jasne. – Podał jej rękę.

Wciąż się śmiała, a jej spojrzenie zdawało się pytać, co takiego stało się w nocy.

Gdy Szymon się oddalił, oczywiście nie wytrzymała i zapytała. Odparowałem, że gdyby nie była zmęczona, to o wszystkim by wiedziała. Na co ona strzeła focha i się pożegnaliśmy. Pognała na randkę z Karolem, zostawiając mnie samego na placu na Rozdrożu. Niedaleko do domu, ale jeszcze bliżej na Belwederską, do Roberta. Wyciągnąłem telefon i wybrałem jego numer. Właśnie jechał do mieszkania. Daria była u rodziców. Usiadłem na ławce pod jego blokiem i czekałem. Dawno się nie widzieliśmy, mimo że

mieszkam trzy przystanki dalej. Dzwoniliśmy do siebie, ale to nie to samo. Wyglądał nieźle. Zaczął też pracować. Brał jakieś proste zlecenia w biurze architektonicznym, skończył dopiero drugi rok studiów. Najważniejsze, że mu płacili. Daria także czuła się dobrze. Byli na USG, ale gdy już mieli poznać płęć dziecka, odwróciło się dupcią do publiczności. Robert chciałby chłopca, ale ja pomyślałem, że jest coś prawdziwego w tym wyświechtanym powiedzeniu, że najważniejsze, żeby dziecko było zdrowe. Podjęli też decyzję, że wyprowadzają się z Belwederskiej. Rodziny rzucą się im na mieszkanie na Kabatach. Kredyt wezmą wspólnie ich matki, a oni przejmą go, gdy zaczną zarabiać. Dwa pokoje i kuchnia. Czterdzieści pięć metrów. Mają się przenieść najpóźniej na początku sierpnia.

Weszliśmy do mieszkania, a chwilę później zaczęło padać. Jeszcze pół roku temu Robert otworzyłby piwo i położył się na kanapie, ale dziś wziął się do obierania ziemniaków, a mnie zagonił do bicia kotletów. Gotowaliśmy wspólnie jak za starych dobrych czasów na Bielanach. Rozpłynęły się moje wątpliwości dotyczące przyjęcia stażu. W pewnym momencie dotarło do mnie, że nie mogę stracić takiej szansy przez jakiegoś faceta. Co mi może zrobić? Na pewno mnie nie zje, nie zgwałci, nie zdoła mi w niczym przeszkodzić. W związku z tym nieoczekiwanie dla siebie samego zmieniłem temat rozmowy.

– Wbiłem się na staż do radia – pochwaliłem się.
– Pięknie! – ucieszył się. – Czyli będziesz gwiazdą?
– A jak inaczej? – odparłem zadowolony i pewny siebie.

– I będziesz przyciskał do ściany prezydenta?

– Jasne, w przerwie między parzeniem kaw redaktorom.

– To oni tam nie mają ekspresu?

– Nie wiem, nie widziałem. Jeszcze nie byłem w redakcji.

– Jak ci każą robić kawę, to im powiedz, że nie prowadzisz bufetu i że przyszedłeś tam się czegoś nauczyć.

– Tak jest! A co zrobię, jak mnie wyrzucą? – zapytałem zaciekawiony.

– Poszukasz czegoś innego – skwitował.

Na Darię się nie doczekałem. Chciałem ją zobaczyć i dotknąć jej trzymiesięcznego brzuszka. To podobno przynosi szczęście. Przestało padać i przespacerowałem się do domu. Wiktora jeszcze nie było, podłączyłem telefon do ładowarki i poszedłem umyć ręce. Nie zdążyłem wejść do łazienki, gdy dobiegł mnie dźwięk dzwonka. Wiedziałem, że to Matylda. Dla każdego z moich przyjaciół ustawiłem osobną melodię. Wiktor dzwonił do mnie piosenką *Can't take my eyes off you*, Nina *Rapture* Blondie, do Marii, która ostatnio nie telefonowała, był przydzielony przebój Fasolek *Mydło*

wszystko umyje, a do mamy – motyw z *Muppet Show*.

Matyldzie przypadł sygnał *Dziennika Telewizyjnego*, bo podczas niemal każdej rozmowy sprzedawała mi najnowsze plotki z miasteczka. Za pierwszym razem nie odebrałem, nie dała za wygraną. Dzwoniła jak opętana.

– Pali się? – krzyknąłem do słuchawki.

– Gorzej!

– Czyli? Coś z Wojciechem? Poszliście do łóżka? – Przecież miałem się dowiadywać.

– Widziałeś się z Marią? – zapytała, nie zwracając uwagi na moje pytanie.

– Tak.

– Jak wyglądało to spotkanie?

– Ona stała jak kołek ze wzrokiem wbitym w ziemię, a on wyzywał mnie od pedałów.

– Kto on?

– No Mazur.

– Czyli wszystko jasne... – westchnęła.

– O co chodzi? – Nic nie rozumiałem.

– Pół miasteczka o tobie gada, a do jutra będzie gadało całe – wyrzuciła z siebie.

– Ale co gadają?

– Wersje są różne. I to, że jesteś gejem, jest najmniej bolesne.

– No jestem i dla mnie to nie jest bolesne wcale. Powiem więcej, bywa przyjemne. A co jest najbardziej bolesne?

– Aż mi przykro powiedzieć...

– Mów.

– Że bzykasz się za kasę – powiedziała cicho.

– Ooooo. – Nie udało mi się wydusić niczego innego.

– Próbowałam cię bronić, ale to na nic.

– Ale przed kim próbowałaś mnie bronić?

– Przed ludźmi.

– Kochanie. Dziękuję ci, ale spokojnie. Pogadają i przestaną. A ja cię zapewniam, że nie puszczam się za pieniądze. Chyba że za coś takiego uznamy sypianie z Wiktoorem, który płaci czynsz. – Zadumałem się. – Myślisz, że jestem na tyle atrakcyjny, że ktoś chciałby płacić za moje towarzystwo? – zastanowiłem się głośno.

– Nie żartuj sobie. To poważna sprawa – fuknęła.

– Matylda, szkoda nerwów. Powtórzę to, co zawsze mówię w takiej sytuacji. Jeśli powiedzą, że coś komuś ukradłem, to będziemy się martwić.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

– No?

– Ta plotka przyszła do mnie z kiosku.

Kiosk jej mamy był miejscem, do którego spływały wszystkie wieści z miasteczka. Fakty i plotki. To był taki wielki lej i filtr jednocześnie. W dużej mierze od pani Beaty zależało, w jakiej formie i czy w ogóle pójdą dalej. Do kiosku przyszła więc wersja, że puszczam się za kasę, a wyszła, że Mazur jest o mnie piekielnie zazdrosny. W swoim mniemaniu mama Matyldy działała w dobrej wierze, ale dla mnie fakt bycia gejem nie był obelgą. Matylda najbardziej martwiła się, która z wersji

tej plotki i kiedy dotrze do mojej mamy. Bo że dotrze, to było więcej niż pewne. Kiosk od mojego bloku dzieliło kilka kroków. Ledwie zdążyłem skończyć rozmowę, a już usłyszałem *I love you baby*, co oznaczało, że dobija się Wiktor. Czekał na dole i jeśli chciałem z nim jechać do Maćków, to miałem – jak stwierdził – trzy minuty na zebranie się. Zdążyłem, stał na światłach awaryjnych w niedozwolonym miejscu tuż przed blokiem i udawał, że ma problem z samochodem. Stary numer. Wiadomość o radiu przyjął chłodno. Jakby bał się, że będzie to kolidowało z naszym wyjazdem na Majorkę. Przy okazji okazało się, że zapomniałem mu w ogóle powiedzieć, że staram się o staż. Załatwiałem to, gdy on był w Wiedniu. O rozmowie z Matyldą nie zdążyłem opowiedzieć, bo dojechaliśmy na Żoliborz.

U Maćków, tradycyjnie, przywitała nas Oliwia. Od progu było widać, że jest nadzwyczaj pobudzona. Policzki miała czerwone i gorące, a Maciek z Mają śmiali się pod nosem. Mała rzuciła się na Wiktora, oplótła go nogami. Mnie złapała za rękę i zaczęła opowiadać z przejęciem. Okazało się, że była dziś u swojego kolegi Daniela. Byłem pewien, że chodzi o jakieś kwestie damsko-męskie, że ją pocałował lub dał kwiaty. Sprawa była jednak dużo poważniejsza.

– Posłam do Daniela. Wiecie, co on ma w domu? – zawiesiła głos jak profesjonalna aktorka.

– Co? – zapytaliśmy chórem.

– Na pewno chcecie wiedzieć? – budowała napięcie.

– Na pewno – odpowiedziałem naprawdę zaaferowany.

– On ma w domu – nabrała powietrza i zamknęła oczy – dziurkac!

– Ale jak to? – Nie śmiałem nie być zaskoczony. – Taki prawdziwy dziurkacz?

– Tak – odparła śmiertelnie poważnie. – I tym dziurkacem można zrobić kółeczka. I nie jedno! Od razu dwa! – gestykulowała. – Tes kolorowe! Tylko tseba kartkę pomalować farbami! I potem się otwiera na dole i jest dużo kółeczek! I można robić wyklejanki!

– Nie wierzę – stwierdził Wiktor.

– Naprawdę, wujek!

– To ja ci kupię dziurkacz w prezencie i mi pokażesz, dobrze?

– Dobrze! Hura! – Zeskoczyła mu z rąk i pobiegła na górę.

Maja zauważyła, że w pakiecie przydałaby się pani chodząca za dziurkującą Oliwią. Młoda była skłonna przedziurkować wszystko. Chyba nie odkryła jeszcze konfetti, ale to już tylko kwestia czasu. Zresztą konfetti ma dużo większy potencjał. Jedno dmuchnięcie i cały pokój może być w kółeczkach, które uciekają przed odkurzaczem i znajduje się je pod dywanem nawet po latach. Maję trafi szlag. Kazała nam przysięgnąć, że nie pokażemy Oliwii do czego, poza wyklejankami, mogą służyć małe papierowe kółeczka. Gdy obiecaliśmy, nieco tylko spokojniejsza poszła kąpać małą, która

przypomniała sobie, że musi pokazać wujkowi Wiktorowi, jak umie wstrzymywać oddech pod wodą. Zostałem z Maćkiem. Wyciągnął mnie na taras.

– Marta tu była – powiedział, gdy z łazienki na górze dobiegało głośnie liczenie sekund i oklaski.

– Tu też? – zapytałem zaskoczony.

– Jak to też? – Teraz on się zdziwił.

– Bo u mnie też była, gdy Wiktor wyjechał do Wiednia. Zasugerowała, że lecę na kasę, i zapytała, czy wiem, że mieszkanie na Bobrowieckiej nie należy do niego. Pierwszy raz doszło między nami do starcia, bo przy Wiktorze ona udaje troskliwą, pomocną, wspierającą. Do rany przyłóż.

– Tak, a w bandażu trucizna – skomentował. – O mieszkaniu coś rzeczywiście słyszałem. Chyba jakaś część jest jej. Bo ono było w połowie Wiktora, a w połowie jego ojca. Po śmierci Remigia jego część podzielono na pół. I po połowie dostali ją Marta i Wiktor.

– Nieważne, nie przywiązuję się do mieszkań. Jak będzie trzeba, to się wyniosę. A tobie co powiedziała?

– Pytała o ciebie.

– Czy co? – Wytrzeszczyłem oczy.

– Czy cię lubimy, co o tobie myślimy. Badała.

– I jaka jest diagnoza? Rak? Psychoza? Cholera?

– Chyba psychoza – stwierdził rozbawiony. – Gdy jej powiedzieliśmy, że cię lubimy, była zdziwiona. Było widać, że jest zdegustowana.

Wydawało mi się, że znam minę, o której mówił Maciek.

– Mówiłeś Wiktorowi o tej wizycie? – Spojrzałem na niego przenikliwie.

– Nie, a ty o swojej?

– Ja też nie. I raczej nie mówmy. Będzie mu przykro. My wiemy, na czym stoimy, i damy sobie radę.

– Nie jestem pewien – wyraził wątpliwość Maciek. – Chyba powinien wiedzieć, co jego matka knuje?

– Tak będzie lepiej – przekonywałem.

Do pokoju wszedł Wiktor. Zmieniliśmy temat na bliższy dziurkaczowi, potem było coś o wakacjach i Majorce. Maciek i Maja byli tam już z Wiktorem kilka razy. Mieli dużo wspólnych wspomnień.

Gdy wracaliśmy do domu, mojemu facetowi nie zamykały się usta. Opowiadał, gdzie i kiedy pojedziemy, co zobaczymy i na co mam zwracać uwagę. Przed snem wałkowaliśmy natomiast temat stażu. Wcześniej Robert uczulał mnie, żebym nie dał się zapędzić do usługiwania starszym kolegom, a teraz Wiktor nalegał, żebym nie pracował za nich. Zwłaszcza że nie będę dostawał pieniędzy. Stanowczo podkreślał, że mam się tam uczyć. Opowiadał, jak to jest ze stażystami w jego firmie, że właściwie to niewiele robią. Głównie odbierają telefony i przerzucają papiery. Zacząłem mówić, jak wyobrażam sobie swój staż. Nagle zorientowałem się, że Wiktor przestał mnie słuchać, zasnął. A gdy rano chciałem dokończyć, jego już nie było. Miał jakieś spotkanie na

szczycie. Do Warszawy zjechali szef wszystkich szefów i dyrektorzy oddziałów jego firmy z Europy Wschodniej. Zostawił mi na lodówce karteczkę, że nie wie, kiedy będzie, że zadzwoni. Obok narysował świnkę – zamiast kiczowatego serca. A ja miałem dzień dla siebie. I postanowiłem go spędzić z książką na moim ulubionym hamaku. Padło na *Piąte dziecko* Doris Lessing. Przerzucałem kolejne strony, gdy usłyszałem dzwonek telefonu. Mama. Dowiedziała się! Patrzyłem na wyświetlacz. Rozwahałem, czy brnąć w kłamstwo, czy przyznać się do wszystkiego. Piosenka z *Muppet Show* dobiegała końca. Telefon dzwonił niestrudzenie.

20. Co powie mama?

Zdecydowałem, że będę jedynie odpowiadał na pytania.

– Kiedy ty masz zamiar przyjechać do domu? – wystrzeliła tuż po krótkim przywitaniu.

– Mamo, a ja w ogóle zamierzam? – odpowiedziałem zdziwiony.

Odkąd zacząłem studia, czyli już prawie przez dwa lata, w domu byłem dosłownie kilka razy, a połowa tych wizyt wiązała się ze świętami. Niemal wszystkie zakończyły się, w najlepszym wypadku, cichymi dniami. Poprzednie wakacje też spędziłem poza domem. Robiłem wszystko, żeby nie musieć tam bywać. Myślałem, że to zauważyła. Powrót do miasteczka był dla mnie równoznaczny z dożywotnim więzieniem lub pobytem w szpitalu psychiatrycznym.

– A co będziesz robił przez wakacje? – dopytywała.

– Dziś czytam książkę, a od poniedziałku zacynam staż.

– Gdzie? – ożywiła się.

– W radiu?

– Płatny? – Szybko wymienialiśmy pytania i odpowiedzi.

- Nie, mamuś, to staż. Darmowy.
- Całe lato za darmo? – pytała nerwowo.
- Póki co miesiąc. Jeszcze nie pytałem co dalej. Jeszcze ani razu tam nie byłem.
- Synku, nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Musisz wrócić do domu na wakacje.
- Dlaczego muszę? – Usiadłem.
- Bo mnie właśnie zwolnili – wyznała wyraźnie podłamana.
- Jak to cię zwolnili?!
- Likwidują nasz sklep.
- I nie mogli cię przenieść gdzie indziej? Przecież nieraz tak robili – przypomniałem.
- Twierdzą, że nie. Pracuję do końca lipca, nie wiem, co będzie potem. Zostanie jedna pensja ojca. Nie będę miała skąd ci dać pieniędzy na utrzymanie w Warszawie.
- Rozumiem.
- Rozpłakała się.
- Mamo, nie płacz. Jakoś to będzie. Ja sobie poradzę
- starałem się ją uspokoić.
- Nie chcę, żebyś rzucał studia. Tylko z ciebie mogę być dumna.
- Spokojnie, nie płacz. Nie zamierzam rzucać studiów – zapewniłem.
- Ale z czego ty będziesz tam żył? Ojciec nam nie da, przecież wiesz, jaki jest! – krzyknęła.
- Ja nie chcę nic od ojca. Nigdy nic od niego nie dostałem i nie liczę, że dostanę. Uspokój się. Damy

sobie radę – pocieszałem ją.

– Ja mam prawie pięćdziesiąt lat. Całe życie w sklepie przepracowałam, kto mi teraz da robotę?

– Jest jeszcze cały miesiąc, na pewno coś wymyślimy. Spokojnie.

Sam nie do końca wierzyłem w to, co powiedziałem, ale musiałem ją wspierać.

– A jak nie?

– Wymyślimy! A co z Dawidem? – zapytałem o mojego młodszego brata.

– Nie ma go.

– Ja nie pytam, czy jest, tylko czy wybiera się do jakiejś pracy?

– Dawid i praca... – skomentowała.

– Mamo, sytuacja się zmieniła. Nie chodzi do szkoły, niech idzie do pracy – argumentowałem. W swoim mniemaniu rozsądnie. – Nie możesz już go utrzymywać, bo lada chwila nie będziesz miała z czego.

– A gdzie on ma iść po gimnazjum? – spytała.

– Nie chciało się nosić teczki, trzeba nosić woreczki. To nie twój problem. Niech idzie rowy kopać.

Mnie mama zawsze straszyła, że jak nie będę się uczył, to pójdę pracować do sklepu rybnego. Niby nic strasznego, ale jako dziecko nie cierpiałem tego zapachu. Do dziś ryby nie są moim ulubionym jedzeniem. Śledź w oleju i szprotki bezwzględnie odpadają. Toleruję jedynie smażony filec bez ości. Dawida nawet sklepem rybnym nie można było

postraszyć. Taka praca to powinien być szczyt jego marzeń. Dwa lata temu, tuż po skończeniu gimnazjum, przestał chodzić do szkoły. Tak po prostu. Uznał, że wie już wszystko i dalsza edukacja jest zbędna. Wybrał, za milczącą aprobatą matki i ojca, przesiadywanie na ławce oraz palenie papierosów i trawy w ilościach hurtowych. Potem zaczęły się kradzieże. Włamał się nawet do kiosku, umieszczono go w pogotowiu opiekuńczym, a gdy stamtąd uciekł, matka przyjęła go w domu, jak gdyby nic się nie stało. O reakcji ojca szkoda nawet mówić. Zawsze był w niego wpatrzony jak w obrazek. Tłumaczył każdy jego wybryk. Winni byli wszyscy wokół, ale nie Dawid. I tak to się ciągnęło do dziś.

– Już chociaż ty mnie nie dobijaj! – syknęła.

– Mamuś, ja cię nie dobijam, tylko motywuję do działania. Może to jest moment, żeby coś z Dawidem zrobić – zauważyłem.

– To przyjedź i zrób!

– To nie jest mój syn, nie mój problem. Ale twój tak i będzie coraz większy. Trzymasz w domu lenia! On na tobie żeruje. Jak kleszcz! Przyssał się i ciągnie. Kasę, papieroski i resztę.

– Z czego ty będziesz żył przez lato? – zmieniła temat.

– Dam sobie radę, nie martw się.

– Na lipiec ci jeszcze dam, ale na sierpień nie wiem, synku.

– Do sierpnia coś się wymyśli.

– Ale co będziesz jadł? Gdzie ty będziesz mieszkał? Może poszukaj jakiejś pracy i się przenieś na zaoczne od października?

– Mamo! Oszalałaś?! Ludzie daliby się pokroić, żeby być na dziennym dziennikarstwie, a ty mi się każesz przenieść na zaoczne?! – prawie krzyknąłem.

– Już sama nie wiem. Szukam rozwiązania – tłumaczyła się.

– To nie szukaj. Szukaj pracy. Dla siebie i dla synka. Ja sobie poradzę – powtórzyłem po raz kolejny.

– No dobra, to kończę – powiedziała.

– I o nic więcej nie chcesz zapytać? – dodałem zaskoczony, że nie podjęła tematu plotek.

– A chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie. Jeśli nie masz pytań, to ja nie mam nic do powiedzenia.

– No to cześć, trzymaj się, syneczku.

– Ty też, całuję.

Wpatrzony w kominy Elektrociepłowni Siekierki zastanawiałem się, dlaczego nie zapytała. Wcale nie poruszyła sprawy, o której podobno huczy całe miasteczko. Chyba że Matylda przesadziła. A właściwie jej mama. Lubiła wyolbrzymiać, dopowiadać, zmieniać fakty. Przecież gdyby informacja o tym, że puszczam się za kasę, dotarła do mojej matki, powinna była natychmiast zażądać ode mnie wyjaśnień. Wniosek jest

jeden. Ona nic o tym nie wie. I dobrze. Spokoju nie dawała mi też myśl, w jak kosmicznie wielkiej, czarnej i masakrycznej dupie bym się znalazł, gdybym nie miał Wiktora. Musiałbym wrócić do domu. A tam czekali na mnie kochający brat i tatuś, z którym nie rozmawiałem co najmniej od dwóch lat. Ojciec – ograniczony pijak, i brat z wypalonymi szarymi komórkami. Tylko tego było mi trzeba do szczęścia. Chyba bym się wolał rzucić do Wisły. Znow musiałbym nasłuchiwać w nocy, czy któryś z nich wstał tylko do toalety, czy może szykuje się kolejna awantura nie wiadomo o co. Albo czekać, kiedy rodzice wrócą i w jakim będą stanie. Bo matka też popijała. Często za dużo. Musiałem ich wtedy rozbierać, myć, a rano udawać, że nic się nie stało. Wreszcie przestałem reagować, ale to nie znaczyło, że spałem. Czuwałem, aż zasnęli. Czasem imprezowali do czwartej nad ranem. A ja na ósmą wstawałem do szkoły. Często zapraszali gości. Nasze dwupokojowe mieszkanie było pełne pijanych ludzi, którzy bawili się do upadłego. Dosłownie. Zasypiali tam, gdzie padli. Na stole, na podłodze, w fotelu. Najgorsze, gdy ktoś zaniemógł na sedesie ze spuszczoneymi spodniami. Łazienka była zablokowana. Dawid pokazał mi kiedyś, że siku można zrobić przez okno, ale z czymś twardszym był problem, trzeba było trzymać, aż gość się ocknął. Gdy byłem starszy, znalazłem sposób na rozpędzanie towarzystwa. Zakradałem się do przedpokoju i wykręcałem korki. Zapadała ciemność, co zniechęcało do dalszej zabawy.

Często stosowałem tę metodę, gdy uczyłem się do matury. Właśnie z tym kojarzył mi się rodzinny dom z czasów dzieciństwa. Chyba nic nie mogło mnie przekonać do dobrowolnego powrotu.

Patrzyłem tępo w telewizor, w którym leciały już wyłącznie wakacyjne powtórki. Usmażyłem naleśniki i czekałem na Wiktora. Minęła szósta, siódma, ósma, wpół do dziewiątej. Zacząłem przestępować z nogi na nogę. Czemu nie zadzwonił? Kursowałem od tarasu do okna w kuchni. W końcu złapałem za telefon. Abonent czasowo niedostępny. Minęła dziewiąta. Spróbowałem drugi raz. To samo. Wybrałem numer firmowy, ale o tej porze nikogo już tam nie było. Do głowy przyszły mi jeszcze dwa pomysły. Marta i asystentka Wiktora – Renata. Ten drugi wydawał mi się bardziej trafiony. Tylko co ja jej powiem? Że mąż mi się zagubił? Bez sensu. Pomyśli, że jestem jakąś zazdrosną ciotką. A jeśli mu się coś stało? Może miał wypadek? Musieli zadzwonić do Marty! Ona na pewno coś wie! Złapałem za telefon i uświadomiłem sobie, że nie mam do niej numeru. Przewertowałem notes Wiktora, ale były tam tylko namiary na dom w Madrycie. Pozostała mi więc Renata. Zadzwoniłem. Odebrała.

– Witaj, co tam? – Wiedziała, z kim rozmawia.

– Renatko, mam do ciebie nietypowe pytanie. Właściwie nie wiem, jak zacząć.

– Od początku – zaszczebiotła.

– OK, to zapytam wprost. Czy wiesz, gdzie jest

Wiktor?

- Na kolacji z Pepiczkami.
- Z kim?! – zapytałem zdziwiony.
- No z Czechami.
- Nie mogę się do niego dodzwonić.
- Może wyłączył?
- Trochę się martwię. Nic mi nie powiedział, że będzie późno.
- Nie zrobi sobie krzywdy.
- A czemu ciebie tam nie ma? Na tym bankiecie.
- Bo Czesi chcieli spotkanie w męskim gronie.
- Dlaczego?! – Zatkano mnie.
- Nie wiem... nie dopytywałam.
- Dziękuję ci w takim razie, dobrej nocy. A! I nie mów, że dzwoniłem.
- Dobra, pa! A! Czekaj! – krzyknęła. – Wiktor jutro ma wolne.
- Dzięki, cześć!

Na dźwięk domofonu czekałem do pierwszej. Siedziałem przy stole w kuchni wściekły jak osa. Drzwi otworzyły się powoli, Wiktor, wchodząc, chyba potknął się o próg, potem drugi raz o buty w przedpokoju. Pod nosem podśpiewywał *Kuba wyspa jak wulkan gorąca*. Chociaż po spotkaniu z Czechami powinien chyba raczej nucić przeboje Heleny Vondrackovej i Karela Gotta. *Malowany dzbanek* czy coś takiego. Z trudem zdjął buty. Słyszałem, jak sapie. Potem po ścianie dotarł do kuchni,

gdzie zastał mnie. Był z siebie wyraźnie zadowolony. Zza pleców wystawał mu pęk kolorowych napełnionych helem balonów. Trzymał je tak, jakby chciał przede mną coś ukryć.

– *Ahoj! Proč nechceš spát?* – wyjechał do mnie po czesku.

– *Ahoj! Ahoj!* – odpowiedziałem. – Masz w kieszeni takie małe prostokątne urządzenie. Tak? Masz? Sprawdź, czy się nie mylę? – kontynuowałem po polsku.

– *Ano, mám.* – Wyjął i pokazał.

– To się nazywa telefon komórkowy, *mobilní telefon*, a ten, który trzymasz w ręku, jest ponoć najnowszej generacji – zacząłem spokojnie. – I jeśli masz się spóźnić albo wcale nie przyjechać, to go, kurwa, użyj! Bo on działa w każdym miejscu w Warszawie! Jest tam też imponująca funkcja pisania SMS-ów. I można napisać dwa słowa. Choćby po czesku! – mówiłem coraz szybciej. – Chciałem już dzwonić po szpitalach, a ty co? Rozbawiony wracasz z balonami?! Co to jest? Jakiś czeski sylwester? W lipcu? – Byłem już porządnie wkurzony. – Nie mów mi, że się nie dało! I nie uśmiechaj się tak głupio, bo w tym nie ma nic zabawnego! Skończyłem, dobranoc! *Jsem skončil, dobrou noc!*

– Mąka – skwitował krótko mój wywód.

– A co to jest? W Czechach zamiast „pomidor” mówi się „mąka”? Chyba powinno być *mouka!*

– Mąka – powtórzył, machając ręką przed twarzą.
– Ty jesteś pijany! Omamy masz! Mąkę widzisz!
– Kochanie moje, mąkę masz na buźce, wszędzie. Tu
– przetarł mi czoło – i tu – lewy policzek. – Byłeś
w piekarni? – zapytał wesoło. Moje słowa nie zrobiły na
nim żadnego wrażenia.

– Nie! Robiłem naleśniki!

– *Palačinky! Pro jeho* Wiktorka? (Naleśniki! Dla
swojego Wiktorka?)

– *V poslední době! To se nevrátí!* (Ostatni raz! Nigdy
więcej!)

Obróciłem się na pięcie i na udawanym fochu poszedłem do sypialni. Rozbroił mnie totalnie. Złość parowała ze mnie wprost proporcjonalnie do upływu czasu. Pod koniec naszej rozmowy nie było już we mnie ani grama gniewu. Nie mogłem się tak szybko przyznać, że mi przeszło, i gdy przyszedł do łóżka, udawałem, że śpię. Łasił się do mnie, ale byłem niewzruszony. Był wcięty, ale nie pijany. Wiktor nigdy się nie upijał. Przynajmniej od czasu, kiedy go znam. Po alkoholu był rozkoszny. Śpiewał stare polskie i hiszpańskie przeboje.

Rozmowę o telefonie od mamy odłożyłem na następny dzień. A rano już mi się znudziło udawanie obrażonego.

– Śpisz? – zapytał Wiktor.

– Trochę – odpowiedziałem.

– Ale bardziej śpisz czy nie śpisz?

- Nie śpię.
- To dobrze.
- Czemu dobrze?
- Bo mam coś dla ciebie. – Wystrzelił z łózka. Pobiegnął na dół, a gdy wrócił, trzymał ręce za sobą. – Z której chcesz prezent? – zapytał.
- Z prawej.
- Taaadaaamm! – Wyciągnął triumfalnie zza siebie koszulkę z Krecikiem. – Dali mi dla żony! A gdy wyjaśniłem, że nie mam żony, to powiedzieli, że dla drugiej połowy.
- Piękna! – Krecik kopał łopatą swój kopczyk. – Założę ją na rower!
- Dobra, chodź pod prysznic i jedziemy.
- Wiktor, usiądź jeszcze na chwilę.
- No co?
- Zwolnili moją mamę.
- Jak to zwolnili? Czemu?
- Likwidują jej sklep.
- I co? Potrzebuje kasy? Ile? – zapytał bez ogródek.
- Aż tak to nie. Tam jest jeszcze dwóch zdrowych dorosłych facetów. Jest komu pracować.
- Na twój ojca i na Dawida raczej bym nie liczył – powiedział otwarcie. – Trzeba jej pomóc?
- Nie. Zadzwoiła do mnie i zapytała, co będę jadł. Zasugerowała mi powrót do domu na wakacje, bo nie może mi dać kasy na mieszkanie.
- I co powiedziałaś?

– Że sobie poradzę.

– Prawidłowo. A jak trzeba będzie jej pomóc, to też damy radę. Wczoraj przecież urobiłem Czechów! Stać nas! – nawiązał do ubitego interesu.

– Dzięki, nie trzeba. Muszą sobie radzić. Ale trochę mi głupio, że ona traci pracę, a ja będę smażył dupę na Majorce.

– Twoje życie już nie jest tak ściśle powiązane z nimi. A jak zaczniesz im brakować na chleb, to zadziałamy – zapewnił.

– No nie wiem... – Nie byłem przekonany.

– Ale ja wiem. Jestem starszy i mądrzejszy. Zaufaj mi i chodź pod prysznic.

Nie zamierzałem pozwolić, by Wiktor dawał pieniądze mojej rodzinie. Niezależnie od ich sytuacji. Nie tylko dlatego, że to studnia bez dna i że mój brat potrafi wydać każdą złotówkę. Zwłaszcza tę, której sam nie zarobił.

Po prysznicu pojechaliśmy w miasto. Na śniadanie do Szpilki, tam, gdzie byliśmy na naszej pierwszej kawie, a potem przez Wolę i mieszkanie Niny na Pole Mokotowskie. Na rowerach upłynął nam cały weekend. W niedzielę pojechaliśmy do Powsina i do ogrodu botanicznego. Wróciłem padnięty, a nazajutrz miałem zrobić pierwszy krok ku karierze. Nad ranem dopadł mnie stres. Od czwartej budziłem się co piętnaście minut, przed szóstą próbowałem wyciągnąć z łóżka Wiktora. Był wyrozumiały, nie odezwał się nawet

słowem i starym zwyczajem położył na mnie rękę i siłą przyciągnął do siebie. Jednak gdy o siódmej zadzwonił budzik, zerwałem się na równe nogi. Po pół godzinie byłem gotów do wyjścia, a Wiktor dopiero szedł pod prysznic.

– Odwiozę cię, nie gorączkuj się – uspokajał.

– Dobrze, ale się pospiesz! Nie mogę się spóźnić pierwszego dnia!

– Nie spóźnisz się. Kawę zrób.

Cmoknął mnie w czoło i poszedł się myć.

Popędzałem go przez kolejną godzinę. Guzdrał się okrutnie, a tuż przed wyjściem zauważył mikroskopijną plamę na krawacie. Kolejne cenne minuty uciekały, on szukał czegoś na zmianę, a ja dostawałem palpacji serca.

– Jadę autobusem, jest wpół do dziewiątej! Specjalnie tak robisz, żebym się spóźnił?!

– Czy w ciebie coś dziś wstąpiło?! – krzyknął, zbiegając na dół. – Stąd na Myśliwiecką jedzie się dziesięć minut. Opanuj się!

– A jak będą korki?! Wychodzimy! – zażądałem.

Zjechaliśmy do garażu. Ruszyliśmy w drogę. I co? Już na Czerniakowskiej stanęliśmy w korku. Była ósma trzydzieści sześć.

21. On Air

Odnosiłem wrażenie, że zawsze, gdy mam mało czasu, zegar przyspiesza. Całe wieki zajęło nam dojechanie do Gagarina. I wcale nie zdziwiło mnie, że tam zatrzymało nas czerwone światło. Następna zmiana poprawiła nasz los tylko o tyle, że byliśmy pierwsi w kolejce. Ósma czterdzieści sześć.

- W Gagarina skręcaj! – prawie rozkazałem.
- Ale...
- Nie ma ale, skręcaj! Bo ja na jedenastą nie dotrę!
- Ja prowadzę! – uniósł się.
- Ale ja się spieszę! Albo skręcasz, albo wysiadam!
- Ciekawe jak, na środku skrzyżowania?
- Chcesz się założyć? – Chwyciłem za klamkę.
- Dawaj!
- Dobra, to cześć! Do zobaczenia w domu.

I tyle mnie widział. Wyskoczyłem z auta jak wystrzelony z procy. W międzyczasie światło zmieniło się na zielone. Kierowcy zaczęli na mnie trąbić, coś wrzeszczeć, ale niewzruszenie pułem przed siebie. Jedne pasy, drugie i już byłem za skrzyżowaniem. Polecę między blokami i się wyrobię. Usłyszałem klakson.

– Eeee, wariacie! Podrzucić cię gdzieś? – krzyknął Wiktor z samochodu, który zatrzymał na przystanku.

– Nie, dzięki! Ty jesteś kierowcą, a ja się spieszę.

– Dziś możesz być moim pilotem.

– Naprawdę?

– Naprawdę! Wsiadaj, bo zaraz przyjedzie autobus!

– I pojedziesz tak, jak ci powiem? – upewniłem się.

– Wsiadaj! 180 stoi na skrzyżowaniu!

– Tak? – nalegałem na odpowiedź.

– Tak! Wsiadaj!

Wsiadłem. Ósma pięćdziesiąt jeden.

– Do Belwederskiej i w dół na Agrykołę – zarządziłem.

– Agrykoła jest jednokierunkowa!

– Ruszaj! Dziś będzie to nasz kierunek!

– Pierdolnięty jesteś – stwierdził.

Ale zrobił to, o co prosiłem.

– Wiem, jedź.

– Okazuje się, że nie mam pojęcia, z kim mieszkam pod jednym dachem. Wyszedłeś z auta bez zastanowienia – powiedział. Skręcił w Belwederską.

– Lubię szybkie decyzje – odparłem spokojnie.

– A szybkie numerki?

– Zależy kiedy.

– A kiedy nie?

– Weź już przestań.

– Czyli lodzika nie będzie – stwierdził smutno.

– Nie, nie będzie! Szybciej! Co za ciota tam się przed

nami wlecze! Ja pierdolę!

– Kochanie, ja cię nie poznaję! Tobie się agresor w samochodzie włącza, nawet jak nie prowadzisz.

– Jest za pięć dziesiąta, spóźnię się! Skręcaj w dół! – krzyknąłem, gdy dojeżdżaliśmy do placu na Rozdrożu.

Pojechał pod zakaz. Z górki, po kocich łbach. Złamał chyba wszystkie możliwe przepisy. Za minutę dziesiąta byliśmy pod budynkiem. Nie bacząc na to, czy ktoś patrzy, pocałowałem go w usta i pobiegłem przed siebie. Kątem ucha usłyszałem jeszcze, że życzy mi powodzenia. Sforsowałem pierwsze i drugie szklane drzwi i już mknąłem na piętro, gdy za plecami usłyszałem głos mężczyzny.

– Halo! A pan do kogo? – darł się za mną ochroniarz z nadwagą i brudnymi włosami.

– Do newsroomu – odkrzyknąłem.

– Ale chwila! Chwila! Panie!

– Nie mam czasu. Jestem spóźniony. Przepraszam!

– Panie! Tu się nie wchodzi jak do obory! Ja muszę zeszyt sprawdzić.

Zignorowałem go i pobiegłem dalej. Gościniak w czasie mojej poprzedniej wizyty wytłumaczył mi, dokąd mam przyjść. Schodami w górę, w korytarzu w lewo i pokój z napisem „Newsroom” na drzwiach. Znalazłem go bez trudu, tuż przed wejściem poprawiłem fryzurę. Kilkanaście par oczu jak na komendę skierowało się na mnie. Siedzieli w kółku, Gościniak chyba przewodniczył zebraniu. Stał przy białej tablicy

z mazakiem w rękę, a w drugiej trzymał jakieś kartki. Musiałem coś powiedzieć.

– Dzień dobry. – Tylko to przyszło mi do głowy. – Ja chyba nie w porę.

– W samą porę. Zapraszamy – powiedział Gościniak i mnie przedstawił. Wymienił też kolejno imiona wszystkich siedzących w pokoju osób. Nie miałem szans, by je zapamiętać. – Jesteśmy tu wszyscy po imieniu. To ułatwia współpracę – dodał.

– Miło mi, chociaż wasze imiona mogą mi się jeszcze mylić, przepraszam.

– Wreszcie wakacje, przyszedł ktoś do robienia kawy – usłyszałem.

Nie zauważyłem, kto to powiedział.

– A nie macie tu ekspresu? – wypaliłem bez zastanowienia pomny wskazówek Roberta.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Także Gościniak. To chyba dobrze. Zająłem miejsce obok dziewczyny z czarnymi włosami do ramion, która ciągle chichotała. Za każdym razem, gdy na mnie spojrzała. Zorientowałem się, że omawiają, czym kto się dziś zajmie i jaki temat przygotuje. Po kolegium Sylwia, bo tak nazywała się moja sąsiadka, oprowadziła mnie po radiu. Byliśmy wszędzie. Nawet w sekretariacie. Na koniec zostawiła studio. Weszliśmy do pomieszczenia, nad którym świeciła się czerwona lampa z napisem CISZA. Sylwia szeptem powiedziała mi, że za szklaną ścianą przed nami DJ prowadzi audycję. Po drugiej

stronie szyby, czyli bliżej nas, przed stołem pełnym suwaków i przycisków siedział realizator dźwięku. Z DJ-em porozumiewał się za pomocą interkomu, ale też na migi. Teraz machnął ręką, bo właśnie wchodziła piosenka. Jedna z moich ulubionych, *Unchained melody* z filmu *Uwierz w ducha*. Melodia powstała w 1955 roku. Od tamtej pory interpretowało ją ponad trzydziestu artystów. Ale do dziś najpopularniejsza jest wersja The Righteous Brothers z 1965 roku, którą wykorzystano w filmie. Wciąż nieśmiertelna, wciąż piękna.

– Myślałem, że latem nie gra się takich smętów. Nawet jeśli są piękne – powiedziałem cicho do Sylwii.

– U nas w radiu gra się tylko piękne piosenki – usłyszałem znajomy głos.

Szymon. W tej sekundzie wszystko stało się dla mnie jasne. Przypomniałem sobie ten głos. Szymon był właściwie radiową gwiazdą. Prowadził słynną poranną audycję. Mnie zatkało, on stał uśmiechnięty, a Sylwia nie rozumiała tej całej sytuacji.

– Szymonku, przepraszam, że zakłócam twoje gwiazdorskie jestestwo, to jest nasz nowy stażysta...

– My się znamy – przerwał jej. – Prawda?

– Prawda – potwierdziłem.

– Ale skąd wy się znacie?! – dociekała, a mnie zmroziło.

Jeśli powie, że z Toro, ona pomyśli, że z nim sypiam i że to on załatwił mi staż. Spojrzałem na niego

wymownie.

– Znamy się – zawiesił głos – powiedzmy... z akcji dywanowej.

– Z czego? – nie rozumiała.

Odpowiedź była tak lakoniczna, że nie mogła zrozumieć.

– Poznaliśmy się dzięki pewnemu dywanowi – dodał tajemniczo.

– W sklepie z dywanami? – nie odpuszczała.

– Tak! – krzyknąłem, a jak wiadomo, w studiu się nie krzyczy.

– Dobra, nic z tego nie rozumiem. Idziemy dalej, materiał sam się nie robi.

Wyszła ze studia.

– Muszę lecieć, miłego dnia. – Machnąłem Szymonowi ręką na pożegnanie.

– O której kończysz? Może byśmy gdzieś razem wyszli? – spytał.

– Raczej nie, naprawdę muszę już iść.

Sylwia powiedziała mi, że Szymon o dziesiątej – czyli za pół godziny – kończy pracę. Byłem zaskoczony, że są w tym kraju ludzie, którzy kończą o dziesiątej! Zazdrość przeszła mi, gdy usłyszałem, że zaczyna o piątej trzydzieści. Najpóźniej o piątej musi być w redakcji, co oznacza, że wstaje przed czwartą!

Moja przewodniczka zabrała mnie na sesję rady miasta z udziałem Lecha Kaczyńskiego. Gdy minęła piąta godzina przysłuchiwania się obradom, zacząłem

kwitnąć ze zniecierpliwienia.

– I tak to zawsze wygląda? – wyszeptałem do Sylwii.

– Co?

– Ta praca!

– A co masz konkretnie na myśli?

– Siedzimy tu, nuda, nic się nie dzieje...

– Zwykle właśnie tak jest. Spędzasz gdzieś cały dzień, a potem na antenie będzie z tego niecała minuta.

– Minuta?! – nie wierzyłem.

– Jeśli trafisz do telewizji, to w najlepszym razie dwie.

– A na co my teraz czekamy?

– Na dźwięki.

– Na co?

– Gdy się skończy sesja, nagramy wypowiedzi radnych, może Kaczyński coś powie.

– Może?

– To zależy od jego humoru, czasem po prostu wychodzi.

– I z tych dźwięków złożysz tylko minutę? Więcej nie mówią?

– Oni mówią bardzo dużo, ale dla słuchacza więcej niż minuta materiału to nuda. Poza tym do ich wypowiedzi dogram swój komentarz. Ale i tak dobrze trafiłeś. W Sejmie spędza się całe dnie pod drzwiami marszałków, szefów partii, komisji, podkomisji. Potrafią siedzieć i radzić do późnych godzin. Sesja rady miasta kończy się dużo wcześniej.

– To lipa.
– Nie przesadzaj. Da się żyć.
– Może i się da... – Zamyśliłem się.
– Gwiazdami zostają nieliczni. – Dokładnie odczytała to, co siedziało mi w głowie. – Nie każdy może być jak Szymon.

– Co drugi? – zapytałem z nadzieją.

– Co dwusetny może – spacyfikowała brutalnie moje nadzieje. – Na moim roku było tyle samo osób, ile jest na twoim. Przebiły się dwie.

– Dwie z całego roku?! A reszta? – Nie mogłem uwierzyć.

– Część nigdy nie weszła w zawód, inni rzeźbią coś w mniejszych redakcjach lub na nieeksponowanych stanowiskach.

– Smutne.

– Ale prawdziwe – podsumowała. – Ile byśmy mieli w tym kraju gwiazd, gdyby studenci wszystkich roczników dziennikarstwa nimi zostawali?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

W tym momencie przewodniczący rady zakończył posiedzenie. Dziennikarze rzucili się najpierw na Lecha Kaczyńskiego – prezydenta Warszawy, a potem na szeregowych radnych. W telewizji zawsze widzi się twarz polityka lub innej ważnej osoby otoczoną mikrofonami z nazwami stacji telewizyjnych i radiowych. Dziś zobaczyłem to na własne oczy. Z perspektywy kilku metrów udzielającego wywiadu

wcale nie widać. Jest ukryty między dziennikarzami, kamerami i fotoreporterami. Przekrzykują się, chcąc zadać pytanie. Trwa to kilka, kilkanaście minut. Na antenę telewizji i radia trafia najwyżej kilkanaście sekund.

W drodze powrotnej Sylwia opowiadała, jak powstaje materiał. Wcześniej, jeszcze w technikum, pisałem do gazety w miasteczku. Tworzenie materiału do radia i telewizji wygląda podobnie. Tyle że jest mniej czasu. Ale najpierw zawsze odsłuchuje się nagrania, wybiera najbardziej krwiste lub konkretne wypowiedzi i do nich dobudowuje resztę. W gazecie tekst, w radiu i telewizji głos, tak zwany off. Patrzyłem, jak Sylwia ze słuchawkami na uszach przesłuchuje wypowiedzi, które zarejestrowała. Miała około trzydziestu lat, czarne falujące włosy do ramion, ciemne oczy i lekko śniadą karnację. Ładna, szczupła, ale nie chuda. Lekki, prawie niezauważalny makijaż z ciut mocniej zarysowanymi ustami. Stawiała średniej wielkości, proste litery. Mocno dociskała długopis. To podobno świadczy o egoizmie. Po godzinie materiał był zmontowany.

– Będę dziś jeszcze długo potrzebny? – spytałem trochę już zmęczony, dzień był pełen wrażeń.

– Nie, chyba nie. Jak chcesz, możesz już iść.

– Dzięki, to za pół godzinki się zmywam – mówiąc to, pisałem do Wiktora, że niedługo będę wolny.

Zaoferował, że mnie odbierze.

– I jak wrażenia? Podobało ci się? – zapytała.

– Tak, chociaż zamordowałam moje marzenia o sławie.

Oboje się roześmialiśmy.

– Może będziesz tym szczęśliwcem, któremu się uda. Kto wie! – pocieszyła mnie.

Wypiliśmy jeszcze po kawie w radiowym bufecie i zadzwonił Wiktor. Czekał na mnie w aucie. Pożegnałem się z ochroniarzem, którego rano zignorowałem. Jutro nie będzie problemu, bo dostałem przepustkę. Wszedłem przed budynek i stanąłem jak wryty. Zobaczyłem dwa samochody. Po lewej auto Wiktora, on w środku. Po prawej o swój samochód opierał się Szymon. Obaj patrzyli na mnie.

22. Niby dylemat

Omiotłem Szymona szybkim spojrzeniem. Starłem się, by wyglądało na przypadkowe. Kiedy spostrzegłem, że zamierza ruszyć w moim kierunku, założyłem okulary przeciwsłoneczne i przyspieszyłem. Wskoczyłem do auta i kazałem Wiktorowi ruszać. Wszak dziś byłem pilotem.

– Jak było? – zapytał.

– Znośnie – powiedziałem.

Zerknąłem w lusterko na stojącego na ulicy Szymona.

– Tylko tyle? – Był zaskoczony.

– A czego się spodziewałeś?

– Rano byłeś tak podjarany, że oczekiwałem większej wylewności, emocji, fascynujących opowieści.

– Było w porządku.

– I co?

– Co co? Znośnie, po prostu znośnie! – uniosłem się.

– Czemu na mnie krzyczysz? Zrobiłem ci coś?

– Nie zrobiłeś, nie krzyczę – spuściłem nieco z tonu.

– Co robiłeś? Kawę? – próbował żartować.

Posłałem mu lodowate spojrzenie. Nie wiem dlaczego, ale widok stojącego przed radiem Szymona wyprowadził mnie z równowagi. Dostało się

niewinnemu Wiktorowi. I jakby tego było mało, w tej chwili dostałem SMS: „No tak, ja nie mam lexusa. Sz.”.

– Od kogo? – zapytał Wiktor.

Co miałem mu powiedzieć? Że pisze do mnie gość, z którym rozwijałem znajomość w Toro? A może mam się ograniczyć wyłącznie do radia? Wtedy wyjdzie na to, że ledwo tam wszedłem, a już rozdają numer facetom. A poza tym co to za tekst o lexusie? Wpadłem w popłoch, ale nie chciałem kłamać. Wolałem uniknąć odpowiedzi.

– Wsiądę tu – powiedziałem tuż przed zjazdem do garażu. – Pojadę do Niny.

– Teraz?

– Tak, teraz.

– Zawiozę cię – zaproponował.

– Nie, pojadę autobusem. Muszę pobyć sam. Przepraszam.

– Co się, kurwa, stało w tym radiu?! – zirytował się.

– Wrócę niedługo. Kocham cię bardzo. Wiesz o tym?

– Ja ciebie też. Co nie zmienia faktu, że wolisz porozmawiać z Niną niż ze mną.

– Muszę pobyć chwilę sam. Idę.

Pogłaskałem go po rękę i wysiadłem.

Piechotą poszedłem na róg Chełmskiej i Belwederskiej. Z dwoma przesiadkami dotarłem na Wolę. Wbiegłem na górę, zadzwoniłem do drzwi. Nic. Drugi raz. Nic. Rozsądniej byłoby wcześniej upewnić się, czy Nina jest w domu. Wyjąłem telefon. Odebrała po

pięciu długich sygnałach.

– Co robisz? – Tradycyjnie pominąłem powitanie.

– Jak ja nie cierpię, gdy ktoś mnie pyta, co robię!
A gdybym siedziała właśnie na kiblu, to jakiej odpowiedzi byś oczekiwał? – zrugła mnie.

– A siedzisz? – Nie wiem, po co podjąłem ten temat.

– Nie! – wrzasnęła rozdrażniona.

– No więc co robisz? – powtórzyłem.

– Rozmawiam z tobą.

– Z domu?

– A skąd?

– Z Ustki?

– Nie, z Woli – wyjaśniła zniecierpliwiona.

– Jak możesz być na Woli, skoro ja stoję pod drzwiami i pukam.

Rozłączyła się i chwilę później mi otworzyła. Rozczochrana i nieumalowana.

– Jest osiemnasta. Czemu śpisz? – dopytywałem, przekraczając próg.

– Bo jestem śpiąca. Chcesz coś pić? Jeść?

– Herbaty. A co robiłaś w nocy?

– Spałam. Jest lipiec, trzydzieści stopni, a ty chcesz herbaty?

– A co to ma do rzeczy? Lubię herbatę. Bez względu na porę roku i okoliczności.

Wstawiła wodę i przeszliśmy do jej pokoju. Kanapa była rozłożona, a na niej leżała gruba puchowa kołdra.

– Ty mi docinasz, że piję herbatę w lipcu, a sama

śpisz pod puchową kołdrą? Jest trzydzieści stopni!

Uchyliłem balkon, bo w pokoju panował okropny zaduch.

– Ty lubisz herbatę, a mi jest zimno – odcięła się.

– Chora jesteś? Przeziębiałaś się?

– Nie wiem, może trochę. To chyba klima w samochodzie Karola mnie tak załatwiła.

– Brałaś jakieś leki? Aspirynę?

– Brałam i tak mnie uspiły, ale jest lepiej. A co ty tu tak właściwie robisz?

Położyła się pod pierzyną. O herbatę zatroszczyłem się sam.

– Byłem w radiu! – krzyknąłem z kuchni.

– No i co? Fajnie?! – W jej głosie dało się wyczuć ekscytację.

– Ty wiesz, że ten Szymon od dywanu robi tam za gwiazdę?

Usiadłem na rogu łóżka.

– A to ty tego nie wiedziałaś? – Była prawdziwie zaskoczona.

– Nie skojarzyłem. Dopiero dziś... A ty od kiedy wiedziałaś?

– Od samego początku. Byłam pewna, że wiesz, kto to jest!

– Od dziś wiem. Czekał na mnie przed budynkiem, jak wychodziłem.

Upiłem łyk herbaty.

– Co?! – Wysunęła się spod kołdry.

- Ale to dopiero początek.
- No?
- Czekał też Wiktor!
- Ja jebię. I co? – Przegarnęła włosy.
- Jak to co? Udałem, że Szymona nie znam, i wsiadłem do Wiktora. A co ty myślałaś?
- Nie wiem... że się o ciebie pobili czy coś?
- Daj spokój – przywołałem ją do porządku i opowiedziałem, jak bez powodu nawrzeszczałem na Wiktora i uciekłem z samochodu.
- On ci się podoba? – zapytała, gdy skończyłem.
- Kto?
- Ten Szymon.
- Żartujesz? Chyba za długo spałaś! Jak dzidy pragnę!
- A czyjej dzidy?
- Zamiast odpowiedzi dostała wymowne spojrzenie znaczące tyle co „zaczynasz pierdolić jak potłuczona”.
- To czemu się tak głupio zachowujesz? – zmieniła treść pytania, chociaż sens został ten sam.
- Właśnie nie wiem, ale Szymon na pewno mi się nie podoba.
- To rób swoje. I nie krzycz na Wiktora. To głupie – oceniła.
- Wiem. A Szymon?
- Co Szymon?
- Jakoś muszę go odprawić.
- Sądzę, że domyślił się, w czym rzecz. I da ci spokój.

W naszym zawodzie jest dużo gejów. Nie możesz panikować i się spinać na widok każdego, któremu się podobasz. Tacy byli, są i będą. Musisz z nimi współistnieć tak jak z heterykami.

– Jadłaś coś? – zmieniłem temat.

– Tak.

– A co?

– Obiad.

– Pytam konkretnie co?

– Ty jesteś z Najwyższej Izby Kontroli? – obruszyła się.

– Po prostu jestem ciekaw, co jadłaś. To takie dziwne?

– Tak, nikt mnie nigdy nie przepytывał z tego, co jadłam. Czepiasz się. Lepiej mi opowiedz, jak było w radiu.

Ustałem. Choć nie powinienem był. Jestem przekonany, że ostatni raz jadła rano, a obiad widziała co najwyżej w telewizji śniadaniowej. Między kolejnymi częściami powieści o radiu wmusiłem w nią znalezione w szafce biszkopty. Miałem pewność, że je. Ale co z tym zrobi, gdy wyjdę? Przed dziewiątą ruszyłem do domu. W autobusie doszedłem do wniosku, że Nina ma rację. Ochoczo wszedłem do mieszkania. Szkoda, że Wiktor nie był do mnie nastawiony równie entuzjastycznie. Siedział przed telewizorem i oglądał powtórki trzeciej edycji *Idola*. Przed komisją pierwszy raz stała późniejsza zwycięzcyńska Monika Brodka. A mój

chłopak ewidentnie wolał ją i Zependowską niż mnie. Zupełnie mnie zignorował. Nie zareagował na moje „jestem”, nawet na mnie nie spojrział, gdy wszedłem do salonu. Był jak fantom – kiedy wsunąłem mu się pod rękę, nawet nie drgnął. Powiało chłodem. Dopił resztkę stojącego na stole piwa, nieoczekiwanie wstał i poszedł do kuchni uzupełnić zawartość kufla. A ja runąłem na kanapę.

– To nie było fajne – stwierdziłem.

– Naprawdę? – syknął, ale był jak oaza spokoju. – Myślałem, że dziś jest dzień robienia nefajnych rzeczy.

– Nie jest.

– Czyli mam rozumieć, że od dziś ten buracki sposób zachowania będzie normalny? – zapytał rozczarowany.

– Nie będzie.

– Alleluja! Bo obawiam się, że nie wytrzymałbym tak długo! – Nerwy mu puściły. – Zachowałeś się jak cham! Jak jakiś prostak! Co się stało w tym radiu? I nie mów, że nic, bo to obraża moją inteligencję.

– Usiądź tu. – Wskazałem na miejsce obok siebie.

– Postoję. Dzięki.

– Chodź do mnie – ponowiłem prośbę.

– Nie chce mi się dziś ani do ciebie mówić, ani koło ciebie siedzieć, ani koło ciebie spać! – wrzasnął. – Masz przede mną jakieś tajemnice, odbierasz SMS-y nie wiadomo od kogo, potem znikasz na cały wieczór, wracasz, jak gdyby nigdy nic, i chcesz, żeby koło ciebie siadać. Nie! Nie, kurwa!

- Wiktor!
- Co Wiktor? Co Wiktor?! Zastanów się, co robisz!
- A co ja takiego robię?
- Właśnie chciałbym wiedzieć! Puściłeś się czy co?
- Teraz to już przesadziłeś! – Zerwałem się z kanapy.
- Uderz, kurwa, w stół...
- Co ty sugerujesz? Że cię zdradzam?!
- Nie wiem, co zrobiłeś! Nie mam pojęcia! Wiem, że czegoś mi nie mówisz i dopóki nie powiesz, nie mamy o czym gadać!

Wrzeczeliśmy na siebie jeszcze przez kilkanaście minut. Oczywiście rozsądek podpowiadał mi, że powinienem mu wszystko powiedzieć, ale język stanął kołkiem. Nie potrafiłem wydusić z siebie ani jednej sylaby, a przecież niczego nie musiałem wymyślać, wystarczyło wyznać prawdę.

– Ja śpię w gościnnym, sypialnię masz dla siebie – zakomunikował, wychodząc z łazienki.

– Nie, spoko, ja pójdę do gościnnego. Nie ma potrzeby, żebyś oddawał mi swoje łóżko.

– To nie jest moje, tylko nasze łóżko. I nie oddaję ci go, tylko udostępniam. Dojdz do odpowiednich wniosków przez noc. Chyba że już doszedłeś i chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie wydarzyło się nic, o czym powinieneś wiedzieć, i nic, co ma wpływ na nasz związek.

– A jednak chciałbym wiedzieć. Dobranoc.

Poszedł do pokoju gościnnego z poduszką z kanapy

w ręku.

Miał na sobie bokserki z Supermanem i koszulkę z Krecikiem. To było dziwne, bo nawet zimą spał nago. Wiedziałem, że jest wściekły, ale nie umiałem nic z tym zrobić. Stałem tylko i patrzyłem. Ciszę przerwał niespodziewany głos.

– Dobry wieczór.

W drzwiach wejściowych stała Marta.

23. Różne propozycje

Wiktor spojrział na zegarek w komórce. A potem na matkę. Przez chwilę zapanowała taka cisza, że było słychać jeżdżące Chełmską samochody. Marta jak zwykle wyglądała świetnie. Biała koszula w czarne grochy podkreślająca biust, czarna spódnica do kolan, czarne szpilki i biała skórzana torebka.

– Czy dobry, to się jeszcze okaże – ostrzegł Wiktor.

– Mogę wejść? – zapytała niezbyt głośno.

– Chyba już weszłaś. Nie wiesz, która jest godzina? – warknął.

– Tak, tak. Wiem, że już dość późno.

– Dość?! Mamo, jest za piętnaście dwunasta! To jest pora na wizyty?

– Nie tym tonem, synu. – Ruszyła przed siebie. – Muszę z tobą porozmawiać. Pilnie.

– A nie słyszałaś o telefonach? Nie mogłaś zadzwonić?

– Nie pomyślałam.

– A szkoda! Bo to nie jest dobra pora na wizytę!

– Ale skoro już jestem...

– Proszę bardzo, siadaj. Mów, co takiego nie mogło poczekać do jutra? Wybacz, ale ze względu na porę nie

zapropnuję ci nic do picia. Nie będę też się ubierał, bo zaraz idę spać. Rano obaj wstajemy do pracy.

– Wolałabym porozmawiać tylko z tobą.

– Jesteś gościem w naszym domu. My nie mamy przed sobą tajemnic. Prawda, kochanie? – rzucił w moim kierunku.

Nie odpowiedziałem.

– Zatem przejdę do rzeczy. Muszę się do ciebie przenieść tydzień wcześniej, niż zaplanowaliśmy – zapowiedziała.

– Czyli zamieszkaś z – zaakcentował – nami, tydzień przed – znów zaakcentował – naszym wyjazdem na Majorkę?

– W rzeczy samej. Tylko czy będę miała gdzie spać? Bo widzę – spojrzała na poduszkę – że sypialnia dla gości chyba ma dziś być sypialnią gospodarza... – urwała.

Nie wiem, jak długo stała w progu, ale teraz byłem już pewien, że słyszała naszą kłótnię. Nie pojmowałem, jak można wejść do cudzego domu, nawet syna, ot tak. Bez pukania, bez uprzedzenia. Nie mam nic przeciwko, by matka miała klucze do mieszkania dziecka, mimo to powinna się zapowiedzieć. Chyba że przyjdzie podlać kwiaty pod jego nieobecność. Marta wiedziała, że nas zastanie. Nie przypuszczała jednak zapewne, że wejdzie, a my będziemy się kłócić. Wykorzystała tę sytuację i wbiła mi szpilę. Mimo sprzeczki Wiktor stał po mojej stronie.

– O to się nie martw. Zdążymy nawet zmienić pościel. Będziesz się u nas czuła jak pączek w maśle. Prawda, kochanie? – znów zwrócił się do mnie.

– Jasne – przytaknąłem. – Może pani się wprowadzać choćby dziś. Nawet gdybym miał spać na kanapie.

– To będziemy się zdzwaniać, pa, synu.

Tradycyjnie pominęła mnie przy pożegnaniu.

Wyszła. A my rozeszliśmy się w przeciwnych kierunkach. Wiktor spał w gościnnym, ja w sypialni. Leżąc w pustym łóżku, rozmyślałem o wielu sprawach. Jak uda mi się przetrwać tydzień z Martą pod jednym dachem. I co się stanie rano. Poranek był zimny jak bułki, których wieczorem nie wyjęliśmy z zamrażarki. W związku z tym na śniadanie było musli z maślanką, ale za to bez słów. Wiem, że piłeczka była po mojej stronie, ale nie znalazłem w sobie odwagi na rozmowę, której wyczekiwał Wiktor. Włączyłem radio, żeby zagłuszyć przykrą ciszę. Pech chciał, że z głośników popłynął głos Szymona. Aż się zakrztusiłem z wrażenia. Wiktor klepnął mnie w plecy.

– Lepiej? – To było pierwsze słowo poranka. Jałowe, bo jałowe, ale zawsze.

– Tak, dzięki – odpowiedziałem. – Wiktor?

– Słucham?

– Jadę z tobą? Czy mam iść na autobus?

– Jedziesz ze mną. Zaraz wychodzimy.

Ucieszyłem się. Nie dlatego, że nie lubię autobusów. Przeważnie jeżdżę komunikacją miejską. Dziś

podwiezienie do pracy miało zupełnie inny wymiar. Jeśli spotkamy Szymona, może wpadnie na to, że Wiktor to nie żaden sponsor z dobrym autem. Gdy będzie nas widywał regularnie, może uświadomi sobie, że to mój partner. Zamierzam mu też o tym przy najbliższej okazji powiedzieć. Niestety nigdzie go nie było. Dzień przebiegał pod znakiem wyjazdu na Stadion Dziesięciolecia i uzupełniania strony internetowej radia. Pojechałem z Sylwią robić materiał o gołębiach i ich odchodach w hali dworca. To znaczy ona robiła, a ja dzielnie asystowałem. Takie życie dziennikarza. Raz prezydent Warszawy, a raz ptasie gówno. Rozmawiała z ludźmi. Zauważyłem, że chcąc coś od kogoś wyciągnąć, trzeba iść jak czołg, być pewnym siebie. Chwila zawahania może wszystko zniszczyć. Zrozumiałem też, że dziennikarz musi umieć rozmawiać zarówno z profesorem uniwersytetu (czemu ptasie kupy są niebezpieczne dla zdrowia), jak i ze śpiącym na ławce bezdomnym (czy nie przeszkadza mu, że gołębie na niego srają). I Sylwia to umiała. Czułem, że ja też. W drodze powrotnej zgadało się coś o pieniądzach. I znów się okazało, jak bardzo naiwne są moje wyobrażenia o tym zawodzie.

– W radiu kokosów nie zarobisz. Jeśli chcesz robić kasę, idź do telewizji – wyjawiała.

– A radiowe gwiazdy?

– Które?

– Powiedzmy Olejnik.

– Ty wiesz, jak długo Olejnik dochodziła do tego, żeby być Olejnik? Dobrze ci radzę, na razie nie myśl o kasie ani o sławie. Zresztą nie myśl o tym na żadnym etapie kariery, gdy zaczniesz to robić, przestaniesz być dziennikarzem, a staniesz się celebrytą.

– Ale kasa przecież jest ważna...

– Ale nie najważniejsza. Ani pieniądze, ani popularność nie mogą być motorem działania dziennikarza. My musimy lubić ludzi, być ciekawi ich życia, problemów, radości, dramatów, tragedii. Wszystkiego. Musisz chcieć opowiadać najpierw historie innych, a nie swoje. Nawet jeśli nikt ci za to nie zapłaci albo nie da statuetki Grand Press.

– Czyli dobry dziennikarz to biedak?

– Nie! – zaśmiała się. – Dobry dziennikarz to taki, do którego splendory przyszły jako konsekwencja jego zawodowych dokonań.

– To chyba dotyczy większości zawodów? – zauważyłem.

– Na pewno większości zawodów artystycznych. Aktorów, muzyków, piosenkarzy, pisarzy. Zobacz, co się dzieje. Mamy pokolenie gwiazdeczek z *Big Brothera*, stali się popularni wyłącznie dlatego, że dali się zamknąć w domu z kamerami.

– Niektórzy z nich są posłami...

– Widzisz, jak mało trzeba, by w tym kraju zostać politykiem? Taka popularność szybko puchnie, ale jeszcze szybciej ucieka z niej powietrze.

– A co z Szymonem? – zmieniłem temat.

– A co ma być?

– Nie widziałem go dziś.

– Minęliście się. A czemu o niego pytasz?

– Chodzi mi o to – wymyślałem coś na poczekaniu – czy jest gwiazdą?

– Zdecydowanie! DJ w radiowej hierarchii jest wyżej niż reporter. Ale nawet Szymek kiedyś był reporterem. A co? Podoba ci się? – walnęła prosto z mostu.

– O co ty mnie pytasz, Sylwia? – udałem oburzonego, chcąc ukryć zakłopotanie.

– Mnie tam nie obchodzi, kto z kim sypia, ale uważaj na niego. Lubi stażystów.

– To mnie nie dotyczy – powiedziałem pewnie.

– Tak czy inaczej przez najbliższe trzy tygodnie go nie spotkasz. Dziś był w pracy ostatni dzień przed urlopem.

Czyli nie wpadnę na niego do końca mojego stażu. A to może oznaczać, że nie zobaczymy się już nigdy. Kamień z serca, problem z głowy. Nie będę przemykał po radiu jak cień, wyglądając zza winkła, czy droga jest czysta. Nie będę musiał odgrywać teatru z Wiktorem, z przywożeniem i zabieraniem z pracy, uniknę też rozmowy uświadamiającej Szymonowi, że jestem zajęty i szczęśliwy. Jak echo wracały słowa Matyldy sprzed miesiąca, żebym się przyjrzał swojemu związkowi. Dziś widziałem konflikt, ale one zdarzają się przecież nawet w najlepszych małżeństwach. Prawda?

Dni mijały, w domu atmosfera była napięta. Rozmawialiśmy tylko wtedy, gdy zachodziła taka konieczność. Wiktor był zawzięty. Na każdym kroku dawał mi do zrozumienia, że bez rozmowy na wiadomy temat nie będzie powrotu do sielanki. Zaczynało mnie to męczyć. Byliśmy sobie bliscy, a przeze mnie zaczęliśmy się omijać szerokim łukiem. Jedliśmy razem, ale w milczeniu. Spotykaliśmy się z ludźmi, ale między nami nie było jakichś głębszych interakcji. Namiętność i seks zgasły zupełnie. Wszyscy zauważyli, że coś jest nie tak. I Maćki, i Robert. A już w szczególności Nina, która dodatkowo wiedziała, o co poszło, i każdego dnia ciosała mi kołki na głowie. Codziennie dzwoniła i pytała o postępy w sprawie. I gdy słyszała, że postępów brak, zaczynała wrzeszczeć. Że sam sobie utrudniam życie, że jestem szczeniakiem i że nie przewiduję konsekwencji.

Im więcej czasu mijało, tym bardziej sam nie rozumiałem, z czym mam problem. Przecież nie doszło do niczego, czego miałbym się wstydzić. Musiałem wyjaśnić wszystko Wiktorowi. Zwłaszcza że lada chwila miała z nami zamieszkać Marta. Pod żadnym pozorem nie mogła zobaczyć, że minęły prawie trzy tygodnie, a my nadal mamy ciche dni. To woda na jej młyn. Cały dzień obmyślałem scenariusz i przebieg tej rozmowy wraz z wariantami A, B i C. Elementy misternego planu wymyślałem między kolejnymi nagraniami. Po trzech tygodniach stażu zaufali mi na tyle, że sam zacząłem

jeździć z mikrofonem. Dwa razy byłem nawet w Sejmie. Nauczyłem się też montować dźwięk. Dzięki stażowi łatwiej było mi pisać teksty do gazety z miasteczka. W radiu ciągle pojawiał się ktoś znany. Piosenkarze, aktorzy i artyści wszelkiej maści. Zwykle po audycji nie było problemu, żeby zadać im kilka pytań do lokalnej gazety. Zaliczyłem Andrzeja Piasecznego, Stanisława Soykę, Ewę Bem, Kasię Nosowską, Ewę Kasprzyk, Danutę Stenkę i kilku innych. Prawie codziennie przez dwa tygodnie robiłem z kimś wywiad. Miałem zapas rozmów do zimy, bo gazeta ukazywała się co dwa tygodnie.

Ostatnio w radiowej kawiarni spotkałem Hanę Bielicką. To jest coś! Klasa sama w sobie, *crème de la crème*! Dama w każdym calu. Rozmawialiśmy raptem piętnaście minut, ale wprawiła mnie w wyśmienity humor. Dała mi też do myślenia. Opowiadała o swoim byłym mężu, nieżyjącym już Jerzym Duszyńskim, i powiedziała coś, co na zawsze zapamiętam. W związku trzeba ze sobą rozmawiać. Wyznała, że jej małżeństwo nie miało szans być szczęśliwe, bo oni nie mieli o czym mówić. Rozmowa była według niej receptą na wszystko.

Gdy wracałem do domu, uświadomiłem sobie, że my przecież lada chwila jedziemy na wakacje. Mam lecieć taki szmat drogi, żeby sobie pomilczeć? Dzięki, pomilczę w Warszawie. I to za darmo. Te rozważania utwierdziły mnie w podjętych wcześniej postanowieniach. Zgoda musiała nastąpić. I to

nieuchronnie. Dziś. I to ja muszę rozwiązać ten supeł. W domu wypilem kieliszek, a może nawet dwa, czerwonego wina, usiadłem na stole w kuchni i czekałem, powtarzając wymyślone wcześniej kwestie. Jak aktor przed premierą. W pewnym momencie zacząłem je wypowiadać na głos, chodząc dookoła stołu. A żeby teatralnemu klimatowi stało się zadość, zrobiłem notatki, a potem ściągawki. Małe białe karteczki rozlepiłem po kuchni. Założyłem, że to tu będziemy rozmawiać. Paradowałem dookoła stołu i mówiłem:

„Przecież nie możemy żyć pod jednym dachem jak obcy ludzie!”

„To jest nie do zniesienia!”

„Nie mam sobie nic do zarzucenia”.

Żywo przy tym gestykulowałem, akcentowałem co ważniejsze słowa, powtarzałem je w poszukiwaniu odpowiedniego brzmienia. I gdy ściskając w ręku wymiętą już kartkę, ćwiczyłem słówko „nic”, okazało się, że mam publiczność. Rozległy się oklaski, a zaraz po nich usłyszałem głos Wiktora:

– Tu ktoś jest poza tobą?

– Nie – odparłem skonfundowany. – Sam jestem.

– To do kogo wygłaszasz te elaboraty?

– Co? – próbowałem strugać wariata.

– No te przemowy?

– Jakie przemowy?

– „Nie mam sobie nic do zarzucenia”, powtarzałeś to

przed chwilą kilka razy.

– Coś tam sobie mruczałem pod nosem – brnąłem.

– To jak? Masz mi coś do powiedzenia? – zapytał dokładnie tak, jak każdego dnia.

– Mam – stwierdziłem krótko.

– To co? Po winku może z tej okazji?

– Dzięki, piłem już.

– A ja się napiję. Za trzy minuty widzimy się na kanapie. Muszę się przebrać.

To był upalny dzień. W salonie i sypialni mieliśmy klimatyzację, ale gdy byłem w pobliżu, obowiązywał całkowity zakaz jej używania. Noc z włączonym klimatyzatorem skutkowałą u mnie infekcją gardła, która na kilka dni odbierała mi głos. To samo dotyczyło klimy w samochodzie. Otoczenie cierpiało przy otwartych oknach, ale wszyscy jakoś znosili tę moją słabość.

– Zamieniam się w słuch – powiedział Wiktor i usiadł na kanapie obok mnie.

– Musiałem porozmawiać z Niną, żeby uświadomić sobie, że nie dzieje się nic, co mogłoby mieć wpływ na nasz związek. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem, ale znalazłem się w nowej sytuacji i spanikowałem.

– To znaczy?

– Widziałeś tego gościa przed radiem? Opartego o samochód?

– Tak, to ten... jak mu tam było? – Szukał w pamięci

nazwiska.

– Szymon.

– Właśnie. I co z nim?

– To gej.

– Wiem.

– Znasz go? – zapytałem zdziwiony.

– Nie znam. Skąd mam znać?

– To skąd wiesz, że gej?

– Nie jest to jakaś wielka tajemnica. A do rzeczy?

W nim tkwi problem?

– Tak jakby.

– Chwila. – Spojrzał na mnie uważnie. – Zrobił ci coś?!

– Nie, ja sobie nie dam nic zrobić.

– No to co?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć. – Odwróciłem wzrok. – Chodzi o to, że on mnie podrywał...

– I? – Wciąż patrzył z niepokojem.

– Kochanie, ja nie jestem nim zainteresowany, tylko trochę wpadłem w popłoch.

– Oj, młody – wreszcie mnie przytulił – ja też mam w firmie gejów, spotykam się z gejami na płaszczyźnie zawodowej. I też dostaję różne propozycje.

– Jak to dostajesz propozycje? Jakie?! – Byłem oburzony.

– Różne. – Zaśmiał się. – Ale w domu mam ciebie i do ciebie chcę wracać. I wracam. Tylko bądź dorosły. Nie twórz tajemnic. Bo jak czegoś nie wiem, a ty nie

chcesz mi powiedzieć, to podświadomie zaczynam coś podejrzewać. Trzeba ze sobą rozmawiać.

– Wierzysz mi? – zapytałem.

Zamiast odpowiedzi mocno mnie pocałował.

Wiktor nie był zadowolony z mojego stażu w radiu. Nie powiedział tego otwarcie, ale przecież znam go nie od dziś. Wiedziałem o tym już w momencie, gdy wiózł mnie na Myśliwiecką pierwszego dnia. Czy chodziło mu o to, że mogę tam kogoś poznać? Obecność Szymona pewnie zintensyfikowała jego obawy. Wychodził z prostego założenia, że nie muszę pracować, że on zapewni mi wszystko, czego potrzebujemy. Utrzymanie, wikt, opierunek, wakacje, a ja mogę leżeć i pachnieć. Muszę przyznać, że trochę się do tego przez ostatni rok przyzwyczaiłem. Nie musiałem się o nic martwić. On chyba tak postrzegał i okazywał miłość. Dał mi wszystko to, czego – w jego mniemaniu – nie miałem. Dał mi też spokój emocjonalny. Odciałem się od rodziny. Rozmawiałem tylko z mamą. Wiktor był zderzakiem, pochłaniaczem złej energii, który brał na siebie wszystko, co mogło mi zaszkodzić.

– Czekał, czekał! – Wyrwał mi się z ramion i pobiegł do przedpokoju.

– W takiej chwili?! Wiktor!

– Mam coś dla ciebie! Zamknij oczy! I nie otwieraj, dopóki ci nie pozwolę!

Zrobiłem, o co prosił. Wrócił błyskawicznie.

– Wyciągnij rękę – poinstruował mnie.

– Którą?

– Obie możesz.

Poczułem niewielki ciężar. Prostokątny papierowy kartonik otwierany jak zaproszenie.

– Jak myślisz? Co to? – zapytał z podnieceniem w głosie.

– Zaproszenie? Idziemy na wesele?

– Blisko.

– Tylko na ślub? – udałem zawód.

– Lecimy na...

– ... Majorkę! – wrzasnąłem.

Wiktor kupił bilety. Za dziewięć dni, 2 sierpnia, niedługo po południu mieliśmy wylądować w Madrycie, a potem jeszcze niecała godzina lotu i przywitamy Palmę – stolicę i największe miasto Majorki. Warszawa zobaczy nas z powrotem 16 sierpnia. Zły czar prysł.

– Wiesz co? – szepnął mi na ucho.

– Co?

– Chyba musimy się bzyknąć jeszcze raz – wyznał bez skrępowania.

– Musimy? A nie chcemy?

– Chcemy też, ale i musimy.

– Czemu musimy?

– Dawno tego nie robiliśmy, to raz. A za dwa dni wprowadza się mama, to dwa...

Poczułem, że ktoś szpilką przebił tak pięknie napompowany helem, unoszący się pod sufitem balon.

24. Obliviate

Marta zapowiedziała się na dwudziestą, ale pokój z czystą pościelą i pustą szafą czekał już od kilku dni. Gdyby nieoczekiwanie zmieniła zdanie i wpadła wcześniej. Wiktor przyjechał po mnie do radia. Kupiliśmy świeże kwiaty, choć nie bardzo wiedzieliśmy, które wybrać. Lubiała goździki, ale po pierwszej przygodzie w Konstancinie może mieć z nimi złe skojarzenia. Tym razem padło na tulipany. Klasyczne, ładne, bezpieczne. Stały w szklanym wazonie na stoliku przy łóżku. Wcześniej jeszcze raz odkurzyłem pokój, Wiktor przygotował zapiekankę ziemniaczaną i czekaliśmy jak na szpilkach. Punkt dwudziesta odezwał się domofon. Wiktor zbiegł na dół, żeby jej pomóc. Nie mogłem się nadziwić: ostatnio wparowała bez uprzedzenia i słuchała naszej kłótni, a dziś dzwoni i czeka, aż się po nią zjeździe. Nie nadążam za tą kobietą. Weszli do środka. Najpierw Wiktor z dwiema walizami, a potem Marta. Z małą torbą i torebką. Jak ona to robi, że zawsze wygląda świetnie? Upał, ludziom pot płynie po dupie, a ona jest nieskazitelna. Ani śladu zmęczenia, pięknie umalowana, kremowy T-shirt, dzinsy do kolan i szpilki. Ma sześćdziesiąt lat, a wygląda jak

osiemnastka. Szedłem w ich stronę, szukałem odpowiednich słów powitania. Marta zatrzymała się na chwilę i ruszyła prosto na mnie. Stałem jak żona Lota, jeszcze chwilę i zmieniałbym się w słup soli.

– Witaj! Jak się masz? – Objęła mnie i wyczuła w policzki. Nie dałem rady policzyć, ile razy.

– Dobrze – wydukałem. – A pani? – zapytałem, bo według mnie zdecydowanie nie czuła się najlepiej.

– Świetnie – rozwiąła moje wątpliwości. – Tak wam dziękuję, chłopcy, że mnie przygarnęliście, że nie musiałam się włóczyć po hotelach – oznajmiła, puszczając mi oczko. Wiktor tego nie widział, bo stała tyłem do niego.

Był równie zszokowany jak ja. Oto jego matka, która ignorowała mnie przy każdej okazji, teraz witała się tak wylewnie i dziękowała za gościnę. A jednocześnie puściła mi oczko! Pokazuje, że to tylko gra pozorów? Na potrzebę chwili? Zaskakującą sytuację przerwał Wiktor, który zaproponował Marcie przejście do przygotowanej sypialni. Zniknęli tam oboje, a ja nadal stałem bez ruchu. Zastanawiałem się, co się przed chwilą stało. Konkluzja była jedna. Marta oszalała! Rozdwojenie jaźni, schizofrenia, defragmentacja osobowości? Nie zdążyłem wymyślić kolejnych przykładów, bo wrócili do przedpokoju, a ona znów zwróciła się do mnie:

– Piękne kwiaty! Dziękuję! Tulipany są takie szlachetne! To co? Może jakaś kolacyjka? –

zaszczebiotała.

– Jest zapiekanka ziemniaczana. Właśnie wyjąłem z piekarnika – oznajmił Wiktor.

– Pysznie, razem przygotowaliście?

– To dzieło Wiktora – odpowiedziałem niepewnie.

– Siadajmy zatem. Wiktorku, podasz nam?

– Oczywiście, mam.

Zajęła przy stole miejsce obok mnie. Wiktor naprzeciw niej. Jedliśmy i piliśmy wino. Ona rozplýwała się nad każdym kęsem i każdym łykiem. Rozprawiła o Majorce, opowiadała o miejscach, które Wiktor koniecznie musi mi pokazać. Zachowywała się jak zupełnie inna osoba.

– Koniecznie go zabierz na Formentor, widok z góry na morze zapiera dech w piersiach. Ale nie należy tam chodzić po jakimś niepowodzeniu czy zawodzie miłosnym. Bo wtedy woda i skały ożywają i nawołują, żeby skoczyć... – Odpłynęła myślami.

– Mamo, co ty wygadujesz? – hamował ją Wiktor.

– Prawdę mówię, synu. W chwili cierpienia można pojechać na Formentor i nie wrócić.

– Nie odniosłem nigdy takiego wrażenia.

– Bo ty nie jesteś romantyczną duszą. Nie to co my. Prawda? – Złapała mnie za rękę i znów puściła oczko. Widziałem to wyraźnie.

Rozeszliśmy się przed północą. Wcześniej przez cały wieczór Marta zasypywała nas przeróżnymi historiami. O sztuce, o życiu, o ojcu Wiktora, o ich rodzinie

z Majorki. I nie był to wcale efekt nadmiernej ilości wypitego wina. Okazało się, że potrafi być ciepła, miła, towarzyska. Stałem na tarasie i biłem się z myślami. Dołączył do mnie Wiktor, dopiero po chwili zobaczyłem, że jest nagi.

– Tak zamierzasz spać? – zapytałem zaskoczony.

– Zawsze tak śpię przecież.

– Ale chyba nie dziś?

– Czemu? Jest upał, a ja jestem u siebie w domu.

– Mamy gościa – przypomniałem.

– Gość nie śpi z nami. Chyba że czegoś nie wiem?

– Z nami nie, ale u nas.

– W sypialni piętro niżej, kotku.

Zaszedł mnie od tyłu i schował się tak, by sąsiedzi nie widzieli, że nie ma na sobie ubrania.

– A jak tu wejdzie?

– Moja matka widziała mnie już nago.

– Tak! Dwadzieścia pięć lat temu!

– Sądzisz, że aż tak mocno się zmieniłem?

– Na pewno trochę urosłeś.

– A gdzie szczególnie?

Przycisnął mnie do barierki. Poczułem jego twardniejącego penisa.

– Właśnie tam, kochanie, właśnie tam – odpowiedziałem.

– Chodź już do środka... Dłużej nie wytrzymam i zerznę cię tutaj!

– Wiktor, proszę cię! Muszę z tobą omówić ważne

sprawy, a ty tylko o jednym.

– A ja muszę tylko o jednym.

Gryzł mnie w ucho i wykonywał dyskretne posuwiste ruchy.

– Weź się zakryj. Co ludzie powiedzą! Twoja matka jest na dole. Wiktor!

Rzuciłem mu wiszącą na suszarce ręcznik i uciekłem do środka.

– Co ty na to? – zapytałem, zupełnie ignorując buzujące w nim podniecenie.

– Na to, że nie chcesz się ruchać?

– Nie. Co myślisz o zachowaniu swojej matki?

Usiadł na łóżku. Chyba zrozumiał, że dziś nici z seksu.

– Nie mam pojęcia – oznajmił i bezradnie rozłożył ręce.

– Rozmawiałaś z nią o mnie?

– Kiedyś tak, ale dawno. Nie sędzę, żeby jej dzisiejsze zachowanie było konsekwencją tamtej rozmowy.

– Czyli przechodzimy nad tym do porządku dziennego?

– Myślę, że tak będzie najlepiej. Chyba że mamy problem z tym, że ktoś jest zbyt miły?

– Nie mamy, to znaczy ja nie mam. Ale ta metamorfoza jest piorunująca.

– Wygląda na to, że teraz będziemy szczęśliwą i kochającą się rodziną.

– Ona miewała kiedyś takie huśtawki nastrojów?

– Kochanie, moja matka to jedna wielka huśtawka nastrojów.

– Czyli jest szansa, że jutro wszystko wróci do normy i znów będę jej wrogiem? – zażartowałem.

– Obserwujmy ją i decydujmy na bieżąco co i jak.

– Ona zawsze puszcza te oczka?

– Co takiego? – roześmiał się.

– Oczka, takie mrugnięcie dyskretnie. Jak się żartuje czy coś.

– Nie zauważyłem nic takiego.

– Raz mrugnęła do mnie, gdy stała tyłem do ciebie, a drugi raz przy stole.

– Jutro się przyjrzę. Nigdy żadnych oczek nie puszczała, ale ja tobie puszczam oczko, a ty mnie olewasz. Brutalnie – podjął jeszcze jedną próbę.

– Kochanie, sam ostatnio powiedziałaś, że musimy się wybykać na zapas, bo wprowadza się twoja mama!

– No i się nie wybykaliśmy... – Zrobił minę zbitego psa.

– Jeszcze by tego brakowało, żeby nas nakryła! Idziemy spać.

Trudno było mi uwierzyć w tę nieoczekiwaną zmianę frontu Marty co do mnie. Coraz częściej myślałem o niej jako o wilku w owczej skórze. Może ona się wciela w jakąś postać? Może to jakiś artystyczny performance albo eksperyment naukowy? Dziś była miła i spijaliśmy sobie z dziubków, jutro będzie heterą nie do zniesienia, pojutrze lamentującą wdową i tak

dalej, aż do naszego wyjazdu. Tak czy inaczej nie wierzyłem w jej przemianę. To się nie dzieje tak z dnia na dzień. Z pewnością jest to część jakiegoś większego planu, który niebawem poznam. Wszystkimi porami skóry czułem, że to nie będzie nic dobrego.

Rano ocknąłem się kilkanaście minut przed budzikiem. Leżałem nieruchomo ze spojrzeniem wbitym w sufit, zastanawiając się, co mnie dziś czeka. Bałem się wstać z łóżka, a co dopiero pójść na dół. W pewnej chwili poczułem na sobie wzrok Wiktora.

– Wyluzuj – powiedział i mocno mnie przytulił.

– Idziemy na dół? Czekałem, aż się obudzisz, sam nie miałem odwagi.

– Idź pod prysznic, a potem zejź. Pójdę pierwszy i wybadam teren.

Jak powiedział, tak zrobiliśmy. Przeciągałem kąpiel najbardziej, jak się dało. Mydliłem się i spłukiwałem pianę kilka razy. To samo z włosami, nigdy nie dostały tyle odżywki co dziś. Osuszyłem się, a następnie wtarłem w siebie wszystkie stojące na półce kremy, balsamy i maseczki. Na dzień, pod oczy, na oczy, za uszy, nawilżające, zamykające pory, do rąk, do stóp. Wiktor ciągle dostawał jakieś próbki. I to dobrych marek, ale gdybym chciał ich wszystkich codziennie używać, do radia czy na uczelnię docierałbym w południe albo jeszcze później. Wreszcie się na coś przydały. Uczesałem się i ubrałem, chociaż zwykle

śniadanie jadam w bokserkach i z mokrymi włosami. Zszedłem na dół. Marta z Wiktorem siedzieli przy stole, na którym było chyba wszystko, co mieliśmy w lodówce. Musli, płatki, maślanka, świeże croissantsy, dżemy w trzech smakach, owoce, wędlna, miód, soki, kawa, herbata i kwiaty, które wczoraj kupiliśmy. *All inclusive* dla armii wojska, a nie dla trzech szczupłych osób. Marta miała na sobie podomkę z chińskimi napisami, a Wiktor nawet się nie ubrał. Siedział w slipach i za dużej koszulce z napisem „I love New York”, w której spał. Jeśli wczoraj był dzień okazywania sympatii, to dziś Marta chyba postanowiła wyznaczyć nam miłość. Dzień drugi eksperymentu właśnie się rozpoczął. A ja nadal nie wiedziałem, gdzie jest haczyk ani jak nie dać się na niego złapać.

– Kawki, herbatki, soczku? – przywitała mnie.

– Herbaty proszę.

– Słodzisz cukrem, miodem, konfiturami?

– Mamy też konfitury? – To pytanie jako pierwsze przyszło mi do głowy. Ilość słodyczy na metr kwadratowy właśnie przekraczała dopuszczalną granicę bezpieczeństwa.

– Przywiozłam z domu. To co? Konfitury? Truskawka, malina?

Po raz kolejny puściła mi oczko, a Wiktor znów nie mógł tego zobaczyć!

– To ja może wypiję gorzką.

– Proszę bardzo.

W mgnieniu oka stanął przede mną kubek z herbatą.

Jak nic naładowała do tych dżemów cyjanku! Zjem, a za kilka godzin mnie wykręci i zejde w bólach z tego świata. Chociaż dosypując do jedzenia trucizny, ryzykowałaby też życie Wiktora. A może wie, że on dżemów i miódów nie lubi. Nigdy nie widziałem, żeby je jadł. I zaproponowała to tylko mnie! Każda kolejna myśl była bardziej absurdalna od poprzedniej. Musiałem natychmiast i definitywnie skończyć z teoriami spiskowymi. Jedna wariatka w domu w zupełności wystarczy.

Wiktor poszedł się ubrać, a ja zostałem sam na sam z Martą. Poziom słodyczy nie spadł ani o milimetr. Zachowywała się tak, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. Ani słowem nie nawiązała do swojej wizyty pod nieobecność syna, nie zająknęła się na temat naszego pierwszego niefortunnego spotkania. Nic, zero, cisza. Zupełnie jakby na jej drodze stanął profesor Gilderoy Lockhart z *Harrego Pottera i Komnaty Tajemnic* i za pomocą zaklęcia *obliviate* wyczyścił jej pamięć. Nie podejrzewałem jednak, że hit dzisiejszego poranka jest jeszcze przed nami. Marta dopadła nas tuż przed wyjściem.

– Może przed waszym wyjazdem zorganizujemy uroczystą kolację? – zaproponowała radośnie. – Ja gotuję – dorzuciła.

– Mamo, dobrze się czujesz? – Wiktor zignorował jej propozycję.

– Świetnie. A czemu pytasz?

– Z troski.

– To jak z naszą kolacją? – nie ustępowała.

– Skoro nalegasz.

– Zgadzasz się? – zwróciła się do mnie.

Co mogłem zrobić.

– Tak – odpowiedziałem.

W drodze do radia Wiktor wysnuł teorię, że ona może być dla nas tak miła z wdzięczności za gościnę. A puszczenie oczka uznał za mimowolny tik, może wywołany stresem związanym z mieszkaniem u kogoś. Ja nie dawałem temu wiary. Marta nie była tylko miła, ona nam po prostu usługiwała, a to dalece wykracza poza ramy wdzięczności. Nawet hiszpańskiej. W ciągu dnia dostałem od Wiktora SMS z informacją, że mama proponuje, byśmy na przedwyjazdową kolację zaprosili przyjaciół, i mam się zadeklarować, ile osób będzie ode mnie. To bezwzględnie wymagało konsultacji z Niną. O umówionej godzinie stawiała się przed radiem.

– Moją teściową popierdoliło – powiedziałem na powitanie.

– I co? Leży sparaliżowana? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Wręcz przeciwnie! Jest nadmiernie ruchliwa. Cały czas coś robi! I zaprasza cię na uroczystą kolację.

- Z okazji?
- Z okazji naszego wyjazdu na Majorkę.
- Kiedy ta kolacja? Muszę to zobaczyć z bliska!

Na spotkaniu miało być łącznie sześć osób. Marta, my, Maćki i Nina. Menu było tajemnicą. Tylko Marta wiedziała, czy ponownie uraczy mnie owocami morza, czy może innymi specjałami kuchni świata, na których widok robi mi się słabo. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zamierzała publicznie mnie ośmieszyć. Dzień kolacji był jednocześnie ostatnim dniem mojego stażu. Z tej okazji wydawca serwisu pozwolił mi zrobić samodzielny materiał. Ustaliliśmy, że przygotuję kawałek o otwartym dwa dni wcześniej Muzeum Powstania Warszawskiego. Wziąłem sprzęt i pojechałem. Przed wejściem stał tłum ludzi. Sporo starszych osób, jak się okazało także uczestników powstania. Stwierdziłem, że nie ma sensu wchodzić do środka. Materiał o szczegółach ekspozycji już mieliśmy. Skupię się na wrażeniach zwiedzających. Przepytam trzy starsze i trzy młode osoby. Przycupnąłem przy wyjściu i obserwowałem. Ludzie z biało-czerwonymi opaskami na rękach wychodzili wzruszeni, ocierali łzy. Ich wypowiedzi były bardzo emocjonalne. Samograj. W języku dziennikarskim znaczy to tyle, że nie trzeba się nadmiernie starać, by materiał był interesujący. Historia układa się sama, nie wolno jej tylko przeszkadzać. Jaka szkoda, że trzeba to wszystko

zamknąć w niecałej minucie.

Poczekalem w redakcji do emisji mojego kawalka. Gdy sie skonczył, wszyscy zaczęli mi gratulować pierwszego samodzielnego materiału, Sylwia mnie przytulila i wyszeptala, ze jest dumna ze swojego ucznia. Bo to glównie od niej uczyłem sie przez ten miesiac. Szybko minął, ale miałem poczucie dobrze wykorzystanego czasu. Poznałem dziennikarstwo od podszewki, mimo to wiedziałem, ze chce kroczyć tą drogą. Odebrałem zaświadczenie o odbyciu stażu, odbębniłem pogadankę z Gościniakiem, zrobiłem reklamę Ninie, która miała mnie tu jutro zastąpić, i pojechałem do domu. I nawet do głowy mi nie przyszło, żeby zapytać o szansę zaczepienia się tam na dłużej. Myślami byłem już na Majorce.

Dochodziła piąta, a goście mieli być na ósmą. Pomyślałem, co powinienem spakować. Rok temu okazało się, że w hotelu na Krecie nie ma żelazka. A ja mam fobię, jeśli chodzi o pogniecione ciuchy. Nawet na wakacjach. Prasowanie też mnie relaksuje i pomaga pozbyć się złości. Ważne, żeby materiały były płaskie. Pościel, ręczniki, obrusy. Wtedy nie trzeba się skupiać na wszelkich zakamarkach i można wykonywać płynne, zamaszyste ruchy. Teraz nie będzie problemu z żelazkiem, bo będziemy mieszkać u rodziny Wiktora.

Z rozmyślań wyrwała mnie Marta, nadal bardzo serdeczna. Chwaliła się kolacją, która powoli dochodziła. Dziś królowały dania kuchni polskiej. Na

początek chłodnik, potem tarta warzywna. Hiszpańskim akcentem był alkohol. W lodówce chłodziło się sześć butelek czerwonego wytrawnego wina z Rezerwy. Z hiszpańskimi nalepkami, więc chyba nie żadna polska podróba. Marta zaoferowała pomoc podczas pakowania. Grzecznie odmówiłem pod pretekstem drzemki przed przyjściem gości. Nie nalegała. Pusta jeszcze walizka stała obok mnie na podłodze, wokół leżały porozrzucane rzeczy. A ja udawałem, że śpię. W końcu usłyszałem, że wrócił Wiktor. Wbiegł na górę.

– Słońce, czemu ty się nie pakujesz? – zapytał.

– Czekałem na ciebie.

– A sam nie możesz?

– Twoja mama chciała mi pomóc.

– To trzeba było skorzystać, ona wie, co trzeba zabrać do Hiszpanii. Mieszkała tam pół życia.

– Jakoś jej nie ufam.

– Już nie bądź taki podejrzliwy, gdzie jest druga walizka?

– Sorry, ale nie umiem po tygodniu dobroci zapomnieć o tym, co było wcześniej. A walizka jest chyba w garderobie. Nie wiem.

– Zabieramy tylko ubrania – oznajmił, znikając za drzwiami. – Reszta już tam jest.

– A skarpetki trzeba brać?

– Co? – Wystawił głowę.

– No skarpetki.

– Nie. No, może jedną parę. Tak samo z długimi

spodniami. Jedna para maksymalnie.

– To tam nigdy nie jest chłodniej?

– Jest, w styczniu. Piętnaście stopni w dzień, pięć w nocy. – Wyszedł uzbrojony w walizę.

– Możemy tam zostać na zawsze? – zażartowałem.

– Pomyślimy. Pakuj wszystkie swoje krótkie spodenki i szorty. Dwie pary co najmniej. Ręczników nie bierzemy.

Po niecałej godzinie dwie walizki były gotowe, my także. Do kolacji. Najpierw przyjechała Nina, a potem Maćki. Marta po dniu spędzonym w kuchni zniknęła u siebie. Nie chcieliśmy zaczynać bez niej, bo to ona była organizatorką tego wieczoru, dlatego rozsiedliśmy się w salonie i oddaliśmy rozmowie o wszystkim i o niczym. Nieobecność Marty trwała już dość długo. Wszyscy zaczęli być głodni. Wiktor wstał, żeby po nią pójść, ale nie zdążył zrobić ani jednego kroku. Jego matka była szybsza.

25. ¡Feliz cumpleaños!

Wszystkie oczy skierowały się na nią. I jeśli chciała zrobić wrażenie, to jej się udało. Podczas gdy my byliśmy ubrani zupełnie normalnie, ona wystąpiła w stroju wieczorowym. Długa, błękitna jedwabna suknia z odkrytymi ramionami. Z gigantycznym rozcięciem na lewej nodze. Do tego szpile – ona chyba urodziła się na obcasach. Na szyi miała kolię wartą pewnie więcej niż samochód Wiktora. Fryzura i makijaż w tym samym stylu co strój. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. A Marta, jak gdyby nigdy nic, zaprosiła wszystkich do stołu. Wcieliła się w rolę pani domu, zabawiała gości i... piła. Była coraz bardziej wstawiona. Zaczynała się chwiać. Nie traciła natomiast humoru.

– I to jest to, co chciałem ci pokazać, patrz i zapamiętaj! – powiedziałem cicho do stojącej obok Niny.

– A może ona wtedy udawała? Może to jest jej normalne zachowanie? – Zamyśliła się.

– Nie sądzę, a jeśli nawet tak jest, to upłynie wiele wody w Wiśle, zanim w to uwierzę. Ona mnie tępiła, chciała mnie wyrzucić z tego mieszkania. I to wcale nie tak dawno. A teraz co? Zmiana?

– Może miała objawienie Maryjne lub jakieś inne i jest już inną osobą? – Upiła łyk sangrii z owocami.

– Na pewno, a zaraz nam zaprezentuje stygmaty z pisemnym certyfikatem autentyczności wydanym przez Watykan.

– I Konferencję Episkopatu Polski! Jak dzidy pragnę!

Zaświadczenia nie pokazała, ale sytuacja rozwijała się w sposób, którego nie przewidziała sam Dan Brown. Marta postanowiła zaprezentować swój talent taneczny i wokalny, a konkretnie znajomość flamenco. Na początku delikatnie podśpiewywała, ale po chwili zaczęła wybijać rytm obcasami. Wiktora zalała krew, podłoga była chyba najkosztowniejszą rzeczą w tym mieszkaniu. Potem dołączyła charakterystyczne dla tego tańca pozy i ruchy rąk. Próbowwała wywijać sukienką, ale ta była zbyt obcisła. Wachlarza nie miała. To chyba świadczyło o tym, że było to spontaniczne zachowanie. Na twarzy Wiktora malowało się coraz większe zażenowanie. Mimo że wokół byli sami swoi, sytuacja nie należała do przyjemnych. Marta tańczyła, on płonął ze wstydu. Podszedłem, złapałem go mocno za rękę.

– Kończ to. Teraz – szepnąłem.

– Ale jak?

– Po prostu przerwij i odprowadź ją do pokoju.

– Dzięki, mamó, za pyszną kolację i za pokaz, ale chyba już czas odpocząć.

Ruszył w jej stronę.

– Nie jestem zmęczona, bawmy się. – Nic sobie nie

zrobiła z interwencji syna.

– Jesteś. I my jesteśmy, ja szczególnie.

– To idź spać, my jeszcze posiedzimy. Mamy sangrię?

– rzuciła pytanie w przestrzeń.

– My też już jesteśmy zmęczeni, a gospodarze rano wstają. Więc czas kończyć wieczór – próbował pomóc Maciek.

– Wy młodzi nie umiecie się bawić. Maciek, odprowadzisz mnie? Skoro to już koniec przyjęcia?

Wziął ją pod rękę i poszli. Wiktor chciał się zapaść pod ziemię. Nie uczestniczył w rozmowie, która średnio się kleiła, a Maciek nie wracał przez dobrych dwadzieścia minut. Maja i Nina, która miała się z nimi zabrać, zaczęły się niecierpliwić. Obydwie musiały rano wstać. Maja do pracy, a Nina na pierwszy dzień w radiu. Kamień spadł mi z serca, gdy Maciek wreszcie wszedł do pokoju.

– To co, spadamy? – zwrócił się do dziewczyn.

– Uciekamy. Pa, kochani. Bawcie się cudownie. – Maja nas wyciąłowała.

– I kartkę wyślijcie z jakimś ładnym widoczkiem – dodała Nina.

– A jak wrócicie, to zapraszamy do nas na oglądanie zdjęć. Przy okazji musimy o czymś pogadać. Trzymajcie się. – Maciek podał rękę każdemu z nas.

Zostaliśmy sami, Wiktor wypuścił powietrze z płuc. Wyglądał fatalnie. Zachowanie Marty, która zawsze uchodziła za damę, było dla niego nie lada szokiem.

Nigdy nie wspominał, że jego matka ma problemy z alkoholem, a nie sądzę, żeby to ukrywał w obliczu opowieści z mojego domu, gdzie problem z piciem był i pewnie jest.

– Nic nie mów. Nic – ubiegłem go. – Idziemy spać. Koniec tematu.

Rano nie było czasu, by porozmawiać. Samolot odlatywał o dwunastej, więc najpóźniej o dziesiątej mieliśmy być na lotnisku, a to wiązało się z pobudką o ósmej. Ja byłem podniecony lotem, Wiktor raczej milczał, a Marta miała kaca i pod pretekstem migreny została w domu. Musiała się doprowadzić do porządku, bo po południu odbierała krewnych z Majorki. Pożegnała nas czule, to już ósmy dzień jej dobroci, i taksówką pojechaliśmy na lotnisko. Dość sprawnie się odprawiliśmy i postanowiliśmy przejść się po sklepach strefy bezcłowej. W tamtym roku kupiłem tu perfumy w rozsądnej cenie. Polacy rzucali się zwykle na alkohol. Lot przebiegał bez emocji, ja patrzyłem przez okno, a Wiktor – swoim zwyczajem – zasnął. Po lądowaniu wyraźnie poprawił mu się humor. Z wiadomych względów miał ogromny sentyment do tego kraju. Świetnie mówił po hiszpańsku. Brzmiał nieprawdopodobnie seksownie. Nie był tu gościem, przyleciał do siebie. Jego wujostwo czekało na nas w hali przylotów madryckiego lotniska. Wyglądali dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem Hiszpanów po

pięćdziesiątce. Javier, brat ojca Wiktora, i jego żona Antonia byli weseli, uśmiechnięci i bezproblemowi. Wyczałowali każdego z nas. Dobrze, że mówili po angielsku. Cała rodzina ze strony ojca była wysoko postawiona. Javier od lat był posłem Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, a Antonia znaną recenzentką kulinarną. Mieli klasę i poczucie humoru. Nie mieli natomiast problemu ze mną i Wiktorem jako parą. Żałowali, że mamy dla siebie tak mało czasu. Oni musieli pędzić na lot do Warszawy, my do Palmy. Wręczyli nam klucze do domu i do samochodu, który zostawili na lotniskowym parkingu.

Po półtorej godzinie pod nami ukazała się Majorka. Przy podejściu do lądowania moją uwagę zwróciły małe wiatraki na polach. Wiktor wyjaśnił, że to stare studnie, dzięki którym nawadniano ziemię. Serce biło mi coraz mocniej. Widziałem niebieską wodę, żółty piasek i porty. To był raj! Bezsprzecznie mógłbym tu żyć. Upał rekompensowałyby mi Morze Śródziemne.

Zgodnie z zapowiedzią samochód czekał na parkingu. Musieliśmy jeszcze tylko dotrzeć do Pollensy – miasteczka na drugim końcu wyspy. Mieszka tam jeszcze mniej ludzi niż w moim rodzinnym mieście, około piętnastu tysięcy, oczywiście nie licząc turystów. Majorka nie jest dużą wyspą, powierzchnię ma niewiele większą od Warszawy. Dużo tu gór. Pędziliśmy przez miasta i miasteczka, Wiktor opowiadał, co zobaczymy. Dwa dni mieliśmy spędzić w Pollensie. Dom krewnych

stał w pobliżu portu. Miał piaskowy kolor – jak większość domów tutaj. Był spory, jednopiętrowy. W ogrodzie dostrzegłem nieduży basen. Wiktor zaproponował wyjście na plażę. Zabraliśmy przygotowany przez Antonię kosz piknikowy i poszliśmy. A gdy zobaczyłem Cala Formentor – bo tak się nazywa ta niezbyt szeroka, ale długa i skryta między górami plaża – nie mogłem wyjść z podziwu. Woda gorąca jak zupa, delikatny wiaterek. Sceneria jak z bajki. Wpadłem w histerię radości. Morze, piasek i słońce. Nic więcej nie było mi potrzebne do szczęścia. Z wody wyszedłem dopiero po dwóch godzinach. Z plecaka dobiegał dźwięk komórki. Mama. Zapomniałem ją uprzedzić o wyjeździe. Musiałem odebrać, przecież nie będę odrzucał połączeń przez dwa tygodnie.

– Hej, mamó, co tam? – zapytałem.

– Od wczoraj siedzę w domu. Wszystko wysprzątałam, nie wiem, co ze sobą zrobić – powiedziała smutno.

Słysząc było, że oczekuje dłuższej rozmowy. Ale nie wie, że dzwoni za granicę. Rachunek ją wykończy.

– Może po prostu odpocznij parę dni? Cały czas musisz coś robić?

– Całe życie coś robiłam, a teraz siedzę jak kołek...
A gdzie ty jesteś, synu? Nad wodą?

– To znaczy? – Nie miałem pojęcia, skąd o tym wie.

– Słyszę szum wody.

– A! Tak. Tak. Jestem nad wodą. – Jeszcze tego

brakuje, żeby zapytała nad jaką.

– A pogodę masz ładną?

– Bardzo ładną, mam, świeci słońce. Sporo ludzi.

– Tylko się nie kąp, ta Wisła jest taka brudna, że już podobno życie w niej wyginęło – ostrzegła.

– Dzięki, mam. – Roześmiałem się. – Dziękuję za troskę. Muszę kończyć, nie jestem tu sam. Zdzwonimy się. A ty się nie martw. Odpocznij parę dni.

– Jutro wyślę ci pieniądze, ale potem jeszcze tylko we wrześniu.

– Dziękuję, mamusiu, ale nie musisz wysyłać, jeśli nie masz.

– Jeszcze mam, dopóki mam, to wyślę. Ale myśl coś, bo od października będzie kłopot. Wiesz, jak jest z ojcem...

– Wiem, poradzę sobie. A ty na pewno już w październiku będziesz pracować i problem się rozwiąże.

Skończyłem rozmowę, której Wiktor wysłuchał w całości.

– Zazdroszczę ci – wyznał.

– Czego?

– Normalnej matki.

– Ech... matki...

– Z moją jest coś nie tak.

– Nie musisz... – zacząłem.

– Właśnie że muszę. Muszę z kimś o tym porozmawiać, bo mi głowa eksploduje. Widziałeś ją

wczoraj?

– Trudno było nie widzieć.

– Właśnie. – Popatrzył przed siebie. – Nie wiem, co w nią wstąpiło. Od momentu wprowadzenia się do nas zachowuje się dziwnie. Ten przypływ sympatii do ciebie. Cieszę się, że jej się tak odmieniło i zobaczyła w tobie to samo co ja. Ale tak z dnia na dzień? A potem ten występ, pozał się Boże, artystyczny.

– To było po alkoholu, może w przypływie dobrego humoru. Czasem różne rzeczy robi się po alkoholu.

– Ona jest przed sześćdziesiątką. Nie może reagować na alkohol jak nastolatka.

– A do tej pory jak reagowała?

– Normalnie, ale tak naprawdę ona nie pije. Nie pamiętam jej pijanej. Wczoraj był pierwszy raz.

– Grunt, że nie rozrabiała. Upiła się na wesoło. Nie martw się, nie teraz. Cieszymy się tą chwilą.

– Muszę z nią o tym porozmawiać. Nie mogę tego tak zostawić.

– Rozmowa na pewno nie zaszkodzi. Tylko delikatnie. Bo jej pewnie też jest głupio.

– Mnie by było. Dość smęcenia. Jesteśmy na wakacjach.

Po chwili byliśmy już w wodzie. Wieczorem poszliśmy na spacer po mieście. Centralnym punktem był kościół Nostra Senyora dels Àngels pochodzący z XVII wieku i zbudowany przez templariuszy, wokół którego rozchodziły się wąskie uliczki. W ciągu dnia na

głównym placu odbywał się targ, na którym można było kupić dosłownie wszystko. Z zachwytem patrzyłem na niskie domki, barwne okiennice, ozdobne kołatki na drzwiach, kwiaty na balkonach. Miasto leży na zboczu góry Calvary, na której szczyt wiedzie trzysta sześćdziesiąt pięć schodów. Znajduje się tam piękna kaplica. Widok z góry jest oszałamiający. Podczas spaceru fotografowaliśmy się na każdym kroku. W ciągu pierwszego dnia Wiktor zrobił trzysta zdjęć. Po powrocie do domu przejrzelśmy je i wybraliśmy najlepsze ujęcia. Po czym padliśmy i zasnęliśmy na tarasie. Po śniadaniu ruszyliśmy na Formentor. Na szczyt tego wyłaniającego się z wody górskiego masywu prowadzi kręta serpentyzna wąskich i stromych uliczek podzielonych kolejnymi punktami widokowymi. Ale najpiękniejsza panorama roztacza się oczywiście ze szczytu. Trzysta osiemdziesiąt cztery metry nad poziomem morza. Tu można nabrać respektu do siły przyrody. Gdyby zawiął mocniejszy wiatr, roztrzaskalibyśmy się o gigantyczne klify, a jeśli to udałooby się przeżyć, czekałaby nas śmierć w wodzie. Spędziliśmy tam pół dnia, zjedliśmy przywieziony przez siebie obiad i podziwialiśmy naturę. Wieczorem siedzieliśmy na pobliskiej plaży i piliśmy sangrię. Ta hiszpańska smakowała cudownie. Zwłaszcza że w wysokiej szklance poza winem były przeróżne owoce cytrusowe. Głównie pomarańcze, cytryny, grejpfruty. Podjadaliśmy tapas – małe przekąski serwowane do

napojów. Kolejne dni były jak ze snu. Z miasta do miasta, z plaży na plażę. San Vicente, Alcudia, Soller, Valldemossa, gdzie mieszkali Chopin i George Sand. I tak nadszedł 9 sierpnia, trzydzieste pierwsze urodziny Wiktora. Udałem, że o nich nie pamiętam. Ten dzień przeznaczaliśmy na zwiedzanie Palmy. Zobaczyliśmy letni pałac króla Hiszpanii i stojącą naprzeciwko olbrzymią katedrę św. Marii, której budowa trwała ponad trzysta pięćdziesiąt lat. Potem pognaliśmy na drugi koniec miasta do muzeum Joana Miró, katalońskiego artysty, malarza i rzeźbiarza.

– Wiesz co, Wiktor? – odezwałem się podczas oglądania prac artysty. – To wszystko wygląda jak stworzone przez dzieci. Duże okrągłe oczy, kwadratowe ciała, barwne plamy.

– Taki styl miał Miró – odpowiedział zdawkowo.

Widać było, że jest zawiedziony brakiem prezentu urodzinowego.

– Zobacz – wskazałem wiszący na ścianie portret Miró – wcale nie wyglądał jak artysta. W młodości raczej jak bankier, a potem taki miły starszy pan z poukładanym życiem. Uczesany, normalnie ubrany. W życiu bym nie powiedział, że malował.

– Był też punktualny, słowny i nie zapominał o ważnych datach. – Kolejny przytyk związany z urodzinami.

– Chwali mu się! – udałem, że nie rozumiem, o co chodzi.

Późne popołudnie i wieczór spędziliśmy tradycyjnie na plaży. Taką mieliśmy zasadę, najpierw zwiedzanie, potem lenistwo nad morzem. Zaplanowałem, że wieczorem pójdziemy na imprezę i tam udowodnię Wiktorowi, że nie zapomniałem o jego dniu. Nie musieliśmy iść daleko, dziś impreza odbywała się na plaży i na ulicy obok niej. Ludzie zaczęli tańczyć. Minęła dwudziesta trzecia i doszedłem do wniosku, że mój facet i tak wykazał się nie lada cierpliwością. Pod pretekstem wyjścia za potrzebą podszedłem do DJ-a. Okazało się, że po angielsku mówi mniej więcej tak jak ja po hiszpańsku. Na migi, za pomocą słownika w komórce i przy udziale osób trzecich udało się nam dogadać. Podałem mu płytę, którą przywiozłem z Polski. Nagrałem na nią *Czarnego Alibabę*. DJ zgodził się ją odtworzyć i publicznie złożyć życzenia Wiktorowi. Zadowolony z siebie wróciłem na miejsce, usiadłem na leżaku i czekałem.

– Co tak długo? – zapytał Wiktor.

– Kolejka była.

– Jak ci minął dzisiejszy dzień? – drążył.

– Sympatycznie, a tobie?

– Ja czuję jakiś niedosyt.

– Za mało zobaczyliśmy? – zapytałem ze zdziwioną miną.

– Ja chyba za mało zobaczyłem, za mało usłyszałem – powiedział.

Widziałem, że w ciągu dnia odbierał telefony i SMS-

y z życzeniami.

– Jeszcze kilka dni przed nami, zobaczysz wiele nowych miejsc – udawałem głupiego.

Minęło piętnaście minut, *Czarnego Alibaby* ani widu, ani słychu, a Wiktor coraz bardziej wściekły. Za dziesięć dwunasta, za moment będzie po ptakach. Wyjdzie na to, że zapomniałem o urodzinach. Chciałem spasować, już zbierałem się do posypania głowy popiołem, aby zdążyć przed północą, gdy DJ wreszcie sobie o mnie przypomniał. Wywołał Wiktora po imieniu, zaczął mu po hiszpańsku składać życzenia. Mina mojego faceta była bezcenna. Szok wymieszany z niedowierzaniem. Wiktor nie lubił być w centrum uwagi. Teraz musiał. W dodatku kelnerka przyniosła mu mały tort, wielkości spodka od filiżanki, z zapaloną świeczką. Ludzie skandowali jego imię, podchodzili, poklepywali go po plecach. Z niektórymi krótko rozmawiał. *¡Feliz cumpleaños!*, powtarzali. To najkrótsze hiszpańskie życzenia urodzinowe. W tle leciał Zaucha, który przypadł do gustu hiszpańskim imprezowiczom. Ustawiłem się na końcu kolejki, która w pewnym momencie przestała się poruszać. Zobaczyłem, że z Wiktorem rozmawia jakiś facet, ale nie anonimowy, nie z tłumu. Niewątpliwie się znali. Zwracał się do niego po imieniu i raz po raz rzucał mu się na szyję.

26. Z przeszłości

Mój facet jest prawie stąd, spędził tu niejedno lato. To niedziwne, że spotkał znajomego. Tylko czemu witają się tak wylewnie? Musiałem to sprawdzić. Podszedłem do nich. Hiszpan był mniej więcej w wieku Wiktora. Może odrobinę starszy. Nie za wysoki, raczej szczupły. Z wąsikami i bródką. Miał na sobie jasne szorty do kolan, japonki i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Na szyi jakieś ozdoby na rzemykach. W oczach Wiktora dostrzegłem szaleństwo połączone z radosnym zdziwieniem. Stałem koło nich przez kilka sekund niezauważony, jak duch.

– O, przepraszam, kotku, to jest Pedro – odezwał się wreszcie Wiktor. – Mój – zawahał się – ktoś z przeszłości.

– Cześć, Pedro – przedstawiłem się po angielsku.

Odpowiedział coś po hiszpańsku.

– On nie mówi po angielsku? – zapytałem cicho Wiktora.

– Mówi.

– To czemu odpowiada mi po hiszpańsku?

– Nie mam pojęcia – stwierdził i poprosił kolegę, żebyśmy jednak rozmawiali po angielsku.

W przeciwnym razie ktoś będzie wykluczony z rozmowy.

Pedro nie dawał za wygraną, trzymał się swojego języka i zupełnie mnie lekceważył. Podobno powiedział, że już dawno nie używał angielskiego i sporo zapomniał. Oni rozmawiali w najlepsze, a ja czułem się jak nieproszony gość. Raz na pół godziny Wiktor streszczał mi, o czym mówili, ale nie poprawiało mi to nastroju. Powiedziałem, że idę po drinki. Położyłem się na leżaku tuż przy morzu i zastanawiałem się, kiedy mój facet zorientuje się, że mnie nie ma. Miałem ich cały czas na oku. Bawili się przednio. Nawet zaczęli tańczyć. Wiktor miał nie pić, bo przecież przyjechaliśmy tu samochodem. Zamierzaliśmy dziś wracać. W tej sytuacji było jasne, że nie wrócimy. Gdzie będziemy spać? U Pedra? Po moim trupie. Poczuję się wykluczony. Okryłem się kocem, który mieliśmy ze sobą, i zasnąłem. Wściekły i bezradny.

Gdy otworzyłem oczy, było już jasno, słońce wychodziło zza gór i odbijało się w wodzie. Rozejrzałem się wokół siebie, nie dostrzegłem nikogo oprócz kilkorga śpiących pod palmami imprezowiczów. A pod moim leżakiem, jak pies przy łóżku, leżał zwinięty w kłębek Wiktor. Wstałem z impetem, bez ceregieli podniosłem do góry leżak i odrzuciłem na bok. Wiktor się obudził i spojrzał na mnie skacowanymi oczami. We włosach i na twarzy miał kamyki, muszelki i ziarenka piasku. Doczołgał się do mnie i chciał

położyć się obok.

– Zajęte – warknąłem. – Może Pedro ci udostępni swój leżak, a może nie tylko leżak – dorzuciłem.

– No posuń się.

– Sam się posuń, z Pedrem najlepiej. I daj mi spokój, dobra?

– Bardzo się gniewasz?

– Wcale się nie gniewam. Zostałem koncertowo olany, ale się nie gniewam. Bo o co? O to, że masz mnie w dupie? O to, że tak dobrze się bawiłeś i nie zauważyłeś, że mnie nie ma? Czy o to, że wolałeś świętować urodziny z Pedrem? A może o to, że spędziłem noc sam na plaży? To są powody do gniewania się? Ty byś się pogniewał? Nie bądźmy małostkowi!

– Przecież widziałem, gdzie poszedłeś, i miałem cię cały czas na oku.

– Super, ale teraz daj mi dalej spać. Dochodzi piąta. Ja będę spał, a ty idź szukaj Pedra. Może pozwoli ci się u siebie umyć, bo wyglądasz jak kloszard.

Próbowałem coś jeszcze mówić, ale nie słuchałem. Nie podejrzewałem Wiktora o zdradę. Ufałem mu, a on nigdy tego zaufania nie nadszarpnął. Ale wczoraj zupełnie mnie olał. To bolało. Miało być cudownie, a tymczasem leżymy na plaży jak menele. Brudni, śmierdzący i trochę już głodni. Po ósmej wstałem i wszedłem do wody, żeby choć trochę się opłukać. Podszedł do mnie Wiktor.

- Wracamy do Pollensy? – zaproponował.
- Nie wiem, czy już możesz prowadzić – odpowiedziałem.
- A czemu miałbym nie móc?
- Moim zdaniem jesteś jeszcze pijany.
- Już chyba nie – powiedział, ale mało przekonująco.
- Jeśli mam z tobą wracać, „chyba” mi nie wystarczy.
- To co mam zrobić? – zapytał zaskoczony.
- Test na zawartość alkoholu.
- Nie mam tutaj alkomatu.
- To masz problem. Bo ja z tobą nie pojadę, dopóki nie będę pewien, że możesz prowadzić. Znajdź radiowóz i powiedz, że chcesz dmuchnąć w balonik. Chyba że alkomat ma Pedro. I łaskawie ci go użyczy.
- Coś ty się go tak uczeplił?
- Nie, nie, kochany. To ty się go uczepliłeś i trzymałeś całą noc. Nie wiem, jak bardzo się trzymaliście i za co. Spałem.
- Rzuciłem kamieniem w wodę, byłem zły.
- A jak ja się miałem z nim trzymać?
- Nie wnikiem. Nawet nie wiem, kto to jest. Jakoś nie zależało ci, żebyś się dowiedział. Ty się mnie wstydzisz? – Spojrzałem na niego.
- Czy ciebie już do reszty pogięło? – obruszył się.
- Nie, Wiktor, mnie nie pogięło. Ani do reszty, ani trochę. Nie zrobiłeś wczoraj zupełnie nic, żeby wkręcić mnie do rozmowy. Odpuściłeś angielski. Odzywałeś się do mnie raz na pół godziny. I to tak na odczepnego.

Dostałem czytelny komunikat: spadaj, nie jesteś potrzebny. Mogłem się nawet utopić w tej wodzie, a ty byś nie zauważył. Taki byłeś zaaferowany Pedrem. Ty naprawdę nie widzisz w tym nic złego?

– Nie wiedziałem, że tak cię to zabolii...

– A co? Myślałeś, że poszedłem sobie, bo byłem zmęczony? W twoje urodziny? Tak nagle mi siły odebrało?

– Tak właśnie pomyślałem.

– To się pomyliłeś! Czułem się zbędny. I jeśli nie widzisz w tej sytuacji nic niestosownego, ta rozmowa nie ma sensu.

– Przepraszam – powiedział po przedłużającej się chwili ciszy. – Już nigdy nie zostawię cię samego. A już na pewno nie w obcym kraju – próbował żartować.

W końcu dowiedziałem się, kim jest tajemniczy Pedro, zwany od dziś Don Pedro. To były, a może raczej niedoszły Wiktor. Znali się i spotykali ponad dziesięć lat temu. Obaj mieszkali w Madrycie, a wszystko działało się tuż przed karną wyprawą Wiktor do Polski. To właśnie z Pedrem i grupą znajomych mój facet eksperymentował z narkotykami. Ich znajomość brutalnie i bezceremonialnie przerwała Marta. Gdy sytuacja stała się krytyczna, wykorzystwała przywiązanie syna do rodziny i zwabiła w przygotowaną wcześniej zasadzkę. Nie pytała go o zdanie, tylko z dnia na dzień wyprawiła do Warszawy. Wczoraj widzieli się z Pedrem

po raz pierwszy od czasu tamtych wydarzeń. Wiktor nawet nie próbował mi wmawiać, że to spotkanie nie zrobiło na nim wrażenia. Ślepy by zauważył, że był podekscytowany. Tamten drugi chyba jeszcze bardziej. Wiktor przyznał, że ze strony Pedra padła propozycja natychmiastowego odnowienia znajomości, najlepiej od etapu, w którym ją przerwali. Zagwarantował mi jednak, że natychmiast powiedział mu o naszym związku, i zapewnił mnie, że wczoraj nie wydarzyło się nic, o czym powinienem wiedzieć. Wierzyłem mu. Nie jest typem oszusta, a jeśli się z kimś wiąże, powinien mu wierzyć. Do pierwszej wpadki oczywiście, a tej – w drugiej odsłonie naszego związku – jeszcze nie zaliczył. Dobrze wiedział, czym skończyło się jego pierwsze kłamstwo. Natychmiast się spakowałem i nie chciałem go znać. Nigdy mu nie powiedziałem, jak bardzo żałowałem swojej decyzji. I nie powiem!

Na wszelki wypadek fochowałem się jeszcze do końca dnia, żeby dać mu do myślenia. Do południa szukaliśmy na ulicy patrolu policji wyposażonego w alkomat. Bez sukcesu, mógł dmuchnąć dopiero na posterunku przy pałacu króla. Funkcjonariusze przez chwilę zastanawiali się, czy jesteśmy normalni, chyba pierwszy raz w życiu przyszedł do nich facet, który chciał potwierdzić, że nie jest pijany. Gdy dowiedzieli się, że jesteśmy z Polski, pogratulowali nam *actitud de los ciudadanos*, czyli obywatelskiej postawy. Wynik 0,01 promila pozwalał na prowadzenie samochodu.

W międzyczasie zjedliśmy śniadanie w małej restauracji przy plaży, a Wiktor już do końca pobytu nie odstępował mnie na krok. Gdyby mógł, to wchodziłby za mną to toalety. Jako że lot do Madrytu mieliśmy o siódmej wieczorem, a do Warszawy przed północą, ostatni dzień aż do wczesnego popołudnia mogliśmy przeznaczyć na plażowanie. Rozłożyłem się na kocu, a Wiktor smarował mnie kremem.

– A co ty masz za plamy na plecach? – zapytał.

– Jakie plamy?

– Przypominają krostki. Tu, tu, tu, tu. – Dotykał różnych miejsc. – I na nogach też trochę. Odwróć się do mnie przodem.

– O, cholera. – Z przodu też je miałem. – Nie wiem, co to jest. Jakieś uczulenie chyba. Tylko na co?

– Słońce? Piasek? – podpowiadał.

– Chyba nie. Przecież leżę tak już dwa tygodnie. I nic się nie działo.

– Nie wiem, może woda. Lepiej się już dziś nie wystawiaj na słońce.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. – Przytargał duży żółty parasol i zainstalował go nade mną.

Zrobiliśmy jeszcze kilka zdjęć, pożegnaliśmy się z wodą i piaskiem, wzięliśmy prysznic i ruszyliśmy na lotnisko. Klucze do domu zostawiliśmy pod doniczką przy drzwiach, tak jak chcieli właściciele. Lecieli do Madrytu z Gdańska, więc nie mieliśmy szansy na

spotkanie w Warszawie. Tym razem to ja zasnąłem w samolocie. Wakacje minęły błyskawicznie. Powrót do rzeczywistości wiązał się z brakiem pomysłu na kolejne półtora miesiąca. Radio się skończyło, nie miałem nagranej żadnej pracy. Warszawa przywitała nas deszczem, którego nie widziałem przez ostatnie dwa tygodnie. Dzień w dzień mieliśmy słońce. W domu nie zastaliśmy Marty, nie było też jej rzeczy. Wszystko wskazywało na to, że remont w Konstancinie dobiegł końca. Następnego dnia każdy z nas zadzwonił do swojej matki. U mnie bez większych zmian. Mama dostawała kota na bezrobociu, bratu brak zajęcia nie doskwierał, a ojciec był w domu główną figurą. Marta potwierdziła, że wróciła do siebie. Umówili się też na spotkanie.

Ja nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę Ninę. Przyszła prosto z radia, którym była zachwycona. Z opowieści wynikało, że to miłość odwzajemniona. W połowie stażu zrobili jej próby mikrofonowe, które wypadły świetnie. Logopeda i specjalista od emisji głosu zalecili konkretne ćwiczenia, które dotyczyły głównie nauki czytania. Tak, by brzmiała jak rasowa prezenterka radiowa. Zaproponowali jej też pracę! Po skończeniu stażu będzie czytać serwisy informacyjne. Co prawda nie w głównym kanale i nie w tygodniu, ale to zawsze coś! Będzie ją słyszeć w całym regionie od piątkowego do niedzielnego wieczoru. Co dwa tygodnie. Ma zacząć w połowie września. Na okoliczność jej

wizyty zastawiłem stół owocami morza, które uwielbiała. Uruchomiłem nawet rzutnik, na którym prezentowałem fotki.

– O, flaga na dachu pałacu. Znaczy, że król jest w środku – słusznie zauważyła Nina podczas oglądania zdjęć z Palmy. – To dokładnie jak w Czechach – dodała.

– Jak to w Czechach? – zebrałem całą swoją wiedzę z zakresu ustrojów politycznych. – To Czechy mają króla?

Uważałem się za niegłupiego faceta. Wydawało mi się, że wiem, kto rządzi w poszczególnych państwach, a już na pewno u naszych sąsiadów. Ale w tamtej chwili zgłupiałem. Nie dość, że nie wiem nic o królu Czech, to nigdy, przenigdy o nim nie słyszałem. A może słyszałem, tylko nie pamiętam? Natychmiast zadałem sobie pytanie, czy Słowacja również jest monarchią? Cholera. Królowa brytyjska, holenderska i duńska, król Szwecji, Norwegii, Belgii, Luksemburga, Andory, a nawet Monako, ale nie Czech i Słowacji. Nina patrzyła na mnie z dziwnym błyskiem w oku. Czyżby właśnie wyszła na jaw moja niewiedza? To kompromitacja roku, jeśli nie dekady. To brak elementarnej wiedzy o świecie.

– Kto jest królem Czech? – wyjąkałem ze wstydem.

Moja przyjaciółka schowała twarz w dłoniach. Zapadła cisza, a po chwili usłyszałem śmiech. Najpierw nieśmiały i delikatny, potem coraz głośniejszy. Nina wycierała płynące z oczu łzy wielkości ziaren grochu. Uspokoiła się po dobrych kilku minutach. Kilka razy,

gdy zaczynała zdanie, miała nawrót ataku śmiechu. W końcu się jednak udało i – za piątym, może szóstym podejściem – doczekałem się wyjaśnienia.

– Chodziło mi o Hradczany. – Tłumiła chichot.

– A co z nimi? – zapytałem zupełnie już skołowany.

– Gdy prezydent Czech tam jest, to wciągają flagę na maszt.

– No, kochana! – Też zacząłem się śmiać. – Mianuję cię od dziś Królem Czech!

– A ty będziesz moją pierwszą damą dworu!

– Mogę być! – przystałem na propozycję.

– I podbijemy Majorkę! To moja pierwsza decyzja. Od teraz Majorka należy do królestwa Czech!

– Amen! Królu, ale posil się może trochę przed tą ofensywą? Te krewetki twoja dama dworu przywiozła specjalnie dla ciebie z podległej ci wyspy. Mimo że jeszcze nie była podległa, gdy je kupowałem.

– Król jest syty. Jest po obiedzie.

– A co było na obiad? – zapytałem niby żartem.

– Znów zaczynasz? – Bezbłędnie prześwieciła moje intencje i nastrój prysł jak bańka mydlana.

– Co zaczynam?

– Nie udawaj głupiego. Co chwila się mnie dopytujesz, czy i co jadłam.

– Bo uważam, że jest duże prawdopodobieństwo, że nie jadłaś. I że nie jadasz normalnie od jakiegoś czasu. Za to biegasz jak szalona i rzygasz po kątach. I nie unoś się! Oboje wiemy, że coś jest nie tak. Możemy się

pokłócić, ale zdania nie zmienię.

– Wiesz, co ci powiem? – zaczęła.

– Co?

– Nie będziemy się kłócić, ale musisz wiedzieć jedno.

Pierwszy raz wszystko jest tak, jak powinno być.

– A jak powinno być?

– Jestem szczupła! Wreszcie jestem szczupła! Podobam się sobie i swojemu chłopakowi!

– Zawsze byłaś szczupła, a teraz zaczynasz przypominać drapak, ale skoro twój chłopak tak lubi...

A właściwie gdzie on jest?

– Na wakacjach.

– Sam?! – krzyknąłem zaskoczony.

– Przecież ja mam staż, nie mogłam jechać.

– I tak mu się podobasz, że z wrażenia pojechał sam na wakacje?! – zbulwersowałem się.

Nina miała wolny prawie cały lipiec, ale Karolkowi wyjazd w lipcu nie pasował. Moja przyjaciółka nie zauważała, że pakuje się w układ, któremu daleko do normalnego. Układ, bo związkiem nie potrafiłem tego nazwać. Ona się odchudzała, żeby on nie oglądał się za innymi. On pojechał na wakacje dokładnie wtedy, gdy ona nie mogła mu towarzyszyć. Gdy się przeprowadzała, on się uczył i nie mógł jej pomóc. Nigdy z nią nigdzie nie chodził, a wręcz odciągał ją od znajomych. A każda nasza rozmowa o nim kończyła się śpięciem. Nina twierdziła, że jej związek kwitnie. Z jednej strony to nie moja sprawa i chyba powinienem

powściągnąć komentarze, przecież jest dorosła. Ale jest też moją przyjaciółką i kto, jeśli nie ja, ma jej wytykać, że głupio robi?

Niestety kolejny raz temat Karola zepsuł atmosferę. Nina wyszła w pośpiechu i nie odzywała się przez kilka kolejnych dni. Gazeta z miasteczka poza wywiadami zamówiła u mnie recenzje nowości muzycznych. Miałem oceniać po dwie płyty do każdego numeru. Niestety nie udostępniali materiału, wystawiałem więc w sklepach z muzyką i wysłuchiwałem nowości. W kwestii doboru materiału dali mi wolną rękę. Miałem też sporo wolnego czasu. W dużej mierze wykorzystywałem go na naukę. Przecież na początku września czekał mnie egzamin. Uzbrojony w notatki i książki Niny dzień po dniu przyswajałem kolejne tajemnice historii idei. Gdzieś w okolicy Marksa i Engelsa przypomniało mi się, że miałem się spotkać z Robertem i Darią. Tradycyjnie, gdy ja miałem czas, Daria gdzieś znikwała. Zacząłem wątpić, czy zdołam zobaczyć ją w ciąży, bo mijamy się tak, jakbyśmy celowo się unikali. Z Robertem spotkałem się w parku Dreszera. Wyrwał się z pracy.

– No, ale strzaskałeś się na mahoń – zakpił z koloru mojej skóry, która po dwóch tygodniach leżenia na plaży była zaledwie muśnięta słońcem. Na szczęście zniknęła mi ta okropna wysypka.

– Tylko chłopci się palą, nam, szlachcie, chamska opalenizna po prostu nie przystoi – odpowiedziałem.

Robert był z tych, których słońce łąpało nawet w pochmurny dzień. Dokładnie tak jak Wiktor.

– O Majorce pogadamy przy najbliższej okazji, a teraz mam dwie sprawy. Tak na szybko, bo muszę zaraz wracać do roboty.

– Jakie?

– To jest dla ciebie, to znaczy dla was. – Wyjął z kieszeni marynarki kopertę. – Zaproszenie na nasz ślub.

– O, kurwa. – Tylko tyle przyszło mi do głowy.

Otworzyłem kopertę, a na zaproszeniu złotą farbą były wypisane kolejno: data ślubu – 4 września 2004 roku, nazwiska Roberta i Darii, a poniżej – mniejszymi literami – moje i Wiktora. Chyba nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żebyśmy tak oficjalnie figurowali gdzieś jako para. Ja i on. Spojrzałem na Roberta z niedowierzaniem.

– Dzięki, stary, bardzo mi miło. Bardzo nam miło, ale co na to twoja rodzina? I Darii? – zapytałem niepewnie.

– Na co?

– No na to – wskazałem palcem nasze nazwiska – że ja i Wiktor. No wiesz. Może lepiej przyjdę z Niną, żeby was nie kłopotać?

– Przyjdź, z kim chcesz. Możesz być nawet z kaktusem. Naszym rodzinom nic do tego.

– Ale przecież miało nie być ślubu? – Przypomniałem sobie naszą rozmowę.

– Zmieniliśmy zdanie. Trochę dla wygody. Razem łatwiej wziąć kredyt.

– Rozumiem. Oczywiście potwierdzam, że będziemy. A druga sprawa?

– Z drugą sprawą nie pójdzie tak gładko. Ale obiecałem, że zapytam, więc pytam. Na świadka cię nie wezmę, bo moja siorka i Darii brat będą, ale mam inną ofertę. Chcesz być chrzestnym naszego dziecka?

– O, stary, mocne! Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał – zacząłem. – Nie chodzi o to, że nie chcę być chrzestnym waszego dziecka. Kocham je.

– Poniekąd dzięki tobie będzie na świecie.

– Chodzi o to, że ja chyba wcale nie chcę być chrzestnym. To wymaga spełnienia całej listy warunków. Trzeba iść do spowiedzi i to mnie blokuje. Rozumiesz?

– Nie ma najmniejszego problemu. Czuję, że tak powiesz.

– Ale nie pogńiewacie się?

– Weź nie pierdol. Przecież znam twoje zdanie o Kościele i księżach – nawiązałem do moich przejść z Mariuszem i jego czarnymi kolegami.

Nigdy nie byłem szczególnie pozytywnie nastawiony do Kościoła. Ubiegłoroczne krakowskie przygody jeszcze bardziej zniechęciły mnie do choćby neutralnego myślenia o tej instytucji i jej działaczach. Za kuriozum uważam klęknięcie przed smutnym panem przysypiającym w kiosku i plucie mu do ucha, że

sypiałem z facetami i bardzo tego żałuję. A na koniec mam jeszcze obiecać, że więcej tego nie zrobię. W związku z tym uznałem, że więcej nie przystąpię do spowiedzi. Przypuszczalnie tak jak do żadnego innego sakramentu. Nie byłem natomiast pewien, jaki jest mój stosunek do kwestii istnienia Boga. Chyba za krótko jeszcze żyję i za mało wiem, by umieć to jednoznacznie określić. Jeśli istnieje, to OK, jeśli nie, to też w porządku. Okaże się. A w międzyczasie warto być po prostu przyzwoitym facetem. Myślę, że Bóg – jeśli jest – ma frajdę z tego, że jestem szczęśliwy. Żaden ksiądz nie ma w moich oczach tak dużego autorytetu, by wskazywać, co mi wolno, a czego nie. Jak można uznać miłość za grzeszną? Miłość z definicji jest przecież czymś najpiękniejszym na świecie. Jakoś zniosę godzinną mszę ślubną, ale nie ma mowy o sakramentach.

W domu położyłem zaproszenie na środku kuchennego stołu, a sam zniknąłem z książkami na balkonie. Byłem tak pochłonięty nauką, że nawet nie usłyszałem Wiktora wchodzącego do mieszkania. Zauważyłem go dopiero, gdy pojawił się w sypialni. W rękę trzymał zaproszenie od Roberta.

– Musimy się ładnie ubrać. Będziemy sensacją XXI wieku – zapowiedziałem.

– Większą niż panna młoda w ciąży? – Usiadł za mną i mnie objął.

– No pewnie. Dziś połowa panien młodych jest w ciąży. A pedały na weselu to atrakcja porównywalna z człowiekiem gumą albo kobietą z brodą.

– To może któryś z nas powinien założyć sukienkę? – zasugerował.

– Po co? – zdziwiłem się.

– Żeby sprostać oczekiwaniom gapiów. Przecież myślą, że u nas ktoś robi za męża, a ktoś za żonę.

– Ja na pewno nie będę żoną. Nie kręci mnie bycie transem – oznajmiłem stanowczo.

– Niech będzie, poświęcę się. Myślisz, że powinienem ogolić nogi? – zapytał.

– Koniecznie. I klatę też. Jeśli zamierzasz włożyć suknię z dekoltem. Zakręcimy ci też włosy – planowałem.

– Widziałem się dziś z mamą – zmienił temat.

– I co u niej?

– Zamierza sprzedać apartament w Madrycie.

– Czemu?

– Stwierdziła, że chce umrzeć w Polsce.

– To ona już wybiera się na tamten świat? – Spojrzałem na niego.

– Chyba jeszcze nie, ale chce na stałe wrócić do Kons-tancina.

– Niech wraca, skoro chce.

– Ale to nie koniec tej historii.

– A jaki jest koniec?

– Muszę wyjechać do Madrytu.

To krótkie zdanie zabrzmiało jak wyrok.

27. Odlot

Marta potrzebowała pomocy Wiktora przy formalnościach związanych ze sprzedażą madryckiego mieszkania. Agencja obrotu nieruchomościami już została poinformowana, więc gdy tylko znajdzie się kupiec, pojedą tam razem, by dopiąć wszystko na ostatni guzik. Obecność i zgoda Wiktora na sprzedaż jest niezbędna, bo jako spadkobierca jest właścicielem części mieszkania. Figuruje w księgach wieczystych i wszelkich innych dokumentach. Umowa między nim a Martą była taka, że ona nie wtrąca się do dysponowania lokum na Bobrowieckiej, a on podporządkuje się jej decyzjom dotyczącym apartamentu w Hiszpanii. Wizyta w Madrycie miała potrwać najwyżej kilka dni, maksymalnie tydzień. Nie podejrzewałem jednak, że sprawy potoczą się aż tak szybko. Marta poinformowała go, że lecą już za trzy dni. Należy się zatem spodziewać, że wrócą tuż przed weselem Roberta. Będzie prawie tak, że Wiktor wyjdzie z samolotu, ja z egzaminu, przebierzemy się i pojedziemy na ślub.

– Moim zdaniem zabierasz za mało rzeczy – skomentowałem jego bagaż, na który składała się

nieduża walizka z zaledwie kilkoma kompletami czystej bielizny. Nie było tam też nic cieplejszego.

– Przecież ja zaraz wracam, kochanie. – Pocałował mnie w czoło. – Nie potrzeba mi więcej ubrań.

– A jak będzie zimno, jak będzie lało? Będiesz chodził w samej koszuli? Weź jakąś lekką kurtkę. Hiszpania Hiszpanią, a pogoda pogodą.

– Ależ ty jesteś marudny, starzejesz się – zażartował.

– Nie marudny, tylko przewidujący. Bez dyskusji. – Włożyłem mu do walizki kurtkę z kapturem. – Może byś się tam rozejrzył za jakimś prezentem dla Darii i Roberta?

– Dobra, a czego im potrzeba?

– Myślę, że oni mają jedno wielkie g... Będą zadowoleni ze wszystkiego praktycznego. Obrazy i rzeźby raczej odpadają – zastrzegłem. – Chodzi o to, że stamtąd możesz przywieźć coś, czego nie ma tutaj w sklepach.

– A tobie co przywieźć, koteczku? – Zaszedł mnie od tyłu.

– Mnie wystarczy, że wrócisz na czas.

– A jak nie wrócę?

– To osobiście wydepiluję ci klatę i nogi woskiem. Będzie bolało, a skalp wywieszę na balkonie – rzuciłem i posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Gdybym miał nie wrócić, to może warto, żebyś dobrze mnie zapamiętał?

– Czyli jak?

– No nie wiem... – Udawał, że myśli. – Może jako rewelacyjnego kochanka?

– Ale ja od zawsze wiem, że jesteś rewelacyjnym kochankiem. – Odwróciłem się do niego przodem. – Masz mi do zaoferowania coś ponad to, co już znam? – Dotknąłem kolanem jego krocza.

– Sprawdźmy – zachęcił i wypiął się do przodu.

Nie czekałem na dodatkowe zaproszenie. Rzuciliśmy się na siebie, jakbyśmy chcieli się sobą nasycić na zapas, na cały wyjazd. Niestety przez kolejnych kilka dni będziemy musieli się zadowolić przytulaniem poduszek. On madryckiej, ja warszawskiej.

Marta nie chciała, żeby po nią przyjeżdżać, więc mogliśmy dłużej poleżeć. I jak zwykle w takiej sytuacji snuliśmy plany na przyszłość.

– Chcesz wrócić do radia jesienią? – zapytał, przegarniając mi włosy.

– Sam nie wiem. Gdyby mi zapłacili, to tak. Chociaż symbolicznie, nie mówię, że od razu jakieś miliony.

– A jeśli nie?

– A jeśli nie, to wolałbym odbyć staż w telewizji.

– To się dochowałem gwiazdeczki z parciem na szkło – skwitował.

– Nie gwiazdeczki, ale ciągnie mnie do telewizji.

– No wiem, wiem. Pomyślmy o tym.

– Czyli o czym?

– O załatwieniu ci praktyk w telewizji.

– Tyle że nie mogę wiecznie odrabiać pańszczyzny. Muszę zacząć zarabiać jakąś kasę. Mama mi już nic nie da.

– Utrzymam cię przecież.

– Wiem, ale nie chcę, żebyś mnie utrzymywał. Chcę się rozwijać.

– I być gwiazdą – dokończył.

– Właśnie, chcę się rozwijać i być niezależną gwiazdą. A nie wisieć facetowi na ramieniu. Nawet jeśli jest tak silne jak twoje.

– Ale ty dopiero zaczynasz trzeci rok studiów.

– Najpierw muszę skończyć drugi – przypomniałem o poprawce. – A im wcześniej zacznę pracę, tym szybciej stanę się gwiazdą. – Uśmiechnąłem się.

Bo tak naprawdę chodziło o zbudowanie sobie bazy, która pozwoli mi być w pełni dorosłym. Bez asekuracji z zewnątrz.

Na lotnisko pojechaliśmy taksówką. Marta już czekała. Wiktora przywitała pocałunkiem, mnie podała rękę. Wszystko wskazywało na to, że miesiąc dobroci dla zwierząt, czyli dla mnie, miał się ku końcowi. Ale teraz mi to wisiało, już z nami nie mieszkała. Mogła być chłodna, burzowa, gradowa czy śnieżna. Jej bagaż wyglądał okazale. Miała trzy walizy. Nawet Wiktora wygięło, gdy ustawiał je na taśmie do odprawy.

– Co ty tam masz, mamó? Armatę?

– Zabrałam wszystko, co może się przydać.

– Mamo, my tam jedziemy na kilka dni. A dużo twoich rzeczy już tam jest. Gdy będziemy wracać, zapłacimy kosmiczny nadbagaż.

– Damy sobie jakoś radę.

– Damy albo nie damy – powiedział, pokazując celnicze swój hiszpański paszport.

Zbliżyliśmy się do bramki prowadzącej do strefy bezcłowej. Marta przeszła ją pierwsza. Nawet na mnie nie spojrzała. Wiktor zwlekał, ale nie dało się tego robić w nieskończoność. Objął mnie tak, że usłyszałem bicie jego serca. Staliśmy przytuleni ze trzy minuty. Nie chciałem go puścić, jemu też się nie spieszyło. Nawet nie wiem, jak na nas reagowali ludzie. Miałem wrażenie, że skryliśmy się pod płaszczem, który oddzielił nas od reszty świata. Nie rozumiem, co mi odbiło, ale nie chciałem, żeby leciał. Ogarnął mnie smutek, ale nie mogłem robić cyrku. Przecież nie wyjeżdża pierwszy raz. A skoro wyjeżdża, to musi wrócić. Taka jest przecież kolej rzeczy.

– Czekaj na mnie – wyszeptał mi na ucho.

– A ty wracaj szybko.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. Bardzo.

Boarding jego lotu już się rozpoczął, dwa razy wzywano go przez megafon do stawienia się w samolocie. Jasne, że to słyszeliśmy, ale chcieliśmy wykorzystać każdą sekundę. Wycisnąć tę cytrynę do ostatniej kropli. Wreszcie się od siebie oderwali

i Wiktor pobiegł do bramki. Obejrzał się jeszcze kilka razy i zniknął za rogiem. Opanowałem rozkołatane serce, obróciłem się na pięcie, wsiałem do autobusu i pojechałem do domu. Do chwili startu wymienialiśmy SMS-y, a potem cisza. Patrzyłem na telefon wbrew logice. Przecież to więcej niż pewne, że w czasie lotu nie zadzwoni ani nie napisze. Chciało mi się płakać. Ostatnio czułem się tak prawie rok temu, gdy uciekałem z Krakowa. Przez ostatnich dwanaście miesięcy byłem spokojny. Wiktor ani razu nie dał mi powodu do płaczu. A wcześniej potrafiłem się rozkleić niemal na zawołanie. Ze wzruszenia, ze złości, z niemocy, lecz także z radości. Jakbym miał gdzieś włącznik uruchamiający płacz. Opanowałem łzy. Nic wielkiego się przecież nie wydarzyło. Nikt mi nie umarł, nikomu nie urwało ręki, do władzy nie doszła Samoobrona. Wszystko jest w normie, a Wiktor zaraz wróci. Ten czas powinienem wykorzystać na naukę. Przyswajanie historii idei przeplatałem oglądaniem transmisji z XXVIII Igrzysk Olimpijskich w Atenach. Medale mieli już Otylia Jędrzejczak – i to trzy, w tym jeden złoty, wioślarze Tomasz Kucharski i Robert Sycz, Mateusz Kuszniereicz, Anna Rogowska i Agata Wróbel. Umówiłem się z Niną na oglądanie Roberta Korzeniowskiego, który oczywiście wygrał. Wzrusza mnie polski hymn. Na imprezach sportowych szczególnie. Gdy go słyszę, mam ciarki na plecach. Utożsamiam się ze stojącym na podium sportowcem.

Podobne uczucia towarzyszyły mi, gdy reprezentacja Polski wychodziła na stadion w czasie otwarcia igrzysk. Z nimi wiązało się moje wielkie marzenie, którego niestety nigdy nie spełnię. Wiele dałbym za możliwość zdobycia medalu olimpijskiego. Miałem prawie dwadzieścia trzy lata i jeśli to miałoby się ziścić, właśnie powinienem być w szczycie formy. Pamiętam, że w podstawówce miałem zadatki na lekkoatletę. Świetnie biegałem. Rok po roku biłem rekordy szkoły w biegu na sześćdziesiąt metrów. Potem, w technikum, wszystko umarło. Rodzice nigdy nie przywiązywali wagi do tego, żeby rozwijać moje pasje. Gdy oznajmiłem, że chciałbym iść do liceum plastycznego w innym mieście, przyjęli to kpiącym uśmiechem. Według nich moją największą ambicją powinno być skończenie zawodówki – w najlepszym wypadku jakiegoś technikum, które da mi zawód, byle jaki, ale zawód – znalezienie sobie żony, narobienie dzieci i życie do końca moich dni od pierwszego do pierwszego w miasteczku położonym daleko od szosy, tylko teoretycznie pod samym Lublinem. Małe społeczności nie akceptują nikogo, kto wychodzi ponad standard. Dotyczy to zarówno marzeń, celów, jak i sposobu bycia, ubierania się czy orientacji. Prawie uwierzyłem, że nie mam szans wyskoczyć ponad lokalną przeciętność. Przebudziłem się chwilę przed maturą i podjąłem decyzję, że będę żył tak, jak chcę. Złożyłem dokumenty na uczelnie w miastach daleko od domu i ku

zaskoczeniu wszystkich dostałem się na studia w Warszawie. Ale jeśli nie zaliczę poprawki z historii idei, to się z nimi błyskawicznie pożegnám. Ta myśl przyświecała mi, gdy wychodziłem na egzamin. Rano rozmawiałem z Wiktorem, który dziś miał się spotkać z kupcami mieszkania. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ja zaliczę poprawkę, a on jutro wróci do Warszawy. Na wydział wpadłem spóźniony. Właściwie z marszu wszedłem do sali. Profesor Baraszkiewicz na mój widok wstał zza biurka.

– Czekałem na pana! Dzień dobry! – powitał mnie serdecznie.

– Dzień dobry, panie profesorze. A czym sobie zasłużyłem na pańskie oczekiwanie?

Podałem mu rękę, bo wcześniej on wyciągnął do mnie swoją.

– Przez całe lato byłem ciekaw, co z państwa dywanem! – zażartował, ale reszta osób będących w sali spojrzała na nas z zażenowaniem.

– Żeby być szczerzy, muszę stwierdzić, że to dywan Ni-ny... – powiedziałem ciszej.

– No właśnie, a nie ma pani Niny dziś?

– Panią Ninę odprawił pan z piątką, panie profesorze. Ale ja jestem! Postaram się ją godnie zastąpić. Chociaż do jej wiedzy zawsze będzie mi sporo brakować.

– A uczył się pan? – Wskazał mi krzesło, na którym usiadłem. Sam podszedł do biurka.

– Naturalnie. I to z notatek Niny.

– Świetna rekomendacja. A jak panu lato minęło? – zaskoczył mnie pytaniem.

Opowiedziałem o stażu, Majorce, fascynowaniu się igrzyskami i o tym, że miałem być ojcem chrzestnym, ale odmówiłem ze względów światopoglądowych. Rozmawialiśmy o ateizmie, kontaktach z Bogiem i pośrednictwie księży. O spowiedzi i o tym, że protestanci mają tylko spowiedź powszechną. W toku dyskusji wyszło, że dużo bliżej mi do protestantów niż katolików. Im dłużej trwała rozmowa, tym większe miałem wątpliwości, dokąd zmierza. Sympatyczna, ale jednak daleka od tematów, które mieliśmy na tym spotkaniu poruszać. Parę osób czekało jeszcze na korytarzu, ci w sali też nie bardzo wiedzieli, o co chodzi. Nie potrafiłem rozszyfrować intencji profesora. W pewnym momencie wziął do ręki leżący przede mną indeks i zaczął go przeglądać. Doszedł do końca, wziął do ręki pióro i coś napisał. Zamknął go i wstał. Ja też się poderwałem.

– Nie wiem, co pan wie z historii idei, ale wiem jedno... – Spojrzał na mnie przenikliwie.

– Co takiego, panie profesorze?

– Będzie pan świetnym dziennikarzem.

– Po czym pan profesor wnosi?

– Potrafi pan prowadzić interesującą rozmowę przez ponad czterdzieści minut. I to na różne tematy.

– Bardzo dziękuję, ale co z egzaminem?

– Powodzenia. Pozdrowienia dla pani Niny. – Podał

mi rękę.

– Bardzo dziękuję. Do widzenia – odpowiedziałem i wyszedłem.

Na korytarzu obstąpili mnie znajomi, którzy też czekali na poprawkę. Chcieli wiedzieć, czemu tak długo i jakie dostałem pytania. No i wreszcie, czy zaliczyłem. Sam tego nie wiedziałem, bo zabrakło mi odwagi, żeby zajrzeć do indeksu. Zmyłem się szybko, przez całą drogę do domu zastanawiałem się, co zrobię, jeśli nie zdałem. Można być świetnym dziennikarzem bez studiów. Rozmyślałem, jakie mam drogi odwołania. Przecież wcale mnie nie egzaminował. Po prostu rozmawialiśmy, a on wpisał ocenę. Jest pięćdziesiąt procent szans, że dwóję. Będę musiał pisać jakieś listy, szukać świadków? Rozstrzygnie się to w ramach uczelni? Czy trzeba będzie iść do sądu? Być może nie umiałem na piątkę, ale na trzy z dwoma na pewno. Przecież się uczyłem. Ręce zaczęły mi się pocić. Wszedłem do domu, usiadłem na podłodze w przedpokoju i otworzyłem indeks. Przerzucałem nerwowo lepiące się do siebie kartki. Zerknąłem na swoje odbicie w lustrze, a potem na stronę z wpisami. W miejscu, gdzie powinna być ocena, zobaczyłem białą samoprzylepną karteczkę z tekstem:

„Powiedzmy, że pytałem pana o reformację i rozłam w Kościele. To też historia idei”.

Podniosłem ją do góry i wydałem z siebie jęk rozkoszy. Dobry. W nawiasie 4. Cały w skowronkach

zacząłem się szykować do wyjścia na lotnisko. Jeszcze tylko jeden krótki telefon do Wiktora i będę wiedział, o której wraca. Wtedy ten dzień będzie dobry w całej rozciągłości. Po drodze jeszcze musimy odebrać z pralni jego garnitur, jutro przecież idziemy na wesele Roberta. Za pierwszym razem Wiktor nie odebrał, ale szybko oddzwonił.

– No hej, o której będziesz? Kupiłeś coś Robertowi i Darii? Pamiętasz o weselu jutro? – zasypałem go pytaniami. – Co ty jesz? – Usłyszałem mlaskanie.

28. Biały miś

Najpierw dobiegły mnie jakieś trzaski, hiszpańskie głosy, ale po chwili udało się wrócić do rozmowy. Wcześniej wyciszyłem telewizor, bo Rysio z *Klanu* ze swoją energiczną żoną byli gotowi zakrzyczeć nas niezwykle zajmującą dyskusją o sensie życia.

– Powoli, powoli. Jem obiad, pamiętam o weselu, prezent kupiłem, ale nie mogę dziś wrócić.

– Wiktor! – wrzasnąłem. – Znów wszystko na ostatnią chwilę. Zawsze mówisz, że to ja jestem nieorganizowany. A ty co? Wsiądziesz jutro z samolotu i pojedziemy prosto na wesele? A jak lot się opóźni? Jak będzie korek? Cokolwiek!

– Kochanie. Źle mnie zrozumiałeś. Nie wrócę jutro. Dopiero w przyszłym tygodniu. Musisz iść na wesele sam. Przepraszam.

– Jak to przepraszam? Co się stało? – Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę.

– Mieliśmy dziś podpisać umowę, ale kupcy powiedzieli, że chcą się zastanowić jeszcze przez weekend, i musimy czekać do poniedziałku. Bardzo cię przepraszam. Ale nie opłaca mi się dziś lecieć, żeby

w poniedziałek tu wracać.

– I sam mam jechać na wesele?!

– Weźmiesz Ninę, będzie fajnie i unikniesz skandalu.

– Bez sensu... – stwierdziłem zniesmaczony.

Trochę jeszcze pogadaliśmy, ale gdy usłyszałem, że będzie tu dopiero w przyszłym tygodniu, wszystko mi opadło. Prezent miałem donieść Darii i Robertowi po powrocie Wiktora. Na jutro kupię kwiaty. Samochód stał w garażu, dokumenty leżały na szafce. Więc z dojazdem miało nie być problemów. W tej sytuacji niezbędny był szybki telefon do Niny. Niech się jutro wbija w jakąś kieckę i jedziemy się bawić.

– Jak dzidy pragnę! Czerwony alarm! – wypaliłem.

– Pali się? – zapytała.

– Gorzej. Idziemy na wesele!

– Wiem, że idziecie. Od jakiegoś czasu wiem.

– Nie my idziemy, tylko my idziemy! – Dopiero gdy skończyłem zdanie, zorientowałem się, że jest bez sensu.

– My idziemy! Ja i ty.

– Co?! – Nie kryła zaskoczenia. – A Wiktor?

– Wiktor nie wróci na czas z Madrytu. Ma tam jakieś problemy ze sprzedażą mieszkania.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiem, ale tak jest. Jutro o dwunastej jesteś u mnie. Odstawiona weselnie i jedziemy.

– Chwila, ale ja jestem poza Warszawą.

– Czyli gdzie? Nic nie mówiłaś.

– Bo dziś wyjechałam. Kiedy ci miałam powiedzieć?

- Dobra, a gdzie jesteś?
 - W Kazimierzu Dolnym. I obawiam się, że nie mogę wrócić. Jestem z Karolem.
 - Zabrał cię do Kazimierza? – nie umiałem ukryć zaskoczenia.
 - Nie, ja go zabrałam.
 - A! Czyli norma – uspokoilem się.
 - Weź przestań. Nie mogę wrócić, sorry. Całe lato się mijaliśmy. Ten weekend jest dla niego.
 - OK, rozumiem. Chociaż nie do końca. To on cię powinien tam zabrać, nie ty jego.
 - Jest równouprawnienie. Płaci ten, kto chce.
 - To jeszcze mu się tam oświadczyć!
 - Kończę już! Bo ty ciągle o jednym – ostrzegła.
 - Dobra, trzymaj się i się nie oświadczaj. Bo nie przyjdę na ślub!
 - Nie strasz, nie strasz!
 - Pa.
- Następny adres to Matylda. Tradycyjnie odebrała błyskawicznie. A ja natychmiast przeszedłem do rzeczy.
- O nic nie pytasz, bierzesz sukienkę, szpilki i to, co jest niezbędne do namalowania sobie urody, i jak najszybciej stawiasz się w Warszawie. Najpóźniej jutro bladym świtem.
 - Wiktor nie wrócił? – rozszyfrowała przekaz bezbłędnie.
 - O nic nie pytasz! Opowiem ci, jak będziesz.

Cztery godziny później niebieski maluch Matyldy zajechał na Bobrowiecką. Z niedużego auta wyszła duża kobieta, z jeszcze większą liczbą bagaży. W foliowym pokrowcu miała co najmniej dwie sukienki. Tyle było widać. W drugiej ręce reklamówka, z której wystawało pudło. Zapewne z butami. W ilości hurtowej. Obserwowałem to wszystko przez okno. Matylda bardzo zgrabnie radziła sobie z całym tym majdanem. Niedługo potem zastukała do drzwi. W progu poinformowała mnie, że na dole czekają jeszcze dwie torby i że mam po nie pójść. Nie miałem wyjścia. Gdy zarzuciłem jedną z nich na ramię, o mało nie pękł mi kręgosłup. Druga była tak samo ciężka. Nie było szans, żebym wniósł je na górę za jednym zamachem. Miałem darmową siłownię w wersji hard.

– Ty cegły ze sobą wozisz czy kamienie? – skomentowałem i padłem na kanapę.

– Wożę to, co jest kobiecie potrzebne do życia – odparła, jakby zabieranie ze sobą atlasu z siłowni było czymś naturalnym.

– I to wszystko waży sto kilo?

– Mówiłeś tak enigmatycznie, że trudno było przewidzieć, co konkretnie będzie mi potrzebne.

– I dlatego wzięłaś wszystko, co masz?

– A miałam inne wyjście? Lepiej mi powiedz, czemu ja tu jestem i gdzie jest Wiktor? – sprytnie zmieniła temat.

– Wiktor jest w Madrycie i z tego samego powodu nie

ma go tutaj – stwierdziłem rezolutnie.

– A może mi powiesz coś, czego nie wiem?

– Czyli co?

– No czemu go tu nie ma?

– Bo musi podpisać jakieś ważne papiery, a to będzie możliwe dopiero w poniedziałek.

– Śmierdzi to...

– Co? – Pociągnąłem nosem.

Matyldzie wszystko śmierdzi. Ma węch jak wyszkolony pies. Potrafi poczuć psujące się owoce, zanim one same zorientują się, że zaczęły się psuć. Podobnie z wilgocią, pleśnią, potem i wszystkim innym, co wydaje z siebie jakąkolwiek woń.

– Ten jego wyjazd mi śmierdzi. Będzie problem – orzekła, wyjmując z torby lokówkę, suszarkę, prostownicę do włosów, piankę, lakier i mnóstwo kosmetyków.

– Będziesz najpierw kręcić włosy, a potem je prostować? Czy odwrotnie? – Uśmiechnąłem się.

– Jutro zdecyduję. A kiedy ma wrócić?

– W przyszłym tygodniu – odpowiedziałem, wkładając pasmo swoich włosów między zimne płytki urządzenia.

– To się na ciepło robi – nauczyła mnie. – Nie wróci w przyszłym tygodniu.

– Czemu ty uprawiasz takie czarnowidztwo? Czemu ma nie wrócić? Wciągnie go jakaś czarna dziura? Czy co? Pojechał, to i wróci.

– Tak. – Zrobiła kwaśną minę. – Pamiętaj, że jest tam z twoją teściówką – zasiała we mnie ziarno niepewności.
– Jemy coś?

Jak zwykle gadaliśmy do późna, ale rano nie było czasu na wylegiwanie się. Ustaliliśmy, że pojedziemy samochodem Wiktora, bo maluch, w którym same otwierają się drzwi na zakrętach, nie jest zbyt reprezentacyjny. A w związku z tym, że lexus jest jednak nieco większy, Matylda musiała poćwiczyć jazdę nim. I robiła to sumiennie przez cały ranek, ale poległa.

– Nie dam rady! – zakomunikowała. – Ten samochód jest za duży! To słoń w porównaniu z moim komarem! Jedziemy maluchem!

– Jak to nie dasz rady? Ty nie dasz? – Wcale nie kpiłem, Matylda była świetnym kierowcą.

– Nie dam. Nie umiem wyczuć tego samochodu. Porysuję go przy parkowaniu albo coś gorszego. Udekoruję malucha i jakoś damy radę.

– Skoro ma to nam uratować życie. – Tak naprawdę było mi wszystko jedno, czym pojedziemy.

Oczywiście znów się nagadała, że powinienem zrobić prawo jazdy, że dałoby mi to niezależność. Ale mnie zupełnie nie ciągnęło do prowadzenia auta. Bałem się. Na samochód mnie nie stać, a nawet jeśli mógłbym go kupić, to przestałbym sypiać ze strachu, że ktoś mi go ukradnie. Budziłbym się co chwila, żeby sprawdzić, czy nadal stoi. Niepotrzebne mi to i tyle!

Chwilę po południu byliśmy już zrobieni i gotowi do drogi. Ja w czarnym klasycznym garniturze i białej koszuli oraz różowym krawacie dobranym pod kolor prostej, ale pięknej sukienki mojej towarzyski, która z szeregu możliwości wybrała lokówkę i lekko podkręciła włosy, a na głowę włożyła różowy i bardzo efektowny kapelusz. Była damą w każdym calu. Nie było widać, że właśnie wróciła z obozu harcerskiego. Spędziła ponad miesiąc w lesie pod Ełkiem. Bez wygód, za to z komarami i innymi robalami czyhającymi na ludzkie życie. Takimi jak kleszcze. Rach-ciach i borelioza gotowa. Ale nie u Matyldy. Ona nigdy nic ze sobą nie przywlokła, a przecież na obozy jeździła od lat. Najpierw jako uczestniczka, potem organizatorka. Była chyba zahartowana, ale nie we wszystkim. Nie potrafiła długo wytrzymać bez... wizyty w toalecie. Wykluczona była więc podróż do Legionowa bez postoju na siku. Jej rekordowo mały pęcherz obrósł już legendą. Im była starsza, tym częściej musiała korzystać z toalety. Chodziła po lekarzach, próbowali nad tym zapanować, znaleźć przyczynę. Ta przypadłość nazywa się pollakuria. Często cierpią na nią kobiety w ciąży albo ludzie z zapaleniem pęcherza. W przypadku Matyldy jest efektem złych przyzwyczajeń, prawdopodobnie z dzieciństwa, gdy babcia ciągle kazała jej siadać na nocnik i robić siku. Teraz jest to koszmarne uciążliwe, ale póki co niegroźne. Musieliśmy się więc zatrzymać na stacji benzynowej w Jabłonnej. Kupiliśmy tam też

kwiaty. Potem już prosto do Legionowa.

Kościółek był nieduży. Stary, drewniany, klimatyczny. Nie wiem, czy wiekowym deskom nie zaszkodzą tony oparów lakieru do włosów unoszące się w powietrzu. Trwałe wszystkich kuzynek, ciotek i stryjenek przecież muszą być trwałe! Od tyłu nie było widać, że Daria jest panną młodą stosunkowo bliską rozwiązania, ale z welonu zrezygnowała. Zamiast niego miała na głowie kapelusz z szerokim rondem ozdobiony stokrotkami. Weszliśmy akurat na fragment kazania, w którym ksiądz mówił o powinnościach żony wobec męża. Wynikało z tego, że żona musi być posłuszna i nie może odmawiać seksu. Bo to grzech. Matylda chodziła do kościoła, ale na tego typu sugestie była mocno wyczulona. Zaczęła więc ostentacyjnie komentować. Niby szeptem, ale takim, żeby było słychać, rzucała teksty typu: „mam rodzić co rok”, „ciekawe, kto się dorzuci do wózka i pampersów”, „jak będę cały czas w ciąży, to wreszcie facet pójdzie do szczupłej”. Opanowała się dopiero podczas przysięgi. I gdy wydawało się, że zamilkła na dobre, tuż po tym, jak Robert powiedział, że chce pojąć Darię za żonę, a w kościele panowała absolutna cisza, wyrwało się jej: „To dupa w kwiatkach, przepadło!”. Spuściłem głowę i wbiłem oczy w marmurową posadzkę. Chciało mi się śmiać, ale wiedziałem, że muszę się powstrzymać. Wszyscy na nas patrzyli. I byli pewni, że Matylda to jakaś zakochana w Robercie koleżanka z przeszłości,

która przeżywa właśnie największe katusze w życiu. A jej wyznanie dotyczyło mojej miłości. Co prawda mocno już archiwalnej, ale zawsze. To ja przez całe technikum byłem w nim do szaleństwa zakochany. Szturchnąłem ją łokciem w bok i we względnej ciszy dotrwaliśmy do końca mszy. Jeszcze podczas składania życzeń panie w średnim wieku, przypuszczalnie jakieś ciotki młodych, patrzyły na Matyldę jak na tę, która zechce rozbić nowo zawarte małżeństwo. Wycelowaliśmy młodych, którzy dziękując za życzenia, poinformowali nas, że na dźwięk słów „dupa w kwiatkach” wiedzieli, kto jest obecny w kościele. Robert wyznał, że przez chwilę pomyślał, że mniejszą sensacją byłoby jednak moje pojawienie się z Wiktorem niż szczerze do bólu reakcje Matyldy. Wyglądali ładnie. Z przodu było widać, że brzuszek Darii sprytnie schowano między tiulami obszernej sukni. Robert niestety nie wziął pod uwagę moich sugestii i nie wystąpił we fraku. Gdy ja będę kiedyś brał ślub – oczywiście z Wiktorem – na pewno włożę frak. To takie eleganckie, niecodzienne. Robert wybrał bezpieczny czarny garnitur i musznik, który – jak na niego – był sporą ekstrawagancją.

Nie wiem, czemu wesela zaczynają się piosenką *Windą do nieba* zespołu 2+1. Zgoda, jest tam coś o ślubie, ale przecież o takim, którego panna młoda nie chce. Jak wół śpiewają tam: „mój piękny panie, ja go nie kocham, taka jest prawda”. Matylda powiedziała, że nie

będzie do tego tańczyć, bo to zła wróżba. Ruszyliśmy dopiero, gdy zagrali *Białego misia*. Moja towarzyszka nie piła, bo była kierowcą. Ja mogłem, ale jak zwykle nie miałem ochoty. Picie nie sprawiało mi przyjemności. Umiałem bawić się bez alkoholu, zwłaszcza z nią. Całą moją studniówkę przetańczyliśmy na jednym kieliszku wina. Chociaż wyczynialiśmy na parkiecie takie rzeczy, że mało kto chciał w to uwierzyć. Wykręciliśmy się z oczepin. W moim przypadku odpada łapanie musznika, taniec z polowaniem na krzesło, biegi z jajkiem na łyżce, karetą – nie będę udawał, że jestem lewym lub prawym koniem. Nie będę też pił wódki na czas, bo grozi to puszczaniem pawia przed wszystkimi gośćmi. Dobraliśmy się z Matyldą jak w korcu maku. Ona sika jak szalona, ja rzygam na życzenie. Skorzystałem z chwili spokoju i napisałem do Wiktora. Nie odpisał, pewnie ze względu na porę. Gdy gry i zabawy się skończyły, wróciliśmy na salę i bawiliśmy się do świtu. Pokolenie czterdzieści plus zaczęło się wykruszać, zostali młodzi. Muzyka zmieniła się z przasnej na domówkową. Kapelę zastąpiły płyty. Zmęczenie poczułem tuż przed szóstą.

– Prezent dostaniecie, gdy Wiktor wróci z Madrytu – powiedziałem, całując Darię na pożegnanie.

– A, czyli nie stchórzyliście? – zadała pytanie, które chyba chodziło jej po głowie przez całą noc.

– Żono moja! Trochę dyskrecji! – Zaśmiał się Robert.

– Nie będę się domyślała, jak mnie coś interesuje, to

pytam – odparowała.

I słusznie. Też wychodziłem z takiego założenia.

– Niiieeee! – Uśmiechnąłem się. – Miał być, ale w poniedziałek sprzedają mieszkanie w Madrycie, a bez jego podpisu to niemożliwe. Jak wróci, to do was wpadniemy.

– Albo nie wróci... – bąknęła pod nosem Matylda.

– A ta znowu swoje! Weź ty się, babo, uspokój. Spadamy! Jeszcze raz najlepszego!

– I lekkiego porodu.

To były standardowe życzenia Matyldy, życzyła tego nawet tym, którzy nie byli w ciąży. Ba! Nawet mężczyznom.

Zapakowaliśmy się do auta i ruszyliśmy do Warszawy. Ujechaliśmy pół kilometra, a Matyldzie przypomniało się, że dawno nie była w toalecie.

– Nie mogę już jechać! Zaraz się zeszczę w gacie. Musimy się zatrzymać! – krzyczała.

Taka panika to nic nowego w jej wykonaniu. Czasem zdarzało jej się nawet popuścić. Pierwszy raz zrobiła to w moim towarzystwie, gdy ze szkolną wycieczką jechaliśmy do Częstochowy. Mniej więcej w piątej klasie. Drugi raz pod Tatrami, w 1995 roku.

– Chcesz łać w krzakach?! To się zatrzymuj – powiedziałem.

– No nie, w krzakach nie. Ale zaraz popuszczę. Przysięgam, że nie dowiozę.

– Dowiesz! Tylko nóg nie zaciskaj przypadkiem!
Nie myśl o tym.

– Jak mam nie myśleć? Czuję, że tama pęka.
Zatrzymuję się, niech będą krzaki. – Zaczęła hamować.

Nagle naszym oczom ukazało się coś niezwykłego.
Środkiem drogi turlało się koło. Samochodowe. Nie
wiadomo, skąd się wzięło. Wokół pola ani żywego
ducha, zero aut. Najbliższy dom był kilkadziesiąt
metrów przed nami. A tu jedzie sobie koło.

– O, patrz, koło! – Pokazałem palcem.

– A skąd tu się wzięło koło?

29. Déjà dit

Wjechaliśmy na skraj łąki i zatrzymaliśmy się przy najbliższym drzewie, za którym można będzie się schować. Koło jechało w swoją stronę i dotoczyło się na pobliskie podwórko. W tym momencie Matylda zbladła jak prześcieradło, wydała z siebie dziwny dźwięk, gwałtownie zahamowała na środku drogi, wyskoczyła na zewnątrz i stanęła jak wryta. Wpatrywała się w przednie lewe koło. A raczej w to, co po nim zostało.

– To jest nasze koło! – wydarła się tak, że do góry poderwały się śpiące w zaroślach dzikie gęsi.

Wyskoczyłem za nią, nie blefowała. Nasze przednie koło wybrało wolność i pojechało do rolnika. Wyglądało na to, że Matyldzie odechciało się siku.

– Ten samochód ma jakiś przegład? – zapytałem.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Matka nim jeździ.

– Matylda, myśmy mogli stracić życie! Mówiłem, żeby wziąć auto Wiktora!

– To trzeba było wziąć i jechać! – odparowała.

– Ja nie mam prawa jazdy!

– A mówiłam... – rozpędzała się.

– Tak, tak. Wiem. Byłbym niezależny.

– Właśnie! Skoro jesteś pasażerem, to nie dyskutuj!

– Co my teraz zrobimy?!

– Naprawimy i jedziemy dalej! A co mamy zrobić?

– Tak! Naprawimy! A koło jest na podwórku u chłopa!

– To trzeba po nie iść... – nie widziała problemu.

– A jak tam są psy?

– Jakie psy?

– Gończe! Poharatają nam dupy i taki będzie finał! – Już to widziałem oczami wyobraźni. – A mamy jakieś narzędzia? Lewarek, klucz? – Zszedłem na ziemię, to nie był czas na fantazjowanie.

– Ja szukam narzędzi, ty idziesz po koło – zdecydowała.

– A czemu ja idę po koło? – próbowałem protestować.

– Bo ja szukam narzędzi.

Fakt, była w tym jakaś logika.

Zdjąłem marynarkę i krawat. Podwinąłem rękawy koszuli i poszedłem za kołem. Wydawało mi się, że widziałem, dokąd się potoczyło. Nie wiedziałem, czy mam wchodzić pewnie, czy się skradać. Przecież ludzie mieszkający w okolicy gotowi pomyśleć, że idę na włam. Może lepiej zapukać i otwarcie powiedzieć, co zaszło. Może przy okazji załatwię lewarek? Gdy rozważałem wszystkie za i przeciw, zobaczyłem nasze koło. Leżało tuż przed wjazdem na posesję. Nie musiałem więc wkraczać na teren prywatny. Co nie zmienia faktu, że jeśli natknę się na psa, nie będzie pytał,

co tu robię, tylko najzwyczajniej w świecie się na mnie rzuci. A taki wygłodniały po nocy doberman może rozszarpać człowieka na strzępy! Rozglądałem się uważnie. Od koła dzieliło mnie raptem kilka metrów, może dwadzieścia kroków. Podszedłem, wyciągnąłem je z pokrzyw, postawiłem pionowo, przygotowałem do przetoczenia w pobliże samochodu. Rozejrzałem się wokół i okazało się, że nie jestem tu sam. Tuż za mną stały cztery białe gęsi. Niewzruszony zacząłem pchać koło przed siebie, szło mi całkiem sprawnie. Po kilku metrach spostrzegłem, że gęsi idą za mną. Przyspieszyłem, one też. I przestały być cicho. Gęgały coraz odważniej i głośniej. Jakby chciały mnie przepędzić ze swojego terenu. Z wyciągniętymi szyjami ruszyły w moją stronę. Zaczęły mnie kąsać dziobami po nogach, rękach i w tyłek. Wszędzie tam, gdzie miały dostęp. Dość boleśnie. Miałem do wyboru albo wytrwać i dotoczyć koło do celu, albo porzucić je na środku ulicy. Kątem oka zobaczyłem, że samochód jest już podniesiony. Odpadało zatem schowanie się w środku. Biegłem z kołem i krzyczałem. Jeśli się zatrzymam, to już po mnie. Dopadną mnie i zadziobią na śmierć. To nawet gorsze niż agresywny doberman. On wykończyłby mnie szybko. Nie mogę się zatrzymać. Na pomoc ruszyła mi uzbrojona w żakiet Matylda. Podbiegła i zaczęła machać nim nad ptakami, które gęgały jeszcze głośniej, ale się zatrzymały. Po chwili zaczęły się wycofywać.

– Jak to zrobiłaś? – wydusiłem z siebie, łapiąc oddech.

– Przecież gęsi boją się wszystkiego, co lata nad ich głowami. Samolotów, bocianów, nawet wron – powiedziała to tak, jakby była to dla każdego oczywista oczywistość.

– A skąd ty to wiesz? – dopytywałem.

– Z biologii!

– To było na biologii? – Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

– Owszem, w czwartej klasie.

– A w której klasie była wymiana koła w samochodzie?

– To było na obozie harcerskim.

Dzięki harcerstwu Matylda posiadała wiele dziwacznych umiejętności. Rozpałała ogień na zawołanie, potrafiła zbudować szałas w dziesięć minut. Jak widać, nauczyli ją tam też wymieniania kół. Chociaż w naszym przypadku wystarczyło koło na nowo przykręcić. Nałożyłem je na odpowiednie bolce, a resztę pozostawiłem Matyldzie. Usiadłem na asfalcie i z podziwem patrzyłem, jak sobie radzi. Zrobiłem też parę zdjęć. Widok kobiety przykręcającej koło w sukience w kolorze pudrowego rózu był przedni. Nie miałem nawet specjalnych wyrzutów sumienia. Każdy robi to, co umie. Ja znalazłem koło, ona je przykręciła. I chyba zapomniała, po co się zatrzymała. Dojechała do domu bez przerwy na siku. Spaliśmy do wczesnego

popołudnia. Podczas obiadu wróciła do tematu wyjazdu Wiktora.

– Mam złe przecucia – powiedziała, przeżuując kawałek weselnej szarlotki. Na odchodne dostaliśmy całe pudło jedzenia.

– W związku z szarlotką? Boisz się, że do siku dojdzie kupa? – próbowałem żartować.

– W związku z Wiktorem.

– Błagam cię... O co ci chodzi?

– O to, że nie wrócił na wesele.

– Bo mu się to nie o-pł-a-ca-ło – podzieliłem na sylaby.

– Niby tak, ale wiesz co? Ten wyjazd to był pomysł jego matki.

– To była konieczność. A Marta była ostatnio naprawdę miła.

– I to mnie właśnie martwi najbardziej. Obym się myliła.

– Mylisz się. Wróci w najbliższym tygodniu.

– Moim zdaniem Wiktor zachowuje się jak gówniarz, który ignoruje twoje potrzeby.

Usłyszałem zarzuty, które już kiedyś padły. Z ust Marii, gdy jeszcze ze sobą rozmawialiśmy. Matylda powiedziała, że żyję w napompowanym balonie. Pełnym pięknych mebli, kasy, wycieczek, obiadów w restauracjach, pozornego spokoju. Niemal wprost stwierdziła, że nie ma między nami nic poza zabawą w dom, w którym realne jest tylko bzykanie. Rozpędzała

się. Głośno mówiła, że przez rok byłem do absolutnej dyspozycji Wiktora. Pod każdym względem. Poddałem się mu jak gałąź nurtowi rzeki. Powtórzyła, że nie przyjechał na wesele, chociaż wiedział, jak bardzo mi na tym zależy. Byłem gotów walczyć o dobre imię mojego chłopaka i naszego związku, chciałem się na nią rzucić i wydrapać jej oczy za to, że zmyśla. Tyle że tym razem byłem w kropce. Nieobecność Wiktora okazała się wodą na młyn Matyldy.

– Zamykam dyskusję – krzyknąłem nagle.

Tak było najbezpieczniej, a Matylda dobrze wiedziała, że jeszcze jedno słowo i nasza przyjaźń zawiśnie na włosku. Wycofała się.

– Jakoś milczysz o Wojtusi... Znów nie można o nim mówić? – Celowo chciałem wbić jej szpilę.

– Przeciwnie, złociutki, przeciwnie. Miałeś się dowiadywać. I się nie dowiadywałeś.

– A ty języka nie masz?

– A co ja będę cię zarzucać swoimi sprawami – krygowała się.

– Dobra, dowiaduję się teraz. Co z Wojtkiem? – Miałem nadzieję, że za chwilę będę mógł się czymś odgryźć.

– Jest. Ciągłe jest.

– Zapadły jakieś decyzje? Zobowiązania? – nie odpuszczałem.

– Zapadną wkrótce. – W życiu nie słyszałem z jej ust tak pewnie wypowiedzianego zdania. – Zaufaj mi,

kobieca intuicja – dorzuciła.

– Zrobił krok do przodu? Coś było? – Byłem żądny odpowiedzi.

– Jeszcze nie.

– Całowaliście się?

– Jeszcze nie...

– Czyli co robicie od tyłu miesięcy? – Byłem skonfundowany.

– Podrywamy się – wyznała.

Matylda, do czasu ponownego pojawienia się na horyzoncie Wojciecha, była w całości oddana swojemu harcerstwu. Sprawiała wrażenie, jakby było jej mężem, synem i kochankiem. Spędzała tam całe dni i, nierzadko, noce. Czasem zastanawiałem się, czy to nie jest przypadkiem zasłona dymna przed rzeczywistością, w której wciąż była sama. Nie samotna, bo zawsze otaczały ją tłumy ludzi, ale sama. W sensie emocjonalnym. Ja mam Wiktora, ona nie ma i nigdy nie miała nikogo. I nie bardzo wiem dlaczego. Jest świetną, ogarniętą i mądrą dziewczyną. Pojawienie się Wojtka dało mi nadzieję, że i ona będzie szczęśliwa. Zmroziło mnie, gdy usłyszałem, że oni się... podrywają. Od tygodni. Matylda to dziewczyna, która potrafi usmażyć naleśniki i wymienić koło w samochodzie, ale czułości drugiej osoby sama sobie nie da. A Wojtek się ewidentnie czai. Wiem, że Matylda marzy o mężu, o domu z bali, o psie i dziecku. Czeka na to. Wiem też,

że nie jest dziewczyną, która i sobie, i facetowi pozwoliłaby przejść do rzeczy na drugiej randce, ale to, o czym mi powiedziała, jest przesadą. Koleś jej nawet nie pocałował! Z tego wszystkiego nie zapytałem, czy trzymają się za ręce. Kazała mi się przyglądać mojemu związkowi. Niech spojrzy na swój, który wygląda jak z przedszkolnej grupy sześciolatków. Ani w prawo, ani w lewo. Stagnacja. Chodzą i podziwiają przyrodę. Bardzo bym chciał, żeby się doczekała takiego faceta, który da jej pełnię szczęścia. I może wtedy przestanie złorzeczyć i szukać problemów u mnie!

Pozegnaliśmy się wylewnie, ale atmosfera była mocno napięta. Sprawdziliśmy, czy koło się trzyma, i gdy oględziny wypadły pomyślnie, Matylda pojechała do miasteczka. Wcześniej przysięgła mi, że jutro zabierze tego grata na przegląd. A ja najpierw snułem się z kąta w kąt, a potem zasnąłem przed telewizorem, oglądając pierwszy w tym sezonie odcinek *Kuby Wojewódzkiego*. Zawsze śledziliśmy ten program z Wiktorem. To taki nasz mały niedzielny rytuał. Zbudził mnie dopiero chłód poranka. Zimne powietrze wpadające przez okno uświadomiło mi, że lato właśnie mija. Jesień, która pewnie była już na rogatkach miasta, miała być naszą drugą wspólną. Moją i Wiktora. Poprzednia minęła cudownie. Byliśmy na Krecie. I gdy w Polsce padały rześiste deszcze, my kąpaliśmy się w morzu i łąpczywie konsumowaliśmy nasz dopiero co reaktywowany związek. Ta jesień będzie spokojniejsza.

Wakacje mamy za sobą. Dobrze nam zrobi nudne domowe życie. Znow będziemy chodzić do kina i na spacer, prowadzić spory i światopoglądowe dyskusje. Będziemy żyć tak, jak lubimy. Przeciągałem się w łóżku pogrążony w planach, gdy zadzwonił telefon. Wiktor! Zerwałem się na równe nogi i zbiegłem na dół. Przecież ma mi powiedzieć, o której wraca. Pędząc, walnąłem się małym palcem u nogi o próg sypialni. Zawyłem z bólu, ale zdążyłem odebrać. Okazało się, że ryzykowałem życie dla mamy.

– Nic się nie odzywasz. Żyjesz czy umarłeś już z głodu? – W jej słowach poczułem prawdziwą troskę wymieszaną z wyrzutami sumienia.

– Jeszcze żyję mamuś, a ty?

– Na bezrobociu, ale żyję. – Westchnęła.

– Jak sobie radzisz?

– Dobrze sobie radzę. Sprzątam codziennie jak jakaś maniaczka porządku. Wszystko się błyszczy, pies chodzi na godzinne spacer. Wszystko robię, żeby się nie nudzić.

– Ale dbaj o siebie i się nie przepracuj.

– O czym ty mówisz, synku? W południe mam już wszystko zrobione, a potem oglądam głupoty w telewizji. Już nawet wiem, o co chodzi w *Modzie na sukces* i w *Klanie*.

– Jak wymyślą jakiś teleturniej o serialach, to dorzucę swoją profesorską wiedzę o *Dynastii* i wygramy milion!

– próbowałem żartować. –A z tą pracą naprawdę tak źle?
– zapytałem.

– No kiepsko, kiepsko. A ty jakoś tam wyżyjesz?

– Nie mam innego wyjścia, mam. Bądź spokojna.

– A może weźmiesz kredyt studencki? W telewizji mówili, że to na bardzo dogodnych warunkach dają. Oprocentowanie minimalne – przekonywała.

– Jak będzie trzeba, to pomyślimy o tym. Póki co jest dobrze.

– Pracujesz gdzieś?

– Coś tam sobie piszę – powiedziałem ogólnikowo. –
Za pieniądze.

– To dobrze. A w tym radiu nie udało się zostać na stałe?

– Nie rozmawiałem na ten temat. Dopiero co Nina skończyła swój staż. Odezwę się do nich.

– Koniecznie! Bo ja ci, synku, nie mam jak pomóc. A ojca nie chcę prosić. Wiesz, jaki on jest. Da, a potem do końca życia będzie wypominał.

Od zawsze dziwiło mnie to, że moi rodzice nie mieli wspólnych pieniędzy. On zarabiał dla siebie, ona dla siebie. Nie było też jasne, kto na co wydaje. I dziwnym trafem rachunki były pokrywane z kasy matki. Zarabiała dużo lepiej niż ojciec i z moich obserwacji wynikało, że to ona utrzymuje dom. O jego wypłacie się nie mówiło. Nigdy też nie prosiłem go o pieniądze. Zupełnie inaczej niż mój brat. Ciągnął z niego jak z bankomatu bez limitu. Początkowo nie były to jakieś oszałamiające

sumy. Bo ile potrzeba dziecku? Na lodę czy na coś słodkiego, ale z czasem pojawiły się inne wymagania. Ubrania, kosmetyki, płyty. I zawsze wszystko dostawał. Na moje potrzeby dawała mi mama. I dotychczas finansowała też studia. Najwidoczniej przyszedł moment na całkowite odcięcie pępownicy. Na szczęście nie będzie gwałtowne. Dostałem bufor w postaci Wiktora, ale tak czy inaczej to może być jedynie krótkotrwałe zabezpieczenie. Nie mogę i nie chcę wisieć na moim chłopaku. Choćby był arabskim szejkiem.

Mój szejek był chwilowo poza pałacem, a ja w oczekiwaniu na informacje o jego powrocie oddałem się porannemu przeglądowi prasy. Gazety pisały o nowym filmie Pedro Almodóvara *Złe wychowanie*. Wyświetlali go w kinach w Hiszpanii, widziałem plakaty i nawet mieliśmy na niego iść, ale w związku z moją nieznajomością języka postanowiliśmy poczekać na polską premierę. Film był już bardzo głośny. Rzadko ma się do czynienia z obrazami, w których homoseksualizm jest wątkiem przewodnim, a jeszcze rzadziej trafiają one do masowej dystrybucji w Polsce. A u Almodóvara był dodatkowo wątek księdza pedofila. Bardzo chciałem to zobaczyć. W Polsce pamiętam temat homoseksualizmu z seriali *Na dobre i na złe* i *M jak miłość*. W obu przypadkach gej był pokazany w niezbyt dobrym świetle. Wcześniej była *Filadelfia* i Banderas w roli geja! Z mniej więcej tego samego czasu

pamiętam, z jakim oburzeniem w kraju spotkał się film *Ksiądz*. Proboszcz sypia z młodziutką – i bardzo ładną – gosposią i głosi lewicujące kazania, a młody ksiądz – Greg – jest gejem. Miałem wtedy trzynaście lat i obejrzałem ten film na taśmie VHS, gdy rodziców nie było w domu. Byłem zszokowany i podniecony jednocześnie. Chyba wtedy pierwszy raz widziałem męski tyłek i pierwszy raz zwałem konia. Do dziś mam przed oczami tego młodego chłopaka – wtedy wydawał mi się w sam raz, bo od zawsze lubiłem facetów w okolicach trzydziestki – który wbija się w czarną skórę i kolarzówką z białymi rączkami jedzie do gejowskiego klubu. Podniecały mnie sceny męskiego seksu. Potem ksiądz wrócił na plebanię i rano założył koloratkę, jak gdyby nigdy nic. W Polsce film wywołał skandal. Pamiętam, jak ludzie odmawiali różaniec przed kinami, w których był wyświetlany. Także w miasteczku. Przecież ksiądz nie może być pederastą! – mówiły starsze panie w telewizji. Chętnie zobaczyłbym go jeszcze raz. Jestem ciekaw, jak odebrałbym go po latach. Przypomniałbym sobie też fabułę, bo nie sądzę, żebym pamiętał wszystko.

Z dalszych rozmyślań wyrwał mnie dźwięk telefonu. Wiktor. Zadzwonił chwilę przed trzynastą. I miałem nadzieję, że telefonuje z lotniska i że za trzy godziny wyląduje w Warszawie.

– Cześć, słońce! – odebrałem. – Mam nadzieję, że nie widziałeś tego nowego Almodóvara?

– Co? – zapytał zaskoczony.
– *Złego wychowania* – wyjaśniłem.
– A, nie. Nie widziałem.
– To kiedy idziemy? Właśnie wchodzi do kin.
O której będziesz? – Miałem małe *déjà vu*. Albo i nie.
To samo pytanie zadałem mu przed weekendem. Było to
więc *déjà dit*.

I miałem nadzieję, że tym razem odpowiedź będzie
inna niż wtedy.

30. Jeszcze dzień, najwyżej dwa

Długo przechodził do sedna, by wreszcie powiedzieć, że dziś nie mam się co go spodziewać. Szlag mnie trafił. Czułem, że lotem błyskawicy przedzieram się przez łącza satelitarne, łapię go za fraki, silnie potrząsam i żądam odpowiedzi na pytanie, co znów go tam zatrzymuje. Zamiast tego policzyłem w myślach do dziesięciu i wysłuchałem, co tym razem ma mi do powiedzenia. Wyjaśnienie było łatwe do przewidzenia, kupcy jeszcze się nie zdecydowali i potrzebują kolejnych kilku dni do namysłu. Ilu konkretnie? Nie wiadomo. Mogli się zdecydować jutro lub za tydzień, ale na wszelki wypadek lepiej czekać na miejscu i nie latać bez sensu.

– Moim zdaniem siedzenie tam w nieskończoność jest głupie. A jeśli zdecydują się za dwa tygodnie? – zapytałem.

– Dwa tygodnie to raczej na pewno nie – marnie zbił mój argument.

– Raczej?! – uniosłem się. – Wiktor! To miał być szybki wyjazd z jeszcze szybszym powrotem! A trwa już tydzień i nie wiadomo, kiedy się skończy!

– Nie denerwuj się, nie mam na to wpływu.

– Masz! Możesz wrócić i wysłać matce notarialne upoważnienie do sprzedaży nieruchomości. Albo spisać taki dokument u hiszpańskiego notariusza – zaproponowałem. – Możecie też poszukać innego kupca.

– Nie wiem, czy tak się da. Muszę sprawdzić, jak to wygląda prawnie.

– Sprawdź. Cześć. – Zakończyłem rozmowę i nie odbierałem kolejnych połączeń.

Chodziłem dookoła stołu i zastanawiałem się, co mogę zrobić. Była to jedna z tych sytuacji, na które nie miałem wpływu. Przecież nie rzucę go dlatego, że przedłużył mu się wyjazd. To absurdalne. Postanowiłem poradzić się dziewczyn. Ale do Matyldy nie zadzwonię, bo znów mnie będzie zalewać swoimi złymi przecuciami. A w tej chwili jestem w takim stanie, że mógłbym w nie uwierzyć. Nina! Powinna już wrócić z Kazimierza. Zadzwoniłem, była w drodze na Wolę. Dotarłem wcześniej, więc odstałem swoje przed blokiem. Gdy już udało nam się wejść do mieszkania, zniknęła w toalecie. Nie miałem chwilowo siły dociekać, po co tam poszła. Co ja mam za przyjaciółki? Jednej ciągle się chce lać, a druga rzyga, żeby być jeszcze chudsza. Włączyłem telewizor i padłem na kanapę. Leciła akurat *Rodzina zastępcza*, odcinek jak ulał pasował do mojej sytuacji. Pani Alutka wynajęła prywatnego detektywa, żeby sprawdził, czy pan Jędrula ją zdradza.

– Ty chyba przesadzasz – skwitowała Nina moją

opowieść. – Nie ma go raptem tydzień, a ty urządzasz histerię.

– Jeszcze nie urządzam hysterii. Tylko się niepokoję.

– Ale czym? Co on na wojnę pojechał? Jak nie będzie go miesiąc...

– Wypluj te słowa! – przerwałem jej.

– Jak nie będzie go miesiąc – powiedziała z naciskiem – to pomyślimy, jak to interpretować, ale jego nie ma tydzień! Siedem dni! Sto sześćdziesiąt osiem godzin!

– Właśnie! A miało go nie być czterdzieści osiem!

– Przestań panikować! Co ty go znasz od tygodnia?

– Od tygodnia to ja go nie widziałem!

– Przecież jesteście ze sobą! Mieszkacie razem! Zostawił cię w swoim domu. I zaręczam, że nie po to, żeby nie wrócić.

– Mam nadzieję. A jak było w Kazimierzu?

– Miło. – Przeniosła wzrok na telewizor.

– Miło? – podchwyciłem.

– Tak. Miło.

– Na romantycznym wyjeździe zakochanych było... mi-ło? – zaakcentowałem ostatnie słowo.

– Nie mogę tego znieść. – Znów spojrzała na mnie.

Chwilę ciszy spowodowaną brakiem pomysłu na kontynuowanie rozmowy wypełnił Seweryn Krajewski śpiewający, że „te wszystkie dziury miłością da się załatać”.

– Ale czego? – zebrałem się w sobie.

– On się ogląda za każdą laską! Ostentacyjnie i bezczelnie. Nie wiem, co mam jeszcze zrobić. Brakuje mi inwencji. – Wyraźnie pękła. – Loda mu robię z połykiem, spełniam zachcianki. Przebrałam się nawet za uczennicę, bo tak chciał. A głowa wciąż mu chodzi na wszystkie strony. Ogląda się nawet za grubaskami! Czy ja po to nie jem i codziennie biegam jak głupia, żeby się oglądał za grubaskami?! – Z trudem powstrzymała płacz.

– Nina – przytuliłem ją – daj sobie z nim spokój. To jest totalny bubek. Arogancki cham i prostak, który do pięt ci nie dorasta.

– Ale ja go kocham – łkała.

– Ale, kochanie, za co ty go kochasz? Za to, że ci wmówił, że jesteś gruba i nieatrakcyjna? Za to, że go holujesz za sobą? Przecież on jest jak Nikodem Dyzma. Żadnej wiedzy na żaden temat. Siedzi jak mruk i przytakuje. Ninka, ogarnij się. Póki czas. Zobacz, w jakim miejscu ty się znajdujesz, co robisz, czym się zajmujesz, jakie sukcesy odnosisz. Im więcej zdobywasz, tym grubsza dla niego jesteś – wyrzuciłem z siebie.

– Kocha się nie za zalety, a mimo wad przecież – odparła, jakby usłyszała tylko początek mojego wywodu.

– Tyle że on nie ma ani jednej zalety.

Takie miałem zdanie o chłopaku mojej przyjaciółki. I wiedziałem, że wygłaszając je, ryzykuję wszystko, co

jest między nami.

Postanowili, że będą razem, na sylwestrze u jakichś znajomych Niny. Ja z Wiktoorem byliśmy wtedy u Maćków. Między mną a Karolem nigdy nie było chemii. Pewnie dlatego we troje spotykaliśmy się stosunkowo rzadko. Świetnie liczył pieniądze. I kiedy już udało się nam gdzieś razem wyjść i przychodziło do płacenia rachunków, zawsze dorzucał się ostatni. I dokładał tylko tyle, ile brakowało do całkowitej sumy rachunku. Choć reszta dawała pieniądze z doliczonym napiwkiem. Nie śmieszyły mnie jego czerstwe żarty, przerośnięte ego i pretensje do całego świata. Najczęściej o to, że nikt nie docenia go jako prawnika. A przecież ledwo co skończył studia i dopiero w tym roku dostał się na aplikację. Nie jest prawnikiem! Jest wyłącznie absolwentem prawa! Karol myślał, że urodził się po to, żeby o niego zabiegać. W pracy, w łóżku, w życiu. Wszędzie. A Nina utwierdzała go w tym przekonaniu. Jego ulubionym zajęciem było krytykowanie innych prawników. Za każdym razem, gdy się widzieliśmy, wysłuchiwałem, jacy to oni są głupi i beznadziejni. Jedynym mądrym i czytany był on i od niego powinni się uczyć profesorowie prawa. Był przy tym oszustem. Notorycznie łamał przepisy ruchu drogowego i zakrzykiwał policjantów chcących wyciągnąć konsekwencje. Sypał jak z rękawa wymyślonymi paragrafami, powoływał się na

nieistniejące znajomości i był w tym tak wiarygodny, że unikał kary. Jasne, że nie mogę zażądać od Niny, żeby go zostawiła i zajęła się jakimś przyzwoitym, pozytywnie rokującym gościem. Na szczęście mogę próbować otwierać jej oczy. I będę to robił. Za bardzo mi na niej zależy, żeby zostawić sprawy własnemu biegowi. To, że Wiktora nie ma od tygodnia, to pikuś w porównaniu z tym, co może spotkać Ninę u boku Karolka.

Tego wieczoru u jej boku byłem ja. Co prawda bezużyteczny erotycznie, ale niestawiający durnych wymagań. Rano Nina powiedziała, że przyzwyczała się już do Karola i chce dać temu związkowi szansę. Nie wyznała tego, ale wiedziałem, że boi się być sama. Zanim pojawił się Karol, miotała się w swoim życiu osobistym. Miała też nieudaną przygodę z dziewczyną. I gdy wreszcie pojawił się on, chwyciła się go tak mocno, że nie wyobraża sobie rozluźnienia tego uścisku. Tyle że cena, jaką płaci za ten związek, jest niedopuszczalna i dalece wykracza poza kompromisy, które są nieodzowną częścią bycia z kimś.

Nina obiecała, że uważnie poobserwuje zachowanie Karola, a ja nie mogłem się doczekać powrotu Wiktora. Spałem z jego koszulką, w której ćwiczył na siłowni, i przez kolejny tydzień słuchałem zapewnień, że już wraca, że właściwie to już siedzi w samolocie, tylko coś nie pozwala mu wystartować. Nie kłóciłem się, nie krzychałem. Chociaż tylko na to miałem ochotę. Czułem

się zwodzony. Nie wiem, czy robił to specjalnie, czy wychodziło mu to przez przypadek. Zdawkowo odpowiadałem na pytania Matyldy, która na pewno zorientowała się, że coś nie gra. Przecież nasze dotychczasowe telekonferencje trwały co najmniej czterdzieści minut. A teraz wymienialiśmy podstawowe informacje i jak najszybciej kończyłem, żeby nie zdążyła się rozpędzić i powiedzieć, że coś jej się nie podoba w tym wyjeździe. Mnie też się nie podobało.

Dni stały się wyraźnie krótsze, wrzesień był deszczowy. Mało wychodziłem. Głównie do Empiku, żeby posłuchać nowych płyt do recenzji. 11 września o dziesiątej rano na antenie zadebiutowała Nina. I chociaż była to kolejna rocznica zamachów w Stanach Zjednoczonych, u nich główną informacją był Radom bez prądu i wody. Wskutek osunięcia się części ulicy pół miasta żyło jak w epoce kamienia łupanego. Brzmiała, jakby czytała wiadomości od zawsze. Ani razu się nie pomyliła. Byłem dumny, ale i odrobinę zazdrosny. Gazeta płaciła na czas, więc nie przymierałem głodem, mimo to czułem, że wędnę. Odganiałem od siebie złe przecucia związane z przedłużającym się wyjazdem Wiktora, ale wracały. Szczególnie w nocy. Zrywałem się nękany przez koszmary, w których występowała Marta. Śmiała mi się w twarz. A może znów tworzę jakieś spiskowe teorie dziejów? Może mam za dużo wolnego czasu?

Nie dawała mi spokoju jeszcze jedna sprawa. Maria.

Od kilku miesięcy nie miałem o niej ani od niej żadnych wieści. Dzwoniłem regularnie, ale bez efektu. Mama mówiła, że ją widuje od czasu do czasu na klatce schodowej, ale nie rozmawiają. Pewnie intensywnie uczy się do matury – twierdziła. Według mnie ten żalosny faszysta macza palce w jej towarzyskiej aktywności. Zamknął ją w domu i trzyma pod kluczem. Może i się uczy, ale tak zdolnej dziewczynie nie potrzeba dwudziestu czterech godzin dziennie na siedzenie w książkach. Maria była mózgiem, jak Nina. Raz przeczytała i wszystko wiedziała. Niepokoiłem się o relacje uczuciowe naszej paczki. Nina z Karolkiem, Maria z Wszechpolakiem, Matylda sama. A ja? Ja teoretycznie w dobrym związku, z którego od prawie trzech tygodni nic nie wynika. Szczęśliwy był tylko Robert. Świeżo upieczony mąż, lada chwila ojciec. Wciąż nie dałem im prezentu, przecież miałem to zrobić, gdy wróci Wiktor. Nasze codzienne rozmowy nie przynosiły odpowiedzi na pytanie, kiedy to nastąpi. Były płytkie. Ograniczały się do relacjonowania przebiegu dnia. Temat powrotu przestał się pojawiać. Pewnego dnia nie wytrzymałem.

– Wiktor, mogę nie pić miesiącami, ale nawet wielbłąd potrzebuje czasem wziąć łyk wody. Inaczej umrze. – To zdanie najdobitniej oddawało mój stan ducha. – Ty za mną nie tęsknisz?

– Oczywiście, że tęsknię, kochanie. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– To, do cholery, zrób coś z tym! – krzyknąłem. – Zrób coś z tym, bo nie wytrzymam. Przecież ta sprzedaż mieszkania jest wierutną bzdurą. To się nie trzyma kupy. Trzy tygodnie sprzedajecie mieszkanie?

– Tak twierdzi mama.

– Widziałeś tych kupców? Rozmawiałeś z nimi?

– Nie, nie było potrzeby. Mieliśmy się spotkać na podpisaniu umowy.

– To może ich poznaj? Może sprawdź, czy istnieją naprawdę, czy tylko w chorej wyobraźni twojej matki – wybuchnąłem.

– Kotku, ale mama przecież ostatnio całkowicie się zmieniła. Codziennie pyta, co u ciebie.

– Niech nie pyta! Niech wcale o mnie nie myśli! Niech mi ciebie odda. Rozumiesz?

– Masz rację – powiedział cicho. – Daj mi jeszcze dwa, trzy dni.

– Masz trzy dni, kochanie. Masz nawet miesiąc, tylko obiecaj, że wrócisz.

Obiecał, a ja płakałem całą noc. I ze smutku, i z radości. Było mi źle. Czułem, że ta rozmowa pchnęła sprawy do przodu. Trzy dni. Za trzy dni wszystko wróci do normy. Przecież nie mówiłby tego tylko po to, żeby mieć mnie z głowy. Takich deklaracji nie składa się na odczepnego, żeby zamknąć komuś usta. Poza tym Wiktor nie jest typem człowieka, który olewa innych. A szczególnie mnie. My się kochamy! Mieszkamy razem! Prowadzimy normalne życie. Nie ma chorych

jazd, podejrzeń, niedomówień. Jemy śniadania, obiady, kolacje. Kłócimy się i godzimy. To chyba wystarczający powód, żeby mieć do czego i do kogo wracać. To nie był jakiś tam przelotny romans, tylko prawdziwy związek. I co z tego, że mieliśmy inne poglądy polityczne? Wiktor nigdy nie zagłosowałby na SLD. Nazywał Kwaśniewskiego „prezydentem Auganowa”, tego ze słynnych artykułów z serii *Wakacje z agentem* w dzienniku „Życie” z 1997 roku. Rosyjskiego agenta w Polsce, z którym prezydent ponoć grywał w tenisa. Na nic zdawały się moje protesty i branie Kwaśniewskiego w obronę. Pozwał przecież „Życie” i wygrał, ale Wiktor wiedział swoje. Wywodził się z rodziny o solidarnościowych korzeniach, która w wolnej Polsce głosowała na Unię Wolności. Co z tego, że Wiktor dostawał drgawek na myśl o komediach romantycznych, które ja uwielbiałem? Co z tego, że załamywał ręce, gdy zaczynałem rozprawiać o wyższości Spice Girls nad The Rolling Stones? Chociaż tak naprawdę robiłem to złośliwie. Co z tego, że za dzieła jego matki ludzie płacili grube tysiące euro, a u mojej kupowali podsuszaną krakowską? Gdy byliśmy razem, to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. Byliśmy idealnym uzupełnieniem wzajemnych marzeń i oczekiwań. Jak *yin* i *yang*. I nie zniszczy tego jakiś pieprzony wyjazd do pieprzonego Madrytu.

Następnego dnia rano wysłałem e-mail do

Gościniaka, mojego mentora z radia. Wcześniej przestudiowałem plan trzeciego roku. Zajęcia miałem tylko w poniedziałki, środy i czwartki. Napisałem dokładnie to, co czułem. Że mam trochę czasu wolnego i chętnie wrócę do radia, najlepiej już nie jako wolontariusz. Dodałem, że oczywiście nie oczekuję zbyt wygórowanej gratyfikacji, ale na pracę za darmo nie mogę sobie pozwolić. Wysłałem wiadomość rano, a już po południu przyszła odpowiedź.

Czołem!

W newsroomie mamy komplet, ale z tego, co wiem, szukają kogoś w radiu na porankach. Konkretnie do pracy przy programie Szymona. Oczywiście za pieniądze :-] Reflektujesz?

Gość

Gość. Tak podpisywał się Gościniak pod mailami i SMS--ami. Jest dla mnie robota. Za kasę. Ale w pobliżu Szymona. Radiowego gwiazdora, który wprowadził w moje ustabilizowane życie nieco zamieszania. Czy reflektuję? Jasne, że tak. Odpisałem natychmiast i zapytałem o szczegóły. Dowiedziałem się, że miałbym dbać o zapraszanie gości i wpuszczać na antenę co ciekawsze opinie na poruszane tematy. A to wszystko za tysiąc dwieście złotych, trzy lub cztery razy w tygodniu, bez weekendów i świąt, bo wtedy nie ma poranka. Miałbym zacząć na początku października. To jak manna z nieba. Grzech nie brać. Dał mi tydzień na podjęcie decyzji. I chociaż obecność Szymona trochę mnie

hamowała, nie widziałem powodów, żeby tej pracy nie wziąć. Razem z pieniędzmi z gazety to będzie jakieś tysiąc osiemset złotych miesięcznie. W życiu nie obracałem taką kasą! Wiktor będzie ze mnie dumny. Zadzwoiłem do niego, żeby się pochwalić. Nareszcie rozmawiało nam się zupełnie inaczej. Nie było napięcia, ciężkich tematów wiszących w powietrzu jak burzowe chmury. I w końcu nastąpił przełom w kwestii jego powrotu.

– Powiedziałem matce, że jutro wyjeżdżam. Bez względu na to, czy sprzedamy to mieszkanie, czy nie. – Był wyraźnie zadowolony.

– I co ona na to? – zapytałem zaniepokojony.

– Przyjęła – oświadczył.

– Bez protestów?

– Bez.

– A sprzedacie to mieszkanie?

– Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Jutro mnie już tu nie będzie. Ma przycisnąć tych kupców. Jeśli tego nie zrobi, to jej strata. Nie będę tu siedział beczynn timer.

– Strasznie się bałem, że tobie ta sytuacja zaczęła odpowiadać. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jednak nie.

– Nie żartuj, kochanie. Ja tu przecież nic nie robię. Siedzę i kwitnę. Ty w Warszawie. Urlop mi leci. Wszystko stoi na głowie. Jestem już spakowany.

Z tego wszystkiego nie powiedziałem mu o radiu. Miałem trzy dni na doprowadzenie mieszkania do

porządku. Zero opakowań po chipsach pod kanapą, zero rozgniecionych paluszków, zero starego mleka i spleśniałych warzyw w lodówce. Z chlebaka zniknęły czerstwe pączki. Podlałem też wszystkie kwiaty na tarasie. Poszedłem do fryzjera. Przesadą byłoby stwierdzenie, że zrobiłem to dla Wiktora, bo umówiłem się już wcześniej, ale i jemu pewnie będzie miło, gdy zobaczy mnie opielonego, a nie porośniętego chwastami. Pani Agnieszka, która bezpiecznie przeprowadziła Ninę przez krainę blondu, stała się też moją fryzjerką. Byłem na bieżąco z jej życiem, z kochankami, dziećmi, byłem mężem. Z wizyty na wizytę utwierdzałem się w przekonaniu, że szuka miłości. Te wszystkie randki, kolacje, wyjazdy, imprezy, seks były obliczone na znalezienie odpowiedniego faceta, który by się o nią zatroszczył. Ja nie wprowadzałem jej w szczegóły życia z Wiktorem. Chyba nie była mi wystarczająco bliska albo może – z wrodzonej przekory – nie chciałem wpisywać się w stereotyp, że to klient urządza sobie kozetkę z fotela fryzjerskiego. W naszej relacji było odwrotnie. Pani Agnieszka mówiła, a ja słuchałem i doradzałem.

– Mówi, że mu się w małżeństwie nie układa – relacjonowała randkę z jednym z prezenterów sportu w telewizji. Poznała go w internecie i nie wiedziała, że on to on.

– I że są już właściwie w trakcie rozwodu? Tak też mówił? – dopytałem, podnosząc głowę znad umywalki.

- Mówił.
- Pani Agnieszko, przecież koleś nie ma nawet fantazji!
- Czyli?
- Czyli wciska pani najstarszy kit świata. Złamas Roku w kategorii „Brak fantazji”! Do odstrzału z nim. Tylko przy uszach tak nie za krótko, proszę – dodałem.
- Co pan z tymi uszami?
- Odstające są.
- Troszkę są, ale to nawet seksi – pocieszała mnie.
- Nie dla mnie. To trauma. Od dzieciństwa.
- Można to zoperować. – Nachyliła mi się nad uchem i wyszeptała: – Widzi pan tę blondynkę na recepcji?
- Widzę.
- Zoperowała sobie uszy. Mogę na następny raz dyskretnie zapytać, gdzie robiła i za ile.
- Naprawdę? – Odwróciłem się z fotelem. – Mogłaby pani?
- Pewnie. – Przekręciła mnie ponownie przodem do lustra.
- W życiu bym nie powiedział, że są zrobione.
- Już bez przesady, widać, że usta też. W dodatku kiepska robota. Wygląda jak ponton.
- Ciekawe, czy się na wodzie unosi? – Zrobiłem zatroskaną minę, a potem oboje się roześmialiśmy.
- Gdy wychodziłem, jeszcze raz uczuliłem, że powinna odprawić gościa od sportu, i przypomniałem, żeby wypytała o wszystko, co wiąże się z uszami koleżanki.

Ostatni samolot z Madrytu lądował w Warszawie chwilę po dwudziestej. I to pewnie nim przyleci mój kochany. W blokach startowych stałem już po *Teleexpressie*, ale pomyślałem sobie, że bez sensu jest tam jechać dwie godziny przed czasem. Zwłaszcza że nawet jeszcze nie napisał, że wylatuje. Założyłem więc na uszy słuchawki i odpałem *Samotność po zmierzchu* Ani Dąbrowskiej. „Ręk dotyk Twój pamiętać chcę” – zaczęła. Ta płyta dołączyła do moich ulubionych albumów wszech czasów. Depresyjna, ale ją uwielbiam. Od początku do końca. Każdą piosenkę. I ledwo skończyła się pierwsza, zadzwonił telefon. Zaczynał się numer *Tego chciałam*.

– Ty nie powinienesz właśnie startować? – rzuciłem do słuchawki.

„Zalanych łzami nocy, właśnie to dostałam” – śpiewała Ania.

– Powinienem – odpowiedział.

W tle słyszałem jakieś zamieszanie. Chyba lotniskowy szum.

„Wciąż będę czekać na twój znak, choć nadaremnie”.

– To czemu nie lecisz? Wsiadasz do samolotu? – dopytywałem.

„Pomiędzy nami nie wydarzy się nic więcej”.

– Mama złamała nogę – oznajmił krótko.

„Tyle twoich słów w głowie ciągle mam, tyle pięknych słów, że uwierzyłam, że już zawsze będzie tak”.

Każde kolejne zdanie bezbłędnie ilustrowało mój stan ducha.

„Muszę zapomnieć wszystko, co mi powiedziałeś”.

Przypadkiem nacisnąłem na pilocie powtarzanie w kółko tej samej piosenki.

„Może zapomnę kiedyś o tym, że istniałeś?”

I leciała. A ja leciałem w otchłań w towarzystwie hymnu porażki mojego życia.

31. Super Mario Bros

Gdy Marta wychodziła do ogródka, poślizgnęła się i spadła ze schodów. Leżała na ziemi kilkadziesiąt minut i wyła z bólu. Wiktor akurat nie było w domu, gdy wrócił, zastał ją zalaną łzami. Krzyczała, ale nikt jej nie słyszał. Nikt z sąsiadów nie mógł jej też dostrzec. Już lata temu otoczyła dom wysokim murem, przez który nie przecisnę się nawet mysz. Potem przyjechała karetka, zabrali ją do szpitala i prześwietlenie wykazało pęknięcie kolana oraz złamanie kości piszczelowej i strzałkowej. Prawie całą nogę ma w gipsie. W całości unieruchomiona. Na razie na siedem tygodni. W jej wieku złamanie kości to poważny problem, nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle wróci do pełnej sprawności. Niewykluczone, że popękane kości trzeba będzie operacyjnie zespalać śrubami. Było mi jej szkoda, ale natychmiast zadałem sobie pytanie, kiedy wróci Wiktor. Nie wierzę, żeby zdjęli jej gips po sześciu tygodniach. A nawet jeśli jakimś cudem się to uda, czeka ją rehabilitacja. I to wszystko w bardzo optymistycznym scenariuszu. Co najmniej cztery miesiące rozłąki. Jaka miłość to wytrzyma?

Nie zadzwoniłem ani do Niny, ani tym bardziej do

Matyldy. Przecież rozjechałaby mnie jak walec. I mnie, i Wiktora. Wstydziałem się tej sytuacji. Nie wiedziałem też, czy to koniec naszego związku? Czy zawieszenie? Czy może powinniśmy udawać, że nic się nie stało? Wyszedłem z domu z nadzieją, że długi marsz przybliży mi do odpowiedzi na te pytania. Spacerowałem cztery godziny. Nie przybliżył. Przez kolejne dwa dni nie wychodziłem z domu i nie włączałem telefonu. Stało się jasne, że odpowiedzi nie przyjdą same. Muszę o to wszystko zapytać Wiktora. Wcześniej spisałem na kartce pytania:

1. Czy to koniec?
2. Jeśli nie koniec, to jak sobie dalej to wyobraża?
3. W jakim charakterze mieszkam u niego?

Włączyłem komórkę. Dwanaście nieodebranych wiadomości od Wiktora. Kilka od Niny, trzy od Matyldy. I parę od mniej ważnych osób. Odpisałem dziewczynom, że żyję. Bardzo szybko zadzwonił też Wiktor. Pewnie dostał wiadomość, że jestem już dostępny. Odebrałem po chwili namysłu. Zastanawiałem się, czy zapytać, jak zdrowie mamy.

– Co ty za numery odwalasz? – Był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Nie rozumiem. – Postanowiłem być oazą spokoju.
- Zapadasz się pod ziemię na dwa dni.
- Ty się zapadłeś na miesiąc i nie robisz scen...
- Nie kpij.
- Nie kpię. Stwierdzam fakt. Ale dobrze, że dzwonisz.

Trzeba wyjaśnić parę spraw.

– Jakich?

– Zasadniczych. Po pierwsze, czy my nadal jesteśmy razem?

– A nie jesteśmy? – zdziwił się.

– A jesteśmy?

– Z mojej strony nic się nie zmieniło. Chyba że z twojej?

– Nie wiem, czy się nie zmieniło. Będziemy razem na odległość? Nie wiadomo, jak długo. Nie jestem pewien, czy mnie interesuje związek na odległość.

– Pojawia się przeszkoda, a ty od razu chcesz rezygnować. Przykro mi. Są małżeństwa, w których jedna ze stron ciągle jest w rozjazdach. Żołnierze są na misjach. I jakoś się od razu nie rozwodzą, nie rozstają – powiedział z pretensją.

– Tyle że z misji się wraca. Chyba że żołnierza zastrzelą. To się wraca w trumnie, ale wraca.

– Ja też wrócę. I nie w trumnie, mam nadzieję.

– Kiedy, Wiktor? Kiedy?

– Kochanie, teraz jestem tu uziemiony. Ale przecież można żyć z gipsem w Polsce. Jak tylko będzie wiadomo, co i jak, wpakuję matkę w samolot i będzie dochodziła do siebie w Warszawie. – Zobaczyłem światełko w tunelu.

– Naprawdę?

– Naprawdę! Ty uważasz, że mi nie zależy, żeby być blisko ciebie? Ja cię kocham! Sprawy się trochę

skomplikowały, ale to nie zmienia faktu, że jesteś najważniejszy w moim życiu! Rozumiesz?

– Rozumiem, ja ciebie też kocham. Tylko nie ufam twojej matce. Przepraszam.

– Ona cię zaakceptowała. Zmieniła się. Naprawdę.

– No nie wiem.

– Przecież sam widziałeś, jaka była przed wyjazdem.

– Nie chcę krakać, ale właśnie ta zmiana najbardziej mnie niepokoi. Zmieniła front w ciągu kilku dni. Takie rzeczy się nie zdarzają.

– Nawet jeśli ściemnia, to ja i tak wrócę do ciebie przy pierwszej możliwej okazji. Z nią czy bez niej.

– Fajnie to brzmi.

– I tak będzie. Tylko nie szalej! Nie podejmuj idiotycznych decyzji! – Jakby chciał mi dać do zrozumienia, że już raz pochoinnie go zostawiłem.

I nie podjąłem. Wobec takiego przebiegu rozmowy reszta pytań stała się nieaktualna. Nie wiem, czy wierzyłem w zapewnienia Wiktora. On może mieć najlepsze chęci i czuję, że ma. Ale tam jest Marta i to ona pociąga za sznurki. Zna słabe punkty syna i wie, gdzie nacisnąć, by robił to, co chce mamusia. Zbudowała swoją pozycję w jego życiu na długo przed tym, zanim pojawiłem się ja czy ktokolwiek inny. I nie zamierzała schodzić z piedestału. Była za to gotowa skazać na szafot każdego, kto zagroził jej rządowi. Była władczynią absolutną. Miała cały arsenał działań mających przywrócić stan rzeczy, w którym to ona jest

w centrum uwagi. Jednym z nich było wywiezienie Wiktora z Warszawy. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy sposobem na Martę byłoby udawanie, że tańczę, jak mi zagra. Doszedłem do wniosku, że problemem nie było to, iż nie chcę jej ulec. Jądrzem sporu była sama moja obecność. Zajmowanie uwagi, czasu, mieszkania Wiktora. Nie mam pojęcia, czy wmieszane są w to jakieś homofobiczne elementy. Przecież Marta przepędziła moich poprzedników. Być może kobieta u boku Wiktora miałaby spokój. Trudno stwierdzić.

Wiktor walczył z matką, ale w sytuacji, gdy leżała połamana w szpitalu, był bezbronny. Gdyby chodziło o moją mamę, pewnie też bym był. Teraz stoimy w miejscu, ale nie mam pewności, czy czas działa na moją niekorzyść. Marta grała rolę nadzorcy, a Wiktor przez całe lata był zaprogramowany tak, żeby wykonywać polecenia. Jak w grze komputerowej. Ona miała dżojstik i ćwiczyła podskakiwanie, łapanie grzybka i zbieranie monet. Wiedziała też, co zrobić, żeby dostać kolejne życie. Ja walczyłem, by nie stracić swego jedyne. I nie miałem pomysłu, gdzie szukać wyjścia awaryjnego. A kiedyś, gdy na pegasusie byłem mistrzem w *Super Mario Bros*, znałem wszystkie tajne przejścia i sztuczki, które pozwalały dostać się na kolejny poziom. Teraz miałem nadzieję, że Marcie szybko wyczerpią się baterie, a Mario-Wiktor będzie mógł żyć własnym życiem. Ja żyłem swoim. Powrót na

uczelnię bardzo mi pomógł. Za parę dni miałem zacząć pierwszą prawdziwą pracę. Z Wiktoorem regularnie rozmawiałem przez telefon. Nawet dwa razy dziennie. Nie pytałem o Martę, sam opowiadał. Jakby chciał powiedzieć mi, że zbliża się moment, w którym – wraz z zagipsowaną matką – pojawi się w Warszawie. Rokowania były średnie. Lekarze zdecydowali, że mogą ją złożyć, a raczej skrócić, specjalnymi śrubami, dzięki którym pęknięte kości pozrastają się szybciej. Na końcu języka miałem propozycję, żeby wycięli jej i przykręcili na śruby kilka innych organów. Ze wskazaniem na te odpowiadające za empatię. Co im szkodzi? Przecież i tak będzie poskręcany Frankensteinem. Dwie śruby w tę czy we w tę nie zrobią lekarzom różnicy, a otoczeniu Marty znacznie ułatwią kontakty z nią.

Musiałem wybrać proseminarium, a na koniec trzeciego roku napisać pracę, która będzie przygrywką do właściwej magisterki. Zdecydowałem, że będę pisał o talk show. To od dawna mój konik. Materiału w głowie mam sporo. Ubiegłoroczna praca przy *Rozmowach w toku* nie poszła na marne. Dziewczyny zorientowały się, że nie chcę rozmawiać o Wiktorze, i nie poruszały tego tematu. A ja już drugi dzień ćwiczyłem poranne wstawanie. Chociaż słowo „poranne” nie jest właściwe. To nawet nie był świt. Czwarta trzydzieści to jeszcze noc. Było ciężko. W telewizji nic sensownego o tej porze nie puszczają. Muzyki nie włączałem. Zostawały książki, więc

siedziałem i czytałem. Na zajęcia docierałem pierwszy. Nina nie wierzyła własnym oczom. Ciut lżej było, gdy musiałem wyjść wpool do szóstej. W życiu nie byłem tak rano poza domem. Ani w stolicy, ani w miasteczku. O dziwo, o tej porze Warszawa już żyje. Niemrawo, ale żyje. Nawet autobusy jeżdżą. Niektórzy byli już w drodze do pracy, dokładnie tak jak ja. Gdy przekraczałem próg radia, towarzyszyła mi radość wymieszana ze stresem. Radość, bo zaczynałem pracę, stres, bo czekały mnie cykliczne spotkania z Szymonem. Z mojej strony sytuacja była jasna. Tylko razem pracujemy. Tym razem przepustka czekała na mnie w recepcji. Czułem się jak u siebie. Witałem się z ludźmi, wiedziałem, dokąd iść. Piękne uczucie. Na Szymona miałem sposób. Zamierzałem mu głośno i wyraźnie dać do zrozumienia, że przychodzę tu do pracy. Będzie musiał to zaakceptować. Spotkałem go w pokoju redakcyjnym. *Vis-à-vis* studia.

– Kogo ja widzę – udał zaskoczonego.

Przecież musiał się zgodzić, by mnie przyjęli. Wiedział, że dziś przyjdę.

– Tak, tak, to ja! – Podałem mu rękę. – Wróciłem!

– Teraz mam nad tobą władzę. – Oblizał górną wargę.

– Tak, od szóstej do dziesiątej.

– I obiecujesz, że od szóstej do dziesiątej będziesz mnie słuchał? – zawiesił głos i się uśmiechnął.

Nie doczekał się odpowiedzi, bo do pokoju wszedł

Kuba, którego zmiennikiem będę. Nieduży, krępy misio w okularkach i sweterku à la były już minister ds. służb specjalnych w rządzie Buzka – Janusz Pałubicki. Staromodny, zdecydowanie zapuszczony. Kuba niedawno został ojcem i w związku z nowymi obowiązkami musi nieco ograniczyć dotychczasowe. Na razie miałem się przyglądać jego pracy. Pojutrze sam wkroczę do akcji. Gdy Szymon zabawiał tych, którzy włączyli już radio, Kuba przeglądał gazety i odblaskowym zakreślaczem zaznaczał artykuły, na które warto zwrócić uwagę. Drukował też agencyjne depesze zapowiadające dzisiejsze wydarzenia. Po siódmej zrobiło się tłoczno. W studiu pojawili się goście. Najpierw z jednym z nich rozmawiał Szymon. Wtedy dzwonili też słuchacze i do moich obowiązków należało wpuścić ich na antenę bądź nie. Kryteria nie były jasne. Trzeba wyczuć świra i czasem go zablokować – pouczał mnie Kuba. Po ósmej studio przejął dziennikarz polityczny i przez prawie trzydzieści minut maglował posła czy innego ministra na bieżące tematy. Kolejni dwaj goście znów rozmawiali z Szymonem. Miałem ich odebrać z recepcji, doprowadzić do studia, zadbać, by poczuli się u nas dobrze, a potem pożegnać. Czasem musiałem kogoś umówić, ale zwykle robił to producent audycji. Przez cały poranek miałem być też wsparciem dla prowadzącego. Na szczęście loda pod stołem nie było na liście obowiązków. A na dodatek rano przysługiwała

mi taksówka! Żeby nie musiał tłuc się autobusem, co jest uciążliwe szczególnie zimą. Kuba twierdził, że dzięki transportowi na koszt firmy można pospać dłużej o całe czterdzieści minut. Grafik ustaliliśmy między sobą. Ja wziąłem trzy, on dwa dni. Miałem być wolny z chwilą wyjścia ostatniego gościa, czyli kilkanaście minut przed dziesiątą. Z Szymonem nie wdawałem się już w dyskusję. Chłonałem wiedzę, a potem prosto z radia popędziłem na wydział. Wykład ze współczesnych systemów politycznych mi przepadł, ale na ćwiczenia dotarłem niemal punktualnie. Nina trzymała mi miejsce obok siebie. Nie kręciły jej te zajęcia.

– Jak będę chciała wiedzieć, ilu jest deputowanych w Bundestagu, to sprawdzę w encyklopedii – napisała mi na kartce na wieść o tym, że trzeba się będzie tego nauczyć na pamięć na egzamin. – Po co zaśmiecać sobie głowę takimi bzdurami?

– Już tylu niepotrzebnych rzeczy się tu nauczyłaś, że i to przeżyjesz – odpisałem.

– Jak było w radiu? – dopytywała.

– Świetnie.

– Widziałaś Pana Dywana? – konsekwentnie nie używała imienia Szymona.

– Tak. Chyba nie będzie problemu.

– A Wiktor?

– Co Wiktor?

– Rozmawialiście?

- Dziś jeszcze nie.
- A w ogóle? – dociekała.
- Codziennie rozmawiamy.

Ćwiczenia się skończyły. Nina zjadła bułkę z serem, popiła herbatą i w trakcie kolejnych zajęć poszła do toalety. Sprytnie to wymyśliła. Przecież nie mogłem pójść za nią ani ochrzanić jej w trakcie wykładu z podstaw reklamy. Gdy wróciła, unikała mojego karcącego spojrzenia, a po wszystkim wybiegła z wydziału, bo – rzekomo – miała do załatwienia jakieś ważne sprawy na mieście. Następnego dnia nie mieliśmy wspólnych zajęć, miała chyba nadzieję, że zapomnę. Zadzwoił Wiktor i opowiadał o swojej biednej, cierpiącej matce. Co mnie obchodzi, że całą noc nie spała? Gdyby nie zachciało się jej wywozić synka za granicę, byłaby cała i zdrowa w swojej konstancińskiej willi. Tam nie ma schodów. No może dwa, ale małe. Można po nich spokojnie zjechać nawet wózkiem inwalidzkim, a co dopiero zejść na zdrowych nogach. Ta baba dałaby sobie amputować wszystkie kończyny, byleby trzymać Wiktora z dala ode mnie. Widziałem kiedyś taki kadłubek kobiety w jednym z odcinków serialu *Z archiwum X*. Nie miała rąk ani nóg. Tylko korpus. A mimo to rodziła zmutowane dzieci. Dorośli synowie, też mutanty, wozili ją w bagażniku samochodu. Trzymała ich przy sobie. Chodzili jak w zegarku, bez cienia sprzeciwu. Może Marta też to widziała i się zainspirowała? Ja musiałem dziś wstać o barbarzyńskiej

porze! I co, żałuje mnie ktoś? Organizm dyskretnie dał mi znać, że jest zmęczony. Pogoda niewiele poprawiła się od rana. Zapiąłem płaszcz, okręciłem się szalem i jednym uchem słuchając opowieści o Marcie, ruszyłem na przystanek. Wreszcie powiedziałem Wiktorowi o radiu. Zareagował dziwnie.

– Z tą radiową gwiazdą będziesz się spotykał? – wyrzucił z siebie zaniepokojony.

– Będę, służbowo – powiedziałem prawdę. – To jakiś problem?

– A według ciebie to problem? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Rozmawialiśmy o tym przecież.

– Rozmawialiśmy, ale wolałbym jednak, żebyś trzymał się od niego z daleka. Zwłaszcza że mnie tam nie ma – zabrzmiał groźnie.

– To, że ciebie tu nie ma, to akurat twoja decyzja – nie pozostałem dłużny. – Ja chcę pracować, muszę pracować.

– Nie musisz. Na wszystko ci dam pieniądze. Dbam o to, co moje.

– Powiedz jeszcze, że dbasz o swoją własność – zachęciłem.

– Tego nie powiem.

– Prawie powiedziałeś. Muszę kończyć, mam za sobą ciężki poranek. Miłego dnia. – Rozłączyłem się.

Nie wiem, czy źle zinterpretowałem jego słowa, ale zabrzmiało to tak, jakby chciał mi powiedzieć, że

zamierza zamknąć mnie w złotej klatce. Byłem zmęczony. Musiałem się przespać. Z samochodu dostawczego stojącego przed apteką obok kościoła św. Krzyża dobiegła piosenka *Moon River*. Przysiadłem na chwilę na schodach, żeby posłuchać. Ten utwór wzrusza mnie, odkąd pamiętam. Kiedyś na religii nawet ogłosiłem, że jeśli miałbym wybór, to chciałbym umrzeć przy tej melodii. Siostra katechетка mało nie nakryła się nogami. Bo przecież i Holly Golightly, i Paul Varjak są – jakby to dziś powiedzieć – dość mocno sponsorowani. I pewnie z tym pokojarzyła *Moon River*. Nie dość, że notorycznie podważałem dogmaty wiary – na przykład to, że nagle z Adama i Ewy oraz ich dwóch synów powstał rodzaj ludzki – to jeszcze chciałem umierać przy piosence z filmu o dziwkach. A może była przerażona tym, że w szóstej klasie znałem *Śniadanie u Tiffany’ego*? Nie wiem. Utwór się skończył. Podniosłem się i stanąłem jak wryty. To musiała być fatamorgana. W moim kierunku szedł Mariusz – duch przeszłości.

32. Głodnych nakarmić

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Chciałem odwrócić głowę, chciałem uciec schodami w górę, ale nie mogłem się ruszyć. Po trzynastu miesiącach zobaczyłem człowieka, którego już nigdy nie chciałem spotkać, od którego uciekłem pod osłoną nocy. Mariusza poznałem w internecie, kilkanaście miesięcy temu. Zakochałem się po uszy. Dziś naprawdę nie wiem, co było paliwem dla tej miłości. Wiem za to, że ślepo wierzyłem w każde jego słowo. Nawet kiedy oszukał mnie po raz drugi, trzeci i kolejne... Na szczęście teraz byłem już silniejszy, pewny siebie. Dziś nie pozwoliłbym się tak wykorzystać.

Mariusz wyglądał źle. Był zmarnowany. Wirus HIV, którego nosił w sobie, nie obszedł się z nim łaskawie. Miał zapadnięte policzki i wytrzeszczone oczy, mocno wychudł i posiwiiał. Nie skończył jeszcze czterdziestu lat, a wyglądał na dziesięć więcej. Był ubrany w dobrze mi znaną zgniłozieloną kurtkę, a w ręku trzymał rękawiczkę. Moją rękawiczkę.

- Zgubiłeś na wydziale. – Podał mi ją.
- Skąd ty się tu wzięłeś? Śledzisz mnie? Czego chcesz? – Wyrwałem ją i schowałem do kieszeni.

– Zmieniłeś numer telefonu, po prostu czekałem na ciebie na uczelni – wyznał, jakbyśmy rozstali się w jak najlepszej komitywie.

Zawsze był bezczelny, ale to, co się właśnie działo, przekraczało wszelkie granice. Przyzwoitości, moralności i dobrego smaku. Facet mnie zdradzał, chciał naciągnąć na kasę, a jakby tego było mało, wywiózł mnie pod Kielce, by podzielić się zdobyczą ze swoimi kolegami. Byłymi i obecnymi księżmi. Miał HIV, który złapał nie ode mnie. A teraz stał przede mną zmęczony, jakby wyciągnięty ze starego filmu, któremu czas odebrał kolory, i był zdziwiony, że zmieniłem numer telefonu.

– A czego ty ode mnie chcesz? – zapytałem zszokowany.

– Porozmawiać. Tylko porozmawiać.

– O czym?

– O nas. – Był śmiertelnie poważny.

– O nas? – Nie potrafiłem powstrzymać śmiechu. – Dobrze, słucham.

Ta sytuacja była tak absurdalna, że zaczynała mnie bawić.

– Tutaj chcesz rozmawiać? – zdziwił się.

– A co? – Rozejrzałem się. – Sąsiedztwo kościoła źle na ciebie wpływa?

– Nie bądź złośliwy.

– Nie pouczaj mnie. Dobrze? Mam cię zaprosić do domu na kawę? A może na noc?

– Od kawy możemy zacząć.

Zaniepokoiło mnie to stwierdzenie. Czyżby miał jakieś plany na przyszłość?

– Albo rozmawiamy tu, albo wcale. Słucham. Co masz mi do powiedzenia? – Byłem stanowczy.

Miał minę zbitego psa, którego właściciel przed wyjazdem na urlop wyrzucił z samochodu na rozstaju dróg, gdzie stoi przydrożny Chrystus.

– Mogłoby być jak dawniej? – zapytał bez owijania w bawełnę.

– Czyli jak? – Poczułem się jak w kiepskim filmie. Mimo to byłem ciekawy odpowiedzi.

– Gdy byliśmy razem, szczęśliwi.

– Miałbym w tej chwili iść z tobą na dworzec i wyjechać do Krakowa? – podpytywałem, bo jego propozycja przekraczała granice mojej wyobraźni.

– Nie. Tutaj, w Warszawie.

– A czemu nie tam? – ironizowałem.

– Nie mam tam do czego wracać. Mam kłopoty.

Kłopoty to mało powiedziane. Mariusz był ścigany. Z jego opowieści wynikało, że przez mafię. Po moim zniknięciu zapożyczył się na kilkanaście tysięcy złotych. Spłacił długi za mieszkanie. Nie wiem, co zrobił z resztą sumy. Przestał jednak wyrabiać się ze spłatą rat panom w garniturach, tak ich określił. Ponad dwa miesiące temu zostawił wszystko i uciekł z Krakowa. Mieszkał najpierw u kolegi w Bytomiu, potem u rodziny pod Czarną Białostocką, później w Ełku na zapleczu

jakiejś smaźalni ryb. Ciekawe, skąd wziął wyniki badań dopuszczające go do pracy przy jedzeniu. Na ramieniu miał duży plecak ze stelażem. Powiedział, że to cały jego dobytek. Wymienił jednym tchem: dwie pary spodni, dwa swetry, trzy bluzki, kilka T-shirtów, bielizna, skarpetki, cieplejsza kurtka, termos, plus to, co miał na sobie. Resztę zostawił w mieszkaniu, z którego uciekł. Był chudy, ale czysty. Nie sprawiał wrażenia bezdomnego, bo chyba tak należałoby go teraz określić.

– I ja cię mogę jakoś z tych kłopotów wyciągnąć? – kontynuowałem.

– Możesz. – Świdrował mnie spojrzeniem tak, że nie mogłem drgnąć.

– W jaki sposób?

– Wróćmy do siebie. Wszystko się jakoś ułoży. Przecież miłość nie może się skończyć. Nie może wyparować przez rok.

Przyszło mi na myśl, że może ktoś go pobił i ma amnezję? Może i miłość nie może wyparować, ale wspomnienia też nie. W szczególności takie, jakie obaj mieliśmy. Wpatrywałem się w niego w poszukiwaniu sińców, ran, krwiaków, bandaży, ale nic z tego. Na pierwszy rzut oka wyglądał normalnie. Może fizycznie doszedł już do siebie i zostały mu tylko problemy natury psychicznej? A tych przecież nie widać. I ta amnezja chyba musiała być wybiórcza. Bo mnie pamiętał, miłość też, ale tego, że chciał mnie przehandlować, już nie.

– Mariusz, muszę już iść – powiedziałem tylko. –
Miałem ciężki poranek, jestem zmęczony.

– Ale dasz mi drugą szansę? – nie odpuszczał.

– Drugą? – wymusnęło mi się. Próbowałem szybko
zliczyć, która byłaby to szansa, ale pogubiłem się
w rachunkach.

– Tak. Spróbujmy jeszcze raz.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Na głowę upadłeś?

– Nikt cię tak nie będzie kochał jak ja – mówił
poważnym tonem. Zdaje się, że wierzył w swoje słowa.

– Idę. Nie mam czasu tu dłużej stać.

– Jutro też na ciebie poczekam. Pomyśl o nas.

– Cześć.

Nie miałem zamiaru kontynuować tej rozmowy ani
tym bardziej myśleć. O nas? Jakich nas?

Szybkim krokiem poszedłem na przystanek. Nie
odwróciłem się, chociaż byłem ciekaw, czy Mariusz
nadal tam stoi. Wsiadłem do autobusu i zamknąłem
oczy. Rozejrzałem się dopiero na skrzyżowaniu
Chełmskiej i Dolnej. Przecież mógł jechać za mną. Na
wszelki wypadek poszedłem do domu okrężną drogą.
Poczułem się jak tamtej nocy w Krakowie, gdy
uciekałem przed nim i jego kolegami w czerni. Pomógł
mi wtedy Zbyszek. Dawno nie miałem od niego wieści.
Nie widzieliśmy się ani razu od czasu, gdy pod osłoną
nocy wyjechałem do Warszawy. Utrzymywaliśmy
kontakt telefoniczny. Wygrzebałem z torby komórkę,

żeby zadzwonić i powiedzieć, co mi się dziś przytrafiło, ale zmęczenie wzięło górę. Położyłem się na chwilę na kanapie i zasnąłem. Obudziłem się przed *Faktami*, zrobiłem herbatę i wybrałem numer Zbyszka. Przywitaliśmy się jak zwykle entuzjastycznie. Najpierw dowiedziałem się, że tuż po Wszystkich Świętych jedzie na roczne stypendium do Londynu. Z Okęcia, więc będzie okazja, żeby się spotkać. Opowiedziałem mu, co się stało.

– Halo! Jesteś tam? – zapytałem na koniec, bo po drugiej stronie zapanowała głucha cisza.

– No – odpowiedział.

– To dobrze. Myślałem, że zemdlałeś.

– Niemalże – jęknął. – I co ty teraz zrobisz? On jest bez grosza przy duszy, chory, ścigany. Co czułeś, gdy go zobaczyłeś?

– Wiesz co... – zawahałem się. – Wiem, że to idiotyczne, ale trochę było mi go żal. Wyglądał bardzo źle. Był przeraźliwie chudy. Wirus go wyniszcza.

– Wiesz, że on mógł od paru dni nie jeść?

– Przestań! – obruszyłem się. – Co ty próbujesz zrobić? Mam go żałować?

– Nic z tych rzeczy, ale wiesz. To zawsze człowiek. Skurwysyn, ale człowiek.

– Właśnie. Skurwysyn. I na tym zakończmy.

– Ja bym nie wiedział, co z takim fantem zrobić.

– Zbyniu, nic nie robić – powiedziałem, ale poczułem, że moja pewność siebie się zachwiała.

Chociaż nie dałem nic po sobie poznać.

Zbyszek opowiedział mi o nagłym zniknięciu Mariusza. Pojawiły się podejrzenia, że szybko dopadło go AIDS i umarł. W gejowskim światku Krakowa wybuchło podobno niezłe zamieszanie. Co świadczyło o sporej, hmm... popularności mojego byłego chłopaka. Podobno porzucił mieszkanie, zostawił tam wszystkie meble. Zabrał tylko rzeczy osobiste. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co się z nim stało. A teraz objawił się jak duch na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Skończyłem rozmowę i wymieniłem kilka SMS-ów z Wiktorem. Oczywiście nie wspomniałem o Mariuszu. Po chwili zasnąłem. Dość miałem przeżyć jak na jeden dzień.

Budzik zadzwonił o czwartej trzydzieści, a godzinę później na dole stała taksówka. Ale luksus! Praca szła dość zgrabnie i na tyle dynamicznie, że nie miałem czasu martwić się ani o Szymona, który zerkał na mnie zza szyby studia i zagadywał w przerwach, ani o Wiktora, który skakał nad połamaną mamusią, zupełnie olewając mnie i moją pracę, ani wreszcie o Mariusza, który miał czekać na wydziale. Pomyślałem o nim dopiero w drodze na uczelnię. Wszedłem bocznym wejściem, a na górę wjechałem windą dla niepełnosprawnych. Tak na wszelki wypadek. Niny nie było, a z nikim innym nie mogłem o tym porozmawiać. Na każdej przerwie dyskretnie schodziłem na dół

i sprawdzałem teren. Czysto. Ale im bliżej końca zajęć, tym częściej Mariusz nawiedzał moje myśli. Powracało szczególnie jedno słowo z wczorajszej rozmowy ze Zbyszkim: głodny. Owszem, czułem do niego czystą odrazę, nie chciałem na niego patrzeć ani z nim rozmawiać, ale nie potrafiłem przejść obojętnie obok kogoś, kto jest głodny. Kimkolwiek był i cokolwiek zrobił. Zamyśliłem się i wyłączyłem czujność. Wystarczyła chwila nieuwagi, by wyrósł przede mną jak spod ziemi. Ubrany tak samo jak wczoraj, z tym samym plecakiem.

– Jesteś głodny? – wypaliłem bez zastanowienia.

Chyba chciałem usłyszeć, że zjadł obfite śniadanie, poprawił dobrym obiadem i jest syty. To pozwoliłoby mi odwrócić się na pięcie i z poczuciem względnego spokoju oddalić do swoich spraw. Na moje nieszczęście odpowiedział, że chętnie by coś zjadł. Od dziecka nie umiem przejść obojętnie obok kogoś, kto jest głodny. W szkole rozdawałem kanapki kolegom z biedniejszych rodzin. Czasem oddawałem swoje, wykupione w stołówce, obiady. Pamiętam jak dziś, miałem może ze trzynaście lat, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Byłem sam w domu, otworzyłem, a na klatce stała kobieta z dzieckiem na ręku. Chodziła od mieszkania do mieszkania i żebrała. Już chciałem jej zamknąć drzwi przed nosem, gdy powiedziała, że nie jedli od dwóch dni. Zmiękłem natychmiast. Zapakowałem do plastikowego pojemnika stojący na kuchence obiad

i wręczyłem jej. Dobroczynności nie oduczyło mnie nawet to, że gdy kilka godzin później wyszedłem z bloku, zobaczyłem mój obiad wyrzucony na chodnik. Dziobały go ptaki. Może mielone mojej mamy jej nie smakowały?

Mariusz miał chyba apetyt na wszystko. W barze mlecznym tuż obok bramy uniwerku nie mógł się zdecydować, co chce zjeść. W związku z tym zamówiłem dwa razy kopytka ze skwarkami i po kompocie z rabarbaru. Nie lubiłem go, ale chwilowo nie było innego. Mariusz łykał bez gryzienia, więc siłą rzeczy zjedliśmy w milczeniu, ale gdy tylko opróżnił talerz, postanowiłem zadać serię nurtujących mnie pytań.

– Leczysz się? – brzmiało pierwsze.

– Słucham?

– Pytam, czy się leczysz? Chyba że udajemy, że nic ci nie dolega. Tak samo jak udawaliśmy, że nasz związek jest szczęśliwy i pełen miłości. – Wyraźnie go zatkało, nie był przygotowany na tak otwarte postawienie sprawy.

– Ostatnio mam to trochę utrudnione – nawiązał tylko do tematu leczenia.

– A od kiedy trwa to ostatnio?

– Od kilku miesięcy.

– Stary, albo rozmawiamy otwarcie, albo wychodzę. Nie mam ochoty na zgadywanki. Kilka miesięcy to może być dwa lub dziesięć.

– Blżej dziesięciu.

To ładnie, pomyślałem. Blżej dziesięciu. To oznacza mniej więcej tyle, że brał leki antyretrowirusowe najwyżej trzy lub cztery miesiące po moim wyjeździe z Krakowa.

– A czemu przestałeś się leczyć? – nie dawałem za wygraną.

– Sytuacja się skomplikowała.

– A coś konkretniej?

– Musiałem się zmywać z Krakowa w trybie natychmiastowym. Z dnia na dzień. – Powtórzył historię z wczoraj.

– Gdzie dziś w nocy spałeś?

– W noclegowni. Na Burakowskiej.

– Jak to w noclegowni? – Wybałuszyłem oczy.

– Gdzieś spać musiałem, a ty mnie przecież nie zaprosiłeś.

Miał tupet jak mało kto.

– Mam przez to mieć wyrzuty sumienia? – nie pozostałem dłużny.

– Żartuję przecież. Myślisz, że to dla mnie łatwa rozmowa? Próbuję rozładować napięcie. – Przełknął ślinę. – Wracam do ciebie z podkulonym ogonem, niemal błagam o litość. Stawiasz mi obiad. – Stało się jasne, że nie ma ani grosza. – Siedzę przed tobą przegrany, zdany na twoją łaskę lub niełaskę. I naprawdę nie mam się do kogo zwrócić. Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Prawda?

– Do czego zmierzasz? – wykręciłem się od odpowiedzi.

– Wiem, że jesteś dobry i nie dasz mi zginąć, nie dasz mi się stoczyć i umrzeć z głodu.

– Czego ty oczekujesz?

– Że dasz mi dach nad głową, a potem jakoś sobie poradzimy.

– Mariusz, ja nie mieszkam sam. – Przemilczałem to, że Wiktora teraz nie ma.

– Z tym nadzianym dupkiem, który cię okłamywał?

Ręce mi opadły.

– Licz się ze słowami. Znam kilku, którzy okłamywali mnie permanentnie.

– Możesz się od niego wyprowadzić, zanim znów cię skrzywdzi. – Najwyraźniej nie wziął mojego komentarza do siebie. – Ja poczekam kilka dni.

– I co dalej?

– Wynajmiemy coś wspólnie. – Położył rękę na mojej.

– Piękny plan – powiedziałem z sarkazmem.

– No sam widzisz. – Uśmiechnął się. – Wiedziałem, że się dogadamy, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

– A z czego będziemy żyć? – Sam nie wiem, po co w to brnąłem. Chyba próbowałem go sprowadzić na ziemię.

– O to się na razie nie martwmy.

– A z czego zapłacimy za pierwszy miesiąc mieszkania i kaucję?

– Mam ze sobą parę groszy. – Nie puszcżając mojej ręki, wskazał na leżący na krześle obok plecak. – Na początek wystarczy.

– A co potem?

– Pomyślmy o tym jutro! – zabrzmiał jak Scarlett O’Hara.

– I co byś mi radził teraz zrobić?

– Odstawmy teraz naczynia, wyjdźmy stąd i jedźmy do ciebie! – zaordynował.

– Mów dalej. – Postanowiłem przez chwilę grać rolę, którą dla mnie przewidział.

– Powiesz mu, że odchodzisz, zabierzesz rzeczy i się wyprowadzisz!

– Dobra, zbieraj się. Wychodzimy stąd.

Oczy mu się zaświeciły. Jednym ruchem zgarnął swoje rzeczy. Przeszliśmy przez ulicę. Mariusz podskakiwał jak fircyk w zalotach. Dopytywał, na który autobus czekamy. Patrzyłem na niego i rozważałem miliony możliwych rozwiązań tej sytuacji. Zrobić to taktownie czy bez pardonu? Szybko czy rozwlec do granic przyzwoitości? Pastwić się jak kot nad złapaną w polu myszą czy zabić od razu jak skorpion? Na decyzję dałem sobie jeszcze parę minut. Dokładnie tyle trwa dotarcie spod uniwerku na Ordynacką. Szedł obok mnie i snuł plany na przyszłość. Chocż ani razu nie padło słowo „przepraszam”, był pewien, że mu wybaczyłem, że zapomniałem, że na zawsze zamknąłem nasz poprzedni wspólny rozdział. Szedłem szybko, ale

dotrzymywał mi kroku. Przecież od teraz mieliśmy iść wspólnie nie tylko chodnikiem, lecz także przez życie. Do przyjazdu kolejnego autobusu zostało siedem minut. Idealnie, by wyłożyć karty na stół.

33. Mroczny grabarz

Zaczęło wiać. Schowałem się w bramie obok przystanku. Mariusz poszedł za mną, cały czas coś mówił, ale myślami byłem daleko. Przegarnałem włosy i nabrałem powietrza.

– Posłuchaj mnie, Mariusz – zacząłem. Byłem poważny i spokojny. – Ja teraz pojedę do domu. Sam.

– Załatwisz sprawę i wrócisz do mnie? Gdzie mam poczekać?

– Nie rozumiesz. Pojedę do domu. Sam. Nic nie będę załatwiał. I nigdzie nie musisz na mnie czekać. Patrzysz na mnie ostatni raz w życiu. Nigdy więcej się nie spotkamy i nie będziemy rozmawiać. – Spojrzałem na ulicę. Nie chciałem patrzeć mu w oczy. – Jesteś nieodpowiedzialny. Przypomnij sobie, co działo się rok temu i dlaczego cię zostawiłem. Zadaj sobie odrobinę trudu i cofnij taśmę. Jak możesz się tu zjawiać i zażądać ode mnie, żebym zostawił faceta, który mnie kocha? Który dał mi to wszystko, co ty zniszczyłeś?

– Jak możesz tak mówić? – wydukał zbity z pantaląku.

– Mówię, co myślę. To spotkanie, ta rozmowa, te twoje propozycje. To wszystko jest pozbawione choćby

promila logiki. Jesteś bezczelnym typem, który myślał, że dam się nabrać na obietnice i czułe słówka. Nigdy więcej.

– Kopiesz leżącego.

– Leżysz na własne życzenie. Wszystko, co w życiu zrobiłeś, musiało cię doprowadzić do stanu, w którym teraz jesteś. I ja nie mam z tym nic wspólnego.

– I odmawiasz pomocy? – Był wyraźnie zdziwiony. Zapamiętał mnie jako naiwnego chłopaka, któremu można wcisnąć każdy kit.

– Tak, odmawiam. Nic mnie już z tobą nie łączy. Nie czuję się za ciebie odpowiedzialny w najmniejszym stopniu. Teraz wsiądę do autobusu i zniknę, a ty rób, co chcesz. I nie nachodź mnie. Bo pożałujesz – powiedziałem twardo.

– Straszysz mnie? – Zaskoczenie zmieniło się w oburzenie.

– Ostrzegam. Jeśli jutro spotkam cię na uczelni, wezwę policję. Wracaj tam, skąd przyjechałeś, i daj mi spokój. A teraz żegnam.

Kątem oka zauważyłem nadjeżdżający autobus. Jechał na Goław, mimo to do niego wsiadłem. Chciałem stracić Mariusza z oczu. Jak najszybciej. Gdy już zamierzałem odejść, chwycił mnie za rękę.

– Nie możesz mnie tak zostawić. Ja umrę, rzucę się do Wisły – spróbował szantażu.

– No i? – Nie zrobiło to na mnie wrażenia.

– Jeśli mnie zostawisz, odnajdę twoją matkę i powiem

jej o wszystkim – zagrał ostrzej.

– Powodzenia. Tylko uważaj, jeśli jej powiesz, kim jesteś, to wydrapie ci oczy za to, co mi zrobiłeś – skłamałem. – Puść mnie. Natychmiast. – Wyrwałem się.

– Ale ja cię kocham! – usłyszałem za plecami, gdy wskakiwałem do linii 111.

Po chwili drzwi się zatrzasnęły, a autobus odjechał. Przez moment czułem na sobie kilka spojrzeń, ale Warszawa ma to do siebie, że zainteresowanie innymi szybko mija. I za to uwielbiam to miasto.

Dziś wróciłem na Mokotów jeszcze bardziej okrężną drogą niż wczoraj. Dopiero gdy usiadłem na kanapie, poczułem, że schodzi ze mnie napięcie. Byłem z siebie dumny. Rok wcześniej przypuszczalnie uległbym Mariuszowi. Uwierzyłbym w kolejne idiotyczne tłumaczenie i poszedł z nim w siną dal. Dziś skutecznie odparłem atak. Miałem siłę. Czułem się inaczej nawet podczas rozmowy z Wiktorem. Jasno artykułowałem swoje potrzeby. Starłem się wycisnąć z niego jakieś konkretne deklaracje, daty, zobowiązania. Wszystko na nic, ale sam ze sobą czułem się dużo lepiej. Wiktor opowiadał o matce, pytał też, co u mnie, ale gdy tylko zaczynałem mówić o pracy, natychmiast mi przerywał. Bez tematu radia nie istniał też temat Szymona. Ufał mi do tego stopnia, że nie musiał o niego pytać? Czy może bał się o tym mówić, by nie usłyszeć o czymś, co mogło się między nami zdarzyć?

Nie wiadomo kiedy, okazało się, że Wiktora nie ma już dwa miesiące. Zimno zrobiło się i za oknem, i w naszym związku. 1 listopada postanowiłem pojawić się w miasteczku. Nastawały na to mama i Matylda. Wszystkich Świętych wypadło w poniedziałek. Chciałem jechać w niedzielę wieczorem, żeby do minimum skrócić pobyt, ale matka Matyldy zadzwoniła już w czwartek, gdy wychodziłem z radia. Wygadałem się, że nie mam w Warszawie już nic do roboty. Długo się opierałem przed wcześniejszym wyjazdem, ale na jeden argument nie potrafiłem być obojętny.

– Na pogrzeb musisz przyjechać! – usłyszałem w telefonie.

– A kto umarł?! – zapytałem przerażony.

– Ryszarda. Godzinę temu.

– Ryszarda?!

– Wpadła pod samochód.

– To straszne! I pani nie w żałobie?

– Jak to nie!? Pogrzeb szykuję. Będiesz dziś?

– Będę!

Co jak co, ale pogrzeb mojej ulubionej suki nie mógł się odbyć beze mnie. Wrzuciłem do torby kilka rzeczy, uprzedziłem mamę o swoim przyjeździe i popędziłem na dworzec. Najchętniej wcale bym w domu nie nocował, ale póki co nie ma innego wyjścia. Wolałem dać znać, że będę już dziś, bo niezapowiedziany nalot mógłby się skończyć katastrofą. Mają niecałe trzy godziny na stworzenie pozorów normalności. Mama

doprowadzi do porządku pokój, w którym kiedyś mieszkałem, a który teraz okupuje mój brat. Może uda się jej nawet schować gdzieś pijanego ojca. Wcale nie jest powiedziane, że sama będzie zupełnie trzeźwa. Byłem pewien, że popija. Nie potrafiłem jedynie stwierdzić, jak dużo i jak często.

Na dworcu tradycyjnie nikt na mnie nie czekał. Za to w domu cudownie pachniało schabowym. Przywitali mnie rozpromieniona matka i zachmurzony ojciec, który na mój widok zdobył się jedynie na mrukliwe „cześć”. Nawet nie odwrócił głowy od telewizora. Próbowaliśmy z mamą rozmawiać, ale w pewnej chwili zorientowałem się, że do siebie krzyczymy. Im głośniej mówiliśmy, tym głośniej darł się telewizor. I to nie dlatego, że ojciec miał problemy ze słuchem. Był po prostu złośliwy. Mama dała mi dyskretny sygnał, żeby nie reagować. Jasne było, że ojciec szuka zaczepki. Postanowiłem być mądrzejszy.

- Idę na pogrzeb – poinformowałem mamę sucho.
- A kto umarł?! – zareagowała identycznie jak ja.
- Ryszarda.
- Hanin?!
- Mamuś! Ryszarda Hanin nie żyje od dziesięciu lat. Odeszła Ryszarda, suka Matyldy. Dziś jest pogrzeb.
- Wyście poszaleli – oceniła, zabierając pusty talerz ze stołu. – Psu pogrzeb urządzać.
- Suce, mamó, nie psu. Chyba powinienem ubrać się w coś czarnego? Pogrzeb to pogrzeb.

– Żarty się ciebie trzymają – prychnęła.

– Chcesz jechać? Będą też Matylda i jej matka.

– Zadawaj się z tymi wariatkami! Zadawaj! Całe miasto się z nich śmieje! – przemówił tatuś. Niby wciągnięty w teleturniej, ale nadzwyczaj drobiazgowo kontrolował przebieg toczącej się obok rozmowy.

– Poczekam w domu, wszystko mi opowiesz – zignorowała go mama, dając mi znak oczami, że też mam to zrobić.

Wstałem od stołu, oznajmiłem, że będę późno, uśmiechnąłem się do mamy i wyszedłem. Matylda stała maluchem w miejscu, gdzie obowiązuje zakaz parkowania.

– Zwłoki tu są? – Pocałowałem ją w policzek na powitanie. – Jeny! Co ty masz na sobie?

– Jak to co? Strój żałobny!

Wyglądała jak mieszanka mojej teściowej i Morticii z *Rodziny Addamsów*. W oczy rzucały się biała twarz i czerwone usta.

– A ja taki zwyczajny – udałem zawstydzenie.

– Właśnie – powiedziała i ruszyła.

Pudło ze zwłokami Ryszardy stało przy schodach prowadzących do domu. Było już ciemno, więc nawet go nie zauważyłem. Matka Matyldy też miała na sobie czarny strój. Mniej ekstrawagancki, ale na pewno pogrzebowy. Czarne dżinsy, koszula i botki za kostkę. Na ramię zarzuciła dużą czarną torbę. Stała w ciemnym przedpokoju, do którego przez szybkę łazienkowych

drzwi wpada słabe światło. Roześmiałem się na jej widok. Wyglądaliśmy jak grupa zbiegów ze szpitala dla obłąkanych. Po drodze chwyciliśmy za, pieruńsko ciężkie, pudło z martwą Ryszardą, które spoczęło w bagażniku. Kilkanaście minut później byliśmy daleko pod miasteczkiem. Zatrzymaliśmy się na jednej z leśnych drózek.

– Pół dnia jeździłam, żeby znaleźć to miejsce – poinformowała matka Matyldy na widok naszych pytających min.

Szliśmy kilka minut w las. Dotarliśmy na niedużą polanę. Jedyne źródłem światła był księżyc. Pani Beata wyjęła z torebki saperkę i zaczęła kopać dół. Nie wiadomo skąd, rozpadał się deszcz. A ona kopała. Zdaje się, że byliśmy właśnie trojgiem mrocznych grabarzy. W strugach deszczu złożyliśmy prowizoryczną trumnę w umownym grobie, który matka Matyldy własnoręcznie zasypała. W torebce miała jeszcze bukiet czerwonych gerber. Po minucie ciszy ruszyliśmy w drogę powrotną. I w połowie trasy między polaną a samochodem niebo rozświetlił piorun. Przez chwilę było jasno jak w dzień. Zmroziło nas i w sekundę dobiegliśmy do auta.

– To co? Stypa jakaś? – zaproponowała Matylda, zapalając silnik.

Po chwili ciszy wybuchliśmy śmiechem, który wzmogła tylko lecąca w radiu piosenka *Where the wild*

roses grow, w której Kylie – niczym Ofelia z *Hamleta* – leży martwa w wodach strumienia. W domu czekała pyszna szarlotka, popisowy numer pani Beaty. Matyllda poszła zmyć z siebie wampirzy makijaż i wziąć prysznic. A my zostaliśmy sami. W międzyczasie zadzwonił Wiktor, był zdziwiony, że nie powiedziałem o wyjeździe do miasteczka. Zirytował mnie na tyle porządnie, że wykrzyczałem mu, że nie mam zamiaru siedzieć w długi weekend sam jak palec w Warszawie. Obraził się i rozłączył, a matka Matylldy aż kipiała z ciekawości, o co poszło. Sądzę, że ogólnikowo znała naszą sytuację, ale teraz była żadna krwi w postaci wszelkich szczegółów.

– Wraca? – Było jasne, że pyta o Wiktora.

– Wróci, jak tylko będzie mógł – próbowałem być przekonujący.

– Za ładny był, wiedziałam, że będą problemy. Chociaż obstawiałam kogoś innego niż mamusię.

– Mianowicie?

– Innego faceta czy coś w tym stylu.

– Dzięki! – stwierdziłem z przekąsem i zapchałem się szarlotką.

Bezlitośnie wypunktowała wszystko, co – według niej – kulało w moim związku. Szczególnie podkreśliła to, że Wiktor wystawił mnie tuż przed weselem. To nie jest jakiś biedak, który na bilet lotniczy musi oszczędzać latami! – grzmiała. Wiedział, jak bardzo ci zależy, żebyście mogli być tam razem. Tak się nie robi! Mówiła

też, że w naszym związku wszystko jest ułożone pod niego, jego pracę, plany. O terminie wyjazdu na Majorkę też zdecydował on! A co by było, gdybyś w tym czasie miał staż w radiu? – głośno zadała pytanie, które od dawna chodziło mi po głowie. Wyśmiała moje tłumaczenie, że to on finansował wyjazd i miał prawo zdecydować o jego terminie. W związku powinno się być partnerem, a nie ptaszkiem w złotej klatce, który być może i ma wszystko, co potrzebne do życia, ale nie ma wolnej woli. Pan chce, ptaszek jedzie. Pan nie chce, ptaszek zostaje. A finanse nie mają tu nic do rzeczy, a jeśli mają, to nie ma mowy o związku, tylko o układzie sponsorowanym – podsumowała bez litości. Nie dała mi dojść do słowa. Pamiętam, jak do Warszawy wyjeżdżał chłopak pełen marzeń, planów, mocy. A co dziś z niego zostało? – Wlepiła we mnie swoje umalowane na szaro oczy. Zrobiła pauzę, ale nie miałem pomysłu, jak ją wypełnić. Rozgościłeś się w tym luksusowym apartamencie i zapomniałeś, po co stąd wyjechałeś! Gdzie się podziały twoje aspiracje? Co zrobiłeś ze sobą przez ostatni rok? Gdy udało mi się powiedzieć, że przecież jestem w radiu, natychmiast wytknęła mi, że poszedłem tam dopiero, gdy Wiktor wyjechał. Pomyśl, czego tak naprawdę ci brakuje, gdy go nie ma. Poza seksem, bo to można sobie zawsze zorganizować. Było fajnie, gdy była sielanka, życie jak w bajce. A w sytuacji kryzysowej Wiktor się nie sprawdza. Dorosły facet podporządkowany matce. Na takiej ziemi nic nie

urośnie. Nic – skończyła wywód, bo w łazience zrobiło się cicho, a to był znak, że lada chwila dołączy do nas Matyllda. Zagotowało się we mnie. Kim jest matka mojej przyjaciółki, żeby częstować mnie takimi wykładami? Co ona wie? Z jakichś strzępków informacji, które wyciąga od córki, buduje te wyimaginowane historie i próbuje mnie pouczać. Niech się zajmie swoim małżeństwem, w którym mąż siedzi pod pantoflem i ani piśnie. W moim związku wszystko jest w jako takim porządku. A kryzys jest spowodowany wyłącznie chwilową nieobecnością Wiktora. Minie wraz z jego powrotem.

Matyllda odwoziła mnie do domu w ciszy. Dopiero przed wyjściem z auta w jednym krótkim zdaniu poprosiłem ją, żeby nie wprowadzała swojej matki w szczegóły mojego związku. Gdy wbiegałem do klatki, odruchowo zadarłem głowę i spojrzałem w okna Marii. W jej pokoju, mimo późnej pory, paliło się światło. Przez chwilę rozważałem, czy wejść na górę i zapukać do drzwi. Rozmyśliłem się w momencie, gdy spojrzałem na zegarek. Było po pierwszej. W domu wszyscy już spali, ale ja ciągle przewracałem się z boku na bok. Myślałem o wszystkim, co dziś usłyszałem. Szczególnie o tym, czego mi brakuje pod nieobecność Wiktora? Okazało się, że nie jest tego aż tak dużo. Przepędziłem te myśli i zmusiłem się, by zasnąć. Rano przeszła mi złość na Matylldę i jej mamę. Komu jak komu, ale im nie mogę zarzucać, że życzą mi źle.

Poszliśmy z mamą najpierw na zakupy, potem na cmentarz. Po kilkugodzinnym szorowaniu pomnika babci wybrałem się do Matyldy. Antonina była smutna, nie skakała na mnie przy drzwiach, nie merdała ogonem, nie czekała. Widać tęskniła za Ryszardą. Prawdziwa bomba czekała na mnie w środku. Wszedłem jak do siebie, tymczasem moje miejsce przy stole było zajęte. Przy szarlotce i herbacie popijanej z porcelany Rosenthala siedział absztyfikant Matyldy – Wojtek. Ona, w zakręconych włosach i błękitnej koszuli, wyglądała niczym anielica. No i te naczynia. Mnie podejmują zwykłym duralexem! Za chwilę okaże się jeszcze, że do jedzenia używają rodowych sreber. Wyhamowałem i jednym półdupkiem przysiadłem na bordowej kanapie. Atmosfera była drętwa. Ona trzymała filiżankę za uszko, pilnując, by mały palec nie był nieestetycznie odgięty. On jadł ciasto, prosząc opatrność, by ani jeden okruszek nie spadł na dywan. To był istny pastisz *Dynastii!* Z tym że siedzące przede mną postacie traktowały swoje role śmiertelnie poważnie. Próbowałem załapać, o czym rozmawiają, i płynnie wejść w konwersację, ale nie umiałem aż tak się usztywnić. Najmniejsze otwarcie ust mogło się skończyć salwą śmiechu, która jednym podmuchem zniszczy tę misternie zbudowaną dworską atmosferę. Po chwili do salonu wkroczyła Królowa Matka z dzbankiem, w którym parzyła się świeża herbata. Dzbanek był na podgrzewaczu, a mnie brakowało już tylko zespołu

dziewic grających na lutniach. Postanowiłem wrócić do domu. Matka Matyldy zaoferowała, że mnie odwiezie.

– Nie rozmawiam o Wiktorze! – zastrzegłem natychmiast po zapięciu pasów.

– O nic nie pytam! Spokojnie.

– Co to za szopka była? – przeszedłem do kontrataku w odwecie za wczorajszą pogadankę. – Udajecie arystokrację na potrzeby potencjalnego zięcia?

– O czym ty mówisz? – udała zaskoczoną.

– O tym, co się dzieje w domu. Jest bułkę przez bibułkę. I to mocno. A, ę.

– Przecież nie podam chłopakowi herbaty w obitym kubku – próbowała bagatelizować.

– A ten Wojtek to tak bez zapowiedzi wpadł?

– Nie. Wiedziałyśmy, że przyjdzie.

– Jasne. – Zaśmiałem się. – Normalnie Matylda nie chodzi w lokach.

– To już się nawet elegancko nie można ubrać?

– Można, można. Ale on wie, że się o jego względy staracie?

– Jakby nie wiedział, to by ciągle nie wpadał. Nie przesiadywał.

– Na moje oko to tam jest mało chemii, a dużo napięcia. Siedzieli, jakby połknęli kije – oceniłem.

– Dlatego wyszłam.

– I ustaliłyście jakiś znak, że może już pani wrócić? Świeca w oknie? Coś w tym stylu? – zażartowałem. – A w ogóle jaki jest cel jego wizyty? I co będzie, jak mąż

wróci wcześniej?

– Zaraz cię wysadzę – ostrzegła.

– Dobra, dobra. Nic nie mówię! Ale mój związek potrafiła pani na czynniki pierwsze rozłożyć, a tu...

– A tu jeszcze nie ma związku.

– I wątpię, że będzie. Koleś musiałby być szalony. Przecież wy jakąś farsę przed nim odgrywacie. Spłoszycie go tą porcelaną w ciągu miesiąca.

– Myślisz?! – Zahamowała gwałtownie.

– No pewnie! Kto to wymyślił, żeby ich tak na siłę swatać?

– Matylda twierdzi, że coś jest na rzeczy. On się jej podoba. Wysoki, przystojny, z szeroką szczęką. – Rozmarzyła się.

– On się podoba jej czy pani?

– Jedno nie wyklucza drugiego. Matylda wreszcie postawiła faceta ponad harcerstwo i zrobię wszystko, żeby to zainteresowanie utrzymać.

– Ale nie na siłę, błagam. I nie porcelaną. To są młodzi ludzie, nie emeryci.

Potem dowiedziałem się, że gdy wróciła do domu, Matylda i Wojtek byli na spacerze. Ja leżałem pod kocem i myślałem o Marii. Była cztery piętra nade mną. W normalnych warunkach już dawno bym u niej siedział i relacjonowalibyśmy sobie ostatnie wydarzenia. Tymczasem od kilku miesięcy nie rozmawialiśmy. Wiedziałem o niej tyle, ile doniosła mi mama. Czyli głównie to, czego dowiedziała się od jej mamy lub co

zobaczyła przypadkiem na ulicy. Obraz, który wyłaniał się z tych obserwacji, był z grubsza taki, że Leszek Mazur nie odstępował jej na krok. Odprowadzał do i przyprowadzał ze szkoły, jak małą dziewczynkę, która nie umie przejść przez ulicę. Gdy wychodzili z domu, to też razem. Początkowo wyglądało na to, że są bardzo zakochani, i nawet ciekawie się na nich patrzyło – opowiadała mi mama – ale nawet najbardziej zakochani potrzebują od siebie odpocząć. Wziąłem do ręki komórkę, wybrałem numer Marii i napisałem SMS: „Jestem w domu. Mogę wpaść?”.

34. Dziewięćset sekund

Odpowiedź przyszła po godzinie. Była krótka, ale konkretna: „Za 15 minut”. Byłem gotów zjawić się na górze w piętnaście sekund, musiałem poczekać, aż minie ich dziewięćset. Spokój zakłócał mi gderający w drugim pokoju ojciec. Rząd nie taki, prezydent nie taki, jego szef nie taki, sąsiedzi źli. Wszyscy tylko siedzą i knują, jak mu zrobić na złość, jak go okraść, a najlepiej by było, gdyby nie musiał pracować. Przecież tylu ludzi dostaje lewe renty! – darł się. A on ma cukrzycę – bardzo ciężką chorobę – i też się kwalifikuje do bycia rencistą, ale jest układ, który mu to uniemożliwia. Do szału doprowadzało go, że mama nie pracuje i – jak to określał – cały dzień leży. Ją natomiast ten stan wyprowadzał z równowagi. Lubiła pracować i dużo by dała, żeby mieć jakieś zajęcie. Więdnęła bez ludzi, a codzienny kontakt z moim ojcem zatruwał ją jak najgorsze pestycydy. Z chęcią bym mu wygarnął, że ludzie z cukrzycą żyją normalnie i ani myślą rzucać pracy, a on jest śmierdzącym leniem, ale się powstrzymałem. Obiecałem mamie, że nie będę komentował tutejszej rzeczywistości, choćby nie wiem, jak była skrzywiona. Pięć minut przed czasem w żółwym

tempie ruszyłem na górę. Nastawiłem uszu i próbowałem przez drzwi ocenić, kto jest w środku. Z wewnątrz nie dobiegał żaden głos, nawet telewizora. Zapukałem. Drzwi się otworzyły. Zobaczyłem obcą osobę.

– Cześć – wydusiłem z siebie. Trudno było mi uwierzyć, że mam do czynienia z Marią.

Stała przede mną szara, smutna i matowa dziewczyna w brązowym rozciągniętym golfie z włosami zebranymi w kucyk. Wyszła na klatkę i zamknęła za sobą drzwi. Zwykle zapraszała mnie do środka.

– Coś ci się stało? Chora jesteś? – Musiałem zapytać.

– Nie, czemu? – wydobyła z siebie wreszcie jakieś słowa.

– Przejrzyj się w lustrze. Wyglądasz, jakbyś nie sypiała.

– Sypiam, ale mam ostatnio dużo nauki. Więc mogę gorzej wyglądać.

– Rozumiem – odpowiedziałem, chociaż tak naprawdę pomyślałem, że wcale nie wygląda gorzej. Wygląda tak, że gorzej już być nie może, ale ugryzłem się w język. – Będziemy tu tak stać? Na klatce? Może się przejdziemy?

– Nie mam za dużo czasu.

– To znaczy?

– Zaraz muszę wracać do domu. Mam dużo nauki. Wiesz, matura za chwilę.

– OK, nie wnिकam. Co u ciebie?

– Dobrze. – Nigdy nie umiała kłamać.
– A jak... w związku?
– Jak to w związku. Raz lepiej, raz gorzej. Sam wiesz
– porównała swoją relację do mojej. To też przemilczałem.

– On jest w środku? – próbowałem jakoś podtrzymać siadającą rozmowę.

– Nie! – zaprzeczyła natychmiast.

– To czemu stoimy na klatce?

Wyraźnie zrobiło jej się głupio. Otworzyła drzwi i weszliśmy do środka. Przywitałem się z jej rodzicami. Mama mnie wyczuła, ojciec też ucieszył się na mój widok. Rozmawialiśmy o tym, co u mnie, u nich, co w pracy, na studiach. Byli pod wrażeniem, że pracuję w radiu. Natomiast Maria stała w progu pokoju i co chwila zerknęła na zegarek. Domyśliłem się, że jest umówiona z Mazurem. Miał być za kilkanaście minut. Jej pokój wyglądał dokładnie jak lokatorka. Zniknęły plakaty, zdjęcia. Nie było też dzwoneczków na żyrandolu i większości książek. W oczy rzucił mi się brak rysunku, który wiele lat temu jej podarowałem. Nazywał się *Wieś sielska*. Były na nim drewniany domek położony u stóp gór, studnia, pies, krowa i kaczki pływające w oczku wodnym.

– Marysiu, po co ty to robisz? – nie wytrzymałem.

– Nie jest tak źle.

– I to ma być jakieś pocieszenie? Z tego, co widzę, nie jest też dobrze. Nie jest nawet neutralnie.

- Daję radę. – Spuściła głowę.
- Co ciebie przy nim trzyma? Przecież on nawet nie jest przystojny.
- To kwestia gustu.
- Niech będzie. I to, że jest przystojny, musi sprawiać, że wyglądasz jak półtora nieszczęścia? Widziałaś się w lustrze? Tak wygląda szczęśliwa dziewczyna?
- Wiesz co? – Spojrzała na zegarek. – Będzie lepiej, jak już pójdiesz.
- Ja chyba właśnie zostanę – stwierdziłem.
- Ale po co? – zdenerwowała się.
- Bo nie powinnaś przebywać z nim sama.
- Ciągle jestem z nim sama. I jakoś żyję.
- Jakoś... – powtórzyłem.
- Proszę cię, idź już – nalegała. – Zdzwonimy się.
- Tak jak przez całe lato? – Nie czekałem na odpowiedź. – Ja cię nie mogę do niczego zmusić. Zrobisz, co zechcesz. – Podeszedłem do niej i ją objąłem.
- Ale nie marnuj życia. Szkoda czasu na kogoś takiego.
- Gdy staliśmy w uścisku, drzwi do pokoju się otworzyły, a do środka wtargnął Mazur. Dosłownie oderwał ją ode mnie i stanął między nami.
- Kurwa, co ty robisz?! Przecież ci mówiłem, że masz zakaz zadawania się z pedałami. To jest rasa do wybicia! Głucha jesteś? – powiedział do Marii, niemal szeptem, ale przez zęby. Był przecież w domu jej rodziców. Nie odważył się krzyknąć.
- To ja przyszedłem do niej, nie ona do mnie –

wtrąciłem się.

– Kto cię pytał o zdanie? Zajmij się obciążaniem druta swojemu kochasiowi i spierdalaj stąd! Niech cię nigdy więcej tu nie oglądam!

– Posłuchaj, gnoju. – Zrobiłem krok do przodu, nasze twarze dzieliło kilka centymetrów. – Jeśli ją skrzywdzisz, zniszczę cię jak karalucha. A dowiem się o tym, w tej wsi wszyscy wszystko wiedzą.

– I to, że jesteś ciotą, też wiedzą! Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, to cię wyniosą! – Był tak blisko mnie, że czułem z jego ust zapach piwa i papierosów.

– Spróbuj – zachęciłem.

– Zaraz zalejesz się krwią, pedrylu. Nie prowokuj i spierdalaj.

– Uważaj, dotkniesz jednej kropli krwi pedała i masz HIV. – Nie wiem, co mi przyszło do głowy, żeby to powiedzieć, ale podziałało. Odskoczył ode mnie jak oparzony.

– Brzydzę się tobą, kurwo – rzucił w moim kierunku.

– I vice versa. Jeśli zrobisz jej coś złego, zacznij uważać, gdzie chodzisz. Kroplę krwi można wstrzyknąć gdzieś w ciemnej uliczce. Nie tylko w Warszawie.

Maria stała bez słowa. Była w szoku. Pożegnałem ją troskliwym – w moim przekonaniu – spojrzeniem i wyszedłem. Też byłem zdziwiony, że nie skończyło się to mordobiciem, ale widać Mazur bał się HIV bardziej niż ludzi. I dobrze, niech się boi. Może ten strach chociaż na chwilę da oddech Marii. Byłem przerażony

i zadowolony jednocześnie. Martwił mnie stan Marysi i to, jak wyglądała, a z drugiej strony cieszyłem się, że się widzieliśmy. Mimo wszystko jest jakieś światełko w tunelu. Szkoda tylko, że nie zdążyłem z niej wycisnąć, czemu z nim jest. Gdybym znał powód, łatwiej byłoby mi zaaplikować lek na ten nowotwór. Niewątpliwie dziś coś w niej pękło. I mam nadzieję, że naprawdę się zdzwonimy, że porozmawiamy jak dawniej i że wyrwę ją ze szpon tego troglodyty.

W domu było spokojnie. Ojca ignorowałem, brata prawie nie widywałem. Jedynie w nocy i nad ranem, spaliśmy przecież w jednym pokoju. Nie wiem, gdzie spędzał całe dnie. Na pewno nie w pracy, bo – wzorem tatusia – każda praca była dla niego za ciężka. Ani nie w szkole, przecież po skończeniu gimnazjum uznał, że wie już wszystko. Jest w wieku Marii, która właśnie szykuje się do matury, a on przebił trzy lata na koszt matki.

Z mamą spędziłem cały kolejny dzień. Ojca trafiał szlag, gdy widział, że dobrze się bawimy. Odwiedziliśmy wszystkie okoliczne ciotki. Rozmowy kręciły się wokół studiów, pracy w radiu i ewentualnej dziewczyny, którą już powinienem mieć. Argument, że najpierw sława i pieniądze, a potem rodzina, działał na wszystkich. Matyldę spotkałem dopiero na cmentarzu w dniu Wszystkich Świętych. Od razu mi się przypomniało, jak wyprostowana, z wciągniętym

brzuchem raczyła się herbatą z porcelanowej filiżanki. Tylko na mnie spojrzała i wiedziała, o czym myślę. Zawczasu uprzedziła, że o tym nie rozmawia, ale gdy poszedłem do niej po cmentarzu, podjęła mnie herbatą zaparzoną dokładnie w tym samym dzbanku, który widziałem podczas wizyty Wojtka. Ale na tym skończyło się trzymanie się zasad etykiety, miałem nawet kłopoty z właściwym ułożeniem palca. Herbata została przelana do kubka, a Matylda wyznała mi, że po spacerze Wojtek odprowadził ją do domu i do niczego nie doszło. Nie pocałował jej nawet w czoło. Na pożegnanie podał jej rękę!

– To wprost kipi romantyzmem! – skwitowałem.

– Nie wszyscy muszą od razu lądować w łóżku! Mnie pasuje, że wszystko idzie powoli. Swoim rytmem.

– Ale to jest jakiś strasznie wolny rytm, kochanie. – Usiadłem przy niej. – Jak długo wy się spotykacie?

– Jakiś czas...

– Ile?

– Od kwietnia.

– Matylda, jest listopad! A on ci podaje rękę?

– A nie można podawać ręki w listopadzie? Poza tym to było jeszcze w październiku – udała głupią.

– Według mnie, jeśli ludzie się sobie podobają, to przez – policzyłem w pamięci – siedem miesięcy jednak mają ochotę się do siebie zbliżyć. I to dosłownie, fizycznie. A wy nawet nie jesteście razem. Tylko herbatki pijacie!

– Bo on tak podchodzi do mnie jak pies do jeża.
I chciałby, i boi się.

– To znaczy?

– Czasem jest takie napięcie między nami, że wybuch byłby jak bomba atomowa. I jak już myślę, że coś się stanie, to on ucieka do domu. Nie wiem czemu...

– Może ma małego? Czy coś?

– On jest strasznie nieśmiały – wydała werdykt.

– Więc ty zrób pierwszy krok. Może się boi, żeby ci w czymś nie uchybić?

– Daj spokój! – oburzyła się. – Pomyśli, że jakaś niewyżyta jestem.

– To będziecie tak spacerować do emerytury?
W weekendy w dodatku! – Wojtek na co dzień mieszkał w Warszawie, na Saskiej Kępie.

– Ja o nim myślę prawie non stop, czekam na te weekendy jak na zbawienie. Czuję, że będzie dobrze.

– Zakochałaś się?

– Chyba tak – wyznała niczym zawstydzona nastolatka i oblała się rumieńcem.

Wpadła po uszy. Teoretycznie powinienem się cieszyć. Miłość, najpiękniejsze uczucie świata, dopadła moją przyjaciółkę. Lecz w praktyce czułem problemy. Ślubu z tego nie będzie ani gromadki pulchnych bobasów. Gdy wracałem do domu – tym razem spacerkiem, dla zdrowia – dotarło do mnie, że ani wczoraj, ani dziś nie rozmawiałem z Wiktorem. Co więcej, nie przypominam sobie, żebym o nim pomyślał.

Zreflektowałem się i kontrolnie napisałem SMS. Odpowiedział, że wszystko gra i zadzwoni potem. W domu okazało się, że jestem sam. Mama z ojcem gdzieś wyszli, Dawida nie było już tradycyjnie. Przez kilka godzin nie doczekałem się telefonu od Wiktora, wziąłem prysznic i wycierając się, odkryłem na swoim ciele coś, co już kiedyś widziałem. Na brzuchu, na ramionach, na części nóg miałem wysypkę. Taką samą jak na Majorce. Jeszcze wczoraj jej nie miałem. Na pewno. Obejrzałem się dokładnie i z nadzieją, że zniknie jak poprzednio, wemknąłem się pod koc. Leżąc, myślałem, że gdyby wszystko było normalnie, o tej porze spacerowałbym z Marią i kilkoma innymi znajomymi po którymś z cmentarzy. To była nasza tradycja. Tak samo jak robienie zdjęć w polu pod miastem, na nieużywanym przejeździe kolejowym. Od kilkunastu lat na przełomie lipca i sierpnia cykaliśmy sobie fotki w tym samym miejscu, w tej samej pozycji. W tym roku tego nie potwórzyliśmy. Chwyciłem za telefon. Po trzech sygnałach odebrała.

– Słuchaj, Maria! – ruszyłem do boju. – Mnie nie interesuje, kto u ciebie jest. Za kwadrans widzę cię na dole.

– Ale... – próbowała coś powiedzieć.

– Nie ma ale! Będę czekał.

Byłem świeżo po prysznicu, ubrałem się więc ciepło, założyłem nawet czapkę. Piętnaście minut później warowałem przed wejściem do klatki z aparatem

fotograficznym w kieszeni. To nic, że dotychczasowe zdjęcia zawsze robiliśmy za dnia i latem. Gdy ktoś za dwadzieścia lat zapyta, czemu fotka z 2004 roku jest inna niż pozostałe, powiem, że szukaliśmy nowych form, a ponieważ się nie sprawdziły, to w 2005 wróciliśmy do sprawdzonych pomysłów. Kiełkowała we mnie nadzieja, że w przyszłym roku wszystko się unormuje. Logika pozwalała myśleć, że za rok o tej porze Maria będzie już studentką Akademii Medycznej, a Leszek – tylko mglistym wspomnieniem młodszeńczego buntu. Czekałem pół godziny. Nie przyszła. Mimo to postanowiłem, że zdjęcie będzie. W ramach wieczornej przebieżki udałem się na pole i sfotografowałem pustą tory. Niech będą symbolem i pamiątką luki w moim sercu, wyślę odbitkę Marii, może potraktuje to jak znak. Nie było mnie jakieś dwie godziny. Poszedłem też na cmentarz. Przede mną jeszcze jedna noc w miasteczku, jutro wracam do Warszawy. Było stosunkowo spokojnie, pomyślałem, wchodząc do klatki. Obeszło się bez ekscesów i awantur w domu. Chociaż ojciec próbował mnie prowokować. Byłem dumny, że nie uległem. I nie miałem pojęcia, w jak złą godzinę wypowiedziałem te słowa.

35. Zrozumieć chorego

Na mieszkanie moich rodziców składały się dwa nieduże pokoje, ślepa kuchnia, łazienka i przedpokój. Łącznie niecałe czterdzieści metrów kwadratowych wynajmowane od miasta. Wcześniej mieszkała w nim babcia. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby je wykupić. A było ku temu kilka okazji. Pamiętam przecież czasy, gdy żyło nam się całkiem nieźle. Mama pracowała, ojciec tak samo. Jeśli nie z bieżących dochodów, to na pewno w niedużym kredycie można było je kupić. Przepadło, teraz nie ma i pewnie długo nie będzie takiej możliwości. Moja rodzina nie ma żadnego majątku. Ani mieszkania, ani samochodu, ani ziemi. Nic. Przez chwilę były jakieś akcje czy obligacje. Nie pamiętam dokładnie, ale i one się rozplynęły. Nie bardzo wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach. Teraz na dodatek nie było też kasy na prowadzenie życia na dotychczasowym poziomie. Mimo to nigdy nie brakowało na alkohol. Imprezy do rana, zalewane – bo zakrapiane to zbyt małe słowo – alkoholem przyjęcia, rauty i śpiące po nich na siedząco towarzystwo to moje wspomnienia z dzieciństwa. Wszystkie te obrazy były jednak niczym w porównaniu z tym, co zobaczyłem

dziś. Po dwóch stronach staromodnej ławy siedzieli na fotelach mój ojciec i dziewiętnastoletni brat. A między nimi stały prawie pusta butelka wódki, trzy kieliszki i zakąska. Na rozłożonej kanapie spała mama. Nie potrafiłem stwierdzić, czy jest trzeźwa. Na mój widok ojciec i Dawid spojrzeli na siebie, miałem nawet wrażenie, że przez chwilę poczuli coś na kształt wstydu. Jednak tylko przez chwilę.

– Siadasz z nami na kielicha? – zaproponował Dawid.

Był pobudzony, ale w szampańskim humorze. Przekrwione oczy świeciły się jak diamenty. Miałem pewność, że coś brał. Odruchowo cofnąłem się do drugiego pokoju, żeby sprawdzić, czy nie zniknęła jakaś z moich rzeczy. Nauczony doświadczeniem nie przywoziłem tu nic kosztownego, ale Dawid potrafił sprzedać wszystko. Od książek po ubrania. Na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało. Wziąłem drugi tego wieczoru prysznic i z walącym sercem położyłem się do łóżka. Nie mogłem zmrużyć oczu. Przywykłem już do zasypiania w ciszy, nie musiałem czuwać. W końcu powieki mi się zamknęły. Lecz gdy ponownie je otworzyłem, za oknem nadal było ciemno. Okazało się, że przespałem zaledwie pół godziny. Zza zamkniętych drzwi małego pokoju dochodziły wrzaski. Nie wiedziałem, czy mi się to śni, czy naprawdę słyszę bluzgi, odgłosy bicia i trzaskanie drzwiami. Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem sprawdzić, co się dzieje. Pokój wyglądał jak pobojuwisko. Wokół ławy leżało

potłuczone szkło. Mimo to matka spała niewzruszona, teraz już miałem pewność, że jest pijana. Trzeba być głuchym, martwym albo zalanym w trupa, żeby nie słyszeć tego, co działo się w tym samym pomieszczeniu, a teraz trwało na klatce schodowej. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem bijących się ojca z synem. Dawid miał rozcięty łuk brwiowy, a ojcu leciała krew z nosa. Stałem na wycieracze w bokserkach i podkoszulku i nie wiedziałem, co robić. Rozdzielać ich, czy wrócić do siebie i udawać, że śpię. Jeśli o mnie chodzi, to mogliby się tu nawet pozabijać, ale gdy pomyślałem o sąsiadach, to aż mnie zemdliło. Dam głowę, że przez wizjery obserwują tę rodzinną bójkę, a rano będzie to temat numer jeden. Tamci nadal okładali się pięściami. Przerażony i zażenowany zatrzasnąłem drzwi, uciekłem do pokoju i zgasilem światło. Serce waliło mi jak młot. Włożyłem słuchawki w uszy i włączyłem muzykę. Najgłośniej, jak się dało. „Ja płaczę co noc, a łzy myje mi deszcz” – śpiewała Urszula, ale ja w dalszym ciągu słyszałem wrzaski dochodzące z klatki. Między Urszulą a Varius Manx wpadli do domu. Cały czas miałem głowę pod kołdrą, zrobiłem sobie jedynie małą dziurkę, żeby widzieć, co się dzieje. Najpierw obaj weszli do łazienki. Usłyszałem, że się myją. Potem Dawid wskoczył do łóżka, a ojciec usiadł nad nim. Dosłownie kilka chwil potem rozległo się pukanie do drzwi. Stanęli w nich dwaj policjanci.

– Sąsiedzi się skarżą – powiedział jeden z nich.

Obydwo znałem z widzenia. W miasteczku przecież wszyscy się znają.

– Ale o co chodzi? – wymamrotał ojciec.

– Bijecie się na klatce. O to chodzi – usłyszał.

– Kto się bije?

– Pan z synem.

– My się bijemy? Widzi pan, żeby ktoś tu się bił? – próbował udawać zdziwionego.

– Panie, dwa telefony były. To chyba coś jest na rzeczy? – dodał drugi, nieco bardziej stanowczy, gliniarz. Zły policjant.

– A kto dzwonił? – chciał się dowiedzieć ojciec.

– Tajemnica śledztwa – powiedział pierwszy.

– Czego? – Wynurzył się spod kołdry Dawid.

– A co pan tam chowa? – zainteresował się dobry policjant.

– Nic, nic. To syn.

– To pokaż go pan światu, a nie trzymasz pod kołdrą – rozkazał zły.

Ojcu język stanął kołkiem w ustach, mamrotał coś bez ładu i składu. Nie widziałem jego miny, bo siedział tyłem do mnie, ale byłem przekonany, że wygląda jeszcze bardziej debilnie niż zwykle. Stojący w progu policjant chciał porozmawiać z Dawidem. Ojciec dobrze wiedział, że syn coś wziął, więc próbował go ratować.

– Chory jest – wypalił. – Ma gorączkę, na cmentarzu się przeziębił.

Miałem ochotę przerwać tę farsę i powiedzieć, że

policjanci trafili do domu wariatów, którzy dodatkowo kłamią jak z nut. Jeszcze dziesięć minut temu ojciec z Dawidem wyzywali się i ciągaliby na klatce schodowej, a teraz w środku nocy tatuś tuli rozpalonego temperaturą synka. Tylko zimnego kompresu na głowie brakuje. To nic, że w pokoju obok śpi pijana kobieta. To nic, że w całym domu śmierdzi gorzałą. To nic, że synek ma świeżą ranę głowy. Nawet ich nie zainteresowało, kto śpi na łóżku obok. Pokręcili głową, coś tam popisali w kapowniku i wyszli. A moi najbliżsi już zdążyli zapomnieć, co ich poróżniło. Przez kilkadziesiąt minut wyklinali sąsiadów i typowali, który z nich wezwał policję. Odgrażali się, co im jutro powiedzą lub zrobią. Wreszcie zasnęli, ale ja do rana nie zmrużyłem oka. Moja rodzina stoczyła się na samo dno. Nawet mama. Długo trzymała fason, ale dziś poległa. Nie wiem, co sobie myślała. Że gdy wrócę, wszyscy będą już spać i jakoś się uda? Pewne jest tylko to, że się przeliczyła. Oni razem piją, potem się biją, a na koniec albo się godzą, albo niczego nieświadomi zasypiają. A rano wszystko, poza potłuczonymi szklankami, jest pięknie. Może nawet zastanawiają się, skąd te siniaki i rany na ich twarzach. Dwa i pół roku poza tym domem to szmat czasu. Dużo się wydarzyło, dużo przeżyłem, ale po tym, co dziś widziałem, wiem, że czuwała nade mną opatrzność, jakaś dobra siła, która mnie stąd zabrała. O szóstej spakowałem rzeczy i wyszedłem z domu. Uciekłem. Na podłodze i ścianach klatki dostrzegłem

ślady krwi. Po drodze zaszedłem do kiosku matki Matyldy. Od razu wiedziała, że coś się stało, a na czas mojej opowieści urządziła przyjęcie towaru. A potem zapaliła papierosa.

– Czułam, że Irena pije – oznajmiła.

– Ja też.

– Ciągłe kupuje piwsko. Czasem wychodzi trącona.

– Na ulicę?! – zapytałem z niedowierzaniem. Niestety, przytaknęła. – To są degeneraci – kontynuowałem. – W dwa lata wszystko zniszczyli.

– Co zniszczyli?

– Tę... rodzinę. Ten dom. – Hamowałem łzy cisnące mi się do oczu.

Godzinę później byłem już w drodze do Warszawy. Przysnąłem. Aż strach pomyśleć, ale w autobusie czułem się bezpieczniej niż w rodzinnym domu. Mama zadzwoniła dopiero po dziewiątej. Nie odebrałem. Dotarłem na Bobrowiecką przed jedenastą. Ledwo zdążyłem zamknąć drzwi, znów usłyszałem telefon. Szybko wyjąłem go z kieszeni i nacisnąłem zieloną słuchawkę.

– Chyba nie chcesz wiedzieć, co mam ci do powiedzenia! – krzyknąłem.

– Jeśli chcesz mi się oddać na stole miksterskim, nie tylko chętnie to usłyszę, lecz także zrobię! – usłyszałem głos Szymona.

– A, to ty. Sorry. Myślałem, że to moja matka. Dzwoni

od rana jak wściekła.

– I co chcesz jej przekazać takim tonem?

– Takie tam. Rodzinne sprawy. – Nie zamierzałem go wtajemniczać. – Chyba mi nie chcesz powiedzieć, że miałem być dziś w pracy, ale mnie nie było? – zmieniłem temat.

– Nie, spokojnie. Dzwonię z prośbą. Musisz jutro nagrać Otylię Jędrzejczak.

– Jak to nagrać Otylię Jędrzejczak? – Nie bardzo zrozumiałem.

– Miała do nas przyjść pojutrze rano, ale coś jej wypadło i chcę puścić rozmowę z nią z puszki.

– I ja mam nagrać rozmowę, którą chcesz puścić w radiu?

– Właśnie.

– A czemu nie ty?

– Nie mam kiedy. Nikt inny akurat nie może. Padło na ciebie.

– Ale jak to na mnie? – dopytywałem, jakby mówił w obcym języku. – Przecież ja w życiu czegoś takiego nie robiłem.

– A w tej swojej gazetce? – sprawdził mnie.

– Szymon, przecież to czyta ledwie tysiąc osób. Nie ta skala – broniłem się.

Cieszyłem się, że mi to zaproponował, ale bałem się też odpowiedzialności.

– Nie pierdol! Inaczej byś ze swoimi rozmówcami gadał do CNN?

– No nie.

– Właśnie. Czytałem te twoje rozmowy w internecie. Dasz radę. Sprzęt i wszystkie niezbędne informacje czekają w redakcji. Powodzenia. – Odłożył słuchawkę.

Nie zdążyłem powiedzieć, że przecież za grosz nie znam się na sporcie. Nic nie zdążyłem powiedzieć. A o Jędrzejczak wiedziałem tylko to, że jest mistrzynią olimpijską i że kiedyś Wiktor wspominał mi, że robił z nią jakąś imprezę. Zapomniałem o trudnej nocy, wyłączyłem komórkę i przetrząsałem sieć w poszukiwaniu informacji o niej. Zacząłem wymyślać pytania, ale każde kolejne wydawało mi się bardziej banalne od poprzedniego. Nigdy nie chciałem być jednym z tych, którzy pytają: „Jak zaczęła się pani przygoda z pływaniem?”. Po ponad pięciu godzinach szperania byłem jako tako przygotowany. Pojechałem do radia, zabrałem sprzęt, listę sugerowanych przez Szymona zagadnień i kartkę z numerem telefonu do pływaczki. I wtedy przypomniałem sobie, że chyba wypada włączyć telefon. Dzwonili wszyscy święci. Mama, Wiktor i Zbyszek. Zupełnie o nim zapomniałem. W tych dniach wylatuje za granicę. Mieliśmy się zobaczyć. Do niego oddzwoniłem w pierwszej kolejności. Okazało się, że jest już w Warszawie i w związku z tym, że nie mógł się ze mną skontaktować, zaczął szukać hotelu na nocleg. Oczywiście zaproponowałem mu gościnę, mieliśmy się spotkać na rogu Chełmskiej i Sobieskiego. Kiedy tam zmierzałem,

znów zadzwoniła mama.

– Gdzie ty jesteś? Cały dzień cię nie widziałam! – powiedziała oburzona.

– Słucham? – zapytałem.

– Jak można wyjść z domu bladym świtem i nie dać znaku życia do południa. Obiad już dawno wystygł. Jesteś u Matyldy?

– Mamo – zrobiłem pauzę, żeby zebrać myśli – byłeś dziś w łazience?

– Oczywiście! – wydawała się zaskoczona moim pytaniem.

– I nie zorientowałaś się, że nie ma tam moich rzeczy?! – podniosłem głos.

– Nie zwróciłam uwagi. – Była zmieszana. – Jesteś w Warszawie?

– A może po prostu jeszcze nie wytrzeźwiałaś?!

– Słucham?

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię! Leżałaś wczoraj nieprzytomna do tego stopnia, że można cię było spakować w paczkę i wysłać w dowolną część świata! Latały nad tobą pobite szklanki i kurwy, a ty błogo spałaś. Pijana!

– Ale... – Nie miała pomysłu na odpowiedź.

– Wydało się! Nie wiesz, czemu tatuś jest posiniaczony, a Dawid ma rozcięte czoło? Nie wiesz?! To ja ci powiem! Bili się w nocy! W domu i na klatce schodowej! Aż ktoś zadzwonił po policję! I była policja – nakręcałem się coraz bardziej. – A pierdolnik

w pokoju cię nie zastanowił? Co? Może pies ściągnął obrus ze stołu i wszystko się potłukło? Tak było? A ty spałaś z migreną? I nie kontaktowałaś, bo byłaś na proszkach nasennych? Mam rację?!

– To znaczy... Nic o tym nie wiem.

– To już wiesz, mamó – powiedziałem oschle. – Pijesz. Wczoraj znów to widziałem. Pijesz, odkąd wyjechałem, odkąd nie musisz się przede mną ukrywać, odkąd nikt cię nie strofuje. Pijesz, mamó! A być może nawet chlejesz! Ludzie cię widzą!

– Gdzie mnie widzą?! No powiedz! Gdzie mnie widzą?! – przeszła do kontrataku.

– Jak kupujesz alkohol, jak łazisz pijana przed blokiem! Ty się nie wstydzisz? Stajesz się taka jak twój ograniczony mąż!

– Nie zapędzaj się! – ostrzegła.

– Ja się będę zapędzał! Bo ty się już dawno zapędziłaś. Alkoholiczki nikt nie zatrudni, mamó. Nigdzie. Nawet do sprzątnia. A jeśli nie masz pracy, to nie wydawaj pieniędzy na wódkę! Muszę już kończyć, jestem umówiony. Jak przemyślisz sprawę i będziesz wiedziała, co mi powiedzieć, to zadzwoń. Cześć.

Jasne, że mogłem ciągnąć tę rozmowę dalej i się nad nią pastwić. Ale po co? Przecież i tak nie usłyszałbym żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Byłem przykry, ale taki właśnie miałem być. Głaskanie po głowie nic tu nie da. Znam swoją rodzinę. Ich ulubionym zajęciem jest udawanie, że nic złego się nie dzieje. Doszli do

mistrzostwa w przemilczaniu niewygodnych tematów. Podczas gdy w rzeczywistości zgniliznę czuć na kilometr.

Tymczasem po drugiej stronie Chełmskiej stał Zbyszek z wielką walizką. Przywitaliśmy się serdecznie, a kilkanaście minut później weszliśmy do mieszkania.

– Ulala! – Rozejrzał się. – Życie jak w Madrycie!

– Akurat temat Madrytu mnie nie bawi – powiedziałem pod nosem. Na szczegóły przyjdzie czas.

– To jest pałac! – ocenił.

– Nie mój. Tylko tu mieszkam.

– Skoro jest pałac, to jest i król. Tylko gdzie?

– We wspomnianym Madrycie.

– A nie będzie zły, jak mnie tu zastanie? – badał grunt.

– Raczej się go tu ani dziś, ani jutro nie spodziewam – powiedziałem z przekąsem.

– Nie rozumiem. To on mieszka tam, a ty tu? – usiłował dopasować do siebie te puzzle.

– Od końca sierpnia tak. Głodny jesteś? Spragniony?

– A czemu tak wyszło?

– Jego mama miała wypadek. Połamała się i musi się nią zająć.

– A czemu tam? Czemu tu nie mogą przyjechać?

– Chciałbym wiedzieć, Zbyniu, chciałbym wiedzieć. – Postawiłem na stole kubki z herbatą. – Ale nie chce mi się o tym gadać.

Był wyrozumiały i nie drążył tematu. Chociaż jego

mina mówiła wiele. Matylda nic nie rozumiała z tej sytuacji, podobnie jej matka, Nina, a teraz też Zbyszek. Tylko ja twierdziłem, że wszystko idealnie rozumiem, ale już o tym nie rozmawialiśmy. Skupiliśmy się na sprawie Mariusza. Nikomu o tym nie mówiłem, tylko Zbyszek wiedział o ubiegłotygodniowej wizycie. Opowiedziałem mu, jak rozprawiłem się z tym gościem z przeszłości. Rozmawialiśmy w najlepsze, gdy zadzwonił Wiktor. Zbyszek poszedł się kapać, a ja streściłem wydarzenia z wizyty w miasteczku.

– Nie rozumiem, po co tam pojechałeś – podsumował.

– Choćby dlatego, żeby nie siedzieć sam w domu. Bo niedługo zacznę tu mówić do siebie. A nie jestem jasnowidzem i nie mogłem przewidzieć, czego będę świadkiem. Zresztą gdybym umiał przewidywać przyszłość, wiedziałbym, jak długo mam jeszcze na ciebie czekać.

– O co ci chodzi? Masz Ninę, Maćka, Maję. Może nie umrzesz z samotności?

– Jeśli ty nie widzisz problemu, to nie wiem, czy jest sens kontynuowania tej rozmowy. Nasz związek więdnie! Odbębniamy codziennie pół godziny przez telefon i każdy wraca do swoich spraw. Tak to ma wyglądać?

– Nie kłóćmy się znów – zaproponował. – Przecież wiesz, że nie mam na to wpływu. Mama chce się rehabilitować tutaj. Nie ufa polskim lekarzom.

– Ale są jakieś postępy? Lepiej się czuje? Wiadomo, kiedy skończy się ta rehabilitacja? – zarzuciłem go pytaniami, chociaż tak naprawdę miałem ochotę powiedzieć, że tak samo jak ona nie ufa polskim lekarzom, ja nie ufam jej.

– Mówią, że przed świętami powinno być już dobrze.

– Kolejne dwa miesiące? – policzyłem szybko.

– Półtora – poprawił mnie Wiktor, jakby to miało coś zmienić.

– Będę robił wywiad z Otylią Jędrzejczak – zmieniłem temat na przyjemniejszy.

– Do gazety?

– Nie. Do radia – oznajmiłem dumny z siebie.

– Ty? – Był wyraźnie zaskoczony.

– Ja. I będzie na antenie.

– Ale czemu ty? Nie było kogoś innego? – powiedział to tak, jakbym ja się do tego nie nadawał.

– Nie wiem, Wiktor. Szymon poprosił mnie. Więc chyba uznał, że jednak potrafię to zrobić.

– Szymon cię poprosił? – Poczuję wyrzut.

– Tak. Szymon mnie poprosił. Pracujemy razem i czasem mnie o coś prosi. – Znów przestało być miło.

– Tylko się nie zapędź w spełnianiu próśb... pana Szymona – wyraźnie kpił.

– Bądź spokojny. Poza tym Zbyszek też twierdzi, że dam sobie radę. – Wiktor znał Zbyszka z moich opowieści. – Zna się na pływaniu, więc mi coś podpowie. Mamy całą noc na korepetycje ze sportu.

– Zbyszek tam jest? – zapytał zaskoczony.

– Tak. Leci jutro do Londynu na stypendium i nocuje u nas.

– Nocuje w moim domu obcy facet? – brzmiał poważnie.

– W – podkreśliłem – twoim domu nocuje mój kolega, który rano leci samolotem do innego kraju. Masz z tym jakiś problem?

– A ty nie masz?

– Nie mam.

– Mnie nie ma w domu, a ty nocujesz facetów? – Był oburzony.

– To znaczy, że jak ciebie od dwóch miesięcy nie ma w domu, mam zakaz prowadzenia życia towarzyskiego i spotykania się z ludźmi?!

– Z gejami! Nie z ludźmi, tylko z gejami!

– Ja pierdołę! Co to jest za rozmowa? O czym? Wróć i mnie pilnuj w takim razie! Może przestanę wychodzić z domu?! W autobusie też mogę spotkać geja, który zerżnie mnie między przystankami. A ja ochocho rozłożę nogi! Nie chce mi się już z tobą gadać. Jak przemyślisz sprawę, to zadzwoń. Żegnam. – Rzuciłem słuchawką.

Ostatnio trzy na pięć naszych rozmów kończyły się albo awanturą, albo – w najlepszym wypadku – ostrą wymianą zdań. Wykańczało mnie to. Wiktora denerwowało wszystko. Że żyję, że wychodzę, że spotykam się z ludźmi. A dziś wyszło na jaw, że nie

traktuje poważnie mojej pracy. Na wieść o wywiadzie z Jędrzejczak niemal otwarcie mnie wyśmiał. Nie wiem, co z naszej kłótni usłyszał Zbyszek. Podczas kolacji nie poruszał tego tematu. Zainteresowała go natomiast moja wysypka. Miałem obsypane prawie całe nogi i trochę ręce. A że siedziałem w T-shircie i bokserkach, było ją doskonale widać.

– A to jakieś uczulenie? – zapytał.

– Chyba tak, pewnie przez wodę w miasteczku. Ostatnio miałem coś takiego w Hiszpanii w sierpniu. Wtedy samo przeszło, pewnie przejdzie i teraz.

– Woda w Hiszpanii i woda w miasteczku raczej nie jest taka sama – zauważył. – Nie chcesz wiedzieć, co cię uczuła?

– No w sumie chciałbym.

– To czemu nie idziesz z tym do lekarza? Do alergologa.

– Pójdę jakoś w tygodniu.

– Koniecznie. Zawsze lepiej wiedzieć.

Rano przed wejściem do taksówki uściskał mnie i powiedział, że nie wystarczy, żebym patrzył. Stwierdził, że muszę patrzeć i widzieć. I że ma nadzieję, że z Warszawy będzie bliżej do Londynu niż do Krakowa. Po zajęciach pogałęm na AWF, na wywiad z Otylią. Rozmawialiśmy czterdzieści minut. Moim zdaniem poszło nieźle, ale to Szymon zdecyduje, czy nagranie jest warte emisji. Wieczorem pojechałem na

Wolę. Niny nie było dziś na zajęciach, nie widzieliśmy się ponad tydzień. Przez cały dzień była poza zasięgiem. Zobaczyłem, że w jej pokoju pali się światło. Wbiegłem na górę, zadzwoniłem. Otworzyła drzwi. Była blada jak ściana, rozczochrana, zmęczona. W dłoni ścisnęła wymiętą chusteczkę higieniczną. Wpuściła mnie bez słowa. Poszła do pokoju, ja za nią. Kanapa była wprost usłana zużytymi papierowymi chusteczkami.

– Jestem w ciąży – powiedziała i zalała się łzami.

36. Autodiagnoza

Okazało się, że Nina od dwóch miesięcy nie dostała okresu. Miała też dwudniową przerwę w łykaniu pigułek antykoncepcyjnych. Była przerażona. Karolowi jeszcze nic nie powiedziała, rodzicom także. A na zajęcia nie przyszła, bo od kilku dni myśli, co z tym zrobić.

– A wiadomo, który to tydzień? – zapytałem, siadając między chusteczkami.

– Nie wiem, nie byłam u lekarza – odpowiedziała.

– To skąd wiesz, że jesteś w ciąży? – Spojrzałem na nią zaskoczony.

– Od dwóch miesięcy nie mam okresu! Nic! Pustynia. Chcesz lepszego dowodu?

– Moim zdaniem musisz iść do ginekologa. I to jak najszybciej. Inaczej masz szansę na Złamasa Roku w kategorii „Autodiagnoza”.

Te słowa trochę ją rozweseliły, ale nie na długo. Dzień wizyty u lekarza przyszedł szybko. Rano w radiu puścili fragmenty mojej rozmowy z Otylią, potem mieliśmy ćwiczenia na wydziale, a po ich zakończeniu poszliśmy do przychodni. Zainwestowaliśmy w prywatne wizyty, po siedemdziesiąt złotych. Ja czekałem do gabinetu dermatologicznego, a Nina do

ginekologa. Przyjęła mnie sympatyczna lekarka w średnim wieku, bardzo szczupła. Włosy miała spięte w kok na czubku głowy, który natychmiast skojarzył mi się z wielkim penisem we wzwodzie. Wypytała mnie o wszystko i wypisała skierowanie na badania.

– Pielęgniarka pobierze panu krew i za tydzień będziemy wszystko wiedzieli – powiedziała.

– Dopiero za tydzień? – zdziwiłem się, że tyle to trwa.

– Tak, bo tutaj nie mamy laboratorium i wysyłamy próbkę na zewnątrz.

– I płacę za to dodatkowo? – przestraszyłem się, bo siedemdziesiąt złotych to już była dla mnie poważna suma.

– Nie, nie. To wszystko jest w ramach opłaty za wizytę u mnie. Chciałabym jednak, żeby zobaczył pana specjalista od chorób zakaźnych.

– Dlaczego? – Wbiłem w nią spojrzenie.

– Mówił pan, że był ostatnio za granicą? – Przystawiła pieczątki na skierowaniu i w karcie.

– Tak. Tam pierwszy raz mnie obsypało.

– Właśnie dlatego proszę się zwrócić do innej poradni, dla świętego spokoju. Wypisuję skierowanie. I proszę nie zwlekać. Najlepiej, gdyby na kolejną wizytę u mnie przyszedł pan już z diagnozą stamtąd. To można zrobić państwowo i za darmo. Polecam szpital na Wolskiej.

Gdy dawałem się kłóć, Nina w dalszym ciągu była w gabinecie. Kiedy wyszła, nie umiałem nic wyczytać

z jej twarzy. Nie było tam ani radości, ani przerażenia. *Poker face*. Natomiast ja zdążyłem sobie wyobrazić drugą w tym roku walkę o życie poczęte. Dziecko Roberta i Darii urodzi się lada chwila, a Niny – jeśli ona naprawdę jest w drugim miesiącu – przyjdzie na świat w maju. Trochę szkoda, że będzie mieć takiego beznadziejnego ojca.

Usiadła koło mnie.

– Nie jestem w ciąży – oznajmiła i wypuściła powietrze.

– A okres?

– Zatrzymał się.

– Jak to się zatrzymał? Szedł i zawrócił? – Nie rozumiałem.

– Powiem ci coś, ale nie będziesz krzyczał?

– Zależy, co to będzie.

– To chyba przez złą dietę – wyznała cicho.

– No... powiem ci, że jesteś dla siebie bardzo delikatna. To, co ty ze sobą robisz, można nazwać dietą?
– podniosłem głos. – Nina, musisz zacząć jeść normalnie, a najlepiej, gdybyś zostawiła Karolka. Przecież on cię wpędzi w jakąś chorobę! O ile już nie wpędził! Na moje oko jesteś na najlepszej drodze do bulimii! Dziewczyno! Okres ci się zatrzymał! – zacząłem krzyzczeć.

– Miałeś się nie drzeć!

– Potrzebujesz pomocy specjalisty czy sama dasz sobie radę? – zapytałem już spokojnie.

Nie odpowiedziała, ale po drodze na Wolę wspomniała o sugestii lekarki, że jeśli cierpi na zaburzenia łaknienia, powinna pójść na terapię. Na szczęście Nina nie jest dziewczyną, która nie pójdzie do psychologa, bo będzie się wstydzić. Myślała i myśli racjonalnie i jestem przekonany, że jeśli uzna, że sama sobie nie radzi, to wyciągnie rękę po pomoc. Postanowiłem ją obserwować i już na pierwszy rzut oka było widać, że prawdziwy powód zaniknięcia miesiączki wstrząsnął nią chyba bardziej niż ewentualna ciąża. Przyznała się, że waży nieco ponad czterdzieści kilogramów przy całkiem przeciętnym wzroście. Podejrzywałem, że do normy brakuje jej jakichś piętnastu kilogramów. Miała nienaturalnie wielkie zapadnięte oczy, cienkie rączki i nieproporcjonalnie dużą głowę. Przy winie obiecała mi, że spróbuje zacząć normalnie jeść. A z pomocy psychologa skorzysta, jeśli miałoby się nie udać. Pierwszy raz przyznała też przede mną, że jej związek nie należy do udanych. Przez parę chwil wydawało mi się, że nareszcie go zakończy. Jestem pewien, że miała tę myśl w głowie, ale nie do mnie należało wydobyć jej na światło dzienne. To ma być decyzja Niny i podejmie ją wtedy, gdy sama będzie tego chciała. Przynękała, że porozmawia z Karolem, gdy tylko ten wróci z Oslo. Pojechał tam z matką i przedłużyli sobie weekend o cały tydzień. Dla Niny, rzecz jasna, zabrakło miejsca w samolocie.

Gdy kończyliśmy butelkę, wróciła do tematu, którego

ja nie chciałem poruszać. Przypomniała sobie, że nie tylko ona była dziś u lekarza.

– A jak u ciebie? Może chociaż ty jesteś w ciąży? – próbowała zażartować.

– Kochaniutka, chyba musiałbym być wiatropylny. Ja od dwóch miesięcy nic a nic. Pustynia. Celibat: sześćdziesiąt trzy, dyming: zero. – Moja sytuacja skojarzyła mi się z wynikiem meczu.

– Czemu sześćdziesiąt trzy? I co to jest dyming? – zapytała.

– Sześćdziesiąt trzy dni celibatu i zero dymanka – wyjaśniłem z żalem.

– A wysypka?

– Za tydzień będą wyniki badań, ale wiesz co? Ona mi kazała iść do specjalisty chorób zakaźnych.

– Czemu zakaźnych? – Była równie zaskoczona jak ja.

– Nie wiem, ale powiedziała, żebym nie zwlekał. – Powtórzyłem jej słowa lekarki.

– No i co?

– Chyba nie mam wyjścia. Pójdę w piątek.

– W piątek? Czemu w piątek? W piątek są twoje urodziny! – przypomniała mi.

– A to jakoś ze sobą koliduje? – Wypiłem ostatni łyk wina. – Zresztą nie mam planów na ten dzień. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że Wiktor przyleci z Madrytu. W ramach prezentu.

– A jakiś inny prezent? Bo nie wiem, czy to marzenie

będę w stanie spełnić.

– Nie. Tylko Wiktor.

Zostałem na noc na Woli. Tęskniłem za Wiktorem. Kłóciliśmy się, ale bardzo mi go brakowało. To był facet mojego życia, a kryzysy w związkach to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. A w przeddzień moich urodzin odbyliśmy całkiem przyjemną rozmowę. Mówił o coraz większych sukcesach w rehabilitacji Marty i planował wspólne Boże Narodzenie, ale co najważniejsze, wypytywał o plany na weekend. To ostatnie sprawiło, że naprawdę uwierzyłem, iż jutro wieczorem stanie przede mną. I wreszcie porozmawiamy bez pośrednictwa satelity. Nie szykowałem się jakoś starannie. Wszystko miało wyglądać tak, jakbym nie spodziewał się jego przyjazdu. Poodkurzałem dokładniej niż zwykle, podlałem kwiaty. Dom miał wyglądać jak wtedy, gdy Wiktor z niego wychodził. Gdy nadszedł urodzinowy piątek, wyszedłem wcześniej z zajęć i pognałem na Wolską. Poranne wstawanie już nie robiło na mnie wrażenia. Przestałem odsypiać w ciągu dnia, tylko wieczorem kładłem się odrobinę wcześniej. W szpitalu byłem umówiony o wpół do drugiej, ale zapomniałem, że dziś jestem w państwowej placówce i godzina wizyty może być ruchoma. Do gabinetu wszedłem przed piętnastą. Na drzwiach widniał napis „lek. med. Szczepan Rafalski”. Spodziewałem się starszego pana, tymczasem za

biurkiem siedział młody facet. Lekko po trzydziestce, ale szpakowaty, w okularach z niebieskimi oprawkami. Wręczyłem mu skierowanie, a on od razu kazał mi się rozebrać.

– Ale jak to rozebrać? – Dawno nie byłem tak zmieszany.

– Proszę zdjąć koszulę, spodnie, bieliznę i się położyć. – Wskazał ręką na leżankę.

– Do naga?

– A jak mam pana obejrzeć? Przez ubranie? – zapytał oschle.

– Panie doktorze – próbowałem go odwieść od pomysłu rozbierania. – Ja mam wszędzie taką samą wysypkę jak tu. – Podwinąłem rękaw koszuli.

– Będziemy się licytować? Proszę pana, ja nie mam na to czasu. Albo się pan rozbiera, albo się żegnamy. Ludzie czekają. – Patrzył na mnie zza okularów.

– Dobrze, już dobrze. Niech się pan nie gorączkuje – ustąpiłem i bardzo niechętnie zacząłem zdejmować ubranie. – Na pewno wszystko mam zdjąć? – upewniłem się, stojąc w różowych bokserkach.

– Owszem! – powiedział szorstko z oczami wlepionymi w skierowanie, którego ja nie potrafiłem rozczytać.

Po chwili, goły jak święty turecki, położyłem się na zielonej leżance. Wybrałem wariant „na brzuchu”, tak wydawało mi się bezpieczniej. Właśnie tak wyobrażałem sobie sekcję zwłok. Ciało leży

bezwładnie, a jakiś doktorek robi z nim, co chce. Zaczął delikatnie. Oglądał ramiona, plecy, nogi. I gdy już się ucieszyłem, że pominął tyłek, założył gumowe rękawiczki. Płonałem ze wstydu, a on rozchylił mi pośladki. Potem kazał się wypiąć i prawie włożył mi palec do środka. Tak się diagnozuje alergię? – krzyczałem sam do siebie w myślach. Kazał mi się odwrócić przodem. I choć byłem pewien, że ma takich delikwentów kilku dziennie i oglądanie nagich ludzi nie robi na nim wrażenia, poczułem się bardzo nieswojo. Przeciągałem tę chwilę niemal w nieskończoność. Zaczął się niecierpliwić. Cóż było robić. Kiedy już leżałem płasko, dorwał się do tego, co miałem między nogami. Macał, ściągał napletek, przewracał jądra, podnosił je i zaglądał pod spód. Byłem zażenowany. Leżałem z zaciśniętymi oczami. Nagle usłyszałem dźwięk zdejmowanych rękawiczek i wyczekiwaną komendę:

– Proszę się ubrać i zapraszam do mnie.

Serce waliło mi jak młot, szybko zarzuciłem na siebie ubranie. Chwilę później siedziałem na krześle.

– Czy ta wysypka zdarzyła się po raz pierwszy? – rozpoczął serię pytań doktor Rafalski.

– Nie. Drugi. Pierwszy raz dostałem jej dwa miesiące temu. Za granicą. Konkretnie na plaży. Myślałem, że to od wody, ale dwa tygodnie temu znów mnie obsypało.

– Czy uprawiał pan ostatnio seks bez zabezpieczenia?
– Zabrzmiał złowieszczo.

- Co znaczy ostatnio?
- W ciągu kilku miesięcy – doprecyzował.
- W ciągu kilku nie, ale w ciągu kilkunastu chyba tak
- wyznałem zgodnie z prawdą.

Ostatni seks bez zabezpieczenia miałem ponad rok temu w Krakowie. Pod mostem. Z Mariuszem.

- Ma pan pewność, że partnerka była zdrowa?
- Partner – poprawiłem go. – Ma HIV. Ja się badałem wiele razy od tamtego czasu. Jestem zdrowy.

– A inne choroby?

– Czyli? – nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– Proszę pana. Choroby weneryczne to nie tylko HIV. Badał się pan na coś jeszcze?

– Nie.

– Musi pan to zrobić. Jak najszybciej. HPV, kłykciny, rzeżączka. To na pewno.

– Do czego pan zmierza?

– Widzę, że ma pan dziś urodziny. Wszystkiego najlepszego, ale nie mam dla pana dobrych wiadomości.

– Do rzeczy, panie doktorze.

37. Urodziny

Werdykt brzmiał: kiła. Ręce mi się spociły, a puls przyspieszył. Serce pompowało krew tak szybko, że głowa zaczęła pękać. Byłem bliski płaczu. Kiła? Przecież objawy kiły to paskudne ropiejące wrzody! Nie wysypka! Dokładnie pamiętam, jak w technikum organizowaliśmy spektakl o chorobach wenerycznych. Grałem w nim właśnie kiłę. I nie było mowy o wysypce!

– Musi pan poinformować o chorobie wszystkich partnerów seksualnych – pouczył mnie lekarz. – A kiłę mogła stwierdzić dermatolog. Nie wiem, po co pana do mnie przysłała.

– Nie będzie ich tak wielu. Jeden mnie zaraził, a z drugim nie współżyłem bez zabezpieczenia – byłem szczery.

– A oralnie?

– Co oralnie?

– Czy oralnie też się zabezpieczaliście?

– Nie.

– Więc musi go pan poinformować. Jeśli nie czuje się pan na siłach, ja mogę to zrobić. Tylko musi mi pan podać numer telefonu.

– Nie, nie. Sam to zrobię – zaprotestowałem. – Panie

doktorze, jak to możliwe, że przez rok nie było najmniejszych objawów? Czułem się dobrze.

– To dość zdradliwa dolegliwość. Często przebiega bezobjawowo.

– I co teraz?

– Teraz zaczniemy leczenie.

– Da się to całkowicie wyleczyć? – zapytałem, chociaż bałem się odpowiedzi.

– Oczywiście. Od dziś zacznie pan przyjmować zastrzyki z penicyliny. Dość bolesne, ale skuteczne. Za miesiąc nie będzie śladu po chorobie.

– Co? Penicylina? To niemożliwe! – zareagowałem nerwowo.

– Czemu? – Zdjął okulary z nosa.

– Jestem uczulony.

– Więc biotraxon. – Założył je ponownie.

– Też w zastrzykach? – liczyłem, że odpowiedź będzie przecząca.

– Też.

– A nie mogę dostać tabletek?

– Czy pan z natury jest taki przekorny? – zirytował się doktor. – Gdy mówię, żeby się pan rozebrał, to pan zwleka. Gdy wypisuję zastrzyki, pan chce tabletki. Ja jestem lekarzem, pan pacjentem.

– Po prostu proponuję... – Poczujęm się zrugany.

– Propozycja odrzucona – powiedział stanowczo.

Co za cham! Opryskliwy i nieprzyjemny! Jeśli ma takie podejście do wszystkich pacjentów, to im

współczuję. Wcale nie wczułem się w moją sytuację, w moje cierpienie, w mój wstyd. Chłodno rzucał formułki, co trzeba, co wolno, a czego nie. Naturalnie odpada seks, ale to nie problem, bo chwilowo mój seks jest tysiące kilometrów stąd. Chwila! – pomyślałem w drodze do gabinetu, w którym miałem dostać pierwszy z trzydziestu zastrzyków. – A jeśli on z każdą minutą jest bliżej mnie? Jeśli leci do Warszawy? Nie wysłał SMS-a z życzeniami, nie zadzwonił. To będzie tragedia! Wiktor przyleci, a ja mu powiem, że nie mogę go nawet pocałować, bo... mam kiłę. Odsłoniłem pośladek i nagle poczułem ukłucie. Nie, żebym umarł z bólu, ale do przyjemności też było daleko. Syknąłem i z trwogą ruszyłem do domu. Co zrobię, jeśli on już tam jest? Przecież nie musi się zapowiadać przed przyjazdem do własnego mieszkania.

W drodze ze szpitala zadzwoniła Matylda. Niewiele brakowało, a cały autobus dowiedziałyby się o mojej chorobie. Zamknąłem się w ostatniej chwili. Przy okazji dowiedziałem się, że Wojtek zgodził się poprowadzić zajęcia z tańca na organizowanym przez nią zjeździe zuchów i harcerzy z całego województwa. Potraktowała to jako kolejny dowód zainteresowania. A w drugi dzień świąt wieczorem mieliśmy zjazd klasowy. Niektórych nie widziałem od kilku lat! I jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, będę już po kile i znów będę mógł być symbolem sukcesu dla moich dawnych kolegów. Nie wiem jeszcze, jak przeskoczę nieuniknioną wizytę

w domu, przecież muszę gdzieś spać, ale zjazdu klasowego na pewno nie odpuszczę. Jestem próżny, a ponieważ dojrzewam ładnie, to lubię takie spotkania po latach. Niektórzy pamiętają mnie jako pokracznego chłopca z rudymi włosami i w plastikowych okularach, a teraz stanie przed nimi całkiem ogarnięty mężczyzna studiujący na UW. Gdyby jednak wiedzieli, jak bardzo ten mężczyzna był upokorzony... Wrócił do domu wymacany przez lekarza, z pokłutym tyłkiem i chorobą weneryczną. Pewnie gdybym żył tam, gdzie oni, nic takiego by mnie nie spotkało.

Czułem się podle. Było mi tak wstyd, że nawet przyjaciółce nie potrafiłem wyznać prawdy. Ninie chyba też nie powiem. Nikomu nie powiem. Tylko Wiktorowi. Mus to mus. Do mieszkania wszedłem bezszelestnie. Wszystko bez zmian. Ani śladu mojego faceta. Sam nie wiedziałem, co byłoby dla mnie lepsze. I chciałem, żeby przyjechał, i bałem się. Odbierałem kolejne urodzinowe telefony i SMS-y, w tym krótki od Marii: „Pamiętam, ściskam”. Nawet matka zadzwoniła. Nasza rozmowa była sucha. Wszystkiego najlepszego, spełnienia marzeń i, o zgrozo, zdrowia. To jej stała formułka. Podziękowałem i się rozłączyłem. Wiktor nie dzwonił, a ja siedziałem jak na bombie zegarowej. Przyjedzie czy nie przyjedzie. Minęła dwudziesta, robiłem się coraz bardziej senny, a rano szedłem do radia. Powieki zaczęły mi opadać, zasnąłem. Pięć minut przed północą usłyszałem dzwonek telefonu. Otworzyłem oczy

i podniosłem się, żeby odebrać. Dwie dobre informacje, pomyślałem. Pierwsza: nie przyjechał, nie będę musiał mu dziś mówić o kile. Druga, jeszcze lepsza: nie zapomniał o moich urodzinach! Tak jak ja go w sierpniu, tak on dziś trzymał mnie w niepewności prawie do ostatniej minuty tego dnia.

– Słucham – powiedziałem zalotnym szeptem.

– Daria rodzi! – wydarł się Robert.

– Co robi Daria? Przecież dziś jest siedemnasty listopada. – Po chwili dotarło do mnie, że to nie Wiktor.

– Rodzi! W Instytucie Matki i Dziecka na Kasprzaka.

– Półtora miesiąca wcześniej?! – Chyba dobrze obliczyłem, bo miała urodzić w pierwszych dniach stycznia.

– No!

– Jadę do was! – krzyknąłem.

Wciągnąłem na siebie te same ubrania, w których chodziłem przez cały dzień, i zadzwoniłem po taksówkę. W portfelu miałem dwadzieścia trzy złote i trzydzieści siedem groszy. Na koncie trochę więcej, ale nie mogłem szastać pieniędzmi. Wiktor co prawda płacił czynsz, ale rachunki i utrzymanie wziąłem na siebie. Jasne, że żyło mi się nieporównywalnie lepiej niż na pierwszym roku, ale tak czy inaczej obowiązywały mnie codzienne limity wydawania kasy. W tygodniu było to trzydzieści, a w weekend pięćdziesiąt złotych. A poszło już siedemdziesiąt na lekarza. Nie wiem, czy nie będę musiał też zapłacić za zastrzyki. Uczciwie

poinformowałem kierowcę o sumie, którą dysponuję, i ruszyliśmy do szpitala. Pieniądzy starczyło na dotarcie do placu Starynkiewicza. Nie dał się przekonać, że to przecież jeszcze tylko kawałeczek. Musiałem wysiąść. Było w pół do pierwszej, a ja pieszo podążałem w kierunku szpitala, w którym rodził się potomek mojego przyjaciela. Drzewa były już nagie, jesień odarła je z liści. Wiał silny wiatr. Szkoda, że nie wpadłem na to, żeby założyć rękawiczki. Byłoby cieplej. Nie znałem blokowisk, między którymi droga byłaby pewnie krótsza. Intuicja mówiła, że jeśli pójde ulicą Kolejową, to za chwilę dojdę do Kasprzaka. Byłem nawet gotów podjąć ryzyko, ale powstrzymała mnie muzyka płynąca z ciemności. To chyba Paktofonika. Wolałem iść na około, przez rondo ONZ. Przed bramą szpitala stanąłem chwilę po pierwszej. Potem jeszcze kilkanaście minut błądziłem w poszukiwaniu odpowiedniego budynku. Skłamałem kilku pielęgniarce, że Daria to moja siostra, dostałem fartuch, ochraniacze na buty i wparowałem na oddział. Zobaczyłem Roberta przy szybie pomieszczenia, w którym stały inkubatory. Stanąłem obok niego.

– Gratuluję, tatuśku. – Poklepałem go po ramieniu. – Gdzie mam patrzeć?

– Drugi od okna. – Wskazał palcem.

Dzidzius był naprawdę maleńki. Główkę miał mniejszą niż moja dłoń. Był cały czerwony, ale zauważyłem czarne włosy. Zupełnie jak u tatusia. Wokół

dostrzegłem jakieś przewody i rurki.

– A kiedy on się urodził? – spytałem.

– Dwie minuty przed północą.

– O matko! W moje urodziny!

– A no tak! Stary! Sorry. Wszystkiego najlepszego!
Zapomniałem, ale nie miałem do tego głowy.

– Jemu życzymy wszystkiego najlepszego. Jest dokładnie dwadzieścia trzy lata młodszy ode mnie! Ale jaja! – Uśmiechnąłem się. – A jak ma na imię?

– Filip.

– Dotknąłeś go już?

– Przez chwilę, natychmiast go tam położyli.

– Coś nie gra? – zaniepokoiłem się.

– Zespół zaburzeń oddychania.

– To coś groźnego?

– Zdarza się czasem – mówił wpatrzony w syna. –
Szczególnie u chłopców, którzy są wcześniakami.

– Nawet nie pytam o szczegóły. A długo tu będzie?

– Okaże się. Będą podawać mu tlen i zobaczymy,
kiedy się to ustabilizuje.

– Jak to podawać tlen? Takiemu małemu dziecku?! –
wzburzyłem się.

– Widzisz te rurki włożone do noska?

– Widzę.

– Właśnie nimi płynie tlen – wyjaśnił.

Jeszcze chwilę staliśmy bez słowa i przyglądaliśmy
się pierworodnemu mojemu przyjacielu.

Daria leżała w sali poporodowej zupełnie bez sił. Nie rodziła długo, trzy godziny, ale okrutnie ją pocięli. Filip niby chciał wydostać się na świat, ale gdy przyszło co do czego, rozmyślił się i ułożył tyłkiem do wyjścia. Spała, nawet jej nie budziłem. Zostawiłem tylko kartkę z gratulacjami. Zanim zasnąłem na szpitalnym krześle, udało mi się jeszcze dodzwonić do dyspozytury taksówek i poprosić, żeby rano radiowy transport przyjechał do szpitala, a nie – jak co dzień – do domu. I padłem. Na całe dwie godziny. W pracy byłem jak z krzyża zdjęty, ale całe szczęście poranek obył się bez żadnych problemów. Marzyłem o łóżku i poduszce. Namówiłem Ninę, żeby złamała swoje zasady i podpisała się za mnie na liście obecności na ćwiczeniach, a sam zamierzałem wrócić do mieszkania. Na zastrzyk pojedę po południu. Może kiła mnie nie pozre do tego czasu. Chciałem wyjść, gdy tylko Szymon skończył program, ale bezpardonowo udaremnił mój plan.

– Czekaj, czekaj! Nie uciekaj jeszcze. Szef chciałby z tobą porozmawiać – zatrzymał mnie.

– A co on chce ode mnie? – Odwróciłem się zaniepokojony.

– Nie wiem. Poprosił, żebym cię przyprowadził.

– Coś źle zrobiłem?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Chodź, pójdę z tobą.

– Będziesz mnie trzymał za rękę?

– Mogę i za rękę, i za...

– Dobra! Nie kończ już – przerwałem mu.

– Jeśli chcesz, mogę trzymać.

– Szymon, ja całą noc nie spałem. To nie może poczekać do jutra? Czuję, że za chwilę zacznę bredzić.

– Trzeba było się nie puszczać, tylko spać. Chodź, to zajmie chwilę.

Czego może chcieć ode mnie szef radia? Przecież ja tu tylko sprzątam, myślałem, idąc korytarzem, którego główną ścianę pokrywały autografy wielkich tego świata. Czuję się tak zmęczony, że było mi wszystko jedno, co za chwilę usłyszę. Weszliśmy przez duże drzwi, sekretarka nas zaanonsowała i po chwili byliśmy w gabinecie. Mężczyzna, którego twarz znałem z gazet, odłożył papiery, które przeglądał, i podał rękę najpierw Szymonowi, potem mnie.

– Jak się panu u nas podoba? – zapytał z nieprzeniknioną miną.

– Bardzo mi się podoba. Dziękuję za szansę.

– Nam też się pan podoba. – Lekko się uśmiechnął. – Słyszałem pana wywiad z Otylią Jędrzejczak. Cały, nie tylko to, co poszło na antenę. Bardzo ciekawy. I razem z Szymonem mamy dla pana propozycję.

– Tak? – Nie wiedziałem, o co może chodzić.

– Możemy sobie mówić po imieniu? Będzie nam łatwiej rozmawiać.

– Oczywiście. – Byłem coraz bardziej zdezorientowany.

– Od nowego roku mamy zamiar nieco

zmodyfikować formułę poranka – zaczął wyjaśniać. – Chcieliśmy, by raz w tygodniu rozmowy z gościem szły z puszki. I żebyś od czasu do czasu to ty je robił. Powiedzmy dwa razy w miesiącu. A jak nabierzesz jeszcze większej wprawy, zwiększymy tę liczbę do czterech.

– Naprawdę? – Tylko to przyszło mi do głowy.

– Naprawdę. Przyjmujesz propozycję?

– Oczywiście! – Nie potrafiłem ukryć entuzjazmu. – Tylko głupi by nie przyjął. Co prawda nie wiem, czy dam radę, ale przyjmuję.

– Zatem gratuluję. I powodzenia.

Po wyjściu z gabinetu na twarzy wciąż miałem rogała i poczułem, że zmęczenie odpłynęło. Szymon odezwał się pierwszy.

– Podrzucić cię do domu? – Podjął kolejną próbę.

– Poproszę.

Był zaskoczony, że się zgodziłem.

– Minuta! Zabiorę rzeczy – powiedział.

Czekałem przy samochodzie. Przyszedł po trzydziestu sekundach. Chyba z obawy, że się rozmyślę.

– Dziękuję – powiedziałem, gdy wsiadł do auta.

– Nie ma sprawy.

– Ale nie dziękuję ci tak, jakbyś chciał – zastrzegłem.

– To się okaże – stwierdził łobuzersko. Ruszył. – Dokąd jedziemy?

– Na Bobrowiecką.

– To teraz studenci trzeciego roku mieszkają na Bobrowieckiej?! – Głośno zagwizdał. – Ja mieszkałem z kumplem w pokoju na Grochowie – dorzucił.

– Czemu to zrobiłeś? – zmieniłem temat.

– Żebyś nie jechał autobusem. Zimno jest.

– O te wywiady pytam.

– Bo zasłużyłeś. Dobry jesteś w te klocki.

– Pewnie takich jak ja chodzi po radiu kilkunastu.

– Ale nie każdy nabił mi limo dywanem – odbił piłeczkę.

– I to przedstawienie z dyrektorem. Każdego chyba tak nie przyjmuje?

– Tylko wybranych.

– Ale kawy nie zaproponował – zauważyłem z żalem w głosie. – A mógł. Ledwie patrzę na oczy.

– No to co? Może kawka u ciebie? Na pobudzenie.

– Potrzebuję snu, nie kawy.

– Nawet małe espresso nie wchodzi w grę?

– Nawet – uciąłem.

– On jest w domu? – zapytał niespodziewanie.

– Kto? – Nie zrozumiałem.

– No ten piękny z lexusa.

– Wątpię – nie powiedziałem wszystkiego, a jednocześnie nie skłamałem.

Na Szymona patrzyłem od jakiegoś czasu z zupełnie nowej perspektywy. Był wobec mnie bardzo w porządku. Czasem pozwalał sobie na lekko erotyczne żarty, ale nie

przekraczał granic dobrego smaku. Łączyły nas świetne relacje zawodowe, a to, co zrobił dziś, naprawdę mnie uskrzydliło. Szymon we mnie uwierzył. W mój talent, w moje możliwości. I nic nie wskazywało na to, że oczekuje jakiegoś aktu wdzięczności. Zasnąłem natychmiast, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki. I spałbym jeszcze dużo dłużej, gdybym nie musiał jechać na zastrzyk. Gdy igła wbiła się w mój tyłek, zawyłem! Nie z bólu. Dotarło do mnie, że Wiktor zapomniał o moich urodzinach! Nie tylko nie złożył mi życzeń, ale wcale tego dnia nie rozmawialiśmy. Wciągnąłem spodnie i lekceważąc ból poślodka, dziarsko ruszyłem do wyjścia. Przed szpitalem wyjąłem telefon, wybrałem numer Wiktora i czekałem na połączenie. Gdy odebrał, pod wejście podjechała akurat karetka na sygnale.

– Gdzie ty jesteś? Co tam tak głośno? – odwrócił role, bo to ja miałem dziś pytać.

– W szpitalu jestem. Wychodzę z zastrzyku – wyrwało mi się.

Przecież Wiktor nic nie wie o żadnych zastrzykach ani – co ważniejsze – o powodzie ich przyjmowania. Zorientowałem się po faktach.

W głowie kołatały mi słowa doktora Rafalskiego, że muszę o tym powiedzieć partnerom seksualnym. I, choć przypadkiem, teraz nadarzyła się ku temu znakomita okazja.

38. Czas na refleksję

Przez chwilę szukałem najodpowiedniejszych słów, by przekazać mu wiadomość, która z pewnością nie należała do najweselszych. Wiktor nie jest kretynem, na pewno zorientował się w sytuacji. Kręcenie nie miało najmniejszego sensu. Kłamstwo tylko skomplikuje moje położenie.

– Muszę przyjmować zastrzyki do świąt – zacząłem delikatnie. – Antybiotyki.

– A co ci jest? I czemu ja nic o tym nie wiem?

– Bo sam wiem o tym od wczoraj, a od tej pory niestety nie rozmawialiśmy.

– Co ci jest?

– Mam kiłę – wyrzuciłem z siebie z prędkością światła, żeby mieć to jak najszybciej za sobą.

– Co masz?! – usłyszałem po drugiej stronie mieszankę szoku i oburzenia.

– Kiłę – powtórzyłem już spokojnie. – Ta wysypka na Majorce była objawem. Teraz znów jej dostałem. To jeszcze pokłósie Mariusza. Miał nie tylko HIV. Niestety. Za miesiąc będę zdrowy – wyjaśniłem konkretnie i zgodnie z prawdą. – Też powinieneś się przebadać. Jak najszybciej.

– I tak spokojnie to mówisz? – wydusił z siebie po dłuższej chwili milczenia.

– A jak mam mówić? Choroba jak choroba.

– To nie choroba! To kiła! Zdradziłeś mnie? – niemal krzyknął.

– Co? – Chciałem się upewnić, czy dobrze zrozumiałem.

– Pytam, czy mnie zdradziłeś? – powtórzył, akcentując ostatnie słowo.

Usiadłem z wrażenia. Facet, który zostawił mnie samego trzy miesiące temu, zupełnie poważnie podejrzewa mnie o zdradę. Jakby nie usłyszał, że powiedziałem o Mariuszu.

– Nie, Wiktor. Nie zdradziłem cię. Ale skoro już o tym mowa, to musisz wiedzieć, że to ja mam wrażenie, że mnie zdradziłeś. Z własną matką, której stan zdrowia od dwunastu pierdolonych tygodni stoi w miejscu albo pogarsza się za każdym razem, gdy wspominasz o powrocie do Polski! Dziękuję ci za zaufanie. Od tygodni siedzę i czekam, aż twoja szanowna mamusia wreszcie wypuści cię ze swoich szponów, bo w to, że sam się wyrwiesz, już nie wierzę. Jest mi cholernie ciężko i każdego dnia oszukuję siebie, że to zniosę i że się wreszcie ciebie doczekam. Ale kończy mi się cierpliwość. A tego typu podejrzzenia niczego nie ułatwiają. A! Jeszcze jedno. Dziękuję ci za pamięć o moich urodzinach, które były wczoraj. Teraz kończę. Dajmy sobie czas na refleksję i za parę dni podejmiemy

decyzję, w którą stronę iść z tym naszym... związkiem na telefon. Cześć.

Milczenie trwało prawie sześć dni, podczas których stan małego Filipka trochę się poprawił, a Nina nadal nie wiedziała, że mam kiłę. Nie całowaliśmy się na powitanie, bo twierdziłem, że jestem przeziębiony i mogę zarazić. Zdążyła za to powiedzieć Karolkowi, że koniec z odchudzaniem i noszeniem spódnic, które w bardziej konserwatywnych środowiskach mogłyby uchodzić za paski. Dodała, że jeśli mu to nie pasuje, to ich drogi natychmiast się rozchodzą. A te nie tylko się nie rozeszły, ale wręcz jeszcze bardziej zbiegły. Do tego stopnia, że Nina zwołała pilne zebranie Rady Bezpieczeństwa, którą tworzyliśmy my i Agata. Zasiedliśmy przy kuchennym stole na Woli i zaczęliśmy obrady. Nina otworzyła je symbolicznym uderzeniem ręką w stół, na którym następnie pojawił się pierścionek.

– Oświadczył się – oznajmiła beznamiętnie.

– Kto? – dopytywała blada jak ściana Agata.

– Karol się oświadczył. Mnie.

– Kiedy? – Nie kryłem przerażenia.

– Dwie godziny temu. W Arkadii. – Otwartym miesiąć wcześniej kompleksie usługowo-rozrywkowym na granicy Śródmieścia, Żoliborza i Woli.

– Karol oświadczył ci się w centrum handlowym dwie godziny temu? – powtórzyłem w jednym zdaniu wszystko, co usłyszałem.

– Tak, to znaczy nie. Nie w centrum handlowym, tylko przy fontannie, na zewnątrz. Wśród balonów i kwiatów – sprecyzowała.

– A ty co zrobiłaś? – zapytałem, choć nie byłem pewien, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

– Chwila! – zatrzymała akcję Agata. – Na sucho tego nie zniosę.

Sięgnęła do szafki, wyjęła wino, a potem szukała korkociągu. Czas mijał. Patrzyliśmy sobie w oczy jak zawodnicy podczas turnieju pokerowego, ciszę wypełniał dźwięk przerzucanych sztucców, pośród których Agata szukała czegoś, czym mogłaby otworzyć butelkę. Korkociąg diabeł nakrył ogonem, więc zdecydowała, że trzonkiem od drewnianej łyżki wepchnie korek do środka. Co znacznie wydłużyło oczekiwanie. Pierścionek nadal lśnił na stole, a Nina potęgowała napięcie, rytmicznie stukając paznokciami o blat.

– Najpierw się napijemy – zarządziła Agata i nalała po trochu czerwonego wina do trzech kubków. – Teraz mów – poleciła, gdy kubki były puste.

– Powiedziałam, że się zastanowię. – Nina udawała obojętność, ale rumieńce na twarzy zdradzały podniecenie. Nigdy wcześniej nie widziałem u niej wypieków.

– To po co wzięłaś pierścionek? – spytałem z wyrzutem.

– Nalegał...

– A co miał robić? On zawsze nalega – weszła jej w słowo Agata.

– Nalegał – zaczęła jeszcze raz Nina. – Ustaliliśmy, że jak go włożę, to będzie znak, że przyjmuję.

– A ile dał ci czasu? – Chciałem wiedzieć.

– Nie ma terminu. Zdecyduję, gdy przyjdzie odpowiednia chwila.

Wstrząśnięty rozwojem wypadków Karol był gotów zostać mężem. Niestety miałem wrażenie, że brak jednoznacznej odpowiedzi Niny nie był tylko grą na zwłokę. Ona naprawdę rozważyła wyjście za mąż. Wydawało jej się, że potrząsnęła Karolem, który na pewno teraz się zmieni. Ja broniłem poglądu, że facet zorientował się, że zajebista laska zaczęła myśleć i jest gotowa go zostawić. A drugiej tak naiwnej może nigdy nie spotkać. Zaręczyny traktowałem jak fortel, który miał na celu zamydlenie jej oczu, zatrzymanie przy sobie pod pretekstem wielkiej miłości. Agata dodatkowo zwróciła uwagę na czas i miejsce oświadczyn.

– Szkoda, że nie zrobił tego między mrożonkami a półtuszkami wieprzowymi lub może za chemią gospodarczą, a przed deskami do prasowania... Ukląkł przed tobą? – kpiła.

– Albo w okolicy kasy! Pierścionek zamiast paragonu! – wtórowałem.

– Co za głupi cap! – skwitowała Agata.

– Złamas Roku w kategorii „Zaręczyny”! – drwiłem.

I kiedy byliśmy już porządnie rozpędzeni w uświadamianiu Ninie, że wszystko, co właśnie usłyszeliśmy, jest kuriozalne i wygląda jak kiepski żart, zadzwonił mój telefon. Wiktor. Dziewczyny dyskutowały dalej, a ja zaszyłem się w łazience, zamknąłem klapę i usiadłem na sedesie.

– Jak się czujesz? – zapytałem. Poczułem nagły przypływ troski.

– Dziękuję. Dobrze, a ty?

– Też dobrze. Zrobiłeś badania? – Zależało mi na nim, nie chciałem go zarazić.

– Tak.

– I? – Zaniepokoiła mnie jego zdawkowa odpowiedź.

– Jest OK.

– Cieszę się. Przemyślałeś sobie to wszystko, jak prosiłem?

– Trochę.

– I chcesz mi coś powiedzieć?

– Po pierwsze chcę cię przeprosić.

– Za co?

– Za to, że byłem taki szorstki. Zareagowałem nerwowo.

– I zwałpiłeś we mnie – powiedziałem z żalem.

– Właśnie. O tym też chcę porozmawiać.

– Rozmawiajmy – zgodziłem się.

– Zrobmy sobie chwilę przerwy – zaproponował bez ogródek.

– Przerwy w czym? – Zerwałem się z klozetu,

odruchowo spuszczać wodę.

– W naszym związku.

– A te ostatnie trzy miesiące to co to było twoim zdaniem? Rozkwit? – Usiadłem ponownie.

– Ta twoja choroba, ta cała sytuacja, ta atmosfera. Przerasta mnie to. Muszę ochłonać.

– Ciebie to przerasta? Czy twoją nadwrażliwą mamusię?

– Jej w to nie mieszaj. Nie ma z tym nic wspólnego. To moja decyzja – przekonywał nieudolnie.

– Aha! Już to widzę! I wcale z nią o tym nie rozmawiałeś!? – Nie odpowiedział. – Dzwonisz, żeby mnie przeprosić, a w kolejnym zdaniu proponujesz mi... przerwę? – uniosłem się. – To niebywałe! Ty nadal uważasz, że cię zdradziłem. To jest koniec, Wiktor. Dzwonisz do mnie, żeby mnie poinformować, że od teraz jestem wolny, i proponujesz mi, kurwa, jakąś przerwę? To ma być jakieś preludium do rozstania? Mam to za ciebie powiedzieć? Tego chcesz?

– Potrzebuję czasu, nie rozumiesz?

– Ależ rozumiem! – powiedziałem z sarkazmem. – Moja wielkoduszność nie zna granic! Ile czasu potrzebujesz? Tydzień? Miesiąc? Dwa? Rok?

– Nie dramatyzuj – poprosił.

– A przez ten czas co? Związek otwarty? Mam wolną rękę? Ty masz wolną rękę? Zdefiniuj przerwę, bo jestem za głupi, żeby sam to zrozumieć.

Głównym założeniem miało być ograniczenie

kontakty, czyli w naszym przypadku niedzwonienie do siebie. Bo kontaktu bezpośredniego nie mieliśmy już dawno.

– Zostawił mnie. – Stałem w drzwiach kuchni.

– Kto? – To było dziś pytanie dnia Agaty.

– Wiktor.

– Przez telefon? – Teraz to Nina miała używanie.

– Chwila – przystopowała nas Agata. – Znow trzeba się napić.

– Tak. Przed chwilą. Powiedział, że musimy sobie zrobić przerwę – ogłosiłem po następnej kolejce wina.

– Wznieśmy toast za Złamasa Roku w kategorii „Przerwa”! – Nina podniosła kubek.

– I za jego mamusię, która znow wygrała – przyłączyłem się.

Po trzeciej butelce wyznałem dziewczynom, że nie całujemy się, bo mam kiłę, ale nawet to – w ich oczach – nie usprawiedliwiło Wiktora. Rada Bezpieczeństwa jednogłośnie podjęła uchwałę, że zostaję na Woli na noc. A rano, podczas śniadania, Agata wyciągnęła na światło dzienne jeszcze jedną kwestię, która skomplikowała się z powodu decyzji mojego, chyba już byłego, chłopaka. Mieszkanie.

– Jako kto ty tam teraz mieszkasz? Jako najemca? Uczestnik przerwy? Zajmujesz się domem pod jego nieobecność? Bo nie kumam – rozważała podczas przeżuwania parówki.

– Żeby być najemcą, musiałbym chyba sprzedać nerkę. Przecież tam jest ponad sto metrów.

– A jak było do wczoraj?

– Wiktor płacił czynsz, ja media i życie – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– A dużo tego czynszu?

– Ponad tysiąc złotych.

– Uuuu, boli – jęknęła Agata.

– Ja już nie mogę tam mieszkać. A nawet więcej, ja nie chcę tam mieszkać.

– Kiedy on wraca? – dopytywała.

– Stwórca raczy wiedzieć. – Upiłem łyk kawy z mlekiem.

– Ale w tym roku? – nie poddawała się.

– Nie wiem, Agatko.

– Pytam, bo chyba na pewno w połowie stycznia jądę na Erasmusa do Portugalii. Więc wprowadzisz się tu.

– Chyba na pewno? – wtrąciła się Nina.

– Właśnie dziś w nocy się zdecydowałam.

– Zrobiłaś to ze względu na mnie? – dociekałem.

– Wybacz, ale tym razem nie miałeś wpływu na decyzję. – Zaśmiała się. – Chociaż złożyło się w sam raz. Jak każdy najemca powinienes mieć miesięczny okres wypowiedzenia. Zatem do końca roku mieszkasz na Bobrowieckiej, a potem wprowadzasz się tutaj. Przez kilkanaście dni mieszkamy we troje, a potem ja odlatuję do ciepłych krajów, a ty wlatujesz do mojego pokoju. Jakies uwagi do planu? – Rozejrzała się po kuchni,

jakby był tam jeszcze ktoś poza nami. – Nie słyszę. Decyzja zapadła. A teraz spadamy. Późno już.

Po raz kolejny okazało się, że coś lub ktoś nade mną czuwa. Mimo to byłem załamany. Czułem rozgoryczenie. Nie zamknąłem się w domu, nie płakałem, nie darłem szat. Było mi po prostu ciężko. Może to za mało jak na wielką miłość, ale chyba odwykłem od zbyt emocjonalnych i przerysowanych reakcji. Stwardniałem. A może też byłem na to podświadomie przygotowany? Byłbym idiotą, gdybym twierdził, że przez te wszystkie dni rozłąki nie przeczuwałem katastrofy. Myśl o tym, że góra lodowa się zbliża, towarzyszyła mi każdego samotnego poranka i każdego wieczoru, który spędzałem w jego mieszkaniu. W jego łóżku i wśród jego przedmiotów. Tliła się we mnie nadzieja, że Wiktor jednak chwyci ster naszego statku w swoje ręce i wyprowadzi nas na bezpieczne wody, ale z dnia na dzień ktoś – a ściślej mówiąc, Marta – przykręcał knot naszej lampy, w której wreszcie zabrakło nafty. Jednocześnie zamknięty został wlot powietrza. Nawet nie pomyślałem, że Wiktor mógłby mnie zostawić dla kogoś innego. Mamusia by na to nie pozwoliła. Obstawiałem raczej, że trzyma go krótko. I póki nie wyzwoli się spod jej wpływu, nie ułoży sobie życia, bo zazdrosna matka skutecznie zniszczy każdą relację. A kiła? Kiła stała się tylko dodatkowym ładunkiem do jej armaty.

Wiktor konsekwentnie trwał w swojej decyzji. Nie odzywał się. Za to ja wreszcie musiałem pójść do jego mieszkania. U Niny miałem jakieś swoje rzeczy, ale po pierwsze było ich za mało, żeby prowadzić normalne życie, a po drugie zaczęło się robić naprawdę zimno. Z początkiem grudnia spadł śnieg, a ja miałem do dyspozycji wyłącznie jesienne buty. Bałem się tam wracać. Nie chciałem stanąć twarzą w twarz ze wspomnieniami. Jedna niezbyt długa rozmowa przez telefon i nie jestem u siebie. Wszedłem po cichu, jakbym nie chciał budzić śpiących po kątach emocji. Nawet nie zapaliłem wszystkich świateł. Chciałem udać, że wcale mnie tu nie ma. Na nieużywanym od miesiący kominku wciąż stało nasze wspólne zdjęcie, na którym między nami leży Oliwia. Chwilę na nie popatrzyłem, po czym postawiłem je przodem do ściany. Gdy Wiktor wróci, zdecyduje, co z nim zrobić. Sprawnie spakowałem to, co niezbędne, i wyszedłem. W windzie dopadł mnie niepokonany żal. Ten sam, który nie przyszedł tuż po ostatniej rozmowie z Wiktorem. I nawet mi ulżyło, że wreszcie się pojawił. Jego brak wskazywałby na to, że jestem wyprany z uczuć, a ten związek nic dla mnie nie znaczył. W drodze na Wolę przypominałem sobie nasze wspólne chwile. Łzy nie popłynęły. Dotarłem do mieszkania dziewczyn, posadziłem je przed sobą i wpadłem w słowotok.

– Bycie gejem jest zupełnie nieopłacalne. Nie kalkuluje się, jakkolwiek by liczyć – stwierdziłem

z zawodem w głosie.

– Bo? – Nina zażądała uzasadnienia.

– Moi koledzy, choćby Robert, mają żony, dzieci, zaciągają kredyty hipoteczne, są szczęśliwi. A ja co mam? – rzuciłem w przestrzeń.

– Kiłę? – skończyła Agata.

– A żebyś wiedziała. Ja mam kiłę. – Pokiwałem głową. – Ponad dwa lata w wielkim mieście, dwa dokumentnie spierdolone związki, zjebane życie rodzinne, a w dodatku zostałem bez domu.

– Tylko bez takich! – zaprotestowała Nina. – Tu masz dom. Naszą wspólną komunę! Masz pracę.

– I kiłę. – Tym razem ja to powiedziałem. – To jest całkowicie nieprzyszłościowe.

– Co? – zapytały chórem.

– Pedalstwo.

– Bez inwektyw tylko! – upomniała mnie Nina.

– Nazywajmy rzeczy po imieniu. Czemu to się akurat do mnie przyplątało? Czemu akurat ja musiałem być jednym z dwudziestu? To jest genetyczne czy wrodzone? Nina, ty jesteś taka mądra, jesteś na bieżąco z nowymi teoriami naukowców. Bo ja się zatrzymałem na tym, że przyczyny homoseksualizmu są bliżej nieznanne.

– I nic się w tej sprawie nie zmieniło. A jeśli miałyby być genetyczne, to twój ojciec lub dziadek musiałyby być gejem. Był?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A ja słyszałam, że to się leczy – pochwaliła się

Agata.

– Tak. Elektrowstrząsami albo małżeństwem czy umówieniem z prostytutką! Agata, ty na głowę upadłaś? Jak można leczyć coś, co nie jest chorobą? Przypominam ci, że homoseksualizm od 1991 roku nie figuruje na oficjalnej liście chorób Światowej Organizacji Zdrowia. I każdy, kto próbuje z niego leczyć, jest szarlatanem pierwszej wody! – oburzyła się Nina.

– Spokojnie, spokojnie. Ja tylko mówię, co czytałam. Nie, że w to wierzę.

– A co dokładnie czytałaś? – zainteresowałem się.

– To się nazywa terapia konwersyjna albo reparatywna. Są takie grupy w całej Polsce, do których można przystąpić i... się reperować.

– Tak, tak – krzyknęła Nina. – I poddając się terapii, można pozbyć się niechcianych zachowań homoseksualnych. Przecież to piramidalna bzdura! Już Freud twierdził, że orientacje homo, bi i heteroseksualna są równorzędne. A wszelakie próby leczenia negatywnie wpływają na zdrowie psychiczne pacjentów. To głęboko niemoralne! Zasługuje na tytuł Złamasa Dziesięciolecia, a może nawet Półwiecza!

Zamknęła dyskusję. Agata poszła do siebie, Nina na kanapę, a ja na swój materac pod ścianą. One spały, a w mojej głowie kiełkowało rzucone przez Agatę ziarno. Nazajutrz przerwę w zajęciach wykorzystałem na wizytę w pokoju komputerowym, a w Google wpisałem

„leczenie z homoseksualizmu”.

39. Przez Lublin

Na ekranie pojawiło się kilkanaście linków. Było coś o Pawle, szarlatan z Radomia, który – nie mając najmniejszego psychologicznego przygotowania – metodą chałupniczą leczył z gejostwa poprzez spanie z młodymi chłopcami w jednym łóżku, rozbieranie ich i przytulanie. I dopiero po chwili przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem o nim w „Dużym Formacie”. Większość informacji to ostrzeżenia przed nim i jego czarcimi metodami. Druga grupa linków prowadziła do Lublina i tamtejszej grupy działającej pod auspicjami jednego z arcybiskupów i ruchu wspierającego obronę życia poczętego. Na stronie głównej zamieścili cytaty z Biblii dowodzące, że Bóg stworzył mężczyznę i kobietę. W domyśle, że gdyby homoseksualizm był czymś normalnym, to stworzyłby dwóch mężczyzn. Przez całą stronę przewijały się informacje, że grupa korzysta z nauk Kościoła katolickiego. Do tego kilka zdjęć jakichś krajobrazów, nieba, wody i świadectwa. Szybko pojąłem, że w katolickiej nomenklaturze to takie pozytywne opinie o usłudze, rodzaj polecenia. Tyle że zamiast typowych marketingowych tekstów były to mocno natchnione opowieści chłopaków i ich rodziców

traktujące o braku zgody na bycie homo i o szoku, jakiego doznawali najbliżsi na wieść o orientacji dziecka, o walce z nią i o sukcesie terapii. W pierwszym odruchu przeraził mnie mocno katolicki klimat, ale zacisnąłem zęby i szperałem dalej. Nikt nie powiedział, że z bycia gejem można wyjść bezboleśnie, i to jest prawdopodobnie cena, którą przychodzi płacić. Na stronie znalazłem też sporo tekstów katolickich publicystów mniej lub bardziej korespondujących z tematyką antyhomoseksualną. Opinie o paradach równości, ustawach legalizujących związki partnerskie i sukcesach terapeutycznych w zwalczaniu homoseksualizmu na świecie. Wszystkie poglądy dokładnie odwrotne do tych, które miałem. Jednak za każdym razem, gdy chciałem zamknąć tę stronę, stawało mi przed oczami warszawskie życie. Pełne rozczarowań i smutku. A wszystko przez to, kim jestem. Kliknąłem zakładkę „kontakt” i napisałem krótkiego maila. Bez szczegółów, głównie chodziło mi o namiary na kogoś w Warszawie, z kim mógłbym o tym porozmawiać. Przecież nie będę jeździł do Lublina. W oczekiwaniu na odpowiedź pisałem recenzję płyty *Skalary, mieczyki, neonki* Myslovitz. Moi znajomi rozpływali się nad tym albumem, a ja wolałem poprzednie krążki zespołu. „I nawet kiedy będę sam, nie zmienię się. To nie mój świat. Przede mną droga, którą znam...”. Gówno prawda, wcale jej nie znam, pomyślałem. Ale sam ją

wybieram. Wiadomość przysłała po godzinie. Trzeba przyznać, że działali naprawdę szybko i konkretnie. W mailu był kontakt do podobnej grupy w Warszawie. Tym razem napisałem nieco więcej. Zawarłem swoje przemyślenia o zawodach, których dostarczyło mi życie geja. Nie było nic o grzechach ani kroczeniu ścieżką diabła. Szczerze i wyjątkowo dosadnie opisałem to, co jest, i to, co chciałbym, żeby było. Punktem centralnym planów na przyszłość było dziecko. Napomknąłem nawet coś o Robercie, który dzielnie się trzyma i wspiera żonę w trudnym czasie. Zderzyłem to z opowieścią o Wiktorze, który dał się złamać mamusi i zostawił mnie przy okazji pierwszej kryzysowej sytuacji. Miałem na myśli kiłę, bo sądzę, że to ona była gwoździem do trumny w naszym związku. I dopiero gdy wysłałem tę wiadomość, uświadomiłem sobie, że moja osobista historia poszła nie wiadomo do kogo i że nawet jej wcześniej nie przeczytałem. Trochę mnie to przeraziło.

Po zajęciach tradycyjnie pojechałem na zastrzyk, po którym okazało się, że są już wyniki moich badań i nie mam żadnej innej choroby wenerycznej poza kiłę, a i ta miała być wkrótce tylko wstydliwym wspomnieniem. Wreszcie będę mógł wziąć na ręce Filipa, bo póki jestem chory, nie ośmielę się tego zrobić. Na ulicach pełno było już świątecznych dekoracji, które przypominały o Bożym Narodzeniu. Także śnieg nie pozwalał zapomnieć, że niedługo nastąpi ten cudowny

czas, w którym wszyscy są dla siebie dobrzy, z każdej kuchni czuć przepyszne jedzenie przygotowywane według tradycyjnych receptur, a przy stole spotykają się ci, których kochamy. Co za podłe kłamstwo! Cudowny czas, który trzeci rok z rzędu przyprawia mnie o mdłości, bo odkąd wyprowadziłem się z domu, świąteczne wyjazdy do miasteczka są dla mnie nie lada wyczynem. I nie przyjemnością, lecz obowiązkiem, który sam na siebie nałożyłem. Z kuchni nie płynie aromat ciast, bo odkąd żyję, mama kupuje ciasta w osiedlowym spożywczym, lecz zapach pędzonego bimbru. Ponieważ to on jest bohaterem świątecznego stołu. I nie siedzą przy nim krewni z najdalszych zakątków świata, tylko mój ojciec z bratem, którzy swoim zachowaniem zdążyli zrazić do siebie niemal całą rodzinę i wszystkich znajomych. Już nawet opłatkiem nie przychodzą się podzielić, tylko dzwonią z życzeniami. Przez telefon nie widać upadku tego domu. Facet, którego kocham, jest tysiące kilometrów stąd i mało go obchodzi, gdzie jestem i co robię. Na pewno nie spotkam go przy świątecznym stole, prędzej jego mamusia dostanie ataku serca, nabawi się astmy i wszystkich tropikalnych wirusów razem wziętych.

I kiedy tak jadąc autobusem, wyklinałem święta, zadzwonił Maciek. Pewnie Wiktor pochwalił mu się, że znów jest wolny.

– Siema. Co tam? Nic się nie odzywasz. – Nie brzmiał, jakby dzwonił z kondolencjami.

– Hej. Przyznasz, że ty też nie waliłeś do mnie drzwiami i oknami – zażartowałem.

– A właśnie, że waliłem. Byłem u was ze cztery razy. I za każdym całowałem kłamekę. Jesteś w domu?

– Jestem – zawahałem się – w drodze do domu.

Miałem na myśli Wolę, nie Mokotów.

– Świetnie! Za ile będziesz?

– Za chwilę. Na Woli.

– Nie rozumiem.

– Formalnie do końca roku mieszkam na Mokotowie, ale tak naprawdę to już na Woli – próbowałem wyjaśnić.

– Nadal nie rozumiem. A teraz gdzie jesteś?

– Na Górczewskiej.

– Daleko masz do centrum?

– Nie tak bardzo.

– To za pół godziny na Bankowym. Wyrobisz się?

– Spokojnie.

Spotkaliśmy się w knajpie na rogu Marszałkowskiej i placu Bankowego. Zreferowałem mu moje ostatnie rozmowy z Wiktorem. Nie wiedział, że mamy „przerwę”, i początkowo patrzył na mnie jak na mitomana, który wszystko wymyślił. Setki wódki nie zamówił tylko dlatego, że prowadził. Nieumiejętnie usiłował przekonywać, że to zwyczajny kryzys, ale nie znalazł argumentu na to, że Wiktor ciągle nie wraca. Nie trzeba było wymieniać imienia jego matki, byśmy wiedzieli, że to ona za tym stoi. Jechaliśmy na Wolę

w milczeniu. W oczekiwaniu na zielone światło Maciek nawiązał do rozmowy sprzed miesiący, gdy w przeddzień wyjazdu na Majorkę poszedł odprowadzić do łóżka wstawioną Martę.

– Ona mi wtedy powiedziała, że „tej zarazy w jej rodzinie nie będzie i że skończy z tym raz na zawsze”. – Zamyślił się.

– Jedź, zielone mamy.

– Chciałem dopytać, o co jej chodzi, ale była tak ululana, że dałem spokój.

– Pewnie chodziło o homoseksualizm – zawyrokowałem. – Była w tamtych dniach siostrą miłosierdzia. Uspiała naszą czujność.

– Mogę pogadać z Wiktorem, jeśli chcesz – zaproponował.

– I będziesz go przekonywał, żeby odwoływał przerwę? Maciek, to wszystko i tak jest już dla mnie wystarczająco poniżające.

– Nie wiem, jak to zrobiła, ale to ona przekonała go, że ta kiła to dowód zdrady.

– Wiem o tym.

– A ty go po prostu tak oddałeś? Nie walczyłeś? – dziwił się.

– Maciek! A co ja miałem zrobić? Błagać go? Przekonywać? Coś udowadniać? – sypałem propozycjami. – Ze strony Wiktora to nie była propozycja, to było ogłoszenie decyzji. Zresztą... – zamyśliłem się na chwilę – to od kilku miesięcy gaśło.

Nie mogę być w związku na odległość. Nie mogę też być z facetem, który pozwala sobą sterować.

– I tak z nim pogadam. – Już zamierzałem zaoponować, ale mnie uprzedził: – Spoko, nie w tym kontekście, o którym myślisz. A co robisz w święta?

– Właśnie nie wiem. Chyba pojedę do miasteczka, do Matyldy czy coś. – Zabrzmiało smętnie.

– W razie czego zapraszam do nas. Oliwia już dwa razy dziennie dopytuje, kiedy przyjedziesz. Kupiliśmy jej płytę Majki Jeżowskiej. Chodzi i śpiewa *A ja wolę moją mamę*.

– Może lepiej od razu powiedzcie małej, że Majka nie ma na imię Majka – zaproponowałem pomny własnych doświadczeń w tej kwestii.

– A jak ona ma na imię? – Maciek zahamował gwałtownie.

– No... Maria. Nie wiedziałeś? – nie kryłem zaskoczenia.

– A skąd ty to wiesz? – żądał dowodu.

Opowiedziałem mu historię sprzed lat, w której Matylda podczas kłótni o to, kto pierwszy będzie jeździł moim nowym BMX-em, wykrzyczała mi, że Majka to wcale nie Majka. Wpadłem w histerię, a ona miała rower dla siebie. Kilkanaście dni później ktoś go ukradł, bo zostawiłem go bez opieki przed sklepem. Podobne uczucie towarzyszyło mi jedynie wówczas, gdy wiele lat wcześniej powiedziała mi, że nie ma Świętego Mikołaja. Maciek zareagował prawie tak samo jak ja szmat czasu

temu, tyle że nie płakał.

– Ale trzymasz się jakoś? Zniesiesz to? – zapytałem, zanim wysiadłem.

– Ciekawe, czy Maja to wie. – Popatrzył na mnie jak nigdy wcześniej. – Jak to w ogóle brzmi: Maria Jeżowska. Z dupy jakoś – oświadczył. – Ale ty też się trzymasz?

Wiedziałem, że tym razem nie chodzi mu o Marię Jeżowską.

– Jakoś tak. I wiesz co? Chyba byłem na to przygotowany. Bo aż sam się sobie dziwię. Nie ma hysterii, dramatu. Co nie zmienia faktu, że czuję, jakbym dostał obuchem w łeb.

W następnych dniach czytałem *Gnój* Wojciecha Kuczoka. Mimowolnie porównywałem sytuacje z książki z tymi, które przerabiałem we własnym domu. Jak szalony sprawdzałem też maila. Co dwadzieścia minut. Niestety odpowiedź nie przychodziła. Powoli przewoziłem kolejne rzeczy z Mokotowa, byłem w zasadzie przeprowadzony w całości. Kilka pudeł stało w przedpokoju mieszkania na Woli, ale nie za dużo. Głównie ubrania, rzeczy osobiste i książki. Żadnych mebli. Już dawno podjąłem decyzję, że dopóki mieszkam w miejscach nienależących do mnie, dopóty stoły, szafki i komody odpadają. Wynajmowane mieszkania, z którymi – pośrednio lub bezpośrednio – miałem do czynienia, prawie zawsze były umeblowane.

Poza tym posiadanie gratów utrudnia przeprowadzkę, a jeśli mam tylko kilka niezbędnych przedmiotów, łapię torbę i pędzę dalej. Chociaż nie przypuszczałem, że będę opuszczał Bobrowiecką w takich okolicznościach. Czuję się tam jak w domu i w głębi duszy marzyłem, że ten swój nędzy dobytek przewiozę dopiero do mieszkania, w którego akcie notarialnym ja będę wpisany jako właściciel.

Przewiozłem niemal wszystko, problem pojawił się przy laptopie i rowerze. Sonda wśród dziewczyn nie dała jednoznacznej odpowiedzi. Nina poradziła, żebym je zatrzymał, bo to przecież prezenty, Matylda – która nasze rozstanie skomentowała zdaniem: „Wiedziałam, że tak będzie” – obstawała za tym, by oddać, a jak nie będzie chciał przyjąć, to przekazać jakiemuś domowi dziecku. Z laptopa korzystam codziennie i za każdym razem, gdy go otworzę, będzie mi się przypominał Wiktor, ale gdy go zwrócę, zostanę bez komputera! Dylemat rozstrzygnąłby głos Marii, ale ta konsekwentnie milczała. Aż boję się pomyśleć, na jakie tematy może rozmawiać ze swoim chłopakiem, posiadaczem mózgu wielkości orzecha laskowego. Zdecydowałem, że z tą sprawą poczekam do końca roku i mojej ostatniej wizyty w mieszkaniu Wiktora. W połowie grudnia na zakończenie audycji Szymon pierwszy raz w tym sezonie zagrał przebój Wham! *Last Christmas*, tym sposobem wpadliśmy w świąteczną machinę. Przed wyjściem na zajęcia odruchowo

zalogowałem się do skrzynki mailowej. Spojrzałem na ekran i przetarłem oczy ze zdumienia. Pierwszy mail nakazywał mi zmianę materaca, ale drugi był tym, na który tak długo czekałem. Od grupy leczącej z homoseksualizmu. Nawet Szymon zauważył, że zaświeciły mi się oczy. I gdy już miałem zacząć czytać, co odpisali, usłyszałem dźwięk komórki. Telefonował Wiktor.

40. Zdziwienie za zdziwieniem

Umierałem z ciekawości, co kryje mail, który miałem pod kursorem myszy. Nie mogłem też przejść obojętnie obok telefonu, który wibrował na biurku. Jeśli Wiktor powie, że wraca i że wszystko będzie jak dawniej, nie ma sensu otwierać wiadomości. Odebrałem.

– Wyprowadzasz się z Mokotowa? – Usłyszałem podenerwowanie w jego głosie.

– Tak. – Nie byłem zbyt wylewny. – Jestem w trakcie przeprowadzki.

– A zamierzałeś mi powiedzieć? – nakręcał się.

– Tak.

– Tak? A kiedy?

– Gdy do mnie zadzwonisz. Zarządziłeś przecież przerwę i ty masz obowiązek ją odwołać. – Byłem oazą spokoju.

– Nie mogłeś napisać SMS-a? Maila? – sypnął propozycjami.

– O jakiej treści?

– Że się wyprowadzasz.

– A oczekiwałeś, że będę tam mieszkał? Jako kto? Najemca? – powtórzyłem słowa Agaty. – Sorry! Nie stać mnie! – Podskoczyło mi ciśnienie.

- Nikt nie wymaga od ciebie, żebyś się wyprowadzał.
 - Sam tego od siebie wymagam.
 - Ale mieszkanie będzie stało puste.
- Nie wiem, po co to powiedział.
- I to ma mnie przekonać, żebym tam został?
 - Gdzie mieszkasz?
 - A co to ma za znaczenie? Na pewno nie pod mostem.
 - To jakaś tajemnica?
 - To nie jest tajemnica, Wiktor! – krzyknąłem, a do pokoju wszedł właśnie Szymon. – Ale ta wiedza nie jest ci do niczego potrzebna. – Uspokoilem się. – Klucze wysłać ci pocztą? Zostawić u Maćka?
 - Możesz zostawić u Maćka – powiedział.
- Zabrzmiało to tak, jakby mu ulżyło. Zrzucił z siebie odpowiedzialność. Podjąłem decyzję, której on chciał, ale się bał.
- OK, muszę kończyć, idę na zajęcia. Cześć.

Szymon udawał, że nie słyszał naszej rozmowy. Ale chwilę później zaproponował mi podwiezienie na uniwersytet. Wydrukowałem wiadomość i wcisnąłem kartkę do torby. Po drodze rozmawialiśmy tylko o sprawach służbowych, ale wiedziałem, że chciałby poznać szczegóły śpięcia, którego był świadkiem. Zbliżał się styczeń, trzeba było nagrać dwie pierwsze rozmowy. Mieliśmy się zastanowić nad gośćmi i wspólnie zdecydować.

Przez cały dzień chciałem przeczytać wydrukowany e-mail, ale gdy tylko się do tego zbierałem, ktoś czegoś ode mnie chciał. Udało mi się to zrobić dopiero w autobusie, gdy jechałem na ostatni zastrzyk.

Witam!

Bardzo dziękuję za e-mail. Z uwagą go przeczytałam. Cieszę się, że pragniesz zejść z drogi grzechu. Z mojego wieloletniego doświadczenia wiem, jak ciężko jest osobom o niechcianych skłonnościach homoseksualnych zrobić ten pierwszy najważniejszy krok, przyznać się do problemu i poprosić o pomoc. W naszej terapii najważniejsza i podstawowa jest motywacja. Bez niej nie ma mowy o sukcesie.

Dalej było coś o tym, że wychodzenie z homoseksualizmu można porównać ze zdobywaniem wysokiej góry, na której szczycie czeka pełnia męskości. Wędrówka jest mordercza, wymaga odwagi, samozaparć, chęci do rezygnacji z tego, co dotychczas było na wyciągnięcie ręki. Tak trudny szczyt można zdobyć tylko z osobami, które dobrze się rozumieją i darzą zaufaniem. Po drodze buduje się zdrowe relacje z Bogiem i innymi ludźmi. Orientacja homo to objaw niedojrzałości, którą da się przezwyciężyć. Modlitwa i obecność innych to niezbędne wsparcie. Jednak to końcówka listu rozwaliła mnie najbardziej.

Dziękuję za szczerość i zaufanie. Wiedza, którą mam, pozwala mi wysnuć wnioski, że Twoje dotychczasowe homoseksualne doświadczenia nie pozwolą na uzyskanie

satysfakcjonujących efektów.

Z Panem Bogiem,

Anna Folc.

Co za tupet! Najpierw wyłożyła mi, w jakim to strasznym grzechu żyję, a potem stwierdziła, że nagrzeszyłem już tak dużo, że nic nie da się z tym zrobić i czeka mnie wyłącznie ogień piekielny. I to tylko dlatego, że przez rok mieszkalem z facetem! W tym samym tonie wysmarowałem odpowiedź. Nie przebierałem w słowach. Nie oczekiwałem, że skontaktują się ze mną ponownie, i chyba w myślach pogrzebałem już wątek terapii. Podobnie jak pomysł dalszego spotykania się z facetami i szukania kogoś kolejnego. Będę gejem, ale nieaktywnym. Może od czasu do czasu pojedę na ręcznym, ale z facetami koniec. W międzyczasie przyszedł jeszcze jeden mail. Z gazety w miasteczku, w nagłówku stało: „Podziękowanie”. Okazało się, że tytuł upadł i ostatni numer ukaże się w połowie stycznia. A to oznacza, że jestem jakieś siedemset złotych do tyłu. Szybki bilans dochodów i rozchodów był bezlitosny. Mam tysiąc złotych wszystkiego. Trochę więcej niż połowa pójdzie na mieszkanie i bilet. Do dyspozycji będę miał jakieś cztery stówy. Mało, bardzo mało. Z samego radia nie wyżyję. Na gorąco przeglądałem ogłoszenia z ofertami pracy, nawet wysłałem kilka CV. A potem zasnąłem.

Wieczorem podzieliłem się z dziewczynami moim najnowszym problemem. Nina, której finansowo

powodziło się coraz lepiej, powiedziała, że jeśli zajdzie taka potrzeba, pożycz mi pieniądze. Od razu przypomniały mi się jej słowa sprzed miesiąca. Proponowała, żebym napisał coś do ich gazety, ale – gdy ona szła do przodu – ja byłem zajęty Wiktoorem i odmawiałem. Dziś ta szansa przepadła, dawno już kogoś znaleźli. Rozważaliśmy różne opcje, a Agacie – która w szaleńczym tempie podchodziła do egzaminów w sesji zimowej, by już z początkiem roku móc wyjechać – wpadł do głowy pomysł. Kredyt studencki. Sześćset złotych miesięcznie, symboliczne oprocentowanie, początek spłaty dwa lata po ukończeniu studiów. Moja mama nie pracuje, więc dochód na osobę w rodzinie nie będzie pewnie zbyt wysoki. Następnego dnia zacząłem węszyć. Z ogólnych warunków wynikało, że do kredytu muszą przystąpić rodzice i dwóch żyrantów. Wymaga to wyjazdu na święta do miasteczka, ale chyba jestem w stanie się przemóc i to załatwić. A tak zupełnie poważnie, to nie mam innego wyjścia. Nie przewiduję problemów. Przecież nie chcę od nich pieniędzy, tylko pomocy we wzięciu kredytu, który sam będę spłacał.

Pierwszy raz od ponad miesiąca zadzwoniłem do mamy. Zachowywała się tak, jakby nie pamiętała, o co nam poszło. Dziś to ja byłem petentem, więc nie wypadało mi przypominać powodów milczenia. Zmartwiła się moją sytuacją, ale bez problemu przystała na prośbę i powiedziała, że podpisze wszystkie

dokumenty. Obiecała też porozmawiać z ojcem i znaleźć dwóch pozostałych poręczycieli. Zaoferowała, że wybierze się do banku i zacznie załatwiać formalności. Kogoś tam znała i stwierdziła, że jeśli dobrze pójdzie, będziemy mogli podpisać dokumenty tuż po świętach. Trochę się uspokoiłem, ale też bezzwłocznie – w myśl zasady, że nie wydaję pieniędzy, które dopiero mam mieć – wprowadziłem program oszczędnościowy. Koniec z kawkami i jedzeniem na mieście.

Skrzynkę mailową otwierałem odruchowo kilka razy dziennie, właściwie za każdym razem, gdy siadałem przed komputerem. A teraz dodatkowo czekałem na oferty pracy, które dostawałem z portali internetowych. Ku mojemu zaskoczeniu wśród ściągniętych wiadomości była jedna szczególna. Anna Folc odpisała. Mało tego, zaprosiła mnie na spotkanie! Czas, miejsce i godzina były w porządku. Dwa dni przed Wigilią. Że też chce się jej umawiać ze mną, gdy niemal cały naród żyje już świętami. Musi być młoda i nie mieć rodziny, która zwali się jej na głowę na najbliższe dni. Może to stereotypowe myślenie i Nina pogoniłaby mi za nie kota, ale to nie moja wina, że wszystkie znane mi kobiety będące matkami lub babciami po dwudziestym grudnia myślą już tylko o Wigilii, gościach i o tym, jak ze wszystkim zdążyć. Luźniejsze są jedynie te, które idą do swoich matek lub babć. Folc musiała być zatem gościem, nie gospodynią.

Umówiliśmy się w jej gabinecie niedaleko stacji

metra Kabaty. Byłem kwadrans przed czasem. Przeglądałem, pierwszy raz w życiu, magazyn „Men’s Health” i czekałem, sam nie wiem na co. Z okładki spoglądał na mnie apetyczny, świetnie zbudowany facet ze śnieżnobiałym uśmiechem, gołym torsem i opuszczonymi na biodra džinsami. Jeśli takie obrazki mają mnie leczyć, to powodzenia, uśmiechnąłem się do siebie w duchu. W środku magazynu nie było gorzej. Sami przystojniacy. Ćwiczyli, mówili o diecie, stylu, seksie i kilku innych rzeczach. Wszystko z męskiego, a może nawet samczego punktu widzenia, ale zdjęcia pierwsza klasa. Gdy kończyłem przeglądanie, drzwi się otworzyły i stanęła w nich około trzydziestoletnia kobieta. Wysoka, szczupła, z blond kucykiem. Miała na sobie czerwoną koszulę, którą od czarnej dopasowanej spódnicy do kolan oddzielał pasek ze srebrną klamrą, i szpilki. W pierwszej chwili pomyślałem, że u tej psycholog, do której przyszedłem, leczy się też jakaś miss, ale to była Anna Folc we własnej osobie. Piękna. Gdybym wciąż nie był gejem, pewnie by mnie nawet podniecała. Upewniła się, że ja to ja, i zaprosiła mnie do środka.

– Normalnie taka rozmowa odbywa się dopiero po zapoznaniu kandydata do naszej grupy z regulaminem i co najmniej jedną lekturą z listy. – Zabrzmiało to tak, jakby się usprawiedliwiała. – W twoim... możemy sobie mówić na ty? – zapytała, a ja skinąłem głową – przypadku postanowiłam zrobić wyjątek.

– Dlaczego?

– Dlatego że wykazałeś się dużą odwagą i determinacją.

– W czym? – Nie bardzo rozumiałem.

– W pragnieniu wejścia do naszej grupy. Motywacja godna pozazdrosczenia.

– A więc zostałem przyjęty?

– To się okaże za jakieś dwie godziny.

Dała mi do wypełnienia jakieś papiery. Coś jakby test kompetencyjny wymieszany ze sprawdzającym inteligencję. Zajęło mi to kilkadziesiąt minut. Potem opowiedziała mi o strukturze grupy i panujących w niej zasadach. Po pierwsze, mam zerwać ze wszystkim, co ciągnęłoby mnie w złą stronę. Znajomi homoseksualiści, tego typu miejsca, erotyka, filmy i – na co położyła szczególny nacisk – masturbacja. Po drugie, muszę znaleźć sobie stałego spowiednika, kierownika duchowego lub kapłana, który będzie moim duchowym towarzyszem w drodze na szczyt, o którym pisała w mailu. Kolejny punkt to psycholog, który obok księdza będzie prowadził terapię mającą mi pomóc. Jednego i drugiego mogę wybrać z przygotowanej przez Annę listy.

– Mam wybrać księdza i psychologa z listy? – Wydawało mi się, że coś źle zrozumiałem.

– Jeśli nie znasz nikogo odpowiedniego, zorientowanego w tej tematyce i tych problemach, możesz posiłkować się listą, ale nie musisz.

– A niby na jakiej podstawie mam wybrać tego, a nie innego? – Zrobiłem wielkie oczy. – Ma mi się podobać imię i nazwisko czy jak?

Na końcu języka miałem, że gdyby dołączyli chociaż fotki tych ludzi, a szczególnie facetów, to wybór byłby łatwiejszy.

– To oczywiste, że musisz wypróbować kilku, jeśli trzeba, nawet kilkunastu. – Wręczyła mi kopie obydwu list. – I wybierzesz tego, z którym będziecie się rozumieć. Spotkania będą trudne, czasem dramatyczne – ostrzegła. – Będziecie dotykać przeszłości i wydarzeń, które pchnęły cię w miejsce, w którym jesteś. Wszystko po to, żebyś otworzył się na szczerze kontakty z innymi, żebyś piał się w górę i wygrał.

Kolejny punkt, który omówiła, to spotkania, na które muszę przychodzić regularnie. Ich opuszczanie skutkuje wykluczeniem z grupy. Powiedziała też o zamkniętym forum internetowym, które ma być wsparciem dla członków. Normalnie to nie Anna kontaktuje się z osobami takimi jak ja. Robi to lider danej grupy, czyli chłopak wybrany spośród jej członków. Mam go poznać przy pierwszej możliwej okazji. Koszt członkostwa to dziesięć złotych miesięcznie. Spotkania z psychologiem miałem sfinansować sobie sam. Ostatnia sprawa to bezwzględna anonimowość. Zakaz opowiadania komukolwiek o tym, co dzieje się wewnątrz grupy. Wspomniała coś o odpowiedzialności karnej.

– Jakież pytania? – zmierzała ku końcowi.

– Tak. – Nie byłbym sobą, gdybym ich nie miał. – Jak długo trwa takie leczenie?

– Nie ma określonego czasu. Wszystko zależy od twojej sytuacji startowej i motywacji. – Miałem wrażenie, że to jakieś słowo klucz. – Czasem jest to kilka miesięcy, a czasem kilka lat.

– A biorąc pod uwagę moją sytuację startową? – drażyłem.

– Nie chcę generalizować. Sam zobaczysz, jak ci idzie.

– I potem będę w pełni hetero?

– Taki jest nasz cel.

– A ilu dotychczas wyleczyliście?

– Nie prowadzimy statystyk. W literaturze, którą otrzymasz, będzie opisanych wiele przypadków uleczenia. Jesteś gotów przyjąć nasze zasady?

– Jestem – odpowiedziałem.

Ale sporo rzeczy mi się nie zgadzało. Przede wszystkim ucieczka od odpowiedzi na ostatnie pytanie. Chciałem się też dowiedzieć, kiedy uznają chłopaka za wyleczonego. Można stwierdzić, kiedy pacjent jest wyleczony z depresji, więc tu też powinno się dać. Niestety nie zdążyłem zapytać. Mimo to postanowiłem spróbować. Może będąc wewnątrz, uzyskam odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Dzień później byłem już w miasteczku. Tym razem uprzedziłem mamę o godzinie przyjazdu, ale

tradycyjnie nikt nie wyszedł po mnie na dworzec. Już zapomniałem, że w miasteczku na bieżąco odśnieża się tylko główne ulice. Ta prowadząca do mojego bloku nie była jedną z nich, więc walczyłem z zaspami. Miasto, mimo jeszcze niezbyt późnej pory, było wyludnione. Wyglądało jak wtedy, gdy w telewizji leciała *Dynastia*. W oknach blokowiska świeciły się już choinki. Białe błyszczący śnieg tworzył bajkowy nastrój. Przy drzwiach wejściowych do klatki napotkałem na przeszkodę. Na całym osiedlu zainstalowali domofony, nie znałem kodu. Klucza do mieszkania nie miałem już od dawna. Zaraz po mojej wyprowadzce trzeba było wymienić zamki i ktoś uznał, że klucz mi się już nie należy. Nie pozostało więc nic innego, jak wybrać na klawiaturze 67 i czekać, aż ktoś łaskawie wpuści mnie do środka. Dom nie wyglądał świątecznie. Ojciec leżał na kanapie z pilotem w ręku, a matka jak zwykle biegła po kuchni i szykowała mi jedzenie. Jakbym wrócił z głodówki. I chociaż wyglądało to komicznie, wiedziałem, że robi to z troski. Ojciec mnie ignorował. Jakby był głuchy. Rozmawiałem z mamą w kuchni, a on ani drgnął. Zwykle nasłuchiwał, komentował, a teraz był jak ściana. Temat kredytu poruszyłem z nią dopiero podczas spaceru z psem.

– Ojciec powiedział, że sam musisz z nim o tym porozmawiać – powiedziała, spuszczając psa ze smyczy.

– To znaczy, że nie podpisze? – zaniepokoiłem się.

– Podpisze, podpisze. Tylko musisz go trochę

dowartościować.

– Czyli się płaszczęć – przetłumaczyłem z języka dyplomacji na domowy.

– Wiesz, jaki on jest. Zmusz się. Jeden raz się zmusz – namawiała. – Sytuacja jest podbramkowa. Nie mamy wyjścia.

– A co mam zrobić? Tak konkretnie.

– Bądź miły, serdeczny, zainteresuj się – wyliczała.

– Czym mam się zainteresować?

– Ojcem.

– Mamo! Przez ostatnie dwa lata rozmawialiśmy ze sobą może ze dwadzieścia minut – zauważyłem. – Z czego piętnaście się kłóciliśmy!

– Zrobisz, jak zechcesz. Ja ci dobrze radzę – stwierdziła i krzyknęła na psa, który zakopał się w śniegu. – Wracamy. Zimno.

Wieczór spędziłem w domu. Obserwowałem. Ojciec był niczym król roju, o którego względy należy zabiegać. Czułem się jak petent, który stoi w kolejce i zastanawia się, jak udobruchać urzędnika, by ten szybko i pomyślnie przeprowadził sprawę, którą i tak musi załatwić. W normalnej rodzinie taki problem nigdy by się nie pojawił, a u nas jest na porządku dziennym. Syn musi niemal błagać ojca, by ten pomógł mu się uczyć. Postanowiłem, że próbę rozmowy podejmę w święta. Może atmosfera będzie nieco lepsza, bo póki co za każdym razem, gdy staram się wciągnąć go do

rozmowy, jedynie sapie i cmoka. Podczas Wigilii u ciotki wiele się nie zmieniło. Suche życzenia „wszystkiego najlepszego” wycisnął z siebie z nadludzkim wysiłkiem. Po wszystkim tradycyjnie wyładowałem u Matyldy. Na *Weselu*. Ściągnęła jakiegoś pirata filmu Wojciecha Smarzowskiego.

– Mój ojciec też chyba będzie musiał dopłacić, żeby mnie ktoś wziął – zamyśliła się.

– Chcesz mi powiedzieć, że...

Miałem na myśli ciążę, jak w filmie.

– Żartujesz!?! – obruszyła się.

– To nie rozumiem.

– Wojtek. – Była bardzo oszczędna w słowach.

– Co Wojtek?

– Nie wiem, o co mu chodzi. – Zamyśliła się. – Prowadził warsztaty tańca dla moich harcerzy. Wiesz o tym?

– No wiem. Źle tańczył? – Brałem pod uwagę różne możliwości.

– Świetnie tańczył. I to ze mną.

– To w czym problem?

– W tym, że odprowadził mnie do domu i zostawił przed furtką.

– A co miał zrobić?

– Skończyć to, co robił ze mną na parkiecie! – W życiu nie słyszałem tak odważnego zdania z ust Matyldy.

– Miał cię wziąć na chodniku? – zaśmiałem się.

– Ty tylko o jednym – oburzyła się. – Oczekiwałam, że będzie jakaś kontynuacja tego wieczoru, że gdzieś pójdziemy. A on się odwrócił na pięcie i poszedł.

– I cię nie pocałował?

– W policzek, jak zawsze – usłyszałem żal w jej głosie. – Od miesiący w policzek!

– A może to gej? – Zajrzałem jej głęboko w oczy.

– Tak uważasz? – Odwzajemniła spojrzenie.

– Nie wiem. Głośno myślę.

– Mam plan! – stwierdziła tajemniczo. – Umówisz się z nim!

– Ciebie do reszty popierdoliło! – zaprotestowałem.

– Nie! Nie! Nie! – krzyknęła. – No, może trochę – przyznała mi rację. – Ale nie ma innego wyjścia, żeby się przekonać, o co mu chodzi i czemu nie może się ogarnąć.

– A co jeśli jest? – Teoretycznie to było przecież możliwe.

– To wszystko będzie jasne i sobie go weźmiesz. Lepiej wiedzieć.

– Z tym że ja... – Chciałem powiedzieć o terapii, która ma doprowadzić do całkowitego zerwania z facetami.

– Wiem, wiem. Masz alergię na facetów, bo jakiś burak nie umiał ci powiedzieć, że wybrał mamunię i że z tobą zrywa. Ale to chwilowe uczulenie – zapewniła mnie. Jak na dziewicę była nieźle zorientowana.

Nic nie powiedziałem. Matylda nie jest osobą, która

mówiąc „facet”, ma na myśli seks, ale po miesiącach randkowania i ją zaczął zastanawiać brak konsekwencji. Była zakochana w Wojtku i pragnęła, by odwzajemnił to uczucie. Wymusiła na mnie obietnicę, że się z nim umówię i zbadam sytuację. Na szczęście nie zażądała, bym natychmiast zadeklarował, kiedy dojedzie do spotkania. O moim aktualnym położeniu nie rozmawialiśmy. Przez całe święta czekałem na choćby jeden głupi SMS z życzeniami świątecznymi od Wiktora. Nie w ramach reaktywacji związku, chodziło o elementarną kulturę osobistą. Nie doczekałem się, więc sam postanowiłem coś napisać. Krótko, zwięźle i na temat. Wiadomość wysłałem w drugi dzień świąt tuż przed rozpoczęciem przygotowań do wyjścia na imprezę klasową. Nie dostałem odpowiedzi. Gdy leżałem w wannie, podjąłem decyzję, że rozmowę z ojcem przesunę jeszcze o jeden dzień. Jutro wracam do Warszawy i spróbuję to zrobić tuż przed wyjazdem. Przez święta i tak nie było okazji. Albo pił, albo spał, albo miał kaca. Niewiarygodne, że potrafił napić się nawet w Wigilię.

Podczas mycia głowy przypomiąłem sobie listę obecności mojej klasy i twarze kolegów. Bezbłędnie wyrecytowałem wszystkie dwadzieścia siedem nazwisk. Ja, w zależności od roku, mieściłem się między numerem dziewiętnaście a dwadzieścia trzy. Matylda zawsze była w pierwszej piątce. Pamiętałem nawet, kto z kim siedział w ławce. Niebieski maluch Matyldy

zajechał przed mój blok wpuł do ósmej – gdy wychodziłem, zaczynały się *Wiadomości*. Ustaliliśmy, że ubieramy się skromnie, ale elegancko. Mamy się dziś spotkać z ludźmi, których nie widzieliśmy od ponad ośmiu lat. Przynajmniej niektórych, bo większość od czasu do czasu wpadała na siebie na mieście, w sklepie albo w autobusie z miasteczka do Warszawy. Mieli być też niektórzy nauczyciele. W planie imprezy, poza tańcami i piciem alkoholu, był pokaz slajdów z naszymi dawnymi zdjęciami i sprawdzanie listy obecności połączone ze spowiedzią dekady.

– Ciekawe, czy Edyta będzie pokazywać swoje zdjęcia ze ślubu? – Spojrzałem na Matyldę, przytrzymując jej drzwi wejściowe do naszej dawnej podstawówki. Edyta była jedną z osób, z którymi dość regularnie się widywaliśmy.

– Na pewno! Chociaż widziałam je już tyle razy, że obudzona w środku nocy opiszę jej suknię w najdrobniejszych szczegółach. Włącznie z tym, jak i gdzie była plisowana!

– Mam tak samo. Wyrecytuję z pamięci listę gości i prezentów. A! I nazwisko księdza!

– Mamy ciekawą wiedzę. – Zadumała się. – Zwłaszcza że nie było nas ani na ślubie, ani na weselu.

– Ciekawe jest to, że ona wciąż o tym opowiada. Przecież niecały rok po ślubie się rozwiodła! – Roześmialiśmy się, ale śmiech przytłumiła dobiegająca ze świetlicy Gloria Gaynor, która niezmiennie krzyczała

I will survive.

Wewnątrz było kilkadziesiąt osób kłębiących się wokół sporego drewnianego stołu, przy którym lata temu jadaliśmy obiady. W piątki zawsze odbywały się tu zajęcia plastyczne, na które uczęszczała już tylko klasowa grupa trzymająca władzę. Prowadziła je nieoceniona pani Grażynka, którą naprawdę kochaliśmy. Była naszą nieformalną wychowawczynią, rozwiązywała problemy i konflikty, zabierała nas na wycieczki rowerowe i była naszym dobrym duchem. Przystanęliśmy na chwilę w progu w poszukiwaniu znajomych twarzy. I chociaż wyglądali już nieco inaczej niż wtedy, gdy ostatni raz byliśmy w komplecie, rozpoznałem wszystkich. Zanim zdążyliśmy wymienić uwagi, rozległ się pisk. Dostrzegła nas moja koleżanka z ławki, Dorota. Chwilę później każdy ścisnął się z każdym. Podczas odczytywania listy obecności okazało się, że jednak nie wszyscy przyszli. Różnie potoczyły się losy członków naszej klasy. Spora część studiuje. Kilka osób mieszka w Warszawie, ale zdecydowana większość wybrała Lublin lub została w miasteczku. Byli w naszym gronie rodzice, mężowie i żony. Cały przekrój społeczny. Edyta oczywiście przyniosła album ze zdjęciami ślubnymi, na co nasza – reaktywowana właśnie – grupa trzymająca władzę ryknęła śmiechem. Wyszło na jaw, że nie tylko mnie i Matyldę katowała tymi opowieściami przy każdej okazji. Zaraz potem padło moje nazwisko.

W wyśmienitym humorze wstałem i zacząłem opowieść.

– Mieszkam w Warszawie. Studiuję dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. I tę informację dedykuję pani Jurek. – Sala gruchnęła śmiechem. Pani Joanna Jurek uczyła nas polskiego i zawsze miałem u niej trzy z dwoma. Wypracowania kwitowała komentarzami, że nie mam talentu ani wyobraźni niezbędnych do pracy dziennikarza. – Nie mam żony, nie mam dzieci. – Nie dodałem, że nie mam już także faceta. – Ale za to mam świetne perspektywy! Pracuję w radiu z Szymonem Bińczykiem. A od nowego roku w porankach będą moje rozmowy z różnymi ciekawymi ludźmi. Spełniłem to, co sobie w tych murach wymyśliłem, i jestem szczęśliwy.

Rozdawałem uśmiechy na prawo i lewo, a moi koledzy patrzyli na człowieka, który idzie prosto do celu. Gdyby tylko wiedzieli, znali prawdę – jak śpiewa w *Jenny* Edyta Bartosiewicz. Po mistrzowsku pominąłem wszystko, co mogłoby zaszkodzić mojej imponującej biografii. Ale gdy wypowiadałem słowa, że jestem szczęśliwy, zdałem sobie sprawę, że blefuję. Zataiłem informację o swojej orientacji seksualnej oraz o dwóch nieudanych związkach, w wyniku których mam zamiar podjąć terapię leczącą z gejostwa. Przyszło mi na myśl, że to, czym się właśnie pochwaliłem, zacząłem realizować ledwie chwilę temu, a cały drugi rok studiów przebimbałem, oddałem Wiktorowi. O kile, testach na HIV i fatalnej sytuacji w domu nawet nie pomyślałem.

Powiedziałem im to, co chciałem powiedzieć, co pozytywnie wpłynie na mój wizerunek. Tak naprawdę było to bardziej życzenie niż rzeczywistość.

Po przesłuchaniu, które urządziliśmy też nauczycielom, zaczęły się tańce i rozmowy w grupach. Matylda brylowała na parkiecie, a ja szczerzyłem się do wszystkich po kolei, opowiadając, jakie fascynujące jest radio. Ale gdy po raz następnym usłyszałem pytanie, czy poznałem Dodę, postanowiłem dołączyć do tańczących. Oszałamiałem przy *Sex bomb* Toma Jonesa. A gdy impreza była w pełni rozkręcona, ktoś włączył *GoldenEye* Tyny Turner. Padliśmy sobie z Matyldą w ramiona i mogliśmy wymienić spostrzeżenia. Pobieźnie omówiliśmy męską część klasy i ustaliliśmy, kto się wyrobił, a kto nie. Moja przyjaciółka powiedziała, że wszyscy są pod wrażeniem tego, czym się zajmuję. Nawet pani Jurek. A to znaczyło, że kupili moją przesłodzoną historyjkę.

– Czuję się jak stara panna – szepnęła mi do ucha.

– Czemu?

– One wszystkie wyszły już za mąż.

– Nie wszystkie. – Rzuciłem kilka imion.

– Studiują poważne rzeczy i mają przed sobą karierę. Tak jak ty. – Zatrzymaliśmy się na chwilę i ścisnęła mnie za ramię. – Wojtek nie może być gejem! I ty to potwierdzisz.

– Oszałałaś! To jakieś wychodzenie za mąż na

wyścigi?

– Jakbyś tu mieszkał, to byś nie zadawał głupich pytań.

– Jakbym tu mieszkał, to bym utył. To samo dotyczy ciebie, gdybyś już wyszła za męża. Spójrz na niektóre z nich. – Rozejrzałem się po sali. – Wcielają w życie zasadę „zaobrączkowana – mogę tyć”. A ty jesteś moją ulubioną starą panną. Tańcz i nie pierdol głupot.

Około czwartej nad ranem pod szkołę zajechała matka Matyldy i rozwiozła nasze rozbawione ciała po domach. Przed snem chciałem jeszcze umyć zęby. W takt *We are family* wszedłem do łazienki. W wannie zastałem ubranego ojca. Otrzeźwiałem natychmiast, pomyślałem, że coś mu się stało, że zasłabł. Doznałem, nowego dla siebie, uczucia lęku o niego. Zacząłem nim potrząsać i poczułem, że śmierdzi od niego jak z gorzelnii. Był pijany. Trzeci dzień z rzędu. Moją uwagę zwrócił też niesamowity smród, który opanował toaletę. Gdy ojciec się poruszył, do góry buchnął zapach moczu. Rozejrzałem się wokół i dostrzegłem mokrą plamę na jego spodniach. Jak najprędzej wycofałem się z łazienki. Zabrakło mi odwagi, by sprawdzić, w jakim stanie jest mama. Za dużo dziś widziałem. Położyłem się do łóżka i próbowałem sobie wmówić, że to było przywidzenie, że ojciec wcale nie sika pod siebie. Rano nie mogłem przełknąć śniadania, za każdym razem, gdy na niego spojrzałem, wszystko podchodziło mi do gardła.

Pożałowałem, że sprawy poręczenia kredytu nie załatwiłem od razu po przyjeździe. Teraz czas naglił, przeszedłem więc do rzeczy. Krótko wprowadziłem go w temat i mimo kipiącej we mnie niechęci zadałem kluczowe pytanie:

– Poręczysz mi kredyt?

41. Dobrze, że jesteś

Spodziewałem się, że nie będzie to zbyt długa rozmowa. Można to przecież załatwić krótką wymianą zdań. Pytaniem i odpowiedzią. Tak lub nie. Do głowy mi nie przyszło, że mój tatuś będzie oczekiwał głębszej analizy tematu i swego rodzaju uzasadnień prośby. Jeszcze chwila, a gotów zażądać pisemnego wniosku wraz ze zdjęciami i załącznikami w postaci zaświadczeń o dochodach. Siedzieliśmy po dwóch stronach ławy.

– A do tej pory sobie radziłeś? – zaczął odpytywanie.

– Do tej pory miałem gazetę, która, jak wiesz, upadła. Dostaję niewielkie pieniądze z radia i jakoś dało się za to przeżyć.

– Ile ci potrzeba miesięcznie?

– Licząc szybko, jakieś tysiąc dwieście złotych.

– I na co wydajesz?

Zaczęło się we mnie gotować, ale się opanowałem.

– Jak to na co? Na mieszkanie, na...

– Ile na mieszkanie? – wszedł mi w słowo.

– Sześćset złotych.

– Dalej.

– Bilet, trzydzieści trzy. Reszta na życie. Pięćset parę złotych.

Nie bardzo wiedziałem, ku jakiemu finałowi zmierza ta dyskusja, ale nie miałem wyjścia. Musiałem ją kontynuować.

– A jakieś przyjemności?

– To w ramach tego, co zostanie po opłaceniu mieszkania.

– Wakacje? – zapytał.

– Jakie wakacje?

– W mieście Palma na Majorce.

– Nie rozumiem.

Wstał, otworzył szafkę i wyciągnął z niej rozerwaną kopertę, na której było logo mojego banku, a w środku jakieś papiery. Wyciąg. Nagle zrozumiałem, o co mu chodzi. Przypomniałem sobie, że jeden jedyny raz w sierpniu na Majorce wypłaciłem pieniądze z bankomatu.

– Otwierasz moje listy? – Czułem, że zaczyna się we mnie tsunami, ale robiłem wszystko, by nic nie dać po sobie poznać.

– Koperta była naderwana.

– I dlatego rozerwałeś ją do końca?

Napięcie rosło. Zapanowała taka cisza, że słyszałem, jak siedząca na kanapie mama przełyka ślinę.

– Dobrze, że rozerwałem. Po co kredyt komuś, kogo stać na wyjazdy na Majorkę? – Odpowiedź na pytanie o poręczenie była zatem jasna jak hiszpańskie słońce w zenicie.

– Rozumiem.

Wstałem i zamknąłem się w łazience. Przemylem twarz wodą i patrzyłem w lustro. Krople spływały mi po policzkach, kapały z nosa. Wyglądały jak łzy, ale nimi nie były. Nie będę płakał przez ojca. Jestem młody, zdrowy, energiczny i z jego podpisem pod umową kredytową czy bez dam sobie radę. Zza drzwi dobiegały podniesione głosy rodziców, ale byłem zbyt oszołomiony, żeby zrozumieć, o co konkretnie chodzi. Bez słowa przemknąłem do małego pokoju. Zbierałem rzeczy, gdy w drzwiach stanął ojciec.

– Przestał cię alfons finansować? Znudziłeś się? Zmienił dupę? – krzyczał, a ja nie wierzyłem w to, co słyszę. Zignorowałem go. – Pamiętaj! Nie będę finansował twojego pedalskiego życia. Ani grosza nie dam! Studia, kurwa, wymyślił! Wielkie studia! Dupa śwędziała, a nie studia! Jeden cię puścił kantem, to szukaj drugiego, niech płaci, póki młody jesteś!

– Weź się zamknij wreszcie! – nie wytrzymałem.

– Nie pyskuj, pedale! Bo jak ci przypierdolę, to już nikt nie będzie chciał za tę śliczną buźkę płacić!

– Spróbuj! – Wstałem z kolan, bo właśnie domykałem walizkę. – Łałeś mnie tyle lat i co myślisz? Że dalej będziesz to robił? Spróbuj! – Podniósł rękę. – Spróbuj! A pożalujesz. Po pierwsze ci oddam, po drugie zagwarantuję ci noc na dołku!

Cofnął się.

– Gównu ci dam! Dupą zarób, jak chcesz w Warszawie przeżyć. Redaktorku pierdolony! Syn

pedał! Wstyd na całe miasto. – Splunął przede mnie.

Usłyszałem płacz mamy dobiegający z drugiego pokoju, ale nie mogłem tam iść. Drzwi blokował ojciec.

– Ja już nic od ciebie nie chcę.

– I nie dostaniesz!

– Ty też ode mnie nic nie dostaniesz, jak będziesz lał pod siebie jeszcze bardziej niż dziś w nocy. Przepraszam, teraz chcę stąd wyjść – powiedziałem ze stoickim spokojem. Jakbym właśnie oznajmił, że pada deszcz.

Po tym zdaniu z mojego ojca uszła energia. Zszedł mi z drogi i nie powiedział już nic. Pożegnałem się z mamą i wyszedłem. Schodząc po schodach, myślałem tylko o tym, że to chyba była moja ostatnia wizyta w rodzinnym domu. Przynajmniej dopóki ojciec żyje. Koniec z udawaniem, nawet w święta. Po drodze na dworzec zaliczyłem kiosk matki Matyldy i spokojnie poinformowałem ją, że ojciec mi nie pomoże i chyba właśnie znalazłem się w finansowej dupie. Na co ona wyjęła z kasy dwieście złotych i wcisnęła mi w garść. Przez cały czas klęła, na czym świat stoi. A ja nie potrafiłem okazać żadnych emocji. Nie wiem, czy byłem w szoku, czy po prostu zobojętniałem. To już druga, po rozstaniu z Wiktorem, sytuacja, którą przyjmuję na chłodno. Jakby ktoś wyłączył mi nerwy, łyzy i uczucia.

Dotarłem do Warszawy, a potem na Wolę. Przez całą drogę wpatrywałem się tępych wzrokiem w szybę. Nina i Agata jeszcze nie wróciły ze świąt. Agata wpadnie po

Nowym Roku, w ciągu tygodnia zaliczy sesję zimową (uprosiła profesorów o przeegzaminowanie jej na dwa tygodnie przed terminem) i poleci do Portugalii. A Nina przyjedzie w sylwestra, mają jakieś plany z Karolem i koniecznie chce mnie w nie zaangażować. Byłem zupełnie sam, nie musiałem z nikim rozmawiać, nikomu niczego opowiadać i na tę chwilę był to dla mnie stan idealny. Usiadłem przy komputerze i sprawdziłem maila. Wśród nieprzeczytanych wiadomości była jedna od Anny Folc. Ucieszyłem się. Własny ojciec upokorzył mnie tak, jak nikt wcześniej. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, z kim byłem na Majorce, że w moim życiu był facet, który wspierał mnie finansowo, i że już go nie ma. Wiedziałem jednak, że jeśli ta terapia sprawi, iż już nigdy nikt mnie tak nie potraktuje, wchodzę w to. Folc podała mi czas i miejsce spotkania. Przypomniała też o szukaniu terapeuty i spowiednika, ale to odłożyłem na początek stycznia. Jeszcze w tym roku miałem do nagrania dwie rozmowy. Spośród moich propozycji Szymon wybrał Katarzynę Grocholę i Joannę Brodzik, która od roku nie była już Kasią, ale lada moment miała zostać prawniczką Magdą w nowym serialu TVN.

W sylwestra po pracy pojechałem na Bobrowiecką. Ostatni raz. Planowałem zabrać resztę rzeczy i zamknąć ten rozdział. Chodziłem po mieszkaniu, jakbym zwiedzał kąty, w których tyle się wydarzyło. Z każdym pomieszczeniem, z każdym meblem wiązały się wspomnienia. Położyłem się na łóżku w sypialni,

otuliłem zimną pościelą i coś we mnie pękło. Zwinąłem się w kłębek i po raz pierwszy od miesiący popłynęły łzy. Wraz z nimi wypływała ze mnie gorycz skumulowana w sercu. Płakałem tak długo, aż zasnąłem, obudziły mnie dopiero fajerwerki o północy. Podszedłem do okna i pomyślałem nad noworocznym postanowieniem. Przyszło mi do głowy tylko jedno. Chciałem, żeby było normalnie. Nie słyszałem ani telefonów, ani SMS-ów. Nina dzwoniła chyba z trzysta razy, wysłała też czterdzieści dwie wiadomości. Życzyłem jej szczęśliwego 2005 roku, dodałem, że żyję, i do rana siedziałem przy stole w kuchni. Przed ósmą, gdy byłem już pewien, że naród odsypia nocną imprezę, włączyłem alarm, zamknąłem mieszkanie Wiktora na wszystkie cztery zamki i z laptopem w plecaku pojechałem na Wolę. Zdecydowałem się zabrać komputer tylko dlatego, że jest mi niezbędny w pracy i nauce. Nie mogę ciągle korzystać ze sprzętu Niny. Na wszelki wypadek napisałem Wiktorowi krótki liścik, że komputer jest u mnie i mogę go zwrócić w każdej chwili. Rozmyślnie wybrałem okrężną drogę, nie chciałem jechać koło Ogrodu Saskiego, przecież to tam dokładnie dwa lata temu poznałem Wiktora. I gdyby wtedy ktoś powiedział mi, jak się potoczy i skończy ta znajomość, popukałbym się w głowę. Kierowca autobusu miał włączone radio, leciała piosenka *I wanna know what love is*, ale ja – przynajmniej tymczasowo – nie wierzyłem w miłość. Przez najbliższych kilka dni

moją prywatną playlistę tworzyły smęty z *Mru mru* Hey, *Nothing Compares 2U* Sinéad O'Connor i *Streets of Philadelphia* Bruce'a Springsteena na czele. Nina aż usiadła, gdy opowiedziałem jej, czym skończyła się moja wizyta w miasteczku.

– Przecież ty nie chciałeś od niego pieniędzy! Nie powiedziałaś, żeby dawał ci tysiąka co miesiąc – powiedziała, rozczesując mokre włosy.

– To akurat nie ma większego znaczenia. Mógł nie dać i nie dał.

– Co za podły, zazdrosny chuj! Nie ma innego wyjścia, jak iść przed siebie. – Nie brała pod uwagę poddania się.

– Jestem na etapie prostowania się, jeszcze ze dwa dni i będzie w miarę dobrze. – Uśmiechnąłem się delikatnie pierwszy raz w 2005 roku.

– Ty nie możesz tam jeździć. Każda wizyta kończy się jakimś skandalem. Następne święta spędzasz u mnie – zdecydowała.

Mniej więcej w tym samym tonie przebiegła rozmowa z Matyldą. Cieszyłem się, że nie jestem sam. Dziewczyny mnie pilnowały, ale nie inwigilowały. Powrót do poświętecznej rzeczywistości pomógł mi złapać pion. Szymon stwierdził, że z Grocholą rozmawiałem jak stary wyjadacz. Kilka dni do spotkania z grupą leczących się gejów wypełniła mi nauka. Jak to dobrze, że ktoś wymyślił kolokwia i sesję, myślałem za

każdym razem, gdy siadałem do książek. Dotąd nigdy aż tak sumiennie i wcześnie nie przygotowywałem się do egzaminów. W końcu nadszedł wyczekiwany dzień. Wcześniej wpadłem jeszcze na wydział, by sprawdzić wyniki kolokwium z międzynarodowego obiegu informacji. Okazało się, że i mnie, i Ninie poszło świetnie. Dostaliśmy po piątce i dzięki temu na pewno mamy dostateczne z egzaminu. I od nas zależy, czy chcemy więcej. Miałem ponad godzinę zapasu. Wypożyczyłem książki i poszedłem posłuchać nowych płyt. Zamierzałem właśnie włączyć *How to Dismantle an Atomic Bomb* U2, gdy w kieszeni poczułem wibrujący telefon. Kierunkowy wskazywał na to, że dzwoni ktoś z miasteczka. Imienia i nazwiska nie usłyszałem, ale to była jakaś kobieta z banku.

– Jest decyzja w sprawie pańskiego kredytu – usłyszałem. – Chciałam panu jeszcze dziś przekazać, że jest pozytywna.

– Ale jak to? Przecież ja się z tego wycofałem – stwierdziłem zaskoczony.

Mama miała wszystko odkręcić.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiem. Rodzice nie zdecydowali się przystąpić do kredytu. Musiałem zrezygnować. – Ubrałem smutną prawdę w ładne słowa.

– Ale pana rodzice podpisali dokumenty. Jeszcze w zeszłym roku. Dokładnie 28 grudnia. Coś się nie

zgadza?

– I kiedy zostanie uruchomiony kredyt? – pominąłem jej pytanie.

– Mam nadzieję, że na początku lutego.

– Jest pani tego wszystkiego pewna? Moi rodzice jednak się zdecydowali?

– Jestem pewna, a pan? – Chyba pomyślała, że coś ze mną nie tak.

– Skoro pani jest, to ja też. Dziękuję za informację.

Skończyłem rozmowę i natychmiast zadzwoniłem do domu. Miałem nadzieję, że nie odbierze ojciec i że nie będę musiał się rozłączać. Usłyszałem głos mamy.

– Właśnie do ciebie dzwoniłam. Miałaś zajęte – zaczęła. – Dzwonili do mnie z banku.

– Do mnie też, przed chwilą. Dlatego miałem zajęte.

– Aha. To już wiesz?

– No wiem, ale nic nie rozumiem. – Oczekiwałem wyjaśnienia.

– Stało się. To najważniejsze – podsumowała mama.

– Wysłałam ci na konto dwieście pięćdziesiąt złotych. Więcej nie miałam, ale lepsze tyle niż nic. Jakoś będziesz musiał przeżyć.

– Dzięki, mamo, ale naprawdę niepotrzebnie. Ja na styczeń jeszcze miałem pieniądze, a w lutym ma być pierwszy przelew. Może lepiej ci odeślę?

– Ma być, a czy będzie, to się okaże. Trzymaj na czarną godzinę.

– Dziękuję ci, naprawdę. – Wzruszyłem się.

– Chociaż tyle mogłam.

Uskrzydłony ostatnimi wiadomościami na pierwsze spotkanie anonimowych homików przez samo „h” – jak nazwałem grupę Anny Folc – postanowiłem iść piechotą. Nie było późno. Dochodziła osiemnasta, ale czułem się, jakbym wędrował warszawskim Nowym Miastem w środku nocy. Zero samochodów, niewielu ludzi i śnieg. Masa śniegu. Na chodniku, na latarniach, na dachach kamienic i kościoła św. Jacka przy ulicy Freta. To w salce należącej do Dominikanów, tuż obok kościoła odbywały się spotkania mające raz na zawsze zmienić moje życie. Od bramy dzieliło mnie przejście przez ulicę, raptem pięć metrów. Pięć metrów do szczęścia. Z każdym krokiem przybliżającym mnie do celu czułem coraz większe ciepło. Jakby ktoś rozkręcał we mnie knot lampy naftowej. Zadzwoiłem domofonem i szedłem przed siebie zgodnie z wcześniejszymi wskazówkami Anny. Najpierw wzdłuż budynku, potem trzecie drzwi w prawo i drewnianymi schodami na drugie piętro. Już z klatki schodowej dało się zobaczyć słabe światło i usłyszeć niezbyt głośne rozmowy kilku osób. Annę poznałem od razu. Mówiła ściszym, ale pewnym głosem. Instruowała kogoś. Już wcześniej miałem wrażenie, że żadne z wydobywających się z jej ust słów nie jest przypadkowe. Jakby kwestie, które wygłaszała, miała starannie przemyślane, rozpisane i wyuczone na pamięć. Zero improwizacji.

Zanim przekroczyłem próg pokoju, zatrzymałem się i wyteżyłem słuch. Chciałem na podstawie dochodzących stamtąd odgłosów wyobrazić sobie to miejsce, tych ludzi. Wydawało mi się, że słyszę tam jeszcze jeden kobiecy głos, ale znacznie cichszy. Wątki, jakby złamany. Nie rozumiałem, co mówi ta druga. Zresztą trochę mnie zaskoczyła jej obecność. Byłem pewien, że poza Anną będę miał do czynienia z samymi facetami. Czyżby leczyły się tu też dziewczyny? Chciałem się oprzeć o ścianę, ale gdy tylko zmieniłem pozycję, drewniana podłoga przeraźliwie zaskrzypiała, aż ze strachu podskoczyłem do góry. Szpiegowanie się skończyło, trzeba było wejść do środka.

– Kto tam jest? – usłyszałem Annę. – Zapraszamy do nas. Zapraszamy.

– To ja. Strasznie kręte te schody. Trudno wejść po ciemku – udałem, że dopiero co wszedłem na górę.

Znalazłem się w średniej wielkości pomieszczeniu, które przypominało mi salkę katechetyczną przy kościele w miasteczku. Na początku podstawówki chodziliśmy tam na religię.

– Na dole jest włącznik światła, to sporo ułatwia. – Anna porzuciła swoją rozmówczynię i ruszyła w moim kierunku. – Witaj. – Podała mi rękę. – Dobrze, że jesteś.

– Dobrze wiedzieć, następnym razem nie będę ryzykował wybicia zębów – próbowałem żartować.

– Następnym razem spotkamy się już gdzie indziej. Zmieniamy lokal. Siadaj, proszę.

Sala miała jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych. Była wysoka i zimna. Niezbyt bogato urządzona. Biurko, ławki jak w szkole ustawione w kwadrat, wokół krzesła, na których oparciach wisiały kurtki. Trzy duże okna, między nimi święte obrazy. Nad drzwiami wejściowymi Jezus na krzyżu. Do pełnego szkolnego wystroju brakowało jedynie tablicy i kwiatów na parapecie. Na krzesle w kącie stały czajnik bezprzewodowy, plastikowe lub styropianowe kubki i dwa pudełka. W jednym herbata Lipton, a w drugim kawa rozpuszczalna. Cukru nie zauważyłem. Może poza leczeniem z gejozta można się tu też odchudzić? Takie dwa w jednym.

– Chyba jesteśmy w komplecie. Możemy zacząć – zarządziła Anna.

Nie miałem wątpliwości, że to ona gra tu pierwsze skrzypce. A tak naprawdę nie tylko skrzypce. Jest dyrygentem, harfą, kontrabasem, fortepianem i każdym innym instrumentem. Trzyma to wszystko za ryj. I to krótko. Usiadłem na pierwszym wolnym krzesle. W tym samym momencie wszyscy inni wstali i patrzyli na mnie z góry. Wstałem i ja. W trybie ekspresowym, aż przewróciłem krzesło. Spojrzałem na pozostałych, milczeli, wydawało mi się nawet, że przestali oddychać. Zapadła grobowa cisza. Co teraz? – pomyślałem. Będziemy tańczyć, śpiewać, recytować wiersze? Anna i jej tajemnicza koleżanka podeszły do stołu. Łącznie stało przy nim jedenaście osób. One dwie i dziewięciu

facetów, których można też chyba nazwać pacjentami. Anna zarządziła wspólną modlitwę. Przeżegnała się i zaczęła odmawiać pacierz. Po chwili modlili się już wszyscy. Poza mną. Nie odmawiałem pacierzy od lat. Mówią, że jak człowiek raz nauczy się *Ojczy nasz*, to nigdy tego nie zapomni. Gówno prawda! Kiepsko mi szło. W prawdziwy popłoch wpadłem, gdy wyszło na jaw, że na tym nie koniec. Dalej było *Zdrowaś Mario* i *Skład Apostolski*, których nie pamiętałem zupełnie. Jeśli odmawiają też *Dekalog*, *Główne prawdy wiary* i *Siedem grzechów głównych*, to leżę i kwiczę. Odmawiali. I nie tylko to. Dalej była jakaś modlitwa o siłę od Ducha Świętego. Dobrze, że to nie była msza. Przecież ja do końca podstawówki myślałem, że na zawołanie księdza: „W górę serca” odpowiada się „Wznosimy jego pana”. I za każdym razem zastanawiałem się, czyjego pana i po co go wznosimy. Milczałem i obserwowałem otoczenie. Chciałem wyczytać coś z ich kamiennych twarzy. Nie dało się ich jednoznacznie zaszufładkować. Każdy był inny. Szczupli i przy kości, przystojni, ale też całkiem przeciętni, bruneci i niebieskoocy blondyni. Zauważyłem też rudego i łysego. I to ten ostatni zwrócił moją szczególną uwagę, odwieczny sentyment do ogolonych dał o sobie znać nawet na terapii leczenia z homoseksualizmu. Pewnie wpatrywałbym się w niego dalej, gdyby Anna nie wywołała mnie do tablicy.

– Jak zapewne zauważyliście, jest wśród nas nowy kolega. – Wszystkie oczy, jak na komendę, zwróciły się na mnie. – Przyjmijcie go ciepło i pomóżcie zdobyć szczyt góry, pod którą wszyscy idziemy. Chcielibyśmy, żebyś coś nam o sobie powiedział – zwróciła się do mnie.

Poprawiłem się na krześle i przedstawiłem.

– Jestem tu – zacząłem – bo mam nadzieję, że za jakiś czas moje życie się zmieni. Mój przyjaciel właśnie został ojcem, widziałem, jak tuli swojego syna, i poczułem, że chciałbym kiedyś móc zrobić to samo. Dotarło do mnie, że z facetem nie będę miał dziecka. Jestem po rocznym i burzliwym związku z mężczyzną. Przystojnym, eleganckim, ułożonym, ale jednak mężczyzną. A chciałbym poczuć, jak to jest, gdy mała istotka powie kiedyś do mnie „tato”. Związki z facetami kojarzą mi się nader kiepsko. Do głównych wspomnień po nich zaliczam podejrzenie HIV, zdrady i niestabilność emocjonalną. Krótko mówiąc, syf, kiła i mogiła. To drugie nawet dosłownie. Bycie gejem jest słabe.

Po sali przeszedł szum. Chłopaki szeptali coś między sobą i patrzyli we mnie jak w objawionego Chrystusa i Maryję w jednym. Chciałem mówić dalej, ale Anna mnie ubiegła.

– Jak na pierwszy raz chyba wystarczy. Dziękuję za szczerłość.

– Ale ja jeszcze nie... – próbowałem kontynuować.

– Dziękujemy bardzo. – Posłała mi zimne spojrzenie.

– Przechodzimy do dalszych punktów naszego spotkania. Porozmawiajmy. Czy ktoś chce coś powiedzieć?

– Ja – zgłosił się rudy.

Chwilę potem dowiedziałem się, że ma na imię Jacek. Na oko przed trzydziestką. Niezły. Ciekawa barwa głosu. Ubrany niepozornie.

– Słuchamy. Coś się wydarzyło?

– Upadłem. – Przełknął ślinę tak głośno, jakby była piołunową pigułką. – W Nowy Rok. Wróciłem z imprezy do domu. Lekko wstawiony, ale nie pijany. Usiadłem przed komputerem, otworzyłem piwo. Upiłem łyk, zanim załadowała się strona główna. A potem bezmyślnie wklepałem adres. Ten adres – podkreślił. – Na ekranie pojawiły się dziesiątki okien z nagimi mężczyznami. Ze współzyczącymi mężczyznami. Czarni, biali, żółci. Różni. W każdej pozycji. – Przegarnął włosy. Wyglądał na przerażonego. Aż zacząłem się bać, co zaraz powie. Oglądał pedofilskie porno? Czy co? Napięcie rośnie jak w dobrym thrillerze. – Złamałem się i oglądałem kolejne filmiki – opowiadał, jakby przyznawał się do tego, że kogoś zabił. A potem zapadła cisza. Długa cisza.

– I co się stało?! – wyrwało mi się.

Nie wytrzymałem napięcia. Znów wszyscy na mnie spojrzeli. Anna znacząco chrząknęła.

– Oglądałem je przez dwie godziny i się masturbowałem. Zapomniałem o całym świecie, tylko

się masturbowałem. Jak głupi nastolatek. Nie wytrzymałem. Znow nie wytrzymałem. – Głos mu się łamał.

Myślałem, że się rozplacze. Czekałem na ciąg dalszy, ale ten nie następował. Anna założyła nogę na nogę i wzięła do ręki długopis.

– Musisz być silny. Musisz wierzyć, musisz z tym walczyć! Każdego dnia, każdej nocy. Szczególnie w nocy! Demony lubią przychodzić nocą! To dla nich świetna pora! – Uderzała długopisem w stolik, podkreślając kolejne słowa. – To jest złe! Wiesz, że to jest złe. Wszyscy wiemy! Kusi, korci, ciągnie. Ale da się z tym wygrać! Trzeba być silnym! – podniosła głos, ale nie ze złością. Nazwałbym to raczej jakimś rodzajem próby motywacji.

– Będę. – Rudy Jacek zdążył się już jako tako pozbierać.

Pierwszy raz w życiu widziałem, żeby facet zrobił tak wielką tragedię z tego, że walił konia. Nawet jeśli trwało to dwie godziny. Gdy słuchałem jego wywodu, czułem, że gdyby miał w zasięgu ręki bicz lub łańcuch, bez zastanowienia zacząłby się nim okładać. Tu i teraz. W ramach kary za grzechy. Anna każdym swoim słowem utwierdzała go w przeświadczeniu, że popełnił zbrodnię. A on jej wierzył. Za to ja miałem ochotę zapytać: I co z tego? Odniosłem jednak wrażenie, że dyskusja nie jest czymś, czego się tutaj oczekuje. Miałem nadzieję, że przyjdzie na to pora później.

W ramach jakiegoś podsumowania. O głos poprosił jeszcze jeden chłopak. Krótko ostrzyżony jasny blondyn. Siedział po drugiej stronie stołu, za daleko, bym dostrzegł kolor jego oczu.

– Też mam refleksję z Nowego Roku – zapowiedział. Na imię miał Dominik. – Sylwestra spędziłem z rodzicami. I pierwszy dzień 2005 roku był tym, w którym zrobiłem milowy krok do przodu. Spędziłem czas z ojcem. Sam na sam, kilka godzin. Poszliśmy na ryby. Pierwszy raz w życiu tak długo z nim rozmawiałem. I nawet jeśli były chwile niezręcznej ciszy, to czułem, że są ważne – brzmiał, jakby zstępowały na niego wszystkie łaski świata. Nie zdziwiłbym się, gdyby za jego plecami pojawiła się biała poświata. – Pierwszy raz patrzyłem na mojego ojca bez odrazy. Postanowiłem, że spróbuję, i się udało. Siedzieliśmy nad przerębem na środku zamrożonego jeziora i nie doszło między nami do kłótni. Nawet wtedy, gdy wypomniał mi, że nie mam pojęcia o rybach. W tamtej chwili zniknęły koszarne sceny z dzieciństwa. Nie myślałem o tym, jak stał nade mną pijany, krzyczał i bił mnie bez powodu. Zapomniałem mu to, że publicznie mnie poniżał i wrzeszczał, że nie ma już syna.

Zapadła grobowa cisza, a w moich oczach zebrały się łzy. Nie ze wzruszenia. W opowieści Dominika odnalazłem swoją historię. Z tym że u mnie nigdy nie było happy endu. Co więcej, nie wyobrażałem sobie, by

kiedykolwiek mógł nastąpić. Chłopak kontynuował mowę i przeżywał prawdziwe uniesienie. Był szczęśliwy, dumny. Jak Robert, któremu urodził się syn. Reszta siedziała jak w hipnozie. Także na nich ta wypowiedź zrobiła ogromne wrażenie. I dałbym sobie rękę uciąć, że ja i Dominik nie byliśmy jedynymi, którzy ciągnęli za sobą balast dramatycznych wspomnień, których bohaterem był agresywny, pijany i nierozumiejący swojej roli ojciec. Tych intymnych zwierzeń słuchała też Anna. Gdy tylko Dominik skończył, z odrętwienia wyrwało nas klaśnięcie w dłonie. Uśmiechała się tak szeroko, że miałem wrażenie, iż widzę jej zęby trzonowe.

– Bravo! Jesteś świetny! Wiedziałam, że dasz radę! – Wstała z miejsca i podeszła do Dominika. Stała za nim i chwyciła go za ramiona. – On dał radę! Nasz heros! Wygrał ze sobą! Wygrał z przyzwyczajeniami! – Wynosiła go pod niebiosa. – To żywy przykład, że można to zrobić! Jeśli się chce, jeśli ma się motywację i wiarę. Można wszystko. Jestem z ciebie naprawdę zadowolona – powiedziała mu do ucha, ale tak, żeby wszyscy słyszeli.

Zachodziłem w głowę, co nadzwyczajnego jest w pójściu na ryby z człowiekiem, którego szczerze się nie cierpi, z którym przez całe życie unikało się kontaktu. Przecież ja z powodu konfliktu z ojcem uciekłem z własnego domu do innego miasta. A ona robi sensację z tego, że siedzący naprzeciw mnie

poszedł łowić ryby z najczarniejszym charakterem swojego życia. I stawia go za przykład. Chciałem w dyskusji rozwikłać swoje wątpliwości, ale spotkanie właśnie dobiegło końca. Mieliśmy odmówić pożegnalną modlitwę. A ja zostałem z ręką w nocniku i milionem pytań w głowie. Nie dałem za wygraną. Postanowiłem zagadać do niej po zajęciach, ale przepadła. Dziewczyna, która przez całe spotkanie siedziała w kącie, teraz sprzątała kubki. Zapytałem ją o Annę, niestety nie umiała powiedzieć, czy ona jeszcze wróci. Chciałem jej pomóc przy pracy, ale dziwnie zareagowała.

– To moje zajęcie. – Wyrwała mi styropianowe kubki z takim impetem, że aż oblała się resztką herbaty.

– Spokojnie. – Wycofałem się. – Razem będzie szybciej. Już późno. Szybciej pójdziesz do domu.

– Nie idziesz z chłopakami? – Spojrzała na zbierające się do wyjścia towarzystwo, które zerkało na nas z zainteresowaniem.

– Dokąd?

– No na takie spotkanie... po spotkaniu – powiedziała niepewnie.

– Afterparty organizują?

– Nie wiedziałaś?

– Nie. Nikt mnie nie zaprosił.

Gdy wypowiadałem te słowa, za plecami usłyszałem męski głos.

– Mamy takie mniej formalne wypady po zajęciach.

Jeśli masz ochotę, zapraszam. A tak w ogóle to jestem Tomek. Lider grupy. – Podał mi rękę.

– To znaczy szef? – Uśmiechnąłem się.

– Aż tak to chyba nie. Koordynuję działanie naszej społeczności.

Nie odbiegał wiekiem od reszty. Był wysokim, szczupłym brunetem o orzechowej cerze i mądrych oczach. Z kolorem skóry fantastycznie kontrastowały białe równe zęby, które raz po raz odsłaniał w ciepłym uśmiechu. Stał w rozpiętej dżinsowej kurteczce podszytej białym kożuskiem, którym pokryty był też kołnierz. Na nogach miał czarne proste sztruksy i charakterystyczne pomarańczowe buty na grubej podeszwie. Być może leczył się z gejozty, ale poczucie stylu miał wyjątkowo homo. Elementy jego garderoby tworzyły efektowną całość.

– To dokąd idziemy? – Miałem ochotę poderwać tego faceta, choćby na terapii, która ma nas obu uleczyć z tych grzesznych zapędów.

– Akurat dziś ja nie idę, mam niedługo egzamin. Muszę się pouczyć, ale tobie polecam. Posiedzicie, pogadacie – zachęcał.

– Prawdę mówiąc, to ja dziś też nie mogę. Nie wiedziałem, że mam sobie zarezerwować więcej czasu.

– Zerknąłem na zegarek. Minęła dwudziesta pierwsza. – Też mam sesję i muszę zajrzeć do książek. Następnym razem nie zawiodę.

– W przyszłym tygodniu mamy siatkówkę.

– Co takiego?

– Poza takimi spotkaniami jak dziś wspólnie uprawiamy sporty. Naprzemiennie. Spotkania i sport – wyjaśnił.

– To pomaga w terapii?

– Bardzo. Idziemy?

– Tak, tak. Chwila. Pożegnaj się z... jak ona ma na imię? – zapytałem ciszej o dziewczynę od kubków.

– Natalia.

– Właśnie. Daj mi chwilę.

Dziewczyna po raz drugi w ciągu dwóch minut doznała szoku. Zupełnie jakby nigdy w życiu nikt jej w niczym nie pomógł. A my wyszliśmy na mróz. Przez dwie godziny temperatura spadła o kilkanaście stopni. Okazało się, że Tomek mieszka na Bemowie. Jechał zatem w tym samym kierunku co ja. Doszedłem do wniosku, że to idealny moment, by podpytać o parę rzeczy. Skoro nie mogłem pogadać z Anną, on będzie moim almanachem wiedzy o grupie i panujących w niej zwyczajach.

– Mogę cię o coś zapytać? – zagailem.

– Jasne, śmiało – zachęcił.

– Ten chłopak, Dominik, mówił dziś o swoim ojcu...

– Tak.

– ... w taki niecodzienny – chciałem uniknąć słowa „dziwaczny” – sposób. Jakby rozmawiał z nim pierwszy raz w życiu.

– Bo najpewniej właśnie tak było – odpowiedział

swobodnie.

– Jak to? Z jego wypowiedzi wynikało, że jest z pełnej rodziny. Chyba znał ojca? – Byłem wyraźnie zbity z tropu.

– Zanim odpowiem, chciałbym wiedzieć, czy przeczytałeś lektury? – Nawiązał do listy książek, która znajduje się na stronie internetowej grupy.

– Jeszcze nie, nie miałem kiedy. Raptem przekartkowałem.

Stwierdzeniu daleko było do prawdy. Do żadnej nie zajrzałem.

– To dużo wyjaśnia. Przeczytaj. Tam jest sporo na temat naszych relacji z ojcami. A właściwie braku relacji. I to mogło spowodować, że jesteśmy, kim jesteśmy.

– Chcesz mi sprzedać teorię o dominującej matce i nieobecnym ojcu? – Ogarnęło mnie zwątpienie.

– To duże uproszczenie. Zbyt duże – powiedział spokojnie, gdy skręciliśmy w Senatorską. – Mało który z nas nie miał problemów z ojcem. Prawie wszyscy, mimo że jesteśmy dorośli, zamienialiśmy z ojcami tylko tyle słów, ile było konieczne w codziennych domowych relacjach. W drastycznych przypadkach można nawet mówić o permanentnym konflikcie i całkowitym braku kontaktu.

Jakby mówił o mnie, pomyślałem.

– Relacji ojciec–syn nie było nigdy – kontynuował. – Bez względu na to, czy mieliśmy pięć, czy piętnaście lat.

Ojciec był dla nas ciałem obcym albo wcale go nie było. Pracował, prowadził podwójne życie, nie układało mu się z mamą. Różnie bywało, u każdego inaczej. A czasem po prostu więź nie zdążyła się zrodzić, bo ojciec całe uczucia przeniósł na przykład na starszego brata i to jego traktował jak partnera, jak mężczyznę. To brat wypełniał jego ojcowskie oczekiwania. Często był silniejszy, sprawniejszy, dłużej z nim przy samochodzie. A my, bez asekuracji, lecieliśmy w otchłań samotności, odepchnięcia i kompleksów. Uwierzyliśmy, że jesteśmy wąтли i słabi. Niemęscy i nieatrakcyjni jako synowie. Zostaliśmy zostawieni sami sobie, staliśmy się synkami mam, które widząc odrzucenie przez ojca i resztę męskiego świata, rozpostarły nad nami parasol ochronny. Ojciec i syn żyli w jednym domu, ale obok siebie, ich – czy raczej nasze – drogi się nie przecinały. Nie było wspólnych tematów, zajęć, zainteresowań.

To by się zgadzało z tym, czego sam doświadczyłem, pomyślałem, ale głośno się do tego nie przyznałem.

– Niekiedy brak więzi wynikał z późnego ojcostwa – tłumaczył dalej Tomek – i ogromnej różnicy wieku. Innym razem to dominująca kobieta, żona i matka, tłamsiła męskość męża, który cierpiąc na kompleks niższości, nie potrafił rozwinąć, zmanifestować i przekazać męskości synowi, a przez to on nie miał z kim się utożsamić.

Po raz kolejny tego wieczoru nie wytrzymałem

i otwarcie zapytałem, czy w świetle tej teorii gejami zostają faceci, którzy – z wzajemnością – nie lubili swoich ojców? Odpowiedź Tomka była w zasadzie twierdząca. Wspomniał przy okazji o relacji, w której ojciec upatruje sobie syna jako ofiarę. Lekceważenie, krytykowanie, poniżanie, bicie to idealny katalizator do rozwinięcia się – jak to określił – urazu psychicznego, który eliminował chłopca ze zbioru mężczyzn. Stawiał go poza nawiasem, a to cieplarniane warunki do zrodzenia się skłonności homoseksualnych. Nie powiedział o „staniu się homoseksualistą”, tylko o „skłonnościach”. Przecież skłonności zawsze można się pozbyć. Tomek zarzucił też matkom stawianie synów ponad mężami, co także mogło pchnąć tych pierwszych w ramiona grzesznych zachowań.

– I to właśnie dlatego zaczęliśmy szukać w innych mężczyznach tego, czego nie dostaliśmy od ojców. Ogólnie rzecz biorąc, winna jest cała rodzina i występujące w niej dysfunkcje – spuentował pierwszą część swojego miniwykładu, gdy doszliśmy do stacji metra Ratusz, skąd jadą autobusy na Wolę i Bemowo.

W prawie pustym pojeździe przedstawił mi receptę na rozwiązanie problemów z dzieciństwa. Twierdził, że można to zrobić po latach. Wystarczy wrócić do momentu, w którym nic między ojcem a synem została zerwana, i na nowo związać dwa końce, które przecież do siebie przynależą. Stał mi przed oczami mój ojciec i jego nienawistne spojrzenie sprzed niecałych dwóch

tygodni. Kiedyś, gdy właśnie wychodziłem na maturę, powiedział, że nawet jeśli zdam, nie da mi pieniędzy na studia, w drugi dzień świąt spełnił swoją groźbę, patrząc na mnie z satysfakcją. Nie odpowiedziałem Tomkowi, co sądzę o jego punkcie widzenia. Pożegnałem się i wsiadłem do autobusu. W drodze do domu myślałem o tym, czy widzę szansę na pojednanie z ojcem. I nie starczało mi do tego wyobraźni. Jak mógłbym pojednać się z kimś, komu nie ufam? Jak miałbym zostać przyjacielem kogoś, kto przez dwadzieścia cztery lata mojego życia życzył mi źle? Facet, który mnie spłodził, nie rozumie słowa „pojednanie”. Pewnie początkowo by na to przystał, a przy najbliższej okazji wywłókłby wszystko, co mogłoby mnie zranić. Dla niego pojednanie oznacza grę według jego reguł. Chorych reguł. Jednając się, musiałbym sprzedać siebie. Swoje pasje, swoją osobowość, swoje radości. Wszystko. Powiedzmy, że w pewnej chwili puszczam wodze fantazji, a między mną a ojcem układa się świetnie. I w tym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przestaję być gejem? Znajduję sobie żonę, mamy dzieci i żyjemy długo i szczęśliwie? Absurd!

Niny nie było w domu. Może to i dobrze. Uniknąłem pytań o powody mojego wzburzenia, może rano nie będzie widać, że buzują we mnie emocje. Wziąłem szybki prysznic i zamknąłem się w pokoju. Zamknięte drzwi były takim naszym umownym znakiem, że albo śpimy, albo nie chcemy, żeby nam przeszkadzać. Przed

snem sprawdziłem jeszcze maila. Wśród nowych wiadomości była jedna szczególna. Napisała do mnie Anna Folc.

42. Nie mówić, nie robić, nie pisać

Mail był reprimendą, od początku do końca. Dostało mi się za wszystko. Od „zbytniej szczerości” po używanie słowa „gej”. Przeczytałem, że członkom grupy nie jest do niczego potrzebna wiedza o tym, że byłem w sodomickiej relacji z mężczyzną. A że zakończyła się kiłą, to tylko dowód na Boską sprawiedliwość. Upomniała mnie też za to, że przerywam wypowiedzi innych, a dodatkowo publicznie podaję w wątpliwość ich grzeszne zachowania. To demotywuujące! – napisała. Dowiedziałem się też, że nie jesteśmy gejami, lecz osobami o niechcianych skłonnościach homoseksualnych. Zrozumiałem, czemu Tomek używał tego sformułowania. Wytknęła mi, że nie poszedłem na afterparty. Na koniec przypomniała o opłaceniu składek i jak najszybszym znalezieniu księdza i indywidualnego terapeuty. I tym oto sposobem zaczęło mi to wszystko jeszcze bardziej śmierdzieć. Co to za terapia, na której trzeba pilnować języka? Zgodnie z zaleceniami Anny powinienem też rzucić pracę, przecież tam każdego dnia spotykałem się z gejem. Z tym że wtedy z NSH (niechcianych skłonności homoseksualnych) na zawsze wyleczyłaby mnie rychła

śmierć głodowa. Poza tym przecież nie wybrałem tej pracy, żeby spotykać się z Szymonem. A i on ostatnimi czasy skupił się na naszych relacjach zawodowych. I chociaż podwoził mnie czasem do domu, nigdy nie zapytał, czemu nie jeździmy już na Bobrowiecką.

Nie poruszył tego tematu także dziś. Siedzieliśmy chwilę w samochodzie przed blokiem i ustalaliśmy, o czym warto porozmawiać z Brodzik. Potem padłem jak martwy na łóżko i odsypiałem poranek. Przed czternastą obudził mnie *Miś Barei*. „Jak ja mogłem przejechać matkę na szosie, jak moja matka siedzi z tyłu?”, padło znane wszystkim zdanie. Zaśmiałem się pod nosem, ale nie chciało mi się jeszcze wstawać. Drzemałem, a raczej próbowałem drzemać. Film zamiast lecieć normalnie, co chwila się zatrzymywał. A dokładniej mówiąc, po każdym lepszym tekście. Tuż po „Dzień dobry, miśku, wpadłam po swoje meble. Słuchaj, mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?”, a potem po tym, że „wszystkie Ryśki to porządne chłopy”, akcja znów stanęła, a ja podniosłem głowę i nasłuchiwałem. Wreszcie wstałem, otworzyłem drzwi i poszedłem do pokoju Niny, skąd dobiegały dźwięki. Moim oczom ukazał się Karolek. Siedział na podłodze i spisywał cytaty z filmu. Na to potrzebne były przerwy. Zdziwiłem się, ale nie chciałem o nic pytać. Niepostrzeżenie wróciłem do łóżka. Leżałem na wznak, znów zacząłem przysypiać, gdy ze snu wyrwało mnie coś jeszcze dziwniejszego. Karol zaczął wypowiadać na

głos spisane wcześniej kwestie. No dobra, każdy ma jakiegoś bzika, pomyślałem.

Nie chciałem z nim gadać. Bałem się, że zacznie mnie nagabywać, bym przekonał Ninę do przyjęcia oświadczyn. Agata od paru dni poznawała Lizbonę, więc pokój należał do mnie. Siedziałem w nim cicho, aż do powrotu Niny. Wyszedłem jej naprzeciw. Była zaskoczona obecnością Karola.

– A co ty tu robisz? – Jeśli liczył na czułe powitanie, musiał być zawiedziony.

– Przyszłem wcześniej, gdyż nie miałem co robić – rzucił. Tekst był jakby znajomy.

– Wykończy mnie ta zima. Nie mam za grosz energii. Jestem non stop jakaś śnięta – żaliła się Nina.

– Dwadzieścia osiem filmów o tym zrobiłem, robię dwudziesty dziewiąty – odpowiedział.

Stałem z boku i obserwowałem.

– Dostałam dziś w radiu zaproszenia do teatru. Zwinęłam trzy. Na jutro. Idziemy? – Wyrzała zza drzwi lodówki, w której coś zawzięcie przekładała.

– Ja chętnie. A na co? – wtrąciłem się.

– Na *Śmierć komiwojazera*, w Narodowym.

– Z Gajosem? – podnieciłem się na samą myśl.

– Tak. I z Seniuk.

– Oczywiście, że idziemy!

– W mordę kopany! W życiu bym do teatru nie poszedł! – Do rozmowy wrócił Karolek.

Już nie miałem wątpliwości, że od kilku minut mówi

tekstami z *Misia*. Ja milczałem, a Nina podsumowała tę wypowiedź pełnym pożałowania spojrzeniem.

Gdy Karol wreszcie poszedł, a Nina zniknęła pod prysznicem, zauważyłem, że na stole leży zeszyt. Nie należał ani do mnie, ani do niej. Pomyślałem, że pożyczyla od kogoś jakieś notatki, i uznałem, że mogę zajrzeć do środka. Pierwsza kartka była opatrzona nagłówkiem *Ekstradycja*, poniżej kilkanaście tekstów z tego serialu, dalej *Pitbull*, potem *Rozmowy kontrolowane*, *Sami swoi*, *Nie ma mocnych*, *Kochaj albo rzuć* i obydwie części *Kogla-mogla*. Niektóre cytaty wykreślone, inne wzięte w kółko. Olśniło mnie. Karol uczył się ich na pamięć, a następnie – niby naturalnie – sypał nimi w towarzystwie. Jak dziś! Stałem krzywo uśmiechnięty, gdy do pokoju weszła Nina. Nie dała mi spokoju dopóty, dopóki nie zdradziłem jej, co mnie tak rozbawiło.

– Niiieeeeeee! – skomentowała z niesmakiem.

– Jestem prawie pewien, że tak – odpowiedziałem.

– Niiiee! – powtórzyła. – Jestem aż tak ślepa? – zapytała.

– Może robi to dopiero od dziś? I wcześniej nie miałaś okazji przyuważyć – pocieszyłem ją.

– Zróbmy tak. Daj mi ten zeszyt. – Wyciągnęła rękę. – Skąd go wzięłeś?

– Ze stołu.

– Położę go na stole, jak gdyby nigdy nic. I będziemy

obserwować sytuację.

– A jak się potwierdzi? – Liczyłem na odpowiedź, że wtedy go zostawi.

– To będziemy mieli używanie! – Zatarła ręce.

Tego samego dnia dostałem informację o terminie i miejscu następnego spotkania. Już nie od Anny. Tym razem napisał Tomek. Zapraszał mnie na afterparty i instruował, że powinienem zabrać odpowiednie buty i strój. Czekala mnie halowa piłka nożna. Męski, kontaktowy, nastawiony na rywalizację sport. Do tego pozytywnie wpływał na tężyznę fizyczną. Mecze były rozgrywane w ośrodku sportu na Tarchominie. To najnowsza dzielnica Warszawy, za Wisłą. Byłem tam ze dwa razy w życiu i miałem wrażenie, że przyjechałem do innego miasta. Nigdy nie grałem w piłkę w środku zimy. Nie miałem pojęcia, co na siebie włożyć. Jeśli chodzi o tę dyscyplinę, to idealnie wpisywałem się w obraz geja lansowany przez Annę Folc. Gdy na WF-ie była gra w piłkę, to albo nie ćwiczyłem, albo stawiali mnie na bramce. Łącznie grałem w football – choć słowo „grałem” to już przesada – jakieś dziesięć razy w życiu. A dwudziestu dwóch facetów biegających przez dziewięćdziesiąt minut po murawie zdecydowanie bardziej mnie nudziło, niż zachwycało. Pierwszy mecz Mistrzostw Świata w Korei i Japonii obejrzałem tylko dlatego, że hymn miała śpiewać Edyta Górniak, ale gdy już ją usłyszałem, żałowałem zainwestowanego czasu.

W dzień spotkania umówiłem się z Maćkiem na oddanie kluczy do mieszkania na Bobrowieckiej. Chciałem to załatwić szybko, wrócić do domu i wyjść, zanim pojawi się Nina. Tylko tak uniknę kłopotliwych pytań. I chociaż Maciek chciał pogadać, nie miałem ochoty kolejny raz rozkładać na czynniki pierwsze motywów Wiktora. Dwa tygodnie temu zamknąłem tę historię.

– Nie wyglądasz na załamane – ocenił mój stan.

– Bo nie jestem – rozwiąłem jego wątpliwości. – Czemu mam być?

– Nie mówię, że masz być – tłumaczył się. – Chodzi mi o to, że ludzie różnie znoszą rozstania.

– Maciuś, Wiktor nie miał odwagi mi powiedzieć, że mnie zostawia. Po prostu nie zaprzeczył, gdy ja to powiedziałem. Mam się powiesić, bo facet okazał się miękkim chujkiem?

– Nie mów tak o nim. Pogubił się. Marta mu pomogła.

– To niech się odnajdzie. Bo zanim się obejrzy, Marty nie będzie, a on zostanie sam.

– A gdyby chciał cię jakoś przeprosić? – rzucił.

– On cię wysłał na przespiegi? – W głowie zapaliło mi się światełko ostrzegawcze. Maciek nie zaprzeczył. – Powiedz mu, że lubię *Dynastię*, ale tylko na DVD. Drugi powrót jest raczej wykluczony.

– Raczej? – złapał mnie za słówko.

– Raczej na pewno – dopowiedziałam. Wyjąłem

z plecaka klucze. – Mam dość facetów. Co jeden to gorsze rozczarowanie. To się nie udaje! Nawet nie wiesz, ile bym dał, żeby mieć takie życie jak ty. Maja, Oliwka, szczęście i święty spokój. A teraz przepraszam cię, ale muszę już iść. – Nie chciałem się rozkleić.

– Podrzucę cię – zaproponował.

– Dzięki. Umówiłem się w okolicy – skłamałem. – Mam nadzieję, że moje rozstanie z Wiktorem nie oznacza, że my się już nie znamy?

– Ty chyba na głowę upadłeś – skwitował.

Popędziłem na autobus, a potem do domu. Powinienem był zapytać Tomka, czy mam się przebrać za sportowca od razu, czy jest tam jakaś szatnia. Teraz było za późno na pytania. Wciągnąłem szary dres, kurtkę, czapkę, szalik, rękawiczki, stare adidas. Normalne ubrania wpakowałem do plecaka i zbiegłem na dół. I prawie zdążyłem przed Niną. Prawie. Wpadłem na nią na klatce schodowej.

– Gdzie idziesz w ten ziąb? – Zmierzyła mnie od góry do dołu. – I w tym stroju.

– Na – pomyślałem chwilę – siłownię. – Staralem się, by moje słowa jak najmniej mijały się z prawdą. Zwłaszcza że już jedno kłamstwo miałem dziś na koncie.

– Od kiedy ty chodzisz na siłownię? – Nie dało się jej zbyć byle jaką odpowiedzią.

– Idę dziś pierwszy raz.

- Myślałam, że poświęcisz ze mną.
- A co? – Nie odważyłem się zapytać, czy znów jest singielką, bo to byłby powód do świętowania.
- Okres – odparła radośnie.
- Okres? – powtórzyłem. Aż mi się oczy zaświeciły.
- Wrócił?
- Wraca powoli. Jeszcze nieśmiało, ale konsekwentnie.
- Poświęcimy jutro. Obiecuję. A teraz spadam. – Ruszyłem ku wyjściu.
- Ty! Czekał! – zatrzymała mnie. – A z kim ty idziesz na tę siłownię?
- Idę z... kolegami.
- Świat mnie jednak ciągle zaskakuje – westchnęła. – Myślałam, że cię już trochę znam. A ty chodzisz z kolegami na siłownię. Aż się boję, co jeszcze wymyślisz.
- E tam! Nie będzie tak źle – rzuciłem, chociaż powinienem powiedzieć coś w stylu „sam się tego boję”.

Dojechałem do placu Wilsona. I tu skończyła się moja znajomość terenu. Nie zapuszczałem się nigdy w pojedynkę ani na Białołękę, ani na Targówek. Wpatrzony w rozkład przemknąłem przez Wisłę i dojechałem do wiaduktów Trasy Toruńskiej, między którymi stał kościół. Jego lokalizacja wprawiła mnie w zdumienie. Jechałem dalej, a celu podróży nie było widać. Zacząłem wątpić, czy zmierzam tam, gdzie

powinienem. W pewnej chwili skończyły się bloki i zaczęły lasy, ale zgodnie z rozkładem do końca trasy było jeszcze kilka przystanków. Nagle moim oczom ukazała się całkiem przyzwoita hala sportowa z boiskiem i trybunami z tyłu. Badałem okolicę wzrokiem. Nie bardzo wiedziałem, gdzie iść i czego szukać. Rozglądałem się, próbowałem zajrzeć przez okno do środka i ustalić, gdzie jestem, gdy zza pleców dobiegł mnie głos.

– Dzwoniłem do ciebie. – Poznałem, że to Tomek. – Masz wyłączony telefon. Myślałem, że nie przyjdiesz.

Podał mi rękę, gdy się do niego odwróciłem.

– Nie, no co ty. Tylko nie mam pojęcia, gdzie jestem i gdzie mam iść.

– Dzwoniłem, bo chciałem cię zabrać.

– Zwiedziłem trochę Warszawy. Tu mnie jeszcze nie było. – Zaśmiałem się i weszliśmy do szatni. Bo, jak się okazało, mieli tam szatnię.

Zostałem w niej kilku półnagich chłopaków z rozbieganymi spojrzeniami. Patrzyli wszędzie, tylko nie na siebie nawzajem. Wyglądało to komicznie. Zdjąłem bluzę i zmieniłem buty. Zrobiłem to szybko i zamiast szukać pajęczyn na suficie, głośno się przywitałem i oceniłem ciała nowych znajomych. Wyraźnie ich to peszyło. Gdy wszyscy byli gotowi, zwartą grupą ruszyliśmy na salę. Ktoś mianował się sędzią, ktoś podzielił nas na dwie drużyny, ktoś rozdał mojej odblaskowe zielone kamizelki i rozpoczął mecz.

Nie było to spotkanie na Wembley. Nie był to nawet Piast Kobylin. Prawie żaden z nas nie umiał grać w piłkę. Próbowaliśmy ją okiełznać, ale zachowywała się, jakby żyła własnym życiem. Gdy już udało mi się w nią trafić, leciała nie tam, gdzie powinna. Kiedyś słyszałem o ludziach, którzy nie umieją iść i rozmawiać jednocześnie, ja nie potrafiłem skoordynować prowadzenia piłki ku bramce i myślenia, dokąd biegnę. Kiepsko było też z kondycją. Nie wiem, kto wymyślił, byśmy biegali za kawałkiem skóry wypełnionym powietrzem przez półtorej godziny. Już po pierwszej połowie leżeliśmy wycieńczeni, gotowi przyjąć każdą ilość płynów i złożyć solenną przysięgę, że już nigdy nie tkniemy żadnego faceta. To chyba taka taktyka. Zmęczyć i zmusić. Zmiany w składzie nie wchodziły w grę, nasza kadra nie była aż tak duża, by bardziej zmęczeni mogli zejść z boiska.

W pewnym momencie moją uwagę zaprzątnęła myśl, co się stanie po strzelonej bramce. Głowę miałem pełną obrazków, na których po голу rozradowani piłkarze skaczą na siebie i w grupie celebryją sukces. Odpowiedź przyszła tuż przed końcem spotkania. Przy rezultacie zero do zera piłka dostała się pod moje nogi, stałem stosunkowo blisko bramki. Rozejrzałem się wokół i kombinowałem, jakby się jej najszybciej pozbyć, ale nie było chętnych. Zupełnie jak w *Seksie w wielkim mieście*, gdy na ślubie przyszedł czas rzucania bukietem i żadna z dziewczyn nie miała zamiaru go złapać. Ale

piłka to nie kwiaty, więc nie miałem wyjścia. Powoli ruszyłem przed siebie. Płatała mi się między nogami. Usłyszałem w głowie głos Dariusza Szpakowskiego: „I będzie szansa! Wielka szansa! To jest ten moment, sam na sam z bramkarzem!”. Parłem przed siebie, a komentator przyspieszał. „Kto wygra pojedynek? Ta sytuacja może zmienić losy spotkania! Pole karne! Tak, tak, tak! Gooooooool!” – darł się jak opętany, a tłumy szalały. Czekałem, aż oszaleją też moi koledzy z drużyny. Widziałem, jak biegną w moim kierunku. W geście triumfu podniosłem rękę do góry i... nagle jakby ktoś wyłączył prąd. Delikatnie, niemal symbolicznie, pokleпали mnie po plecach i odeszli. Zostawili mnie samego na środku boiska. No może nie tak zupełnie samego. Towarzyszył mi głupkowaty uśmiech na twarzy. Usiadłem na podłodze i zacząłem się przeraźliwie śmiać. Ulatywało ze mnie napięcie. Zamknąłem oczy, a gdy je ponownie otworzyłem, koledzy stali nade mną w kółku. Mieli śmiertelnie poważne miny i patrzyli jak na obłąkanego. Gdy na nich spojrzałem, zrozumiałem, że wyśmiewam przede wszystkim leczenie moich „skłonności” za pomocą footballu. Chociaż ledwo żyłem, nie czułem się gejem ani trochę mniej niż przed przyjazdem tutaj.

Pod prysznicem było podobnie jak w szatni. Wszyscy, stojąc niemal przy samej ścianie, patrzyli w sufit, by choćby przypadkiem nie zerknąć na nagie pośladki kolegów. A gdy już się wysuszyliśmy i przebraliśmy,

wylądowaliśmy w Irish Pubie na Miodowej. Ja, wraz z dwoma innymi chłopakami, dojechalśmy tam z Tomkiem. Panowie pili piwo i rozmawiali o polityce. Zeszło na temat wyborów prezydenckich, które miały się odbyć jesienią. Na pierwszy rzut oka było widać tyle, że są zadowoleni z końca prezydentury Kwaśniewskiego. Gdy pozwoliłem sobie na uwagę, że był prezydentem raczej koncyliacyjnym niż konfliktowym, poczułem na sobie kilka par oburzonych oczu. Jolka Kwaśniewska definitywnie odcięła się od pomysłu, by to ona była kandydatką lewicy. Było za wcześnie, by snuć jakiegokolwiek przewidywania, kto może wygrać. Na początku roku wyborczego równe szanse mieli Donald Tusk, Lech Kaczyński i Włodzimierz Cimoszewicz. W jednej z luźnych wypowiedzi rzuciłem, że najpewniej zagłosuję na tego ostatniego.

– Na komucha? – skomentował rudy Jacek, ten sam, który ostatnio żałował, że walił konia.

– Nie bądźmy tacy restrykcyjni – próbowałem żartować.

– Komuch to komuch. To nie restrykcje – powiedział stanowczo.

– To, że ktoś wywodzi się z lewicy, nie znaczy, że jest komuchem. Mamy 2005 rok, trudno mówić o komuchach.

– Był w ZMS? Był! Był w PZPR? Był. Czyli komuch.
– Jacek popisał się znajomością biografii

Cimoszewicza.

– A teraz jest marszałkiem Sejmu wolnej Polski. Myślę, że nie grozi nam powrót PRL-u.

– Teraz musi wygrać prawicowy kandydat! – oznajmił. – Najlepiej z PiS-u!

– Tak. Jeden Kaczyński premierem, drugi prezydentem. Dobry żart. – Upiłem łyk piwa.

– I tak powinno być!

– Śnisz. To nierealne. Świat umrze ze śmiechu.

Zrobiło się nieprzyjemnie, więc postanowiłem zmienić temat. Widzę ich drugi raz w życiu, nie jest mi potrzebna opinia piniacza. Tomek pił wodę i nie zabierał głosu, siedział obok mnie i słuchał. Dopiero w drodze powrotnej zalecił unikanie rozmów na tematy światopoglądowe.

– Tu są raczej konserwatyści. Z katolickich, silnie wierzących rodzin. Nie głosują na SLD – wyjaśnił.

– To znaczy, że nie mogę mieć swojego zdania i głosować, na kogo chcę? – zapytałem.

– Możesz, ale bądź przygotowany na konfrontację.

– Umieję bronić swoich poglądów. Nie martw się o to – uspokoiłem go.

– Jedziesz na rekolekcje? – zmienił temat.

– Nic o tym nie wiem. Jakie rekolekcje? Kiedy?

– Koniec marca, jeszcze nie zapadła decyzja gdzie. Planujemy Mazury.

– I kto tam będzie? – zainteresowałem się.

– Chłopcy z całej Polski. Z grup podobnych do

naszej. Kilkadziesiąt osób.

– I co będziemy robić?

– Modlić się. O siłę. O sukces.

– A długo to będzie trwać? Bo wiesz, ja mam pracę.

Studia.

– Cały weekend. Z piątkiem włącznie.

– A koszty takiego wyjazdu?

– Zakwaterowanie pokrywa grupa, dojazd we własnym zakresie. Możesz jechać ze mną – zaproponował.

Nina nie świętowała beze mnie. Gdy wróciłem do domu, już spała. Postanowiłem przestudiować regulamin naszej grupy. Wyczytałem, że raz w roku udział w rekolekcjach jest – pod groźną relegowania – obowiązkowy. Dwa spot-kania były za mną, ale jedno wiedziałem na pewno. Całe to leczenie zalatuje ściemą. Bawiło mnie i budziło grozę jednocześnie. Śmieszyły metody stosowane przez Annę, przerażało pranie mózgow, któremu poddawała tych chłopców. Rozsądek podpowiadał, żeby już nigdy tam nie wracać, ale mało kiedy się nim kierowałem. Jeśli mogę wieść normalne życie, spróbuję wszystkich możliwych sposobów. Zwłaszcza że cały czas była przede mną terapia indywidualna. Ciągłe jeszcze gotowałem się ze złości na facetów z Wiktoorem na czele. Zawiedli mnie. Wszyscy, których kochałem.

Następnego dnia drugi raz w życiu wzięłem do ręki

listę polecanych terapeutów i wykonałem kilka telefonów. Pierwsze dwa głuche, dopiero za trzecim razem udało mi się umówić na spotkanie. Sto pięćdziesiąt złotych za godzinę. Zapisująca mnie recepcjonistka nazwała to „spotkaniem komercyjnym”, co zabrzmiało prawie jak sponsoring. Facet nazywał się Konrad Wyszyński i to było wszystko, co o nim wiedziałem. I oczywiście jeszcze to, że się ceni. W internecie nie znalazłem na jego temat ani słowa. Umówiłem się na przyszły tydzień. Tymczasem od rana dobijała się do mnie Matylda. Nie mogłem rozmawiać, bo najpierw byłem na zajęciach, a potem stałem w kolejce po wpisy z wykładów monograficznych. A jeszcze później dzwoniłem po psychologach. Dopadła mnie, gdy wchodziłem do mieszkania.

– Jak w domu? – pytała o to często, ale dziś zabrzmiało to nieco inaczej. Tym bardziej, że wiedziała, iż nie mam stamtąd bieżących informacji.

– Nie mam pojęcia. Chyba żyją. – Po ostatnich przeżyciach mało mnie to obchodziło.

– Twoja mama to jednak ma jaja – stwierdziła pełna podziwu.

– A co masz na myśli?

– No ten twój kredyt. Zagrała *va banque*.

– Czyli co zrobiła? – Nie rozumiałem.

– Postawiła twojego starego pod ścianą. Nic nie wiesz?

– Nie. – Nie rozebrawszy się, usiadłem na podłodze

w przedpokoju.

– Twoja matka stała z walizką przed blokiem! – wykrzyknęła.

– A po co jej była walizka? – Nie miałem pomysłu na mądrzejsze pytanie.

Siedziałem bez ruchu, a Matylda opowiadała, co wydarzyło się po moim wyjeździe. Spakowana matka stała przed klatką, a obok niej wrzeszczący ojciec. Najpierw ją straszyl, że jak wyjdzie, to już nie wróci, a potem prosił, żeby została. Wszystko trwało kilkanaście minut i działo się na oczach sąsiadów. Nazajutrz matka Matyldy dowiedziała się od mojej, że poszło o kredyt. Mama zaszantażowała ojca, że jeśli nie podpisze poręczenia, to ona się wyprowadza. Trwał przy swoim, więc spakowała się, zadzwoniła po brata i wyszła przed blok. Matylda mówiła dalej, a ja zupełnie się wyłączyłem. Moje myśli zaprzętnęło pytanie, gdzie ona by poszła, gdyby ojciec nie ustąpił. Do dawnego domu dziadków na wsi? Nie ma mowy! Przecież tam mieszka jej starszy brat z rodziną. Żadne z jej rodzeństwa raczej by jej nie przyjęło. Jedynym wyjściem byłaby ciotka w Olsztynie, ale wątpię, że moja zahukana matka odważyłaby się na taką życiową rewolucję. Zna ojca nie od dziś. Musiała być pewna finału tej rozgrywki. Ojciec jest leniem, tchórzem i nieudacznikiem. Nie potrafi ugotować obiadu, włączyć żelazka czy pralki. Ma chwilową przewagę finansową, bo mama wciąż nie pracuje, ale nie poradziłby sobie bez

żony.

– I musiał podpisać. Nie miał wyjścia – dotarli do mnie ostatnie słowa z opowieści przyjaciółki.

– Jestem w szoku – powiedziałem.

W końcu nieco się otrząsnąłem i zacząłem się rozbierać. Byłem cały mokry.

– Ma baba jaja. I zażądała natychmiastowej sprzedaży motoru.

– Jakiego, kurwa, motoru? O czym ty do mnie mówisz? – Znów nie wiedziałem, o co chodzi.

– Ty już zupełnie nie wiesz, co się dzieje w twoim domu?

– Wygląda na to, że musisz mnie oświecić.

– Na Gwiazdkę twój ojciec kupił Dawidowi motor! Za kilkanaście tysięcy!

– No nie...

– No tak! Widać braciszek był cały rok grzeczny, skoro taki prezent dostał od Mikołaja – oceniła.

– A skąd mój ojciec miał tyle kasy?

– Wziął go na raty – wiedziała wszystko.

– I co? Sprzedali? – dopytywałem.

– Mają sprzedać. Ale ten twój tatuś to kawał chuja. Naprawdę. Ty byś zdechł z głodu, a braciszek zapylałby po miasteczku nowym motorkiem.

– Matylda, ta historia to jak scenariusz kiepskiego filmu. Przecież ojcowie powinni chcieć dobrze dla swoich dzieci. Nawet beznadziejni ojcowie.

– Pod warunkiem że jest się ojcem. Gość, który cię

spłodził, raczej nim nie jest – powiedziała otwarcie. – Umówiłeś się? – zapytała niespodziewanie.

Zgłupiałem. Przecież nie mówiłem jej o terapii i psychologu. Chyba że wygadałem się na imprezie. I nie pamiętam.

– Jeszcze nie – wyjąkałem.

– To na co czekasz? Mnie lata lecą! A jeśli jest gejem, to go sobie weźmiesz i będziecie szczęśliwi. Nie będę zgłaszać weta.

Olśniło mnie. Chodziło o Wojtka.

– Umówię się z nim, gdy się tylko trochę ogarnę.

– A co ty masz do ogarniania? Sesję tylko.

– Właśnie. Daj mi chwilę.

– Oby nie za długo. Bo znów mnie w sobotę zabrał na kawę, a potem tradycyjnie odstawił pod drzwi. Mógł jeszcze krzyknąć ojcu, że oddał mnie całą, zdrową i nietkniętą. Dobra kończę, bo siedzę w samochodzie i zaczyna mi być zimno. W tym gracie nie ma przecież ogrzewania. Rano jest masakra. Odpalam godzinę. Ty!?

– zawołała. – A może on ma małego? I się zwyczajnie wstydzi...

Roześmiałem się, ale nie podjąłem tematu. Nie w głowie był mi Wojtek, sprawdzanie, czy jest gejem, i rozkładanie na czynniki pierwsze powodów, dla których nie chce skonsumować znajomości z moją przyjaciółką. Nie dziś. Przez cały wieczór miałem przed oczami mamę. Jeśli relacja Matyldy, a raczej jej matki, oddaje rzeczywistość, to moja rodzicielka jest herosem.

Zawsze miałem jej za złe, że jest zimna, że nie mówi mi o swojej miłości, ale jeśli tak o mnie zawalczyła, to udowodniła, że jest wielką kobietą, która kocha mnie bezgranicznie. Postanowiłem nie zdradzać, że o wszystkim wiem, i stać się lepszym synem. Nie mogłem obiecać częstszych odwiedzin, ale częstsze telefony i dłuższe rozmowy już tak. W przyptywie wzniosłych uczuć na pewno nie odpuszczę jej kazań dotyczących picia, ale będę to robił delikatnie.

Sesję zaliczyłem koncertowo. Zero poprawek, zero trój! Przez chwilę nawet myślałem, że załapię się na stypendium naukowe, ale dobrego byłoby już za wiele. Za średnią 4,2 nikt stypendium nie daje, ale i tak był to najlepszy wynik, jaki kiedykolwiek osiągnąłem. Po ostatnim egzaminie znów musiałem okłamać Ninę. Gdy wszyscy szli na posesyjne piwo, ja wybierałem się na pierwsze spotkanie z psychologiem Konradem. Nawet się nie przebrałem. Wsiadłem w 116 i pojechałem na ulicę Sapieżyńską. Niby jest krótka, ale zanim znalazłem właściwy numer i jakby specjalnie zakamuflowane wejście, zrobiło się późno. Kobieta, z którą rozmawiałem przez telefon, skasowała mnie na półtorej stówy, płatność wyłącznie gotówką, i nawet nie zaproponowała szklanki wody. Konrad Wyszyński czekał u siebie. Zapukałem, nieśmiało zajrzałem do środka, a po zaproszeniu wszedłem. Siedział za biurkiem i coś pisał.

- Woli pan krzesło czy fotel? – Wskazał ręką.
 - Wszystko mi jedno. Może być fotel.
 - To zapraszam. – Usiadłem w fotelu, on na krześle.
- Naprzeciw mnie. – Z czym pan przychodzi?
- Ja? To pan nie wie? – zdziwiłem się.
 - Nie wiem. Pierwszy raz w życiu pana widzę – powiedział spokojnie i subtelnie się uśmiechnął.
 - No... ma mnie pan wyleczyć z bycia gejem. Oj, przepraszam, wycofuję. Z niechcianych skłonności homoseksualnych.
 - A są niechciane? – zapytał.
- Przeszył mnie wzrokiem. Jakby chciał zajrzeć w głąb mojej duszy.

43. Czary-mary

Wyglądał młodo, a nawet bardzo młodo. Na oko jakieś trzydzieści lat. Typ nordycki, szczupły, ale nie chudy. Proporcjonalny. Miał na sobie koszulę w drobną biało-fioletową kratę z rozpiętym górnym guzikiem, markowe dżinsy i pasek. Na palcu lśniła złota obrączka. Siedział wygodnie, ale nie niechlujnie. I patrzył mi prosto w oczy, a ja zastanawiałem się, co odpowiedzieć na jego pytanie.

– A komu i jak bardzo szczegółowo zrelacjonuje pan nasze spotkanie? – odbiłem piłeczkę.

– Nikomu ani słowa. – Twarz mu stężała. – Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Wie pan – zacząłem – nie wiem, czy moje skłonności są niechciane, ale wiem na pewno, co czuję. – Przełknąłem ślinę.

– Może wody? – zreflektował się.

– Poproszę. – Podszedł do stojącego w kącie dystrybutora. – Czuję i wiem, że związek faceta z facetem nie jest możliwy. Byłem w dwóch i obydwa zakończyły się klęską. Za pierwszym razem byłem zdradzany na każdym kroku z innymi mężczyznami, a za drugim mój partner zdradził mnie z własną matką.

Patrzę na moich heteroseksualnych kumpli i widzę, że ich życie do czegoś zmierza. A ja kręcę się jak ćma wokół świeczki i wiem, że jeśli nie odleczę, to zginę w płomieniach.

– Po dwóch nieudanych relacjach spisał pan na straty całą populację homoseksualistów? – zapytał poważnie.

– Widzę, co się dzieje w tym środowisku. Nie znam ani jednego związku, w którym wszystko by grało. A zdrada jest na porządku dziennym. Nie chcę się zadowalać półśrodkami. Biorę wszystko albo nic.

– I pana zdaniem życie heteroseksualisty to sielanka?

– Sielanka może nie, ale wszystko tam jest solidne, osadzone w jakichś ramach, na jakichś fundamentach. Ludzie stawiają czoło codziennym problemom, walczą o siebie. Małżeństwa trwają dekadami. A tu? Wszystko jest jak kawałek papieru toaletowego, który wrzuca się do klozetu i spuszcza wodę. Boję się, że w tym świecie nie ma miłości. A ja pragnę miłości. Naprawdę.

– O miłość w świecie innym niż homoseksualny jest łatwiej?

– Tak sądzę. Jest też coś, czego świat homo na pewno mi nie da. Dziecko. – Wzruszyłem się. – Mojemu przyjacielowi urodził się syn. Gdy go pierwszy raz zobaczyłem, mało mi serce nie pękło z żalu, że ja, jeśli będę z facetem, nigdy nie przytulę swojego syna.

– I oczekuje pan, że pana odczaruję?

– Oczekuję, że mi pan pomoże. Jeśli to w ogóle możliwe. I poproszę o inne metody leczenia niż granie

w piłkę czy pogadanki, na których nie można użyć słowa „seks”, a moderatorka nakazuje samobiczowanie za masturbację. Proszę wybaczyć, ale to, co widziałem do tej pory, to tragifarsa. A twierdzenie, że naprawienie relacji z ojcem wszystko zmieni, jest wierutną bzdurą. Przepraszam za szczerość.

– Wie pan, że w świetle przepisów nie ma takiej choroby jak homoseksualizm? – upewniał się.

– Oczywiście.

– Wie pan zatem, że nie wolno mi podejmować prób leczenia czegoś, co nie jest chorobą?

– To co ja w takim razie tutaj robię? – Przestałem rozumieć.

– Usiłuję to właśnie ustalić. Nie jestem czarodziejem, który za pomocą magicznej różdżki w ciągu miesiąca sprawi, że zakocha się pan w kobiecie, weźmiecie ślub i będziecie żyć długo i szczęśliwie. To byłoby zbyt proste – wyjaśnił.

– Zatem co pan może zrobić?

– Sam nic nie mogę. Wspólnie możemy spróbować sprawić, że będzie pan pogodzony sam ze sobą. Powtórzę pytanie: czy pana skłonności homoseksualne są niechciane?

Po raz drugi uciekłem od odpowiedzi. Nie chciałem kłamać. Do końca spotkania mówiliśmy o mojej rodzinie. O każdym z osobna, ze szczególnym uwzględnieniem ojca. Prześliz-gnęliśmy się też po problemach alkoholowych. Pierwszy raz w życiu

usłyszałem o DDA – dorosłych dzieciach alkoholików, rozmowa pokazała niezbitcie, że jestem jednym z nich. Zakiełkowała we mnie myśl, że to jest mój główny problem, nie homoseksualizm, ale na razie zostawiłem ją dla siebie. Wyszedłem bez obietnicy, że za pół roku będę hetero. Mimo to było mi lżej. Nie miałem poczucia zmarnowanego czasu i źle wydanych pieniędzy. Na następne spotkanie umówiliśmy się za dwa tygodnie, dokładnie w walentynki. Przez ten czas miałem się zastanowić, czy potrafię wybaczyć ojcu ostatnie wydarzenia.

Wszystkie media huczały o kiepskim stanie zdrowia papieża. Podobno było już tak źle, że musieli mu wstawić rurkę tracheotomijną, by w ogóle mógł oddychać. Ciągłe leżał w szpitalu. Nie sposób było uniknąć informacji na ten temat. A mnie początkowe dni lutego upływały na zacięłym sprawdzaniu stanu konta. Raty kredytu miały zacząć spływać pierwszego lutego, tymczasem piątego wciąż nie było przelewu. Na szczęście chociaż w pracy wszystko układało się dobrze. Po jednym z poranków Szymon zaproponował kawę w Między Nami. Nie przepadałem za tym miejscem, dokładnie tak jak za każdym, które uchodziło za lansiarnię, ale miałem ochotę się nieco rozerwać. Kelner przyjmował zamówienie, wyraźnie śliniąc się do mojego towarzysza, i odszedł niepokieszony, gdy okazało się, że nie usłyszał nic ponad „espresso i latte proszę”. Gdy czekaliśmy na zamówienie w milczeniu,

Szymon nie wytrzymał.

– Dobra. O co chodzi? – rzucił zniecierpliwiony.

– Ale z czym? – udałem, że nie wiem. Chociaż się domyślałem.

– Z tobą.

– Nadal nie rozumiem.

– Nie Bobrowiecka, tylko Grenady. Skończyły się telefony, SMS-y, a ty jesteś jakiś inny. Coś musi być na rzeczy.

– Jak to jestem inny? – Chciałem, by doprecyzował.

– Cichy, może nawet wycofany, nie uśmiechasz się.

– Ojej... – Nie miałem pojęcia, że aż tak to widać.

– No więc? – drążył.

– No więc – upiłem łyk kawy – zostawił mnie facet – oznajmiłem krótko.

– Tak czułem.

– Ale spoko. Nie zamierzam się zabijać. Ani jego.

– I co teraz?

– Nic teraz. Żyję dalej. Pracuję. I – spojrzałem ostrzegawczo – nie szukam kolejnego.

– Spokojnie. Nie zgłaszam swojej kandydatury.

– Oż, ty! Już mnie nie chcesz? – zażartowałem.

– Bez urazy, ale jak cię pierwszy raz zobaczyłem, to myślałem, że łatwo będzie cię wyrwać, zaliczyć i porzucić.

– Wyglądam na puszczalskiego? – zapytałem oburzony.

– Nie! Skąd! Warszawa jest pełna młodych, otwartych

na wszystko chłopców – sprostował. – Łóżko bez zobowiązań. I mnie to odpowiada. Nie nadaję się do życia w związkach homoseksualnych. Nie wierzę w nie.

Miałem ochotę powiedzieć, że ja też nie.

– I kiedy się zorientowałeś, że nie należę do tej grupy?

– Gdy cię zobaczyłem przy pracy. Nawet rozmawialiśmy w radiu o tym, czemu nie zostałeś po stażu. No właśnie, czemu? – zapytał.

– Sam nie wiem. – Zamyśliłem się. – Następnego dnia jechałem na wakacje. Z nim. Poza tym on chyba nie był do końca zadowolony z tych praktyk. No i nikt mi tego nie zaproponował.

– To stażysta powinien o to zabiegać. Nie odwrotnie – zauważył słusznie. – A ten koleś to co? Nie chciał, żebyś się rozwijał? – wrócił do tematu.

– Ten koleś ma na imię Wiktor – pouczyłem go. – Nie wiem, czy nie chciał. Twierdził, że nie muszę pracować, bo da mi wszystko.

– Durne podejście. I siedziałeś w domu?

– Tak wyszło – przyznałem niechętnie.

– Może to i dobrze, że cię zostawił. Jesteś niezły. Oczywiście jako dziennikarz. Dociekliwy, ale nie nachalny, ciekawie pytasz.

– Dobra, dobra. Już mi nie słódź. I tak nie pójde z tobą do łóżka. – Roześmiałem się.

– Ale radio i tak będzie gadać. – Spojrzał na leżącą na stole komórkę.

- Radio będzie gadać zawsze. Takie jego zadanie.
- Źle zrozumiałeś. Ludzie w radiu gadają. O tobie. – Zatrzymał na mnie wzrok.
- O mnie? – Otworzyłem usta ze zdziwienia.
- I o mnie. Najkrócej mówiąc, chodzi o to, że cię rucham i dlatego jesteś promowany – nie owijał w bawełnę.
- Upił łyk kawy, a ja zdrętwiałem.
- I co teraz? – Wbiłem w niego oczy.
- Nic. A co ma być? – zbagatelizował moje przerażenie. – Gadali, gadają i będą gadać. Pamiętaj, psy szczekają, a karawana idzie dalej. Zresztą mają prawo tak mówić. Zdarzyło mi się zaliczyć stażystę.

Naprawdę przejąłem się tymi plotkami. Od czasu pierwszego spotkania moje stosunki z Szymonem ewoluowały. Teraz są wyłącznie zawodowe z nutką serdeczności. Imponuje mi, ale wyłącznie jako dziennikarz. Wszyscy znają jego głos i twarz. Często występuje w telewizji jako ekspert muzyczny. W drodze do domu myślałem o tym, że nie umiałbym być z kimś, kogo wszyscy kojarzą. Najchętniej przemykam ulicą niezauważony, weekendy spędzam leniwie, a bycie z gwiazdą zapewne skutkuje ciągłą uwagą zarówno mediów, jak i zwykłych ludzi. Na spotkaniach grupy byłem świadkiem kolejnych żenujących scen. Onanizujący się zwolennik PiS-u znów upadł, więc w drodze z Pruszkowa, gdzie mieszkał, do Warszawy

wyrzucił przez okno pociągu modem. Inni chwalili się, że poszli z kolegami z pracy na papierosa lub odważyli się zabrać głos w grupie i wyrazić odmienne zdanie. Folc piała z zachwytu, a we mnie się gotowało. Nie potrafiłem pojąć, że nieśmiałość czy jakieś aspołeczne zachowania wiąże sztywno z homoseksualizmem. Milczałem, ale swoje wiedziałem. Byłem coraz bardziej pewien, że na spotkaniach moje rozterki nie znajdą ukojenia. Jediną szansą na zrealizowanie zamierzonego celu była terapia z Konradem. Nikomu nie powiedziałem o leczeniu. Sam przed sobą przyznałem się dlaczego. Wstydziłem się. Matylda by mnie wyśmiała i kazała się leczyć, ale na głowę, Maria nie powiedziała by nic. Obdarzyły by mnie natomiast spojrzeniem mówiącym więcej niż milion słów. Robert uznał by to za moją kolejną ekstrawagancję. A Nina? Nina najpierw by mnie poćwiartowała, a potem wyłożyła to, co już poniekąd powiedziała podczas naszej wcześniejszej rozmowy, kiedy Agata wspomniała o możliwościach leczenia się z gejostwa.

I to właśnie przed Niną musiałem się kryć najbardziej. Prawie jak nastolatek palący pierwsze papierosy za śmietnikiem. Patrzyła na mnie podejrzliwie za każdym razem, gdy wychodziłem na spotkanie. Kilka razy próbowała wrócić do tematu siłowni, ale jak dotąd udawało się wyprowadzać ją w pole. Tego dnia wpadła do domu jak burza, chyba biegła po schodach. Nie zamknęła drzwi i stanęła w progu kuchni.

– Dostałam propozycję pracy! – krzyknęła.
– Jak to? Gdzie? Kiedy? – zasypałem ją pytaniami.
Rzuciłem do zlewu napoczętego ziemniaka i obieraczkę.

– Dziś. Godzinę temu. Od komercji.

– I co?

– I właśnie stamtąd wracam. Biorę to! I nie idziesz dziś na żadną siłownię ani nigdzie indziej! Ale do tego jeszcze wrócę – zastrzegła. – Zabieram cię na wino! – Rzuciła mi się na szyję. – Ubieraj się.

– A kartofle?

– Pierdolić kartofle! Stawiam sushi!

– Ale ja jeszcze nie mam przelewu!

– Mówię, że stawiam! Masz dziesięć minut.

Pojechaliśmy na Grzybowską. Nina miała zacząć nową pracę tuż po Wielkanocy. Cała ta historia brzmiała jak bajka i zaczęła się już dwa tygodnie temu. Usłyszeli ją, spodobała się, zaprosili na casting i wygrała! Nie chciała nic mówić, żeby nie zapeszyć. Dziś dopełniła formalności. Cztery razy w tygodniu. Jeden tydzień przed południem, drugi po południu, weekendy wolne. I dwa tysiące sto złotych na rękę. Nie miałem zatem wyrzutów sumienia, że dziś ona płaci. Od marca miała tam wpadać, by podszkolić się w ich nieco bardziej zaawansowanej technologii. Studentka trzeciego roku została podkupiona z radia publicznego do komercyjnego. Byłem dumny jak paw! A jej się usta nie zamykały. Do czasu.

– A gdzie jest Karol? – Nie wiedziałem, że właśnie do beczki miodu wkładam łyżkę dziegciu.

– Nie mam pojęcia. Zadzwoiłam, pochwaliłam się, zaprosiłam. Stwierdził, że nie ma czasu.

– Nie ma czasu cieszyć się z tobą? – upewniłem się.

– Tak. Pisze jakiś pozew. A niech go pisze i mi się na oczy nie pokazuje. – Nie wyglądała na zmartwioną. – A! Chyba miałeś rację. On naprawdę uczy się dialogów z filmów.

– Skąd wiesz? – Zarechotałem.

– Wczoraj spisywał *Pitbulla*, a dziś na wieść o mojej nowej pracy powiedział „Bomba. Może ci dupę rozerwać”. A potem zaczął się głupio śmiać.

– Tak ci powiedział? – Zdębiałem.

– Tak.

– A ty co na to?

– No jak to co? Też pojechałam *Pitbullem*: „Nie ma takiej bomby”.

Zdziwiłem się, że po takim tekście Nina natychmiast go nie odprawiła. Była wyczulona na chamstwo jak mało kto. Podejrzewam, że nie chciała psuć sobie radości tego dnia, ale wierzyłem, że rozprawi się z Karolkiem przy najbliższej okazji. O moich tajemniczych wyjściach nie wspomniała, a ja się specjalnie nie wychylałem. Patrzyłem na nią i widziałem, że jest szczęśliwa. Temat Karola także się już nie pojawił. I miałem nadzieję, że zniknie na dobre.

Niestety dużo szybciej niż Karolek znikają mi z konta pieniądze. Dni mijały, a przelewu ani widu, ani słyhu. Zaczynałem się niepokoić. Zadzwoiłem do mamy, ale nie odbierała. Szperałem w sieci i emocjonowałem się informacją, że Agent 007 w najnowszym filmie o Bondzie nie będzie brunetem! Pierwszy raz w historii tę rolę powierzono blondynowi. Nazywa się Daniel Craig i właśnie rozpoczął zdjęcia do dwudziestego pierwszego filmu o Jamesie Bondzie *Casino Royale*. Naprawdę przeżywałem tę dużą zmianę w wyglądzie kultowej postaci. Bardziej spodziewałbym się gejowskiego pocałunku z udziałem agenta Jej Królewskiej Mości niż tego, że zrobią go blondynem. Dobrze, że nie zmienili Judi Dench grającej M od 1995 roku, czyli od *GoldenEye*. Z tej okazji włączyłem sobie piosenkę Tiny Turner właśnie z tego filmu, ale słuchanie zakłóciła mi mama.

– Gdzie ty chodzisz, jak ja dzwonię? Mogłabyś sobie wreszcie kupić komórkę – powitałem ją i ściszyłem muzykę.

– Byłam na policji. – Brzmiała, jakby przed chwilą płakała.

– Po co? – Nacisnąłem „stop” i wstałem. Zawsze wstawałem, gdy rozmowa przez telefon przybierała poważny charakter albo gdy dzwonił ktoś istotny.

– Dawida aresztowali. – Już kiedyś słyzałem ten tekst.

– Znów? Co zrobił? – Zacząłem chodzić po pokoju z telefonem przy uchu.

– Uderzył Leszka Mazura.

– Kogo? – dopytywałem.

– Leszka Mazura.

– Tego od naszej Marysi? – Poczułem, że robię się błądy.

– Tak – powiedziała. – I Leszek, i Marysia są w szpitalu.

– Marysię też pobił? – Złapałem się za głowę.

– Nie. Leszek pobił Marysię, a Dawid Leszka. Za to, że pobił Marysię – tłumaczyła.

– Jak to Leszek pobił Marysię?! Kiedy? – krzyknąłem.

– Wczoraj wieczorem.

Z opowieści mamy wynikało, że Leszek szarpał Marysię na klatce schodowej. Zobaczył to mój brat. Zwrócił Mazurowi uwagę i wszedł do mieszkania. Na klatce w dalszym ciągu było słyhać podniesiony głos i szamotaninę, więc wyrżał. Jego oczom ukazała się lecąca z czterech schodów Maria. Krzyknął do mamy, żeby dzwoniła na pogotowie, a sam sprzął Mazura tak, że ten ze złamanym nosem wylądował w szpitalu. Podobnie jak potłuczona Maria, która spadła na twardą posadzkę i złamała rękę. Pojechali do szpitala jedną karetką. O świcie policja zabrała mojego brata. Zanim skończyliśmy rozmowę, postanowiłem natychmiast jechać do miasteczka. Poinformowałem o tym Matyldę.

Maria miała wyłączony telefon. Po ponad trzech godzinach podróży byłem na miejscu. Śnieg nadal pokrywał chodniki. Przedarłem się przez zasy i dotarłem do szpitala. Znalazłem oddział i salę, w której leżała Maria. Wszedłem z impetem, ale natychmiast wyhamowałem, bo zauważyłem, że śpi. Na prawym ręku dostrzegłem gips. Dobrze, że jest mańkutom, pomyślałem nieco nedorzecznie. Ale przecież niedługo przystępowała do matury. Czoło i część twarzy miała posiniaczone. Wyglądała źle. Przynajmniej sobie krzesło i usiadłem przy łóżku. Niedługo potem się przebudziła.

– Nie maluj się na sino. Nigdy! To nie twój kolor. –
Wzięłem ją za zdrową rękę.

– Obiecuję, nigdy więcej. – Ścisnęła moją dłoń.

– Czemu do tego doszło? – zapytałem.

– Zaczęło się na studniówce – wydukała.

– Zaczął cię łać na studniówce? – wtrąciłem się.

Kiedyś umawialiśmy się, że to ja będę jej towarzyszył na tym balu.

– Nie, nie. Rozmowa, która zakończyła się wczoraj wieczorem, zaczęła się na studniówce. Siedzieliśmy w większej grupie i mówiliśmy o studiach. Co, na jakiej uczelni. Powiedziałam, że ja celuję w medycynę w Warszawie.

– To oczywiste. – Maria od zawsze myślała o medycynie.

– Leszek się najeżył i podczas tańca powiedział, że

nie mogę się wyprowadzić do Warszawy. Ucięłam rozmowę, ale wczoraj temat wrócił. Kłóciliśmy się, bo przecież nie zrezygnuję ze studiów. Zaczął mną potrząsać i właśnie to zobaczył twój brat – przerwała. – Daj mi coś do picia. Zaszło mi w gardle. Kubek tam gdzieś stoi. – Wskazała na stolik przy łóżku.

– Dalszą część już znam. – Podałem jej wodę. – Zepchnął cię ze schodów?

– Nie. Miałam już dość tej dyskusji. I jego też. Dobijał mnie od jakiegoś czasu. Powiedziałam mu, że to koniec, i chciałam iść do domu. – Upiła łyk. – Zatarasował mi drogę i znów się szarpaliśmy. Przedarłam się na schody i szłam na górę, ale złapał mnie za rękę, pociągnął i zobaczyłam orła cień. W tym samym czasie z mieszkania wyskoczył twój brat i spuścił mu łomot. A potem znaleźliśmy się tu. To znaczy ja i Leszek.

– A mojego brata zamknęli. Swoją drogą nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będzie bronił kobiety. To nawet budujące. – Poczułem coś na kształt dumy.

– Jak to go zamknęli? – ożywiła się Maria.

– Zabrali go dziś rano. Matka mi powiedziała. Między innymi dlatego jestem.

– A to szczur! – krzyknęła. – Doniósł na niego. Trzeba coś z tym zrobić. Przecież Dawid nie może siedzieć za niewinność! Zbieramy się. Pomóż mi. – Zaczęła gramolić się z łóżka.

– Gdzie ty chcesz iść? – zapytałem zaniepokojony.

– Znajdziemy go i postawimy pod ścianą. Nie daruję!
Podasz mi wreszcie rękę?

Podaliśmy. Ubrałem ją też w szlafrok i po chwili sunęliśmy szpitalnym korytarzem w kierunku sali, w której leżał Mazur. Maria zapomniała o siniaku, gipsie i bólu. Zresztą Leszek wyglądał dużo gorzej niż ona. Miał rozkwaszony nos, podbite oczy, a gdy na nasz widok otworzył usta, okazało się, że do remontu ma także uzębienie. Brakowało prawej górnej dwójki.

– Za dwie godziny Dawid ma być w domu. – Maria była stanowcza jak nigdy.

– Ale... – zaczął.

– I nie interesuje mnie, jak to zrobisz – krzyknęła. – A jeśli nie, będę zmuszona opowiedzieć policji, jak zepchnąłeś mnie ze schodów.

– Ja cię nie zepchnąłem – bronił się.

– A co? Sama się zepchnęłam? Dwie godziny. Wychodzimy. – Dała mi sygnał, żebym znów wziął ją pod rękę.

Szliśmy powoli po niebieskim gumoleum. Maria stwierdziła, że jeśli Mazur nie wycofa zarzutu przeciw Dawidowi, jest gotowa naciągnąć prawdę i zeznać, że pomógł jej w złamaniu ręki. A mój brat – co akurat było prawdą – najzwyczajniej w świecie ruszył jej z pomocą. Nagle się zatrzymała i popatrzyła na mnie.

– Ależ ja jestem głupią cipą – wyznała dosadnie.

– Tylko nie cipą! Mów o sobie z szacunkiem!

– A, sorry! Ależ ja jestem głupią waginą! Albo

brzoskwinką. Jak wolisz?

– Pochwą!

– Ależ ja jestem głupią pochwą – zaczęła po raz trzeci. – Myślałam, że zmienię go w człowieka. Robiłam wszystko, żeby zszedł z drzewa. Zaryzykowałam przyjaźń z tobą, odstawiłam na bok innych znajomych. Zupełnie oszalałam. Jakby zrobili mi lobotomię! Wróciłam właśnie z długiej podróży. Straciłam prawie rok życia na próby wyprowadzenia tego cymbała na ludzi. Jak ja mogłam być aż tak głupia? Bardzo ci dziękuję, że jesteś i że nie postawiłeś na mnie krzyżyka po tym wszystkim. Przepraszam.

Dalej było jak w argentyńskiej telenoweli. Maria rzuciła mi się na szyję, a gdy ją przytuliłem, jęknęła z bólu. Jakby tego było mało, oboje się popłakaliśmy, a na tej cikliwej scenie nakryła nas Matylda, która właśnie wysiadła z windy. Przytąszczyła torbę owoców w myśl zasady, że człowiek chory powinien się dobrze odżywiać. Tym razem nie wzięła jednak pod uwagę, że Maria najpóźniej jutro wyjdzie ze szpitala, a siatą owoców można by nakarmić pół kompanii wojska. Nareszcie mogliśmy porozmawiać otwarcie. Zapytałem Marię, czym ujął ją Leszek. Przyznała, że podobał jej się fizycznie, wspomniała też o presji środowiska. Od razu przypomniało mi się, że w podobnym tonie wypowiadała się ostatnio Matylda. Marysia jako jedyna z najbliższego otoczenia nie miała chłopaka. Czuła pogardliwe spojrzenia koleżanek, a że Mazur był nią

zainteresowany, postanowiła podnieść rzuconą przez los rękawicę. A gdy poznała jego poglądy, jej powołaniem stało się doprowadzenie do metamorfozy chłopaka. Miłości nie było tam ani przez minutę, przez chwilę pojawiło się coś na kształt pożądania, a może po prostu zwykłej chuci. Lecz w okolicy minionych świąt była już pewna, że ta misja to zabawa dla kamikadze, ale zapętlila się tak, że nie miała pomysłu, jak wyjść na prostą. Leszek ją stłamsił, stępił zmysły i wyłączył instynkt. By wszystko wróciło na właściwe tory, potrzebny był wczorajszy wypadek.

– Ja mu chciałam oddać cnotę. Rozumiecie? Naprawdę poważnie to rozważałam! – powiedziała zawstydzona.

– To nie oddałaś? – pojechałem wprost, konwenanse poszły w kąt.

– W życiu! – zaprzeczyła oburzona. – A nawet gdybym oddała, to utrzymywałabym, że tak nie jest.

– Słyszałam, że cnotę można przywrócić operacyjnie – błysnęła wiedzą Matylda.

– I co? Wstawiają folię czy papier? – pomyślałem głośno.

Podczas rozmowy wyszło też na jaw, skąd mój ojciec wiedział, że byłem z facetem, który wspierał mnie finansowo. Mazur rozповідаł o tym wszem i wobec. Do mojego ojca dotarło pewnie tyle, że puszczam się za kasę. Maria dopiero dziś dowiedziała się o moim rozstaniu z Wiktorem, a właściwie jego ze mną. Gdy

słuchała, jak do tego doszło, robiła coraz większe oczy. A ja podczas opowiadania czułem to samo co ona, gdy mówiła o Mazurze. Też straciłem sporo czasu. Maria stwierdziła, że świetnie wyglądam i gdybym nie powiedział, nie domyśliłaby się, że w moim życiu doszło ostatnio do przykrych zawirowań. Powiedziałem jej też o pracy i im więcej mówiłem, tym częściej przechodziły mnie dreszcze podniecenia. Powrócił dawny klimat. Bez zahamowań komentowaliśmy ostatnie wydarzenia. Byliśmy ze sobą i dla siebie, bez barier, niesnasek, facetów. W międzyczasie wpadli rodzice Marii, zadzwoniła też moja mama. Szczęśliwa, bo Dawid wrócił do domu. Nie miała pojęcia, jak do tego doszło. Nie wiedziała też, że jestem pięć minut od niej. Bo tyle czasu zabierało dojście od naszego bloku do szpitala. Nie zauważyliśmy, że zrobiło się ciemno. Następnego dnia rano musiałem być w Warszawie, a wszystkie autobusy do stolicy już odjechały.

– Wiem! – olśniło Matyldę. – Wojtek był w miasteczku. I jeszcze dziś miał wracać. Chwila! – Wybiegła z sali z telefonem w dłoni. – Za dwadzieścia minut przed szpitalem! – oznajmiła po powrocie. – Zabierze cię, ale musi zawrócić. Bo jest już w drodze.

– Całe szczęście! – Kamień spadł mi z serca.

Wyczałowałem Marysię i wyszliśmy przed szpital. Matylda wymyśliła, że upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Droga do Warszawy to znakomity czas, by sprawdzić Wojtka. Zanim wsiadłem do auta,

musiałem jej przysiąc, że z nim pogadam, a jutro złożę raport. Metodę testu miałem wybrać sam. Śnieg sypał coraz bardziej, a my ruszyliśmy.

44. Nie ma gorszych słów...

To, że nie jest gejem, wiedziałem od dawna. Odkąd go zobaczyłem lata temu. Nie rozpocząłem zatem choćby minimalnego testu na obecność homoseksualizmu we krwi. To strata czasu. Wolałem skupić się na wyciągnięciu z niego informacji, czemu chodzi wokół Matyldy jak pies wokół jeża. Nie znałem go zbyt dobrze, więc najpierw trochę rozmawialiśmy o pogodzie, potem o studiach, aż w końcu rozmowa zeszła na jedyny wspólny temat, czyli na Matyldę. Wypowiadał się o niej wyłącznie w superlatywach, że taka zorganizowana, konkretna, obrotna, pracowita i że inne kobiety mogłyby się od niej tego wszystkiego uczyć.

– A ty myślisz o niej jakoś poważnie? – zapytałem, zaciskając pięści z nerwów.

– To świetna dziewczyna. – Trzeba przyznać, że Ameryki nie odkrył. – Wiem to od zawsze.

Miałem już zadać kolejne pytanie, gdy stało się to, co podobno już się nie działo. Pociągnął nosem! Lata minęły, ale w tej kwestii nic się nie zmieniło. Wciągał gile dokładnie tak samo jak wtedy. Ten sam dźwięk, ten sam wyraz twarzy, ta sama nieświadomość tego, co robi,

i wreszcie ta sama reakcja u mnie. Obrzydzenie. Nie miałem jednak wyjścia, musiałem drążyć.

– Was coś łączy? – udałem głupiego. Przecież gdyby tak było, to pierwszy bym o tym wiedział.

– Lubimy się, nawet bardzo. Często spotykamy.

– Podobno co tydzień.

– Nie wiem, czy aż tak, ale za każdym razem, jak jestem w miasteczku.

– Ona też dobrze się o tobie wypowiada. – Drewniany dialog trwał w najlepsze.

– A co mówi? – Pobudziłem chyba jego ciekawość. Pociąganie nosem także, przyspieszał.

– No wiesz – usiłowałem zyskać na czasie, bo przecież nie mogłem mu powiedzieć prawdy. – Nie mogę zdradzać tajemnic. Zabije mnie, jeśli się dowie.

– Nie dowie się – zapewnił.

– No dobra, ale jeśli jej powiesz, ja zabiję ciebie. Ostatnio stwierdziła, że od czasów liceum zmężniałeś i spoważniałeś – sprzedałem mu mało wiarygodne kłamstwo.

– Zadziwia mnie ta wasza relacja. – Zignorował moje wyznanie. – Tyle lat, tacy jesteście sobie oddani.

Zabrzmiało tak, jakby nie wiedział, że jestem gejem, a moja przyjaźń z Matyldą miała jakieś drugie dno.

– To jest przyjaźń ćwiczona przez lata, wyszła cało z przeróżnych prób. Wiemy o sobie tyle, że aż strach pomyśleć. – Zaśmiałem się. – Każdemu życzę takiej osoby.

– Myślisz, że mam szansę się z nią zaprzyjaźnić? –
Wojtek spowaźniał.

– Myślę, że masz szansę nawet na więcej.

– Na co? – Uniósł brwi.

– Nie, żebym was swatał czy namawiał, ale jak znam
Matyldę... – zatrzymałem się, żeby zebrać myśli –
sądzę, że gdybyś się postarał, mogłaby się tobą
zainteresować nie tylko jako kumplem.

Zapadła cisza. Gdyby nie Cindy Lauper w radiu,
zrobiłoby się naprawdę nieprzyjemnie. Przystudiowałem w
myślach ostatnie wypowiedziane zdanie, ale doszedłem do
wniosku, że nie zdradziłem zbyt wiele. Wynikało z niego
jedynie tyle, że Matylda mogłaby się nim zainteresować.
W przyszłości.

– Szkoda marnować taką dziewczynę na jakieś
męsko-damskie sytuacje – zakomunikował. – Decydując
się na bycie z kimś, trzeba brać pod uwagę ewentualne
rozstanie. Nie zakładać, ale brać pod uwagę. I wtedy
traci się kontakt, miłość staje się nienawiścią,
a kochankowie zostają wrogami. Nie chciałbym takiego
końca znajomości z Matyldą – mówił, a ja nie
wierzyłem własnym uszom.

– Czyli to tylko znajomość? – chciałem się upewnić.

– Zdecydowanie. Nigdy nie brałem Matyldy pod
uwagę jako dziewczyny czy partnerki.

– Można być za fajną na dziewczynę? – zapytałem
sarkastycznie.

– Właśnie – potwierdził tę bzdurę, jakby nie wyczuł

ironii.

– To po co te wszystkie spotkania? Spacerzy? –
Nieświadomie zacząłem go rozliczać.

– Myślisz, że mogła to opacznie zrozumieć? –
zapytał i włączył ssanie. Bo tego, co robił, nie można
już było nazwać zwyczajnym pociąganiem nosem.

Albo był debilem, albo takiego udawał. Całymi
miesiącami chodził z dziewczyną na nocne spacerki,
kolacyjki, prowadził długie rozmowy i teraz pytał mnie,
czy ona mogła to opacznie zrozumieć?! Być może
w świecie heteryków takie zachowanie oznacza
ubieganie się o przyjaźń, ale w świecie gejų to
ewidentny podryw. Z tym że konsumpcja nastąpiłaby
znacznie szybciej. A Matyllda myślała, że on jest
nieśmiały. Postanowiłem nie ciągnąć tej rozmowy. Jeśli
się rozpędzę i powiem, co naprawdę myślę, jeszcze
wysadzi mnie na środku ciemnej drogi i do Warszawy
będę szedł piechotą. Powiedziałem, że boli mnie głowa,
i udawałem, że śpię. Gdy następnego dnia
zrelacjonowałem wszystko Ninie, orzekła, że
heteroseksualni mężczyźni są skazani na zagładę. Jednak
zanim wyginą, musiałem jakoś przekazać Matyldzie
informację, że jej księżę chce być tylko, lub aż,
przyjacielem. I pewnie nie słyszał piosenki *Tango
z pistoletem* Kasi Groniec. „Nie ma gorszych słów od:
zostańmy przyjaciółmi. Nie ma gorszych przekleństw
od zapewnień: lubię cię”. Napisane jak dla Matyldy.

Dzwoniła od rana, w końcu musiałem odebrać.

– Jak ty tak będziesz przekazywał newsy, to zanim coś podasz, może być już mocno nieaktualne – powitała mnie, a jej głos nie zdradzał nawet grama niepokoju.

– Po pierwsze donoszę, że pociąga nosem! I to tak, że ja pierdolę! Z wiekiem mu się nasila. I nie mów mi, że mam się leczyć! – uprzedziłem stały tekst przygotowany na tę sytuację.

– Może ma na ciebie uczulenie, przy mnie nie pociąga. Mów dalej.

– I obawiam się, że nie będzie pociągał. – Wpadłem na pomysł, że zbuduję sobie bufor w postaci żartu.

– Zrobię mu jakiś napar i nie będzie.

– A! Mam cię! Czyli jednak pociąga!

– Do rzeczy – popędzała mnie.

– Matylda, kurwa. Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Chcesz wprost? – Zrezygnowałem z żartów, bo czułem się jak Strasburger w *Familiadzie*.

– Oczywiście – odpowiedziała. Moje słowa chyba lekko ją zaniepokoiły.

– On nie jest gejem, nie jest nawet bi – zacząłem. – Jest po prostu najzwyczajniejszym w świecie samcem i powiedział mi, że nigdy nie brał cię pod uwagę jako dziewczyny.

– A jako kogo mnie brał? – zapytała chłodno.

– Jako przyjaciółkę, to cytat.

– Muszę już kończyć, na razie – usłyszałem. – Przemyślę to i się odezwę.

– Matylda! Czekaaj!

Za późno. Rzuciła słuchawką.

Wyłączyła telefon i nie było z nią kontaktu. Przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do jej mamy, ale wówczas musiałbym jej o wszystkim opowiedzieć, a nie powinienem tego robić. Mimowolnie stałem się posłańcem bardzo złych wiadomości, ale przecież nie mogłem jej okłamać! Uznałem, że najlepsze, co mogę w tej chwili zrobić, to pozwolić jej na chwilę samotności. Wojtek drugi raz wystawił ją do wiatru. Niemal identycznie jak przed studniówką. A ona przez ostatnie miesiące budowała w swojej głowie przeróżne obrazy, które właśnie runęły. Teraz musi wyjść na gruzowisko, rozejrzeć się i zdecydować, co warto odbudować, a o czym należy jak najszybciej zapomnieć.

Moje życie nadal skupiało się na przelewie. A raczej jego braku. Nie mogłem dłużej czekać. Zadzwoiłem do banku i zapytałem, w czym rzecz. Pierwsza rata miała być już prawie dwa tygodnie temu. Kobieta skrzecząca jak paw w Łazienkach poinformowała mnie, że pieniądze na pewno wkrótce się pojawią. Tyle że do tego czasu zdążę umrzeć z głodu. W walentynki rano wybiegliśmy z Niną z domu jak wystrzeleni z katapulty. Zostało nam dziesięć minut do zajęć. Naszą uwagę zwróciły balony przywiązane do klamki drzwi jednego z mieszkań. Było ich chyba ze dwadzieścia. Serca, misie, a nawet Hello Kitty. Tę ostatnią postać Nina uwielbiała.

– Zajebisty pomysł! – skomentowała.

– Jak mi tylko przeleją kasę, to ci takie kupię – zobowiązałem się. – Ale teraz chodźmy już. Błagam.

Wpadliśmy na uczelnię w połowie wykładu. Doszliśmy do wniosku, że nie wypada wchodzić tuż przed przerwą. Podczas oczekiwania zrodziła się idea ugotowania dziś wieczorem gołąbków. Chcieliśmy zrobić ich więcej i zamrozić na gorsze czasy, gdyby mój przelew wciąż się nie pojawiał. Natychmiast powstała lista zakupów.

– Mięso mielone, kapusta, ryż – recytowała Nina. – Sól, pieprz, przyprawy mamy. Co jeszcze?

– Koncentrat pomidorowy, śmietana, ogórki – dyktowałem.

– Ogórki do gołąbków? – zapytała zaskoczona.

– A mizeria?

– Do gołąbków mizeria?

– A co? Nie? – zdziwiłem się, że ona się zdziwiła. – U mnie zawsze jada się gołąbki z mizerią – wyjaśniłem.

– A! Ziemniaki też dopisz. Bez ziemniaków gołąbki się nie liczą. Czekaj. Czekaj – wyhamowałem. – Ale ja dziś będę trochę później. Po zajęciach mam spotkanie – powiedziałem zdawkowo, by nie przyznać się, że idę do psychologa.

– Z kim ty masz te spotkania? Do kogo wychodzisz? – zaczęła drążyć.

– Mam taką małą sprawę do załatwienia. Będę koło siódmej i możemy gotować. Ziemniaki kupię.

– W co ty się wpakowałeś? Masz jakieś kłopoty? – Nie zwróciła uwagi na moją propozycję.

– Jakie kłopoty? Coś ty. Muszę coś załatwić. To wszystko.

– Dobra. Nie wnikam. Widzę, że nie jesteś zbyt wylewny. – Wzruszyła ramionami, a drzwi do sali się otworzyły.

Do końca wykładu mnie ignorowała i na każdym kroku dawała do zrozumienia, że tajemnice jej nie bawią. Nie było liścików ani szeptanych rozmów, a po zajęciach pożegnaliśmy się chłodno i każde poszło w swoją stronę. Bez ustalenia, co z gołąbkami. Pamiętałem, że za wizytę u psychologa można zapłacić tylko gotówką, wybrałem pieniądze z bankomatu. I tym sposobem na koncie zostało mi sto dwa złote i siedemdziesiąt sześć groszy. Tak jak poprzednio zastałem Konrada za biurkiem, usiadłem w fotelu i zaczęliśmy rozmawiać.

– Co słyhać u pana ojca? – zapytał.

A ja zdębiałem. Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Kiedy rozmawialiście ostatnio?

– Pyta pan, kiedy wymienialiśmy jakiegokolwiek słowa? Czy kiedy rozmawialiśmy? – uściśliłem.

– Pytam o rozmowę.

– Nie pamiętam. Obawiam się, że nigdy. –

Zabrzmiało smutno.

– Niech się pan wysili i spróbuje sobie przypomnieć – nalegał.

– To trudne. – Zamilkłem. – I przykre, ale naprawdę nie pamiętam. Od czasu, gdy mieszkam w Warszawie, na pewno nie rozmawialiśmy, a wcześniej? – zapytałem sam siebie. – Też nie. Rozmowa z moim ojcem ma sens jedynie wtedy, gdy ma się identyczne opinie jak on. Rozbieżne prowadzą do kłótni. On automatycznie zaczyna krzyczeć, wyzywać, ubliżać. A gdy byłem dzieckiem, to zwyczajnie mnie bił. To nie jest dla mnie partner do rozmowy. Ani do niczego innego. I nie zamierzam się z nim godzić. Nie za wszelką cenę. – Byłem stanowczy. Wiem, że ten opis pasuje do waszego modelu geja, ale jeśli zgoda z ojcem jest warunkiem koniecznym, to trudno. Zostanę gejem na wieki wieków. Amen.

– Jest w panu dużo żalu – zauważył.

– Owszem – przyznałem. – Jest we mnie żal, złość, wkurwienie. Wszystko naraz. Ten facet mnie spłodził, a jak się okazało, że a) nie jestem dziewczynką, a potem b) nie spełniam jego innych oczekiwań oraz c) jego żona i matka kochają mnie bardziej niż jego, to mnie znienawidził. Nie mam z nim ani jednego pozytywnego wspomnienia. – Poczuję, że łamie mi się głos. – A potem zauważył, że mam marzenia i jedno po drugim realizuję. Ludzie mnie lubią. Zdałem maturę, dostałem się na studia. Tego było dla niego za wiele. –

Opowiedziałem historię z kredytem i sięgnąłem po pudełko z chusteczkami. – On mnie nienawidzi. Po prostu. I nie wiem, czy właśnie przez to wszystko, o czym panu mówię, stałem się gejem.

– A jak pan czuje?

– Nie wykluczam.

– A chciałby pan poprawić relacje z ojcem?

– To trudne pytanie. Na tę chwilę one nie są mi do niczego potrzebne. Nie mam potrzeby utrzymywania z nim kontaktu. Już nie. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby się od niego uwolnić, żeby nie musieć na niego patrzeć. I czuję, że żyję. Dopiero teraz. Poza tym nie tylko mnie należy zadać to pytanie, jemu też.

– Pytał pan?

– Zapytałem, czy pomoże z kredytem. Odpowiedź wystarczy mi na lata. A wracając do pana pytania z poprzedniego spotkania, dziś jeszcze nie wiem, czy potrafię mu wybaczyć. Na pewno nie umiem zapomnieć. I raczej nigdy nie będę umiał.

– A mama? – zadał kolejne pytanie.

Spostrzegłem, że każda jego wypowiedź jest bardzo krótka.

– Mama? – powtórzyłem. – Nie podlega wątpliwości, że mnie kocha. Tak naprawdę nie mam do niej większych uwag. Właściwie mam dwie. Nie chcę, żeby piła, i nie chcę, żeby poddała się domowemu terrorowi brata i ojca. Chociaż ostatnio udowodniła, że jest naprawdę twardą kobietą. Zawalczyła o mnie

i chciałbym, żeby zawalczyła o siebie. Udowodniła, że może wygrać.

– Wasze relacje są w porządku?

– Nie są do końca szczere, bo mama oficjalnie o mnie nie wie. Temat mojego życia osobistego nie istnieje.

– Ale domyśla się?

– Oczywiście. Powiem więcej, ona wie. Tyle że nie ma odwagi tego potwierdzić u źródła. Czyli u mnie.

– Czemu pan jej nie powiedział?

– Nie wiem. Nie było okazji?

– Oszukuje mnie pan trochę. Przecież poznała pana partnera.

Na poprzednim spotkaniu opowiedziałem mu trochę o mnie i Wiktorze.

– No tak, ale wtedy nie było warunków do takich wyznań. Była szopka z udawaniem, że mieszkam gdzie indziej, niż naprawdę mieszkałem.

– A kto tę szopkę wymyślił?

– Ja – odpowiedziałem bez zastanowienia.

– A co by zmieniło w waszych relacjach, gdyby wiedziała oficjalnie?

– Śmiem twierdzić, że wszystko. – Zapatrzyłem się w padający za oknem śnieg. – Przyjaciele przyjaciółmi, ale moja mama jest osobą, która zna mnie najlepiej. I myślę, że gdyby była na bieżąco z moim życiem, pewnie mógłbym niektórymi sprawami pokierować inaczej. Może nawet unikałbym pewnych problemów. Choćby całej jazdy z Krakowem i z Mariuszem, a potem

z matką Wiktora. Przyjaciele są w moim wieku. Każdy z nas uczy się życia na błędach. Opinia matki byłaby ważniejsza, bo wyrażona przez osobę z większym doświadczeniem.

– A pański brat?

– Ostatnio wykazał się, sam nie wiem jak to nazwać, powiedzmy, logicznym myśleniem. – Streściłem w kilku słowach historię z Marią. – Ten chłopak był naprawdę fajnym dzieckiem. I, w odróżnieniu od ojca, mam z nim dobre wspomnienia. Niestety niezbyt świeże. Pamiętam, jak się bawiliśmy w restaurację i podawał mi frytki z keczupem, jak graliśmy w gry komputerowe. A potem się gdzieś zagubił w życiu. Do katastrofy doszło, gdy się wyprowadziłem. Robił, co chciał, mama z ojcem najpierw nie stawiali granic, a potem już nie umieli nad nim zapanować. Nie mam pojęcia, czemu nie zareagowali, gdy przestał chodzić do szkoły. Powinni go tam siłą zaciągnąć i kontrolować na każdym kroku. Wtedy był na to czas i ściągnięcie cugli przyniosłoby efekty – mówiłem niczym doświadczony rodzic tuzina dzieci. – I wie pan? – zagryzłem dolną wargę. – Czasem miałem wrażenie, że ojciec załatwia bratem swoje sprawy dotyczące mnie.

– Czyli?

– Prowokował konflikty między nami, a gdy Dawid stał się agresywny, nie reagował. Co więcej, podjudzał go. Bracia, jak to bracia, czasem się biją. Z tym że ja nigdy nie mogłem oddać Dawidowi, kończyło się

laniem lub karą od ojca. A gdy on oddał mnie, nie było problemu. Bez echa przechodziły też sytuacje, gdy mnie okradał. Mam przeczucie graniczące z pewnością, że wiele z naszych sporów było inspirowanych przez ojca, ale nie wykluczam, że kiedyś porozmawiam z bratem i że będziemy utrzymywać jakieś kontakty.

– Zazdrościł pan bratu kontaktu z ojcem?

– Do pewnego momentu tak. I zazdrość sprowadzała się głównie do tego, że Dawid miał kasę na ubrania. Im mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że mnie z ojcem naprawdę niewiele łączy, tym bardziej byłem pewien, że nic nie tracę. Oni też wcale nie są kumplami. Nie spędzają razem czasu. To nie ojciec uczył brata jeździć rowerem. Dawid jest cwany i jak ojciec dawał mu kasę, to młody brał. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby uważał ojca za frajera. Mimo to mój brat jest hetero.

– Skąd pan to wie? – Zabił mi ćwieka.

– Nigdy nic nie wskazywało na to, by był gejem. I to raczej burzy teorię Folc. Przepraszam, pani Folc. Że brak relacji z ojcem odpowiada za homoseksualizm.

– Jest pan chory?

– Nie, jestem całkowicie zdrowy – odparłem zaskoczony pytaniem. – A co? Wyglądam na chorego?

– Z tym pytaniem pana zostawię do następnego razu – powiedział tylko.

Ustaliliśmy, że zobaczymy się tuż po moim powrocie

z rekolekcji, ale jeszcze przed Wielkanocą. W drodze do domu kupiłem ziemniaki, chociaż nie wiedziałem, czy będziemy gotować. Ale jeśli nie dziś, to na pewno kiedyś się przydadzą. Tuż po wejściu do klatki usłyszałem wrzaski. Lekko przytłumione, więc nie potrafiłem zlokalizować, skąd dobiegają, ani złapać ich sensu. Nie byłem nimi specjalnie zdziwiony. Nasza sąsiadka z dołu lubiła się kłócić ze swoim synem. O wszystko i o każdej porze dnia i nocy. Wizyty policji uspokajały ich tylko na chwilę, działała jedynie piłka do koszykówki, którą w krytycznych momentach odbijaliśmy od podłogi. Zerknąłem na zegarek, dochodziła dziewiąta. Mijałem kolejne drzwi i im bliżej byłem naszych, tym bardziej stawało się jasne, że awantura odbywa się u nas. Zanim wszedłem, miałem milion procent pewności, że w środku są Nina i Karolek. Nie wiedziałem, co zrobić, nasłuchiwałem przez moment i gdy już się wydawało, że robi się ciszej, drzwi się otworzyły. Mało nie oberwałem po głowie.

– Wynoś się! – powiedziała Nina cicho, ale bardzo stanowczo. Nie chciała się wydierać na klatce. – I zabierz to stąd! – W rękę trzymała balony. Te same, które rano widzieliśmy przywiązane do klamki jednego z mieszkań na dole. – Masz to odnieść, skąd wzięłeś!

– Ja chciałem... – Karolek niemal płakał.

– Nie kłam! Ukradłeś te balony. I teraz je odniesiesz.

– Nadal nie podnosiła głosu.

– Nie ukradłem – jęczał.

– Jeszcze jedno słowo, a pójdę do tych ludzi i poproszę ich na górę!

– Nie! – wyrwało mu się głośniejszym głosem.

– Twój wybór. Liczę do trzech! Raz, dwa... – nie żartowała.

Nina nigdy nie żartowała w takich sytuacjach.

– Dobra! Odniosę! Przestań! – skapitulowała.

Wziął od niej balony i boso poszedł na dół. Weszła do domu, by za chwilę znów wyrzeć na korytarz. Trzymała w ręku rzeczy Karola. Podeszła do barierki i rzuciła na dół. Kiedy zaczął je zbierać, powiedziała, żeby nie ważył się wracać. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział ją w takim stanie. Stał przede mną żywy dowód na to, że najwyraźniej wszelkie spowodowane odchudzaniem problemy ze zdrowiem ustąpiły. W półmroku klatki schodowej zobaczyłem, że twarz jej się zaokrągliła. Policzki nie były już tak zapadnięte, a oczy nabrały dawnego blasku.

Wreszcie mnie zauważyła, zgarnęła do środka i zamknęła drzwi. Para szła jej uszami ze złości. Nasłuchiwalismy przez chwilę.

– Jak wróci, wzywam policję – zastrzegła szeptem.

Nie wrócił.

Nie gotowaliśmy gołąbków, w zamian kilkanaście razy opowiedziała mi historię, jak to Karolek podarował jej kradzione balony. Nie padła deklaracja, że to koniec ich związku, i trochę mnie to zaniepokoiło. Jeśli nie dziś, to kiedy? Co jeszcze musi zrobić ten

płytki gość, żeby Nina się go pozbyła? W święto zakochanych piłem wino z moją najlepszą przyjaciółką i słuchaliśmy The White Strips. Tradycyjnie przy *Seven Nation Army* zaczęliśmy tańczyć. Potem wysłuchaliśmy tej piosenki jeszcze kilkanaście razy. I znów mi się upiekło, nie pytała, gdzie byłem. Mijały dni, a Karolek się nie pojawiał. Nie miałem śmiałości spytać, czy to tylko chwilowy stan rzeczy. Cieszyłem się, że nie mam go przed oczami. Nina zaczęła chadzać do nowego radia, a ja na dobre zadomowiłem się w swoim. Po kolejnym zakończonym poranku zbierałem się do wyjścia, gdy za przymkniętymi drzwiami pokoju usłyszałem rozmowę. Od razu poznałem, że to Kuba, ten, z którym dzieliłem dyżury na porankach, i Marek, nasz dziennikarz ekonomiczny.

– Robi jakieś rozmowy, panoszy się. Kurwa, mówię ci, stary. Jakieś pedalskie lobby się tu szerzy – stwierdził przejęty Kuba. – Ja tylko gości zapraszam, a on... – urwał.

– A pytałeś, czy też możesz robić coś więcej? – dociekał Marek.

– No nie, nie pytałem. Boję się wchodzić między nich. W ogóle to się boję przebywać z nimi sam na sam w jednym pomieszczeniu. To pedały są, rozumiesz? Jeszcze im przyjdzie do głowy, żeby mnie zaliczyć. Dzięki! Nie chcę mieć jesieni średniowiecza zamiast dupy.

– A skąd wiesz, że oni ze sobą ten tego?

– A nie?! Szymon stał się jego jakimś, kurwa, mecenasem. Wszędzie go pcha. Bezinteresownie to robi? Tak po prostu? Znalazł talent? – powątpiewał.

– Jest taka szansa.

– Umówmy się, Mareczku! Niewielka, bliska zeru.

Było jasne, że Kuba obrabia mi dupę. Mało tego, robi ze mnie kurwę. Potwierdziło się to, o czym wspomniał Szymon. Niewiele myśląc, chwyciłem za klamkę i otworzyłem drzwi. Obaj zbaranieli.

– Wiesz co, Kuba? – zbierałem słowa. – Nie podejrzewałem, że kiedykolwiek tutaj, w tym budynku, będę musiał reagować na tak obrzydliwe plotki. Być może ktoś doszedł do wniosku, że nadajesz się tylko do zapraszania gości. – Jechałem po bandzie. – I nie bój się towarzystwa mojego i Szymona. Nic ci nie grozi. Pedaly – podkreśliłem – są bardzo wymagające i na taki zaniedbany wór jak ty żaden nie polecą. Nawet jakbyś siedział nago.

– O co ci chodzi? – udawał głupiego.

– A jeśli nie przestaniesz rozsiewać tych kłamstw, możesz mieć kłopoty. My, pedaly, nie dość, że trzymamy się razem, to jesteśmy też mściwi. Marek, a ciebie proszę, żebyś w te głupoty nie wierzył.

A potem, niczym Aleksandra Jakubowska, zabrałem torbę i wyszedłem z radia. Szymon gdzieś się zapodział, ale może to i dobrze. Nie chciałem mu opowiadać, co usłyszałem z ust Kuby. Szymek na pewno

doprowadziłby do jego wyrzucenia z pracy. A on ma przecież małe dziecko. Przesiedziałem na dwóch wykładach, które Nina sobie darowała, była w nowym radiu, i pojechałem na Wolę. Po drodze tradycyjnie zahaczyłem o bankomat. Stało się jasne, że wypłacam z konta ostatnie pieniądze. Przelewu nadal nie było, więc od jutra głoduję. Przynajmniej przez najbliższy tydzień, bo w okolicach siódmego marca wpłynie jakaś kasa z radia.

Gdy dotarłem pod blok, spotkałem Karolka, nie wiem, ile czasu stał przed wejściem do klatki. Na pewno dość długo. Bo chociaż mróz zdecydowanie zelżał, miał czerwony nos.

– Niny nie ma. Nie wiem, o której wróci – powiedziałem.

– Do ciebie przyszedłem.

– Do mnie? – zdziwiłem się.

A to niespodzianka. Dotychczas nie mieliśmy ze sobą bliskiego kontaktu. Sam na sam nie rozmawialiśmy nigdy.

– Nina jest bardzo zła? – zapytał.

– Nie wiem, czy zła. – Chciałem być delikatny. – Jest zawiedziona. I nie pytaj czym – odpowiedziałem na niezadane jeszcze pytanie, które wypisało się w jego spojrzeniu.

– Wiesz, że się jej oświadczyłem? – kontynuował.

– Coś słyszałem.

– I pewnie wiesz, że nie dała odpowiedzi?

– Wiem.

– Mógłbyś na nią jakoś wpłynąć?

I oto ja, ten, który od miesiący trzymał kciuki za klęskę tego związku, miałem wpłynąć na jego przypieczętowanie. Ogarnął mnie śmiech, na szczęście tylko w środku.

– Obawiam się, że na Ninę nie da się wpłynąć. – Miałem nadzieję, że zrozumie, iż odmawiam.

– Z twoim zdaniem się liczy. Radziła się?

– Nawet jeśli się radziła, to chyba nie sądzisz, że ci powiem? – obruszyłem się.

– Czyli tak – dedukował błędnie, bo o oświadczeniach rozmawiałem z Niną tylko raz i nie w formie porady. – Co jej powiedziałaś?

– Widzę, Karol, że ty już wszystko wiesz. Dalsza rozmowa jest zbędna. Idę do domu. Jest zimno, a ja wstałem w pół do piątej. Jeśli mam ci coś radzić, to daj jej czas i przyjmij decyzję.

Położyłem się na łóżku i biłem z myślami, czy powiedzieć Ninie o jego wizycie i prośbie o wstawiennictwo. Przez głowę przemykała mi też Matylda. Właściwie nie mieliśmy kontaktu od czasu naszej ostatniej rozmowy o Wojtku. Pomyślałem, że koniecznie muszę do niej zadzwonić. Byłem jednak tak zmęczony, że ledwie przyłożyłem głowę do poduszki, zasnąłem. Wstałem przed siedemnastą, Niny nie było. Matylda nie odbierała telefonu. Znalazłem w internecie przepis na gołąbki i przystąpiłem do realizacji

narodzonego kilka dni wcześniej pomysłu. Trzy godziny później, gdy kończyłem owijanie mięsa kapustą, wróciła Nina.

– Masz wyczucie czasu! Cała czarna robota cię ominęła. Pierdoliłem się z nimi – wskazałem na pełen garnek – całe popołudnie. Za to ty obierasz ziemniaki.

– Zdradziłam Karola – oznajmiła i zniknęła w przedpokoju, żeby zdjąć kurtkę i buty.

Mnie z wrażenia aż pokrywka od garnka wpadła do zlewu.

45. To nie zdrada!

Złapała za obieraczkę i podczas jednego posiedzenia obrała ponad dwa kilogramy ziemniaków. W drugim garnku dochodziły gołąbki i gdyby nagle zwaliło się nam na głowę kilkanaście osób, każdy najadłby się do syta. Dopiero gdy kończyliśmy jedzenie, wróciła do tematu zdrady.

– Nie wiem, jak do tego doszło. – Przełknęła ostatni liść kapusty. – Pokazywał mi, jak mam się sama zrealizować...

– Co ci pokazywał? – Uśmiechnąłem się, bo gdyby słuchał nas ktoś z boku, to byłby gotów pomyśleć, że Nina mówi o masturbacji.

– Ty niby gej jesteś, ale myślisz jak pełnokrwisty heteryk. Samorealizować to znaczy ogarnąć serwis informacyjny jednoosobowo! – wyłożyła. – Chodziło o zapoznanie się ze sprzętem w nowym miejscu pracy.

– Do rzeczy! – popędziłem ją.

– No i się samorealizowałam, a on mnie pocałował! A ja nie protestowałam.

– Kto to jest on?

– Patryk.

– Kim, do chuja, jest Patryk? Nina!

– A! Bo ja nie powiedziałam? – zorientowała się.

– Niestety nie, a ja nie opanowałem jeszcze daru jasnowidzenia. Ale jak tylko opanuję, to dam znać – przyrzekłem.

– Długo ci to zajmie? – zażartowała.

– Jakies dwa tygodnie. Kim jest Patryk?!

Sama nie do końca wiedziała, co robił w radiu. Na pewno nie był dziennikarzem. Z jej opisu bardziej niż pogromcę niewieścich serc przypominał Włóczykija z *Muminków*, ale z gustami się nie dyskutuje. Obstawiałem, że jest informatykiem. Podniecona opowiadała, że zakręcił się koło niej już pierwszego dnia. Był pomocny, uczynny i sympatyczny. Objasniał zasady działania poszczególnych programów i rozwiewał wątpliwości. Myślała, że jest po prostu miły. Do dziś.

– Dłubał coś w komputerze, ja się niecierpliwiłam, aż tu nagle się odwrócił i mnie pocałował! – opowiedziała w jednym zdaniu.

– Tak jak w harlequinie? – dopytywałem.

– Dokładnie!

– I jego nabrzmiałe prącie parzyło przez spodnie jak żelazko?

– Co parzyło? – otrzeźwiała. – I kogo?

– Jego nabrzmiałe prącie! Ciebie!

– Skąd ty takie teksty bierzesz? – Nie wiedziałem, czy była rozbawiona, czy przerażona.

– No przecież miało być jak w harlequinie. –

Przyznałem się, że to zdanie pochodzi z jednego z romansów mojej mamy.

– Więc u nas nie było do końca jak w tych książkach, choć poza praniem jak żelazko wszystko się zgadza – zastrzegła. – Ale jak można mieć tak gorące pranie? – zastanowiła się.

– Nie wiem. Nigdy nie miałem. Ale co było dalej? Co dalej, Nina! Pocałował cię i posiadał na konsolce?

– Tam w studiu nie ma konsolety – wyjaśniła rzeczowo.

– To gdzie cię posiadał? Na podłodze? W windzie?

– Nigdzie! – oburzyła się. – Tylko się całowaliśmy.

– Tylko? – zawiodłem się. – A chociaż długo?

– Jakie to ma znaczenie?

– Chcę ustalić, czy to była zdrada.

– A od ilu jest zdrada? – Przebiła mnie wzrokiem.

– Ile? – pytałem nieugięty.

– Tak... z dziesięć sekund.

– I to jest zdrada? Jak dzidy pragnę! Ty chyba zdrady nie widziałaś. – Zbagatelizowałem jej występki. – Rozgrzeszam cię. Tu i teraz.

Dowiedziałem się, że całował świetnie i że wreszcie był ogień, którego nie czuła, gdy całowała się z Karolem. Tego wieczoru tylko słuchałem. Jak Patryk pachniał, jaką miał koszulę i jak to nie może przestać o nim myśleć. Wreszcie o tym, że jest głupia, bo nie skombinowała jego numeru. I tak nam zeszło do północy. A po mnie o piątej trzydzieści przyjechała

taksówka. Miałem wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą i coś szepczą po kątach, ale znałem swoją skłonność do wyolbrzymiania, więc nie dociekałem, o co chodzi, bo przypuszczalnie to tylko moje urojenia. Po audycji zagadnął mnie Szymon.

– Co tu się działo ostatnio? – szepnął mi prawie na ucho.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Naprawdę nie skojarzyłem, o co mu chodzi.

– O tobie, Kubie i jakiejś aferze. Słyszałem już milion wersji zdarzeń.

– A! O tym mowa. – Uśmiechnąłem się i w kilku słowach opowiedziałem, co zaszło. – Co miałem robić? Stać i słuchać, jak mi dupę obrabia? I tobie! – Szukałem potwierdzenia, że dobrze zrobiłem.

– A taki biedny się wydawałeś, słaby. A tu proszę. Ciebie wcale nie trzeba chronić.

– Przed czym? – Znów nie rozumiałem.

– Kuba już nigdy się na twój temat nie wypowie. Możesz być pewien. Zastraszony na dobre.

– Ale ja go nie zastraszyłem – tłumaczyłem się.

– To tobie się tak wydaje. Idę zapalić i mogę cię podrzucić, jeśli chcesz.

– Nie, nie. Dzięki. Przejdę się. Mam coś do załatwienia.

– Jakby co, proponowałem. Bo wiesz... my, pedały, trzymamy się razem – zacytował moje słowa. Widać ktoś sprzedał mu tę historię ze szczegółami.

W drodze na przystanek zadzwoniłem do Matyldy. Odebrała natychmiast. A ja zapomniałem języka w gębie. Ostatnio przywykłem do tego, że nie odbiera.

– Ty się na mnie gniewasz? – zapytałem.

– Nie, no co ty – odpowiedziała.

– To czemu nie można się do ciebie dodzwonić?

– Jakaś zarobiona byłem ostatnio.

– Pierdol, pierdol, ja się zdrzemnę! – krzyknąłem, gdy podjechał autobus.

W związku z tym, że szykowała się dłuższa pogawędka, postanowiłem iść pieszo.

– No dobra. Sorry, ale nie wiedziałam, co mam ci powiedzieć – przyznała się.

– I musiałaś strzelić focha?

– Zawsze, jak nie wiem, co robić, to strzelam.

– Ale nigdy dotąd nie padłem jego ofiarą. Matylda! Przecież ty sama chciałaś, żebym z nim porozmawiał.

– Ale takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

– Jak się zadaje tego typu pytania, trzeba być gotowym na każdą odpowiedź – mądrzyłem się, ale trzeba przyznać, że była w tym logika.

– On mnie załatwił dokładnie tak samo jak przed studniówką. Chodził, chodził, a potem się rozmyślił.

– Rozumiem, że jest ci przykro, ale karanie za to mnie to był najgłupszy pomysł, na jaki mogłaś wpaść.

– Do niego też się nie odzywam. A dzwoni jak najęty.

– Mam z nim znów porozmawiać? – zaproponowałem.

– Nie! – Miałem wrażenie, że podskoczyła do góry. – Tym razem sama to załatwię.

– Co zamierzasz?

– Powiem mu, co myślę, ale nie przez telefon. Niech się tylko pojawi.

– Ale nie daj się zwieść trzeci raz. Ten cały Wojciech to burak – stwierdziłem.

– I pociąga nosem!

– Wreszcie! – Roześmiałem się. – Wreszcie to przyznałaś! Powiedz mu, że jest frajerem i żeby się pozbył tych fluków!

– Będziesz na Wielkanoc? – zmieniła temat.

– Nie wiem. Nie bardzo mam ochotę tam jechać. Do domu nie chcę zachodzić. Naprawdę nie wiem, co ze sobą zrobić.

– Przecież możesz spędzić święta u nas.

– Wiem, Matyllda, ale nie bardzo sobie wyobrażam, żeby być w miasteczku na święta i nie zajrzeć do matki – powiedziałem smutno.

– To ją też do nas zaprosimy. – Nie widziała w tym najmniejszego problemu.

W końcu nadeszło przedwiośnie. Powietrze nie było już mroźne, a śnieg stopniał prawie całkowicie. Za tydzień miała nadejść kalendarzowa wiosna. Miałem ją przywitać na Białostocczyźnie, w domu rekolekcyjnym, w towarzystwie anonimowych homików z całej Polski. I o ile problem z Matylldą i jej fochem się rozwiązał,

o tyle poinformowanie Niny o zbliżającym się wyjeździe wciąż było przede mną. Tym bardziej, że akurat na rekolekcyjny weekend zaplanowała powitanie wiosny u nas w mieszkaniu. Pod tym kryptonimem kryła się impreza na pożegnanie starej i powitanie nowej pracy. Na liście kilkunastu gości był Patryk. W nadziei na walkę kogutów szukałem wśród zaproszonych także Karolka, ale na próżno. Nie miałem śmiałości, by zapytać Ninę, czy to koniec, ale czułem, że niedługo poznam odpowiedź.

– Ale pamiętaj – zastrzegła – żadnych czarnych szmat. To jest wiosenne party i stroje mają być kolorowe. Myślałam, żeby zrobić kotyliony z kwiatów. Co sądzisz? – Odłożyła na chwilę bułkę paryską, którą kroila na zapiekanki, i spojrzała na mnie.

– Na razie to myślę o tym, że mnie sponsorujesz.

Gołąbki jeszcze się nie skończyły, ale wychodziły mi już nosem. Produkty na zapiekanki kupiła Nina. Ja nie miałem za co. Przelew szedł już drugi miesiąc.

– Nie, żebym ci robiła wyrzuty, ale może zadzwoni do tego banku jeszcze raz? Jeśli ty tak będziesz spłacał, jak oni wypłacają, to będziesz miał na głowie windykację.

– Co prawda, to prawda... – Byłem zrezygnowany.

Wybrałem numer, ale okazało się, że kobieta obsługująca mój kredyt już wyszła z pracy. Tonem nieznoszącym sprzeciwu zażądałem, by jutro z samego rana do mnie oddzwoniła. Nina napisała mi na kartce, żebym dodał, iż w przeciwnym wypadku złożę skargę

do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. A ja durny przeczytałem to jednym tchem.

– Chcesz kogoś dopisać do listy gości? – zapytała zaraz po tym, jak uznała, że dobrze zrobiłem, strasząc ich urzędem.

– Kochanie – stało się jasne, że muszę coś powiedzieć o tym weekendzie – mnie nie będzie chyba na tej imprezie.

Zacisnąłem oczy, żeby nie widzieć jej miny.

– A gdzie będziesz? – Tak zdziwionej nie słyszałem jej chyba nigdy.

– Mam wyjazd – wydusiłem. – Zaplanowany wcześniej.

– Do miasteczka jedziesz? Po co? Żeby cię znów wyprowadzili z równowagi?

– Nie, do znajomych. Zapiekaniki się palą! Czuję! Wyciągaj! – próbowałem zmienić temat.

– Do jakich znajomych? Dokąd? Zaproś ich na inaugurację wiosny! – rzuciła i zajrzała do piekarnika.

– Nie mogę. Jadę do nich. Poradzisz sobie beze mnie?

– Gdzie ty chodzisz? Gdzie ty jeździsz?

– Nina, nie zaczynaj znów. Dowiesz się, jak przyjdzie czas. Mamy keczup?

Foch był motywem przewodnim tego dnia. Najpierw Matylda, potem Nina. Do kompletu brakuje jeszcze tylko Marii i Roberta, który był już tatusiem pełną gębą. Przewijał, karmił, tylko jeszcze nie chodził na spacer.

Filip nigdy nie wyszedł na dwór. Było za zimno. Mieliśmy kontakt głównie telefoniczny, bo małe dziecko absorbuje i wywraca życie do góry nogami. Jeszcze nie trzymałem Filipa na rękach. Gdy odwiedzałem ich w szpitalu, miałem kiłę i nie odważyłem się do niego zbliżyć, a później jakoś nie było czasu, by się zobaczyć. Umówiliśmy się na spotkanie tuż przed rekolekcjami. Kobieta z banku chyba się przejęła groźbą. Nie dość, że oddzwoniła, to jeszcze mnie przeproszała. Z tym że od jej choćby najszczerzych przeprosin stan mojego konta się nie zmienił. Powiedziałem, że nie chcę nawet słyszeć, że pieniądze mają być na dniach, bo gdy powiedziała to poprzednio, nic się nie zmieniło. Poprosiłem o podanie terminu, w jakim to załatwi. Realnie. Padła deklaracja, że do końca tygodnia. Mieliśmy środę. Byłem gotów na zatrudnienie się przy roznoszeniu ulotek, miałem nawet nagraną taką robotę na weekend. I podjąłbym ją, gdyby nie cud. W piątek po południu przelew przyszedł. I to z wyrównaniem od początku roku. Miałem na koncie prawie dwa tysiące i byłem tak szczęśliwy, że nie wiedziałem, co mam z tymi pieniędzmi zrobić.

Kupiłem dwie paczki pieluch i poszedłem z wizytą do Roberta, Darii i Filipa. Synek cudowny, ale rodzice wyglądali, jakby ktoś ich wyjął z pralki. Ziemiste twarze i zapuchnięte oczy. Było jasne, że mały wyje nocami. Daria chwilę z nami posiedziała, ale wspólnie ustaliliśmy, że skoro już jestem, to ma okazję, żeby

wyskoczyć do fryzjera. Zostaliśmy z Robertem i Filipem sami. Mały chyba wyczuł, że w domu jest gość, i przez cały czas był grzeczny.

– Jakby ktoś go podmienił – skomentował Robert. – Co? Popisujesz się przed wujkiem? – zwrócił się do młodego, który tylko się śmiał.

– Ma się ten talent, nie muszę nic robić, żeby dziecko było grzeczne. Wystarczy, że jestem – powiedziałem z dumą.

– Możesz wpadać częściej. A nawet zostać na noc, a my sobie gdzieś wyjdziemy.

Za każdym razem, gdy Robert podchodził do łóżeczka, widziałem, jak promienieje, a gdy brał Filipa na rękę, świat wokół mógł nie istnieć. To było właśnie takie uczucie, o którym marzyłem. Bezgraniczna miłość.

– Chodź tu, wujek – poprosił mnie do siebie i wyciągnął do mnie rękę, na których leżał mały.

– Ale co ja mam zrobić? – Zdrętwiałem.

– Wystaw rękę. Tak jak ja – poinstruował.

– Boję się, że mi wypadnie.

– Nie pierdol. Dawaj – ponaglał.

Po chwili trzymałem w ramionach czteromiesięczne niemowlę, które śmiało się i wyciągało do mnie malutkie rączki w rękawiczkach. Wyglądał jak mniejsza wersja Roberta. Nawet włosy miał czarne i gęste. Chyba pierwszy raz w życiu miałem bezpośredni kontakt z tak maleńkim człowiekiem. Usiadłem z nim w fotelu,

a Robert zniknął w kuchni po butelkę z odciągniętym mlekiem Darii. Po chwili wrócił i mi ją podał.

– Jak mam to zrobić? Nie mam trzeciej ręki – przeraziłem się.

– Ale siedzisz już. Nie potrzebna ci kolejna ręka. Włóż mu smoczek do ust.

– I co dalej?

– Dalej to on już wie, co robić. Prawda? – zapytał Filipa. – Włączaj ssanie, młody.

Mleka w butelce zaczęło ubywać.

– Podjąłem pewne kroki, żeby też mieć takiego małego żołnierza – oznajmiłem tajemniczo.

– Zarejestrowałeś się w banku spermy? – próbował zgadywać.

– Pudło.

– To nie mam pomysłu, jak inaczej gej może zostać ojcem. – Szybko się poddał.

– Podjąłem terapię – zdradziłem bez szczegółów.

– To ty jesteś bezpłodny?

– Nie! To znaczy nie wiem. – Zbił mnie z pantałyku.

– To na co się leczysz? – Wbił we mnie oczy.

– Nie na co, tylko z czego. – Dozowałem emocje.

– No?

– Z homoseksualizmu – wyznałem.

Robert zaniemówił, a po chwili ryknął śmiechem. Mało nie osunął się na podłogę. Mankietem koszuli wycierał oczy na tyle intensywnie, że kawałek materiału był mokry jak po deszczu. Gdy spostrzegł, że jestem

zupełnie poważny, natychmiast przestał.

– To był żart, prawda? – upewniał się.

– Bynajmniej.

Znów się roześmiał.

– Ale jak to się leczy? Zastrzykami? To jest choroba?

Opowiedziałem o terapii grupowej i indywidualnej, o książkach. Także o tym, że według osoby prowadzącej grupę gej to nie mężczyzna, tylko bliżej nieokreślony twór zawieszony między płciami. O spotkaniach, wyznaniach, zbawiennej mocy sportu. I wreszcie o rekolekcjach, na które lada dzień się wybieram.

– Co za bzdury! – Już się nie śmiał. Syknął lekceważąco. – Przecież ty lubisz być gejem! – powiedział dobitnie.

– No i?

– Stary, zamieniłeś się z kimś na łby?

– Nie sądzę.

– A ja sądzę. Wróc do domu piechotą, może mróz ci wybije te głupoty z głowy. Jak mogłeś w coś takiego uwierzyć? Ty jesteś dziennikarzem! Masz być elitą tego narodu i takie gówno dajesz sobie wciskać? – Miałem wrażenie, że się wściekł. – Z tej opowieści wynika, że to jest jakaś sekta! I ty jeszcze gdzieś z nimi jedziesz? Nie boisz się, że jakaś pizda w ramach kary za grzechy zarządzi zbiorowe seppuku? Jesteś najzajebistszym, kurwa, gejem, jakiego znam! I jeśli szybko z tym nie skończysz, to przestaniemy się lubić – ostrzegł.

„Przecież ty lubisz być gejem” – te słowa towarzyszyły mi aż do piątku przed rekolekcjami. Nina do ostatniej chwili robiła podchody, by dowiedzieć się, gdzie i z kim jadę. Byłem nieugięty. W przeddzień wyjazdu zagoniła mnie do pomocy przy robieniu Marzanny. Ale nie takiej tradycyjnej. Marzanna anno Domini 2005 była mężczyzną, a konkretnie Karolkiem. Miała jego twarz przyklejoną do głowy taśmą, sztruksową marynarkę z łatami na łokciach i spodnie przetarte w kilkunastu miejscach. Oboje wiedzieliśmy, że będzie to symboliczny koniec tego dupka, i zaczynałem żałować, że tego nie zobaczę. Topienie miało się odbyć w leżącym nieopodal parku Moczydło. Marzanna-Karolek noc przeleżała w kuchni na stole, a ja napisałem Ninie krótki list. Poza życzeniami cudownej zabawy poprosiłem, żeby się nie unosiła i mi zaufała. Chociaż sam sobie w tamtej chwili nie ufałem. Przecież byłem zajebistym gejem. 18 marca, niedługo po południu, przed blok zajechał Tomek i ruszyliśmy do Supraśla. Dziwiłem się, że taka uduchowiona grupa zbiera się na terenie kojarzonym z prawosławiem, ale mówiliśmy przede wszystkim o zadaniu domowym, które dał mi Konrad. O odpowiedzi na pytanie, czy jestem chory.

– Nie czuję w sobie żadnej różnicy. A przecież byłem już na kilku spotkaniach grupowych, i na dwóch z Konradem. – Pozwoliłem sobie na szczerość w stosunku do Tomka. – A ty? – Liczyłem na to samo.

– Co ja? Jestem w grupie ponad rok.
– I co? Jesteś gejem w mniejszym stopniu niż wcześniej?

– Trudne pytanie.

Miałem wrażenie, że zwolnił.

– Co czujesz? – Nie dawałem za wygraną.

– Chcesz znać prawdę?

Zauważyłem, że zaciska ręce na kierownicy.

– Oczywiście. – Zdziwiło mnie to pytanie.

– Czuję się jak na huśtawce. Jestem jak mały chłopiec na placu zabaw, miało być miło i wesoło, siedzę na huśtawce, ktoś stoi z boku i mnie buja. Najpierw delikatnie, tak jak chciałem. Potem coraz wyżej i wyżej. Zaczynam się bać, zbiera mi się na wymioty. Czuję, że nie mam siły krzyknąć, żeby zatrzymać huśtawkę, zaraz stracę przytomność i z niej spadnę. To czuję.

– To po co my tam jedziemy? Zawracaj.

– Ostatni raz. Wybrali mnie na lidera. – Zabrzmiało odpowiedzialnie. – Po rekolekcjach zrezygnuję.

– Czyli co? Nie da się? – Wiedziałem, że pytanie jest dla niego jasne.

– Nie wiem, w moim przypadku chyba się nie da. – Posmutniał jeszcze bardziej. – Chociaż próbowałem. Całym sercem. Rozumiesz? Prosiłem Boga, żeby mi pomógł. Nie pomógł.

– A od dawna wiesz, że się nie da?

– Dłuższy czas.

Nasunęło mi się pytanie, czy wobec tego oszukiwał

siebie, mnie i innych chłopaków, ale go nie zadałem. I bez tego wyglądał fatalnie. Zamieszkaliśmy w czymś na kształt internatu czy hotelu robotniczego. Na oko było nas tam kilkudziesięciu, może stu. Z różnych miast. Wymieszali nas, podzielili na grupy i poprosili o odliczenie do dziesięciu, a potem jeszcze do pięciu. Tym sposobem przydzielili nas do pokoi. Tomek wyładował w innym niż ja i nie było możliwości zamiany. Głupio zrobiłem, że poszedłem z tym do Folc.

– A co jeszcze? Może dwójkę wam załatwić? – Spojrzała na mnie tak, jakbym miał romans z Tomkiem, a jej rekolekcje chciał przerobić na romantyczny wypad dla dwóch.

– Naprawdę mogłabyś być tak uprzejma? – zapytałem, odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

Chwilę potem i tak zrobiłem swoje. Zamieniłem się z jakimś gościem z Krakowa. Nie robił problemów. I pod nieobecność Tomka przeprowadziłem się do jego pokoju. On w tym czasie był na Konwencji Seniorów, tak nazwałem spotkanie liderów wszystkich grup. Ustalali porządek obrad, czyli naszego spotkania. Wrócił z kartką, na której szczegółowo rozpisane były trzy dni. Niektórzy mieli robić śniadania, inni sprzątać po posiłkach, była też służba porządkowa i organizacyjna. Jak na koloniach. Ja miałem dziś pomagać przy kolacji, a jutro przy zajęciach terapeutycznych, konkretnie przy przygotowaniu pomocy dydaktycznych. Niedziela była dla mnie.

Żelaznym punktem każdego dnia była jutrznia, czyli poranne godzinne nabożeństwo, które można było zamienić na czytanie Pisma Świętego w samotności. Potem poranna zaprawa, czyli ćwiczenia fizyczne, zajęcia w grupach, czas wolny, a na koniec spotkanie wszystkich i wygłoszenie świadectwa przez jednego z chłopaków. Miał to być dowód, że nie jesteśmy tu na darmo, że ta droga dokądś prowadzi.

Dziś, ze względu na porę, obowiązywały tylko msza i świadectwo. Najpierw nasmarowałem masłem z dziesięć bochenków chleba, a potem czekało mnie coś znacznie gorszego. Msza. Z trudem wysłuchałem kazania, w którym ksiądz głosił jakieś bzdury o sile i wadze rodziny we współczesnym świecie. Prezerwatywy złe, *in vitro* złe, życie bez ślubu złe. Mówił, jakby nikt go nie uprzedził, że ma przed sobą kilkudziesięciu chłopaka, którym nie w głowie panienki, a tym bardziej żony. Siedziałem z tyłu, pod chórem. Nie poszedłem do komunii. I nie chciałem, żeby Folc to odnotowała. Czułem, że widzę ją i tych chłopaków po raz ostatni w życiu, ale nie mogłem dopuścić, by teraz mnie wyrzuciła. Obudził się we mnie rasowy reporter. Zamierzałem dokładnie obserwować. Nie chciałem też zostawiać Tomka samego. Nie, nie zakochałem się. I nawet nie miałem tego w planach. Po prostu czułem, że muszę tu z nim zostać. Podczas kolacji był milczący, potem też niewiele mówił. I gdy w sali pełnej anonimowych homików jeden z nas opowiadał o coraz

lepszych kontaktach z ojcem i o dodatkowych minutach, które musiał dokupić, bo mieli sobie tyle do powiedzenia, Tomek szepnął mi do ucha:

– Co za gówno!

– Czemu? – Chciałem poznać uzasadnienie.

– O czym ten koleś mówi twoim zdaniem?

– No jak to? O postępach w leczeniu – odpowiedziałem.

– Tak? – zapytał. – To gdzie jest żona? Gdzie są dzieci? On nam relacjonuje swoje rozmowy z tatusiem. A to nie jest dowód na to, że przestał być gejem.

– Kłamie świadomie? – drążyłem.

– Nie wiem, może nadal wierzy... Ja też wierzyłem – szeptał. – Najpierw, że to się da wyleczyć, a potem, że poznam ludzi, którzy myślą jak ja, wśród których pogodzę się ze sobą, znajdę spokój. A potem przestałem wierzyć i w jedno, i w drugie.

– Możemy stąd wyjść? – zaproponowałem, bo zrobiło się poważnie. – To nie jest miejsce na taką rozmowę.

– Za dziesięć minut będzie przerwa. Lepiej poczekać.

Po niej nie wróciliśmy już na salę. Usiedliśmy na kanapie w holu budynku. Tomkowi zależało, żeby się nie chować, by nie dawać nikomu powodu do plotek.

– W mojej rodzinie Bóg zawsze był ważny – zaczął mówić. – Ochrzcili mnie chyba w drugim tygodniu życia, potem nikt nie zapytał, czy chcę służyć do mszy. To było naturalne. Tak samo jak pielgrzymki, spotkania,

msze, ruchy katolickie. Byłem chyba w siódmej klasie, gdy pierwszy raz poczułem, że moje relacje z kumplami są inne, niż oczekiwałem. Powiedziałem o tym księdzu na spowiedzi. Zrzucił to na karb dojrzewania. Ale także potem nic się nie zmieniło. Powiem więcej, faceci zdominowali moje myśli. Pamiętam, jak obserwowałem ich, stojąc przy ołtarzu w czasie niedzielnej mszy. Zapaliła mi się w głowie czerwona lampka, wypierałem te myśli tak mocno i tak długo, jak potrafiłem. Wiedziałem, że to jest sprzeczne z panującymi wokół zasadami. Wiedziałem, że to grzech. Wierzyłem w Boga, a jednocześnie pragnąłem faceta. Czułem wewnętrzne rozdarcie. – Oddychał coraz ciężiej. – Zmagałem się z tym całe lata. Zastanawiałem się, dlaczego akurat ja? Jest tylu innych chłopaków, dla których wyznawane przeze mnie wartości nie są ważne. Byłem wkurwiony na Boga! Po każdej przygodzie z facetem wchodziłem pod prysznic. Twardą szczotką, czasem do krwi, szorowałem wszystkie miejsca, gdzie mnie dotykał. Pragnąłem to zatrzymać i wyrzucić jednocześnie. Żyłem w dwóch światach. Pierwszy, powiedzmy, normalny. Podobałem się dziewczynom, widziałem, że byłyby gotowe na coś więcej. Kilka razy podjąłem nawet próbę zbudowania jakiejś relacji. I nic! Rozumiesz? Nie czułem nic – mówił, a ja milczałem. – Nie chciałem nigdy wyrzec się Boga. I nigdy się nie wyrzeknę. I gdy dowiedziałem się o tej grupie, myślałem, że Bóg się wreszcie nade mną zlitował, że

wysłuchał moich modlitw i wskazał drogę. Na pierwsze spotkanie przyszedłem jak natchniony. Paliwa, takiej religijnej bardzo silnej motywacji starczyło na jakieś pół roku. – Spojrzał za zegarek. – Wiesz, to nie jest tak, że nic stąd nie wyniosłem. Jasne, że wyniosłem. Dowiedziałem się o sobie rzeczy, których istnienia nie podejrzewałem. A jednocześnie czułem ciśnienie. Anki, księży. Zacząłem pytać sam siebie, czy nadal chcę być w Kościele. Czy na to zasługuję, czy nie jestem za słaby. Dzieliłem się tymi wątpliwościami w nadziei na wsparcie. W odpowiedzi słyszałem jedynie, że nie mam wystarczającej motywacji! – Zaszklily mu się oczy. – Jeśli ja nie miałem, to kto miał?! Potem wybrali mnie na lidera i nie wiedziałem, jak się z tego wyplątać. I zostałem. Anka wiedziała o moich wątpliwościach. I co? Kazała mi się modlić. – Spuścił głowę, a ja nadal milczałem. – A niedługo potem pojawiłeś się ty. – Popatrzył mi w oczy. – W pierwszej chwili myślałem, że jesteś podstawiony. Przebojowy, pogodzony ze sobą i z otoczeniem, otwarty, chwilami bezczelny. Rozmawialiśmy między sobą o tobie i żaden z nas nie potrafił zrozumieć, jak do nas trafiłeś – przerwał.

Zastanawiałem się, czy na pewno mówi o mnie. Ja przebojowy? Bez kompleksów? Muszę świetnie udawać i najwyraźniej minąłem się z powołaniem, bo powinienem był zostać aktorem. Dodał, że nie chce odwracać się od Boga.

– Przecież Bóg kocha mnie takiego, jakim jestem. –

Delikatnie się uśmiechnął.

W tej samej chwili na korytarzu zaroilo się od ludzi. Pogadanka się skończyła. Po kolacji widziałem, że poszedł do kaplicy. Modlił się. A ja wyszedłem na spacer. Moje myśli powędrowały wiele lat wstecz. Do dzieciństwa, w którym rzeczywiście miałem problem z budowaniem relacji z kolegami, do kłopotów z ojcem, do życiowego zagubienia. Zestawiłem te wspomnienia z terażniejszością. Można mi było wiele zarzucić, ale na pewno nie to, że błędzę. Studiowałem, pracowałem, rozwijałem się. Nie miałem też problemu z asertywnością. Tomek miał rację. Moje relacje z kumplami były na zupełnie przyzwoitym poziomie. I co z tego, że nie grałem wyczynowo w piłkę? Przypomniał mi się Wiktor, którego sportowe pasje obalały mit Folc, że geje stronią od wysiłku fizycznego, bo mogą się pobrudzić. Lansowana tu kwestia braku umiejętności współzawodnictwa też wydała mi się naciągana. Nie znałem tych chłopaków zbyt dobrze, ale nawet z powierzchownych rozmów wynikało, że walczą każdego dnia. Może nie zawsze na boisku i nie w siłowni, ale czy walka o przetrwanie i sukcesy w pracy lub, jak w moim przypadku, o odnalezienie się i utrzymanie na powierzchni w nowym otoczeniu jest mniej ważna? Mało kto zostaje mistrzem olimpijskim, za to każdy musi żyć. Myślałem też o wmawianej nam tezie, że dwóch mężczyzn nie zbuduje trwałej relacji. Mój przykład mógłby być tu idealny. Dwa związki, dwie

katastrofy. Tyle że ten medal ma też drugą stronę. Liczba rozstań i rozwodów wśród par heteroseksualnych również jest duża. To tylko, lub aż, dowód, że trudno znaleźć prawdziwą miłość. I to bez względu na orientację. Cieniem na ten idealny obraz kładły się jedynie kontakty z ojcem, ale na to nie miałem wpływu. Czy każdy chłopak mający problemy z ojcem zostaje gejem? A może co drugi? Przypomniałem sobie swoich heteroseksualnych kolegów i ich ojców. I naprawdę w wielu domach daleko było do sielanki.

Gdy wróciłem do pokoju, chłopcy już leżeli, Tomek chyba spał. Wykąpałem się, zasnąłem, a przed szóstą zadzwonił budzik. Moi współlokatorzy poszli się modlić, zostałem sam. Przez godzinę jeszcze drzemałem, ale od porannej rozgrzewki nie mogłem się wymigać. Biegaliśmy jak rekruci wokół ośrodka. Okazało się, że z moją kondycją nie jest aż tak źle. Po godzinie biegu zziębnięty szedłem do ośrodka. Dogonił mnie Tomek, nic nie zdradzało, że przed chwilą zrobił kilkanaście kilometrów. Rozmawialiśmy o sprawach nieistotnych, gdy za szklanymi drzwiami dostrzegliśmy Folc. Wyglądała inaczej niż zwykle. Miała rozpuszczone, nieuczesane jeszcze włosy. Stała w brązowym kożuchu do kolan, pod którym miała spodnie dresowe. Była bez makijażu. Witła wszystkich wracających.

– Oj, chłopcy! Taka jestem z was dumna! Mężniejcie w oczach! – powiedziała z satysfakcją do warszawskiej

grupy, która trzymała się ze sobą.

– No! – Uśmiechnąłem się dokładnie tak samo jak ona. – Dziś będą nam amputować piersi, a jutro formować członki! Będziemy mężczyznami! – powiedziałem to, co pomyślałem.

W Folc się zagotowało, a chłopaki nie ukrywali rozbawienia. Tylko Tomek spuścił głowę. Milczał też przy śniadaniu. Tymczasem ze mnie zupełnie zeszło napięcie związane z pobytem tutaj. Żartowałem, śmiałem się, dokazywałem. Byłem duszą towarzystwa. Gdy zapijałem herbatą ostatni kęs kanapki z białym serem, usłyszałem płacz dziecka.

– To my tu leczymy też dzieci? – popłynąłem. – Zawczasu? Żeby gen homoseksualizmu nie miał szansy wykiełkować?

Siedzący w okolicy znów się zaśmiali, a naszym oczom ukazała się Natalia, dziewczyna, która po moim pierwszym spotkaniu z grupą sprzątała kubki ze stołu. Szła w kierunku wyjścia ze stołówki, a za rękę trzymała wrzeszczącego kilkuletniego chłopca z blond loczkami. Okazało się, że to Władek Folc, syn Anny. Natalia najwyraźniej w Warszawie robiła za pomoc domową, a na wyjeździe za opiekunkę do dziecka. Wszystko charytatywnie. Nasze spojrzenia spotkały się tylko na chwilę, ale zanim przeszła obok mnie, wzięła Władka na rękę, jakby chciała się nim zasłonić przed moim spojrzeniem.

Sobota stała pod znakiem warsztatów psychologicznych pod okiem terapeutów innych niż Anna. Wszystkie ćwiczenia miały na celu ukazanie i nazwanie cech charakteru czy naturalnych umiejętności poszczególnych osób. Z pozoru proste ćwiczenia naprawdę mówiły o nas dużo. Kilku chłopaków stawało w kółku, ciasno, tak żeby nie było szpar. Brali się za ramiona, by zacieśnić krąg, a moim zadaniem było przedostać się do środka. Wszystkie chwytaki były dozwolone, miałem na to dziesięć minut. Na początek prosiłem, dyskutowałem, argumentowałem. Potem szukałem słabych ogniw i siłą chciałem wdrzeć się do środka, później ich łaskotałem. Byli twardzi. Wreszcie stwierdziłem, że rezygnuję, a czas płynął. Stałem półtora metra od kręgu i czekałem na odpowiedni moment. Towarzystwo się rozluźniło, a ja – niczym Artur Partyka – górą wskoczyłem do środka koła. Interpretacja była taka, że jestem przebiegły, nieobliczalny i że nigdy nie rezygnuję z celu. Po obiedzie najbardziej zaciekało mnie ćwiczenie, które można by zatytułować: *Jak odbierają cię ludzie*. Każdy dostawał karteczki, na których miał napisać pozytywną lub negatywną myśl dotyczącą współtowarzyszy. Spodziewałem się dobrych opinii na swój temat. A było prawie pół na pół. Na dziewięć kartek cztery były, powiedzmy, takie sobie. Określono mnie jako wesołego, z poczuciem humoru, śmiesznego, wzbudzającego zaufanie i empatycznego, lecz także jako głośnego,

denerwującego, przerysowanego i drażniącego. Wyniki tej zabawy nie wymagały komentarza. Budziłem, budzę i będę budził skrajne emocje.

Tomkowi chyba nie spodobało się to, co o sobie przeczytał, bo wstał i wyszedł z sali. Wysłał mi SMS, że musi się przejść i zebrać myśli, bo wieczorem to on ma mówić o swoich sukcesach w walce z „niechcianymi skłonnościami”. Siedziałem jak na szpilkach. Nie obchodziły mnie już zajęcia. Gdy tylko się skończyły, obszedłem okolicę, ale go nie spotkałem. Przed kolacją wróciłem do pokoju. Tomek leżał na tapczanie przykryty kołdrą. Kamień spadł mi z serca, że widzę go całego i zdrowego. Położyłem się u siebie i zamknąłem oczy. Zapanowała absolutna cisza i to dzięki niej zorientowałem się, że coś tu nie gra. Było za cicho. Tomek nie oddychał.

46. Ósme niebo

Odwróciłem go na plecy i zobaczyłem bladą twarz. Przyłożyłem policzek do jego ust i starałem się wyczuć oddech. Wydawało mi się, że coś poczułem. Zacząłem nim potrząsać. Mówiłem do niego. Wszystko na próżno. Nie było na co czekać, wyciągnąłem z kieszeni komórkę i wybrałem 112. Nie umiałem podać adresu. Mijając kłębiących się na parterze ludzi, wybiegłem przed budynek w poszukiwaniu tabliczki z jakimikolwiek danymi. Na próżno. Trzymałem dyspozytorkę na linii i opowiadałem, co widzę wokół. Okazało się, że najbliższy szpital jest w Białymstoku, szesnaście kilometrów stąd. Obiecała natychmiast wysłać karetkę do Supraśla, a ja miałem się dowiedzieć, jaki jest dokładny adres tego miejsca. Wróciłem do budynku i znalazłem Folc.

– Adres! Jaki tu jest adres? – krzyczałem, trzymając telefon przy uchu.

– Jaki adres? – dopytywała wyrwana z rozmowy z kimś innym.

– Tego budynku. Gdzie my jesteśmy? Tomek coś sobie zrobił. Jedzie karetka. Jaki tu jest adres?

Przeraziła się. Podała nazwę ulicy i pobiegła na górę.

A ja za nią. Kilka sekund potrząsała nim tak jak ja przed chwilą. Biegała po pokoju jak poparzona. Wreszcie znów podeszła do Tomka.

– Gnój niewdzięczny. Ja do niego z sercem, a on mi taki numer. Obudź się, obudź! Słyszysz?! – krzyczała.

– Zostaw go! Nie dotykaj go, ty hochsztaplerko! – Odepchnąłem ją.

– Zryte umysły macie! Obaj! Wiedziałam! Czułam, że będą z tobą kłopoty! Od pierwszej chwili, jak cię zobaczyłam. Kto cię tu wysłał?

– Szatan! – Zrobiłem krok w jej stronę. Cofnęła się. – A teraz ten sam szatan wsadzi cię do pierdła, pani psycholog!

W drzwiach naszego pokoju zaczęli się zbierać ludzie. Wbiegały różne osoby, coś mówiły. Przestałem rejestrować, kto czego chciał. Broniełem dostępu do Tomka.

– Niech ktoś wyjdzie przed budynek i przyprowadzi tu lekarza. Natychmiast. Karetka będzie za chwilę – krzyknąłem w przestrzeń.

– Na bok go przekręć! Bo się udusi językiem! – pouczała mnie Folc, próbując się przedrzeć do Tomka.

– Nie dotykaj go! – wrzasnąłem. – Sam to zrobię!

Pomyślałem, że może mieć rację. Pamiętałem z PO pozycję boczną ustaloną. Zrobiłem to natychmiast. W tej samej chwili na podłogę upadło plastikowe opakowanie po tabletkach. Folc wyciągnęła po nie rękę. Byłem szybszy. Zgarnąłem je do kieszeni.

– Jak możesz mi ciągle rozkazywać? – syknęła.

– Ja ci nic nie będę nakazywał. Jak przyjdzie czas, to wszystko opowiem. Wszystko, co widziałem! Urządziłaś sobie sektę, okrzyknęłaś się guru i leczysz coś, co nie jest chorobą! Za kogo ty się masz? Wykorzystujesz wiarę tych ludzi. Rozumiesz? Wiare! Najbardziej intymną rzecz na świecie. Podparłaś się autorytetem Boga! Wykorzystałaś Boga, który ich stworzył! Jako gejów! I to nie ty będziesz ich oceniała! Tylko ten Bóg. Jeśli jest...

– Jak możesz wątpić!?

– Jak mogę? – Zaśmiałem się wymownie. – Jak ty możesz?! Jak możesz oceniać, co jest dobre, a co złe? Grasz na ich uczuciach i łamiesz kręgosłupy! – Spojrzałem na korytarz pełen ludzi. – Zobacz, do czego to prowadzi! – Wskazałem na Tomka.

– Was trzeba leczyć! I ja to robię! – broniła się.

– Ile osób wyleczyłaś? Gdzie one są? Pokaż te swoje sukcesy!

– W Holandii są setki wyleczonych!

– A na Marsie podobno żyją zielone stworki! My nie jesteśmy w Holandii! Jesteśmy tu i teraz! Gdzie oni są, się pytam?

– Choćby w seminariach! Oddałam ich Bogu. – Była z siebie wyraźnie dumna.

– Kilku poszło do seminarium i myślisz, że ich wyleczyłaś? W seminariach nie ma gejów? Musisz wiedzieć, że to wylęgarnia pedałów!

– Nie ma niechcianych skłonności... – jąkała się, nie udało jej się skończyć zdania.

– W dupę sobie wsadź te swoje niechciane skłonności!

– Wyleczeni mają żony, rodziny!

– Mogę mieć żonę choćby jutro! I czy to znaczy, że mnie wyleczyłaś? Tysiące gejów mają żony i rodziny! Taka jesteś mądra, wyedukowana i tego nie wiesz? Gdzie ta karetka, do chuja!? Niszczysz ich! – wróciłem do Folc. – Wmawiasz im bzdury! Bzdu-ry!

W tłumie za drzwiami zauważyłem poruszenie. Byłem przekonany, że przybyli lekarze. Krzyczałem, żeby inni zrobili przejście. Tomek leżał bez życia, a mi z nerwów trzęsły się ręce. W drzwiach stanęła Natalia z Władkiem na rękach, który w jednej chwili rozwył się wniebogłosy. Folc energicznie do nich podeszła i zaczęła siłą wypychać z pokoju.

– Czego się wstydzisz? Niech dziecko patrzy, co mamusia narobiła! – powiedziałem.

– Zamknij się wreszcie! – krzyknęła.

– Nie mów mi, co mam robić. Nie mów już nikomu, co ma robić! A to dziecko ci powinni odebrać. Stanowisz zagrożenie! Co ty zrobiłaś z Natalią? Służącą?

– Jest tu dobrowolnie! – odszczeknęła.

– Tylko po co? Żeby dziecka pilnować czy żeby na bieżąco sprawdzać efekty leczenia? Jak tylko któryś poczuje zew, to hop na pięterko z wolontariuszką

i sprawdzamy, czy wyleczony? – zakpiłem. – Wszyscy tu jesteście przedmiotami! Pierdolonymi pionkami w grze Jej Kurewskiej Mości Anny Folc! I życzę, żeby ci synek wyrósł na pedała! Na wojującego aktywistę. Jak Biedroń! I sobie go wtedy lecz.

Miałem jej jeszcze powiedzieć, żeby znalazła w sobie motywację, którą tak intensywnie pobudzała u innych, i przerwała tę nikczemną i podłą działalność, ale usłyszałem sygnał karetki wjeżdżającej na teren ośrodka. Chwilę potem lekarze wbiegli do pokoju. Wcisnąłem lekarce do ręki pudełko po tabletkach, które łyknął Tomek. Wieźli go na noszach, a ja biegłem za nimi. Zapakowali się do karetki, włączyli koguta. Rozpędziłem się, żeby jechać z nimi, ale wyrósł przede mną potężny sanitariusz.

– A pan dokąd?

Powróciłem do rzeczywistości.

– Do szpitala. – Dla mnie było to oczywiste. I dalej parłem przed siebie.

– W karetce jedzie tylko lekarz. A kim pan jest? Rodzina?

– Tak, rodzina – skłamałem.

– Wieziemy go do szpitala przy Marii Skłodowskiej-Curie. Proszę się odsunąć. Musimy jechać.

Zeskoczyłem ze schodka. Odjechali. Zrobiło się cicho. Spojrzałem na siebie. Na ramieniu wisiała torba, a z tyłu miałem plecak Tomka. Byłem pełen podziwu dla logiki swoich nieświadomych posunięć. Aż dziwne,

że nie zabrałem też toreb z ubraniami. Dotarło do mnie, że muszę po nie wrócić. Przecież same nie wyjdą. Przemierzając schody, zerknąłem na komórkę. Dochodziła dziewiąta. Dostrzegłem trzy nieodebrane połączenia i dwa SMS-y. Wszystko od Niny. Nie miałem czasu ani czytać, ani tym bardziej oddzwaniać. Kiedy wszedłem do budynku, stojący w korytarzu ludzie zaczęli się rozstępować, nikt nie odważył się odezwać. Wszelkie rozmowy ucichły. Zniknąłem w pokoju. Był pusty i ciemny. Nie wiem, gdzie podzieli się pozostali dwaj zakwaterowani z nami chłopcy. Szybko i niechlujnie zebrałem rzeczy moje i Tomka. Nie oglądając się za siebie, obładowany jak wielbłąd opuszczałem internat w Supraślu. Tym razem korytarz był pusty. Dopiero przy drzwiach wyjściowych usłyszałem, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się i zobaczyłem cztery osoby z torbami podróżnymi.

– Co z nim? – zapytał niewysoki blondyn z włosami do ramion zaczesanymi za uszy.

– Nie wiem. Zabrali go do szpitala. Muszę jakoś tam dotrzeć. A wy co?

– Spadamy stąd – oznajmił stojący po lewej sobowtór Pawła Małaszyńskiego. – Wracamy do Gdańska.

– A turnus?

– To robienie wody z mózgu. Dobrze jej powiedziałaś. Granie na emocjach. – Był szczerzy. Wobec mnie i co ważniejsze wobec siebie. Nie skomentowałem tego.

– Wrzuciłeś granat do szamba – dorzucił od siebie trzeci. Kojarzyłem go z widzenia, ale imienia nie pamiętałem. Podobnie jak jego kolegów. – Jeszcze kilka osób się pakuje – poinformował.

– A co na to Folc? – Byłem ciekaw, bo nie widziałem jej od czasu, gdy karetka odjechała.

– Gdzieś się schowała. Zwołała zebranie na dwudziestą drugą. Ale my już nie jesteśmy ciekawi, co ogłosi – wyjaśnił klon Małaszyńskiego.

– To życzę wam powodzenia, chłopaki. – Podałem rękę każdemu. – Szkoda, że tak to się kończy.

– Podrzucić cię gdzieś? – zaoferował blondyn.

– A możecie jechać przez Białystok? – Chciałem się dostać do szpitala.

Zgodzili się. Przypomniałem sobie ich imiona. Blondyn to Krzysiek, Małaszyński – Krystian, a ten trzeci – Piotrek. Zapakowaliśmy się do samochodu i ruszyliśmy.

– Stop! – wydarłem się, gdy przekraczaliśmy bramę. – Zawracamy! – zarządziłem.

W kilku zdaniach wyjaśniłem, że ja i Tomek przyjechaliśmy tu przecież autem, które stoi na parkingu. Nie mogę go tu zostawić. A nie mam prawa jazdy. Gdyby była tu Matylda, to zapewne usłyszałbym to samo co zwykle kazanie o niezależności. Nie miałem wyjścia, zajrzałem do plecaka Tomka i znalazłem kluczyki od samochodu. Kartę pojazdu diabeł nakrył ogonem.

– Może jest w samochodzie? – podrzucił Piotrek.

Była w schowku. Zapadła decyzja, że zabieramy też wóz Tomka. Prowadził Krystian, ja siedziałem obok. Reszta pojechała drugim autem. Spieszyliśmy się. Po kilkunastu minutach byliśmy w Białymstoku. Niedługo potem zajechaliśmy przed szpital. Wymieniliśmy numery telefonów – obiecałem, że dam znać, jak się czuje Tomek – i odjechali do Gdańska. Dzięki wypróbowanemu już dziś kłamstwu przebiłem się przez recepcję, dali mi fartuch i ochraniacze na buty i pogałem na oddział. A tam cisza.

– Lekarze jeszcze pracują. Nic nie wiem – próbowała mnie zbyć pielęgniarka. – Proszę czekać.

– Jak to pracują? Czyli co robią? – nie poddawałem się.

– Ratuja życie pańskiemu bratu. Dużo się nałykał. Proszę usiąść i czekać. Poinformuję pana, jak przyjdzie czas.

– Ale będzie żył?

– Proszę czekać. – Zniknęła za drzwiami z tabliczką „Tylko dla personelu”.

Im dłużej trwało oczekiwanie, tym większe były moje obawy. Dochodziła północ, a do mnie nikt nie wyszedł. Nie było też nikogo kompetentnego, by dopytać o cokolwiek. Czułem, że kiwam się, jakbym miał chorobę sierocą, ale nie dałem rady nad tym zapanować. Punkt dwunasta odezwał się telefon. To Nina. Utopili

Marzannę, słyhać było, że świetnie się bawią. Zawahałem się, gdy zapytała, co u mnie, ale kluczyłem już wystarczająco długo.

– Czułam, że się w coś włądowałeś – potraktowała mnie łagodnie jak na opowieść, którą usłyszała. Wiedziała już wszystko. Włącznie z tym, gdzie jestem i co się wydarzyło. – Masz gdzie spać? – zatroszczyła się.

– Póki co czekam, co się dalej wydarzy. Nie wybieram się spać.

– A jak już się wydarzy?

– To będę myślał na bieżąco. Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli będzie źle – powiedziałem zrezygnowanym tonem. – Nie znam jego rodziców ani nikogo z bliskich.

– Pewnie ma jakieś numery w telefonie. Szukaj pod hasłami „mama”, „tata”, „brat”, „siostra”. Ale ci nie zazdrozczę. Dzwonić z taką wiadomością.

– Z jaką wiadomością? Nina, przecież on żyje! – przywołałem ją do porządku, chociaż nie miałem pewności, czy wiem, co mówię.

– Miejmy nadzieję... – powiedziała ostrożnie.

– Uspokój się.

– Dobra, rano zadzwonię, a ty się gdzieś prześpij. Może w tym szpitalu dadzą ci jakieś łóżko?

– Najwyżej prześpię się w samochodzie. A ty jak?

– Utopiłam Karolka. – Nie kryła zadowolenia. – Od jutra może być tylko lepiej.

– Obyś miała rację – zażyczyłem sobie, a za

drzwiami zauważyłem ruch. – Muszę kończyć. Coś się tu dzieje.

– Napisz SMS! – zdążyłem usłyszeć, zanim przerwałem połączenie.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich siwobrody lekarz w średnim wieku. Wyglądał na zmęczonego.

– I co? – Dopadłem do niego.

– Z czym?

– Z Tomkiem! Żyje?

– Ten samobójca? – Zatrzymał się.

– Samobójca? – Zmroziło mnie. – To znaczy, że on...

– Nie. A kim pan w ogóle jest? – upewniał się, czy może ze mną rozmawiać.

– Bratem! Bratem jestem! – krzyknąłem.

– Taaa! Bratem. – Ruszył przed siebie. – Wypłukaliśmy go. Nie było łatwo, ale będzie zdrow – oznajmił.

– Mogę tam iść?

– Nie ma po co. Śpi. Może rano się obudzi. Ale najpierw porozmawia z nim psychiatra. Potem ja, a później może pan. – Sprowadził mnie na ziemię.

– Psychiatra?

– Tak, proszę pana. To nie jest normalne, że młody człowiek łyka tabletki i chce się zabić. Wie pan, co mu do głowy strzeliło? – Złapał za klamkę pokoju lekarskiego. – Dziewczyna?

– Panie doktorze – westchnąłem głęboko – to jest bardzo długa historia i chyba nie ja powinienem ją panu

opowiadać.

– Proszę odpocząć, dobranoc. – Zniknął za drzwiami.

Musiałem sprawdzić, czy z Tomkiem naprawdę wszystko jest w porządku. Upewniłem się, że nikt nie patrzy, i zakradłem do jego pokoju. Leżał na łóżku słaby i wycieńczony, ale żywy. Podszedłem na tyle blisko, że widziałem ruchy klatki piersiowej. Chciałem poprawić mu kołdrę, ale powstrzymał mnie kobiecy głos:

– Godziny odwiedzin dawno już minęły. Szczególnie na OIOM-ie.

– Przepraszam. – Odwróciłem głowę. – Musiałem sprawdzić, czy doktor mówi prawdę.

– I co? Kłamał? – spytała pielęgniarka, z którą już wcześniej rozmawiałem.

– Chyba nie. Ale kołdrę poprawię. Tak troszeczkę.

Następnie grzecznie, pod czujnym okiem siostry opuściłem salę i szpital. Wsiadłem do zimnego jak grób samochodu, zaciągnąłem ręczny i odpaliłem silnik, żeby nie zamarznąć. Marzec marcem, ale tu, na wchodzie, wiosna przychodzi chyba później niż w Warszawie. Gdzeniegdzie leżały jeszcze kupki śniegu, a termometr wskazywał minus trzy stopnie. Rozłożyłem siedzenie, skuliłem się i zamknąłem oczy. Byle do rana. Już zasypiałem, gdy usłyszałem pukanie w szybę. Zerwałem się i zobaczyłem siostrę w futrzanej czapce i jasnym płaszczu. Ręką dała znak, żebym otworzył. Byłem

pewien, że coś nie tak z Tomkiem.

– Tylko izolatkę mam wolną. Pan idzie. – Zlitowała się nade mną.

Z łóżka zwisały co prawda skórzane pasy dla niepokornych pacjentów, a pokój nie przypominał hotelu Hilton, ale byłem w siódmym, a może nawet w ósmym niebie. Gdy wróciłem spod prysznic, na szafce czekały cztery kanapki – dwie z serem i dwie z szynką – i herbata. Brakowało tylko piżamy. Spałem jak suseł. I nic mi się nie śniło. Ani na czarno-biało, ani w kolorze. Odpoczywałem. Nie analizowałem tego, co się wydarzyło, nie przewidywałem, co jeszcze może mi się przytrafić. Obudził mnie dopiero ruch na korytarzach szpitala. Co chwila ktoś do mnie zaglądał. Bezcelność księdza przekroczyła jednak wszelkie granice. Nie dość, że wszedł, to jeszcze zaczął szturchać mnie w bok, żebym wstał. Przyszedł z sakramentami. Odmówiłem. I to dwa razy, bo nalegał.

Nie udało mi się już zasnąć. Stałem przy oknie, a w głowie kłębiły się różne myśli. I chociaż ostatnio straciłem miłość, nie miałem poczucia przegranej. Paradoksalnie, dopiero gdy Wiktor zniknął, wróciłem do formy. Rozkwitłem w pracy i na uczelni. Przestałem marnować czas i obrałem założony dawno temu kurs. I nie brakowało mi faceta. Rzuciłem się w wir pracy, która dawała mi satysfakcję. Daleko mi było do zawodowych osiągnięć Niny, ale i to nie psuło mi humoru. Jeśli ważyć nasze sukcesy i porażki, zawodowo

była do przodu, ale prywatnie? Prywatnie dopiero od kilku godzin jest wolna od toksycznego Karolka, niedocenionego mecenasa, miłośnika cytatów z polskiej kinematografii. Maria i Matylda też przeinwestowały. Jedna próbowała z Wszechpolaka zrobić cywilizowanego liberała, a druga wymyśliła sobie miłość. O ile z Niną i Matyldą nie miałem kłopotów, o tyle przyjaźń z Marią przeszła prawdziwy chrzest bojowy. Popełniliśmy klasyczne błędy młodości. Każde z nas postawiło wszystko, lub prawie wszystko, na jedną kartę. O mały włos nie przegraliśmy samych siebie.

Z rozmyślań wyrwał mnie dzwonek telefonu.

– Żyje? – Nina od razu przeszła do rzeczy.

– Żyje – potwierdziłem. – I ja też.

– A gdzie spałeś? – spytała zaniepokojona.

– W izolatce!

– Nareszcie trafiłeś w odpowiednie miejsce! – Zaśmiała się z ulgą. – Jesteś w kaftanie bezpieczeństwa?

– Tak! A drugi czeka na ciebie – odbiłem piłeczkę.

– To świetnie się składa! Bo się zbliżam. Gdzie ten szpital?

– Jak to się zbliżasz? – Nie rozumiałem.

– Do Białej Podlaskiej. Bo tam jesteś, tak? – upewniała się.

– Co?! – wykrzyknąłem. – W Białymstoku!

– Żartowałam przecież. Spokojnie. – Znów się zaśmiała. – Gdzie ten szpital w Białymstoku?

– Przy Marii Skłodowskiej-Curie. A z kim ty

jedziesz? Z tym... jak mu tam? – Szukałem w głowie imienia. – Z Patrykiem?

– Zobaczysz. Będę za jakieś pół godziny. Może godzinę. Czuwaj!

Niezły mają czas. W nocy balowali, a już są pod Białymstokiem. Mam nadzieję, że nie wyjawiała Patrykowi powodów mojej obecności tutaj, bo gotów ją rzucić zaraz po powrocie. A w najlepszym wypadku postawić przed wyborem: albo on, albo ja. Postanowiłem sprawdzić, jak ma się Tomek. Drogę już znałem. Nikt mnie za zatrzymywał, ale nie mogłem wejść do sali, w której leżał. Nie był sam. Na krzesle obok łóżka siedział lekarz i rozmawiali. Czekałem w bezpiecznej odległości. Dopiero gdy wyszedł, dowiedziałem się, że to psychiatra. Usiadłem na krzesle, które przed chwilą zajmował.

– Przepraszam – powiedział Tomek.

– Mam powiedzieć, że nie ma za co?

– Najlepiej nic nie mów i zapomnijmy o tym.

– Dobra, zapomnimy – zgodziłem się. – Ale powiedz mi jedną rzecz. – Zabrzmiało jak warunek.

– Jaką?

– Czemu wolałeś to zrobić, niż po prostu stamtąd wyjechać i nigdy nie wrócić?

– Gdybym wyjechał, zmieniłbym tylko miejsce pobytu, a tak... rozwiązałbym wszystkie problemy hurtem. – Była w tym jakaś logika. Mętna, ale była.

– I co teraz? – Miałem na myśli to, że problemy zostały.

– Jeśli pytasz, czy zrobię to jeszcze raz, to obiecuję, że nie. Lepiej być żywym gejem niż martwym farbowanym hetero. Dzięki, wiesz za co... – Patrzył mi prosto w oczy.

– Kiedy stąd wyjdiesz?

– Nie wiem dokładnie. Może nawet jutro. Jeśli wszystko będzie dobrze.

Ucieszył się, że nie musi wracać do Supraśla po auto i rzeczy. Był pod wrażeniem, gdy dowiedział się, że część chłopaków opuściła zgrupowanie. Niestety nie były mi znane dalsze losy wybitnej terapeutki, laureatki tytułu Złamas Półwiecza w kategorii „Zdrowie i okolice”, Anny Folc, ani treść jej wieczornego przemówienia do tych, którzy zostali. Tomek stwierdził, że na pewno zostaliśmy publicznie wyklęci i uznani za osoby niestabilne emocjonalnie. Taka była zasada w grupie. Na pewno wszyscy członkowie dostali już oświadczenie takiej lub bardzo podobnej treści na swoje skrzynki mailowe. Dalszą rozmowę przerwał nam SMS od Niny, która informowała, że stoi pod szpitalem. Rzeczywiście tam była. Stała oparta plecami o niebieskiego malucha Matyldy. Roześmiałem się głośno, złapałem za głowę i pobiegłem w ich kierunku. W międzyczasie z auta wygramoliła się też Maria. Byliśmy w komplecie.

– Tym przyjechałyście taki kawał?! – nie

dowierzałem.

– I zamierzamy tym wrócić! – nie miała wątpliwości Matylda. Ucałowała mnie trzy razy, jak nakazuje polska tradycja.

Tymczasem zza auta rozległo się szczekanie psa. Wyciągnąłem szyję, żeby zobaczyć, skąd dokładnie dobiega, ale nic nie zauważyłem. Szczekanie nie milkło. Matylda ruszyła w kierunku drzwi, otworzyła je, a ze środka wyskoczył szczeniak. Biały foksterier w czarne łaty. Obsikiwał okoliczne drzewka i co chwila podbiegał do nas, prosząc o pieczyoty.

– A czyj ty jesteś? – Przyklęknąłem, żeby pogłaskać merdającego ogonem psiaka.

– To jest ona – poprawiła mnie Matylda. – Krystyna. Nasza nowa suka.

– Następczyni Ryszardy – dedukowałem. – Piękna jesteś, piękna! Najpiękniejsza!

Nowa suka, nowa rzeczywistość, nowe wszystko, pomyślałem, wstając z kolan.

– A ty to przypadkiem nie masz matury za chwilę? Nie powinnaś się uczyć czy coś? – Spojrzałem na Marię. Rękę nadal miała w gipsie, ale po siniaku na twarzy nie było śladu.

– Jeśli myślałaś, że to przegapię, to się myliłaś, kochany! Nawet kosztem matury! – zażartowała. – Wiesz, o której my dziś wstałyśmy? Wiesz? Wpół do czwartej! Najpierw do Warszawy po Ninę, a potem tu!

– Wpół do czwartej nie robi na mnie wrażenia. To

mój chleb powszedni – nawiązałem do radiowych poranków. – A ty w ogóle spałaś? – Przypatrywałem się naprawdę wczorajszej Ninie.

– Średnio. Nie jestem także zupełnie trzeźwa. Ale za to wolna! – Podniosła do góry ręce w geście zwycięstwa.

– My też jesteśmy wolni – zauważyła Matyllda. – Chyba że nie o wszystkim wiemy? – Spojrzała na mnie.

– Jesteśmy wolni. – Objąłem je wszystkie. – I wiecie co? Faceci, kochankowie i mężowie – wyliczałem – się zmieniają, ale wy mnie nigdy nie zostawicie. Prawda?

– Choćby skały srały! – potwierdziła Maria.

– Jak dzidy pragnę! – dodała Nina.

– Nawet jeśli strzelisz focha. Oczywiście bez powodu – przyłączyła się Matyllda.

Cała nasza czwórka wiedziała, że foch strzelony bez powodu smakuje najlepiej. I tylko głupiec dobrowolnie wyrzekłby się takiej przyjemności.

Dziękuję:

Adze Brzezińskiej, Oldze Gorzczy-Popławskiej i Ilonie Gostyńskiej-Rymkiewicz za kreatywność, wiarę i wszystkie konstruktywne spory. Dzięki Wam znów się udało!

Wszystkim, którzy mi zaufali i podarowali swoje niełatwe wspomnienia.

Patronom medialnym i innym osobom, które mają swój udział w powstaniu tej książki.

A przede wszystkim dziękuję Czytelnikom.



Gej w wielkim mieście **Mikołaj Milcke**

Jeszcze wczoraj wieczorem byłem szczęśliwy. Miało się spełnić moje wielkie marzenie. Miałem jechać do Warszawy...

Tak zaczyna się debiutancka powieść Mikołaja Milcke. Główny bohater jest homoseksualistą, za kilka dni ma rozpocząć studia na Uniwersytecie Warszawskim. Wyjeżdża z prowincjonalnego miasteczka na wschodzie Polski do wymarzonej stolicy. Opuszcza dom, w którym nigdy nie czuł się szczęśliwy. Wierzy, że teraz rozpocznie nowe życie, zostawiwszy za sobą rodzinne problemy i zaściankowy sposób

myślenia.

Polecam tę książkę, ponieważ jest napisana sercem. Trudno o bardziej szczerze opisy inicjacji młodego człowieka. Inicjacji wielowymiarowej. To zarówno odkrywanie nowej przestrzeni dużego miasta, jak i wędrówka po dzikich meandrach własnej duszy.

Ciekawa, odważna i zaskakująca. Od początku do końca.

Ewa Kasprzyk



**Dobra Literatura – wydawnictwo
i księgarnia internetowa**

Literatura oparta na faktach, reportaż, beletrystyka,
publicystyka popularnonaukowa
oraz poradnikowa z dziedziny psychologii.

Znajdziecie u nas książki, które warto przeczytać,
które inspirują i dają do myślenia,
pozostawiając po sobie cenne ślady.

Zapraszamy do wspólnej wędrówki!

www.dobraliteratura.pl

książki wywołujące burzę emocji